

Z KSIĘGOZBIORU

Dawida Rogowskiego

Nr. 59.

DZIEŁA
TEOD. TOM. JEŻA

W PIERWSZYM ZBIOROWEM WYDANIU.

Tom I.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BISHOPSKA
ul. Nowa 111/72
00-290 Warszawa
Tel. 26-66 53, 26-32-31 w. 42

Rogosz

LWÓW 1876.

NAKŁADEM A. J. O. ROGOSZA.

W WARSZAWIE

u Michała Glücksberga.



Z drukarni A. J. O. Rogosza.

1241

<http://rcin.org.pl>

DZIEŁA
TEOD. TOM. JEŽA.

LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PRZEDMOWA AUTORA.

Stając przed publicznością w zbiorowem wydaniu, czuję potrzebę poprzedzić takowe kilkoma słowy.

Zbiorowe wydania, w czasach obecnych, gdy felieton pochłania w zupełności prawie literaturę nadobną, mają szczególne tak dla publiczności, jak dla autora znaczenie. Publiczność przez nie dopiero wchodzi w prawa i w funkcje trybunału, sądzącego i wyroki ferującego nie już wedle części, ułamków, rozdziałów oderwanych i scen lub obrazów wyosobnionych, ale wedle całości, stanowiącej grzechy autorskiego żywota. Autor oddaje się pod sąd bezwarunkowo, bezwzględnie, całkowicie, mając przeciwko sobie wszystko, za sobą nic. Przeciwno sobie ma on wszystko, bodaj dla tego już samego, że najpierwszą i najważniejszą dobrego czytania regułę stanowi intencja krytykowania tego, co się czyta. W pomoc intencji tej przychodzą krytyki rzemiosłowe. Autor jest obracany, opatrywany, rozciągany na łożu Prokusta; ten go sądzi wedle głowy, ów wedle serca, jeden zarzuca mu to, drugi owo, wytykają mu wady, błędy, usterki, zbytki; niektórzy chwala, inni gania, on zaś i pochwały, i nagany przyjmować musi jednakowo. Dla niego — spełniło się! Zanim przeto to nastąpi, wolno mu powiedzieć słów kilka o sobie.

Zgrzeszyłbym ciężko, gdybym narzekać miał na czytelników moich. Od pierwszego mego na polu piśmienniczym wystąpienia, czułem coś, na kształt prądów sympatycznych, idących odemnie do publiczności i wracających od publiczności do mnie.

*

Autorstwo moje było wymianą wzajemną myśli i uczuć — i dla tego też, że wymianą ową było, utrzymało się. Wziąłem się był do pióra, nie przygotowany zgoła, a raczej, przygotowany do pochodu życiowego na drodze innej wcale, aniżeli pisarska; wszedłem na nią przypadkowo i pozostałem na niej, dzięki jedynie prądom owym, które odczułem na sobie od razu. Długo też miałem sam siebie na intruza w gronie piszącej braci, i dziwowałem się sam sobie, z kąd się to bierze, że piszę, że drukowany jestem, że pisma moje czytają się. Potrzeba było lat, względów publiczności i zachęty życzliwej ludzi takich, jak Antoni Lesznowski, Józef Korzeniowski, Julian Bartoszewicz i Jan Dobrzański, ażebym się z tem oswoił nakoniec i przyjął rolę, która mi się długo nieodpowiednią wydawała.

Przygotowując edycję zbiorową, zapytywałem siebie: czy pisma moje, zebrane w jedno, doznają przyjęcia tak względnego, jakiego doznawały utwory luźnie czytelnikom do rąk podawane?

Nie przypuszczam ani na chwilę, ażeby w przejranej i poprawionej dzieł moich edycji nic już do przygany nie było. Nie mniej przeto śmiem spodziewać się, że nic sympatyczna, wiążąca mnie z publicznością czytającą nie zerwie się.

Na czemże opieram nadzieję tę śmiałą?

Na tem, że mam siebie za pisarza wymogom czasu i miejsca zadość czyniącego.

Nie zapożyczałem się, ze świadomością rzeczy, niczem u nikogo; nie goniłem wyłącznie za efektywnością; miałem przede wszystkim na widoku pożytek ogółu, upatrując źródło takowego w dokładnem poznaniu siebie.

Oto punkt, który mi służył za regulatora, *gdym pomysły z wyobraźni wysnuwał i takowe w kształty powieściowe ujmował! Z punktu tego sam na własne zapatruję się prace.

W utworach moich usiłowałem być niejako sumieniem ogółu w trudnem a ważnem zadaniu dojścia do poznania siebie. Zadanie to starałem się rozwiązać i do rozwiązania onego podążałem wszelkimi, jakie się jeno w rozporządzeniu mojem znajdowały, sposobami.

Nie do mnie należy orzekać, czy i o ile celu tego dopiąłem. Korzystam jeno z prawa powiedzenia, że takim był mój zamiar.

Rzecz prosta, przeprowadzenie zamiaru podobnego wymagało pewnych reguł w postępowaniu i pewnego punktu ogniskowego, do którego by się reguły owe odnosić mogły.

Punkt ogniskowy znalazłem w zasadach szczerze i wyraźnie postępowych, otoczonych światłem, sprawiedliwością i miłością bliźniego, a obalających przesady i śmieszności, bez względu na to, z kąd one pochodzą, gdzie się gnieźdzą, ani jak się mianują. Reguły postępowania wypłynęły z zasad same przez się, i wyprowadziły na arenę powieściową szereg postaci płci obojej i stanów różnych, pełniących w rozwoju życiowym społeczeństwa naszego funkcję czynników ujemnych.

Gniewano się na mnie za to. Zdarzali się nawet tacy, co się osobiście czuli dotknięci i wyrzuty mi czynili. Z powodu jednej z powieści mego pióra, spotkały mnie reklamacje z Warszawy, z Białorusi, z Kaliskiego, z Ukrainy, z pod Krakowa i z jednej ze stolic zagranicznych, zarzucające mi niegodziwość wynikającą ztąd, że na postaciach powieściowych wziął osoby żyjące i zkarykaturował takowe. O tem, ażeby się wśród żyjących znajdować miały osoby, z powodu których reklamacje mnie spotkały, jako żywo! nie wiedziałem nic: karykatury owe tyczyły się czynników ujemnych, stojących postępowi na zawadzie, a będących mi koniecznie potrzebnymi do tego, ażeby ogółowi ułatwić rozwiązanie zadania poznania siebie.

Z poznania siebie — co wynika? — poprawa.

Spółeczność nasza nie jest tak doskonałą, ażeby poprawiać się nie miała z czego, a zatem, ażeby nie potrzebowała stawiania jej przed oczy jej własnych ułomności.

Ułomności, niestety, w niej dużo, och! dużo...

Powieść słusznie nazywają zwierciadłem życia. Jeżeliby zwierciadło to, jak owe biskupa Krasickiego, „co wszystko zgadło“, szpetność upiększało, garbatość prostowało, czarność bielilo, to możebym się, wzorem kuglarza drugiego tegoż biskupa Krasickiego, w końcu:

„..... pokłonił, podskoczył, wykrzyknął,

Brząknął pieniędzmi, rozśmiał się i zniknął.“

ale, skoszlawiłbym istotę powieści, i — co także nie jest rzeczą małą — kłam zadał sumieniowi własnemu, w obliczu tych zasad, które wyznaję, tych reguł, które przyjąłem, i tego zadania którego rozwiązanie pożytecznem mi się widzi. Pod względem

tym nie mam sobie do wyrzucenia nic. W utworach moich znajdują się usterki i błędy, lecz pióra mego nie maczałem w atramencie innym, tylko w przyprawianym przez siebie samego; nie pochlebiałem nikomu, nie dworaczyłem niczemu, nie stawiałem w przedpokojach niczyich: stoję więc przed Publicznością śmiało i wyczekiwać będę ze spokojnem sumieniem na wyrok jaki wyda dając jej, gwoli zreferowania onego, nie tylko powieści same, wszystkie razem, ale jeszcze i intencję, jaka stworzeniu się onych przewodniczyła.

Dnia 16. listopada 1875.

Geod. Com. Sei.

HANDZIA ZAHORNICKA.

I.

Wesoło kończył się w Zahornikach ostatni dzień starego 18... roku; wesoło, pomimo, że mróz nie popuszczał, pomimo że ziemia pokrytą była grubą warstwą śniegu, pod którym chałupy zahornickie i dwór i karczma, wyglądały trochę dziwnie, ale ładnie. Księżyc zeszedł — a był w pełni — i wszystkie gwiazdy wystąpiły na niebie. Księżyc i gwiazdy zalały Zahorniki potokami światła, pod którem zaiskrzyła się każda śnieżynka na dachach chałup, dworu i karczmy. Iskrzyły się dachy, zapłotki i pokryte szronem gałęzie drzew w sadach, iskrzyła się biała ziemia ogrodów, sadów, dziedzińców, gumien, i tych miejsc pustych we wsi, które latem pokrywają się bujną roślinnością łośpuchów, dzikich bzów, purchawek, dendery i rozmaitych bodiaków i burzanów. Nie iskrzyły się tylko te miejsca, na które padały cienie drzew i budynków wiejskich. A cienie te były jedne większe, drugie mniejsze: jedne padały od niskich chłopskich chałup drugie — od pańskiego dworu i od wysokiej Bożej cerkwi.

Cerkiew była sławą i chlubą zahornickiej gromady. Jeżeliś spotkał przypadkiem Zahorniczana jakiego gdzieś daleko od domu, np. na trakcie do Odessy z pszenicą — za Humaniem, Sawranem, albo aż za Krzywem Jeziorem — a pozdrowiwszy go i dowiedziawszy się, że on z Zahornik, zapytał:

— Gdzież to te Zahorniki?

— Alboż nie wiecie!.. — padła niezawodnie odpowiedź — tam gdzie ta cerkiew.

Jeżeliś zaś, nie uważając na ton, jakim Zahorniczanie wymawiał: „ta cerkiew!“ — dodał zapytanie: „jaka cerkiew?“ — toś go już obraził na wieki. Już napróżno dopytywałbyś się go o cokolwiek. Nawet drogi nie rozpowie, chociażby znał jak najlepiej i chociażbyś się bożył i żalił przed nim, żeś zblądził. Splunie tylko i mruknie pod nosem:

— Z za morza, czy co!... kiedy nic nie słyszał o cerkwi naszej.

Była to rzeczywiście piękna cerkiew, ale piękna tylko dla mieszkańców Zahornik: nie odznaczała się bowiem ani architekturą zewnętrzną, ani dobozem ozdób, a tem jedynie, że pobudowaną została kosztem, staraniem i rękami Zahorniczanie. Była własnem ich dziełem — komuż zaś dzieło własne nie wydaje się pięknem!..

Budowali ją oni własnymi rękami, bo gromadzie nie stało na sprowadzanie i opłacanie majstrów i cieśli. Zahorniki były wioską małą, a przytem niezamożną. Trzydziestu ciągłych i pieszych gospodarzy, składających ją, nie cierpiało wprawdzie nigdy głodu i niedostatku, nawet na przednowku, a jednakże żaden z nich nie miał zapasu pieniężnego, ani w bedni, ani w komorze, ani też w garnuszku pod przyzbą zakopanego. Cała ich siła na tem polegała, że ładzili z dziedzicem, i z tego powodu, i im było jako tako i dziedzicowi działo się nieźle; gdy jednak przyszło się do budowania nowej cerkwi, gdy pokazało się, że w starej nie było już do czego podpór przystawiać, tak pogniły w niej i popruchniały słupy i belki — to pobudować.. nie było za co. Za to, znalazła się dobra i szczerza wola, która zwykle w wielu przygodach zastępuje wszelkiego rodzaju ludzkie niedostatki, i która — w przygodzie Zahorniczanie — zastąpiła najzupełniej niedostatek pieniędzy. Wzięli się oni do rzeczy wspólnie, składkowym sposobem: dziedzic dał drzewo, gromada pracę, i jak zaczęli radzić się, ta miarkować, to i wymiarkowali.

Budowali oni tę cerkiew mało że nie tak, jak mrówki budują mrowisko. Każdy coś przyniósł, coś dołożył, albo przyłożył, coś zrobił albo przystawił. A nie szło to nieporządnie: nie tak aby jeden psuł, co zrobił drugi, lub żeby jeden chciał tak, drugi

inaczej — bo byli tacy, którzy kierowali robotą i prowadzili ją od początku do końca.

Kierowników tych wybrała gromada sama. Najglówniejszym pomiędzy nimi był Andrij, przewany Bisnowatym, dla tego że zdawało się, iż za młodu brakowało mu piątej kleпки w głowie. Pokazało się jednakże, że to tak tylko zdawało się ludziom, a to dla tego, że wtedy, kiedy pomawiano go o ten brak kleпки, jemu roiło się po głowie stawianie cerkwi, domów, palacow i Bóg wie jakich budynków. Nie postawił on żadnego z nich i nudził sobą, chodził, szukał czegoś i często gadał sam do siebie. Aż rozwalił i potem przebudował własną chałupę, dodał do niej stodołkę i szpichlerz, ogrodził ją częstokołem, w którym każdy kół ostrugał i ozdobił na wierzchu galką, a wrota, któremi zamknął obejście, dziwnie pięknie wyrzeźbił. I gdy to wszystko pokończył, przyszedł mu rozum:— przestał roić i szukać,— wziął się do roli,— gospodarstwo poszło mu jak z płatka, i — pokazało się: że nikt nad niego nie potrafi postawić lepiej stodoły, albo chałupy, ani misterniej ogrodzić płotu, ani wyciesać wrót. To też wszystkie kołowroty zahornicckie jego były dziełem; jego dziełem był szpichlerz nowy, postawiony dla dziedzica, a nawet i gołębnik przed dworem, na samym środku dziedzińca, duży taki, że mógł zmieścić w sobie parę setków gołębi, a pomimo to urobiony misternie, opatrzone daszkiem i półokrągłymi okienkami, i — co najbardziej Zahorniczczan dziwiło — stojący na jednym słupie, bez żadnej podpory. Jak on to zrobił?... wieś cała przypatrywała się robocie od początku do końca, a przecież nikt z gromady nie podjąłby się naśladować jej. Przez długi czas dziatwa wiejska zbiegała się kupami przed wrotami pańskimi, i zapastrywała się na gołębnik pootwierawszy gęby i powkładawszy w nie palce; — baby zaś mawiały pomiędzy sobą:

— Ot, patrzcie się... Andrij!... Póki był parobkiem, to był sobie, ot taki... przydurkowaty, nieboże; a od czasu jak się ożenił, widzicie, jakie cuda majstruje!..

Babom się zdawało, że ożenienie przywróciło Andrijowi zdrowe zmysły... O tem ożenieniu może przyjdzie wspomnieć nam w ciągu niniejszego opowiadania; ale teraz wróćmy do cerkwi, której budowanie ważną w naszej powieści odegra rolę.

Owóż, jak tylko gromada po raz pierwszy zebrała się na naradę, nad obmyśleniem środków i sposobów postawienia domu

Bożego, natychmiast oczy wszystkich zwróciły się na Andrija Bisnowatego, wszyscy bowiem, chociaż uznawali, że nie potrafilby on postawić cerkwi jak postawił gołębnik, przecież tego byli przekonania, że jest on jednym z takich, co to potrafi bodaj.. coś poradzić. Zebrali się tedy u Josypa Kozohryza, jednego z naj-słuszniejszych gospodarzy, białowłosego a siwobrodego starca, którego gromada, od czasu jak mu tylko broda siwieć poczęła, z roku na rok wybierała starostą cerkiewnym. Zebrali się, poszli do sadu pod rozłożystą gruszę, zasiedli w około i poczęli radzić a kiwać głowami, kiwać głowami a radzić. Prawdę powiedziawszy, z początku więcej było kiwania jak rady—bo też i trudność była nie lada. Josyp zagał posiedzenie i mówił a rozpowiadał: jak to jego serce boli, ile razy popatrzy na starą cerkiew; jaki to wstyd dla gromady przed sąsiadami, przejeżdżającymi i przechodzącymi przez Zahorniki, że nie może zdobyć się na nic lepszego, jak tylko na łatanie i podpieranie tego, co nowe i zdrowe było za jej ojców, dziadów i pradziadów; jak już ni łatanie ni podpieranie nie pomaga, a jeżeli nie pomaga, to potrzeba zrobić tak, jak pradziadowie zrobili, to jest — pobudować nową cerkiew; jak mówił o tem z dobrodziejem i co dobrodziej powiedział; jak mówił z dziedzicem i co dziedzic powiedział, i świadczył się Semenem Pańkiem, Łuckiem Kociubą i Kondratem Supilką, którzy z nim razem chodzili do dworu, że dziedzic przyrzekł dać drzewa, ile będzie potrzeba i gruntu tyle, aby wystarczyło i na cerkiew i obejście cerkiewne, i zakończył temi słowy:

— A teraz, kiedy mamy grunt i drzewo, pytam się was, panowie gromada, co począć, aby pobudować cerkiew?

— Sprowadzić majstra, ta niech buduje — wyrwał się Hryćko Pańko, brat rodzony tego Pańka, co liczył się do starszyny gromadzkiej; gospodarz dobry, ale że mieszkał na samym skraju wsi i był człowiekiem młodym, z dwóch więc tych powodów gdy przyszło się radzić, to poradził niekiedy tak, jakby był obcym, a niekiedy pospieszył się. Toż mu Josyp zaraz i oderznął:

— Otóż, Hryćku, wyskoczyłeś niby ten kozak z maku!... Sprowadzić majstra, ta niech buduje?... To łatwo powiedzieć... Ale, albo ty nie wiedział, albo ty zapomniał, że mając drzewo i grunt, to jeszcze nie wszystko... To nie chatę stawiać?... Jak ci dali grunt i drzewo, toś postawił chatę na skraju, ale czybyś

potrafił pobudować cerkiew?... Taż na nią potrzeba, oprócz drzewa i gruntu: blachy do pobicia, obrazów do środka, zamków do drzwi i rozmaitego żelaziwa, ta malowania... A oprócz tego wszystkiego, jeszcze i majstra... A to wszystko trzeba kupić, a majstra zapłacić... A!...

Hryćko zawstydził się i już nie odzywał się z niczem. Ale też i nikt nie odzywał się. Każdy z przedmiotów wyliczonych przez Josypa, od blachy do malowania, wgryzał się gadziną w serce i umysł każdego z przytomnych, a ostatnie „a!“ zadzwoniło im w uszach pogrzebowym dzwonieniem. Pospuszczali głowy, zadumali się i milczeli, i tylko od czasu do czasu, to ten to ów podniósł głowę, jakby zabierał się do mówienia; ale zamiast mówić, pokiwał nią i znów ją spuścił. I było tego kłania długo, i przy niem panowałoby zupełne milczenie, gdyby nie przerwał go: raz Semen zapytaniem:

— Nu... i jakże?

Drugi raz Kondrat, drugim zapytaniem:

— Nu... i cóż?

A trzeci raz Wasyl Zapiłowany, uwagą:

— Trzebaż coś koniecznie uradzić, panowie gromada...

Staneło na tem, że Wasyl miał rację, bo wszyscy jednozgodnie uznali, że trzeba coś uradzić koniecznie.

Znów tedy Josyp zabrał głos. Chrząknął, kaszlnął, odchylił palcami z ust siwe wąsy, pogładził brodę i przycisnął ją dłonią do piersi i powtórzył to wszystko, co już raz powiedział i to co odpowiedział Hryćkowi. A chociaż mowa jego była powtórzeniem, wydała się nową, wypowiedział ją bowiem, czy ze spotęgowaniem uczucia, czyli też odmiennymi wyrazami — tego wiadomo, nie było stenografów do spisywania jej; to tylko wiadomo, że silnie poruszyła obecnych. Zupełnie jednakże nową okazała się konkluzja, która wypadła tak:

— Oto radą moją jest, aby Andrij odezwał się, co on o tem myśli, a gromada wysłucha i rozważy co Andrij powie.

Zwracając się zaś do Andrija, dodał:

— Nu, Andriju, howory, ta ne dumaj bahaćko!...

Wyrzekłszy to, chrząknął, kaszlnął, pogładził brodę i powoli powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy, które zajaśniały jakby nadzieją wybrnięcia z trudności i pochyliły się oznaką potwierdzenia Josypowej konkluzji. Pańko wyrzekł:

— Tak... to prawda... howory Andriju.

Kondrat dodał:

— Howory...

I wszyscy oczekujące wzroki zwrócili na Andrija, a kilku mruknęło:

— Howory...

Zwykłem to jest: zwalać odpowiedzialność na pojedynczą osobistość, kiedy ogół nie czuje się dość silnym lub stosownie usposobionym do dźwigania brzemienia odpowiedzialności na swoich zbiorowych barkach. Odpowiedzialność taka zaszczytną jest dla pojedynczej osobistości, ale ma własność zawracania głowy, jeżeli pojedyncza owa osobistość obarcza się nią tylko dla zaszczytu, zapominając i o obowiązkach i o stosunku swoim względem ogółu. Ludzie są słabymi; można przeto niektórym z nich wybaczyć niekiedy, jeżeli omylą się na znaczeniu zaufania, jakim ich ogół otacza. Prawdziwie jednak wyższy człowiek — czy to skutkiem wyrozumowania, czy skutkiem poczucia, — nie omyli się: zrobi swoje, nie myśląc o zaszczycie i nie wydzielając swego „ja“ z gromady. A taki wyższy, tak dobrze znaleźć się może na szerokim jak i na mniej szerokim polu działania: w szrankach narodu i w szrankach wsi... Takim wyższym w Zahornikach był Andrij Bisnowaty.

Trzeba go było widzieć, jak on zachowywał się, od czasu jak wraz z innymi zasiadł pod gruszą, do chwili, gdy po imieniu nazwanym został przez Josypa. Mogłoby się wydawać, że znowu przystąpiło do niego. Nie odzywał się, usta wszakże jego ruszały się, jakby coś mówił; oczy wznosił do góry, otwierał je szeroko i biegał nimi, jakby rozsypywał po niebie promienie wzroku; to wlepiął chwilowo wzrok w niektóre punkta, jakby gromadził to, co rozsypał, to znów zamykał oczy, jakby zgromadzone promienie ześrodkować chciał w sobie; a przebierał wciąż palcami to niby rachując, to niby grając na niewidzialnym jakimś instrumencie.

Gdy Josyp nazwał go po imieniu, uspokoił się od razu, jakby kto ręką odjął od niego całą tę niespokojność, po której miarkując, można było przypuścić, że Andrij nie słuchał tego co się mówiło; pokazało się jednak, że słuchał i słyszał doskonale — w taki bowiem odezwał się sposób:

— Chcecie panowie gromada pobudować nową cerkiew...

Macie grunt i drzewo... Otóż macie to, bez czego by nie można było ani myśleć o budowaniu... A kiedy już można myśleć, to można będzie pobudować... Trzeba tylko wziąć się razem i szczerze a zgodnie... Nie mamy majstra i braknie nam wiele rzeczy, które tylko majster obliczyć potrafi... Trzeba więc zgodzić majstra i kupić co niedostaje... Zapłacić majstrowi i zapłacić za brakujące rzeczy, to koszt podwójny; więc potrzeba tak obmyśleć, aby nie płacić podwójnie, a może i potrójnie i wyżej, bo to jak człowiek obcy zacznie rachować, to nas pewno nie pożałuje... Otóż zróbmy tak: niech gromada wyznaczy z pomiędzy siebie jednego, albo dwóch, albo trzech, i niech im nakaze, aby opatrzyli naprzód starą cerkiew, a potem poszli po sąsiedzkich i przypatrzyli się, jak która jest zbudowaną, co gdzie stoi, co do czego przychodzi. Tym sposobem dowiemy się czego nam brakuje, i usposobimy sobie swoich własnych majstrów... Wówczas gromada zbierze się jak dzisiaj; oni rozpowiedzą jej wszystko, co widzieli i czego się dowiedzieli, i będziemy wiedzieli czego się trzymać i co przedsięwziąć; a tymczasem, ponieważ spodziewać się trzeba, że będą koszta, niech każdy gospodarz składa co może; niech sprzeda jałówkę, byczka, pół korca zboża, albo co innego, aby mieć gotówkę, kiedy przyjdzie do ostatecznej narady — i aby podług tej gotówki rozmiarować co można a czego nie będzie można kupić... Bo to — dodał — widzicie, panowie gromada, jak gotówki będzie więcej, to i cerkiew będzie ładniejsza i bogatsza, a jak będzie mniej, to cerkiew będzie uboższa. A jak będziemy składać po trochu, to uzbiera się dużo... ziarnko do ziarnka, taj będzie miarka...

— Ten dobrze mówi — wyrzekł Josyp, zaledwie Andrijskończył.

— Dobrze mówi — powtórzyli wszyscy chórem.

— To idźcież wy, Josypie, oglądać sąsiednie cerkwie — odezwał się Hryćko.

— Ot, znów wyskoczyłeś po swojemu — przerwał Josyp — gdzież mnie staremu chodzić ta oglądać... Kiedy Andrij dał radę, to niechże sam ją wykona...

Domawiając wyrazu ostatniego, zamilkł, podniósł głowę i — kichnął, ale kichnął tak, że gdyby się nie bał być posądzonym o przesadę, powiedziałbym, iż grusza drgnęła od wstrząśnienia powietrza, bo rzeczywiście, po tem kichnięciu kilka zielonych gruszcerek padło pomiędzy obradujących.

— Na zdrowie! — odezwano się ze wszech stron, Pańko zaś podchwycił:

— Dobry znak!... Widać że Josyp po sprawiedliwemu powiedział... Niech Andrij idzie ta ogląda; ale... kogożby tu jemu do pomocy dać?...

— Do czego tu pomoc! — odezwał się Josyp, wytartszy palcami nos i rozglądziwszy kułakiem wąsy — niech idzie sam... Co mu tam pomoc pomoże.

— To niech idzie! — odparł Semen tonem, w którym czuć było niechęć czy przekąs, bo jemu chciało się nakierować tak, aby za pomocnika Andrijowi przydać Hryćka, żeby Hryćko, który jak wiemy był jego bratem, otarł się trochę pomiędzy ludźmi i nauczył nie wrywać się nie w czas. Bo to — myślał sobie — pomiędzy ludźmi najlepsza nauka; człowiek dowie się kiedy milczeć, a kiedy i jak zagadać. — Ale że Josyp od razu się nie zgodził, wiedząc przytem, że Josypa poprze gromada cała, więc pochylił łeb i zamilkł.

Josyp zaś, zwracając do Andrija mowę, tak dalej rzecz prowadził:

— Nie ma co dawać tobie nakazów i przykazań... Idź... niech cię Pan Bóg prowadzi; spraw się jak można najlepiej i wracaj jak najprędzej. A my, panowie gromada...

Tu przerwał sobie stary i począł zabierać się do wstania na nogi. Ukląkł, oparł się rękami o ziemię i powoli, niby dźwigając wielki jaki ciężar, postępując, podnosił się. Dźwigał on wielki ciężar, — siedemdziesiąt i sześć lat na barkach... Wstał wreszcie, a z nim i wszyscy obecni, i otoczyli go kołem, nie ściskając się zbyt mocno, tak aby mógł ruszać się i obracać swobodnie. Wstał Josyp i wyciągnął się, aż mu trzasło w krzyżach, wyciągnął się i wyprostował, jakby niewidzialna jakaś siła przytrzymując go za stopy na ziemi, za łeb ciągnęła do góry, jak ten człowiek w zamyśleniu, gdy jeden po drugim naciąga każdy palec, aż każdy trzaśnie w sustawie.

— A my, panowie gromada — rzekł obracając się do koła i oglądając po słuchaczach — pomyślmy o tem, aby były grosze... Tu żartować niema co!... jak trzeba, to, jak ten mówi, z pod ziemi wykop, abu były... To nie żart... dom Boży!... Hej!... Stara cerkiew się wali, gnije i rozpada... Wstyd nam przed sąsiadami, ale jeszcze większy wstyd będzie przed dziećmi, ta wnukami

i prawnukami naszymi... Co oni o nas powiedzą, jeżeli my nie zostawimy im po sobie pamiątki takiej, jaką pradziadowie nasi nam zostawili? Pomyślcie-no o tem panowie gromada, i niech każdy ze skóry się wywlecze... a da!... Pan Bóg nam to nagrodzi...

Ostatnie wyrazy wymawiał dobitnie, głosem rozkazu i zarazem przekonania, który zakomunikował się słuchaczom, jak trafiający do przekonania rozkaz, który zawsze i wszędzie nie tylko znajduje posłuchanie, ale ma jeszcze własność wywoływania entuzjazmu. Bywa on nieraz miłszym dla ludzi od najpokorniejszej prośby: — taką jest natura ludzka. Trzeba tylko umieć dać ten rozkaz tak, aby został od razu przyjętym.

Gromada zahornicka przyjęła rozkaz Josypa z entuzjazmem. Nawet Semen Pańko, choć trochę zniechęcony, zapomniał o niechęci, błysnął oczami i mrugnął brwiami, które zmarszczył i rozmarszczył, jakby chciał dać poznać po sobie, że nie on to zleknie się trudności.

Powiedział jeszcze po kilka słów to ten to ów, ale już narady nie było, bo stary Kozohryz, krechąc i podpierając się laską, szedł z pod gruszy do chałupy. Poszli więc wszyscy i powlekli się powoli ku chałupom swoim, rozmyślając po drodze, zkąd wydobyć grosza.

Gdyby nie to rozmyślanie, to spieszyliby oni, boć to był już i wieczór i niecierpliwe żonki oczekiwały z gotowemi od godziny wieczierzami.

A spieszyłby się najbardziej Wasyl, — jego bowiem żonka licha była baba, która trzymała go w rękach, jak tego najmita.

Czekała ona i wyglądała przez drzwi otwarte i gniewała się a niecierpliwiła, porając się po izbie, jakby czego szukała, czepiając się dzieci, które pozaganiała w kąty, rozpędzając psy i koty, które omijały ją z daleka, a przytem gadając tak głośno i tak prędko, że zdawało się jakby w Wasylowej chacie tarkotał młyn na łątokach. Wasylowi tak jakoś cerkiew wlaża w głowę, że zapomniał o babie i szedł sobie do domu, jak zwyczajnie, powoli, nie przemyśliwszy nic takiego, czemby ją mógł od razu ulagodzić. A ona, jak go tylko z daleka zajrzała, umilkła, przycięła wargi, ujęła makohon, stanęła we drzwiach i w takiej pozycji, milcząc złowrogo, oczekiwała na zbliżenie się męża, który czy to z powodu ciemności wieczornej, czyli też w zamyśleniu, chcąc przestąpić próg, znalazł go zabaryka-

dowanym postacią żony i podniósłszy oczy, zanim ujrzał jej oblicze, ujrzał pierwej makohon pod nosem i usłyszał te wyrazy:

— Gdzie!... hej!... *panocze!*... którądy się suniesz?... nie suń się, bo ci tym makohonem łeb rozwałę!..

Jakby kto Wasyla zimną wodą oblał od głowy do stóp, tak mu się krew lodem ścięła. Cofnął się o parę kroków i nie wiedział sam co zrobić; a Wasyłycha stała na progu, groziła makohonem i — milczała, i to właśnie co było najgorzej: bo jak gadała, to wygadała się, nakłęta i wiedział człowiek przynajmniej czego chce, a jak milczała, to djabliż ją wiedzieli, co ona tam myśli. Nie prędzej jak po dobrej chwili odszukał Wasyl język w gębie i tak się odezwał;

— Bóg z tobą!... co to tobie!... Nastko... Naściu... Na-steńko!..

I dobrze się zrobiło: wyrazami temi Wasyl rozbroił żonę. Nie w tym jednakże sensie rozbroił, aby zdobrzała, ale w tym, że spuściła makohon, wyraźnie w celu nie robienia zeń użytku, i rozwiązał się jej raptem język. I polały się z ust jej wyrazy kaskadą, gradem, z piskiem i krzykiem, goniąc jedne drugie i zlewając się jedne z drugimi, jak nuty w orkiestrze, kiedy kapelmajstrowi przyjdzie ochota kazać zagrać *szariwari*, jak tony w kocich muzykach, które Niemcy w 1848 roku na cześć swoich wysokich urzędników grywali.

Zdarzająż-bo się u nas baby takie, co to — nie dopuść Boże!.. Smaruj ją czem chcesz... dawaj co chcesz... dogadzaj jak bolączce — nic nie pomoże!... Ona, gdyby nie wygadała się, to zachoruje i — jeszcze z nią gorzej. Już lepiej dać jej pokój; — niechaj gada, póki zmoże, to wkońcu: albo sama z dobrej przestanie woli, albo ochrypnie i będzie szypiała jak te skrzypce, kiedy grasz na nich a smyczka kalafonią nie podsma-rujesz.

Taktyki tej trzymał się zwykle Wasyl i zastosował się do niej w tej chwili. Nastka gadała, on milczał i ani słowem, ani gestem nie przerywał jej. Nie mogę przepisać wszystkiego, co ona przegadała, i ciekawym bardzo, czyby się znalazł w świecie taki stenograf, chociażby najlepszy i najsprawniejszy pomiędzy tymi, którzy zdają sprawę z posiedzeń parlamentu angielskiego, któryby potrafił spisać od słowa do słowa to wszystko, co nagada baba taka. Zdaje mi się, że przed wynalezieniem maszyny,

która z powietrza przyciągać i chwycić będzie wyrazy wymówione, ze zwyczajną stenografią nie ma co ani myśleć nawet przystępować do kłótliwych bab. Wasylowi nieraz, bo od piętnastu lat pożycia małżeńskiego, ledwo że nie codziennie zdarzało się słyszeć łajanie swojej Nastki i przyzwyczaił się już do niego, a jednakże nie potrafiłby powtórzyć. Tem bardziej nie potrafiłbym tego i ja, i dlatego pomnę je, podając tylko zakończenie, które tak brzmiało:

— A, bodajby ci zrobiła się bolączka w takim miejscu, któreby cię najgorzej bolało, i bodajby bolała cię przez całe życie, kiedy ty, durniu stary, nie pilnujesz własnej chaty, ta żony, a biegasz po cudzych i siedzisz do zmierzchu!... Niedaremnie ciebie ludzie Zapitowanym nazywają... bodajby cię zapiłowało i odpiłowało, ta rozpiłowało na wszystkie strony ta boki!... Coż tam stoisz jak bałwan... niby jak... ot... ten... jak tego?... tfu, cur ta pek jemu!... na weselu!... Czemuż nie idziesz do chaty?...

To mówiąc, zeszła Nastka z pozycji obronnej i stanęła przed piecem, na którym duże ognisko buchało płomieniem do komina i rzucało światło na całe wnętrze izby. Stanęła i poprawiła sobie chustkę na głowie, tym sposobem jakim mężczyzna poprawia czapkę, kiedy mu się przesunie, — potem podrapała się w łeb i w udo, — zdjęła zapaskę, trzepnęła nią, niby coś z niej wytrząsając, i obwinęła się nią napowrót, zatykając końce po za pas czerwony, który otaczał jej kibić, niebardzo wysmukłą i wcale niezgrabną — była to kobieta, której czterdziestka od trzech już stuknęła lat; nie miała więc już ona najmniejszej pretensji do smukłości, zgrabności lub piękności. Przestała być *mołodycą*, a weszła w stan i w prawa *baby*, której już więcej wolno, i dlatego może pozwałała sobie być złą. Była ona jednak i złą i dobrą: złą — na słowa, dobrą — w czynie. Lubiła wyłajać męża, dzieci, wyklucić się zęb za zęb z sąsiadkami; ale nie lubiła nikogo pokrzywdzić, pilnowała dobra mężowskiego jak oka w głowie, i jak się wzięła do roboty, to już nie żartowała; a robiła od rana do wieczora w polu, w ogrodzie, w chacie, nie posiedziała na miejscu, nie założyła rąk. Praca ta ciągła widną była na jej nogach i rękach, które były czerwone, szorstkie i popekane, pozbawione najzupełniej i najbezwrotniej tej miękkości aksamitnej, będącej wynikiem pró-

zniactwa, a tak poszukiwanej w wyższych sferach społeczeństwa, jakby oznaka próżniactwa godną była chluby. Dziwnych bo my, w tych wyższych sferach społeczeństwa, nabraliśmy nawyknień!... wyjątkowych, wyłącznych, w których obronie stajemy z całą zacietością, na jaką jeno człowiek zdobyć się może: dla swego pojedynczego „ja“ poświęcając „ja“ tysięcy podobnych nam istot: dla zapewnienia próżnowania sobie, przeciężając pracą innych. A w tych innych ta praca staje się także nawykniem, podobnem do tego, skutkiem którego koń ciągnie bryczkę, wół — pług. Pracuje człowiek na równi z koniem i wołem, jak Nastka, dnie całe, mając pozostawioną sobie małą tylko w dniu chwilę, dla objawienia swojej człowieczeńkości. I dziwił się, że człowieczeństwo ta objawia się w niektórych ludziach w sposób gniewliwy!... Podziwiać raczej należy cierpliwość natury ludzkiej!...

Nastka nie odznaczała się cierpliwością: przyjęła pracę, jako nieunikalną konieczność, wciągnęła się w nią i — pracowała, przeplatając pracę burzami, któremi spadała na domowników swoich, nie dlatego aby miała ich nienawidzić, ale dlatego, że byli oni jej pod ręką. Te jednakże burze nie były wynętrzeniem się wszystkiego, co siedziało w jej sercu i głowie. Gniewywała się ona, ale pomimo to, kochała męża — jak żona, dzieci — jak matka i Zahorniki — jak Zahorniczanka, i nadto, była ciekawą, jak każda białogłowa.

Stanąwszy tedy przed piecem, poprawiwszy chustkę i zapaszkę, przystawiwszy garnki, poszturchawszy w ognisku kociubą i dawszy mężowi czas wejść i roztasować się w izbie, zapytała go tonem, w którym już tylko połowa gniewnego brzmiała nastroju:

— Gdzież cię djabli nosili, żeś się tak długo zasiedział?

— A ot — odparł Wasyl — zaniósłem zboże do młyna, ta jakim chciałem wracać do domu, mielnik pociągnął mnie do Jossy na radę gromadzką.

— Oto!... wiedział kogo ciągnąć!... — przerwała Nastka, mieszając warzechą kluski w garnku — jaki mi dobry do rady!... I o czemże tam radzili?

— A o czemże radzić mieli, jak nie o cerkwi!...

— Cóż to pomoże! — rzekła Nastka już w pół dobrotliwie — radzą ta podpierają; a tu już dalej i podierać co nie będzie.

— Ależ-bo o podpieraniu już i mowy nie było.

— A o czymże?...

— O pobudowaniu cerkwi nowej.

— Cóż uradzili?

— Uradzili że pobudują.

I począł Wasyl opowiadać porządkiem, od słowa do słowa, wszystko co słyszał, i tak zakończył:

— Ale ja myślę i obmyśleć nie mogę: z kąd tu wziąć grosza, żeby się przyłożyć także i ze swojej strony?... Bo nie przyłożyć się, nie można... Gromada uradziła: „ze skóry się wywlec — a daj!” Trzeba dać...

— Jak trzeba, to trzeba — podchwyciła Nastka, która z wielką uwagą, nie przerywając sobie jednakże zatrudnień przy piecu, wysłuchiwała całego opowiadania — jak nam Pan Bóg nie zarodzi, że nie można będzie sprzedać zbywającego korea zboża, albo przychowku jakiego, to zaniósę na jarmark czerwone bóty, korale, pas i namitkę, a nawet i białą świtę, i zbierze się jakich kilka rubli... Co tu myśleć i obmyślać!...

Wasyl nic na to nie odpowiedział, tylko zadumał się i kiwał lekko głową, a Nastka zapaliła łuczywo, które jasny blask rzuciło na siedzącego Wasyla i na siedzących przy nim sześcioro dzieci z łyżkami w rękach i postawiła przed nimi misę kurzących się parą klusek. Rodzina chłopska wzięła się do wieczerzy z chłopskim apetytem.

Jeżeli komu z „wyższej sfery społeczeństwa“ uda się niekiedy tysiączną część dochodów swoich, obracanych na zbytki, oderwać od zbytków i ofiarować *pro bono publico*, — co to z tego za gadanie i za chwalebny wynik!... jak to ów ktoś przybiera zaraz na siebie rolę dobroczyńcy ludzkości!... Rodzina zaś Wasyla Zapilowanego pozbywała się od razu, oddając je *pro bono publico*, wszystkich swoich przedmiotów zbytku, i — ani wiedziała, że się to nazywa — ofiara: żaden z jej członków nie zhardział tem ni zdumniał; tylko Nastce z głosu i z miny znikły wszelkie gniewu ślady. Tak to być chłopem!... to nawet człowiek nie posiada uczucia ambicji osobistej!...

Podobnym temu sposobem, z pewnemi, rozumie się, odmianami w szczegółach, rozwiązała się kwestja funduszków na cerkiew, we wszystkich chałupach zahornickich. W jednej jednakże chałupie ta sama kwestja rozwiązywała się inaczej nieco.

Było to u Andrija Bisnowatego.

I Andrija żona czekała także na męża i wyglądała go z niecierpliwością; ale gdy przyszedł, nie okazała niecierpliwości, nie wysunęła na spotkanie męża z makohonem lub ozogiem w rękę, lecz uśmiechnęła się tym uśmiechem rozradowania, którym rozjaśnia się twarz kochanki, gdy oczekiwany kochanek ukaże się jej z daleka, i podeszła aż do przełazu z uśmiechem na ustach.

— Naczekałaś się, Maryno — odezwał się pierwszy Andrij, ujrzawszy żonę przy przełazie.

— Czekałam, to prawda — odrzekła Maryna; — ale żeś nie przychodził, to myślałam, że zapewne sprawa jakaś zatrzymała cię musiała.

— Sprawa i bardzo ważna — rzekł Andrij z niezgrabnie tłumioną radością — chodźmy do chaty, opowiem tobie.

— Ja to tak domyślałam się, kiedyś nie przychodził.

— A gdzie Sydor? — zapytał Andrij już na progu chałupy.

— Nie widać jak przyjdzie; wyszedł na ulicę — odpowiedziała Maryna. — A, ot i on! — dodała, ujrzawszy na przełazie postać, która wzniosła się na opłotku, i zamiast ostrożnie stąpiwszy na stopień, stanąć na ziemi, wskoczyła do podwórka pomijając stopień, i szybkim krokiem zbliżyła się do drzwi chałupy.

Był to młody dziewiętnastoletni parobczak, syn jedynak Andrija i Maryny.

— Włóczysz się po wsi, chaty nie pilnujesz — rzekł Andrij tonem lekkiej wymówki, zwyczajnie jak ojciec, korzystający z najmniejszego zdarzenia, aby dać synowi stosowną naukę; to rzekłszy wraz z nim i z żoną wszedł do izby.

W izbie Andrija, tak jak i u Wasyla, palił się w piecu ogień płomieniem, przy ogniu stały garnki, a przed garnkami i piecem stała niemłoda dziewczka, nazwiskiem Frasyńska, która nie była szpetną, a jednakże pozostała dziewczką niemłodą, dla tego że biedaczka urodziła się głucho-niemą, a będąc przytem (jak to zwykle się trafia: bo na człowieka nie spada jedno nie-szczęście, ale zawsze kilka razem) ubogą i sierotą, wysługiwała się przez całe życie za najmyczkę, to u żydów, to u chrześcijan, aż dostała się do Andrijowej, u której znalazła się, niby u rodzonej matki. Maryna ją ubrała, odziała, odkarmiła, i Niema (bo tak ją wszyscy w całej wsi zwali) odwdzięczała jej praco-

witością i starannością, z jaką chodziła koło całego Bisnowatych gospodarstwa. Była ona głuchą i niemą, a pomimo to można było z nią rozmówić się: można było dać się jej zrozumieć i ją zrozumieć. Oczami odgadywała ona wszystko, co żywiej obchodziło Andrija i Marynę, i dzieliła ich radości i smutki. Andrij i Maryna kochali Sydora nad wszystko na świecie; więc i ona go kochała i to tem bardziej, że wypiastowała go od małego chłopięcia.

Było bo co i kochać tego Sydora. Urodził się prawda, że jeden, ale też z taką jakąś dobrą naturą, że wynagrodził rodzicom brak więcej dzieci, brak dotkliwy dla rodziny chłopskiej, dla której dzieci są bogactwem: im więcej dzieci, tem więcej rąk do pomagania ojcu i matce, tem pewniejsza na stare lata opieka i podpora. Sydor zaś stał, śmiało powiedzieć można, za kilku: póki był chłopcem, to rady z nim nie można było sobie dać: nie było dość wysokiego drzewa, aby nie wlaził na sam wierzchołek, nie było zbyt ków i figlów, którychby nie płatał; a jak wyrósł na parobczaka, to chociaż zbytki i figle zawsze jeszcze go się trzymały, ale nie było nic takiego, czegooby nie zrobił a nie zrobił dobrze. Wszelka robota, jak to mówią, paliła się mu w rękę, czy jął się cepa, to kopę duchem zmłócił, czy stanął z siekierą, to pod jego cięciami najtwardsze drzewo jęczało a poddawało się, czy poszedł za pługiem, lub z kosą, albo z sierpem, albo z czemkolwiek, to nie powstydział się wobec najlepszych we wsi robotników.

Zwykle, do tego, co Sydor rodzaju ludzi, zastosowują tę gadkę chłopską: „*kudy kiń, te kozak*.“ Do niego dawała się ona zastosować najliteralniej, bo nie tylko w robocie był on czelnym ale i w pohulankach, na wieczornicach, na doświtkach — wszędzie, gdzie się obrócił. A gdzie się pojawił, to go natychmiast słychać było. W karczmie, póki Sydor nie przyszedł, to chociaż muzyka grała i taniec szedł, ale muzykanci jakoś, niby drzemiąc rzępolili, a tańcom brakło duszy; lecz jak tylko skrzypek zajrzał go z daleka, to zaraz poprawił się, mocniej skrzypce do ramienia przycisnął i jakoś inaczej, weselej poprowadził smyczkiem po strunach, — a za skrzypką i basetla głośniej i grubiej się odezwała i cymbalista raźniej pałeczki puścił po cymbałach. Tanczniczki natychmiast domyśliwały się o co rzecz idzie: chłopcy poczynali mocniej tupać i prostować się, a dziewczęta, niby na

komendę, wszystkie naraz puszczały się w *drybuszczki* i tylko to na prawo, to na lewo zerkwały oczyma, wyglądając z której strony pokaże się Sydor. Na wieczornicach zaś i na doświatkach, nie było bez niego zabawy: a z nim, to może robota nieco cierpiała, ale za to zabawa, hej! grzmiała i huczała: chychot ryhot, pieśni zlewały się w jedno, furczenia wrzecion ani dosłyszeć można było i zdawało się, że chałupa od hałasu pęknie.

Takim był Sydor Andrejczuk, — jak go zwali po ojcu, Nawżeny jak go przeważły — dziewczęta, wstydując się niby jego figłów rozmaitych i uciekając przy ludziach od jego przy mówek, a szczególnie przyśpiewków, których umiał tysiącami i sypał niemi jak z rękawa, a wiedząc (djabeł wie z kąd) o wszystkich sekretach dziewczęcych, umiał każdej przypiąć jakąś łatkę. Na jedną np. tylko mrugnął i oczami jakoś po swojemu zamigotał, to już ona spuszczała oczy i prostowała się i kraśniała; drugiej zanucił półgłosem:

— *Bruńki, bruńki, bruńki rwała,
Na peń fartuch rozirwała...*

to już tak uciekała i chciała się skryć pod ziemię; innej znów coś szepnął do ucha i tak ją przestraszył, że nie wiedziała co z sobą zrobić; a jeżeli kiedy, przechodząc mimo krynicy, zajrzał tam kilka zgromadzonych na rozmowę dziewcząt, to nigdy nie przeszedł, żeby nie zaśpiewać, nie powiedzieć, lub nie spłatać czegoś takiego, od czego dziewczęta odbiegały wiadra i rozbiegały się po ogrodach, po burzanach, jak kuropatwy spłoszone i rozbite i nie powracały, aż, wyglądając z daleka, nie przekonały się, że Sydor poszedł sobie het.

Ale, niżże kiedy trafiło się tak (co często zdarza się na wsi), że Sydor sam na sam zeszedł się z którą dziewczyną, to ta stawała, niby kureczka, spuszczała oczy, pochylała głowę i serce jej biło prędko, prędko, coraz prędeziej i czekała, sama niewiedząc na co — i odchodziła zesmutniała sama nie wiedząc dlaczego; chyba może dlatego że Sydor, albo ją mijał jakby nie widział, albo pozdrowił tylko: „*pomahaj Bih, diwczyno!*” i nic do tego pozdrowienia nie dodał.

Dlaczegoż takie wrażenie wywierał Sydor na dziewczęta? — O, bo to parobek był nie tylko roboczy, hulaszczy i zbyteczny,

ale i taki z twarzy i z postawy ładny i zgrabny, jakiego w okolicy nie było. Słuszny i wysmukły, niby topola, a prosty jak świeca i mężny w piersiach, w plecach, w ramionach i przytem zbudowany tak, że zdawało się, że każdy zarys jego postaci cyrklem odmierzony i przystosowany do harmonji całości. Wzrost jego jednakże nie był olbrzymim, bo w Zahornikach znajdowali się wyżsi od niego, ale nie kształtniejsi i silniejsi. A ta siła dawała się widzieć w każdym jego ruchu, w każdym stąpieniu; jakoś niewiadomym sposobem czuć było, że biada temu, co się dostanie do rąk jego, lub pod uderzenie jego pięści... Twarz miał owalną, ogorzałą na słońcu i osmaloną na wiatrach a tak wyrazistą, że jak się uśmiechał, to pociągał do siebie wyrazem nieopisanej dobroci, a jak zmarszczył czoło i nasepił płowe brwi, grubym łukiem nad szafirowemi, dużemi zakreślone oczami, to zdawało się, iż z pod chmury, zebranej na czole i nawisłej na brwiach, piorun padnie, i straszno było w oczy mu patrzeć... Czoło jego, wysokie z natury, podniesionem było jeszcze tem, że łeb do koła podgolony był po chłopsku i przykryty spadającemi od środka gładkimi ciemnawemi włosami, które, rozdzielając się same przez się na wypukłościach czoła, odkrywały klasyczne jego zarysy. Zwierzchnią wargę jego ozdobił mięki, młodociany zwisający na dół wąs, który twarzy całej dodawał wyrazu mękości—powiedziałbym, rycerskości, gdybym zastosowując wyraz ten do chłopca, nie obawiał się obrazić ludzi, ozdobionych klejnotami szlacheckimi.

Owoż Sydor ten, którego niechęć opisałem całkiem, wraz z ojcem i matką wszedł do izby, tak odpowiadając na wymówkę ojcowską.

— Ja nie chodził daleko... za trzecią tylko chatę...

Andrij zadowolnił się snadź tem tłumaczeniem, bo nic na nie nie powiedział, natomiast zwracając mowę do Maryny, rzekł:

— No, dawaj żonko jeść, a spiesz się, bo trzeba żebyś dziś jeszcze przygotowała mi co na drogę.

— A toż zkad?... na jaką drogę?... — zapytała zdziwiona Maryna, przystępując do pieca i trąciwszy palcem lekko Niemę w ramię, pokazując coś tej ostatniej na migach.

— Na drogę i na daleką — odpowiedział Andrij a może nie tak daleką, jak długą. Nie będzie mnie w domu jakich kilka miesięcy; chyba aż pod jesień powrócę.

— Ach!... biednaż ty moja główko!... a toż gdzie... czy dziedzic wysłał cię z pismem, czy co?

— Nie dziedzic, ale gromada mnie wysłała, i nie z pismem, ale po to, żeby przypatrzeć się, jak ludzie budują cerkwie, a żeby postawić potem cerkiew w Zahornikach.

— Po cóż chodzić tobie w drogę, żeby cerkiew postawić?...

— Po to, widzisz — odparł Andrij, siadając na niskim stołeczku, na środku izby — że się potrzeba rozpatrzyć w budynkach rozmaitych i tak obmiarkować, aby cerkiew nasza nie była gorszą ani brzydszą od innych, a jeżeli można, żeby była i lepszą i ładniejszą.

Maryna nie odpowiedziała na to nic, tylko porządkowała garnki i garnuszki, a Niema postawiła przed Andrijem wywróconą do góry dnem starą dziżę, położyła na niej bochenek chleba i cztery łyżki drewniane i zaświeciła kaganek, stojący na przybitej do komina deszczułeczce. Było to przygotowanie do wieczery. Dziża reprezentowała stół jadalny, chociaż w izbie Andrija stał pod oknem stolik, przykryty grubym ale białym i czystym obrusem, ale na stole tym jadało się tylko w niedzielę lub w święto uroczyste; w dniu zaś powszednie — na dziży, która odmówiła już usług, do jakich zwykle dziża się używa: była trochę popękana, trochę się rozeschła, mogła jeszcze atoli utrzymać na sobie misę ze strawą. Przytem im niżej tem wygodniej chłopu naszemu i jeść i spocząć; ciężar pracy gniecie go ku ziemi; więc jak nie bardzo daleko od tej ziemi usiedzie, to członki jego lepiej jakoś przychodzą na swoje miejsca, a to dla tego może, że korpus ciała spocznie zarazem nietylko na siedzeniu i nogach, ale i na łokciach, któremi oprze się o kolana.

Sydor, na pierwsze odezwanie się ojca do matki, zatrzymał się na progu izby i wsłuchał się, jak ten, któremu gdyniespodzianie wpadnie w ucho interesująca jakaś rozmowa, zatrzymuje w sobie dech, aby nie uronić najmniejszego słowa. Słuchał Sydor, gdy jednak zamiast dalszego ciągu rozmowy, usłyszał szum leżącej się z garnka do misy juszki, wyszedł raptem z tego stanu wsłuchiwania się, opuścił miejsce swoje, i jakby nic nie było, jał się do uzupełnienia rozpoczętych przez Niemę przygotowań. Wydobył z pod łoża

rodzicielskiego dwa stołki, takie niziutkie, jak ten, na którym siedział Andrij, i postawił je obok dziży; przyuiósł z sieni pieńiek dość gruby, a nie wyższy od stołków, postawił go także obok dziży i usiadłszy na nim, wyjął z kieszeni niewielki, składany, w mosiężnych okładkach nożyk, z kółeczkiem także mosiężnem, zadzierniętem w dość długi, wązki rzemyk, za pomocą którego nożyk przytwierdzonym był do pasa, a otworzywszy nożyk, ukroił nim cztery kromki chleba, które rozłożył w różnych odstępach na kraju dziży, pozostawiając dla siebie całuszkę — zwyczajnie jak parobek, któremu, żeby on jaki był stateczny, nie może nie kręcić się po głowie chętką, aby go dziewczęta całowały, na ściągnięcie czego, jak wiadomo, najlepszym środkiem jest całuszka z chleba. A zanim skończył krajanie chleba, już misa stanęła na dziży, Maryna i Niema usiadły na stołeczkach, łyżki i kromki chleba przeniosły się do rąk rodziny Bisnowatych i rozpoczęło się wieczerzanie.

Podczas wieczerzy panowało milczenie: chłop nasz dwóch robót robić nie lubi — jak je, to nie gada, a jak gada, to nie je. A że podczas, kiedy pełna misa stoi przed nosem, to stoi na to, aby jeść, przeto i Andrij i Maryna i Sydor i Niema zajęli się szczerze wypróżnieniem onej. Wypróżnili jedną którą napełniały szczypane *hałaszk* z juszka (kluski na polewce) i poobcierali usta dłońmi, a Maryna zapytała:

- Chcecie *hałaszek* jeszcze?
- Dawaj — odparł Andrij.
- Bo jest i *barabola* *) ze słoniną...
- To jedno drugiemu nie zawadzi.

I wystąpiły jeszcze kolejno, powtórna misa klusek i misa kartofli, ułożonych piramidalnie, na których blado-cytrynowem tle, odbijały się gęsto ciemno brunatne, grube skwarki. Obie te misy zostały do dna wypróżnione.

Dopiero po załatwieniu tej funkcji zwierzęcej, będącej niestety! nieodłączną towarzyszką wszelkich funkcyj żywota ludzkiego, i po oddaniu okruch i okrawków chleba Kucemu, psu podwórzowemu, który przez cały czas wieczerzy siedział obok Andrija, spoglądając miławo na misy i zamiatając po za sobą

*) W niektórych okolicach Rusi lud kartofle nazywa *barabola*.

kawałeczek podłogi kikciem pozostałego mu ogona; dopiero po załatwieniu, jak powiadam, tego wszystkiego i po uprzątnieniu dziży, odzyskała mowę rodzina Bisnowatych, wyjąwszy biednej Frasyny, której żadne już załatwienia mowy by nie przywróciły. Dlatego też Frasyna zajęła się pomywaniem misek, łyżek i garnków, i podczas gdy ona pomywała i ustawiała to wszystko na stojącej obok drzwi policy, przestrzegając skrupulatnie symetrii w ustawianiu, stawiając na widoku naczynia polewane a niepolewane z boku i z tyłu, — pomiędzy Andrijem, Maryną i Sydorem taka toczyła się rozmowa.

— To wy jutro, tato, idziecie? zagadnął najpierwszy Sydor od niechcienia niby.

— Jutro do-dnia — odparł Andrij.

— I będziecie mandrować po świecie?...

— A tak-to; pomandrować trzeba będzie...

— Och!... jak-że by mnie chciało się pójść z wami!... Toż-to ja jeszcze z Zahornik nigdzie nosa nie wychylił!...

— Ot, jeszcze co! — odezwała się Maryna nieco niecierpliwie — rozjedźcie się wszyscy, a cóż ja sama baba pocznę!...

— Przychodziło imnię to na dumkę, ażeby wziąć ciebie — rzekł Andrij do syna — żebyś zobaczył trochę świata ta ludzi; ale nie można porzucić matki i gospodarstwa: bo nietylko nad matką i gospodarstwem czuwać potrzeba, ale potrzeba jeszcze coś przydbać, żeby ze swojej strony dołożyć do składki gromadzkiej.

Tu opowiedział treściwie naradę u Josypa i gdy skończył, Sydor się odezwał:

— Ha! jeżeli tak, to już nie będę napierał się...

Lecz zaledwie ostatni wyraz wymówił, dało się słyszeć na podwórzu szczekanie Kucego i równocześnie ze szczekaniem, które raptem urwało się, rozległo się powolne stąpanie człowieka, krechcenie i pokaszliwanie. Po krechceniu i pokaszliwaniu wszyscy natychmiast poznali Josypa. Andrij wstał, wziął kaganek i wyszedł do sieni, zasłaniając ręką płomień, pochylając się od ruchu powietrza. Sydor także powstał i usunął się ze środka izby ku piecowi, zabrawszy stołki i pieniek, dla pozostawienia wolnego przejścia gościowi, i stanął w postawie wyrażającej uszanowanie; Maryna zaś poskoczyła ku ławie dębowej, stojącej pod oknami na wkopanych w podłogę nogach, poczęła

zdmuchiwać i oczyszczać dłonią miejsce pod obrazami i skończywszy to, w przeciwległą stronę izby ku łożu się cofnęła...

— *Pomahaj Bih* (dopomóż Boże) — rzekł Josyp, przestąpiwszy przez próg i zatrzymawszy się.

— *Daj Boże zdrowla* (daj Boże zdrowia) — odpowiedzieli kolejno Andrij, Maryna i Sydor, jedna tylko Frasyzna nie rzekła, zato, ujrawszy starca wchodzącego, stanęła przed nim i wyszczerzyła do niego zęby, rozciągając w uśmiech twarz, usta i oczy.

— Cóż Frasyno! — rzekł Josyp i pokazał jej mig jakiś palcami.

Niema odezwała się podobnym do beczenia głosem i pocałowała Josypa w rękę, który przycisnął lekko ręką głowę jej do piersi i pogłaskał ją po twarzy, co ją rozradowało tak, że jeszcze dłużej i głośniej zabeczała i usunęła się w głąb izby, chowając się za Sydora, jakby na to, aby i jemu pozwolić zbliżyć się do Josypa.

— Jakże się macie w waszej chacie? — rzekł Josyp zwracając mowę do gospodyni.

— Bogu sława — odrzekła Maryna — Bogu dziękować, jesteśmy zdrowi... A wasze dziadku zdrowieczko?

— Bogu sława!... jakoś nogi trochę nie służą i krzyże poboliwują; ależ, to i nie dziw... Starość nie radość, a śmierć nie wesele... Ot nie widać jak człowiek w *domowinie* *) się położy i spocznie, a póki to nie nastąpi, to płacze nogami, jak zmoże... Młodzieńcze lata minęły... Kiedyś to się kozakowało ta nie płała nogami, jak się było w latach Sydora... Nie prawdaż? — dodał stary prostując się i mrugając na dorodnego parobka.

— Taż to ono tak, dziadunio — odparł Sydor, uśmiechając się.

— O! bywa i tak, że stary młodego przeskoczy — odezwał się Andrij.

— Tylko nie twego Sydora — rzekł Josyp. — Co prawda to nie grzech: obdarzył cię Pan Bóg synem młojcem, jakiego trzeba ze świecą po świecie poszukać.

*) *Domowyna* — trumna.

— *Niwroku... niwroku* — *) odezwała się Maryna — ależ nie stójcie dziadku przy prog... Prosimy siadać, tu rozgościć się... Może wam czem usłużyć... czem chata bogata, tem rada.

— Dziękuję wam, pani matko, za dobre słowo, — odrzekł Josyp i poszedł ku ławie.

Maryna jeszcze raz przystąpiła do miejsca pod obrazami, starła je ręką, zdmuchnęła, nie dlatego, żeby tam oczyszczenie było potrzebnem, ale dlatego, żeby pokazać Josypowi, że w jej chacie nie inne, tylko poczystne należy się mu miejsce. Josyp usiadł, poprawił się i tak przemówił:

— No, siadajże i ty, panie gospodarzu; mam tobie rozumne powiedzieć słowo! Ja po to tylko i przyszedł o tak późnej porze.

Gdy i Andrij usiadł, tak dalej prawił:

— Bo to widzisz, my radzili, radzili, a nie wszystko uradzili. Ty pójdiesz, porzucisz gospodarstwo...

— Ja zostawię Sydora — przerwał Andrij — chociaż chłopiec się prosi: chciałby zobaczyć świat.

— Otóż-to, co mnie przyszło na myśl... Chłopiec zatęszni za tobą i pożałuje jedynę okazji pomandrowania po świecie, jaka mu się już może nie przytrafi. i, kto wie! może dlatego, że, jak ten powiada: *żáл ва́гы не ма́е*, zaniedba twoje gospodarstwo... Ot, posłuchaj mnie: weź ty chłopca z sobą...

Sydorowi na te słowa serce tak się rozpukało, że przybliżywszy ucho do piersi jego, nie tak żeby koniecznie aż dotknąć się, można było słyszeć wyraźnie: *tióh, tióh*; a Maryna, której to w niesmak poszło, spuściła oczy i nie odzywała się: bo chociaż nie chciała-by rozstawać się z jedynakiem ani na jedną minutkę, ale jej się wydało, że to co Josyp powiedział, było bardzo rozumnie powiedzianem; czekała więc, co to dalej będzie.

— To ono to i tak, ani słowa — odpowiedział Andrij. — Ależ mnie nietylko o moje gospodarstwo chodzi, ale jeszcze i o to, żeby coś przydzać na składkę cerkiewną. Gdyby chodziło tylko o gospodarstwo, to może-by Sydor i zaniedbał; ale on

*) *Niwroku*: wyraz używany przez lud ruski, dla odpędzenia uroku (urzeczenia, czaru).

będzie miał na myśli cerkiew, którą, gdyby zaniedbał, toby go pan Bóg ciężko pokarał...

— Powiadają ludzie — rzekł na to Josyp, pomyślawszy przez chwilę — że z jednego wołu dwóch skór nie drają... Nie!.. Jeżeli ty Andriju zastąpisz majstra, to dasz do składki dwa a może i trzy razy tyle, co da gromada cała... Nie prawdaż?.. O... Otże!.. ty nie troszcz się ani o gospodarstwo, ani o składkę... Gromada cię oborze, obsieje, obeźnie, omlóci; gromada odrobi za ciebie pańszczyznę; gromada dojrzy twoją chudobę, a ty już całkiem zajmij się cerkwią... A, żeby tobie w wędrówce było raźniej i weselej, żeby było komu pochodzić koło ciebie w chorobie, której Boże niedopusć, żeby było komu przypomnieć tobie, jeżeli co zapomnisz... weź z sobą twego chłopca... Posłuchaj Andriju mnie starego — dodał widząc że Andrij waha się i chce coś odpowiedzieć — i zawierz mnie i gromadzie... Przez czas twojej nieobecności, twoja żonka będzie dla mnie *newistką* (synową), a z gromadą, ty wiesz jak... *hromada wełyki czołownik*... ona ci gospodarstwo lepiej jak Sydor poprowadzi... A i o tem nie zapominać, że twój chłopiec-mołojec, parobek jak malowanie, trzeba go oprowadzić po świecie, trzeba mu pokazać ludzi... Kto ci zaręczy, że, jak ty wrócisz a rozpoviesz coś widział, a słyshał, on ci nie ucieknie z domu, żeby poburłakować i własnymi oczami widzieć to, o czemeś ty rozpoviałał... Ja stary, alem był młody, toć wiem co to młodość... I w tobie, Andriju, młoda krew inaczej grała... Pamiętasz?.. he?..

Andrij kiwnął głową na znak potwierdzenia, a Maryna, która, stojąc przy łóżku, podparłszy brodę palcami lewej ręki, a dłonią prawej przyciskając pierś swoją w tem miejscu, o które serce puka, wysłuchiwała z zesmutniałą miną ale uważnie, całej Josypa przemowy, tak się odezwała:

— Ta niech już będzie po waszemu, diad'ku Josypie; chciałabym i ja pójść z nimi, ale któż ich dobra dopilnuje?... Niech idą... niech ich Pan Bóg prowadzi!..

I puściły się jej łzy strumieniem z oczu, i przez płacz dopowiedziała:

— Wasza... diad'ku... prawda... lepiej niech Sydor... z ojcem... powędruje pomiędzy ludźmi... jak ma potem... sam... się włóczyć...

Sydor byłby od razu, głośno i radośnie podziękował staremu Josypowi, gdyby nie płacz matki, który stanął jak smutek obok radości jego, i powstrzymał go od niezwłocznego wynurzenia się. Powodowany tą delikatnością serca ludzkiego, która wrodzoną jest każdemu człowiekowi, pojął on, że potrzeba oszczędzić biedną matkę, i okazaniem radości nie drażnić jej czułości. A nadto i jemu samemu żal się zrobiło. Rozstawać się po raz pierwszy w życiu i na długo, a do tego z matką rodzoną, to, chociażby powód rozstawania się był najweselszym, nie ze wszystkim jest miło. A może też i Zahorniki przyszły na myśl Sydorowi, i chata swoja i Niema i parobcy-rówieśni i dziewczęta i — kto wie — pomiędzy temi dziewczętami, może była która jedna, z którąby on nie rad rozstawać się?... Bądź co bądź, serce jego powróciło powoli do normalnego stanu, spuścił głowę, złożył ręce, przebierał palcami, jakby prawą ręką chciał policzyć palce na lewej, a lewą — na prawej i — nie nie mówił. I pannało w chałupie przez jakiś czas milczenie, nieprzerywane nawet płaczem Maryny, bo łzy jej popłynęły cicho, jak strumień po dolinie, który widzisz jak płynie, a nie słyszysz szemrania. Płynęły, spłynęły i ustały, i Maryna pierwsza przerwała milczenie:

— No, kiedy już tak, to trzeba mi pomyśleć o wyprawieniu was w drogę: trzeba coś upiec i przysposobić... A ty Sydorze — dodała, zwracając się do syna — podziękuj diałkowi Josypowi i poproś go o ojcowską naukę.

Sydor na te słowa podszedł do Josypa, pocałował go w rękę i rzekł:

— Dziękuję wam, dziaduniu, pobłogosławcie mnie i nauczcie.

— Niech cię Pan Bóg, chłopcze, błogosławi — odrzekł stary poważnie, i, podnosząc rękę z wyciągniętym niby do groźby palcem, dodał:

— A pamiętaj sobie na te przykazanie Boskie: czej ojca twego i matkę swoją!.. Jak będziesz ich czeił, to będziesz słu-chał, a jak będziesz słu-chał, to oni ciebie we wszystkim dobrem nauczą... Doglądaj ojca w podróży, nie odstępuj go i nie zapo-minaj, że on podrózuje dla dobra gromady.

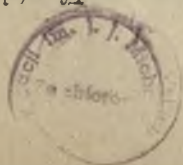
Sydor, równie jak Andrij i Maryna, z pewnym rodzajem skruchy wysłuchał ostatnich słów Josypa. Niema, po tej uro-

czystości postaci ich zmiarkowała, że coś nadzwyczajnego się dzieje i wysunąwszy się na środek izby, także ze skrucną wpatrzyła się w starca, który, spuściwszy podniesioną prawicę, posiedział przez chwilę w milczeniu, ruszając ustami, jakby coś mówił sam do siebie, ale tak cicho, że nawet szeptu słyszać nie było. Może on modlił się, dla uproszenia u Boga błogosławieństwa dla podróżników...

— A teraz — rzekł nakoniec, powstając z ławy — bądźcie zdrowi, i niech was Pan Bóg odprowadzi i przyprowadzi... A ty, Maryno, jesteś moją od tej chwili... Osierocisz się na kilka miesięcy, ale to sieroctwo twoje ofiaruj na chwałę Boską, bo pójdzie ono na korzyść domu Bożego... Nie płacz, nie sumuj... oni powrócą i wówczas będzie ci z nimi raśniej jeszcze jak teraz... Bądźcie zdrowi!..

— Zostawajcie, diad'ku, zdrowi — odrzekł Andrij, stojąc i kłaniając się.

— Zostawajcie, dziaduniu, zdrowi — powtórzył Sydor. Starzec posunął ku drzwiom. Sydor odprowadził go przez podwórze, odemknął mu wrota, poszedł obok Josypa kroków ze sto po ulicy, pożegnał się z nim raz jeszcze, powrócił, zamknął wrota; nie wszedł jednakże na podwórze, ale stanął i zamyślił się. I postawszy chwilę, szybkim krokiem puścił się w kierunku, w którym stała stara cerkiewka a obok niej, w pół schowany w gęstwinie sadu, dworek. Doszedłszy do dworku, zatrzymał się przed zamkniętymi wrotami podwórka i spojrzał przez wrota. W głębi podwórka, na ciemnym tle nocy, rysował się niewyraźnie kształt słomianej strzechy z nasuniętymi nad białe ściany ostrzeszkami, a pod ostrzeszkami błyszczały bladym światłem okienka, z których dwa wychodziły na podwórko, a jedno do sadu, to zaś ostatnie oblewało światłem bliżej ku niemu stojące drzewa. Sydor niedługo powstał przed wrotami: zwrócił się na lewo, obiegł cerkiewkę do koła i zanurzył się w gęste bziska, które co wiosna pokrywały przestrzeń przytykającą jedną stroną do tylnej części zagrody cierkiewnej, a drugą do sadu dworku, i wynurzył się z nich na płocie sadu, wskoczył do wnętrza i w pół schylony, przesunął się szybko pomiędzy wiśnie, czereśnie, śliwy i jabłonie. Dażył on ku okienku oświetlonemu i nieraz widać, tą drogą chodził, prosto bowiem na nie wyszedł. Wyszedł, stanął, wyprostował się i puścił oko przez szybkę, nurzając je



w głębi izby, z której biło na zewnątrz światło. Cóż on w niej zobaczył?... Nie mógł widzieć wiele: ujrzał tylko stół stojący po środku i na stole świecę w mosiężnym lichtarzu; przy stole, odwrócony plecami do ogrodu i podparty obydwoma łokciami, siedział mężczyzna, a przed nim leżała gruba i duża księga; na drugim końcu stołu siedziała kobieta, nieco bokiem do okienka zwrócona — nie można było zgadnąć co ona robiła; jeszcze jakieś dwie inne postacie ludzkie malowały się w głębi izby; na ścianie zaś, przeciwległej oknu, odrysowywała się dość wyraźnie niby sylwetka, postać dziewczęcia, z sterzącą z zapasa kądzielą i z wrzecionem w rękę. W tę ostatnią wpatrzył się Sydor, niby w obraz cudowny. Wodziła ona prawą ręką, to od siebie, to ku sobie i on okiem wodził za tą ręką. Patrzył się przez czas niejaki i gdy się śnać napatrzył do woli, westchnął, obrócił się, i chyłkiem, tą samą co przyszedł drogą, wyniósł się z sadu, i wolnym krokiem, zadumany, powrócił do swojej chaty, nie zatrzymując się już nigdzie, tylko na chwilkę przy przełazie, przy którym zanócił półgłosem:

— *Kukuriku piwnyku na toku:
Czekaj мене diwczyno do roku.*

W tejsze samej chwili, z dworku na podwórko wyszła dziewczyna, westchnęła, spojrzała do góry ku gwiazdom i cichym głosem posłała im nutę piosneczki, poczynającej się od słów:

— *Kudkudak, kuroczka, kudkudak!..*

I niechże kto utrzymuje, że nie egzystuje pomiędzy ludźmi sympatja!.. Dziewczyna z dworku ani dosłyszeć mogła Sydorowego „kukuriku“ a odpowiedziała mu „kudkudak“. A może, gdyby była słyszała, toby nie odpowiedziała.

Sydorowi wydawało się, że nie bawił długo; zabawił jednak na tej pod okienko wycieczce tak długo, że przez ten czas i Maryna ukończyła całą prawie dla męża i syna wyprawę, i Andrij uspiął pójść na ekonomję i powrócić, dostawszy tam papier, opatrzony podpisem i pieczęcią, a zawierający pozwolenie na wędrówkę.

II.

Szanowni czytelnicy! — Zdziwicie się zapewne, że przemawiam do was w drugim rozdziale. Muszę się wytłumaczyć, dlaczego tak się zrobiło.

Przemawiam w drugim rozdziale, dla dwóch powodów: *pro primo* — zapomniałem przemówić w pierwszym, albo raczej przed pierwszym, a jakos nie zdaje mi się być stosownem dorabiać przemowę, po napisaniu książki! *pro secundo* — czuję potrzebę przemówić zawczasu, ażeby was uprzedzić, iż powieść niniejsza nie jest wymysłem mojej własnej imaginacji: ale jest w części podsłuchaną, w części podpatrzoną przezemnie. Może przeto zdarzyło się komu z was, że słyszał już ją rozpowiadaną w całości albo w części. Uprzedzam również, że nie wiem jeszcze: czy będzie ona długą, czy krótką, bo sam się zdziwiłem, skończywszy poprzedzający rozdział. Gdym rozpoczynał go pisać zdawało mi się, że zrobię: pstryk, pstryk piórem po dwóch, trzech stronnicach — i skończę o budowaniu cerkwi w Zahornikach; aż tu tymczasem, kilka piór spisałem i jeszcze do końca daleko... Cóż to będzie z reszty?.. Może nie podoba się niektórym z was, mili czytelnicy, że w tak niskich powieść niniejsza czołga się sferach.... Bądźcie cierpliwi!.. wzbije się ona i w wyższe... niebardzo wysoko, ale zawsze wzbije się.

Zajrzyjmy do Andrija chaty po dniu, nazajutrz po opisanych w poprzednim rozdziale zdarzeniach. Wiemy już, że była to chata przebudowana, ale nie wiemy jeszcze jak.

Była to chata porządna z zewnątrz, nawet elegancka, ale nie miała żadnej, najmniejszej pretensji. Rzuciwszy na nią okiem, wydawało się zrazu, że to dworek; przypatrzywszy się jej atoli lepiej, widziało się, że niczem nie różniła się od każdej innej chłopskiej chaty: nie miała ani ganku z wystawą, ani okienic, ani klamek i zaszczepek żelaznych, ani nawet murowanego na dachu komina. Wszystko w niej wyglądało po chłopsku niby, a nie ze wszystkim po chłopsku, to jest nie było zrobionem, jak powiadają: „ot tak, aby-to“, ale tak starannie, tak wykończenie, z takim smakiem, że chata Andrijowa miała się

do innych w Zahornikach chat zupełnie tak, jak malowidło wykończone ma się do szkicu. Był przed nią częstokoł otaczający podwórko, jak przed każdą chałupą — bo Zahornikom lasu nie brakło — każdy jednak inny gospodarz kłuł po prostu drzewo i stawiał polano przy polanie, Andrij zaś każde polano ostrugał, przypasował jedno do drugiego i ozdobił gałką na wierzchu, stojącą zgrabnie na ostruganej i równej przekładzinie; — była od ulicy brama, był i przejazd, jak w każdym podwórku, — ale brama Andrija nie waliła się, jak inna, za każdym odemknięciem, a przejazd nie chwiał się na wszystkie strony i nie zeskakiwał ze słupków; były po obydwóch stronach podwórka chlewy, szopy, obórka i tok, wszystko to czyste, porządne, równe, nie zagnojone i z pewną symetrią znamionującą gust, zastosowane do chaty i odgródzone od fruktowego sadku i warzywnego ogrodu, z których pierwszy przylegał do chałupy, a drugi był pierwszego przedłużeniem i ciągnął się do rzeczki płynącej od młyna; — a sadek ten wspólnie z ogrodem otoczony był zdrowym, mocnym płotem, opierającym się o rów, wykopany równolegle do rzeczki, dla ochronienia ogrodu od wiosennych wylewów. Sama zaś chata istnem była pieściidełkiem: ściany jej były gładkie i równe i białe i ani za wysokie, ani za niskie, nie zbyt szerokie i nie wąskie; a nad ścianami wznosił się kształtny, proporcjonalny dach, posyty okłotami gładko, a nawet misternie; nad dachem sterczał komin chruściany, ale tak jakoś stosownie postawiony i zgrabnie wyprowadzony, że był ozdobą dachu. Dwoje okienek od frontu i drzwi były tak w sam raz, że zdawało się, iż gdyby kto je przestawił lub posunął nieco na prawo lub na lewo, do góry lub na dół, to już ściana byłaby zepsuta, chociaż drzwi nie stały po środku ściany, ale bliżej ku lewej stronie chałupy, a okienka nie były po obu stronach drzwi, ale oba na prawej dlatego, że chałupa składała się z sieni i z jednej tylko izby mieszkalnej. Zachwycać się trzeba było obrobieniem progów, lipowych drzwi, odźwierków, okien, belek na suficie i innych szczegółów. Widać było, że człowiek co je obrabiał i ustawiał, długo nad niemi dłubał i dłubał z zamiłowaniem, i widać było, że dłubaniu temu przewodniczyło poczucie artystyczne, wrodzone a nieuprawione, które popędy swoje spędzać musiało na takich drobiazgach, i które, nie mogąc wcielić się w doskonalsze, a przeczute tylko przez siebie formy, obstrugi-

wało te, jakie miało pod ręką. Dawano się to dokładniej jeszcze postrzegać wewnątrz izby: w postawieniu pieca, w przystosowaniu do niego przypiecka, w rzeźbionej policy i żerdce, w stoliku, postawionym pod tem oknem, co się bliżej znajdowało drzwi, w stojącej przed stolikiem ławeczce, w ławie szerokiej, zajmującej sobą pół ściany pod drugim oknem i dosięgającej jednym końcem stolika, a drugim kąta izby z obrazem, ubranym w wianek suchych ziół, w wonne, ale także suche bukiety lubystku, wasilków i macierzanki i w zawieszzone na kolkach po obu stronach ręczniki. Zdaje się, że wszystko to było niczem, dzieciństwem; ale to „zdaje się“ zamieniało się na podziwienie, gdy się dowiadywało, że to wszystko robił Andrij ręką własną i że ten Andrij nie uczył się ani architektury, ani stolarki, ani mularki, ani nawet ciesiołki, tak jak potrzeba. Musiał on sam każdej rzeczy dochodzić, sam porządkować, przystosowywać; był więc wynalazcą piękna w pierwotnych onego kształtach, samorodnym artystą. Ten artyzm jego odbił się nawet na łożu małżeńskim, które postawił na wytoczonych nogach — a toczył je strugiem i bardą, bo o tokarni nie miał wyobrażenia — i tak ugładził i ułożył deski, że chociaż sypiał bez siennika i materaca, jak wszyscy chłopci, ale pewno żaden, a przynajmniej żaden z Zahornickiej gromady, nie sypiał na deskach gładszych.

Maryna przejęła się także mężowskim piękną poczuciem; w sferze swoich zajęć przyczyniała się i ona do przyozdobienia mieszkania: utrzymując je w nadzwyczajnej czystości — myjąc, bieląc, smarując, nie tylko raz na tydzień, jak najporządniejsze gospodynie, ale za każdym razem, jak tylko postrzegła, że gdzieś się coś obłupało lub zabrudziło. Jej sprawą, ściany z zewnątrz i wewnątrz zawsze były jak śnieg białe i u spodu podwiedzione szlakiem, złożonym z dwukolorowej — brunatno-czerwonej i brunatno-sinej — gliny, który na blade-żółtem tle przedstawiał to paski równoległe, to esy lub zygzaki, ozdobione rzucankami i centkami. Przyzba przed chatą mogła być zdaleka wziętą za sofę — tak od tych szlaków odbijała, a na progach, na drzwiach, na glinianej podłodze, nie podobna było nigdy znaleźć odrobiny błota lub brudu. Ręczniki przed obrazem i obrus na stole, i bielizna na mężu, na synie, na niemej i na niej, ze świeżego zawsze pochodziły prania; radna, za pościel służące — nie inaczej szły na łożko jak tylko wytrzepane. Zwierciadełko nawet, wlepione

w ścianę, luboć nie było w rodzinie dziewczyny, któraby się szczególnie niem interesowała, było jednakże tak starannie oblepione i tak pięknie drobnym obwiedzione szlaczkiem, że zdawało się, iż jest w ramkach. Słowem, chata Bisnowatych przedstawiała się z zewnątrz i wewnątrz jako prawdziwy wzór wieśniaczego porządku i elegancji; i śmiało powiedzieć można, że, gdyby wszyscy chłopci nasi tak utrzymywali swoje chaty, to stały by się one dla podróżników tem, czem są np. *Chalets* szwajcarskie, a malarze, poeci, sielankopisarze i powieściopisarze na wyścigi ozdabialiby niemi utwory swoje... Niestety!.. była ona wyjątkiem i jako taka, tem bardziej zasługiwała na podziwienie. A nie byłaby ona wyjątkiem: lud nasz sam przez się przyszedł-by do pokochania porządku, do poczucia piękna, gdyby człowieczeńskość jego, przygnięciona ciężkim mechanizmem, nie była zmuszoną, w wolnych od pracy chwilach, szukać jakiegoś zaparcia się siebie, jakiegoś zapomnienia, wybicia sobie z głowy i z serca tego: „jestem człowiekiem“. Smutny to stan; ale jeszcze smutniejszym jest usiłowanie usprawiedliwienia stanu tego przez świętoszków, dbających niesłychanie o zbawienie dusz własnych, siejących pełną garścią oklepane morały, oburzających się na zepsucie wieku, a przytem, z najzimniejszą w świecie krwią, poświęcających zbawienie najbliższych bliźnich swoich. Biedne głowy!.. dziwne serca!.. niby rozumują — a bez sensu; niby kochają — a nienawidzą... Ale i ja, mimowolnie, uwodzę się chorobą moralizowania... Trzeba nawrócić — do Zahornik.

Chata Bisnowatego stała pomiędzy innymi chatami, wyciągnionemi nierównym i nieregularnym szeregiem po nad rzeczką, albo raczej po nad strumieniem, który spływał od młyna, z łotoków, i zatrzymany powyżej szeregu tego groblą — rozlewał się w dość obszerny staw. Przez groblę przechodziła droga, której kierunek wypadał prostopadle do rzeczki. Droga więc formowała z rzeczką kąt prosty, a w tym kącie rozsiadły się Zahorniki całe, z wyjątkiem dworskich zabudowań i młyna, z których pierwsze znajdowały się względem wsi za drogą, drugi — za groblą.

Pierwszy szereg chałup ciągnął się, jakiem mówił, nad rzeczką, oddzielony od takowej niewielką przestrzenią, na której mieściły się sady i ogrody. Front tego szeregu zwróconym był ku ulicy, prostopadłej do drogi. Po drugiej stronie ulicy, na

lekkie wznoszącym się do góry gruncie, rozrzucone były w nieładzie inne chaty, pozwracane w rozmaite strony, poprzytykane do obejść i ogrodów, lub chowające się w nich i tworzące prawdziwy labirynt przejść i uliczek, którym z wnętrza wsi wydostać się można było bądź na ulicę, bądź na drogę. Pięć tylko chałup stało nad drogą, a szosta, wyglądająca porządniej, prawie jak dworek, miała bowiem i ganeczek i komin murowany i dwa okienka na dachu, była probostwem. Na równi z probostwem stała cerkiew, — na równi, ale zupełnie oddzielnie. Zagroda cerkiewna boczną stroną przylegała do innego obejścia, mającego także, jak probostwo, pozór dworku. Obejście to ogrodem swoim wychodziło po za cerkiewną zagrodę i graniczyło z polem. Po za cerkwią rozlegał się plac pusty, prawie kwadratowy, którego jedną stronę stanowiła przechodząca przez wieś droga. drugą — tylna część cerkiewnej zagrody, trzecią — boczna część płotu ogrodowego dworku, a czwartą — ogrodzenie wiejskie, przedstawiające dość szeroki i głęboki rów, porosły gęstą i wysoką preciąstą licyną i zakończony na drodze porządnym kołowrotem, po drugiej stronie którego, już nie rów ale częstokół się rozpoczynał.

Częstokół ten opasywał zabudowania i ogrody dworskie; ciągnął się wzdłuż drogi, czepiał się kątem kołowrotu, szedł krajem pola, drugim kątem czepiał się toków, wysuniętych w pola, biegł następnie na dół, ku stawowi, i na połowie pochyłości kończył się, otaczając sobą obszerny dziedziniec, wśród którego, oparty o ogród zwrócony frontem do stawu, stał dwór pański. Powiadam „pański“, bo go tak w Zahornikach nazywano, chociaż w powierzchowności swojej nie miał pańskiego nic: był bowiem niewielki, drewniany, niski, posyty słomą, z gankiem o drewnianych słupach i ławeczkach, z najbliższym widokiem na obory, stajnie, cłblewy i kurniki, które zapełniały sobą całą przestrzeń pomiędzy dziedzińcem a stawem. Dalszy zaś widok był taki: najprzód karczma, stojąca nieopodal od grobli, wyżej nieco wysokości pierwszego szeregu chat, nad samą drogą, tyłem do kierunku głównej ulicy wiejskiej, którą sobą zasłaniała i która z tego powodu na drogę wychodziła z po za obydwóch karczmy stron; po karczmi następowała grobla wysadzona gęsto wierzbami, zakończona, prześlicznie z po za wierzb wyglądającymi, młynem i chatą mielnika; po prawej stronie grobli rozlegała się zwier-

ciadłana powierzchnia stawu, gubiąca się w oczeretach i łożynie, a po lewej widać było waziutką, wijącą się jak wąż wstążeczkę strumienia, odgraniczającego od wsi zielone łąki i znacznego zdaleka szlakiem wierzb i łożyny i kępami osoki. A po za stawem i strumieniem, z tamtej strony grobli, grunt, wzniosłszy się nieco, zamieniał się w rozległą płaszczyznę, przerzniętą drogą, idącą jakoś z ukosa i wężykowato, i pokrajaną sugłówkami, które wyglądały niby kwietne ramy dla kolejno zielonych, żółtych albo czarnych ról. Na granicach płaszczyzny tej widniały lasy. — Po drugiej stronie wsi, za cerkwią i kołowrotem, o których pisałem wyżej, taka sama rozlegała się płaszczyzna, tak samo pokrajana sugłówkami i przerznięta wijącą się z ukosa drogą; tylko las na niej był bliżej, bo podchodził pod samą prawie wieś; ale tego z dworu widać nie było.

Krajobrazy nasze, na Rusi szczególnie, są bardzo proste. Rozległych do nich potrzeba ram, ale w tych ramach, dla wypełnienia ich, mieścić potrzeba: łąny pszenicy, żyta, owsa, jęczmienia, różniące się pomiędzy sobą odcieniami jednego i tego samego koloru i tylko wówczas pstrzące się wyraziście, kiedy wśród nich białą płachtą lub klinem zakwitnie hreczka, lub różowym smugiem len. Zwykle w dolinie albo w jarze, nad strumieniem lub stawem, leży wieś, a dokoła tej wsi łąny i łąny, lasy, sianożęcie i znów łąny, pomiędzy którymi od pierwszego oka rzutu rozpoznasz dworskie i gromadzkie: pierwsze — rozległe, monotonne, jednobarwne, drugie — niby mozajka układana z kamyków, wytkane drobnymi poletkami w smugi, kliny i kwadraciki.

Pozór Zahornik niczem nie wyróżniał się od ogólnego pozoru wsi ukraińskich... A, bo zapomniałem powiedzieć, że Zahorniki leżały na Ukrainie, w punkcie z którego prawie jednokową była odległość do Skwiry i Taraszczy, do Lipowca i Zwynogradki, do Hajsyna i Humania.

Najważniejszą postacią w Zahornikach był mieszkaniec dworu, pan Jan Gajewski, tytułowany przez chłopów dziedzicem, przez sąsiadów poręcznikiem albo sędzią. Wszystkie te tytuły należały się mu legalnie. Był dziedzicem — bo posiadał dziedzictwo, które dostało się mu od ojca, dziada i podobno pradziada i miało po nim dostać się dwóm jego synom i jednej córce, którymi pobłogosławił pan Bóg pożycie jego małżeńskie z Idalją Male-

wiczówną, tytułowaną także jak on potrójnie: dziedziczką, porucznikową i sędzią, i niekiedy pułkownikową, dlatego że pan Jan Gajewski był powtórny pani Idalji małżonkiem, a pierwszym był nieboszczyk pułkownik Kalasanty Zakrzyski. Był porucznikiem — bo służył niegdyś wojskowo; i chociaż niewiadomem było dokładnie, jakiego stopnia dosłużył się w szeregach wojskowych, ale zatytułowano go porucznikiem, rangą nie zbyt wysoką i nie zbyt niską, przeciwko której pan Gajewski nie protestował, jak to publicznie i wyraźnie uczynił przeciwko tytułowi pułkownika, którym obdarzyć go chciano po ożenieniu, przez wzgląd na żonę. niesprawiedliwem bowiem sąsiadom wydało się: degradować pułkownikową dlatego tylko, że wyszła za porucznika; chciano więc awansować męża, żeby nie ubliżyć żonie; — pan Gajewski jednakże sprzeciwił się temu stanowczo. Był nakoniec sędzią, nie dlatego, że sprawował urząd powiatowego, albo tylko granicznego sędziego, ale że dwa czy trzy razy bywał arbitrem, wezwanym przez sąsiadów do sądów polubownych. Nie tytułowano go jednym tytułem, który mu słuszniej i sprawiedliwiej od wszystkich innych należał się, tytułem — człowieka uczciwego; ale nie było nikogo, ani w sąsiedztwie, ani dalej, gdzie tylko znano dziedzica Zahornik, ktoby mu uczciwości zaprzeczył. O tej jednak uczciwości pana Gajewskiego i o jego pożyciu domowem, jako też o jego żonie i potomstwie, pomówimy później przy okazji. Obecnie poznamy się ze społeczeństwem Zahornik.

Drugą ważną w tem społeczeństwie figurą (pomijając ekonoma — ten bowiem liczył się do czasowych, zmieniających się figur), był mieszkaniec dworku przyległego cerkwi. Widzieliśmy go już oczami Sydora, przez okno; przypatrzmyż się mu bliżej.

Z pozoru można mu było liczyć lat pięćdziesiąt z górą, w rzeczywistości atql miał on sześć już krzyżyków skończonych, z naliczką kilku lat na siódmy. Ta niezgoda pomiędzy pozorem a rzeczywistością pochodziła ztąd, że twarz starca i postawa okazywały czerstwość i zdrowie takie, że gdyby nie siwe włosy i wąsy, toby mu nawet pięćdziesięciu lat nikt nie policzył. Nad siwe jego oczy nasuwały się duże brwi, także siwe i wisiały niejako przyprawione u spodu wysokiego czoła, zmarszczonego, pooranego i naznaczonego z ukosa dwiema bliznami; policzki były suche i także pomarszczone, ale powleczone cerą zdrową

i świeżą nadawały mu wyraz nie starości lecz surowości, uwydatniającej się ostremi rysami twarzy; włosy nosił krótko przystrzyżone, wąsy — podstrzyżone na równi z ustami, faworyty i brodę — ogolone; w postawie przeważała kościstość — nie tak jednakże, aby go można było nazwać chudym; wzrostu był umiarkowanie słusznego.

Starcowi temu na imię było Jakób, na przywisko Zahornicki.

Umyślnie piszę „przewisko“, bo tego, co powszechnie rozumiemy pod wyrazem „nazwisko“ starzec nie posiadał. Nazwano go, albo raczej on sam się nazwał Zahornickim od Zahornik, a nazwał się dawno już temu, w czasach młodości swojej, która mu spłyęła burzliwie i w której potrzebował swoje „Jakób“ albo raczej „*Jakiw*“ zaokrąglić i dopełnić przymiotnikiem, mającym brzmienie szlacheckiego nazwiska. Nazwał się więc Zahornickim dlatego, że się w Zahornikach urodził.

Młodość jego zaopatrzyła go na starość w tysiące bogatych wspomnień. Widział on, słyszał i doświadczył w przeciągu kilkunastu lat tyle, że innych kilkudziesięciu, ba i kilkuset ludzi, złożywszy wspomnienia swoje do kupy, nie widzieli, nie słyszeli i nie doświadczyli tyle: był bowiem z razu z Sawą w konfederacji a następnie odbył wszystkie wojny pod Kościuszką i tak jakoś los mu sprzyjał, że zawsze prawie znajdował się tam, gdzie Naczelnik osobiście dowodził. To też Kościuszko dla niego był niby świętym; bez uszanowania nie pozwalał sobie mówić o nim.

W bojach i znojach nie zdobył on dla siebie ani bogactw, ani stopni. Służył ciągle w szeregu, a stan służby jego wypisał się mu na czole, piersiach i rękach szramami i bliznami, których miał siedm; był cięty pałaszem w łeb dwa razy, raz zaś po prawem rękę poniżej łokcia, — miał dłoń prawą przebitą na wskrós bagnetem, i dostał dwa ukośne postrzały i jedno pchnięcie lancą w piersi. Te szramy i blizny były dla niego tem, czem karby dla karbowego, lub węzłki zawiązywane dla pamięci: po nich obliczał lata i przypominał sobie zdarzenia, chociaż mógł by je zapisywać, bo nauczył się czytać i pisać — jak i gdzie? — o tem trudno było dowiedzieć się: jeżeli bowiem przyszedł mu kiedy humor opowiadania, to opowiadał o bitwach, przechodach, wypadkach, o Kościuszcze, ale nie o pisaniu i czytaniu.

— Kościuszko, Mospaneńku — mawiał naprzykład — był sobie człowieczek niepoczesny, ot taki, że gdyby ot tu pokazał się, toby za niego nikt trzech groszy nie dał: nie to co pan Pułaski, albo księżę Józef... Ale gdybym go zobaczył... gdyby na mnie, mospaneńku, tylko okiem mrugnął... ha!... to dziej się wola Boska!... jak mnie widzicie starego, takbym się rzucił... choćby w piekło!... choćby w co gorszego jeszcze jak piekło!... A, bo też to był człowiek, mospaneńku...

I zamyslał się stary, jakby zbierał rozsypane wspomnienia, i tak prawił dalej:

— Pamiętam jak dziś... pod Dubienką... oto tu naprzykład stali my, a ztamtąd do nas strzelali z harmat... Hej!... kropiliż mospaneńku, kropili!... Co kula padnie to i wyrwie; a tu słychać tylko: „stój!... szlusuj!...” Człowiek stał i czekał, kiedy mu wyrwie duszę. Odmawiałem po cichu modlitwę, bo miałem tego dnia jakieś przecucie złe, które spełniło się, mospaneńku, nie na mnie, ale na mojej szkapie... Haj!... szkoda mego sokoła... takiego konia nie miałem i mieć już nie będę... Aż tu, mospaneńku, niby z nieba spadł, zjawia się przed nami Kościuszko. Jedzie sobie noga za nogą, spojrzął na nas, uśmiechnął się i duch we mnie wstąpił... Jedzie i zatrzymał się, jak raz przedemną, i patrzy się na tamtą stronę, z kąd z harmaty po harmacie, co błysnie, to buch!... co błysnie, to buch!... a wszystko do nas jak do celu. Wtenczas przyszło mi na myśl: a naz i jemu się dostanie. I nie uspiałem jeszcze dobrze się nad tem namyśleć, jak, mospaneńku, wyskoczyłem z siodła, jak gdyby mnie coś do góry porwało; pożółtkło i poczerniało mi w oczach, i jak długi hrymnałem na ziemię... Wydało mi się, że już po mnie, chociaż nie straciłem przytomności; ale mi przez głowę przeszło, jak błyskawica: że i naczelnik oberwał. I zapomniałem o sobie... Porwałem się z ziemi, ściskam oczami, aż odegnałem obłok, co mi je zakrył... patrzę przed siebie!... a on, mój hołubczyk, siedzi sobie na koniu, mospaneńku, jak siedział, spogląda na mnie, i... uśmiecha się. Zrobiło mi się tak radośnie, jak oto, nieprzy mierzając, mospaneńku, temu dziecku, kiedy ojca zobaczy, którego długo nie widziało... Stałem i na płacz mi się zbierać zaczęło... z radości; i zapłakałem raz jeden w życiu... z radości; chociaż powinienem był płakać z żalu, bo szkapka moja... oj,

szkodaż jej szkoda!... ani zipnęła: kula na wskrós ją, od piersi do ogona, przejechała...

Kiedy ucihły burze owocnesne, przyszła Jakóbowi chwila konieczna pomyślenia o sobie. Przyszła mu ona w jakimś lesie, w którym znalazł się piechota, przy pałaszu. W lesie owym spał on zrazu długo i głęboko, — poczem obudził się, usiadł pod drzewem i zadumał się. Dumał, przecierał oczy, kręcił wąsy i — dumał. I nadumawszy się do woli, wstał, westchnął, postął przez chwilę, dobył pałasza i urąbał nim młode, równo rosnące drzewko, które oczyścił i przyciął na laskę. Potem wykopał pałaszem podłużny, głęboki rowek, do którego włożył wszystkie, jakie miał na sobie i przy sobie przybory żołnierskie — pałasz, pendent, pasek, ładownicę, przykrył je ziemią, przydeptał — i puścił się w świat. W wiosce, którą spotkał pod lasem, zmienił strój i dostał torbę, i przystroiwszy się z żołnierza na wieśniaka, szedł sobie i szedł, nie spiesząc się, ani zatrzymując nigdzie. Snać w lesie wydumał sobie wioskę swoją rodzinną, bo zaszedł — do Zahornik.

Kto przez dwadzieścia ośm lat nie był we wsi rodzinnej, ten nie pozna jej i tego nie poznają, gdy zawita do niej. Tak stało się z Jakóbem: nie poznał Zahornik, nie poznał mieszkańców i nikt jego nie poznał. Zaszedł do karczmy, zastał tam kilku ludzi, rozmówił się z nimi, i udał się wprost do dworu.

Pomimo że Jakób był przestrojony, dość jednak było rzucić nań okiem, aby rozpoznać w nim żołnierza. Postawa, ruchy wszystkie, sposób mówienia — były żołnierskie, nadewszystko zaś cechowały go szramy na czole, których ukryć, ani zakryć nie było podobnem.

Gdy więc stanął na ganku przed dziedzicem, którego zastał siedzącego na ławce, ten od razu poznał, co za rodzaj człowieka stoi przed nim.

— Przychodzę — rzekł Jakób, zdjąwszy czapkę i pokłoniwszy się — oddać się panu jako zbiegły poddany: nie mam gdzie głowy na starość przytulić.

Pan Gajewski popatrzył nań uważnie, pomilczał przez chwilę i rozpoczął rodzaj indagacji:

— Jak się nazywasz?:

— Jakób.

— A więcej?

— Nazywano mnie na świecie Zahornickim; w Zahornikach,

nim je opuściłem, nazywano mnie po ojcu Iwańczukiem, a jakie mój ojciec nosił przydomek, tego nie pamiętam.

— Kiedyś Zahorniki opuścił?

— Będzie już temu ze trzydzieści lat.

— Cóżś robił przez ten czas?

Zahornicki nic na to nie odpowiedział, tylko wskazał panu Gajewskiemu palcem na szramy na czole, pokazał mu dłoń prawej ręki, odkrył przed nim pierś i zatoczył rękaw od koszuli.

— Gdzież to? zapytał pan Gajewski, głosem nieco podniesionym, powstając z ławki, jakby przez uszanowanie przed bliźni.

Jakób wyrecytował tchem jednym:

— W Barze, Berdyczowie, pod Krakowem, Częstochową, Szepetówką, na Boruszkowieckim moście i pod Maciejowicami.

— Siadajże, mój Jakóbie — odrzekł pan Gajewski — siadaj tu przy mnie, spocznij, musisz być zdrożonym... napijesz się gorzałki, przekąsisz co.

Jakób usiadł jak równy obok równego. Nie wymawiał się jakby spodziewać należało po poddanym, ani widać było po nim, aby brał to jako zaszczyt wielki. Pan Gajewski zawołał, pokazał się we drzwiach kozaczek dworski i odebrawszy rozkaz znikł i powrócił wkrótce z wódką, chlebem i serem, które postawił na ławce, obok Jakóba.

— Rozpytywałeś się ludzi w Zahornikach?... znalazłeś kogo ze swoich?... — ciągnął pan Gajewski przyjaznym i życzliwym tonem.

— Rozpytywałem się, ale nie znalazłem nikogo; ojca już nie miałem... odumarał mnie w dzieciństwie; matka umarła później trochę; o siostrze nie umieli mi ludzie powiedzieć; a o innych, rówieśników, nie pytałem nawet; nie umiałem się o nich zapytać, z dzieciństwa bowiem oddali mnie na służbę do Humania, do Niemca doktora, u którego do szesnastego bez mała roku mego życia przesłużyłem, póki nie przystałem, mospaneńku, do Konfederatów.

Użycie wyrazu: „mospaneńku,“ którym miał zwyczaj szpi-kować swoje rozmowy, oznaczało, że Jakób był już, jak powiadają Francuzi „à son aise.“

— Byłeś w Humanii?... — znałeś Gontę?... — zagabnął pan Gajewski.

— Znać, nie znałem, ale widziałem go... Gonta był wielkim panem, atamanem: nie mogłem się z nim znać.

— Podczas rzezi byłeś w Humanu? — zarzucił p. Gajewski, patrząc mu w oczy.

— O gdzież! przed rzezią na półtora roku już mnie tam mospaneńku, nie było.

— Cóż z sobą robić zamysłasz?

— Myślę, panie, — odparł Jakób tonem uroczystym — prosić was pokornie, abyście mnie przyjęli i wpisali do gromady Zahornickiej, abym mógł w własnym gnieździe stare kości złożyć.

— To dobrze, — rzekł pan Gajewski — może zechciałbyś służyć... Znalazłbym dla ciebie lekką jaką służbę: gumienego, karbowego albo leśnego.

— Panie, jam się nastużył, — odrzekł Jakób — jeżeli mi dacie służbę lekką, to będę u was półdarmo jadł chleb. Wolałbym pracować; jeszcze mi, Bogu dzięki, nie brak sił, i chciałbym, jeżeli mi Bóg pobłogosławi, wypracować sobie choć kawałek ziemi, którąbym mógł nazwać moją własną... Może ja na to i zasłużył — dodał, podnosząc prawą dłoń, jakby dla pokazania blizny.

Pan Gajewski poznał, że stary żołnierz spolitykował: od dawszy się bowiem z razu bezwarunkowo w poddaństwo, postawił następnie warunek, nie zupełnie zgodny ze stanem poddańczym. Poznał również p. Gajewski, iż do postawienia takiego warunku ośmielonym został przez sposób, w jaki go traktował. Ale z drugiej strony szlachetne serce mówiło mu: „on zasłużył.“ Pośredniego więc upomnienia się Jakóba nie wziął jakby kto inny może na jego miejscu uczynił, za podstęp; ale przeciwnie, urodziła się w sercu jego dla weterana wdzięczność za to, że ten nastęrcza mu sposobność spełnienia dobrego uczynku.

— Bo to widzi pan, mospaneńku, — ciągnął Jakób, niby tłumacząc się — ja mógłbym nie zachodzić do Zahornik: mógłbym zostać się, czy w Koronie, czy na Litwie i wszędzie znalazłbym kawałek chleba, ale mnie coś ciągnęło do gniazda, coś mi tu — i pokazał na serce — mówiło, żeby koniec złączyć z początkiem... że, jeżeli mam wybierać miejsce na grób dla siebie, to powinienem wybrać to, w którym się urodziłem... Obcy ja tu, jak wszędzie; ale przecie, jak dowiedzą się ludzie tutejsi, że ja ich, to powitają i przyjmą jak swego.

— Dobrze, dobrze, — rzekł pan Gajewski, podbity do reszty argumentami Jakóba — ja najpierwszy witam ciebie i przyjmuję jak swego.

To mówiąc złączył uściskiem dłoń swoją z dłonią starego żołnierza, która, pomimo blizny, zachowała całą gibkość i sprężystość mięśni.

— Niech będzie po twojemu... Pomyślę, abyś miał na czem i o czem pracować... A tymczasem, bądź u mnie gościem... To mi się należy: bo kiedyś przyszedł do Zahorniczian, jak do rodziny, to wiedz, że ja tu jestem rodziny głową.

I Jakób, obszarpany włóczęgą (gdyż zapomniałem powiedzieć, że strój, który dostał mu się w wiosce pod lasem, składał się ze starej, podartej, podpasanej powrózkiem świty i z odpowiednich świecie innych części odzienia), zbiegły poddany, został gościem u swego pana... zasiadł z nim do jednego stołu. Pomimo, że pan Gajewski znanym był powszechnie, jako bardzo prawy i gruntownie uczciwy człowiek, zadziwiono się jednakże tej ekscentryczności, która policzoną została na karb jego młodości: wówczas bowiem liczył on tyle prawie lat wieku, ile Jakób służby wojskowej, nie był jeszcze ani porucznikiem ani sędzią, ani nawet małżonkiem pułkownikowej.

Od owego czasu do chwili, w której Sydor zaglądał przez okno do dworku Zahornickiego, upłynęło ni mniej, ni więcej tylko lat trzydzieści.

Zahornicki miał dworek i ogród i pole, miał żonę i dzieci.

Błogosławił mu Pan Bóg we wszystkim: rosło i mnożyło mu się wszystko, ale najobficiej dzieci.

Ożeniwszy się z młodą i dorodną dziewczyną, córką leśniczego z pobliskiej wsi, ta mu w dziewięć równo miesięcy po ślubie, powiła córkę, i od tego czasu rozpoczęło się: „co rok to prorok“, ale zawsze — córka.

Stary żołnierz niecierpliwił się, milczał jednak i tylko po cichu modlił się do Pana Boga o syna i na tę intencję każdej niedzieli stawiał świeczkę przed wszystkimi świętymi obrazami. Stawiła świece i Zahornicka; nie nie pomagało.

Stary chciał się w synie odrodzić, nie dlatego aby, jak szlachcice powiadają, przechować klejnot. On klejnotu nie posiadał; lecz posiadał drogie wspomnienia, droższe nad klejnoty, które chciał zostawić w spadku komuś takiemu, coby z nich

mógł jakowys użytek zrobić, dla kogoby one mogły służyć przykładem, pobudką, komu mógłby powiedzieć: „Słuchaj synu! pamiętaj synu! ja twój ojciec, zrobiłem to i to... ty, mój syn, bądź mi nieodrodnym!”

W tym guście nie mógł Jakób odzywać się do córek i gniewało go to.

Gniewał się, a jednakże milczał, nie wybuchał gniewem, aż póki siódma córka nie przyszła na świat; wówczas wybuchnął i to tembardziej, że wszystkie prognostyki zwiastowały, iż tym razem będzie syn.

— A to mnie, mospaneńku, Pan Bóg pokarał, czy co! — zawołał, gdy babka uśmiechając się i winszując, wyniosła mu dziecko — Ha! kiedy tak, to basta!

I było „basta“ przez lat trzy. Zdawało się, że ta siódma córka jest ostatnią. Chowała się i rosła zdrowo, jak sześć starszych jej siostr, a tak pięknych, że kto tylko zobaczył gromadkę tych ślicznych jak aniołki dziewczątek, nie wytrzymał, żeby nie powinszować i nie życzyć Zahornickiemu pociechy. Stary jednakże chmurzył się na winszowania i odpowiadał! — To, mospaneńku, siedm boleści dla mnie, nie pociecha!

Nie miało się jednakże skończyć na siedmiu. We trzy lata po ostatniej przyszedł na świat nowy potomek — i znów córka; ale już tym razem doprawdy ostatnia.

Przy urodzinach tej ostatniej, ósmej córki, Zahornicki złajał żonę i nie chciał już na dziecko patrzeć.

— Cóż ja winna? — tłumaczyła się biedna kobieta, która go szanowała i bała się, stary bowiem trzymał ją po żołniersku, krótko a ostro.

— Nie ty winna, nie! to ja winien!... na co mnie było brać ciebie, kiedy były inne dziewczęta. Chodziłem, mospaneńku, po ciebie jak po co dobrego, aż na drugą wieś i Pan Bóg mnie skarał za to, że się nie trzymałem swoich... Ludziom rodzą się synowie, jak sokoły, a mnie, niby z za rękawa sypie się to nie-szczęście!... Tfu!...

— Toż nam tak Pan Bóg daje, — mówiła Zahornicka — taka jego wola... Widać, żeśmy Go nie dość prosili... Prośmy Go, to może zlituje się nad nami i obdarzy nas synem nako-niec...

— Tra la la! — przerwał Zahornicki — gadaj ty swoje, ja wiem swoje. Już i prosić nie będę, i...

Tu się stary jakoś zająknął i, nie dopowiedziawszy, co powiedzieć miał, wyszedł i udał się do gospodarstwa, które było i różnorodne i nie małe, i prowadzonym było tym samym sposobem, jakim w owych czasach prowadziła gospodarstwo szlachta czynszowa. Było ono różnorodnym, bo obejmowało nie tylko rolnictwo, ale ogrodnictwo i pasiecznictwo: było nie małym, bo po pięć morgów pola w każdą rękę, sianożęć i ogród, stanowiły razem spory szmat gruntu, około którego trzeba było dobrze pochodzić, żeby go należycie uprawić, szczególnie, gdy go się własnymi uprawiało rękoma.

Trzymał wprawdzie Jakób najmita i pogonicza, ale najmici i pogonicze dobrzy są, kiedy sam gospodarz przewodniczy im w pracy. Musiał więc Jakób wszędzie być osobiście i wszystkiego dojrzeć. Ale człowieka w gniewie, to i praca się nie ima; pochodził więc, pogderał i powrócił do chałupy.

Markotno mu było, że urodziła się ósma córka; ale że się urodziła, że ją Bóg zesłał, więc nie można było nie przyjąć jej. A jednakże spoglądał na nią z pod oka, z pewnym rodzajem wstrętu, chociaż w duszy zeznawał sam przed sobą, że dziecko temu niewinno, iż przyszło na świat.

Gdy przyszedł czas ją ochrzcić, zeszli się kumowie i kumy i wszczęła się dyskusja, jakby ją nazwać.

Trudna to była sprawa, siedm już imion kobiecych rozdanych było pomiędzy córki Zahornickiego, a na wsi jest zwykle kilka imion, które powtarzają się, przechodząc z pokolenia na pokolenie, chyba że proboszcz albo dziedzic wprowadzi jakieś nowe. Znałem na Pobereżu, pod Miaskówką, jedną wioskę katolicką, nazywającą się Wysoka-Grobla, w której wszystkie prawie kobiety nosiły imię albo Jadwigi albo Marji. Był więc to dla kum i kumów Zahornickiego kłopot nie mały, wyszukać ósme imię. Szukali i nie znaleźli i zdecydowali się nakoniec iść do cerkwi z dzieckiem i poprosić dobrodzieja, aby tam z łaski swojej wynalazł jakie imię w książkach.

— No i cóż, mospanieńku, — zapytał Zahornicki, który nie brał w dyskusji udziału — jakim-że imieniem ochrzciecie dziewczynę?

— A, nie wiemy jeszcze — odpowiedział jeden z kumów.

— Nazwijcie ją Handzia, kiedy nie wiecie.

— A prawda! — zawołali jednym głosem kumowie i kumy; a Kozohryz, będący niezmiennym członkiem wszelkich w Zahornikach chrczin, dodał, gdy wszyscy wychodzili, zatrzymawszy się przed Jakóbem:

— Coto, kiedy Pan Bóg kogo piśmiennym stworzy, to człowiek nie chodzi po rozum do drugich, ale go zaraz w swojej wynajdzie głowie... Hej! — dodał westchnawszy i pokiwując z lekka głową — czemuż to ja nie nauczył się czytać ta pisać!...

— Ty, Josypie, i bez pisania masz rozum — odparł Jakób.

— Byłoby tego więcej i nie zabolalaaby głowa od przybytku — rzekł Josyp na wychodnem — ale... a!... co przepadło to już się nie wróci... daj Boże, aby choć wnuki nasze...

Nie słyhać już było co on tam za drzwiami powiedział.

Gdy kumy i kumowie powrócili z cerkwi, poprzedzeni przez najstarszą kumę, niosącą poważnie na rękach przykrytą krzyżmem dziecinę, spotkała ich Zahornicka na progu i odbierając dziecko zapytała:

— Cóż, płakało?

— Płakało, moje serce — odpowiedziała kuma — płakało, ta krzyczało; będzie się chować zdrowo... daj Boże, aby rośło na pociechę, na szczęście... aby ją zła przygoda omijała!...

I skupili się wszyscy około matki, winszowali i składali życzenia, a matka dziękowała.

— A jak wszyscy chwalili i dziwowali się!... — odezwała się kuma — żeby kto ino nie nawroczył!...

I z temi wyrazy zabrała się do odganiania uroków (urzezeń). Plunęła Handzi na czoło, na brodę i na każdy z policzków wymawiając za każdym plunięciem.

— Tfu! cur ta pek!... tfu! cur ta pek!...

Następnie zlizwała z czoła, brody i policzków i wypluwając to wszystko razem na ziemię, mówiła cichym głosem:

— Złe oczy, osłepnijcie! Uroki, odejdźcie het, za lasy i góry i utopcie się w wodach głębokich! Tfu! tfu! tfu! cur ta pek na was!

Potem, zwracając się do Zahornickiej, rzekła:

— Potrzeba. kumo, żebyście jeszcze, dla większej pewności, wykąpali dziecko w kablance *).

— Już ja wszystko przygotowała — odparła Zahornicka i odeszła z dzieckiem do alkierza, dla wykąpania go nie w mleku, jak kąpaną była Bohdanowa Rusalka, **) ale w sadzy, aby tym środkiem zapewnić mu szczęście i spokój na całe życie.

Jakób tymczasem rozpoczął częstowanie. Traktował gości: wódką czystą i wódką zaprawioną miodem i pieprzem i wiszniakiem, a na zakąskę podsuwał kołaczki z pszennej mąki i palanice. Kumowie wypijali przechodzący z rąk do rąk kieliszek do dna, ale z rozważą i powagą, poprzedzając każde wypicie stosowną przymową i wynurzeniem życzeń:

— Już to, kumie Jakóbie — mówił np. który z nich — myślcie sobie co chcecie, a ja taki powiem, co mi w głowie siedzi... Ot, żeby wam nigdy nie przyszło na *bezhołowała*... Daj wam Boże w bród wszystkiego, jak ten powiada: *zyta i pszenyci i wsilakoi pasznyci*... Dziećmi was Pan Bóg obdarzył... to prawda: nie dał wam synów-mołojców, ale za to dziewczęta, jak te ja-gody... Niechże rosną i chowają się, na szczęście i na pociechę, wszystkie razem i ta Handziunia, cośmy ją dzisiaj ochrzcili, i niech wam przyprowadzą wnuków i prawnuków, żebyście i wy i my cieszyli się niemi... No, niechże wam Bóg dopomoże i błogosiławi...

— Daj Boże! daj Boże! — odpowiadał Jakób.

Wówczas następowała druga przymowa, równie długa i wymowna, zaadresowana do tego, w czyje ręce przejść miał kieliszek. Poczem kieliszek wychylał się i podstawiał się Jakóbowi. Jakób napełniał; następujący z kolei gość brał kieliszek i rozpoczynał, odchrząknawszy i splunawszy, swoją przymowę.

Tak sobie starzy gwarzyli i popijali.

Kumy, gdy na nie kolej przyszła, sromały się. Jakób namawiał i prosił:

— Ależbo, mospaneńku, wypijcie, wypijcie...

*) *Kahlanka* nazywa się na Rusi słoma obwinięta radnem lub starym workiem, służąca do zatykania komina, dla utrzymania w izbie ciepła, gdy wypali się w piecu. Przechodzi ona nawskróś dymem i sadzą. *Kahlankę* wygotowują i robią z tego kąpiel dla dzieci przeciwko urzeczeniom.

**) Patrz *Rusałki* Bohdana Zaleskiego.

— Dziękuję za dobre słowo, dziękuję — odpowiadała kuma, bojąc się dotknąć kieliszka.

— No, to podziękowawszy...

— Alebo nie, taki nie...

— Choć trocha, mospaneńku...

— Nie, ani *hyc*... niech wam Pan Bóg i bez tego błogosławi, kumie Jakóbie... Dla mnie doczki wasze, to niby moje własne... Pomieniałabym się z wami na moich chłopców.

I zarygotała kuma na całe gardło, wszystkie zaś kumy i wszyscy kumowie, wtórowali jej.

— Hej, dalibógże! — wołał głośno Jakób, usiłując wznieść głos po nad gwar śmiechu — kumo-kołubko!... mieniaj się!... dam ci dwie dziewczyny za jednego chłopca!.. a na mohorycz, wypij, mospaneńku..

Kuma śmiała się, rada dowcipowi. Jakób przybliżał jej kieliszek do rąk:

— Choć kropieczkę, kumko-lubko.

— No, kiedy już tak prosicie, tak koniecznie, to cóż robić z wami...

Wzięła kieliszek, dotknęła ustami trunku, skrzywiła się, głowę odwróciła i kieliszek co rychlej, jakby ją w palce parzył, oddawała.

— Jakto! coto! — wołał Jakób — tak się nie godzi!... Do dna, mospaneńku, do denka, kumo! A, to wstyd na was i na mnie!...

— Nie mogę — prosiła się kuma — *jej-bohu, prysiaj-bohu*, nie mogę.

— Nuż-bo, ależ-bo!

Jak zaczął Jakób prosić i nalegać, aż wyprosił w końcu. Kuma przymówiła długo i wymownie, wymowniej jak wszyscy kumowie, odwróciła głowę na prawo, lewym łokciem zakryła oczy — chyt! i wychyliła; zmarszczyła się, skrzywiła, jakby truciznę połknęła, obtarła usta rękawem od koszuli i kieliszek oddała.

Przyszeli i dobrodziej. Zastawiono stół. Rozpoczął się objad, przy którym częstunek szedł swoim porządkiem; po objedzie znów częstunek rozpoczął się i nie skończył, aż późno wieczorem. Kumowie i kumy siedzieli, rozprawiali, przymawiali, winszowali, a nawet pod koniec i zaśpiewali.

Miłoś-to było posiedzieć w chacie Zahornickich. Chatę tę nazywano dworkiem i słusznie, bo i z nadworu i we środku wyglądała po szlachecku. Wiemy już, że stała obok cerkwi, oparta, albo raczej do połowy schowana w sporym, gęsto napełnionym fruktowemi drzewami ogrodzie. Stojące przy niej zabudowania gospodarskie w bardzo porządnym znajdowały się stanie, znamienującym dostatek i skrzętną staranność. Dworek posyty równo i gładko okłotowaną słomą, miał ganeczek, cztery okna i przyżby z frontu i po dwa okna w bocznych ścianach, i stał trochę podniesiony, niby na podmurowaniu, bo na ganek wchodziło się po dwóch drewnianych stopniach. A wewnątrz, w sieni, drzwi na lewo, na prawo i na prost: z nich pierwsze prowadziły do świetlicy z alkierzem, w której mieścili się Zahorniccy z dziećmi, drugie — do obszernej jednej izby, w której był piec piekarniany, trzecie — do komory. W świetlicy, będącej bawialnym pokojem, stał stół jeden i drugi, kilka stołków drewnianych, dwa tapczany pokryte kilimkami i duży kufer zielony, mocno okuty, opatrzony zamkiem, który dzwonił, gdy go odmykano; na ścianach wisiało parę obrazów Świętych Pańskich ustrojonych w bukiety wonnych ziół; nad jednym z tapczanów była niewielka półeczka, na której stało parę butelek i lichtarz brązowy i spoczywała gruba, w starych okładkach księga. Część ściany, będącej przepierzeniem pomiędzy świetlicą a alkierzem, stanowiła grubą, opalaną z progu, dzielącego świetlicę od alkierza. W alkierzu zaś sprzęt główny stanowiło łoże małżeńskie, przy którym wisiała na sznurach, do sufitu przytwierdzona, pleciana kołyska, mająca, po podrośnięciu Handzi, pójść pod strych, pomiędzy graty niepotrzebne.

Wszystko więc to było nie po chłopsku; a i powierzchowność samego Zahornickiego wyglądała wcale z waszecia: nosił bowiem nie postoly, ale buty z cholewami, spodnie z paskiem zapinanym na guziki i bez matni, koszulę z kołnierzem i niekiedy chustkę na szyi, świętę przykrojoną na wzór kapoty z wyłożonym po kościuszkowsku kołnierzem i siwą, baranią czapkę. Zahornicka zaś zawsze miała na sobie spodnie, w powszedni dzień pestrową, w święto cycową, a głowy nigdy nie obwijała namitką, ani koszuli na pazusze, rękawach i ramionach nie wyszywała mereżeniem i polikami; ale za to chustka jej była kwiecistą i zawsze świeżą, koszula była cienką i białą, na szyi

zaś sute korale i paciorki, z pośród których przeglądał srebrny medal z wizerunkiem Matki Boskiej i cyprysowy krzyżyk z wyrzeźbionym Zbawicielem na krzyżu, formowały niby pewny rodzaj różnobarwnego kirysu, zakrywającego piersi do połowy.

To też Zahorniccy posiadali w gromadzie szacunek i poważanie. Żyli oni na stronie, nie mieszając się do gromadzkich spraw, ale nie mniej przeto, a może właśnie dlatego, gospodarze klaniali się Jakóbowi i tytułowali go „panie“ a gospodynie, pomimo że Zahornickiej nie nazywały panią, jednakże ustępowały jej pierwszeństwa wszędzie — czy to na kładce, gdy ona z chustami do prania przyszła, czy przy studni czy w cerkwi. O karczynie nie ma mowy, bo do karczmy Zahorniccy nie chodzili, ani też pozwalali chodzić tam dzieciom swoim. Mieli więc z tego powodu jednego we wsi nieprzyjaciela arendarza: Ten nie lubił mówić o Zahornickim, dlatego że źle nie mógł a dobrze nie chciał. Trafia się to nietylko Zahornickiemu; któż bowiem jest bez nieprzyjaciół?... i mnie się nawet zdaje, że ludzie gruntownie a prawdziwie uczciwi mają ich, jeżeli nie więcej, to niezawodnie zaciętszych, aniżeli uczciwi przez pół.

III.

W szesnaście lat po ostatnich u Zahornickich chrzcinach miała miejsce owa narada gromadzka nad pobudowaniem cerkwi, która, jak wiemy, odbyła się w sadku Kozohryza, pod gruszą i w skutek której Bisnowaci, ojciec i syn, wybrali się w drogę.

W opowiadanych przezemnie zdarzeniach przekroczyłem przeciwko chronologii wypadków: to co się stało później, opowiedziałem pierwej, a rozpocząłem opowiadanie od epoki, która nastąpiła po chrzcinach, naradzie i powstaniu cerkwi, i tak zaplątałem się, że następnie znów będę musiał nawracać, robiąc w przeszłość wycieczki. Oprócz tego przekroczenia popełniłem jeszcze jedno: nie dość zamaskowałem bohaterów powieści i domyślny czytelnik z łatwością dorozumie się, że ta dziewczyna, która udawała nocną porą gdaczącą kurę i patrzyła na gwiazdy, albo jest albo zostanie kochanką tego parobka, który także

nocną porą zaglądał przez okno i koguta udawał. Dorozumie się również czytelnik, że dziewczyna owa należała do familji Zahornickich, a że nie była żadną z siedmiu starszych córek, to najjawniej pokazuje się z tytułu powieści. Żle, źle, mosanie! nie udaje mi się na powieścio-pisarskiem polu, utykam jak koń ochwacony; ale, nie możnaż na dwóch zabastować rozdziałach, jak Zahornicki nie mógł zabastować na córkach siedmiu.

Spotkać mnie może zarzut nienaturalności w oddaniu postaci niektórych, np. Andrija i Sydora; ale zarzut ten odpieram naprzód, zapewniając najuroczyściej, że takich chłopów znałem osobiście, że rozmawiałem z nimi nie raz i nie dziesięć razy. Z tego tedy wnoszę: że jeżeli mogli oni znaleźć się w Zahornickach, to z takich samych powodów mogą znaleźć się i w każdej innej wsi, czyli innemi wyrażając się słowami: że lud nasz jest gruntem mogącym produkować takich Andrijów i Sydorów. Z czego wynika: że gdyby grunt ów był uprawianym, to Andrij zostałby znakomitym architekta, a Sydor... nie wiem czem: może jakim lwem miejskim, albo aktorem grającym role kochanków, albo... hm!.. filozofem, a może powieściopisarzem, biorącym przedmioty do powieści z historii życia własnego, albo... pozostałby chłopem, odrabiał pańszczyznę, brał w skórę — i tem się kontentował. Wszak utrzymują niektórzy, że to jest potrzebnem, a nawet, że sprawia miłą sensację tak czynnej jak biernej stronie...

Ale, co tam abstrakcyjnemi zabawiać mam rzeczami!.. Oto, powrócę lepiej do opowiadania, z którego może snadniej będzie domyśleć się, czemu Sydor mógł zostać.

Sydor z ojcem, albo raczej ojciec z Sydorem, bo Andrij był starszym i przemawiał do syna trybem rozkazującym, wybrali się w drogę z wieczora, a nazajutrz, przed świtem, pożegnawszy płaczącą Marynę i jeszcze mocniej, chociaż niewiadomo dobrze dlaczego, płaczącą Frasynę, puścili się w podróż. Wybranie się ich można ocenić z tego, jak oni wyglądali w drodze. Ubrani byli jednakowo: obydwaj mieli na sobie bure czuhaje, podwiązane czerwonymi pasami, za którymi z tyłu sterczały bardy; obydwaj mieli na nogach postoły *) z surowej skóry, przytwierdzone do nogi długimi rzemykami, obwinietami na

*) *Czuhaje* — sukmany; *bardy* — rodzaj toporów; *postoły* — chodaki.

grubych sukiennych onuczkach; obydwaj mieli na głowach jednakiem czarne baranie czapki, rozcięte u góry, rozcięciem obrócone na tył i mające zamiast denka prostego rodzaj worka z czarnego manszestru; każdy z nich miał laskę, którą niósł niby karabin na ramieniu, dlatego że na niej zawieszoną była spora torba, w której, obok zapasów podróжных — chleba, czoszczku, sera i słoniny — znajdowały się: strug, świdry i dłuta. Były to instrumenta, które Andrij uważał za potrzebne zabrać ze sobą, a okrom nich, miał on jeszcze i łokieć, odznaczony karbem na lasce. Do kieszeń zaś ich, których każdy z nich miał po jednej, nie będziemy zaglądać, bo i cóżbyśmy w nich znaleźli? u Sydora nożyk składany, u Andrija nic. Lecz, żeby kto tego, „nic w kieszeni“ nie wziął w sensie przenośnym i nie pomyślał że podróżni nasi byli bez grosza, dodać muszę, że u Andrija znajdowała się za pazuchą kaleta, zawieszona na szyi na mocnym wypróbowanym rzemyku, a w tej kalecie były pieniądze: półtora złotego *szahami* (groszami) i dwudziestówka, piędziesiątówka i złotówka srebrna, obwinione płateczkiem, aby się o miedziaki nie wytarły.

Oto tak ubrani i wybrani szli drogą, Andrij obok Sydora, gdzie zaś przychodziło się iść ścieżką, to Sydor przystawał się, puszczając ojca przodem. Wyszli oni z Zahornik przez groblę, a nie dochodząc jeszcze do grobli Sydor aż plasnął w ręce z ukontentowania i zawołał:

— Tatu!.. stara Semenycha z pełnemi nas spotyka... Będzie nam szczęście się w drodze.

I rzeczywiście, stara kobieta dźwigała napełnione wodą wiadra i zbliżała się ku nim.

— Pomahaj Bih! — rzekł Andrij.

— Daj Boże zdrowia — odpowiedziała baba — niech was Pan Bóg prowadzi, idźcie zdrowi.

— Ze szczęściem nas, babunio, spotkaliście.

— Bodaj-że was Pan Bóg, moje dzieci, ze szczęściem spotykał — odpowiedziała baba.

Z tem wszystkiem, pomimo tak pomyślnego prognostyku, Andrij za kolowrotem przeżegnał drogę i dopiero puścił się z całą ufnością, skierowawszy się ku szlakowi, prowadzącemu do Skwiry.

Nie będę opisywał przygód podróжных naszych wojażerów

ani miejscowości, przez które oni przechodzili. W przygodach była straszliwa monotonność: gdzie zaszli, znaleźli gościnność, a zachodzili po wsiach do chłopów, do pierwszej lepszej chaty i wszędzie przenocowano ich, jeżeli trafili na noc, nakarmiono i zaopatrzone na drogę tak, że jeżeli wypadło im nocować w miasteczku, to Andrij nie potrzebował rozwiązywać kalety. Co się zaś tyczy miejscowości, podróży krajobrazów, to te były także mniej więcej monotonne — zwyczajnie jak na Ukrainie: gór nie ma; wszędzie otaczają cię role, łąny, gdzie-niegdzie step, albo las; a wszędzie tam — czy na czarnej roli, czy na zalanym zbożem łąnie, czy w otwartym stepie lub w lesie — drga życie, ogłaszające się bądź krakaniem wron kłócących się w brudzie o robaki, bądź lataniem krasek, kawek, gawronów, gołębi, podskakiwaniem pośmieciuch na drodze, szczebiotaniem wiszącego w powietrzu skowronka, wabieniem w zbożu przepiórzczy i chrapliwym przepiórów odzywaniem się, derkaniem derkaczy i dzwonieniem koników polnych. Zapełnił Bóg pola ukraińskie żyjącymi istotami i napełnił je ruchem i wonią życia, tak, że nigdzie nie możesz poskarżyć się na samotność zupełną: znajdzie się obok ciebie zawsze coś takiego, co ciebie obawia się, szanuje, a okazując tobie obawę i szacunek, rozrywa twoją uwagę i przypomina, żeś nie sam na Bożym świecie. Furknie jakaś ptaszyna, przebiegnie mysz polna, suseł da nurka do jamy, pomknie zając, podniesie się stado dropi lub zerwą kuropatwy — oho! już gonisz je okiem i myślą i gotówbyś pójść za nimi gdybyś miał czas po temu. A jak się zaczniesz rozpatrywać w kwiatach, któremi natkane sogłówki i stepy, w bodiakach pokrywających odłogujące role, a jak zaczniesz miarkować ile kąkolu Bóg zasiał pomiędzy zbożem i w jakim stopniu umartwił nim rolnika, to ci przechód przez ukraińskie pola wyda się przechadzką ogrodową. Chyba żeś człowiek zimny lub zbutwiały, żeś się wyrodził lub przerodził i na twoją rodzimą ziemię poglądasz obcym okiem.

Takiem okiem nie poglądał ani Andrij ani Sydor, i dlatego było im w podróży wesoło. Sydora interesowało wszystko: on wszystko przymierzał do Zahornik. Czy to po łąnie zboża puścił oko, zaraz powiadał:

— Ehe! u nas łąny większe — albo — mniejsze...

Czy to obaczył siniejący na horyzoncie las:

T. T. Jez. T. I.

4

— O! a i u nas las tak sinieje, niby chmura daleka, kiedy się popatrzysz na niego od dworu.

Czy łąka, lub cokolwiek innego wpadło mu w oko, wszystko było większe lub mniejsze, ładniejsze lub brzydsze, lepsze lub gorsze, albo takie same, *kryszka w kryszkę*, jak w Zahornikach.

O ludziach nawet w takiż sądził sposób. Jeżeli gdzie z poważnym a starym zeszedł się gospodarzem, wywierającym wpływ na gromadę:

— A to on w tej wsi, niby Josyp Kozohryz — mówił do ojca.

I tak szło bez końca: widział Semenów i Kondratów i wszystkich. W jednym miejscu był świadkiem jak baba złajała, spaskudziła męża:

— Ot i Nastka Wasylowa — szepnął do Andrija.

Dziewczętom się także przypatrywał pilnie; ale nie udzielał ojcu uwag nad niemi; a czy spotkał taką jak ta, do której przez okno zaglądał? — o tem powiedzieć nie umiem. Zresztą zaś, rzeczby można, Bisnowaci nosili z sobą obraz i rozmiary Zahornik i przykładali je wszędzie i do wszystkiego: bo i Andrij, ujrzawszy co, nieraz pierwszy odezwał się, że to takie albo nie takie jak w Zahornikach.

Taką była ciągle ta strona postrzegawcza ich wędrówki. Gdy ruszyli z noclegu, natychmiast rozpoczynały się uwagi i postrzeżenia nad chatami chłopskimi, dworami pańskimi, karczmami, młynami, stawami, groblami, kołowrotami, figurami, nad posiewami, rolami, bydłem, ludźmi, słowem nad wszystkim a wszystkim, a czego mogli dotknąć się palcem, to dotknęli się: np. gdy przechodzili mimo dojrzałych lub dojrzewających zbóż, to albo ojciec albo syn musiał koniecznie urwać kilka kłosów i rozetrzeć w rękę, aby dowiedzieć się, czy kłosa pełne i jakie w nich ziarno. Postrzeżenia te, jak powiadam, rozpoczynały się z każdym rankiem a kończyły wieczorem, kiedy ojciec i syn, podłożywszy torby pod głowy i przykrywszy się czuhami, usypiali jeden obok drugiego, na podłodze, pod gościnną jaką strzechą.

Lecz nie postrzeżenie było celem ich podróży. Stało się ono rzeczą dodatkową, podrzędną, której oddawać się mogli mimochodem, w tych przerwach czasu, w których nie mieli możno-

ści lub sposobności oddawać się badaniu tajemnic cerkiewnej architektury.

Przerwy te były długie; badanie szło im z nadzwyczajną, niespodziewaną i nieprzewidzianą trudnością.

Andrij myślał, opuszczając Zahorniki, że jak tylko zajdzie do jakiej wsi, jak tylko powie ludziom o celu wędrowki swojej, to natychmiast ludzie otworzą przed nim wszystko, pokażą wszystko i opowiedzą o wszystkim, że jedni przed drugimi na wyścigi będą udzielali mu architekuralnych wiadomości. Zawiódł się i zawiódł podwójnie: i na ludziach i na cerkwiach.

Cerkwie po największej części były takie same jak stara Zahornicka cerkiewka; nie potrzebował więc wnikać w tajemnice ich budowy, bo tajemnice te w części już posiadał, w drugiej zaś części pewnym był osiąść w swojej wsi, gdy stara cerkiewka rozebrana zostanie. Gdy zaś spotkał gdzie cerkiew odmienną, większą, piękniejszą, to tyle było trudności w zbadaniu jej, tyle mu przeszkód stawiano, że często odchodził, nic nie wskórawszy. Podejrzowano go o jakieś zamiary nieczyste. W dwóch czy trzech miejscach, pomimo wyraźnego od Zahornickiej ekonomji zezwolenia wędrowania, zabito Andrija i Sydora w dyby i odstawiono do powiatu dlatego tylko, że jeszcze się nie zdarzało, aby chłopci w takim celu włóczyli się ode wsi do wsi. A jeżeli gdzie czyniono zadość ich żądaniu, to niechętnie, byle się ich pozbyć, pokazywano pospiesznie, opowiadano niewyraźnie, piąte przez dziesiąte, tak że kiedy Andrij chciał w myśli swojej ułożyć ogólne pojęcie o tem co widział i słyszał, to koniec z końcem się nie schodził i w rezultacie wypadło tak, jakby nic nie widział, ani słyszał, ba czasami jeszcze nawet gorzej. Pomiedzy tymi, którzy niby to brali się do nauczania Andrija, zdarzali się i tacy, którzy go bałamucili umyślnie, bez względu na to, że to grzech straszny, wołający o pomstę do Boga — bałamucić człowieka... Zdarzają się jednak ludzie, których głowa takim napełni się paskudztwem, że popełniając najstraszniejszy grzech, popełniają go w najlepszej wierze, myśląc że dobrze czynią...

Bolało to Andrija, smuciło, ale nie zrażało. Kto inny na jego miejscu człowiek tak zwany „rozumny“ i „umiarkowany“ ułożyłby sobie taki syllogizm: „jeżeli nie powiodło mi się w dziesięciu miejscach, to nie powiesz i w jedenastem i tak następnie, aż do końca; nie mam więc po co chodzić“; obszedłby

zatem, dla zaspokojenia sumienia własnego, ze trzydzieści cerkwi i powrócił do Zahornik i powiedział gromadzie: „oto widzicie, pokrwawiłem nogi, zdeptałem postoly i podarłem odzienie dla waszego dobra, ale nie wskórałem nic, bo nic wskórać nie można; zasłużyłem się jednakże, bom szukał, a chociaż nic nie znalazłem, to to nie umniejsza zasługi mojej.“ I gromada, oglądając jego nogi, postoly i czuhaj, dziękowałyby mu i wołała „zasłużony!“ A jeżelibyś się wyrwał: „przecież on nic nie zrobił!“ zakrzyczano by ciebie: „bo on ma rozum i umiarkowanie!.. był w trzydziestu miejscach: po cóż miał chodzić w trzydzieste pierwsze?... jeżeli w trzydziestu nic nie wskórał, to trzeba chyba być warjatem, aby przypuszczać że się co wskóra w jednym!“

Lecz niedaremnie Andrija przezwano Bisnowatym *). Obzedł on nie trzydzieści, ale sto z górą cerkwi; nic nie wskórał — i szedł dalej.

Nie można jednakże powiedzieć, że wszędzie odprawiano go z niczem. Trafiał i na życzliwych ludzi, którzy robili dla niego co mogli; ale życzliwi ci częstokroć zrobić mogli nie wiele. Tak np. wszędzie prawie gdzie nocował, gospodarz, gospodyni i dzieci przejmowali się żywo potrzebą pobudowania cerkwi w Zahornikach, lecz — cóż mogli oni poradzić, wiedząc zwykle w materji budowniczej bez porównania mniej, jak Andrij!..

Przytrafiały się także podróżnym naszym gratki nie lada. Tak np.: po dwumiesięcznym chodzeniu dobili się oni do wsi Holijówki w okolicach Olhopola, za Braclawiem, w przeciwnej stronie od tej, którą wyszli z Zahornik: wyszli na północ a znaleźli się na południu. Wieś ta była duża, zamożna, prześliczna cerkiew murowana panoszyła się na wzgórzu i widać ją było z daleka. Andrij przypatrywał się murowanym cerkwiom, ale tylko z daleka, więcej przez ciekawość, bo w Zahornikach o murowaniu ani myśleć można było. Więc chciał spocząć tylko w Holijówce i iść dalej, i w tym celu zaszedł do karczmy dużej, porządnej, stojącej nad drogą i napełnionej ludem.

Karczma napełniona była ludem dlatego, że była to niedziela, a pora dnia, chociaż nie ze wszystkim jeszcze późna,

*) Bisnowaty znaczy mający biesa, djabła w sobie — warjat.

bliższą już jednakże była wieczora jak ranka. Na podsieniu grała muzyka a w izbie szynkowej siedzieli za stołem gospodarze. Andrij i Sydor weszli do izby, pozdrowili siedzących i zasiedli za stołem.

Cudzy człowiek wzbudza zawsze ciekawość. Usunęli się gospodarze holijowieccy, aby zrobić miejsce na ławie wędrowcom naszym i spojrzeli po nich, zmierzili ich od stóp do głowy, robiąc takie mniej więcej w myślach swoich uwagi: „Jacyś to podróżni i z daleka, nie z sąsiednich wsi: bo gdyby z sąsiednich wsi przyszli, to nie przyniesliby z sobą torb i inaczej wyglądali.“ Rzeczywiście bowiem u nas chłopci w rozmaitych okolicach rozmaicie wyglądają, jeżeli nie pod względem wyrazu fizjognomji, to pod względem odzieży i sposobu noszenia takowej. W jednym miejscu noszą świty z kapturami bez wyszyć, w drugim z wyszywaniem, w innym bez kapturów, w jednym czapki spiczaste, w innym krągłe, w innym rozcięte u góry; różnią się nawet kolorami wyszywań: tu przemaga kolor czerwony, ówdzie błękitny. Gdy osiedzisz się więc w jednej jakiej miejscowości i przywykniesz do pozoru jej mieszkańców, to ujrawszy przybysza z odleglejszej okolicy, poznasz od razu, że jest przybyszem z daleka, chociaż od razu nie zdasz sobie sprawy dlaczegoś go poznał. „Inaczej jakoś wygląda, nie po naszymu,“ powiesz.

„Nie po naszymu“ w Holijówce wyglądali Andrij i Sydor. Spoglądali na nich z pod oka gospodarze, i opatrzwszy ich dobrze, jeden z nich, siedzący naprzeciw Andrija, zagadnął:

— Zdaleka widać przybywacie.

— O, zdaleka — odparł Andrij — od Humania ta Taraszczy.

Wszystkie słuchy skierowały się ku Andrijowi.

— Human... hm... to nie tak bardzo ztąd daleko, ale Taraszcza dalej... Znam ja, znam i Taraszcę: to jakoś niby na drodze do Kijowa... Za Taraszcą Biała-Cerkiew, a za Białą-Cerkwią już i Kijów — odezwał się jakiś niemłody człowiek. — Ono tak jakoś wypada w tej stronie... tak... I pokazał palcem przez okno karczemne, i dodał pytającym sposobem:

— Nieprawdaż?

— Tak ono zdaje się, że tak — odparł Andrij.

— A jak tam w waszych stronach zboża wyglądają? —

zapytał inny gospodarz, bliżej ku drugiemu końcu stoła siedzący.

— Było niczego, jakim wychodził; ale jak tam teraz, nie wiem, bo to już ósma niedziela jak w drodze jestem...

— Ósma niedziela! — rzekł ten, co to wiedział w której stronie Kijów leży — czy prosto z domu?

— To to i jest, że nie prosto — odrzekł Andrij.

— A jak się wieś wasza nazywa?... — zagadnął jeden.

— Zahorniki.

— Zahorniki — powtórzył każdy pod nosem, raz i drugi.

— Pod Taraszcą powiadacie?

— Nie tak to pod samą Taraszcą; od nas i do Humania niedaleko i do Zwinogródki i do Talnego.

— Znam! znam! — zawołał niemłody gospodarz — ono także w tej samej stronie, co i Kijów, kiedy pojedziesz do niego pocztowym szlakiem.

— Gdzie!... hej!... diad'ku!... zablądziście!... — odezwał się inny, który dotychczas milczał, a po którego rezolutnej minie i trochę inaczej przykrojonej odzieży znać było, że służywał przy dworze.

— Nu, a jakżebyś do Kijowa jechał? — zapytał się niemłody gospodarz, nastroiwszy minę w sposób drwiąco-protekeyjny.

— Na Braclaw, ta na Lipowiec...

— Howory!... — przerwał pierwszy — to jedna droga a to druga!... Jabym tobie jeszcze i trzecią i czwartą powiedział!... Czy ty wiesz: że wszystkimi drogami do Kijowa trafić można?

— Bóg z wami, diad'ku! — wołał dworak — a pojedziecie do Kijowa przez Bałtę!...

— Pojadę!... otżęz pojadę!... oto tak...

I jał się bywalec rozpowiadać drogę przez Bałtę, do której namieszał kilkanaście nazw rozlicznych miasteczek i wsi. Dworak mu przeczył. Powstał gwar. Jedni wzięli stronę niemłodego gospodarza, drudzy dworaka, i wszczęła się ogólna, dość głośna rozmowa, którą zainteresowali się wszyscy siedzący za stołem, i odwrócili uwagę od naszych wędrowców.

A tymczasem na podsieniu karczemnem muzyka brzmiała i przez drzwi otwarte widać było, jak hulali holijowieccy parobcy i dziewczęta. Sydor nie uważał na zastolną rozmowę, a całym wzrokiem i słuchem był na podsieniu. W końcu nie wytrzymał.

— Tatu — rzekł półgłosem trącając Andrija łokciem — pójdę w taniec...

— Idź — odparł Andrij — ale pamiętaj, że do wieczora daleko, i że w Holijówce nie będziemy nocowali... Zmęczysz się, ustanieś potem.

— Nie! jeden tylko taniec... — odpowiedział, wstając i na podsienie wychodząc.

Muzyka właśnie grać przestała. Dziewczęta zbiegły się w gromadki i szeptały pomiędzy sobą, obcierając rękawami spoczone lica, a parobcy tu i ówdzie chodzili niby te indyki, poprawiając czapki na bakier i gładząc wąsy, jeżeli który z nich miał wąsy. Kilku parobków stało w kółko: o czemś rozmawiali ze sobą, śmiali się, a jeden z nich pogwizdywał. Do tego kółka zbliżył się Sydor, pokłonił się i przemówił:

— Na zdrowie wam, panowie mołojcy, holijowieccy parobcy!... Niech za złe przez was moja prośba nie będzie uważaną... Zróbcie mi cześć i pozwólcie przetańczyć jeden taniec w waszej kompanji... Ja podróżny; odtańczę, pokłonię się wam — i pójdę...

Parobcy spojrzeli po sobie, obrzucili Sydora oczami od stóp do głowy, i ten co pogwizdywał, a który, jak mu z miny patrzyło, rej wodził, ścisnął ramionami i rzekł:

— Czemu nie... kiedy wola; niech nie będzie powiedzianem, że holijowieccy parobcy nie radzi cudzym, lub że się obawiają, aby im kto u ich własnych dziewcząt sławy nie popsuł...

— Niechby choć wódki postawił — powiedział półgłosem parobek inny.

— Nie godzi się!... podróżny!... — odparł pierwszy.

I Sydor stanął w kółku pomiędzy parobkami, jak towarzysz pomiędzy towarzyszami. Po chwili odezwało się strojenie skrzypców. Dziewczęta poczęły przemrugiwać się, chłopcy prostować i nadymać. Skrzypiciel nastroił; pociągnięciem smyczka od razu po wszystkich strunach dał znak, że zaczyna; mruknęła basetła, odezwały się cymbały — i parobcy jeden po drugim poczęli występować na środek; a kiedy orkiestra grzmotnym chórem zagrała do tańca, parobcy uszykowali się jedni na przeciw drugich, i przebierając nogami, poczęli mięszać się i kręcić pomiędzy sobą, nie uważając niby na grupy stojących i oczekujących dziew-

czął. Była to introdukcja taneczna, która krótko trwała. Każdy z parobków, po kolei, zatrzymywał się przed jedną z grup dziewczęcych i skinieniem palca wyzywał tanecznice, która wychodziła, podawała tanecznikowi końce palców lub chustkę i okręcała się na miejscu, trzymając się podniesionej do góry ręki tanecznika. Poczem parobek puszczał dziewczynę, brał się rękami w boki i hulał każdy naprzeciw swojej wybranej, zbliżając się ku niej, to oddalając, wybijając holubce, tropaka, idąc prysyudy. Dziewczyna, rozumie się, ze swojej strony także hulała, stosując się do poruszeń swego kawalera. Muzyka grzmiała, każda para tańczyła wesoło i z ochotą, ale nikt takiego wesela, ani takiej nie okazał ochoty, co Sydor. Widać obudziła się w nim próżność; chodziło mu snadź o to, aby pokazać się pomiędzy obcymi: bo tak nastroił minę, że mimowolnie wszyscy, i parobcy i dziewczęta, zwrócili na niego uwagę. Było mu trochę niedogodnie w podróznym postolach, bolały go nieco pięty, ale jak się rozhulał, to i postoly nie zawadzały i o bolu pięt zapomniał. Jeżeli się wyprostował, to wyglądał jak orzeł — sunął, jakby płynął; a jeżeli puścił się w prysyudy, to do samej ziemi przypadał — wyrzucał nogami na prawo, na lewo, na przód, na tył, jakby te nogi nie do niego należały, i jakby chciał je porozrzucić po podsieniu. Zapatrywały się na niego dziewczęta, zapatrywali parobcy, a ci co nie tańczyli, ściśnęli się gęstem kołem i dziwowali się cudzemu parobkowi.

W tej właśnie chwili wszedł na podsienie człowiek jakiś średniego wieku, dobrej tuszy, rumianych policzków, ozdobionych potężnym sumiastym wąsem, ubrany z chłopska, ale dostatnio, bo w granatowym żupanie, w siwej czapce, w porządnym bótach. Wszedł, stanął, popatrzył się na tańczących, uśmiechnął się uśmiechem zadowolenia, pokręcił wąs, postął przez chwilę i udał się do szynkowej izby, w której nie ustała jeszcze sprzeczka.

— *Pomahaj Bih*, panowie gromada! — rzekł głośno wchodząc.

Spór ustał raptem, i wszyscy przytomni odpowiedzieli chórem:

— *Daj Boże zdrowia!*

— Siedzicie tu — mówił dalej tymże głosem przybyły — a nie widzicie jak na podsieniu obcy jakiś parobek hula... Hej, hulaż — hula!... jużem dawno nie widział takiego mołojca.

Wymówiwszy to, usiadł za stołem, a holijowieccy gospo-

darze popatrzyli przez drzwi do podsieni i kolejno każdy z nich zatrzymywał wzrok na Andriju.

— Co to za parobek? — zapytał przybyły.

— A, to chyba dowiecie się o tem, panie majster, od tego człowieka — odpowiedział jeden z gospodarzy, pokazując skiniem głowy na Andrija, zapomnianego z powodu sporu o drogę i czekającego niecierpliwie na koniec tańca, aby puścić się w dalszą podróż.

— To mój parobek — rzekł Andrij wyzwany zapytaniem przybysza i ukazaniem gospodarza.

— A z kąd Pan Bóg prowadzi? — znowu zapytał człowiek w granatowym żupanie.

— Z Zahornik — odparł Andrij.

I powtórzyły się zapytania i odpowiedzi, takie prawie same jak te, które wywołały sprzeczkę pomiędzy niemłodym gospodarzem a dworakiem, i byłyby może powtórnie wywołały sprzeczkę też samą, gdyby jednemu z Holijowców nie przyszło na myśl spytać Andrija:

— Dokądże to was i po co Pan Bóg prowadzi?

Andrij opowiedział cel swojej wędrówki i zawody jakich doświadczył. Holijowczanie słuchali z uwagą i zajęciem; a gdy skończył, jeden z nich rzekł, wskazując na człowieka w granatowym żupanie:

— Oto macie majstra!... poradźcie się ich... Oni postawili już nie jedną cerkiew w życiu swoim.

Na te słowa Andrij powstał, na twarzy jego rozlał się wyraz głębokiego uszanowania, zdjął czapkę, pokłonił się w pas człowiekowi w żupanie i powiedział:

— Panie majster, jeżeli łaska... proszę was... nauczcie mnie... ja wam podziękuję i, jeżeli zechcecie, odśluzę, a Pan Bóg wam wynagrodzi.

— Czemu nie — odparł majster, z pewnym rodzajem lekceważenia — posiedźcież przez chwilkę; pogadamy o tem.

Andrij usiadł, a serce jego zabiło tem uczuciem, jakiego doświadcza się, gdy jest się blizkim osiągnięcia przedmiotu gorących życzeń, i gdy ta bliskość waży się na szali wątpliwości. Człowiek nie myśli w takiej chwili, albo raczej myśli tak szybko,

twierdzenie i przeczenie, pomyślność i niepomyślność, radość i nieradość, smutek i niesmutek tak bystro, nakształt mięszanych przez szulera kart, tasują się w głowie i mkną przez serce, że w rezultacie myślenia wypada: zero, jak w tej formie algebraicznej: $a - a = 0$. Zmienił on natychmiast projekt niezwłocznego opuszczenia Holijówki, i gdy Sydor odhulawszy i usiadłszy obok niego, przypominał mu, że czas w drogę, Andrij powiedział:

— Cóż się tobie tak spieszy!... posiedź jeszcze.

Nie długo jednakże siedzieli. Człowiek w żupanie pobarszkował, pośmiał się, pożartował z siedzącymi za stołem, wstał, pożegnał towarzystwo głosem „Bądźcie zdrowi“, i zaprosił z sobą Andrija i Sydora.

Człowiek ten w żupanie nazywał się Aksenty Snop, przezwany snopem znać dlatego, że wyglądał pękato, jak dobrej miary pszenny lub jęczmienny snop. Był to budowniczy wiejski. Nie wiem gdzie on wyuczył się budownictwa; piśmiennym nie był, umiał jednak budować i doszedł do takiej w okolicy sławy, że używano go po wsiach i miasteczkach do stawiania domostw zajezdnych, dworców, dworów i cerkwi, i znano go w Olhopolu, Berszadzcie, Czeczelniku, a nawet i w Piszczanie.

Zaprowadził on wędrowców naszych do swojej chaty i na progu powitał jak gości i jako takich polecił żonie i dzieciom. Nie będę opisywał ani chaty jego, ani jego rodziny, bo jak spotkanie się Snopa z Andrijem było przypadkowem, tak rola jego w opowieści naszej nie jest wydatną. W błędzeniu Andrija znalazł się on jak słup przydrożny, na którym ten, co umie czytać, wyczyta, że tyle drogi uszedł, a tyle ma jeszcze przed sobą — i nic więcej.

Snop rozpytał się Andrija o wszystko i dowiedział się, że w budowniczym zawodzie największym jego majstersztykiem był gołębnik.

— Hm! — powiedział — od gołębnika do cerkwi daleko, ale już zająć można.

I przetrzymał Andrija do wieczora, i przez cały poniedziałek, i przez ten czas rozpowiadał mu o fundamentach, belkach, słupach, o wiązaniu i o wszystkim, co tyczy się cerkwi. Rozpowiadał i patykami na stole pokazywał, jak co do czego przy-

stosować należy, żeby się trzymało. Andrij pożerał każdy wyraz, dopytywał się. W końcu Snop tak mu rzecz wyłożył:

— Szkoda, że nie buduję teraz cerkwi... Gdybyście stanęli przy mnie, tobyście duchem się nauczyli... Ale posłuchajcie, co wam powiem: idźcie i jak nadybiecie gdzie budującą się cerkiew, stańcie do roboty. W robocie sami dojdziecie, czego wam potrzeba.

Andrij uznał słuszość tej rady i puścił się w dalszą podróż, z zamiarem poszukiwania budującej się cerkwi. Skorzystał on przy Snopie: urobił sobie ogólne pojęcie, a za największą korzyść uważał to, że zdobył wyraźniejszy cel podróży. Nie zatrzymywał się więc, jak przedtem, przy każdej cerkwi, nie prosił ni kłaniał się, ale szedł i szedł, oglądając cerkwie z wierzchu i rozpytując się po drodze ludzi: czy nie wiedzą o jakiej budującej się.

Minał Sawrań, wziął się ku północy, rzucił się na prawo, dotarł do Dniepru — ale ani zasłyszał, żeby gdzie cerkiew stawiano. Aż w okolicach Bohusławia dowiedział się od jakiegoś umyślnego wiozącego list z Białej Cerkwi do Smiły, że z tamtej strony Białej-Cerkwi jest wieś, która nazywa się Korczyk, a w tej wsi buduje się cerkiew. Udał się więc wprost do Korczyka, a udał się tem skwapliwiej, że to już przychodził czwarty miesiąc, i tylko mu pozostawały trzy niespełna.

W Korczykku na samym wstępie, zaledwie minął kołowrót wnet budowlę ujrzał. Fundamenta były jeszcze niezasypane: widać było podwaliny, na których stały słupy, powiązane belkami; cały szkielec cerkwi przedstawiał się od razu. Dokoła tego szkieletu leżały drzewa obrobione i nieobrobione, spoczywały stopy desek, krokwi, łat etc. i pracowało kilkunastu cieśli, pomiędzy którymi przechodził się poważnie jegomość jakiś w kubraku udającym surduta, z kańczukiem w rękę, którym pomachiwał od niechęcia i dla rozrywki uderzał po leżących na ziemi drzewach.

Andrij i Sydor podeszli ku najbliższej od nich pracującemu cieśli. Był nim człowiek siwy i stary. Siedział wierzchem na drzewie i obciosowywał je z boku barda. Po zwykłym pozdrowieniu Andrij zapytał:

— Co to robicie?

— Cerkiew.

— A gdzie wasz majster?

— Nie ma.

— To bez majstra budujecie?

— A bez majstra.

— Któż prowadzi robotę?

— Dziedzic.

— Dziedzic sam?

— A sam.

— To może oni? — zapytał Andrij, ukazując nieznacznie na człowieka z kańczukiem.

— Ale gdzież tam! to ekonom — i dodał pospiesznie: — odejdźcie, zmiłujcie się, bo nie słyhać, jak krzyknie psiawiara, a może jeszcze i kańczukiem skrobnie.

A zaledwo wymówił to stary cieśla, dało się słyszeć wołanie:

— Hej' co tam za rozhowory!... Czemu nie robisz, ty, bo-
daj ci mac zamordowało!...

Stary cieśla poprawił się na siedzeniu, splunął na dłoń, wyrzucił bardą młyńca i począł nią gęsciej ciukać. Andrij i Sydor odstepili na kilka kroków, cofając się tyłem, i ujrawszy że ekonom ku nim zmierza, pozdejmowali czapki i zatrzymali się.

— Co to za ludzie? — zapytał ekonom na wiatr. — Zkąd wy? — zapytał zatrzymując się przed nimi.

— My cieśle, wielmożny panie — odparł Andrij kłaniając się — szukamy roboty... Czy nie możnaby stanąć tu?..

— A papier z ekonomji macie?..

— Mamy — odrzekł Andrij, wydobywając z za nadrza papier i pokazując.

Ekonom przeczytał uważnie pozwolenie na wędrówkę, obejrzał je i rzekł oddając:

— My robimy swoimi, najemnych nie potrzebujemy.

— Mybyśmy, wielmożny panie, robili za kawałek chleba, byle robić.

— Hm! — mruknął ekonom — idźcie do dziedzica...

Wyrzekłszy to, odwrócił się do starego cieśli i podnosząc przed nim kańczuk, taką mu palnął perorę:

— A ty, stary, nie *wylaj*, w rozhowory nie wdawaj się, bo ot widzisz — i trząś kańczukiem — tak ci plecy spiszę, że przez ruski miesiąc nie wygoisz się!... Ty wiesz, że ja nie żar-

tuje... Co to za muzycka natura!... byle jaki przybłęda podszedł do niego, to on zaraz bierze się do rozmowy!... O, jaki mi do rozmowy... Już ja was nauczę!... To was ten tak rozpuścił, jak cygańskie fajdy... Ja nie będę was głąskał... o! nie...

Stary cieśla nic na to przemówienie nie odpowiedział, tylko cieszał i cieszał, tak samo, nie powolniej i nie prędzej, nie słabiej i nie mocniej, jak podczas rozmowy z Andrijem. Ekonom skończywszy z cieśłą, zwrócił mowę do naszych podróżnych:

— A wy czego tu stoicie! — krzyknął — czegoście powybałaszali oczy jak bałwany!... precz, bo ja was tu... nauczę mores!...

I posunął się ku nim z podniesionym kańczukiem. Andrij i Sydor, rozumie się, nie czekali na bardzo blizkie przystąpienie ekonomy — zwrócili się i odeszli. Andrij zmilezał pokornie, ale Sydorowi jakies głuche stęknienie wydobyło się z głębi piersi, z twarzy ustąpiła wszystka krew, usta poblady i drżeć poczęły, jakby febra niemi trzęsła, zacisnął zęby i pięście i szedł obok ojca, długo nic nie mówiąc. Gdy oddalili się na parę set kroków, Sydor głośniej stęknął, Andrij spojrzął na niego, stanął i zapytał:

— Co tobie?

— Och, tatu! — odezwał się — ten panek jak psy nas odegnał!...

Andrij nic nie odpowiedział. Poszli dalej.

— Gdzież to my idziemy? — zapytał Sydor po chwili.

— Do dworu — odparł Andrij — poprosimy dziedzica o pozwolenie robienia przy cerkwi.

— Toż nas ztamtąd psami wyszczują!... Chodźmy stąd lepiej...

— A Zahorniki!... a cerkiew! — a gromada nasza!... — rzekł Andrij.

Poszli do dworu.

Dwór korczycki był dworem nielada. Murowany, pokryty dachówką, ozdobiony gankiem z kolumnadą i sztukaterjami, wzniesiony na suterrenach, których okna na wzór miejski były zakratowane, oświetlony dużemi o eleganckich żaluzjach oknami, opatrzony szerokimi, prowadzącymi na ganek kamiennymi wschodami, miał dwa pawilony *alias* oficyny z dwóch stron dziedzińca, otoczonego lanemi z żelaza sztachetami. Dziedzinec był kwadratowy i urządzony według planu, z zachowaniem ścisłej sy-

metryczności. Na samym środkowym punkcie onego rósł duży krzak róż, który z zasadzonymi dokoła w gruncie, w wazonach i wazonikach kwiatami formował olbrzymi, gęsty, konicznego kształtu bukiet. Z tego środkowego punktu kilkudziesięciokrowym promieniem zakreślone było koło, obsadzone na obwodowej linii swojej żywopłotem równo przystrzyżonych gęstych krzewów, a na przestrzeni pomiędzy bukietem i żywopłotem rozścielał się trawnik, mający pozór aksamitnego zielonego kobierca, na którym tu i owdzie przebijały się rzutki niziutkich kwiatów, rosnących tam niby od niechcenia. Trawniki ten opasany był szeroką, żwirową drogą, której zewnętrzny obwód dotykał czterech punktów kwadratu dziedzińca, a w tych punktach były: w jednym — murowana, ozdobna brama wjazdowa, w drugim — wchód do jednego pawilonu, w trzecim — ganek dworu, w czwartym — wchód do drugiego pawilonu. Przerwy pomiędzy punktami temi, stanowiące cztery równe łuki koła, wysadzone były jaworami, a z poza jaworów, ocienione konarami ich, przegładaly trójkąty trawników. Na dwóch z trójkątów tych, przylegających do dworu, wznosiły się wyrzeźbione z białego karraryjskiego marmuru dwie symboliczne postacie, wyobrażające cnoty chrześcijańskie i sprawiające cudny efekt w połączeniu z rozłożystemi drzewami, z ogrodowymi sztaketami, ustrojonemi w zielone sploty bluszczów i powojów, i z perspektywą ogrodu. Na piedestałach figur tych wyrzeźbione były napisy, na jednym: — *Kochaj bliźniego twego jak siebie samego.* Na drugim. *Nie czyni drugiemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono.*

Nie zaglądam ani do ogrodu, ani do wnętrza dworu; nie prowadzę czytelnika do gustownych salonów, eleganckich gabinetów, bogatej biblioteki, ani do zbrojowni, zawieszonych starymi pancerzami, kolczugami, mieczami i rozlicznymi archeologicznymi pamiątkami, ani do pracowni, w której stały malarskie sztalugi i stoły zapełnione architektonicznymi i mechanicznymi planami, i matematycznymi instrumentami; nie będę opisywał mebli, posążków, malowideł, waz etruskich etc. etc. rozstawionych po pokojach. Nie zaglądneśli do pokojów tych wędrowcy nasi, więc i my nie zaglądniemy. Rozpytał Andrij o dwór, choć go widziano na całą wieś, przyszli pod bramę i — stanęli. I nie wiedzieli co dalej z sobą zrobić — czy na dziedzińiec wejść, czy przed bramą czekać? nie wiedzieli nawet dobrze: czy to dziedzińiec,

czy ogród — tak tam było pięknie, czysto, świeżo i gustownie — takie na ich proste umysły wywarł wrażenie objaw myśli artystycznej, która potrafiła wiejskie zacisze tak uporządkować i ubrać, że zamieniło się na rajek. Przemówiło to szczególnie do wrodzonego Andrijowego poczucia piękna. Nie znał się on na wymiarach geometrycznych, ale instynktowo prawie odgadł prawidło symetrii, przewodniczącej rozkładowi przedmiotów na tym dworskim dziedzińcu, i poczuł jakiś rodzaj sympatycznego pociągu do twórcy tej symetrii, jakowąś pokrewność duchowną pomiędzy nim a sobą. Stał przed sztachetami, patrzył i napatrzeć się nie mógł; brama była otwartą, a jednakże wejść — nie śmiał.

— Co to za śliczny dwór! — rzekł Sydor, przerywając ojcu za długo trwające zapatrzanie się.

— Cudo nie dwór — odparł Andrij.

— Ale zdaje mi się, że tam wejść nie można.

— Ot, nie wiem... Poczekajmy, ktoś będzie przechodził, to spytamy się.

Poczekali i niedługo czekali. Wychodził z dziedzińca jakiś dworski, snać stajenny, bo czuć od niego było koniem. Andrij podszedł ku niemu:

— Pozwólcie się spytać z przeproszeniem — rzekł — czy nie można mówić z dziedzicem?...

— Czemu nie... — odparł dworski.

— A czy można tam wejść? — i pokazał palcem na dwór.

— Do dworu, nie, he! — i zaśmiał się dworski.

— Nie do dworu, ale na dziedziniec i poczekać póki dziedzic nie wyjdzie?

— Czemu nie — rzekł dworski i odszedł.

Andrij i Sydor nieśmiało stąpili na próg bramy i jak tylko stąpili, natychmiast pozejmowali czapki. Sydorowi były na myśli psy. A nuż eala zgraja wyskoczy raptem z po za jaworów, z za żywopłotu lub z krzaku róż... co z nimi począć — czy można oganiać się kijem od psów pańskich?... Próżną jednakże była obawa jego. Na dziedzińcu korcezyckiego dworu były tylko dwie istoty czworonożne, należące do psiego rodzaju: prześliczny wyżeł i chowany wilk. Wyżeł leżał na ganku z miną prawdziwie filozoficzno-arystokratycznej zadumy, błędził oczami po różach, trawnikach, żywopłotach, jaworach, i ani raczył zwrócić uwagi

na przekraczających bramę dworską, wilk zaś, zwinąwszy się w kłębek, spał snem sprawiedliwego pod jednym z symbolicznych posągów. Przekroczyli więc wędrowcy nasi bramę, wzięli się na prawo, i powoli, z uszanowaniem podchodzili ku dworowi, a do- szedłszy do oficyny, zatrzymali się.

— Postójmy tu, ktoś się pokaże, to jeszcze się rozpytamy... Kto pyta ten nie błądzi — szepnął Andrij do Sydora. — A może kto znajdzie się taki, co o nas dziedzicowi powie.

Miejsce, w którym zatrzymali się, znajdowało się naprzeciw otwartych okien oficyny i przez okna te widać było kucharzy i kuchci- ków, pracujących około przysposobienia objadu; zapomniałem bowiem powiedzieć, że pora przyjścia wędrowców zahornickich do dworu była przedobjadową. Przez okna te wydobywały się zapachy sosów i odgłosy siekań, szurowań i skwierczeń, rozchodząc się w powietrzu i mieszając się z zapachami i odgłosami wiejskiego życia. Tam stali, wahali się, słuchali wędrowcy nasi i czekali. Czekali długo: nikt jakoś nie pojawiał się na zewnątrz zabudo- wań otaczających dziedziniec. Wyżel dumał, wilk spał, kucharze siekali — a zresztą wszystko otaczało się tajemnicą, ukrywającą się w pokojach, salonach, gabinetach, kredensach, garderobach. Nakoniec ludzka postać pokazała się na ganku; wyżel kiwnął parę razy ogonem, ziewnął i pozostał w dawnym stanie leżenia; Andrij i Sydor wyprostowali się i postąpili kroków kilka naprzód, stając naprzeciw drzwi oficyny z tajemną myślą zwrócenia na siebie uwagi postaci ludzkiej, stojącej na ganku. A była to po- stać arcy poważna i wielce imponująca, ubrana we frak, w czy- stą, białą i cienką bieliznę, starannie ogolona i uczesana. Prze- ciągnęła ona wzrok powoli po tych wszystkich przedmiotach, po których go od godziny wyżel przeciągał, [postała przez chwilę, zeszła ze wschodów i skierowała kroki ku kuchennej oficynie. Andrij i Sydor odstąpili od drzwi i uszeregowali się równolegle do drogi, którą postać przechodzić miała i którą rzeczywiście prze- szła, ale na nich okiem nawet nie rzuciła. Pozostali oni jednakże w szeregu nieruchomie. Słońce przypiekało odkryte ich łby, pra- gnienie paliło, głód dokuczał, radziby byli i spocząć, posiedzieć, ale ważniejszym nad to wszystko wydawało się im pogadanie z dziedzicem, który wydawał się im być w osobie tej poważnej postaci; nie cofnęli się więc w cień jaworów, lecz nieruchomie, na miejscu, oczekiwali powrotu dziedzica tą samą drogą.

Jakoż wkrótce doczekali się. Postać we fraku wyszła z oficyn. Andrij pokłonił się w pas i rozpoczął:

— Proszę jaśnie wielmożnego pana...

Jaśnie wielmożny pan zatrzymał się, zmierzył dumnie wzrokiem Andrija od stóp do głowy, i zapytał przerywając:

— Co wy za ludzie?

— Proszę wielmożnego pana... my przychodzimy prosić najpokorniej...

Ale postać we fraku nie dosłuchała reszty. Odeszła do ganku, weszła na wschody, rzuciła okiem na róże, żywopłoty i jawory, i znikła we drzwiach dworu.

Wędrowcy nasi znów pozostali w oczekiwaniu. Wąchali i słuchali, i po upływie jakiegoś czasu zaszła odmiana w odgłosach, uderzających o ich słuch. Z wnętrza dworu rozległy się akkordy fortepianu i po nich nastąpiła jakaś fantazja, melancholijna, tęskna, śpiewna, której tony płynęły, rozlewały się. Nie poznali się oni na tem; słuchali, bo słuchać musieli, i milczeli, bo nie mieli o czem mówić, a bynajmniej z zachwycenia, chociaż można było zachwycić się, gdyż tony z fortepianu wydobywała ręka prawdziwie mistrzowska. Na mistrzostwie tem poznał się snać wilk: obudził się, podniósł łeb, posłuchał, wstał, wyciągnął się, ziewnął szeroko i z pewnem jęknięciem, i udał się — do kuchni.

— Tatu, wilk! — zawołał Sydor, i już chciał krzyknąć: huti! — ale Andrij zmytygował go.

— A wilk.

— *Jejbohu*, wilk!

— Musi być chowany.

Wilk tymczasem zatrzymał się przed oficynami, tuż przy wędrowcach, skierował nos ku otwartym oknom, wietrzył przez chwilę i wszedł przez drzwi otwarte.

Nie upłynęło jednakże i pięciu minut, gdy w kuchni słyście się dał krzyk, łajanie, i wypadł przez drzwi wilk, a za wilkiem kuchta. Wilk niósł w pysku sprawioną kurę, kuchta rożen w rękę. W gestykulacji tego ostatniego widać było nieprzyjazne ku wilkowi usposobienie, a nawet objawił się zamiar pchnięcia wilka różnem jak lancą, zamiar ten jednak spełził na niczem: wilk wskoczył przez żywopłot na trawnik, minął krzak różany, wyskoczył z drugiej strony i po

za posągiem, na którym napisanem było; „*nie czyni drugiemu, czego nie chcesz, aby tobie czyniono*“, wskoczył do ogrodu. W całym pędzie obiegający trawnik kuchta, w celu zajścia mu na przełaj, nic nie wskórał — powrócił z próżnym rożnem, i powracając za-trzymał się przy wędrowcach naszych, patrząc na nich wzrokiem pytającym. Andrij skorzystał z chwili.

— To wilk? — zapytał.

— A cóżby miało być innego! — odparł kuchta, opierając się na rożnie poważnie.

— Ukradł kurę?

— Wylezie mu ona bokiem.

— A czy można z dziedzicem pomówić?

— A wam czego od dziedzica potrzeba? — zapytał kuchta zamiast odpowiedzi.

— Chcielibyśmy stanąć do roboty.

— Do jakiej roboty?

— Do ciesielki.

— Na to jest ekonom.

— Ekonom odesłał nas do dziedzica.

— To poczekajcie.

— Toż my czekamy.

— A wiem, że czekacie już ze dwie godziny, bom was widział przez okno; ale trzeba poczekać aż dziedzic wyjdzie.

— Już wychodził, przeszedł mimo nas i nie chciał gadać.

— Kiedy?

— A ot, przed godzinką.

— Gdzie?

— A tędyż, ze dworu.

— To nie był dziedzic!

— A któż?

— A lokaj.

— Któż tam jego wiedział, że to lokaj!... U naszego pana nie ma lokajów takich.

— Jakiegoż wy pana?

— Pana Gajewskiego.

— Hm!.. odezwał się kuchta z namysłem, dłubiąc palcem w nosie.

— A dziedzic kiedy wyjdzie? — zapytał Andrij, widząc że kuchta podnosi rożen i zabiera się do odejścia.

— Dziedzic wyjdzie nieprędko; aż po obiedzie, jak słońce przypiekać przestanie; on co dnia chodzi cerkiew oglądać..

To ostatnie powiedzenie kuchty nieoszacowaną było dla Andrija informacją. Dziedzic nad wieczorem pójść ma do cerkwi; więc oczywiście będzie przechodził przez dziedziniec, a na dziedzińcu dwa są punkta, w których się z nim niezawodnie spotkać można: ganek i brama, gdyż na środku dziedzińca można było rozminąć się z nim, trudno bowiem było zgadnąć, którą on pójdzie stroną — mimo kuchni, czy też mimo przeciwległej kuchni oficyny. Można było zatem oczekiwać nań pod gankiem, albo pod bramą. Lecz bądź przez uszanowanie dla wyżła, bądź przez uszanowanie dla dworu, Andrij nie śmiał zbliżyć się do ganku. Nie zważając więc już na kuchtę, który odszedł tymczasem, Andrij rzekł do Sydora:

— Nie mamy tu stać czego... Chodźmy.

I wyszli z dziedzińca; przy samej bramie położyli torby i kije i usiedli, a wydobywszy z torb prowizje podróżne, posilali się i czekali, oglądając się co chwila na dziedziniec. Oglądanie się to wyszło im na dobre o tyle, że oswoili się z całą dwornią korczyką, która podczas objadu napełniła dziedziniec ruchem. I ów dumny lokaj, grający, jak się zdawało, rolę najważniejszą pomiędzy służbą, i inni lokaje, i jakieś panienki, snać pokojówki i garderobiany, i jacyś obojga płci ludzie, nie wyglądający ani na lokai, ani na pokojówki, jedni z półmiskami, serwetami, drudzy bez półmisków i serwet, uwijali się przez godzinę przeszło pomiędzy obiema oficynami a dworem. Półmiskowych, regularnie do kuchni i z kuchni przeprowadzali wyżeł i wilk, ten ostatni taką przybrał niewinną, barankową minę, jakby pomiędzy nim a kuchtą nigdy żadnego zajścia nie było, jakby kradzież kury sprawionej nie ciążyła bynajmniej na sumieniu jego. Oswoili się, powiadam, z tem wszystkim i przyszli do tego przeświadczenia, że żaden z tych półmiskowych i niepółmiskowych, których widzieli, nie jest dziedzicem, a zatem dziedzicem będzie ten, którego nie widzieli jeszcze.

I nie omylili się w przypuszczeniu. Po długiem wyczekiwaniu, ujrzeł nakoniec dziedzica. Ukazał się na ganku, zeszedł ze wschodów i skierował się ku bramie. Przy nim, pod ramię, szła pani, młoda i śliczna blondynka, za nim postępował wyżeł, a przed nim szedł wilk, łasząc się, przewracając, podskakując

niezgrabnie i szczerząc zęby. Sam pan był młody, przystojny, z twarzy i oczu jego bił wyraz pewności siebie, budzący w drugich pewny pociąg i jakiś rodzaj ufności.

Podróźni nasi, jak tylko ta młoda para ukazała się na ganku, zerwali się na równe nogi i w pełnej uszanowania postawie przed bramą stanęli. Dziedzic zbliżył się ku nim; oni pokłonili się mu do samej ziemi. Dziedzic zatrzymał się, spojrzął na podróżnych naszych dumniej jak ten lokaj, którego oni wzięli za pana, i zapytał:

— Zkąd wy?

— Z Zahornik, proszę jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział Andrij.

— Pana Gajewskiego?

— Tak jest, proszę jaśnie wielmożnego pana.

— Czegóż chcecie?

— Proszę jaśnie wielmożnego pana, szukamy roboty, i chcemy prosić najpokorniej łaski jaśnie wielmożnego pana, abyście nas przyjęli do ciesielki przy cerkwi.

— Wy pana Gajewskiego i chodźcie po zarobkach!... — rzekł tonem przymówki, — toć o waszym panu chodzi sława, że taki ojciec...

— Nie to... ale to... — począł bąkać Andrij w ten niespodziany zagadnięty sposób — proszę jaśnie...

— Ja nie potrzebuję najemników — przerwał dziedzic, i począł iść dalej.

— *Mon chér* — odezwała się po francusku, przytrzymując nieco dziedzica, piękna pani, która przez czas jego z Andrijem rozmowy tak przypatrywała się Sydorowi, że ten aż oczy spuścił — popatrz no, jak klasycznie zbudowanym jest ten chłop... Co to za model pyszny!... We Włoszech poznanoby się na nim...

— Prawda — odparł dziedzic, także po francusku, obrzucając Sydora wzrokiem od stóp do głowy.

Andrijowi wydało się, że mówienie pani było wstawieniem się za nim, a odpowiedź dziedzica „*c'est vrai*“, zabrzmiała mu w uchu niby jak „*dobrze*“ (dobrze). Nabral więc otuchy i mówił, postępując obok dziedzica:

— My, jaśnie wielmożny panie, nie za płacę, ale za kawałek chleba będziemy robili.

— Darmozjadów mi nie potrzeba.... Nauczyliscie się w Za-

hornikach... Wasz pan, slysze, karmi darmożjadów... Proś o robotę pana swego.

— Myby, jasnie wielmożny panie, i kawałka chleba nie chcieli, ale nie mielibyśmy za co wyżyć przez czas...

I zabierał się Andrij wyluszczyć dziedzicowi Korczyka powody, dla których prosi go o robotę.

Lecz dziedzic zatrzymał się, puścił rękę pięknej pani, zwrócił się frontem do Andrija i gniewnie krzyknął, tupnąwszy nogą i wznosząc ściśnioną do góry dłoń.

— A to co znów za napaść na gładkiej drodze!... Chcesz mi darmo robić.. co!.. Przejść spokojnie nie można!... Won!...

Na odgłos „won!“ wykrzyknionego gwałtownie, wyżeł ku Andrijowi z głośnem poskoczył szczekaniem, — wilk poskoczył także, ale nie szczekał; dziedzic zaś z dziedziczką odeszli, zostawując Andrija, broniącego się od psa czapką, czapką dlatego, że kija użyć nie śmiał, przez uszanowanie dla pana.

IV.

— Ot, że zarobiliśmy to zarobili w tym przekętym Korczyku! — mówił Sydor do ojca, idąc obok niego drogą, która z Korczyka prowadziła do sąsiedniej wsi, a z tej wsi do innej, a z tej innej do Wasylkowa. — Bodajby on pod ziemię się zapadł!

— Nie klij, nie klij... co to pomoże — mówił Andrij — no nieszczęście!... kto się mógł tego spodziewać, aby ten, co w takim ślicznem siedzi gnieździe, nie chciał nawet człowieka wysłuchać.

— Już, to ja, tatu, spodziewał się tego — odparł Sydor — jakem widział tego ekonoma, tego lokaja. i tego wilka. U naszego dziedzica ani takich ekonomów, ani takich lokajów nie ma, a wilka, tfu!.. zczeźnij i przepadnij, nieczysta siło! trzeba chyba być niesamowitym, żeby się z wilkiem wdawać..

Andrij nic nie odpowiedział; szedł milcząc, a na twarzy jego malowało się zawiedzione oczekiwanie i wyrażało się jakimś bolesnem wykrzywieniem ust i pofałdowaniem się skóry około oczu. Patrząc mu w twarz, można było rozpoznać wewnętrzną

chorobę, która go trapiła: oczy jego błyszczały gorączkowym ogniem, a policzki i usta pobrały. Czuł on swój stan i bał się go; bał się zachorować gdzie na drodze, lecz obawę rozpraszała w nim siła woli, konieczność pospiechu. Zdarzał-bo się nieraz tak, że przy najzupełniejszym usposobieniu ciała do choroby, potęga ducha podtrzymuje ciało, nie dając mu podupaść. Człowiek nie choruje: bo nie ma na chorowanie czasu. Tak było i z Andrijem: spieszył się — więc nie miał czasu zachorować, chociaż doświadczane jeden po drugim zawody zbiły go z nóg.

Sydor cierpiał także, ale nie swoim a ojca cierpieniem. Gniewały go te zawody; nieraz miał na języku: „e! pluńmy na to wszystko i wracajmy do Zahornik“; ale nie śmiał tego powiedzieć, obawiając się ziarno zwątpienia zasiać w duszy ojca; zwątpienie bowiem bywa niekiedy strasznem, posiada niekiedy zabójcze własności, szczególnie jeżeli następuje raptem po wielkiej nadziei, a zabójczość jego nie tyle na ciało co na umysł działa: chwila przełomu przyprawić może o zmysłów utratę. Nie uczył się Sydor psychologii i nie potrafiłby słowami wyrazić powodu obawy wpływu zwątpienia na ojca; lecz nie potrzeba uczyć się psychologii, żeby rozumieć działalność duszy i wiedzieć co jej pomoże a co zaszkodzi. Dusza duszę bez nauki, bez słów rozumie: zdrowa bolejącej nie trąci w ranę i wie, że nie trąca dlatego, aby nie urazić. Nazywają to podobno niektórzy *delikatnością uczucia*; lecz nie jest to uczucie: to rozum, który nie umie sam siebie technicznymi określić wyrazy, i rozum ten posiada chłop każdy, każdy niekształcony po szkołach i uniwersytetach człowiek. W jednym znajduje się większa, w drugim mniejsza onego doza; w każdym jednak się znajduje.

Owoż i Sydor nasz posiadał ten rozum, i rozumiał, że mógłby ojcu ciężko zaszkodzić, gdyby usiłował wprowadzić zwątpienie do duszy jego. Więc, choć sam wątpił, nie okazywał tego po sobie i dotrzymał ojcu we wszystkim, spieszył na równi z nim, podsycił jego nadzieje.

— Znajdziemy — powiadał — nie dziś to jutro, nie jutro to pojutrze; ale znajdziemy.

Ale sam przed sobą zeznawał:

— Oj, daremne podobno poszukiwania nasze!...

I z tego zeznania rodziło się zapytanie.

— Co będzie, jak nie znajdziemy?

I dla rozwiązania sobie zapytania tego, spoglądał ojcu w twarz, w oczy i żal mu serce ścisnął.

Jednakże myślał sobie: czyby nie lepiej było złe uprzedzić?... nawrócić np. nieznacznie do Zahornik, zbliżyć się do wsi, — namówić ojca żeby zaszedł, ot tak... dla zobaczenia, co tam robią, — pomówić z matką, ze starym Josypem, może i z Jakóblem, a nawet z dziedzicem i wspólnymi usiłowaniami zagadać go i powstrzymać od dalszej poniewierki?

Plan ten zajął go szczególnie po wyjściu z Korczyka. Ważył go on i układał w głowie swojej, jakby to go przeprowadzić!.. I zatrzymał się na tem: że nieznacznie rozpytać się trzeba ludzi o najprostszą do Zahornik drogę i zwabić na nią ojca.

Kiedy on do takiej przyszedł konkluzji, począł zapadać zmrok i pokazała się jakaś wieś w parowie. Nad tą wsią, niby biaława niska chmura, zawiesił się dym i rozlegały się z niej porykania bydła, beczenie owiec i poszczekiwania psów. Znużeni podróżni nasi powitali ją z radością i przyspieszyli kroku.

Nie oni wszakże jedni pospieszyli tą drogą. Za nimi z Korczyka cwałował kozak na koniu. Koń brzuchem sunął po ziemi, wyciągał się jak chart za zającem i pomimo, że całych wydobywał sił, jeszcze od czasu do czasu dostawał od Kozaka nahajką to po udach, to po piersi i spienił się tak, że z odpadającej piany białe ślady za sobą zostawiał. Andrij i Sydor ustąpili się z drogi, gdy Kozak zbliżył się do nich przed samym prawie kołowrotem wsi; ale ten osadził konia na miejscu i zapytał:

— Czy to wy byli w Korczykku, we dworze?

— My — odpowiedział Andrij nieco zdziwiony i z pewnem wahaniem się, nie mogąc zrozumieć, co za powód mieć może to zapytanie.

— Wy prosiłście dziedzica o robotę?

— My — odrzekł Andrij, jeszcze bardziej zdziwiony.

— No wracajcie! — zawołał Kozak tonem rozkazującym.

— Gdzie i po co! — rzekł Sydor wysuwając się przed ojca i stając w zaczepno-obronnej pozycji: bo go i te zapytania nie mniej jak Andrija zdziwiły i nadto stanęli mu na raz w myśli: ekonom i lokaj i wilk i wyżeł i dziedzic a nawet dziedziczka, w postaci djabła przebranego za panią.

— Do Korczyka... dziedzie kazał — była odpowiedź Kozaka.

— Po co? — zapytał Sydor.

— Alboż mogę ja wiedzieć po co... Kazał i kwita... rozesłał za wami Kozaków na wszystkie szlaki i zapowiedział po sto batogów każdemu. jeżeli was nie znajdziemy i nie przyprowadzimy.

— A jeżeli znajdziecie i przyprowadzicie? — zapytał Sydor tonem ironicznym.

— To nie wężniemy po sto batogów.

— A gdyby ciebie, Kozacze, kto zapytał, co wolisz: czy żebyś ty wziął sto batogów, czy żebym ja wziął? co byś odpowiedział na to?

— Ehe! jak widzę, to ty, parobcze-mołojeze, zarzucasz węzłki... otóż odpowiem ci po prostu: wolałbym żebyś wziął ty.

— Tak-że i gadaj — odparł Sydor — bo i jabym wolał, żebyś ty wziął... A z tem słowem i rachunki z nami skończone... Powiedzieliśmy sobie prawdę i nie mamy za co gniewać się na siebie... Jedź ty, panie Kozacze, w swoją drogę i niech cię Pan Bóg prowadzi; my pójdziemy w swoją...

Kozak pilnie popatrzył na Sydora, potem na Andrija i westchnąwszy, rzekł:

— Kiedy jechać, to pojedę... szarpać się z wami nie będę; ale chyba i ja wybiorę się gdzie na mandrówkę, bo ten psia-wiara nie daruje... co przyobiegał, to dotrzyma; a wieszać się za sto batogów nie warto... Eh! dam wytchnąć koniowi i pomyszę... Bądźcie zdrowi, podróżni ludzie!...

— Daj wam Boże zdrowie! — odpowiedział Sydor.

Kozak zwrócił konia i stępem pojechał ku wsi, w której zniknął za kołowrotem, a do której weszli i podróżni nasi i udali się do najpierwszej chaty, prosząc o nocleg.

— Prosimy, prosimy — odrzekł im gospodarz, siedzący na przyzbie — podróżnych Pan Bóg sprowadza... Zróbcie cześć chacie mojej.

I wymówiwszy to, wprowadził ich do izby, zapowiadając, że nie może ugościć jakby chciał, ale podzieli się z nimi czem ma:

— „*Czim chata bohata, tim rada.*“

Rozgościli się tedy nasi podróżni, złożyli w kątku kije, torby i bardy, zasiedli na ławie, i kiedy gospodyni krzątała się sokoło wieszery, oni otoczeni ciekawą dziatwą, prowadzili z gospodarzem gawędkę. Ciągnęła się ta gawędka z pół godziny,

może i dłużej, rozpowiadali o rozmaitych rozmaitościach, gdy w tem na progu izby, jak niespodziane zjawisko, jak gość z tamtego świata, pokazał się kozak koreczycki. Sydor drgnął, jakby go co ukąsiło, Andrijowi mróz po za skórą przeszedł.

— Na zdrowie wam, panowie, gospodarze i goście — rzekł kozak wchodząc — i ja gość, ale niespodziewany i nie wszystkim miły... Nie prawdaż parobcze? — dodał tonem drwiącym, zwracając mowę do Sydora; a gdy ten nie odpowiadał, ciągnął dalej: — Pytałeś ty mnie na drodze, kiedy was było dwóch na jednego; zapytam ja ciebie w chacie, kiedy ty jeszcze nie wiesz, ilu jest na was dwóch: powiedz mi z łaski swojej, parobcze mołojcze, czy w waszych stronach rodzą się durnie, czy nie?..

— Róbcie, panie Kozacze, co robić macie — rzekł Andrij, ochłonawszy nieco z pierwszego wrażenia — ale nie żartujcie z ludzi, którzy wam nie zawinili niczem..

— Pożartował ten parobek ze mnie, i powiedział, że skończył rachunek; pożartuję ja z niego, a rachunek z nim skończą tam, gdzie nie ja będę liczył i gdzie na mnie nieraz rachowali... Ale, kiedy on nie odpowiada na moje pytanie, to ja jemu odpowiem... Jeżeli w twoich stronach, parobcze-mołojcze, nie rodzą się durnie, to ty pierwszy się urodził: boś się nie rozpytał i nie dowiedział, do jakiej idziesz wsi. Gdybyś się rozpytał, to nie zaszedłbyś na noc do wsi, należącej do tego samego pana, co i Korezyk... Czy prawda, czy nie? Kto z kogo lepiej pożartował?..

— A teraz — ciągnął dalej po chwili milczenia — wybierajcie się, ludzie dobrzy, jak chcecie: po woli, czy po niewoli!

Sydor, rozjątrzony drwinami, oburzony niesprawiedliwością, zrozpaczony nie tyle o swój co o ojca los, poskoczył do kąta, w którym złożone były torby i kije ich podrózne, porwał barde i stając na środku izby, przed ojcem, powiedział spokojnie, ale z tym spokojem, którym człowiek pewny siebie okrywa postanowienie niezłomne:

— Chodź i popróbuj woli mojej!..

Gospodarz, gospodyni i dzieci powcisnęły się w kąty, a kozak z zimną odrzekł krwią:

— Porzuć to, nieboże... tem nie trafisz tam gdzie mierzysz, ale tam gdzie nie mierzysz... Bardą nie mnie, ale sobie łeb rozwalisz.

Wraz z tą przemową kozaka, przemawiał i Andrij:

— Bóg z tobą, Sydorze, oddaj barde.

I ujął go za rękę, schwycił silnie za topór przy osadzie trzonka, skrzył i wydarł go z rąk Sydora.

W tej chwili kozak krzyknął:

— Do mnie!... chłopcy!..

I szybko jak błyskawica na Sydora się rzucił, chwytając go w pół ciała.

Sydor miał czas ująć kozaka za szyję, i tak go ścisnął, że ten aż posiniał od razu i zacharczał jak konający, nie miał jednak czasu zadusić go, bo w mgnieniu oka izba napelniła się ludźmi, którzy zwalili się na niego, przyczepili się mu do rąk i nóg, powalili na ziemię i związali ręce w tył. Andrij dał się związać bez oporu.

Kozak w wiązaniu wędrowców naszych nie brał udziału, dlatego, że wydarłszy się z rąk Sydora, nie mógł wyprostować karku, który mu, niby z żelaznych wyszedł kleszczy, tak posiniał i nabrzmiął.

— No, mołojec! — rzekł, przyszedłszy nieco do siebie. — Nie prędko mi głowa na swoje przyjdzie miejsce... To szczęście, że nie trafił na gardło, a byłby od razu zadusił, psiawiara... Dajcie mi, gospodarzu, wody i czy nie znajdzie się u was kawałek szmatyny... jak obłożę mokrą chustą, to może prędzej odejdzie.

Gospodarz wynalazł szmatę, przyniósł wody, kozak owinał sobie kark i wyruszył z jeńcami, wzięwszy sobie do pomocy sześciu zdrowych i silnych chłopów, na siebie bowiem już nie liczył. Chłopi otoczyli Andrija i Sydora i poprowadzili ich do Korczyka, zabrawszy ich torby, bardy i kije, na wyraźną a usilną Andrija prośbę, na którą rozgniewany o nadwężenie karku kozak nie chciał się zrazu zgodzić.

Wyobraźmy sobie ludzi, w położeniu Andrija i Sydora. Pofilozofujmy nieco na temat tego położenia. Filozofowanie to nie nadwężą jedności powieści, tem bardziej, że zamknie się w kilku wyrazach.

W tym wypadku starły się trzy objawy działalności ludzkiej: rozkaz, wykonanie i przymusowa bierność. Rozkaz nie wytłumaczył powodów swoich; wykonanie nie pytało o powody; a bierność ucierpiała, dlatego tylko, że nie miała dość sił do

odparcia rozkazu. Skąd poszło cierpienie?... Oczywiście z rozkazu. Gdyby rozkaz wytłumaczył był powody swoje, to bierność może się mu nie opierała.

I rzeczywiście takby było z wędrowcami naszymi. Gdyby dziedzic Korczycki powiedział, lub kazał powiedzieć rozesłanym kozakom: „zawróćcie tych ludzi, którzy prosili mnie o robotę, dlatego, że mam robotę dla nich“, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Andrij i Sydor zawróciliby do Korczyka bez oporu, bez podejrzewania o złe względem siebie zamiary. O małą chodziło rzecz: o pięć wyrazów objaśnienia, których pan nie wymówił dlatego tylko, że uważał za zbyt cenne tłumaczyć się z danego rozkazu. Głupia duma sprawiła nieporozumienie, a nieporozumienie wywołało opór, którego skutkiem było: nakręcenie kozakowi karku i naznaczenie sinemi pręgami rąk Andrijowi i Sydorowi od powrozów, któremi pokrępował ich mszczący się za kark kozak. A byłyby padły i trupy i urodziłyby się straszna awantura, gdyby nie rezygnacja Andrija, który zląkł się o syna. A wszystko to, jak powiadam, z drobnego poszło nieporozumienia — bo ani dziedzic, ani nikt w Korczyku, ani myślał o biciu lub pokrzywdzeniu w jaki bądź sposób wędrowców naszych.

Cóż spowodowało dziedzica korczyckiego zmienić postanowienie, i to aż tak, żeby rozesłać umyślonych i grozić im batogami w razie nieprzyrowadzenia ludzi, których odegnał jak psów, wyrazem: „won!“ zastosowywanym do ludzi w nadzwyczajnych tylko zdarzeniach, kiedy już „precz!“ zdaje się być za mało wyrazistem?... Zagadka ta rozwiąże się nam wkrótce.

Nad rankiem Andrij i Sydor przyprowadzonymi zostali do Korczyka i zaprowadzonymi na ekonomję. Ekonom spał; nie można było budzić go, bo rozbudzony bywał zwykle niesłychanie zły: zrywał się równemi nogami, porywał za harapnik, spoczywający zawsze pod ręką, i nie przecierając oczu sunął z nim na przód, machając na prawo i na lewo krzyżową sztuką. Z całej rycerskości szlacheckiej przodków pana ekonomy, pozostała mu tylko skłonność do krzyżowej sztuki, skłonność wrodzona, bo objawiająca się wtedy tylko, kiedy zrywał się ze snu. Niebezpiecznie przeto było budzić go. Więc kozak i wartownicy posadzili więźniów przed ekonomją, usiedli sami do koła nich i czekali dnia.

Wkrótce po rozświcie w ekonomji objawił się ruch, zesłli

się dziesiąticy, essauli, dały się słyszeć wołania i rozkazy. Wartownicy z więźniami zbliżyli się do drzwi wchodowych, w których niezabawem pokazał się ekonom, ten sam człowiek w kubraku, którego oglądaliśmy dozorującego cieśli, z tym samym w ręku kańczukiem. Wyszedł, spojrzął na Andrija i Sydora, i zapytał kozaka:

— Na cóż zwiążaliście ich?

— Bo nie dawali się wziąć, panie ekonom — odrzekł zapytany — ta takiego narobili licha, że strach.. Oto, patrzcie, jak mnie ten parobek uściskał!.. — rzekł, pokazując ekonomowi kark swój — porwał się na mnie z siekierą, ale tamten drugi wydarł mu ją.

— Dam ja tobie siekierę! — zawołał ekonom podnosząc kańczuk i kiwając nim Sydorowi pod nosem; a zwracając mowę do wartowników, wygłosił rozkaz taki:

— Odprowadźcie ich do dworu i czekajcie z nimi przed bramą.

Powrócili tedy wędrowcy nasi na to samo miejsce, na którem przeczekali znaczną część wczorajszego dnia. Posadzono ich i otoczono. Andrij i Sydor, znużeni podróżą i bezsennością, położyli się i pousypiali, wartownicy drzemali siedząc. Uplynęła godzina, dwie, słońce poczęło wznosić się po nad horyzont wyżej, coraz wyżej — nikt o nich nie pytał. Wartownicy drzemali, oni spali, a spali na gołej ziemi, bez podparcia pod głowę, ze związanymi rękami tak smacznie, jak nie jeden z nas nie sypia na piernatach, poduszkach, mogąc ręce i nogi wyciągnąć i rozłożyć jak mu się zechce.

Około dziesiątej szturchańce i wołanie: „wstawaj!“ rozbudziły więźniów. Otworzyli oczy i ujrzeni przed sobą owego dumnego lokaja, który rozkazał wartownikom prowadzić ich na dziedziniec, i wartownicy, spełniając rozkaz lokajski, powoli, poważnie przekroczyli bramę i posunęli się pod same wschody gankowe. Po chwili wyszedł dziedzic.

— Co to znaczy! — zawołał z wysokości ganku — kto to powiązał tych ludzi!.. Rozwiązać ich natychmiast!..

Wyszła i dziedziczka i pociągnęła wzrokiem po Sydorze, który jeszcze stał związany.

— Powiązani? — rzekła, a głos jej zabrzmiał srebrzyście, miło, głaszcząco — któż ich powiązać kazał?.. Ale, *tiens! une*

idée! mon chér!... niech nie rozwiążą tego chłopca... niech go tak jak jest prowadzą natychmiast do *atelier!* Trzeba korzystać z tego zmęczonego postaci jego wyrazu... on może w tej chwili pozować, jako niewolnik scytyjski.

Wymówiwszy to, zawróciła się i znikła za drzwiami. Dziedzie skinął na biorących się do rozwiązywania Sydora wartowników, aby go zostawili, do Andrija zaś rzekł:

— Chciałeś roboty... będziesz ją miał... Idź do cerkwi, tam ci ekonom powie, co masz robić... Dostaniesz characz (wikt) na folwarku i po dziesięć groszy dziennie... Alfred! — zawołał, i natychmiast zjawił się dumny lokaj — odprowadź tego chłopca do *atelier.*

Lokaj kiwnął na Sydora i rzekł: „chodź!“ Sydor jednak nie ruszał się.

— Jaśnie wielmożny panie — przemówił Andrij, kłaniając się czapką do samej ziemi — dziękuję wam pokornie za robotę i za uwolnienie z postronków; ale zlitujcie się, uwolnijcie i mego syna... proszę was, jaśnie wielmożny panie, zlitujcie się,... nie róbcie mu nic złego.

— Albo cóż złego robić zamysłam synowi twemu!... — powiedział dziedzie tonem niecierpliwości — idź do roboty; przyjdzie on tam za godzin parę.

— Niech-że przynajmniej rozwiążą go, jaśnie wielmożny panie...

— Precz!... — krzyknął pan — a ty, Alfred, weź chłopca tego!...

Alfred zeszedł ze wschodów, ujął Sydora za rękaw i poprowadził go na wschody, na ganek... Sydor nie opierał się; a kiedy za nimi zamknęły się drzwi dworu, Andrijowi wydało się, że za synem jego zamknęły się piekielne czeluście. Wartownicy odeszli, on został sam u stóp ganku. Na trawniku tylko wilk przewracał się z wyżłem, tak przyjaźnie, jakby pomiędzy wilczym i psim'rodzajem nie istniała żadna nienawiść rodowa. Postać Andrija, westchnął razy kilka i wyszedł z dziedzińca, dla uporządkowania w głowie myśli, które mu się dziwnie plątać poczęły.

Trudno mu było odgadnąć, co to wszystko znaczyć może: ten pościg, to wiązanie... a najniezrozumialszem było rozwiązanie jednego, pozostawiając drugiego w postronkach i zabierając go

w postronkach do dworu, do samego dworu, na pokoje, do których on przez uszanowanie przystępować blisko nie śmiał. Jak to się wszystko skończy?... do czego doprowadzi?... Kazał dzieździe iść robić; trzeba iść: bo jak nie pójdę, to może pogorszę sprawę. Tak myśląc pociągnął Andrij do budującej się cerkwi.

Nie mniejsza płatanina zaszła w głowie Sydora. Alfred pociągnął go za sobą na pokoje i przeprowadził przez salony, tak ozdobione i umeblowane, że o podobnych Sydorowi nigdy w życiu przyśnić się nie mogło, i wprowadził go do *atelier*, w którym znalazł się jak w lesie, wśród gipsowych posągów, obrazów, sztalug, pulpity i stołków. Przy jednym z pulpity, zakrytym ogromnym papierem, stała piękna pani z rajskohlem w rękę i drobnym paluszkim, nic nie mówiąc, ukazała Alfredowi na punkt, na którym postawić miał Sydora. Alfred postawił i sam stanął obok. Dziedziczka skinęła paluszkim; lokaj wyniósł się za drzwi.

Znalazłszy się sam na sam z Sydorem, piękna pani wsparła się łokciem o pulpit i wpatrzyła się w zahornickiego parobka. Oko jej, błękitne jak niebo, a łagodne jak poraukowe światło, chodziło zwolna po całej Sydora postaci, z góry na dół i odwrotnie, zatrzymując się niekiedy dłuższy czas na niektórych punktach, jak np. na twarzy. Zatrzymało się ono na twarzy i utonęło w oczach Sydora, który podniosłszy w tej chwili wzrok na nią spotkał się z jej wzrokiem, i spuścił oczy. Podniósł je znowu i znowu spotkał wzrok pani, ale tak długi, smętny i czuły, że mu się wydało, iż z po za niego przegląda litość; spuścił więc znów oczy i na płacz mu się zbierać poczęło... i skrzywił się, tłumiąc w sobie niewymowny jakiś żal, który mu piersi napęłnił, i smutek, który go opanował. Dziedziczka uśmiechnęła się.

Po upływie pewnego czasu, spędzonego na przypatrywaniu się, dziedziczka podeszła do Sydora i dotykając go się lekko łopatką do rozcierania farb, którą wzięła ze stolika, poczęła go ustawiać.

— Obróć się tak, mój kochany — rzekła.

Sydor obrócił się.

— Jeszcze trochę.

Obrócił się jeszcze trochę.

— Wyciągnij tę nogę.

Wyciągnął nogę.

— Spuść głowę.

Spuścił głowę.

— Stój-że tak, mój kochany, i nie ruszaj się tak długo, póki ci nie pozwolę.

Powiedziawszy to, powróciła do pulpitu i poczęła rajskolem kreślić na papierze główne linje konturnu. Kreśliła i strzeptywała i znów kreśliła, spoglądając co chwila na Sydora. Potem rysowała ołówkiem, następnie podkładała cienie pędzlem. Szło to jej szybko, wprawnie, szkic coraz wyraźniej uwydatniał się pod jej ręką.

Sydora nakoniec zbolały nogi i krzyże, a o rękach nie mówię, bo tych już nie czuł, tak mu zcierpły i zmartwiały. Dla ulżenia więc sobie i dla spojrzenia na dziedziczkę, której, stojąc do niej nieco bokiem ze schyloną głową, widzieć nie mógł, ruszył się i obrócił.

— Nie ruszaj-bo się, mój kochany — wygłosiła dziedziczka łagodnie — nie ruszaj się; stój jakim cię ustawiła. Ruszać się nie można.

I znów do niego podeszła, poprawiła jego pozę, powróciła do pulpitu i rysowała.

Tak upłynęło ze dwie godziny. Sydor głodny, znużony, zbolały, związany, stał ze spuszczoną głową, udając scytyjskiego niewolnika; dziedziczka rysowała.

Cicho otworzyły się drzwi i wszedł na palcach dziedzic. Sydor głowę odwrócił.

— Spuść głowę, spuść, mój kochany — rzekła natychmiast dziedziczka.

Sydor spuścił głowę. Nic a nic nie rozumiał, co się z nim dzieje. Robił co mu kazano, bo wpadł w ten stan, w jaki wpada koń dziki, zahukany. Modlił się tylko w duchu do Mikołaja cudotwórcy, prosząc go o cudowne uratowanie z tej niepojętej dla niego opały.

Dziedzic zaszedł za dziedziczkę, pochylił się nad nią i przez chwilę przypatrywał się szkicowi, porównywając kopję z oryginałem.

— Wybornie — rzekł nareszcie — wybornie, *ma chère*; mogę ci bez pochlebstwa powinszować... udało ci się doskonale.

I pocałował ją w ramię obnażone.

Dziedziczka głowę odwróciła, różanemi usteczkami spotkała usta męża i dubeltowy całus rozległ się po *atelier*.

— A, bo też to i model nie lada.. Trudno o taki w Rzymie nawet... Widzisz, żem miała rację, napierając się, abyś posłał za tymi chłopami... Mówiłeś, że kaprysuje... Powiedz że sam czyż dla takiego szkicu odrobinę pokaprysować nie warto!...

Znów się odwróciła z wyrazem miłości w oczach i znów usta dziedzicowskie złączyły się pocałunkiem.

A Sydor stał, nie ruszał się.

Dziedzic poszedł ku niemu, zmierzył go wzrokiem po amatorsku, jak zmierzają się posągi, pochodził po pracowni i począł pogwizdywać z cicha duet z Normy.

— Zagrasz? — zapytał — jestem dziś jakoś w ogromnie melancholijnem usposobieniu.

— A, zasłużyłeś, za to żeś dogodził kaprysowi żony... Zagram, tylko jeszcze parę tynt dodam.

Dziedzic wyszedł i wkrótce potem dziedziczka zadzwoniła. Na odgłos dzwonka zjawił się Alfred.

— Wyprowadź tego człowieka i niech go tam trzymają na dyspozycję moją.

— Jaśnie wielmożna pani, niech-że mnie choć rozwiążą!... — wygłosił Sydor głosem o ile mógł najpokorniejszym i kłaniając się jak mógł najniżej.

— A niech go rozwiążą — dodała pani, uśmiechnąwszy się dobrotliwie do spokorniałego parobka.

Poszedł tedy Sydor tą samą drogą, którą przyszedł. Dumny lokaj zawołał na kogoś z ganku, kazał rozwiązać wędrowca naszego, i Sydor ruszył do cerkwi, gdzie spodziewał się znaleźć ojca. Po drodze wyprostowywał się; powracająca zwolna, utrudzona powrezami cyrkulacja krwi, oddawała mu władzę członków, chociaż ciężkie jakieś znużenie, niby zbiecie, nie chciało od razu opuszczać ciała. I nie dziw: któżby się nie znużył, nie jadłszy przez dwadzieścia cztery godzin, będąc przez piętnaście godzin związanym i wystawszy przez półtrzecia godziny w pracowni malarskiej dziedziczki Korczyka?... Trzeba było takiej siły, jaką natura obdarzyła Sydora, aby sprostać temu wszystkiemu.

Przy cerkwi znalazł Sydor ojca. Obciósował Andrij jakieś

drzewo. Kilkunastu cieśli, jak wczoraj, pracowało, i nad nimi już nie ekonom, ale dziesiętnik dozorował.

Radośnie Sydorowi na widok ojca serce zabiło: zbliżył się do niego i usiadł. Andrij uradował się także, gdy syna swego zobaczył.

— Nó i cóż? — zapytał.

— A, nic.

— Nie bili ciebie?

— Nie.

— No to Bogu chwała!...

I odetchnął biedny ojciec.

— Ale mnie gorzej było, jakby mnie bili — rzekł Sydor.

— A cóż robili z tobą?

— Och! tatu!... ja ze wszystkim ogłupiał!... albo ja wiem co ze mną robili!...

— Co to za rozhowory! — zagrzmiął głos dziesiętnika. — A, to ten cudzy robotnik, co był we dworze!... Nie siedź tak, założywszy ręce!... weź się zaraz do roboty — mówił dziesiętnik do Sydora — oto masz tu słup naznaczony lubryką... siadaj i ciesaj!...

Nie będę opisywał szczegółów dalszego pobytu wędrowców naszych w Korczyku, w którym spędzili tygodni kilka. Wieczorem tego dnia, którego ich przyprowadzono, chcieli oni uciekać, ale przeszkodzono im, i o mało że za tę próbę nie zostali osmagani. Zaniechali więc prób ucieczki i dotrwali do zupełnego wzniesienia całego szkieletu cerkiewnej budowli.

Nie potrzebuję powiadać, ile przy tem skorzystał Andrij; powiem tylko, dla uspokojenia czytelników, że i on i Sydor obronną ręką wydobyli się z pod zwierzchnictwa ekonomicznych władz Korczyka, a nie dlatego, że nie zasłużyli, bo nie potrzeba było zasłużyć, aby dostać w Korczyku w skórę, ale dlatego, że Andrij stał się w końcu przy budowlu potrzebnym, został prawie majstrem i doprowadził ją do końca. Bo dziedzic, pomimo że sam architekta i że rzeczywiście na budownictwie się znał, nie mogąc atoli osobiście każdego przycięcia, przyciosania i postawienia dopilnować, nie mógł trafić do końca. Był on przytem więcej amatorem, teoretykiem, niż wykonawcą. Potrafił skreślić plan, ale nie potrafił pokazać cieślom obrobienia i przypuszczenia kawałka każdego. Andrij zaś, mający ogólne o budownictwie

wyobrażenie i umiejący władać toporem, a przytem pożerany żądzą poznania tajemnicy cerkiewnej architektury, prędko poznał plan dziedzicowski i stanął względem dziedzica, jako jego pomocnik, lepszy i zręczniejszy od ekonomy i essaulów, którzy psuli zamiast pomagać, co zaś sami zepsuli, to starali się naprawiać na grzbietach cieśli.

Sydor niejednokrotnie jeszcze pozował, pani bowiem znalazła budowę jego ciała skończenie pod względem artystycznym klassyczną. A chociaż często zdarzało się mu przepędzać po kilka godzin w pracowni malarskiej, jednakże, ile razy wołanym był do dworu, zawsze szedł niby na ścięcie. Pozował w rozlicznych pozycjach: stojący, leżący, odziany w starożytnych strojach i wciągnął się do tego, jak wół do jarzma, dowiedziawszy się nakoniec, że go pani „przemalowuje“, co mu bynajmniej nie pochlebiało. Dwa razy wszelako zbuntował się, że aż musiano siłą i groźbą zmusić go do pozowania. Raz: kiedy przedstawiał Bachusa, i kazano mu stanąć w ubiorze, który zamiast koszuli, spodni etc., składał się z winogrodowych girland, owiniętych od niechcienia około ciała. Drugi raz: kiedy, dla złożenia jakiejś mitologicznej grupy, musiał położyć się obok ślicznej, dorodnej dziewczki, mitologicznie ubranej. Po długich namawianiach i wielkich groźbach, dał się on zgrupować; i on jednak i ona, takiej dostali drżączki, że kopjowanie niepodobnem się stało.

Ach! jakże mu lekko i miło zrobiło się na sercu, kiedy nareszcie ujrzał się za korcezyckim kołowrotem, na tej samej drodze, na której przed kilką tygodniami drwinami zbywał kozaka, któremu karku nadkrecił i z którym potem w najlepszej żył zgodzie.

Wesołym był i Andrij, skorzystał bowiem podwójnie: nauczył się budować i zarobił cztery ruble; zamiast więc jednej, dwie ofiary niósł dla swojej gromady.

— A teraz, tatu, do Zahornik wracamy? — zapytał Sydor,

— Nie, synu, teraz pójdziemy do Kijowa, pokłonimy się Świętym pańskim i podziękujemy im, że nas prowadzili i ratowali.

Wyraz „nie“ zasmucił nieco Sydora, ale wyraz „Kijów“ rozegnał smutek.

Poszli więc do Kijowa.

Andrijowi brakowało jeszcze niektórych wiadomości, potrzebnych nie do samej już budowli, ale do upiększenia takowej. Miał on o tem pobieżne, powierzchowne wyobrażenie, które mu w wyobraźni jego postawiło całą, wykończoną cerkiew; lecz zeznawał sam przed sobą, że jak przyjdzie do szczegółów, to nie raz nie potrafi poradzić sobie. Chodziło mu najbardziej o obrachowanie ogólnych kosztów, a do tego obrachowania potrzeba mu było wiedzieć, co kosztuje rzecz każda z osobna. W podróży więc swojej do Kijowa, miał on głównie na myśli interes gromady swojej, u źródła dowiedzieć się chciał o tem, co do cerkwi potrzeba i jak wszystkie jej potrzeby zaspokoić najdostateczniej, a zarazem i najtaniej. Chodziło mu również o malarza; malarstwa bowiem już nauczyć się nie mógł.

Ale, jak to powiadają: „szukajcie a znajdziecie“. Andrij w Kijowie znalazł wszystko, czego mu brakowało: czegoż bowiem w Kijowie znaleźć nie można?... Dowiedział się o cenach wszystkich drobiazgów — kruczków, haków, sztab żelaznych, klamek, farb, etc. — i notował je sobie karbami na kiju, powtarzając co dnia z pamięci porządek, w którym karby szły jedno po drugich, i tak się wprawił, że zapytany zniemacka, od razu, niby z rejestru, czytał z laski, ile co kosztuje. Laska więc jego poznaczona do koła, z góry do dołu, mniejszemi to większemi kreskami, krzyżykami i rozlicznemi znaczkami, była pewnym rodzajem tajemniczego cennika, na którym tylko Andrij i Sydor czytać umieli. A dla zapełnienia tej laski, gdzież oni nie obeszl?... zajrzeli do wszystkich sklepów, na Padole, Kreszczatiku i Peczersku: w jednych przyjmowano ich po ludzku, — z innych wyganiano, i przyznać należy, iż niekiedy miano rację wyganiać, zdarzało się bowiem naprzykład tak: oto, coś się im zamajaczyło w bławatnym sklepie, więc zatrzymywali się przed sklepem na ulicy i jeden do drugiego mówił:

— O, a może tu jest co potrzebnego do cerkwi.

— Bóg^{że} jego wie — odpowiadał drugi — może i jest, a może i nie ma; najlepiej, spytać; kto pyta ten nie błądzi, a pytania nikt za grzech nie bierze.

I powiedziawszy to sobie, stali jeszcze przez chwilę, patrzeni, oglądali się na prawo i na lewo, zdejmowali czapki i wsuwali się do sklepu jeden za drugim. Jeżeli w sklepie był ktoś

taki, co to lubi z człowiekiem, jak z człowiekiem, pogadać, to zapytywał:

— A czego wam potrzeba, ludzie dobrzy?

— Potrzeba nam czegoś do cerkwi — odpowiadał Andrij.

— Czegoż-to?

— Bo to my mamy budować cerkiew i potrzebujemy do niej wiele, wiele rzeczy;... czy nie ma tu czego takiego na sprzedaż?

Kupiec myślał i odpowiadał: albo, że nie ma nic, albo też ofiarował im obicia, firanki, sznury, kutasy lub coś podobnego. Andrij pytał o cenę, pytał do czego co służy, targował się, udawał że chce kupić doprawdy, znów pytał i kończył targ oświadczeniem, że kogoś tam poradzi się, lub że przyjdzie za godzinę i towar zabierze, wychodził i zaraz karbował. Tym chłopskim rozumem kierując się, powoli, powoli dowiedział się o wszystkim i rozpytał o wszystko. Ależ, jeżeli trafił na takiego kupca, który na gawędzie tracić czasu nie lubił, lub który zważał pismo nosem i zmiarkował, że Andrijowi nie o kupno chodzi, to od pierwszego słowa, natychmiast, załajał mu i wypędził go, i dobrze się jeszcze obszedł, jeżeli tylko powiedział:

— Idźcie sobie z Bogiem, *na seło duryty*.

A oprócz tych wywiadywań się sklepowych, chodził Andrij z Sydorem ciągle od Peczerskiej Ławry do Sofijskiego Soboru, od Sofijskiego Soboru do Św. Andrzeja, od Św. Andrzeja znów do Ławry, do Soboru lub do innej jakiej cerkwi, i przypatrywali się, oglądali z wierzchu i we środku wszystkie szczegóły i szczegółiki. Andrij rozpatrywał się w nich okiem porządkującym, układającym i zastosowującym, kombinował je rozmaicie, przemieniał i ustawiał w myśli i podług wzorów, jakie miał przed oczyma, modelował w wyobraźni swojej cerkiew dla Zahornik, zastosowując ją do tamecznych środków.

W odszukaniu malarza także nie napotkał wielkich trudności. Czegoż-bo, powtarzam, w Kijowie znaleźć nie można!... Nie daremnie takie to wielkie i stare miasto: miało możność i czasu podostatkiem zaopatrzyć się we wszystko, co komu potrzeba. Tłumy pielgrzymów, ze wszystkich stron świata, napelniają je rok-rocznie, podczas odpustów i pomimo odpustów, a żadnemu z nich na niczem nie zbraknie. Jest się na co popatrzeć, jest co i kupić, byle było za co; a zapotrzebujesz jakiego człowieka do pomocy, do porady, na służbę, albo poprostu tylko do

gawędki, to gdzież go znajdziez, jeżeli nie w Kijowie!... Pełno w nim, jak nasz chłop powiada: *wsilakoi wsilaczyny*.

Malarz znalazł się sam i jeszcze — jaki!... Andrijowi chodziło o takiego, coby potrafił pomalować gładko ściany i dach, bo co się tyczy obrazów, to tych dość było w starej cerkwi i wystarczyłoby na cały ikonostas; a znalazł się taki, co nie gładko ale w obrazy podjął się pomalować ściany, a nawet obiecywał dorobić ikonę, jeżeliby jakiej brakowało, i co nadewszystko był tani, bardzo tani.

— Dajcie mi jeść i pić — powiedział, kiedy mu Andrij wspomniał o zapłacie — kupcie farb, oleju, to ja wam tam, het! wszystko pomaluję i obmaluję.

Znalazł się on pomiędzy pielgrzymami, i z miny bynajmniej na malarza nie wyglądał. Ale, jakże to często mina zawodzi!... Był to dziad-żebak, podobniuteńki do wszystkich dziadów, włączających się z torbami. Stary, nadgarbiony, chudy, siwiejący, okryty drantową czuchainą, przywłókł się do Kijowa Bóg wie zkad. Jeżeli go kto zapytał:

— Zkad wy dziaduniu?

— Z drogi — odpowiadał; albo:

— Ztamtąd, gdzie trawa nie rośnie.

A że trawa nie rośnie na drodze, więc obiedwie te odpowiedzi oznaczały jedno i to samo.

Musiał on rzeczywiście być z drogi. Pamiętam, że w dzieciństwie mojem widywałem wiejskiego malarza, który mieszkał na Szpakowym szlaku. *) Mieszkaniem jego była nie głębsza jak po pas, a nie większa jak bardzo mały pokoik jama, nad którą wznosiła się słomiana buda. Wchodziło się, a raczej wsuwało się do tej budy przez ciasny otwór, służący zarazem za drzwi i za okno. Przed tym otworem w budzie dziad malował, i przed tym otworem, na drodze, oparta o wbity w ziemię słupek, stała ikona zawsze, ile razy dziad był u siebie. Przejeżdżający Szpakowym szlakiem czumacy, lub przechodzący na jarmark ludzie, zatrzymywali się i przypatrywali ikonie, a jeżeli kto zdecydował się kupić, to tylko krzyknął:

— *Didu!...*

*) Trakt czumacki na Pobereżu, prowadzący do Odessy.

I wysuwała się przez otwór głowa dziada, a wzrok jego przymglony padał na wołającego z wyrazem zapytania, ale takim, jakby go nudziło wywołanie.

— Co za tę ikonę?

— Dwa — albo — trzy złote — odpowiadał dziad, i odpowiedziawszy, natychmiast dawał nurka w budę. Chciałeś wziąć obraz, toś go wywołał po raz drugi i płacił, a nie chciałeś, toś sobie odchodził z Panem-Bogiem.

Czy dobrze ten dziad malował — nie umiem powiedzieć. Wydawało mi się, że bardzo dobrze. Pomnę, że się raz zachwycił Św. Jerzym, deptającym smoka kopytami końskimi i przebijającym go dzidą. Koń był siwy, Śty Jerzy zakuty cały w blachę, smok do góry nogami wywrócony: wszystko to było w porządku i, jak powiadam, zachwyciło mnie. Nie wiem, czy zachwyciłbym się dzisiaj, mogąc porównać dziadowskie to malowanie z utworami Rafaela, Tyciana, Murilla i innych. Musiał jednakże dziad gorzej trochę od nich malować.

Tego zapewne rodzaju, co ów dziad ze Szpakowego szlaku, był malarz znaleziony przez Andrija w Kijowie. Nie mogę tego z pewnością powiedzieć, ale tak się zdaje: był to bowiem także dziad i na zapytanie: „z kąd on“ odpowiadał: „z drogi“.

— Chodźże, dziadu, z nami — rzekł do niego Andrij.

— A po co bym ja miał z wami! — odparł dziad — jeszcze nie zaczęliście cerkwi stawiać, a chcecie już malarza... Co jabym tam robił?

— Ot, przesiedzielibyście w ciepłe zimą...

— Ho-ho!... co mnie zima!... ja ją z sobą, na sobie i w sobie przez cały Boży rok noszę... Ja z zimą się znam i zima ze mną... Wolę ją przechodzić jak przesiedzieć...

— Ależ może nie przyjdziecie na czas, albo ze wszystkim nie przyjdziecie.

— A to dlaczego!... przyjdę, przyjdę!... niech was tam o to głowa nie boli... A w której to stronie te wasze Zahorniki?

— W tej — rzekł Andrij, wyciągając rękę i pokazując palcem ku południowi. Niedaleczko od...

Ale mu dziad przerwał:

— Wiem już, wiem... znajdę... Bierzcie się ino do cerkwi, już ja tam znajdę się... na czas.

I nie było co gadać więcej. Chciał Andrij jeszcze o czemś się rozmówić, ale jak się z nim rozstał, tak już spotkać się nie mógł. Dziad zawieruszył się pomiędzy pielgrzymami i znikł jak kamień w wodzie — podział się niewiedzieć gdzie, tak samo, jak znalazł się niewiedzieć zkąd. Kiedy Andrij jeszcze malarza szukać ani myślał, a tylko, jakos przy okazji, opowiadał ludziom o wędrowce swojej i jej celu, siedząc pod Ławrą i oczekując wraz z wielu pielgrzymami na otworzenie wchodu do pieczar, wyrwał się z pielgrzymów jeden:

— A toć wam potrzeba malarza!...

— A potrzeba — odrzekł Andrij.

— Długoż-by wam szukać się przyszło, gdybyście go nie znaleźli od razu — mówił pielgrzym głową kiwając.

— Alboż co! — rzucił Andrij.

— A to, że ja wam cerkiew pomaluję.

I od słowa do słowa, znalazł się malarz, i jak się znalazł tak zginął. Naprózno Andrij razem z Sydorem i każdy z nich z osobna po rozmowie tej szukali go po ulicach i pomiędzy ludźmi. O mało sami nie pogubili się, a malarza nie znaleźli. Trzeba było poprzestać na gołej z jego strony obietnicy, danej od niechcienia, niby na wiatr rzuconej, i do domu wracać.

Ostatnią wędrowców naszych w Kijowie robotą było zwiedzenie pieczar. Zwiedzeniem tem rozpoczęli oni i zakończyli swój w świętym grodzie pobyt. Andrij dwanaście świeczek woskowych postawił dwunastu śpiącym braciom, którzy budowali Ławrę i modlił się do Matki Boskiej, która robotą ich kierowała. I tak, nauczony, wzmocniony, opuścił Kijów i ruszył prosto do Zahornik.

Zapomniałem wspomnieć jeszcze o gościńcach, o których nie zapomniał ani Andrij, ani Sydor, a które były rozmaite: inne dla Maryny, inne dla Frasyny. Sydor wyprosił u ojca dwadzieścia groszy i kupił osobno obrazek świętej Anny, malutki, oprawiony w kształcie medaljonu w okrągłe mosiężne ramki, za szkłem, z kołeczkiem, za pomocą którego można było obrazek ten nanizać na sznureczek i zawiesić na szyi. Nie chwalił się on kupnem tem nikomu: obrazek starannie płateczkiem owinął i do kieszeni schował.

V.

Wyprzedźmy wędrowców naszych, którzy wkrótce wędrowcami być przestaną, i zanim oni do Zahornik zajdą, zajrzyjmy do dworu.

Powiniennem był uczynić to wcześniej, na samym początku powieści, przez szacunek dla imienia, rodu, krwi, znaczenia i powagi mieszkających we dworze osób; cóż jednak na to powiecie, jeżeli wyznam publicznie, że należę do tego gatunku ludzi, których szacunek ma zwyczaj lgnąć do tego lub owego, nie pytając o jego imię, ród, krew, znaczenie, a nawet i o powagę!... Jest to — powiedziec należy — zepsuty, a co bardziej niepoprawny gatunek ludzi. Podobnymi są oni do much jesiennych: — opeździć się od nich nie sposób; a zabij dla postrachu jedną — nie to nie pomoże: przyleci druga i dziesiąta, brzęczy, nudzi i znów dokucza. Jakich już przeciwko nim nie używano sposobów!... jak ich nie molestowano!... na intencję ich zapisano, zadrukowano foliały... wszystko napróżno. „Ależ, ludzie — powiadają im — macie oczy przecie, patrzcież: gdzie się ten człowiek urodził, jak wychował, do czego przyzwyczał!... toć nie można równać go z tym drugim, który nie tam się urodził, nie tak wychował, ani do tego przyzwyczał!...“ Gdzie tam!... oni na to prawie będą o Adamie i Ewie, jakby nie wiedzieli, że później daleko, a zatem bliżej nas aniżeli Adam i Ewa byli Sem, Cham i Jafet.

Należę do tego niepoprawnego ludzi gatunku; wiem że to źle, niedogodnie, nierozsądnie, niepraktycznie, zapatrując się na to ze stanowiska pewnych innych ludzi; niepojęta jednakże siła jakaś trzyma mnie w tem zaczarowanym kole i szepce w głębi sumienia: „nie słuchaj! rób swoje!“...

Mógłbym sobie był oszczędzić powyższego wyznania, którego nie usprawiedliwia nierozpoczęcie powieści od pana sędziego-porucznika Jana Gajewskiego, dziedzica Zahornik, albowiem pan Jan Gajewski był to człowiek zasługujący trochę na wszystkich a zatem i na mój szacunek. Znacie już sposób obejścia się jego z Jakóbem. Owóż w tym guście obchodziłby się on ze wszystkimi, gdyby los (boję się powiedziec: Opatrzność) nie złączył go węzłem małżeńskim z djabłem pod postacią kobiety, zwanej

przez pana Jana Idalusią, albo, przez skrócenie, Lusią, albo, przez spieszczenie, Luneczka. A ta Luneczka, biorąc ją ze strony moralnej: 1) nie chciała nigdy ani na chwilę zapomnieć, że była niegdyś pułkownikową, 2) nie chciała nigdy pozwolić, aby wola męża, nie już sprzeciwiała się jej woli, ale ją tylko poprzedzała; i 3) nie chciała nigdy zgodzić się na praktykowanie tego przepisu chrześcijańskiego: „kochaj bliźniego jak siebie samego,“ którego nigdzie sobie nawet nie zapisała, jak to uczynił Korezycki dziedzic. Biorąc zaś ją ze strony fizycznej: była to kobieta okazała, nie bardzo słuszną, ale za to grubą, chodząca wspaniale, z głową zadartą do góry, z rękami rozstawionymi jak skrzydła ptaka zrywającego się do lotu, z podgardlem mocno oznaczonym, z wypukłościami ciała tak wyraźnymi, że nie potrzeba było żadnych sztucznych sztukowań ani nakładań, ażeby uwydatnić to, co się nazywa wdziękami niewieściemi. Wszystko to, na biuście, pod biustem i za biustem, rysowało się i rozdziałało kolosalnie. A że w czasach owych krynoliny, sprężyny i obręcze nie były wynalezionymi jeszcze, zatem we wszystkim tem nie było najmniejszego oszukaństwa i natura prezentowała się bardzo naturalnie, okrywając się owoczesnego kroju sukniemi mniej-więcej tak, jak gdy kto w zmoczonej długiej koszuli wylezie z kąpieli. Żydówki w Talnem, mówiąc o niej, wyrażały się:

— If! hörste!... ta zahornicka imoś, to pani taka korpulentna, że niech pan Bóg bronii...

Sędzina w talniańskich żydówkach ogromne ku sobie wzbudzała uszanowanie, szczególnie dlatego, że z korpulentności podobną była do żony wielce szanownego w miasteczku rabina, która tak samo rozstawiała ręce, tak samo toczyła się idąc, i tak samo sapała na gorącu. Porównanie to zrobiłem nawiasowo dla tych, którzy pamiętają tego Szmula, co w początkach drugiej ćwierci dziewiętnastego wieku, był rabinem w Talnem. A jeżeli kto go nie pamięta, to może zasięgnąć o nim, a może nawet i o małżonce jego, wiadomości w aktach kahałnych: rozumie się, jeżeli kahał talniański utrzymuje w porządku archiwa swoje. Ale, zostawiając Szmula, Szmulowę i kahał na boku, i kończąc obraz sędziny, dodać muszę, że oblicze jej wyglądało wcale przyzwoicie, jak księżyc w pełni, połyskując połyskiem dobrobytu, pochodzącym z dostatniego napełniania żołądka. Oczy jej piwne były zwykle nieco przymrużone; nos był troszciczka za

szeroki, nie dlatego, żeby miał być niekształtnie zbudowany, ale dlatego, że po obydwóch stronach, na miejscu nózdr, miał jakby przyprawione malutkie poduszeczki, które pochodziły zapewne od jakiegoś spuchnięcia, którem natura ukarała naszą sędzinę za dumę, którą ona nosem i ustami uwyraźnić się starała. Taka sama kara spotkała i usta: — nabrzmiały i rozciągnęły się. O, duma — wielki to figlarz! gdy kto usiłuje odziać w nią twarz gwałtem, to ona — także gwałtem — zamienia tę twarz w — karykaturę. To sprawdziło się co do joty na sędzinie: natura stworzyła ją otyłą — to prawda — ale nie brzydką; lecz ona zrobiła się brzydką sama, dlatego, że chciała być dumną, chciała być koniecznie panią naprzekór wszystkim i wszystkiemu. A przekór tych, wypadających na niekorzyść sędziny, było dużo. Jak naprzykładał:

Wiadomo jest — chociaż temu niektóry z braci piszącej i drukującej pisanie swoje, gotowi zaprzeczyć (ale — czemuż to dziś nie przeczą!...) że społeczność nasza szlachecka klasyfikuje się sama w sobie na kilka gatunków, a podstawą tej klasyfikacji nie jest żadna psychologiczna, fizjologiczna, ani historyczna przyczyna, ale po prostu gatunkowa ciężkość worka. Wartość istotna (*intrinsicque*) człowieka mierzy się rublem. Ludzie jednakowej rublowej wartości trzymają razem i osobno, tak jak w amerykańskich lasach małpy, żyjące w osobnych towarzystwach: orangutangi z orangutangami, babuiny z babuinami, czimpanazy z czimpanazami, i t. d., z tą tylko różnicą, że małpy mają powód do takiego życia, a ludzie nie. Brak jednakże powodu nie przeszkadza tym ostatnim, dzielić się na niższe i wyższe gatunki, których dałoby się naliczyć z tuzin, poczynając od szlachetki zagonowego, a kończąc na milionowym magnacie. Szlachcic zagonowy, ekonom, komisarz, possessor, dziedzic posiadający sto dusz, dziedzic posiadający dwieście dusz, dalej trzysta, czterysta, tysiąc, dziesięć tysięcy — są gatunkowemi działami, formującemi sfery stopniowo wyższe i wyższe. Wglądnąwszy w te sfery po człowieczemu, po chrześcijańsku, to częstokroć milionowy pan nie wart ekonomia; ale przypatrując się temu wszystkiemu z boku, obojętnie, to śmiech bierze, jak te sfery stawia się jedna względem drugiej: jakim wzrokiem spoglądają one na dół i do góry; jak niższe usiłują wkroczyć w wyższe; jak wyższe bronią się od inwazji niższych; jak te wkraczania i obrony wyrobiły z czasem

osobny rodzaj dyplomacji, polityki, taktyki: jak na horyzontach tych sfer rozmaitych pojawiają się od czasu do czasu geniusze; jak grają namiętności; jak objawiają się tryumfy, upadki, zdrady, przენiewierstwa.... Gdyby kto zajął się robieniem postrzeżeń nad działaniem i oddziaływaniem sfer na sfery, mógłby ująć je w prawidła nauki, ba nawet — mógłby kilka nauk oddzielnych napisać: dyplomację, politykę i taktykę społeczną, i zasłużyć się ludzkości jako twórca nauki: jak Arystoteles logiką, lub Adam Smith polityczną ekonomją.

Ale, wracając do naszej sędziny, z powodu której zrobiłem ten pogląd pobieżny na sfery społeczne, powiedzieć muszę, że *de facto* i *de jure* należała ona do sto-duszowej sfery, i jako taka possessorów, komisarzy, ekonomów miała za nic; obok tego wszakże stanowisko swoje uważała jako igraszkę niesprawiedliwego losu. Martwiło ją to i śmiało powiedzieć można, że byłaby dwa razy grubsza, gdyby nie to zmartwienie.

— Cóż ona — mawiała o tej, lub owej sąsiadce — lepszego!.. ma dusz trzysta i już nos zadziera, jakby miała pięćset... O, i ja potrafię zdrzeć, jeżeli o to chodzi!..

I rzeczywiście zadzierała, i trzymała go na wysokości nieprzechodzącej tysiąca dusz, tak jakoś — pomiędzy pięciuset a ośmiuset.

Mężowi także nieraz słowa prawdy mówiła. A trzeba wiedzieć, że pan Gajewski nie wziął za nią ani złamanego szeląga posagu. Podejrywała więc go ciągle o jakiś rodzaj dekonzyderacji z jego strony względem siebie i starała się reparować takową dość częstemi przymówkami, następującej mniej-więcej treści:

— Cóż-to, zem ci nie wniosła stu tysięcy — *stu tysięcy* wymawiała z przyciskiem, chociaż stu groszy nie wniosła — to myślisz już, że mną pomiatać możesz!.. O, nie, panie Janie, toś się omylił.. Wam się zdaje, że tylko pieniądze stanowią wartość kobiety... Proszę pamiętać, że znam się ja na wartości mojej i nie pozwolę uchybiać sobie, ani za domem, ani w domu...

Sędzia mileżał na takie *dictum acerbum*, przekonawszy się smutnem doświadczeniem, zrobionem w początkach małżeńskiego pożycia, kiedy sędzina nie była jeszcze taką grubą, że najgrzeczniejsza odpowiedź, najpokorniejsze tłumaczenie się, było nalewaniem oleju do żaru. Sędzina drażniła się stopniowo coraz bardziej i bardziej, moralizowała coraz ostrzej o stosunku męża

do żony, i kończyła porównaniami pomiędzy sędzią a nieboszczykiem pułkownikiem, porównaniami, które wszystkie najfatalniej wypadły dla sędziego, i z których najwyraźniej pokazywało się: że nie sędzia uszczęśliwił sędzinę, ale sędzina uszczęśliwiła i uszczęśliwia sędziego, poświęciwszy się dla niego i wniosłszy mu z sobą zaszczyt, który wart był przynajmniej dziesięć razy sto tysięcy.

Miała jednakże sędzina zaletę jedną: była gospodarną, ale gospodarną po swojemu, i nie była rozrzutną. Postrzegłem to (radbym, żeby postrzeżenie moje stwierdzonem zostało wszechstronnie i przez więcej postrzegaczy), że w ogólności kobiety otyłe są oszczędniejszymi od szczupłych. Gospodarność zaś jej zależała na zagartywaniu dla siebie wszystkiego, co tylko jakimkolwiek prawem jej należało się, albo należeć się mogło. Motki, jaja, kury, kapłony, wybierała i przebierała z całą najdrobiazgowszą skrupulatnością i sprężystością, podług wagi i miary, oszukując poddanki swoje i na wadze i na miarze: ważyła bowiem drewnianemi ważkami, na których jedna strona nazywała się dworską, a druga chłopską, i mierzyła łokciem, który był o połowę większym od zwyczajnego. Nie wiedziała o wynalazku maszynki do mierzenia objętości jaj, a byłaby ją niezawodnie zaprowadziła u siebie.

Oprócz zwyczajnych powinności potrafiła sędzina zaprowadzić nadzwyczajne. Kiedy np. jej kury, gęsi, kaczki i indyczki wysiadywały, natychmiast po wysiedzeniu rozdawała je pod liczbą na wychowanie na wieś i odbierała także pod liczbą, nie odciągając najmniejszego procentu na jastrzębie i choroby, których ofiarą pada tak dużo piskląt drobiu domowego.

— Było pilnować — powiadała sentencjonalnie, jeżeli chłopka która uskarżała się przed nią, że na indyczęta np. zaraza napała — było kurować!... kto ci kurować bronił?... czy to ja chodzić mam za wami wszystkimi i doglądać indycząt?!... jeszcze czego nie stało!...

Razu pewnego postrzegła z daleka kobiet kilka ze wsi i kilkoro dzieci, zgromadzonych nad stawkiem i zatrudnionych czemś takim, czego ona zrozumieć nie mogła. Podkasywały się wyżej kolan, wchodziły do wody i postawszy w takowej przez chwilę, wychodziły na brzeg, coś robiły koło nóg własnych i znów do wody wracały. To wchodzenie, wychodzenie i skuba-

nie nóg, każda z nich powtarzała dość często. Zastanowiło to sędzinę niepomatu.

— Co tam robią te kobiety? — zapytała kogoś ze służby.

— A to, proszę pani, łapią pijawki.

— Aha!... a na cóż im tego tak dużo?

— A, bo to pojutrze targ w miasteczku. To na targ łapią.

— Jak to!... i sprzedają?

— Jedne sprzedają w aptece, inne mieniają u żydówek na sól.

— A złodziejki!... — krzyknęła sędzina — damże ja im pijawki!... gdzie ekonom?... zawołać mi ekonoma natychmiast!... Jasiu!... Jasiu!... — wołała na męża; a gdy ten stanął przed nią, myśląc że jaki nadzwyczajny wydarzył się wypadek, powiedziała mu, podchodząc ku niemu z wyciągniętymi rękami i robiąc niemi rodzaj ukłonu, używanego przy wymówkach:

— Otoż-to tak!... okradają nas pod naszym bokiem, w naszych oczach, i gdyby nie ja, to Bóg wie jak długoby to się ciągnęło...

— Cóż to, moje serce? — pytał sędzia.

— Tak!... cóż-to!... to ja mam wiedzieć o wszystkim, a ty, o niczem!...

— Ależ-bo...

— Nie ma: ale!... — przerwała sędzina stanowczo — posłałam po ekonomą.

I jak wpadła w oratorski zapał, to gadała ni dłużej, ni krócej, tylko przez godzinę całą; ale nie o pijawkach, bo o pijawkach zapomniała, i nie pierwszej przypomniała sobie, aż zjawił się na progu pan Wastemburski.

— A, dobrze żeś waćpan przyszedł — rzekła — idź mi asan natychmiast... — i wyjrzała przez okno na staw, podnosząc rękę w zamiarze zrobienia ukazującego gestu — idź!... — i ucieła, bo na brzegu nie było już nikogo. Rzekła przeto po krótkim namyśle:

— Słuchaj, dzieją się tu kradzieże pod nosem naszym. Tak być nie może.. Potrzeba żebyś asan naglądał za tem... Jak się pozwoli na jedno, to potem nie będzie co zabronić... Jak to można, aby baby wiejskie łapały pijawki i sprzedawały w mia-

steczku!... Czyj to staw, czyja woda, czyje pijawki?.. Nie można zezwalać na to... Zabroń mi to asan jak najsurowiej!...

Potrzeba było widzieć pocziwego sędziego, jak słuchał morałów najukochańszej małżonki i nie odzywał się. Nieprzyjemnie było słuchać, gorzej było odezwać się, a najgorzej — odejść. Więc słuchał sędziuno, zażywając od czasu do czasu tabaczkii. Los jego godnym był pożałowania, gdyż, chociaż był on niby to panem, a w istocie mężem i ojcem, lecz wniknąwszy w grunt rzeczy, jego państwo, mężowstwo i ojcowstwo, gdyby je zamienić w cytrynę i pocisnąć, toby nie wydało soku najmniejszego. Gorzej mu działa się jak ekonomowi, ekonom bowiem wysłuchał rozkaz, poklonił się, obrócił i wyszedł. Spróbował był raz zrobić tak i sędzia: wysłuchał, poklonił się i wyszedł; ale jak tylko znalazł się za drzwiami, wrócić musiał natychmiast: usłyszał za sobą jęk przeraźliwy i loskot padającego ciała. Wbiegł do pokoju, w którym zostawił sędzinę i ujrzał ją na podłodze w najformalniejszych spazmach. Postawmyż się na miejscu jego: cóż mu pozostawało? — oczywiście nic innego, tylko słuchać cierpliwie, wyfilozofowawszy sobie to przekonanie, że mu żona gadaniem lba przecie nie urwie.

Nie urwała — to prawda: ale i to niemniej prawda, że — wysuszyła. Sędzia, który niegdyś okazywał pewien hart uczciwości, mało po mału tracił go i utracił. Nie był to snąć hart dość silny, kiedy nie potrafił oprzeć się babie i zmiękł jak wosk. Uczciwość się została, ale taka bierna i negatywna, że umiała tylko kiedy niekiedy odwracać złe, ale nie zdołała nigdy zdobyć się na męskie: „tak chcę i tak być musi.“ Tę stopniową utratę hartu czuł sędzia, i w początkach małżeńskiego pożycia starał się uratować go: od pierwszego dnia bowiem, nieledwie natychmiast po ślubie, sędzina postawiła się w roli zaczepnej, i od razu górę otrzymała. Dla uratowania mężkości, sędzia, który pod on czas nie był jeszcze ani sędzią, ani porucznikiem, taki wymyślił sposób: wyniósł się z domu i przez cztery lata nie dawał znać o sobie. Było to w czasach, w których wielu szlachty z domów się wynosiło i z nich jedni powrócili później, inni nie. Powody, które sędziego wyciągnęły, wyższe były nad niedogodności domowego pożycia; po za temi atoli powodami ukrywała się myśl następująca: „niech się dzieje wola Boska!... albo nie powrócę, albo powrócę; jeżeli nie powrócę, to spotkam

się z Idalusią na tamtym chyba świecie ; jeżeli zaś powrócę, to się do niej inaczej wezmę, i nie pozwolę już sobie po nosie brząkać... Powrócił sędzia, ale... nie wziął się inaczej. Znalazłszy się pod domową strzechą, nie mógł oprzeć się głębokiemu wzruszeniu, które go nawskróś przejęło i na dni kilka jego mężkość zupełnie rozbroiło. Dom wydał mu się rajem, Idalusia — aniołem, nie mógł nacieszyć się synami, którzy przez czas jego nieobecności powyrastali na sporych chłopaków, a których było dwóch. Przez tych dni kilka Idalusia postawiła się nie po dawnemu, a bez porównania mocniej jak dawniej: przed tem bowiem panowanie jej unosiło się więcej w sferach abstrakcji, po powrocie zaś sędziego znalazło się opartem na gruncie realnym. Sędzia, wyjeżdżając, popełnił błąd ogromny, powierzenia jej opieki nad majątkiem. Zagarnęła więc w ręce swoje wszystko — i nie puściła. Sędzia przyszedł do władzy nominalnie; rzeczywistość władzy pozostała przy Idalusi, i zamieniła sędziego na ekonoma przywiązanego dożywotnio i be pośrednio do osoby małżonki. Jedynym czynem, w którym wola sędziego wystąpiła dodatnio, było uratowanie Jakóba od pańszczyzny i obronienie go od obowiązku składania daniny z przedziwa, jaj, kur i kapłonów. Zresztą zaś wszystkie poddanym ulżenia, bądź w robociźnie, bądź w daninach, wykonywały się sposobem spiskowym, w tajemnicy, i biada było sędziemu, jeżeli kto przez nieostrożność, lub też przez chęć przypodobania się dziedzicze, zdarł z takowych przed nią zasłonę tajemniczości.

Mnie się zdaje, że gdybym był nie powiedział, to bylibyście się sami szanowni czytelnicy domyślili, że nasz sędzia tabaczkę zażywał. Była to jedyna jego w utrapieniu pociecha. To szczęście, że się nie rozpił. Jak tylko sędzina rozpoczynała morały lub wymówki, sędzia natychmiast sięgał do kieszeni, wydobywał dość sporą, okrągłą tabakierę i rozpoczynał słuchanie od zażycia tabaki. Tabakiera była czarna, połyskująca, a na denku i wierzchu miała po środku przybite srebrne, krągłe blaszki, ozdobione wybitemi na nich prążkami koncentrycznych kółek, których centrem był gwoździć gładki i krągłutki. Po wstępnem zażyciu, sędzia w lewej ręce, pomiędzy dwoma palcami, przyciskając takowemi lekko gwoździki, umieszczał tabakierę i obracał nią. Obracanie szło zrazu powoli, aż do powtórnego zażycia tabaki i przyspieszało się po każdym zażyciu, które niekiedy, przy po-

mocy głośnego ucierania nosa, służyło jako dywersja przerywająca gadanie sędziny i dająca sędziemu czas wynieść się. Nie zawsze jednakże manewr ten udawał się. Nieraz sędzia zażył tabaki raz, drugi, trzeci i dziesiąty, i już wytrząsł palce ostatecznie, pochrząkując przeciągle i wykrzykując chrapliwym nieco głosem: „a!“ jakby mu tabaka w nosie kręciła, i myśląc sobie w duchu: „no, Bogu dzięki skończyło się tym razem!“ aż tu, jak na złość — nie skończyło się. Sędzia wówczas coraz szybciej i szybciej popędzał tabakierę palcem i przyprowadzał ją nakoniec do tak szybkiego ruchu, że gdyby nie była czarna, ale pomalowaną siedmiu kolorami tęczy, to niezawodnie wydałaby się białą. Większa albo mniejsza szybkość w obracaniu tabakiery stanowiła miarę, i zarazem jedyną materialną oznakę niecierpliwości sędziego.

Sędzia nie posiadał miny sarmackiej, nie nosił wąsów (dla tegoteż tytułowano go chętniej sędzią aniżeli porucznikiem), i miał wyraz fiziognomji łagodny, co go w obec małżonki stawiało tak, iż zdawało się, że on jest żoną, a ona mężem. Wzrostem nie był on niższym, wydawał się jednak niższym, co zaś do tuszy, taki był pomiędzy nimi stosunek: że z sędziny możnaby było sędziów wykroić trzech.

Potomstwo nie obarczało sędziostwa zbyt wiele: synów dwóch urodziło się im przed wyjazdem sędziego, a po powrocie córka jedna. Najstarszy syn, pod względem charakteru, wdał się w matkę, najmłodsza córka wdała się w ojca, średnie dziecko nie wdało się ani w ojca, ani w matkę. Więcej dzieci nie mieli i mieć nie mogli. Gotów kto spytać: dla czego? — Nie wiem; wiedzą o tem może lekarze.

Maciej — syn najstarszy — od dzieciństwa tem się odznaczał, że miał muchy w nosie. Sędzina utrzymywała:

— To dziecko ma ambicję nad wiek.

Wincenty — syn młodszy — był swawolny i lubił płać ludziom figle. Sędzina powiadała:

— To nadzwyczajnie dowcipny chłopiec.

Sędzia znajdował także Macusia ambitnym, a Wicusia dowcipnym; zgadzał się w tym względzie z żoną i głośno potwierdzał jej zdanie. Lecz nie mógł zgodzić się z nią, a nie mogąc zaprzeczyć, milczał, gdy sędzina córkę głupią gęsią nazywała. Córka zaś ta, której na imię było Karolka, była dobrem,

cichem, skromnem i potulnem dziecięciem, bała się matki, szanowała ojca, kochała ich obojga, dla braci zaś gotową była na ofiary wszelkie, i czuła się prawdziwie uszczęśliwioną, jeżeli którego z nich obdarzyć mogła czem takim, co jej wyłączną było własnością.

W rodzinie tego rodzaju, w której niedobre rodziców charaktery tak rzezko są odróżnione, z konieczności rzeczy formują się stronnictwa, głowami których są ojciec i matka. Na łonie rodziny sędziostwa, stronnictwa te tak wystąpiły: w jednym figurowała sędzina, a obok niej, albo raczej za nią — Maciś, inaczej Macio; było to stronnictwo dominujące — zachwyciło władzę i umiało dźwżyć takową, zapatrując się zaś z własnej wysokości na sprawy rodzinne, miało prawo powiadać, że pod dachem zahornickiego dworu powszechna panuje zgoda i jedność, gdyż drugie stronnictwo, w którym tkwił sędzia z córką, nie miało głosu, biernem było. Pomiedzy dwoma temi stronnictwami stał Wiciś. Anglicy nazwaliby go *quite independent* (czytaj: kwajt independent) zupełnie niepodległy, chociaż w niektórych razach przechylał się raczej ku ojcu, ale nie naprawiał jego sprawy, ani wzmacniał jego stanowiska.

Sędziostwo dali dzieciom wychowanie zwykłym w owych czasach trybem: rozpoczęli je w domu a kończyli w szkołach. Domową edukację udzielał paniczom nasamprzód niejaki p. Targoński, który przyszedł piechotą i odszedł piechotą, i był tylko do syllabizowania i pisania na woskowanym papierze. Po nad syllabizowanie i pisanie na woskowanym papierze nie podejmował się uczyć więcej. Była to jego specjalność. Póki dzieci nie nauczyły się tego, p. Targoński okazywał pilność, zdolność i wzorową cierpliwość; ale gdy już od elementarza wypadła potrzeba przejść do książki — pan Targoński rozpił się na zabój, i zabrawszy manatki swoje, których było na węzelek jeden, mieszczący się całkowicie w chustce od nosa, ruszył szukać innej służby, nie raczywszy nawet pożegnać się z państwem.

Po panu Targońskim nie zdarzał się jakoś żaden inny wędrowny guwerner. Trzeba było poszukać. Pojechali sędziostwo po sąsiadach, szukali, pytali i znaleźli w końcu dyrektora do dzieci. Był nim niejaki Bonkowski, kwalifikujący się nie tyle na nauczyciela, ile raczej na rezydenta domowego. Pochodził z Wielkopolski i przed laty paru na Ukrainę przyjechał, ścia-

gnięty pogłoską o bogatych krewnych, na Ukrainie gdzieś się znajdujących, przy których chciał osiąść. Nie wiedział jednak, ani gdzie krewni owi mieszkają, ani też, jak się nazywają. Jeździł więc od szlachcica do szlachcica dyszłem rzemiennym, zatrzymując się w domu każdym po tygodni i po miesięcy kilka, i rozpytując się wszędzie: o Bonkowskich, Bońkowskich, Bańkowskich i Bińkowskich; a także, z tej racji, że matka jego Gronowska była z domu, o Gronowskich, Granowskich, Gornowskich; jak również, dla babki Szoplińska się rodzącej, o Szoplińskich, Szyplińskich, Szaplińskich, Szeplińskich, Szepalińskich.

— Bo to, mości dobrodzieju — powiadał — historia pełna jest takich przykładów, że zmiana jednej litery sprawiła rozszepienie się familji na dwie gałęzie odmienne.

Pan Bonkowski do ciężkiej należał artylerji: jeździł z ogromnemi dwoma kuframi i z tłomokiem. Jeden kufer zajęty był do połowy książkami i manuskryptami, do połowy bielizną i sukniami; drugi kufer całkowicie napelniały książki; w tłomoku mieściła się pościel. Gdzie tylko przyjeżdżał, wydobywał natychmiast bibliotekę swoją, przeglądał książki, odmuchiwał takowe, wietrzył i pakował na nowo. I trudnił się ustawicznie nie czem innem, jeno czytaniem. Książki po największej części łacińskie były.

Sęstwo zastali Bonkowskiego u jednego z sąsiadów, który miał go już podwodą odselać dalej, gdy mu atoli opowiedzieli o ambarasie swoim, zaproponował im go natychmiast.

— Uczony, mociem-panie, uczony — mówił, głową kręcąc i usta zaciskając.

— Tem lepiej — odrzekł sędzia.

— Ale, czy się tylko bakałarstwa podejmie... jak na dyrektora, za uczony być się zdaje.

— Kupić nie kupić, potargować można.

Spytał się więc sąsiad Bonkowskiego, i ten nad spodziewanie, przyjął propozycję od razu, nie bardzo drożył się nawet, wymówiwszy sobie tylko z góry konsyderację, którą określił tak:

— Będę, mości dobrodzieju, jadał przy jednym z państwem dobrodziejstwem stole, będę miał, mości dobrodzieju, osobną izbę, w której mogą dzieci uczyć się pod mojem okiem, do nauki zaś nie będą służyły książki moje.

Przystali na to sęstwo, przez wzgląd jedynie na uczoność głęboką pana Bonkowskiego, pomimo że w czasach owych nie

było we zwyczaju traktować domowych nauczycieli tak, jak dziś ich traktują. Targoński np. jadał w kuchni, uczył gdzie wypadło, przynosząc się z dziećmi i z książkami z pokoju do pokoju i wynosząc się niekiedy, jak goście przyjechali, do ogrodu, a sypiał — na folwarku. Takie obchodzenie się, jakiego wymagał Bonkowski, praktykowało się, ale tylko względem Francuzów. O Francuzie myślała sędzina, lecz chciała go mieć na desser — na dokończenie edukacji. Tymczasem zaś przystała i na Bonkowskiego.

Bonkowski, przybywszy do Zahornik, nasamprzód rozładował się — wydobył, porozkładał, poodmuchiwał książki swoje i ułożył je starannie na deskach, które przybił do ścian; następnie posłał sobie łóżko i położył się, zamknawszy pierwej drzwi. Po chwili, wszedł Wicus i drzwi otworem zostawił za sobą.

— Zamknij drzwi — rzekł pan Bonkowski, z pościeli się nie ruszając.

Wicus zamknął i stanawszy z boku, przypatrywał się ciekawie nauczycielowi swemu, który założywszy obie dłonie pod głowę i wlepiwszy oczy w sufit, leżał, zdając się być pogrążonym w głębokiem dumaniu. Chłopakowi znudziło się tak stać; zbliżył się więc do książek i obaczywszy jedną, która czerwoną wyglądała okładką, palcem się jej dotknął.

— Nie ruszaj książek — rzekł pan Bonkowski.

Wicus ręce spuścił i do wyjścia się zabierał.

— Nie idź, dokąd idziesz? — rzekł znowu pan Bonkowski, i zapytał po chwili milczenia:

— Ilu was?

— Dwóch, panie dyrektor — odpowiedział chłopak, rad że przecie pogadać może — ja i Macio.

— A gdzież tamten drugi?

— Nie wiem.

— Pójdź, poszukaj go, znajdź, i przyjdźcie tu obydwaj.

Wicus wyszedł i po chwili wrócił z Maciem.

Pan Bonkowski leżał w tej samej pozycji i rozpoczął z obydwoma elewami swoimi rozmowę od tego samego, od czego ją rozpoczął był z Wicusiem.

— Zamknij drzwi.

Następnie wypalił do nich przemowę o szacunku, do ja-

kiego uczniowie obowiązani są względem nauczyciela. Przemowę temi słowy zakończył :

— Zeno, jeden z siedmiu mędrców greckich, uczył dyscyplułów swoich milczenia. Ergo i ja was, mości dobrodzieju, będę kształcił przez milczenie. *Silentia* — rzekł, wydobywając rękę z pod głowy i podnosząc palec do góry — jest w człowieku cnotą największą. Pamiętajcie to sobie. Macie tam dwa stołki; usiądźcie na nich, i — ani mru-mru.

Chłopcy usiedli, zrozumiawszy piąte przez dziesiąte z przemowy; pan Bonkowski wziął książkę i czytać począł. Taką była pierwsza lekcja przedobiednia.

Poobiednia odbyła się tak samo, z tą tylko różnicą, że p. Bonkowski zasnął i po przespaniu się uwolnił uczniów swoich.

Chłopcom to się zrazu podobało, szczególnie Wicusiewi, który po objedzie przychodził uzbrojony w słomkę i wodził nią ostrożnie pod nosem i po uchu panu Bonkowskiemu i bawił się, gdy ten wykrzywił się i opędzał, niby od much.

Doszło to jednakże do wiadomości sęstwa, i sędzina wyprawiała męża, aby pomówił na serjo z panem Bonkowskim. Sama nie odważała się jakoś napominać go, gdyż imponowała jej uczoność jego. Taki to uczoność ma znaczenie swoje!..

Sędzia tak przemówił do niego :

— Życzeniem naszym, to jest mojej żony i mojem, jest aby dzieci nasze uczyły się czytać i pisać. Prosiłbym więc pana dobrodzieja, abyś rozpoczął z niemi naukę.

— Mości dobrodzieju — odparł Bonkowski powolnie — jeżeli państwo dobrodziejstwo chcecie, aby dzieci ich wyszły na ludzi, to spuście się na mnie. Niech pan, mości dobrodzieju, raczy spojrzeć — i ukazał ręką na książki — nie daremnie je przewertowałem.. Wszystkie te księgi mam tu — i ukazał na głowę swoją. — Jeżeli ja to, co te księgi zawierają w sobie, z mojej głowy przeleję w głowy dzieci państwa dobrodziejstwa, to będziecie państwo mogli pochłubić się niemi przed światem i ludźmi. Ja mam moją metodę, nad którą długo myślałem i od której nie odstąpię mości dobrodzieju. Przystąpię ja z kolei do czytania i pisania, ale pierwej systematycznie przygotuję chłopców. Do nauki, mości dobrodzieju, jak do spowiedzi.. trzeba skoncentrować ducha. I młodych chłopców naginać do niej trzeba

jak młodą latorośl... ostrożnie, mości dobrodzieju, ostrożnie, zbytnią bowiem pospiesznością złamać można.

Cóż na to mówić było!... Sędzia wyluszczył rzecz całą sędzinie, robiąc szczególny przycisk na przyrównanie Macia i Wicusia do latorośli.

I tak pozostało. Chłopcy brali lekcje milczenia, a rodzice słuchali z uszanowaniem pana Bonkowskiego, jak przy obiedzie rozprawił o filozofach greckich i łacińskich, albo jak rozpytywał się goście o Bonkowskich, Bońkowskich, Granowskich etc.

Jeżeli korzyść jego metody uczenia była niewielką, to obecność jego w Zahornickim dworze stała się hamulcem na język sędziny — i w przeciągu kilku tygodni sprawiła spokój, któremu po cichu błogosławił sędzia. Lecz jak wszystko na świecie przemija, tak i ten spokój przeminął. Sędzina rozgadała się raz po swojemu. Bonkowski wysłuchał gadania jej z boku, jako świadek, a gdy skończyła, opowiedział o zajściu historycznym pomiędzy Sokratesem a Ksantypą, i w końcu powinszował uroczyście sędziemu, przyrównywając go do Sokratesa; tem więc samem, chociaż nie powiedział tego wyraźnie, rola Ksantypy dostała się sędzinie.

— Kiedy ja Ksantypa, to asan natychmiast wynoś się z domu mego!... — wrzasnęła sędzina.

Uczony nasz nie odrzekł na to nic: poszedł, poskładał książki swoje w kufrach, spakował pościel do tłómoka i pojechał odszukiwać bogatych krewnych.

Po Bonkowskim zarzekła się sędzina brać Polaków na guwernerów. Znalazł się Francuz, ale i ten popasał niedtugo, dlatego, że wolał przepędzać czas w garderobie jak z elewami, i obok tego, od pierwszej chwili przybycia do Zahornik, rozpoczął formalny romans z sama sędziną, co się jej bardzo nie podobało. Słowem, edukacja domowa nie wiodła się i skończyło się na tem, że po kilku próbach, Macio i Wicusz odwiezionymi zostali do Humania do Bazylionów, i umieszczonymi w konwikcie. Tam pozostawali lat pięć. Macio uczył się pilnie. Wicusz nie chciał się uczyć, ale gdy powrócili do domu, pokazało się, że Macio nie umie więcej jak Wicusz, ani Wicusz mniej od Macia. Odebrała ich sędzina ze szkół z powodu krzyczącej niesprawiedliwości profesorów, którzy ani jednemu, ani drugiemu nie dawali promocji z klasy do klasy, i okazywali wyraźną parcjal-

ność dla syna Wastemburskiego, który, bez żadnej edukacji domowej, nie stojąc w konwikcie, ale na stacji u jakiegoś kielbaśnika, wyminął paniczów w klasach i co rok przywoził do domu nagrody. Postępowanie takie księży Bazylianów oburzyło sędzinę do najwyższego stopnia. Na niestosowność onego sama osobiście zwróciła uwagę księdza rektora, lecz otrzymała taką od niego odpowiedź:

— Mościa dobrodziejko, w świątyni oświaty ten lepszy, kto się lepiej uczy.

— Jeżeli ksiądz dobrodziej nie przyrzecze dla moich dzieci już nie nagrodę, bo niech tam sobie nagrody kto chce bierze, ale przynajmniej promocję, to zmuszoną będę ze szkół ich odebrać — rzekła sędzina głosem błagającym prawie.

— Jak się pani dobrodziejce podoba — odparł uparty ksiądz — ja nic nie przyrzekam. Jeżeli będą się uczyć, to dostaną i promocje i nagrody.

To „jeżeli“ księdza rektora ubodło sędzinę do żywego. Zabrała dzieci, i przyjechawszy z niemi do domu, natychmiast odprawiła Wastemburskiego.

Równoległe z edukacją synów prowadzoną była edukacja córki. Z Karolką poszło jakoś lepiej. W domu poduczył ją sam sędzia; a z Humania, od pani Lens, powróciła, zdobywszy znajomość francuskiego języka, muzyki, tańców i rysunku. Znajomość ta powierzchowna wprawdzie, wystarczała aż nadto na to, aby Karolkę nazwano bardzo dobrze wychowaną panną. Mówiła po francusku, grała na fortepianie (sprowadzonym z Wiednia), tańczyła, rysowała kwiaty — czegoż chcieć więcej? Sędzinie przynajmniej nie chodziło o nic więcej i była z tej strony zadowoloną zupełnie, a nazywała córkę głupią, nie za to, czego ona nie umiała, ale za to, że nosiła się z Karpińskim, Felińskim, Krasickim, Naruszewiczem, którzy znajdowali się w szafie ojcowskiej, lub dostawali się do Zahornik od sąsiadów, sposobem pożyczki. Czytanie książek polskich uważała pani Gajewska niepotrzebnym nabijaniem głowy romansami.

— Na co się to zda! — mówiła do córki — jeżeli masz czytać, to już lepiej czytaj po francusku. Wszak francuskie książki pisane są i rozumniej i ładniej, a polskie tylko dla takich, którzy nie umieją po francusku. Lada ekonomówna po polsku czytać potrafi.

Takie to były czasy... Pani Gajewska nie była wyosobnionym wyjątkiem. Dziś może byłaby wyjątkiem: nie tak jednak bardzo rzadkim, aby znaleźć takowy niepodobieństwem było.

Nie będę wchodził w szczegóły dalsze domowego państwa Gajewskich pożycia, i ich potomstwa, ani opowiadał bardzo zwyczajnych kolei, jakie przechodzili panicze i panna, wyrastając na pełnoletnich. Wyrośli i kwita. Macio — jak twierdziła sędzina — nadzwyczajnie przypominał nieboszczyka pułkownika: — był to drymbłas duży, głupi, nadęty i zakrawał na to, że po ożenieniu utyje. Wicus był także duży, lecz zdawał się być rozumniejszy od starszego brata i nie był wcale nadęty. Miał on w sobie grunt ucziwości ojcowskiej, który byłby się może i rozwinął na pożytek jemu i drugim, gdyby został uprawionym należycie i skierowanym ku jakiemuś podnioslejszemu celowi. Sympatyzował on z Karolką i z jej pociągiem do literatury. Po objęciu zwykle mrugał na nią. Ona rozumiała, że to znaczy, iż Wicus radby coś posłuchać. Wynajdywała więc jakąś książkę i szła do osobnego pokoju, gdzie on czekał na nią, leżąc na kanapie z fajką w zębach. Tam siadała obok brata i czytała głośno. Wicus niekiedy zdrzemnął, lecz niekiedy żywo zainteresował się tem, co słyszał. „Doświadczyńskiego“ np. wysłuchał od początku do końca. „Monachomachija, Antimonachomachija i Myszeis“ niezmiernie go bawiły, a kiedy Karolka odczytała tę strofę, która kończy się wierszem: „Nie żał żyć dla niej, nie żał i umierać“, zastosowanym do miłości myszej ojczyzny, rzekł, przerywając jej czytanie:

— Powtórz-no to!...

A wysłuchawszy po drugi raz, zawołał:

— A, toż napisał szelma!...

— Ależ mój Wicusiu — rzekła Karolka — nie godzi się chwalić w ten sposób, wszak to biskup napisał.

— O! nie wiedziałem, przepraszam... No, i cóż tam dalej?

Chłopi Wicusia Wisusiem nazywali; lecz to jakoś przypadkowym chyba sposobem zamieniło się c na s, gdyż Wicus nie był wisusiem, jeżeli będziemy z pańskiego punktu widzenia zapatrywali się na stanowisko młodego dziedzica, w gromadzie podległej mu wsi. Młody ma w żyłach krew nie wodę, we łbie oczy nie kawałki szkła, a w gromadzie są młodyce i dziewczki ładniejsze i brzydsze. Straszna to, wołająca o pomstę do Boga zbro-

dnia — wnoszenie zgorzenia pomiędzy lud prosty a podległy. Lecz którenże to z paniczów tej zbrodni nie popełnia?... któremuż sumienie z jej powodu zfałdowało się chociażby najlżejszą zgryzotą!... Bawią się młodzi, szczepiac zepsucie... Piękna zabawka!... Zabawce tej oddawał się Wicus, wybrawszy dla siebie, jako jej teatr, gromadę wiejską i pozostawując starszemu bratu garderobę. Przytomność matki, bierny i bardzo pośredni wpływ ojca i obecność siostry zmuszały ich do zakrywania się parawanikami, do działania w tajemnicy, i, co z tego wynika, do otaczania się pomocnikami, poplecznikami i pośrednikami, których Macio potrzebował mniej, Wicus więcej.

Dowiedzionem to jest milionkrotnie, że wszelkie obyczajowe zepsucie, idące z góry na dół, rozlewa się jak zaraza i wystrzela na boki różnorodnym sposobem. Zdaje się komuś, iż on tylko pojedynczą osobistość o upadek przyprawił; on zaś tymczasem wraz z tą osobistością, wtrącił w przepaść i rodzinę jej i pokrewnych, czasem całą wieś, niekiedy całą okolicę. Propaganda zepsucia jest szybką — szerzy się, zabiera jak pożar. Płonie moralność do podwalin, szczególnie, jeżeli podpala się ją rublami. Kiepski (z przeproszeniem czytelników) taki Wicus Gajewski, który tyle tylko przyniósł korzyści człowieczeństwu, że przyszedł na świat, przez czas kilkoletniego pobytu swego w Zahornikach, zdemoralizował kilka rodzin wieśniaczych i, okrom tego włókł za sobą parę ludzi ze służby dworskiej, po za dworem zaś arendarza z żoną i bachorami i parę bab wiejskich, któremi się posługiwał. Nie zrobił jeszcze dobrego nic, jednak na drodze złego stał się już tym, który powinien być utopionym z „kamieniem u szyi“. A iluż to jest Wicusów takich!... A jak to oni popisywać się umieją — *honorem!*... Honor?.. czy rozumiecie wy, Wicusie, co to honor?... czy wiecie, że się siebie szanuje w drugim, ale nie siebie w sobie?... Człowiek, zajmujący stanowisko wyższe, deptający honor tych, którzy są pod nim, podli się sam i nie ma prawa nawet wymawiać wyrazu: honor!...

I Wicus był honorowym. Grywał w karty, ale nie przegrał nigdy więcej nad to, co mógł zapłacić; jeżeli komu dał słowo, że przyjedzie, bądź na polowanie, bądź w odwiedziny, dotrzymał; nie robił długów, nie spijał się po jarmarkach, nie bijał się po szynkach, nie wdawał się z lada kim, nie stronił zbytecznie od tych, którzy stali w niższej o jedną warstwę sferze społecznej;

i wszystkie te „nie“ urobiły z niego bardzo przyzwoitego młodego człowieka, pożądanego, kochanego i szanowanego wszędzie, gdzie się obrócił.

O starszym jego bracie inaczej nieco odzywała się opinia publiczna zahornickiej okolicy, chociaż większą część tych „nie“ można było zastosować i do Macia. Ale Maciem nie będę zajmował uwagi czytelników, gdyż on wypada z ram, obejmujących sobą powieść niniejszą. Sędzinie udało się ożenić faworyta, wedle myśli i życzenia swego: bogato i zaszczytnie: — dostał bowiem przeszło dwakroć sto tysięcy posagu i połączył się z Gamrańskimi, którzy *de facto* stali w tej sferze, w jakiej sędzina unosiła się życzeniem. Ożenienie więc Macia było tryumfem, jako pomyślny rezultat jednej z tych dyplomatyczno-społecznych kampanij, którą sędzina prowadziła, i z niepospolitą zręcznością przeprowadziła. Ożenienie to było nadto dobrą na początek wróżbą, zapowiadającą taki sam skutek i nadal, w ustaleniu losu dwojga pozostających dzieci — Wicusia i Karolki, i dodawało sędzinie otuchy i zaufania.

I właśnie — w epoce, w której Andrij i Sydor, z obrazkami i gościńcami, z radością i ufnością z Kijowa powracali — w Zahornickim dworze tak rzeczy stały: Macio, już ożeniony, mieszkał osobno, w Bohusławszczyźnie, Wicus był na ożenieniu, a Karolka na wydaniu; sędzina zajęta była projektami i planami, a sędzia, swoim zwyczajem, zażywał tabakę i stawał odważnie do rozmów z żoną, albo raczej do słuchania tego, co ona mówiła.

Lecz, jak jenerałom najlepsze plany często się nie udają, jak dyplomatów zawodzą nie rzadko najrozumniejsze pomysły, tak sędzinie oporem jakoś szło przeprowadzenie projektów i planów, dotyczących się Karolki i Wicusia. „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.“ Chociaż więc sędzina nadrabiała miną, chociaż rada była gościom u siebie, chociaż do kościoła, w sąsiedztwo i na reduty humańskie jeździła z córką koczem wiedeńskim, zaprzężonym sześciu końmi w angielskich szorach; chociaż lokaj, furman i foryś ustrojonymi byli w liberję, z złotemi na kolnierzach wyszywkami i w żółtych kamizelkach; jednakże wszyscy wiedzieli, że panna Karolina Gajewska jest panienką ubogą, mogącą mieć najwięcej 20 tysięcy zł. pol. posagu. A że ten kocz, te konie w szorach i ta liberja, miały na celu zwabienie do panny kawalerów ze

sfer wyższych, więc chybiały celu, bo nasi kawalerowie wierzą w przysłowie, że „słomiany chłopiec złotą pannę bierze.“ Trafili się byli posessor z Hormanowiec, człowiek zamożny, przyzwoity, gospodarny, przystojny, młody; ale tylko — posessor!... dostał więc harbuza od sędziny. Oświadczył się w Humanu pewien młody człowiek, który dawał lekcje rysunków i muzyki i poznał się z Karolką u pani Lens, i nawet, zdaje się, nosił tam w pugilaresie jakiś zeschnięty kwiatek, niezabudkę podobno, daną mu przez jego niegdyś uczennicę, jako rękojmię wieczystej miłości; ale ten odepchnięty został z pogardą przez sędzinę, i oświadczyły te tak ją zirytowały, że odchorowała i musiała stawiać pijawki i bańki: wzięła je bowiem za *afront* wyraźny. Karolkę także zirytowały te oświadczyły; ale nie umiem powiedzieć, czy i ona uważała je jako *afront*. Starał się jeszcze o Karolkę lekarz; lecz ten do oświadczyń nawet przypuszczonym nie został.

Z Wicusiem nie dziw, że szło sędzinie tępo, bo Wicusowi zasmakował kawalerski stan, i nie pilno mu było krępować się małżeńskimi więzami; a bez usiłowań z jego strony zabiegi sędziny pelzły na niczem. Napróżno proponowała mu tę lub ową partję:

— Jedź — mówiła — staraj się.

— Będzie jeszcze na to czas — odpowiadał.

Jeździł on, ale nie za żoną. Żaden bałcki, berdyczowski i jarmoliniecki jarmark nie obszedł się bez niego. Kupował, sprzedawał i mieniał konie; zwoził i rozwoził charty i gończe; zakładał się, ścigał, grywał w karty — słowem: miał interesów mnóstwo i gorliwie koło nich chodził.

VI.

Nie podejmuję się opisywać tego uniesienia radości, z jakim Maryna rzuciła się na szyję mężowi, gdy ujrzała go na progu chałupy, z jakim do piersi macierzyńskich tuliła syna i całowała go w oczy, w czoło, w usta. I płakała i śmiała się, i nie mogła dla nich miejsca znaleźć.

— A jaż tak czekała i wyglądała!... Śniliście się mi co

nocy, czasem na noc jedną po dwa i po trzy razy — mówiła przez śmiech i przez łzy.

Niema kręciła się po izbie, biegając tam i sam i stając niekiedy na chwilkę przed Andrijem lub Sydorem, i patrząc im w oczy.

— Siadajcież, siadajcie! na przypiecku, na łóżku, na ławie..

Mówiąc to, rozścielała dla nich radenka, jakby dla panów jakich, i krzątała się.

— Nie spodziewałam się was dzisiaj. Serce moje przeczuwało, żeście gdzieś niedaleko; ale mówiłam sobie: nie przyjdą dziś,... przeczekają słotę.

Rzeczywiście, na dworze był deszcz i jesienna pluchota. Od dni kilku ołowiane chmury oblepiły niebo, przesuając się po niem ciężko, leniwie i gromadząc się w ogromne czarne i szare masy. Czasami bryznął z nich deszcz rześisty — zapłowiło w powietrzu, jakby zadymiło się, a nad powierzchnią ziemi wzbila się mokra kurzawa bryzgającej rosy. Krople deszczowe odskakiwały od ziemi, udając kształt pionków w szachach. Czasami drobniutki, niby przez sito siany deszczyk, który gołem okiem dawał się widzieć tylko na powierzchni kałuż, napełniał powietrze wilgocią, moczył, przenikał nawskróś. Czasami wyjaśniało się na chwilę, nie słońcem, ale nadzieją słońca, i skądś się brały roje ptasząt, które świegotały na powitanie jasności, i gdzieś przepadały jak tylko zamżyło.

W taki to czas przybyli wędrowcy nasi. Musiało coś ich gnać do domu, kiedy nie przeczekali niepogody pod jakąś strzechą gościnną. Tem „coś“ było to czego nazwać nie można, co rodzinnej okolicy nadaje jakąś taką siłę pociągu, któremu oprzeć się niepodobna, co odziewa ją urokiem nad uroki, krasą nad wszelkie krasy.

Nie potrzebuję mówić, że Andrij i Sydor zmoczeni byli do nitki. Chlupało im w postołach, lało się z odzieży. Roznosili wilgoć i wodę, po całej chałupie, zamoczyli Marynę i Niemę: ale ani im, ani kobietom nie przychodziło na myśl przebrać się. Radość przeszkadzała pamiętać o wygodzie. Byli w domu — tego było dla nich dosyć. Czarodziejski wyraz „w domu“ rozrósł się w olbrzymia i napełnił im sobą głowę i serce.

— A zkądze, z której przyszlście strony? — pytała Maryna.

— Od Taraszczy.

— O! tom się nie omyliła... Ciągłem was od grobli wyglądała...

Stała przed nimi, założyła na piersiach ręce i patrzyła im w oczy.

— Lubczyki, hołubczki wy moi... musicie być głodni, zmęczeniu.

I raptem krzyknęła, jakby przestraszona:

— Ach!... a wy zmoczeni do kości!...

I rzuciła się do bedni po bieliznę i odzież.

Niema tymczasem przyłożyła świeżych do ogniska drew, przystawiła garnki i rozpoczęło się rozgoszczenie.

Jak się oni z sobą cieszyli, o czym rozmawiali, jak Maryna gościła męża i syna — o tem wie każdy, kto po długiej nieobecności, wracał w domowe progi.

Zostawmyż ich cieszących się, rozmawiających i goszczących, i przejdźmy do innego przedmiotu.

Bóg wie jakim sposobem, w chwili kiedy wędrowce nasi jeszcze się nawet nie przewdziali, cała wieś wiedziała już o powrocie Andrija i w każdej chałupie o nim tylko mówiono, rozmaite robiąc przypuszczenia. Że powrócił — to było pewnem: ale chodziło o to — jak i z czem powrócił? — Nikt go jeszcze nie widział, więc dla domysłów szerokie było pole. W jednej chałupie utrzymywano, że przyszedł, jak odszedł — nic nie wyniósł i nic nie przyniósł, i zapytywano: a cóż miał przynieść? — w drugiej mówiono, że przyniósł wiele, bardzo wiele, ale nie wymieniano co; w innej, że nie przyszedł a przyjechał, i to z asidatelskim wózkiem, z dzwonkiem, co jako zły znak uważano; w innej twierdzono, że przyjechał nie wózkiem a drabiniastym wozem, i t. d., i t. d., — domysłem nie było końca, a wszystkie pochodziły od bab i dzieci. Gospodarze, którzy dnia tego, z powodu słoty, w chałupach siedzieli, słuchali nic nie mówiąc, wierzyli i nie wierzyli, i zbierali się iść do Andrija, przekonać się, czy powrócił, i od niego samego dowiedzieć się — jak i z czem.

Jakoż jednocześnie prawie z każdej niemal chałupy wyszedł chłop, nasunął czapkę na oczy, pochylił się i przesuwając się pod opłotkami, dla uniknięcia błota, pociągnął do Andrijowego mieszkania. Powoli chata Andrija napelniała się coraz to bardziej. Każdy przychodzący pozdrawiał podróżnych naszych i win-

szował im szczęśliwego powrotu. Przyszli wszyscy, którzy przed sześciu miesiącami brali udział w naradzie pod gruszą, w sadku Kozohryza, przyszedł i sam Kozohryz. Starowina przywłókł się, nie zważając na słotę, bo mu pilno było wyjść z niepewności, jaka go przez pół roku dręczyła, której nie pokazywał po sobie, której jednakże obronić się nie mógł. Nie zabrakło i kobiet. Wszyscy oni, tak mężczyźni jak kobiety, ciągnieni byli ciekawością; mężczyźni atoli mieli wymówkę w interesie cerkiewnym, o którym (powiadali) dobrze jest pomówić i poradzić się, korzystając z deszczu, przeszkadzającego im zająć się robotą jakowąś.

— Co mam w chacie z założonemi siedzieć rękoma, — powiedział ten i ów — to lepiej pójdę, popatrzę się na Andrija i pogadam z nim.

Kobiety zabawnie usprawiedliwiała ciekawość swoją. Każda z nich miała jakiś niby interes do Maryny, a taki ważny, że pomimo słoty i niepogody, nie mogła go odłożyć ani na chwilę. Jedna przyszła, chcąc coś pożyczyć, druga — odebrać, inna — dać. Tej zabrakło kwaśnego ciasta na rozezyn, więc po kwaśne ciasto poszła do Maryny; drugiej się wydało, że jej popiół nie zda się na zołę — więc poszła po popiół do Maryny; inna przypomniała sobie, że przed tamtorocznemi żniwami dała Marynie miskę grysu na barszcz — więc wzięła miskę i poszła z nią po grys do Maryny; innej przyszło na myśl, jak Maryna mówiła, że jej zdałaby się nowa talka, bo stara już się popsowała — więc zabrała talkę swoją pod czuhainę i poszła z nią do Maryny! inna znów poszła do niej z czerepkim i garnuszkiem po ogień na rozpał; inna jeszcze po coś innego; a każda, przychodząc zapowiadała, że przychodzi tylko na minutkę i — zostawała. Dodać również należy, że każda, przychodząc, ujrawszy Andrija i Sydora, udała zdziwienie wielkie.

— O! — wykrzykiwała ta lub owa — ja do sąsiady po kwaśne ciasto na minutkę... a tu jej Bóg gości dał..

Zebrała się tedy gromada ludzi. Zaledwo chata pomieścić ich mogła. Mężczyźni zasiedli na ławie, na stołkach, na pieńkach, na łóżku, niektórzy pod ścianą na ziemi, baby ścisnęły się w gęstą kupkę koło pieca i przypiecka. Wywiązał się gwar pytań i odpowiedzi. Nareszcie Josyp, który poczystne zajmował miejsce, w taki odezwał się sposób :

— Kiedyśmy się już zebrali niechący, to pomówmyż o rzeczy... Wy milczcie, a ty, Andriju, gadaj, coś nam przyniósł...

Uciszyło się i Andrij począł opowiadać. Powoli, stopniowo, jakby nitkę rozmotywał z kłębka, rozповідаł dzieje pielgrzymki swojej, zatrzymując się przydłużej nieco na wypadkach, mających bezpośredni z jej celem związek. I tak rozpowiedział wszystko od początku do końca.

— Więc podejmujesz się być majstrem? — zapytał Josyp, gdy skończył.

— Polejmuję się — odpowiedział zapytany stanowczo.

— No, sława Bogu! — rzekł starzec odetchnąwszy i oczy do góry podnosząc — to może jeszcze ja stary tego doczekam, że będę nowej cerkwi starostą.

Rozweselały oblicza wszystkich chłopów. Każdy siedział i uśmiechał się do siebie. Babom także radość przez usta i oczy przeglądała. I było cicho, uroczyście, poważnie — bo nasz Rusin jest poważnym z natury, nie unosi się, nie wybucha gwałtownie, chociaż zrozumie dobrze, poczuje głęboko i przejmie się nawskróś tem, co poczuje. Co kraj to obyczaj. Gdzie indziej, gościa takiego jak Andrij, przyjętoby okrzykami, opowiadanie jego okrytoby oklaskami. Zahornicka zaś gromada nader pomysłne sprawozdanie Andrija przyjęła — milczeniem. We Francji lub Anglii milczenie to miałoby znaczenie obojętności, może nawet nagany, dlatego, że tam w charakterze ludu przemaga jakaś teatralność, zamiłowanie występowania na pokaz. Tam sprawozdawca opowiadanie swoje ubrałby w retoryczne błyskotki, chociaż niewyuczone, ale nabyte siłą przyzwyczajenia do chwalenia siebie, do odnoszenia swojej osobistości do wszystkiego, co jest pięknem, dobrem, oryginalnem lub nadzwyczajnem... I Rusin wprawdzie lubi się pochwalić — *poczwanic*, — lecz w pewnych tylko razach. W karczmie, na weselu, na prazniku przechyli czapkę na bakier, muśnie wąs, weźmie się w boki, postawi się jak indyk; gdzie atoli o ważną jaką sprawę chodzi, tam on skupia się w sobie, przejmując się pewnym rodzajem skruchy. Nie szuka i nie daje oklasków. Uznanie własnego sumienia jest dla niego najwyższą nagrodą, która go zadowala zupełnie, uznanie zaś drugich, konieczne dla potwierdzenia własnego, pozna on z oczu swoich sędziów-słuchaczy. Okrzyki i oklaski zamieniają się w promienie strzelające ze

żrenic tych ostatnich. Oblewają one sprawozdawcę jakimes niby magnetycznym płynem, który pochwałą głaszcze serce jego, tak, że pod wpływem tym już mu nie trzeba żadnej wrzawy wstrząsającej nerwy, a to dlatego, że w jestestwie jego drżą delikatniejsze od najdelikatniejszych nerwów fibry.

— Teraz-że — odezwał się Josyp, przerywając milczenie — możemy już powiedzieć śmiało, że cerkiew będzie, jeżeli tylko Andrijowi i nam da Pan Bóg zdrowie i pobłogosławi robocie... Na ochocie, zdaje się, nikomu nie zbraknie... Czy moja prawda, panowie gromada?...

— Prawda, prawda — odpowiedziano chórem ze wszystkich ław, stołków i kątów.

— Jeszczeż czegoby nie stało, żeby to miało być nieprawdą!... rzekł Pańko czy Wasyl, czy któryś inny.

— I ja wiem, że prawda — ciągnął Josyp — ale, ot... człowiek spytał się dlatego, żeby nikt potem nie powiedział, że się go nie pytano. — A zwracając się do Andrija, mówił: — trzeba żebyś wiedział, że kiedyś ty włóczył się po świecie, to my w domu nie siedzieli z założonemi rękami. Składaliśmy grosz na cerkiew i zebrało się tego, coś, tak... dwieście karbowanów... niespełna...

Kiedy Josyp to mówił, Andrij sięgnął ręką za pazuchę, wyjął kaletkę, rozwiązał ją, wydobył z niej węzełek i nic nie mówiąc, podał go Josypowi.

— A to co? — zapytał stary.

— To moje trzy grosze...

— Bóg zapłać.. Zkądże to... znalazłeś na drodze, czy co?

— Nie... Kiedyśmy przy tej cerkwi w Korczyku robili, dziedziec za robotę zapłacił.

A tymczasem i drugi węzełek wsunął się w rękę Josypa. Pochodził on od Maryny, która go podała, przecisnąwszy się przez gęstwinę siedzących gospodarzy.

— I ty także ze swoim!... — zawołał Josyp — a zkądże się to wzięło?

— A skądżeby się wziąć miało, jeżeli nie z miasteczka — odpowiedziała wesoło Maryna — dzięki żydom i żydówkom, którzy kupowali, com ja tam od czasu do czasu nosiła!...

— No, no!... od przybytku, jak ten powiada, głowa nie boli; ale od was nie należało się... Ale, kiedy już tak, to

powiedz-że nam, Andriju, czy to będzie dosyć, dwieście karbowanów?...

— Zdaje mi się, powinnyby być dosyć... Mam tam pokarbowane, co ile kosztować będzie; ale nie wiem, ile to zrobi wszystko razem... Nie zdaje mi się jednakże, żeby wyniosło więcej jak dwieście rubli... Malarz będzie swój, majster swój, robotą swoją: to tam zresztą mało co pozostanie...

— To się obrachuje u Jakóba — przerwał Josyp — a teraz trzeba nam z dziedzicem pogadać... Wiecież co, panowie gromada!... ty Semenie, i ty Łučku, i ty Kondracie, a i ty, Andriju, przyjdźcie do mojej chaty w Niedzielę, po służbie Bożej, poradzimy się pomiędzy sobą i pójdziemy do dworu... Dziedzic obiecał dać drzewo; ale wy wiecie: „słowo pańskie grzeje!“... Zobaczymy co na to powie dziedziczka, którą nam *sirómóm* licha dola dała... Może będzie chciała jakiej daniny... kur. albo jaj... hej! baby! cóż wy na to?...

— Nu!... ta cóż! — odezwała się z bab jedna, ta właśnie co z czerepkim po ogień przyszła — przed nią i bez tego nie można ani kur, ani jaj uchować...

— Ale, jeżeli to potrzebnem się okaże dla gromady, na cerkiew?

— To co innego — odezwała się inna.

— Na cerkiew my gotowe ostatnią oddać koszulę — powiedziała znów inna.

— My jej wszystkie jaja będziemy dawały, a sobie tyle tylko zostawimy, ile potrzeba na pisanki i kraszanki na Wielkanoc — powiedziała jeszcze inna.

— Także i mówcie — rzekł Josyp — niech nie będzie powiedzianem, że sami tylko zahornicy mężczyzui na cerkiew łożą; trzeba żeby i baby czemes się przysłużyły. To jak tam o kurach, jajach, motkach, przedziwie będzie mowa, to wy zgadzacie się na to, co za was ja i Semen i Kondrat i Łučko i Andrij powiemy?... czy zgoda... he?...

— Zgoda! — odrzekły baby jednogłośnie.

— No, to do Niedzieli! — rzekł Josyp powstając — a z Niedzieli, jak Pan Bóg da doczekać, będziemy już może z siekierami po Zahornickim porali się lesie... Ty, Andriju, odpocznij sobie, jutro zaś albo pojutrze pokłoń się staremu Jakóbowi, ta zrób z nim obrachunek... Bądźcie zdrowi!...

Posunął stary do drzwi, a za nim, po jednym, wyniosła się cała gromada, zabawiwszy u Andrija dobrą godzinę, jeżeli nie dłużej — prawie od południa do zmierzchu. Baby odeszły, nie załatwiwszy interesów swoich, które im jakoś powypadały z pamięci. Jedna tylko ta, co przyszła z talkami u Maryny pożyczonemi, zestawiała je, i to przez zapomnienie.

A na dworze deszcz padał i padał. Nie ustał i nazajutrz. Podróżni nasi odpoczywali w całym znaczeniu tego wyrazu. Andrij leżał i Sydor leżał — jeden na łóżku, drugi na ławie; leżeli przez całą noc i przez cały ranek, a Maryna chodziła od jednego do drugiego i dogadzała. Temu pod głowę podłożyła, tego okryła. Wstali tylko do jedzenia, zjedli i znów się położyli. Aż w końcu od leżenia zbolowały ich boki, i na drugi dzień, koło południa dopiero powstawali na prawdę.

— Trzebaby może do Jakóba iść, tatu — odezwał się Sydor.

— Na to mamy jutro cały dzień.

— Jutro może się wypogodzi i Jakóba w domu nie będzie...

Andrij, nic nie odpowiedziawszy na tę słuszną uwagę, wyszedł na dwór, a wróciwszy po chwili, rzekł:

— Nie spodziewać się pogody na jutro, całe niebo obłożone do koła.

Odpoczywali więc jeszcze do wieczora, przespali noc i dopiero na trzeci dzień przybycia swego, do Jakóba się udali.

Wyprzedźmy ich. potrzeba bowiem abyśmy wiedzieli, jakie w dworku zaszły zmiany, od czasu, od którego czytelnikowi nic o nim, ani o jego mieszkańcach nie mówiłem.

Przypominasz sobie, szanowny czytelniku, jeżeli masz zwyczaj czytać powieść od początku (bo ja nie mam zwyczaju tego), że Jakób Zahornicki miał ośm córek. Jeżeli jednakże zda się tobie, że podróżni nasi zastaną wszystkie ośm córek w dworku, toś się mocno omylił. Nie tylko ośmiu, ale dwóch nie zastaną — tak Zahornickiemu ludzie córki rozchwyтали. Co która dorosła — oho! — już ktoś wziął. Najstarsza w dziewiczym stanie ledwo szesnaście przeżyła lat. Ta, która po niej następowała, wyszła zamąż w półroku później. Aż Jakób powiedział:

— Basta, mospanenku, tak nie można... [Dziewczęta nie mają czasu nacieszyć się dziewictwem... Póki, mospanenku, siedmnastu lat nie skończy, póty żadnej mojej córki nie wydam.

T. T. Jeż. T. I.

8

Jak powiedział tak się stało. Ale za to, jak tylko trzecia z porządku skończyła siedemnaście lat, natychmiast ją uchwyciono, i od tego czasu jak dawniej chrzciny, tak potem wesele musiał co rok sprawiać.

Nakoniec została się sama jedna — Handzia.

Starsze jej siostry powychodziły to za ekonomów, to za rzemieślników z pobliskich miasteczek, to za leśniczych, jedna dostała dziedzica, który posiadał dusz niewiele (tylko dwie), ale za to pola niemało. Wykierowały się na panie, chociaż Jakób nie starał się o to. Ale, że się trafiali panicze — nie można było odpędzać ich; i, że ci panicze umieli podbijać serduszka córek starego żołnierza — nie można było gwałt zadawać dziewczętom, zmuszając je iść tam, gdzie ich serca nie ciągnęły. Z początku nawet, przy pierwszym weselu, obawiał się stary, myśląc sobie: „jak wydam starsze córki za panków, to może zagrodzę los młodszym, bo osławię się, bo gotowi ludzie pomysleć, zem zhardział; i jeżeli nie trafią się pankowie do młodszych, a uczciwi gospodarscy synowie nie będą śmieli odezwać się o nie, to będę chyba potem musiał prosić, żeby je kto wziął.“ Ale płonną była obawa jego. Jak muchy na lep, tak surdutowi kawalerowie zlatywali się z okolicy do dworku Jakóba. W każdą bożą Niedzielę pełno było na podwórzu parokonných i jednokonných wózków i posiadłanych koni, a w izbách Jakóbstwa — tych złodziei serdecznych, którzy wszystkich używają sposobów, aby wykraść dziewczynie skarb, który ona w piersi nosi. Osławił się Jakób — to prawda — osławił się córkami swojemi, które, jakby je kto na zakaz urobił, ładniejsze były jedna od drugiej. Zdarzająż bo się takie nadzwyczajne w świecie wypadki: inny doczeka się jednej córki, i to takiej, że samemu ojcu obrzydliwie patrzeć na nią; Jakóbowi zaś Pan Bóg dał ośm, i ani jednej brzydkiej. Ta była rusiawa, tamta czarniawa, ta znów blondynka, a każda taka, że patrząc na nią, to człowiek ślinkę tylko połykał, a gdyś ją stracił z oczu, to ci w myśli stała, a gdyś się spać położył i zasnął, to się z pewnością przyśniła.

Ale, jakby na przekor, jakby na ukaranie Jakóba za to, że się tak mocno sierzcił, gdy się urodziła, Handzia była najładniejszą. Na nią, jakies się popatrzył z przodu, to ci zaraz chciało się popatrzeć i z boku i z tyłu, a nie chciało się oderwać od niej oczu. Przyrównywają poeci dziewczęta do kwiatków:

ona rzeczywiście coś kwiatkowego miała w sobie. Była niby z marmuru wytoczona, i owiana urokiem, który przemawiał z całej jej postaci — wisiał na różanych usteczkach, siedział w błękitnych, jak niebo, oczach: igrał na jagodach, ześrodkowując się w dołkach, które jej na policzkach uśmiech formował, lub rozbiegając się po całym obliczu, kiedy twarz uśmiechem nie jaśniała. Jasne jej włosy, w duże, grube warkocze splecione i okręcone po nad czołem, wydawały się jak diadem naturalny, połyskujący własnym światłem, bez pereł i kamieni; a jeżeli za warkocz zabłąkał się polny kwiatek, lub barwinek z pozłotką, to zdawało się, że ten kwiatek tam się urodził, tam zakwitł i nie zwiędnie nigdy. Wzrost Handzi nie był zbyt duży, ale i nie mały; kibić jej była smukła i giętka.

To wszystko jednakże było jeszcze niczem; cała jej krasa cielesna nie wydałaby się może taką uroczą, gdyby jej oczy, usta, cały wyraz twarzy nie odzwierciedlały duszy i serca. Gdy spojrzała na ko to go, mu robiło się jakoś tak, jakby najlepszy z aniołów chciał mu zairzeć do serca — tyle w jej wzroku było czystości i dobroci. I nie zawodził ten wzrok. Handzia była czułą, dobrą, skromną — była przytem marzącą, niby natchnioną, poetyczną, jak każda zresztą dziewczyna, której umysł wykołysał się przy pieśniach i kawkach ludu naszego.

Było jej szesnaście lat, i Jakób powiedział:

— Dla Handzi zrobię wyjątek. Jej nie wydam, aż skończy lat ośmnaście.

Mówił tak stary dlatego, że chciał wybrać, wypróbować jej przyszłego; albo raczej chciał, aby ona sama rozpatrzyła się dobrze w licznych pretendencjach, którzy się o jej rękę zgłaszali. Staralo się o nią ośmiu czy dziesięciu na raz: stolarz z Humania, który świeżo z czeladnika wyszedł na majstra; rymarz aż z Berdyczowa, który mimojazdem zajrzał ją w Zahornikach; dwóch pisarzy prowentowych i jeden ekonomiczny, którzy dla niej ogromnie expensowali na pomady i ambry, i odgrążali się jeden na drugiego; dwóch młodych ekonomów, którzy niemiłosiernie drwili z pisarzy; jeden szlachcic zagonowy, który miał swoją własną chatę i kawał pola, i parę jeszcze innych. Jakób i Jakóbową byli za ostatnim: był to bowiem parobek, któremu nic zarzucić nie było można — młody, przystojny, pracowity, zamożny, syn uczciwych rodziców, którzy jeszcze żyli i jego

tylko mieli jednego. Niewiadomo było, za kim była Handzia. Kiedy ją matka od niechęcenia pytała:

— Któżenże się tobie z tych kawalerów podoba?

Handzia kraśniała i odpowiadała:

— Żaden, mamó serce...

— Ale przecie;... przecież jeden z nich jest ładniejszy i lepszy od wszystkich?

— Mnie się jeszcze ósmnaście nie skończyło lat: — tem zbywała zapytania matczyne.

Jakóbowa dziwiła się, że serduszko Handzi tak długo milczy: doświadczenie bowiem, na starszych córkach zrobione, nauczyło ją, że serca dziewczęce przemawiają zwykle przed szesnastu laty..

Stary Zahornicki, który, powiedzmy nawiasowo, dobrze się podstarzał, kochał tego swego mizyuka całą potęgą ojcowskiego przywiązania. Nie możnaż-bo było nie kochać jej!... A kiedy mu żona zdawała sprawę z jej usposobień sercowych, powiadał:

— To dobrze... to mi, mospaneńku, dziewczka rozumna!... szkoda, że się chłopcem nie urodziła...

Kiedy Andrij z Sydorem do Jakóba przyszli, zastali u niego samych swoich, to jest, z kawalerów nie było żadnego. Dzień powszedni nie pozwalał im na odrywanie się od roboty dla zalecanek, których cel w odległej ukazywał się przyszłości, nie przedstawiając się wcale wyraźnie, pomimo że o wyrazność każdemu chodziło. Rymarz, naprzykład, dojeżdżający z Berdyczowa, poświęcając czas a z czasem i zarobki, z góry chciał wiedzieć, czego się trzymać, stanowczo więc Jakóbowi oświadczył:

— Panie ojcze, albo mi dajcie dziewczkę waszą, albo niech ja nie otracam się daremnie.

Na co mu Jakób również stanowczo odpowiedział:

— Czekał, mospaneńku, dwa jeszcze lata... Zobaczymy!...

Stolarz humański, wiedząc, że o dwa lata chodzi, i że nie postanowienia Jakóba nie zmieni, a nie mogąc wytrzymać, żeby choć raz na tydzień na Handzię nie popatrzeć, co soboty wyruszał z Humania, stawał w Zahornikach nad rankiem, bawił dzień cały i odjeżdżał wieczorem. Tracił więc tylko jeden dzień — poniedziałek, w którym odsypiał dwie bezsenne nocy. Tak jednak był rozkochany, że przed nikim, nawet przed sobą samym, na to się nie uskarżał. Innym zaś, paniczom — zwykle jak pani-

czom — łatwiej było dojeżdżać, bez narażania się na stratę czasu; a zagonowy szlachcic, mieszkający w sąsiedniej wiosce, trzymając się odmiennej taktyki, nie w Niedzielę, ale w ciągu tygodnia, wieczorkiem, po dwa albo trzy razy zaglądał do dworku, nie chcąc się snać z perfumowanymi i pomadowanymi spotykać rywalami, którzy nawet na stolarza patrzyli się krzywo, chociaż ten był rezolutny i nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać.

Andrij z Sydorem, jakim rzekł wyżej, nie zastali nikogo obcego. Jakób siedział na stołku przy stole i marudził, bo go niepogoda gniewała; Jakóbową przędła i nie odzywała się na męzowskie gderanie, do którego przywykła; Handzia w sieniach kurom jeść dawała.

Sydor ustroił się jak na święto. Pomimo błota nowe wzuł buty, odsmarowane świeżo dziegciem, dlatego, że się zeschły przez czas jego nieobecności, — wziął na siebie nową z kapturem świtę, z pod której, na piersi, wyglądała biała, drobna na szyi i pazusze pięknie mereżona koszula, zawiązana czerwoną zaścizką, — świtę podwiązał czerwonym pasem, a na łeb włożył wysoka, nową czapkę i przechylił ją na bakier nieco...

— Czemużeś się ubrał jak na prażnik, Sydorze? — pytała go matka.

— Tak sobie — odparł Sydor, i nie śmiał Marynie w oczy spojrzeć.

— Może tobie w serdeńko Jakóbową zapadła dziewczka?..

— *Ne dla psa kowbasa, ne dla kota sało* — rzekł Andrij w sposobie uwagi i przestrogi — ona na panków patrzy, na siromę-muzyka ani spojrzy... Głupiby był Sydor, gdyby durzył się napróżno.

Uwagi te, zrobione od niechcienia, ale z nader praktycznego stanowiska, nie w smak poszły Sydorowi; jednakże nie rozebrał się. Po błocie i deszczu poszedł w nowych butach, w nowej świcie i w nowej czapce, i im bardziej zbliżał się do dworku pod cerkwią, tem mina jego stawała się zuchwalszą. Ale spo korniała raptem na progu, gdy oko w oko spotkał się z Handzią

— Pomóż-Boże — powiedział jej Andrij.

— Pomóż-Boże — powtórzył Sydor.

— Daj wam Boże zdrowie — odpowiedziało dziewczę im obydwom i uśmiechnęła się do jednego i drugiego.

— Tato w domu?

— W domu — odrzekła Handzia, i poczęła wołać: *ciurrr!... ciurrr!...* — na kury, które spłoszone pojawieniem się na progu dwóch ludzi, odbiegły były jadła.

Andrij wszedł do świetlicy, a Sydor przyzostał się, i sięgnawszy ręką do kieszeni, wydobyl medalionik, zmięszal się, jakby co złego zbroił, zbliżył się do Handzi i podając go jej, powiedział:

— Ot tobie, Handziu, z Kijowa gościniec...

Dziewczę wzięło medalionik i zapłonilo się, jak dojrzała wiśnia lotowa. Ledwo dosłyszane: „dziękuję“ wypłynęło z ust jej. Lecz Sydor może i nie słyszał tego, bo jak tylko ulokował medalionik w rękę Handzi, natychmiast odwrócił się i spieszenie wszedł do świetlicy.

Teraz mogę otwarcie powiedzieć czytelnikowi, że serce bohaterki naszej nie było jeszcze przez nikogo zajętem. Napętniała je miłość, albo raczej pragnienie miłości, silne ale jeszcze nie nazwane, nie ześrodkowane na jakiś wyraźny przedmiot. Czepiało się jej serce czegoś, ale samo jeszcze nie wiedziało czego; wlokło ją gdzieś, ale niewiadomo gdzie. Świat marzeń — szeroki, bezgraniczny — rozwijał się przed jej dziewicza wyobraźnią; lecz na tym świecie, jak na wschodnich obrazach, było dużo barw, światła, kwiatów, pojawiały się nawet ptaszki jakies o złotych i srebrnych piórkach, czubate kureczki, gołębie turtoty; nie pojawiła się jeszcze żywa ludzka postać. Niekiedy, gdy Handzia położy się wieczorem, zamknie oczy i zanurzy twarz w poduszkę, to przed jej oczami przesuują się naprzód gwiazdki, potem słońca i księżycy otoczone czerwonymi lub pomarańczowemi kręgami, które, rozbiwszy się na drobne a różne kolory, poczynają tańczyć, migać się, przebiegać, z razu w koło, następnie ku środkowi, potem od środka do krajów koła... I raptem wszystko staje, kolory bledną, nikną, a z po za nich wychyla się postać jakaś, która zblizka wydaje się straszyltem, ale oddala się, oddalając się przybiera kształty coraz wyraźniejsze, pięknieje — i gdzieś — daleko staje się śliczną, cudną, archanielską... i taką jakąś, jakby jej na czole było napisano: królewicz, ów konieczny bohater wszystkich bajek ludowych. Wówczas Handzia odwraca twarz do ściany i stara się nie myśleć o królewiczu, ale na-próżno... Myśli o nim póty, póki nie zaśnie, a gdy zaśnie, to nieraz senne mary tworzą jej rozliczne obrazy, w których zjawia

się niekiedy i ten królewicz. Na jawie jednakże nie przychodził on jej na myśl, bo Handzia doskonale wiedziała, że to co się rozpowiada w bajkach, jeżeli i było kiedy na świecie, to było tak dawno, tak dawno, że od czasu owego wszystko się zmieniło — i świat i ludzie i królewicze.

Odebrawszy jednakże obrazek z rąk Sydora, zrobiło się jej tak, pierwszy raz w życiu w biały dzień, jak kiedy z zamkniętymi oczami patrzy się na królewicza. Dlaczego to jej tak zrobiło się, o tem nie wiedziała ona; tem bardziej nie wiem i ja.

Znała Handzia Sydora od dzieciństwa, razem prawie wychowała się z nim, widywała go niemal każdego dnia, postrzegła nawet i to, że on na nią innem, jak na wszystkie zahornickie dziewczęta, spogląda okiem; ale była dla niego, jak dla wszystkich parobków i kawalerów — uśmiechającą się i obojętną.

Teraz, stojąc z tym obrazkiem w ręku przed gromadą kur, dziobiących rozsypane ziarno, poczuła, że jak spotka się oko w oko z okiem Sydora, to — może nie będzie już w stanie uśmiechnąć się.

Dziwnież bo są te dziewczęta w chwilach, kiedy ich serca poczynają drżeć pragnieniem kochania i szukać najpierwszego kochanka... Zawsze jakiś wypadek go sprowadzi. Jedno jakies nic staje się samotrzaskiem, który złapie serduszko znienacka — i bywaj zdrowa dziewicza swobodo!... już cię w sto koni nie dogoni... Jeżeli ten najpierwszy twój wybrany nie zmarnuje twego uczucia, to go obdarzysz takim skarbem, o jakim nie śnił Harun-al-Raszyd. Ale to rzadko się trafia, aby tak od razu serce z sercem się porozumiało. Jak sprowadza je tak i rozprowadza — przypadek. Dziewczę się odczaruje, przeboli, przewątpi, na ostatku zwątpi i staje się zwykłą dziewczką, oglądającą się na wszystkie strony za mężem. Z takich wszakże dziewczek niezłe, a czasem i wcale dobre wychodzą żony, ale — to inna materja, którą zaczępiłem wcale niepotrzebnie.

Handzia stała w sieniach i wlepiła wzrok w kury. Kury dziobały i wydziobały wszystko ziarno; dwa młode kogutki poczuły się przy tej okazji; ona miała zwyczaj rozbraniać i napominać w takim razie kłótników; w tym jednakże razie patrzyła na nich, jakby nie widziała zapalczywości, z jaką jeden srożył się i rzucał na drugiego. Najeżyły się im pióra na karkach, oczy krwią zabiegły, odstępowały od siebie dla nabrania pędu,

przyskakiwały ku sobie, walczyły dziobami, skrzydłami i pazurami, a Handzia patrzyła się na to wszystko, i zdawało się, że oko jej mówi: „bijcie się d....., niech się świat poleruje“... Kury jedne po drugiej porozchodziły się, pogdakując, podjadłszy sobie; koguty zakończyły walkę tem, że jeden przed drugim uciekł, — a ona wciąż jeszcze stała... O czemże myślała?... — najpewniej o niczem: bo w miłości to tak: kochania jest dużo, dumania — jeszcze więcej, ale sensu w tem wszystkim za trzy grosze nie dopytasz się.

Dlatego też to miłość napada na nas w młodych latach, później nieco jak ospa, kur i szkarlatyna, i bardzo słusznie nazywa się chorobą, którą przebyć należy za młodu; bo jeżeli w młodości wykpisz się od niej, a złapie cię w podeszłym wieku — toś zginął. Mówię o miłości prawdziwej, o tej, którą określali, określali i dotychczas nie określili, ani poeci, ani filozofowie, ani nikt. Bo jest i inna miłość, córka zbytków i próżniactwa, fałszywa, brudna, zaraźliwa, która czasem okrywa się pozorem prawdziwej, że nie odróżnisz jednej od drugiej, i zamieniona w roznamiętniony nałóg, jak pijaństwo lub gra w karty, przeradza się w gwałtowność. Tej ostatniej ulegają i młodzi i starzy, wielcy i mali, i obdarzają świat obrzydliwościami, dość powszedniałemi w naszym wieku, niemniej jednak przeto potępienia godnemi.

Ale wróćmy do bohaterki naszej. Nie mogła ona, pogrążywszy się w zadumę, skamienieć w sieniach, jak żona Lota. Musiało zadumanie skończyć się, bądź samo przez się, bądź przerwane czemś pochodzącem z zewnątrz, np. wołaniem ojca, matki, lub czyjemeś przybyciem. Zadumanie Handzi skończyło się samo; nikt jej nie zawołał, nikt nie przybył, a pomimo to ruszyła się ona z miejsca i weszła do izby piekarnianej, w której przed ogniskiem stał garnek z gotującym się powoli kapuśniakiem. Handzia poprawiła ognisko i garnek, i wzięwszy garść soli wrzuciła ją do kapuśniaku; zakręciła się po izbie, wodę z konewki, przeznaczoną do picia, wylała do cebrzyka z pomyjami, nabrała garść soli i znów ją wrzuciła do kapuśniaku; stanąwszy przed piecem, wpatrzyła się w płomień, który uciekał do komina, przesuając się pochyło pod owalnem sklepieniem pieca, powstała, westchnęła i, wzięwszy garść soli, jeszcze raz ją

wrzuciła do kapuśniaku i zamieszała warzechą. Wtem słyszeć się dało wołanie matki:

— Handziu!... Handziu!...

— Słucham!... — odezwała się dziewczyna, rzuciwszy się niby oparzona.

— A posoliłaś ty kapuśniak?

— Ot, jeszcze nie!...

— Posól że go, boć musiał już kipieć!...

— Zaraz, zaraz!.. — i czwarta garść soli wpadła do garnka.

Po tym drobnym na pozór wypadku, sędzić może czytelnik o usposobieniu umysłu Handzi, szczególnie jeżeli dodam, że takie solenie nigdy się jej przedtem nie przytrafiło. Tego zaś, że kapuśniaku owego nawet pies jeść nie chciał, nie mam potrzeby dodawać; ale nie zaszkodzi wspomnieć, że kiedy Jakób rozgniewał się, Handzia tłumaczyła się:

— Nie wiem co to się stało; bo ja jedną tylko, i to niewielką garsteczkę soli wsypałam.

A tymczasem, kiedy Handzia gospodarowała w piekarni, w świetlicy odbywały się rachunki. Andrij czytał z laski, a Jakób zapisywał i dodawał, Sydor zaś siedział jak malowany, — zapytał się go ojciec o coś, o czym zapomniał, ale i on także zapomniał. Koniec końcem, po dwóch a może i trzech godzinach pracy, Jakób przeczytał Andrijowi sumę ogólną, która wynosiła: sto sześćdziesiąt i trzy ruble, cztery złote i groszy dwadzieścia.

— A wieleż nie niedostaje do dwustu karbowanów? — zapytał Andrij.

Jakób, nic nie mówiąc, poprawił okulary na nosie, pocisnął piórem o czarną watę, która w wyszczerbionej filizance, reprezentującej kałamarz, reprezentowała atrament, znajdujący się zwykle w stanie suchym, i za każdą potrzebą odwilżany kilką kroplami wody, napisał cyfrę 200, podpisał pod nią 163—4—20. od dwiestu pożyczył 1, i, wykonawszy wedle prawideł, odciążanie, powiedział:

— Trzydzieści sześć karbowanów i złotych dwa... Ot o masz, mospaneńku, wszystko, czegoś chciał.

Andrij podziękował, pokłonił się i zabierał do wyjścia.

— Zostań, mospaneńku — rzekł Jakób — na dworze kiśnie

i kiśnie... cóż będziesz robił?... czego się spieszysz?... Zostań..., zjemy, co Pan Bóg dał, i opowiesz mi o mandrówce swojej; bo to wiesz i ja mandrowałem za młodu.. i na starość pozostała, mospaneńku, ciekawość: a jak tam?... a co tam?... Człiek i samby rozповідаł, co widział i słyszał w młodości, ale niema komu... Pan Bóg synów nie dał... Eh!... Zostań, Andriju...

Andrij nie dał się prosić długo; usiadł na tapczanie, obok niego Sydor, i wszczęła się gawędka, którą przerwał objad, a przy objedzie wystąpił ów nieszczęśliwy kapuśniak, który zepsuł humor Jakóbowi i wprowadził go na tor gderania na wszystkich i na wszystko, wyjmując tylko gości.

— Czy ją kto zaswatał, tak że ja o tem nie wiem, czy ona się rozkochała!... — mówił Jakób w gniewie.

Handzia oblała się na to krwawym rumieńcem, tak, że krew ledwo policzkami i uszami jej nie trysła, a Sydor oczy spuścił. Gdyby w tej chwili kto popatrzył na Handzię i Sydora z boku a uważnie, to poznałby, że winni oni oboje, z oczu ich bowiem wyraźnie patrzyło: poczuwanie się do winy.

— Ale, w kimżeby, mospaneńku, rozkochała się tak nagle?... — ciągnął Jakób, postanowiwszy wygadać się przynajmniej za swoje, byle jakoś zemścić się za kupuśniak — czy nie w tym pisarzu, co ładanem pachnie, a czuprynę sobie gładzi na łbie tak, jakby mu ją krowa lizała?... Niczego chłopiec, mospaneńku,... wierzypięta!... He!...

Handzia, gdyby mogła, byłaby się pod ziemię schowała, a Sydorowi tak jej żal się zrobiło, ale tak żal, że aż mu się serce, jak to powiadają, rozpływało. Radby był przyjąć jej winę na siebie, ale nie było sposobu. A Jakób coraz bardziej dukał. Wspomniawszy wszystkich, jednego po drugim, kawalerów, wyjąwszy szlachcica czynszowego, i każdemu przypiął łatkę jakąś. Handzia zkrąśniała jak mak, jak piwonja, siedziała jak na szpilkach, w końcu łzy bryznęły jej z oczu, wstała i do piekarni odeszła.

Jakób zamilkł — śnać zaspokoił zemstę, i pomilczawszy przez chwilę, zaczął Andrija o mandrówkę.

— No i cóż, jakżeście tam do Kijowa przyszli?..

I rozmowa weszła na tor dawniejszy.

Sydor nie długo w gościnie pozostawał po objedzie: wziął

czapkę i wysunął się do sieni, pożegnawszy Jakóba, a składając się tem, że mu do matki spieszo.

W sieniach jakoś zabił, chociaż namyślał się. Nie ku tym drzwiom co na podwórze, lecz ku tym co do piekarni prowadziły, skierował się; a że były otwarte, więc stanąwszy na progu, wpatrzył się w płaczącą jeszcze przy piecu Handzię.

— Nie płacz, Handziu... — odezwał się po chwili patrzenia i milczenia.

Handzia lewą ręką oczy zakryła, prawą ujęła się za gzyms od komina.

— Nie płacz, Handziu... — powtórzył Sydor — i czegoż płaczesz?

— Jak mnie nie płakać — odparła — kiedy mnie tatko tak sponiewierali!..

— To i cóż z tego!.. Oni pewno nie w złej mówili myśli;... at... żeby tylko dokuczyć... zwyczajnie starzy... Rozgniewali się za kapuśniak... bo też, co prawda, był słony... bodaj jego!.. Wszak ty pewno z tych paniczów nie kochasz żadnego?... — dodał w końcu głosem nie bardzo pewnym, nieco ciszej i niby zająkując się.

— A, ktoby tam ich kochał! — odrzekła Handzia, uspakajając się stopniowo i odejmując rękę od oczu — jeszcze co!..

Sydor zamilkł, westchnął i po chwili milczenia chrząknął, a odchrząknawszy znowu mówić zaczął:

— A jakby ja tobie coś powiedział, Handziu!..

— Cóż takiego?..

— At, nic... jak patrzę na ciebie, to jakbym patrzył na tę gwiazdę, co najjaśniej świeci na niebie..

— Et, niewiedzieć co! — odpowiedziała Handzia na ten komplement.

Lecz spojrzawszy na Sydora suchemi już oczami i, podniósłszy je nieco do góry, zawiesiła na kominie, w którym poczęła palcem dłubać. W przelotnym jej spojrzeniu było coś takiego, co jakby pytało się naszego parobka: czyż nic nie powiesz innego?

Zrozumiał Sydor to nieme zapytanie. O! bo nic podobno niema domyślniejszego, jak kochanek przy kochance... Tak jak nic niema niedomyślniejszego, jak kochanek i kochanka przy obcych ludziach, odosobnieni jedno od drugiego.

— A jakby ja jeszcze powiedział coś!..

— Mów!... — cichym głosem szepnęła dziewczyna.

Trzeba wiedzieć, że cichy głos, to dobry znak w razach podobnych.

— Jak patrzę na ciebie, to z mojem sercem niewiedzieć co się dzieje... tiocha jak nawidzone i jak śnieg na wiosnę topnieje.

Handzia nie nie odpowiedziała, tylko kiwnęła główką i ruszyła usteczkami, tak jakby za bajbardzo miała serce Sydorowe.

— Handziu!... ty nie wiesz o tem, a ja ciebie kocham, jak moje życie, więcej jak moje życie.. — rzekł Sydor zniżonym głosem, podchodząc ku niej i biorąc ją za rękę.

Dziewczę nic nie mówiło. Nie wydarła jednakże ręki Sydorowi, ale i nie patrzyła się na niego.

— Handziu, serce!... — głos Sydora drżał, a z głosem drżały pod nim i nogi i w gębie zrobiło mu się sucho.

— Czyż mi nie odpowiesz nic?... nawet ani popatrzysz się na mnie?

Dziewczyna ani odpowiadała, ani patrzyła się.

— Dobrze chyba ludzie mówią — rzekł Sydor, puszczać rękę Handzi — że ona na panków patrzy; na siromę-muzyka ani spojrzy... To już ja chyba ..

— O!... — przerwała mu Handzia nagle, spojrzawszy na niego okiem, w którym dobry znawca na takich rzeczach dojrzałby wyraz miłości i trwogi — któż-to to mówi!.. to nieprawda!...

— Nieprawda?... — zapytał Sydor.

— Nie...

— Pobóź się...

— *Jej-Bohu*, nie!...

— *Jej-Bohu*: wielkie słowo! — rzekł Sydor, biorąc ją znów za rękę; a patrząc jej w oczy z przymileniem, z takim jak kiedy — (ot! — nie klei mi się porównanie), dodał — a mnież... czy nie można pokochoać ciebie?...

Handzia odpowiedziała: „można;“ ale Sydor pewno tego nie słyszał: bo raz — nadzwyczajnie cicho wymówiła, a powtóre — w tej chwili, kiedy jej usta składały się do odpowiedzi, drzwi od świetlicy ryknęły i Sydor skoczył, jak oparzony; pochwycił za kuflik i począł szukać po izbie wody, której rzeczywiście

bardzo potrzebował. Wchodząca do izby Jakóbowa ujrzała go pijącego z kuflika; Handzia zatrudnioną była przy piecu odgartywaniem popiołu.

— Daj wam, Boże, zdrowie.. — rzekł Sydor wypiwszy i wychodząc — ależ paliło pod sercem!..

— Idź z Bogiem — odrzekła Jakóbowa — nie dziwota że paliło, bo też ten kapuśniak był, co prawda, taki słony, że wiadro wody trzeba chyba wypić, żeby sól ugasić..

Sydor wyszedł, włożył czapkę na bakier i ruszył wprost przed siebie, środkiem drogi, po błocie, przez kałuże, nie pomnąc ani na nowe buty, które niekiedy chowały się z cholewami na rzadkiem, ani na świętę, którą bryzgi opadały. Tak mu się zrobiło, jakby ogromny jaki skarb znalazł i stał się od razu od największych bogaczy bogatszym.

Swidrowałóż bo mu to kochanie w sercu od dawna. Nieraz zbierał się wyznać je, ale nie umiał poradzić sobie. Zdawało mu się, zanim wyszedł na wędrownkę, że jeżeliby powiedział Handzi: „kocham,“ to nicby jej nie powiedział jeszcze.

VII.

Powiadają u nas, że w sobotę, żeby niebo jak zakrytem było chmurami, musi słońce choć na chwilkę pokazać się i zaświecić, dlatego że sobota, to dzień Matki Boskiej. Lud w to wierzy, i naprózno perswadowałbyś chłopu, że tak nie jest. A powiesz mu żeś obserwował i nie widział słońca, to odpowie, że musiało błysnąć wtenczas, kiedyś się obejrzał lub w inną patrzył stronę.

Pierwsza sobota po powrocie wędrowców naszych była potwierdzeniem tej wiary ludowej. Do południa było jeszcze pochmurno na dworze, a z południa chmury poczęły się rwać na szmaty, rozchodzić, podniosły się nad zachodnią stroną nieba, i z po za nich wytoczyło się słońce, na przeciwległej zaś stronie widnokregu malowanym łukiem wystąpiła tęcza. Jedno i drugie znikło wkrótce: tęcza bladła, zbladła i rozeszła się w powietrzu, słońce zaszło; lecz na drugi dzień wstało i wyszło na czyste,

gładkie, jasne niebo, na którym wałęsała się zrazu jedna tylko biaława chmurka, która rozwiała się i znikła. Niedziela tedy była pogodną zupełnie.

Wczesnym rankiem na dzwonnicy odezwały się dzwony i dzwonki — wielkie, średnie i małe — pierwsze huczały grubo i poważnie, napełniając powietrze przeciągłym drzeniem, ostatnie cienkim i krótkim głosem, siekaniną jęczenia, szczebiotały jak ptaszęta, sypały grad metalowych tonów. Lud zcigał się do cerkwi liczniej jak zwykle. Starzy i młodszy gospodarze, baby i młodyce, parobcy, dziewczęta i dzieci napełnili sobą cerkiewkę, jak na Wielkanoc. Ksiądz stanął do służby Bożej; diaki i diaczki, pomiędzy którymi znajdował i Jakób, zajęli klyros; — śpiewali i modlili się. Gromada Zahornicka modliła się gorąco, a przed ikonami co chwila ktoś przylepił żółtą woskową świeczkę. Modlono się, żegnano żegnano i bito pokłony, i to wszystko było dziękczynieniem za szczęśliwy i pomyślny powrót Andrija. Sprawa gromadzka dobry brała obrót, więc dziękowano za to Panu Bogu i proszono Go, aby nie przestawał udzielać pomocy swojej. A gdyby kto każdego chłopca z osobna zapytał, za co dziękował i o co prosił, toby może nie potrafił wytłumaczyć się jasno. Pociągnęło go serce i poszedł do cerkwi: — ukorzył się przed Bogiem, westchnął do Niego, postawił świeczkę Matce Boskiej, S-temu Mikołajowi, S-temu Ilii, i poczuł jakoweś wewnętrzne zadowolenie, z którego sprawy zdaćby nie potrafił. Tak to zwykle bywa z niepiśmiennym narodem.... Piśmienny człowiek wytłumaczy się jasno i gładko, a nie gładko robi; niepiśmienny zaś, jeżeli co powie, to często ni w pięć ni w dziewięć, a niekiedy zupełnie nie to co chciał powiedzieć — a zrobić uda mu się nie zawsze źle. Bo jest rozum, którym Stwórca sposobem intuicyjnym obdarza każdego człowieka: oświata zaś książkowa jest tylko ociosaniem, oheblowaniem i wypolituowaniem tego pierwotnego rozumu. I jak często (wziąwszy np. stół na porównanie) stół prosty bywa mocniejszym i lepszym od filigranowego, tak też i rozum chłopski bywa niekiedy zdrowszym od ogładzonego. I bywa jeszcze nawet tak, że ów rozum ogładzony, taki nam sprawia zawrót w głowach, że nie umiemy ocenić rzeczywistej wartości chłopskiego... Mówię to ja sposobem nawiasowym, dlatego, że mi to przyplęnęło do pióra, ale nie dlatego, aby miało wchodzić, jako ko-

nieczne pojaśnienie, do niniejszej powieści. Przeciwnie: nawet przerwałem sobie wątek, do którego wrócić należy.

Owóz modlili się Zahorniczanie, wymodlili się i rozeszli wszyscy, wyjąwszy księdza, pałamarza, Jakóba, Josypa i całej gromadzkiej deputacji, mającej udać się do dworu, ale chcącej pierwiej rozpatrzeć się dobrze w starej cerkiewce. Gdy więc cerkiew zrobiła się pustą, obeszl ją wewnątrz i zewnątrz, zagładając do wszystkich kątów. Wszystko się w niej waliło, rozpadało. Na nadgniętej podłodze i ścianach znać było ślady deszczu, który siał się i lał przez dach; słupy były popróchniałe, równie jak belki i podwaliny.

— Jak to trzyma się ?... — rzekł Andrij, ściskając ramionami.

— Cudem Boskim... — odparł Josyp.

— To prawda...

I obejrzawszy wszystko, deputowani udali się do Josypa, dla zabrania kury, koguta, dwónastu jaj i kołacza z najbliżej jaką można było znaleźć, pszennej mąki upieczonego, aby nie stanąć z gołemi przed dziedzicem rękami. A opatrzywszy się w te podarki, bez których chłop nasz, mając jakowąś prośbę, nie idzie do dworu, poszli powoli, poważnie, puszczając przodem Josypa. Wszedłszy na dziedziniec, we wrotach pozdejmowali czapki i stanęli w ganku, uszykowawszy się podług wieku: Josyp na czele, za nim Semen i Łućko, a Kondrat i Andrij, jako najmłodsi — z tyłu. Pierwsi trzej byli siwobrodymi starcami. Josyp, oparty obiema rękami na kiju i pochyłony nieco na przód, wyglądał tak, że dziedziczka Korczyka, gdyby go ujrzała, pewnie postawiłaby go w swojej pracowni i kazała mu pozować, dla zrobienia zeń obrazu patriarchy ludów pierwotnych.

Stali oni w ganku i czekali; i czekali by może Bóg wie jak długo, gdyby przypadkiem, a może i nie przypadkiem, nie wyszła panna Karolina. Za ukazaniem się jej pokłonili się wszyscy, Josyp zaś podszedł ku niej i pocałował ją w rękę.

— Jak się macie, stareńki ?... — powiedziała panienka.

— A, pannuncio zwykle jak stareńki!... płacze się nogami, póki Bóg do siebie nie zawoła... A czy można widzieć się z panem ?...

— Czemu nie ?... macie interes jaki ?

— Mamy, pannuncio, mamy, i bardzo wielki.

— Poczekaścież chwilę ... ja was zaraz zawołam ...

Zawróciła się panna Karolina i po chwili wyszła i kiwnęła paluszkami na gospodarzy, którzy na ten znak posunęli jeden za drugim do sieni, a z sieni do sali jadalnej i wszedłszy tam, uszykowali się przy drzwiach w takim samym jak na ganku porządku, i wszyscy razem pochylili się ku ziemi głębokim pokłonem. W sali ujrzeni się pośród sędziego i sędziny. Sędzia siedział w głębi, przy stole, na krześle, i kręcił w rękę tabakierkę, sędzina chodziła po pokoju, ustrojona po niedzielnemu, w lokach, w czepku z kokardami i w jedwabnej sukni. Po oddaniu ukłonu, Josyp podszedł do stołu i złożył na nim kołacz i jaja, a Semen i Łucko, z których jeden kurę, drugi kapłona trzymał w rękę, pokazali kurę i kapłona i ścisnęli je tak, aby wydały krzyk, dla tego żeby i na te podarki, których nie wypadło na stole składać, zwrócić uwagę państwa. Wszystko to odbyło się w milczeniu. Josyp, powróciwszy na swoje miejsce, stanął, oparł się na lasce i głowę pochylił.

— Cóż powiecie ? ... — zapytał sędzia.

Sędzina zatrzymała się, popatrzyła na deputowanych gromadzkich, jakby ich tylko co zobaczyła i usiadła na sofie, na której siedziała panna Karolina.

— Proszę miłościwego pana i pani — odparł Josyp, kłaniając się raz jeszcze — my przyszlismy od gromady pokłonić się wam o te drzewo, które miłościwy pan obiecał nam na cerkiew...

Sędzia począł prędzej tabakierkę obracać.

— Jakie drzewo ?... — zapytała sędzina.

— Bo to, miłościwa pani — odrzekł Josyp — gromada chce, przy pomocy Boskiej i za pozwoleniem waszem, nową cerkiew pobudować.

— I cóż z tego !..

— Przyszlismy więc prosić najpokorniej o drzewo ... — ciągnął Josyp.

— O jakie drzewo ?

— Ta że na cerkiew... proszę pani — rzekł Josyp, zając się, gdyż poznał, że te zapytania nie są dobrą wróżbą — Miłościwy pan obiecał z łaski swojej, kiedyśmy przychodzili jeszcze przed kosowicą...

Sędzia jeszcze szybciej obracał tabakierkę, a Karolka popatrzyła na ojca wzrokiem wyrażającym obawę.

— Aleście wy widać zapomnieli o tem — rzekła sędzina — że Zahorniki, to nie zarwańska ulica, na której każdemu można wziąć, co się komu podoba.

— Pani, serce!... taż my prosimy i kłaniamy się — i wszyscy pięciu pochyłili się do samej ziemi.

— O wy prosić umiecie, jak czego potrzebujecie; a jak wam każe się co zrobić, to robicie niby za napaść... — odparła sędzina, spoglądając na męża zupełnie innym jak panna Karolina wzrokiem.

Josyp osłupiał na te słowa. W przykrem bo postawiły go one położeniu. Przyznać się, że gromada robi jak za napaść znaczyło, uznawać naprzód powód odmowy; powiedzieć, że robi dobrze, znaczyło, zadawać kłamstwo dziedziczce i jątrzyć ją. Musiał więc stary pomyśleć. Zamilkł i spojrzął na dziedzica: — dziedzic obracał tabakierkę; spojrzął na pannę Karolinę i spotkał się z jej wzrokiem, łagodnym i litośnym, w którym zaczerpnął otuchy.

— Pani, hołubko — rzekł po chwili milczenia — rozkazcie, będziemy robili ile zmożą siły; ale dajcie nam drzewa, bo stara cerkiew wali się; bo nowa tak nam, jak wam, jest potrzebną; bo jak się stara zwali a nowej nie będzie, to ani my, ani wy, nie będziemy mieli gdzie pokłonić się Panu Bogu.

— Cóż wy o mnie troszczycie się! — przerwała sędzina — czyż to niema innych cerkwi, w których tak samo modlić się można!...

— Zlitujcie się, pani serce — przerwał Josyp, kłaniając się i występując, ku środkowi sali — nie odmawiajcie pokornej prośbie gromady.

— Nie, nie!... nic z tego nie będzie!... las zniszczony... zniszczycie go ze szczętem... — wymówiła prędko i głośno sędzina.

Josyp cofnął się do drzwi. Twarz jego nie pobladła, bo na niej starość od dawna zatarła już rumieńce, ale zesmutniała ciężkim smutkiem a włosy na brodzie poczęły ruszać się, poruszane nerwowem policzków drganiem. Towarzysze jego stali jak posągi — nieruchomie, z powyciąganemi twarzami; a oczy ich szeroko otwały się i usta rozwarły, jakby szczeka dolna straciła raptem sprężystość muszkułów, trzymających ją przy górnej. Litość brała patrząc się na nich. Sędzia spuścił oczy, Karolka spuściła oczy; jedna tylko sędzina spoglądała z góry,

wzrokiem tryumfu władzy, który — powiedzmy nawiasem — bywa niekiedy taki obrzydliwy, że obok niego pięknym wydaje się pogląd pokory spodlenia.

— Mamo, duszko — odezwała się Karolka — tym ludziom nie godzi się odmawiać... Niech mama będzie łaskawa pozwolić im wziąć drzewa.

— Co się aspanna mieszasz w to, co do ciebie nie należy, i czego nie rozumiesz! — odparła sędzina gniewnie, a obracając mowę do chłopów, rzekła: — nie macie czego czekać... drzewa nie dostaniecie!...

Josyp westchnął, pokłonił się i obracając się do towarzyszy, rzekł:

— Chodźmy!... — i odeszli.

W sali jadalnej państwa Gajewskich wszczął się monolog — długi i gniewny — sędziny strofującej męża. Nie będziemy go powtarzali; lepiej popatrzmy na sędziego. On siedział na krześle, przy stole i kręcił tabakierką. On — mężczyzna!... człowiek uczciwy!... Cóż taka uczciwość warta?... Uczciwość słomiana, słaba, mięka nie jest cnotą, ale ironją, przedrzeźnianiem cnoty. Uczciwość, żeby była skuteczną, musi być dodatnią, a — żeby była dodatnią, musi być odważną. Złego dodatniego przez uczciwe „nie” odwrócić nie można. Przeciwnie -- przecząc bądź milczeniem, bądź głośno, dodaje się mu sił, dopomaga się rozwojowi jego: w pierwszym bowiem razie uczciwość zamienia się w pobłażanie, w drugim — staje się bodźcem: w pierwszym więc razie złe w cieniu jej pobłażania wzrasta. jak znarowione dziecko pod okiem nieroztropnej matki; w drugim — uczciwość, ograniczająca się przeczeniem (jakim są wszystkie plakiwne a głęboko moralne ogólniki), sama uznaje swoją niższość, poddaje się złemu, staje się podrzędnością, wydobywającą z siebie same tylko narzekania i wzdychania i płacze, a temi narzekaniami, wzdychaniem, płaczem, drażniącą i popychającą złe naprzód.

Sędzia Gajewski należał nie do przeczących ale do pobłażających uczciwców. Czuł że słusznem było żądanie jego poddanych; rozumiał on, że gdyby nawet ci poddani nie byli jego poddanymi, to człowiek zamożniejszy obowiązany jest przychodzić uboższym z pomocą, szczególnie w razach, gdy chodzi o utwierdzenie lub rozszerzenie moralności publicznej, utwierdzającej się i rozszerzającej najbardziej przez kościół w braku

szkoły; wiedział on, iż od tego obowiązku żaden człowiek nie ma prawa uważać się wyjętym, a najmniej taki, który stoi na wyższym szczeblu drabiny społecznej — z możliwością bowiem robienia dobrze wzrastają i obowiązki — wzrasta i odpowiedzialność za nierobienie. Ale cóż z tego, że on to wszystko czuł, rozumiał i wiedział, kiedy magnifika jego nie chciała tego c uc, rozumieć ani wiedzieć o tem, a on nie mógł zdobyć się na odwagę postawienia uczciwstwa swego, jako czynu. Nasłuchałże się. Sędzina jasno i wyraźnie dowiodła mu, że jest złym mężem, złym ojcem i złym panem. Złym mężem, bo poważa się robić obietnice, nie radząc się żony; złym ojcem, bo takie rozdawanie lasu jest marnotrawieniem majątku, należącego do dzieci; złym panem, bo — mówiła — dasz chłopom dziś las, to zechcą sianozęci jutro; dasz im sianozęć, to zechcą gruntu; dasz grunt, to zechcą pobratać się z tobą;... ot, do czego to doprowadzi!.. Trzeba mieć zastanowienie i zważać na konsekwencje... Gdyby nie ja, to ten twój faworyt, Jakób, byłby nam sprowadzał do domu swoją żonę i córki i sadzał je obok mnie... ot tu... na krzesłach i kanapach... takeś go zpoufalił... Oto, jakie to konsekwencje!“...

Odpoczęła sobie sędzina, gdyż (a było to jeszcze wielkiem szczęściem) nie mogła jednym ciągiem mówić długo; i zabierała się do dalszej perory, która przeciągnęłaby się może bardzo długo, gdyby nie dało się raptem słyszeć na dziedzińcu palenie z bata. Panna Karolina podbiegła do okna, wyjrzała i rzekła:

— A, pan Zenon!...

I twarz panny sposepiona perorowaniem matki, rozjaśniła się uradowaniem z przybycia gościa.

Sędzina wytoczyła się poważnie do bawialnego pokoju; wyszła za nią i panna Karolina, sędzia zaś ruszył do sieni na powitanie przybysza. Wkrótce potem słyszeć się dały u drzwi wchodowych ceremonialne frazesy:

— Służę panu dobrodziejowi...

— Niechże pan dobrodziej...

— Ależ proszę...

— Bez ceremonji...

— Bez najmniejszej ceremonji...

— Niechże pan dobrodziej będzie łaskaw...

— Ależ, sędzio dobrodziej!

— Ależ, panie dobrodzieju!

— To nie godzi się...

— Tak nie godzi się...

I weszli, naprzód gość, za gościem sędzia. Gość wchodził, cofając się — co było koniecznem, dlatego, że idąc przed sędzią, nie chciał obrócić się doń tyłem. Lecz w bawialnym pokoju zwrócił się ku damom i pozdrowił je z całą elegancją, jaka przepisana była owoczesnemi zwyczajami, stosownie do których sędzina siedziała na fotelu w pogotowiu, trzymając prawą rękę na poręczu. Pan Zenon podszedł do sędziny i złożył na jej przygotowanym ręku pocałunek; zwrócił się do panny Karoliny i takimże pocałunkiem i ją obdarzył; poczem, do tych dwóch pocałunków dodawszy jeszcze zawieszisty ukłon, usiadł i wszczęła się gawędka o zdrowiu, o pogodzie i o innych tym podobnych rzeczach, zaczepiająca się powoli i nieznacznie o tego lub owego sąsiada, o tę lub owę sąsiadkę.

Mniejsza o tę gawędkę. Podobną ona była do tych wszystkich, które prowadzą się przy gościach, to jest: była ona milionkrotną warjacją na jeden i tenże sam temat salonowej rozmowy, zaprawianej, stosownie do potrzeby, pieprzem oszczerstwa, solą dowcipu, słodyczą komplementu i rozwiązującej się tem, że zostaje się po niej: nic. Poznajomię raczej czytelnika z panem Zenonem.

Pan Zenon, żeby go krótko i wyraźnie zcharakteryzować, był bardzo towarzyskim człowiekiem: rad bywał wszędzie i wszędzie był pożądanym i dobrze widzianym, szczególnie przez pięć piękną, a to dlatego, że zrobił sobie u niej podwójną opinię. Pocichu, w głębi własnego pań, panien, wdów, matek, żon i siostr zeznania, nazywał się on „złośliwym językiem“, „paskudną gębą“; głośno nazywano go „bardzo miłym i przywoitym człowiekiem.“ Opinia ta opierała się na tem, że pan Zenon wziął na siebie *gratis* rolę bociana-szydery, bawił się słabościami ludzkiemi; a że zabawa ta nie może odbywać się *solo*, więc jeździł od sąsiada do sąsiada, zaglądał do rozmaitych sfer towarzystwa i w każdym domu, do którego zawitał, zakładał czasowie główną kwatere, z której podjazdowym sposobem szarpał wszystkich naokoło. A łatwo mu to przychodziło, bo natura obdarzyła go wrodzonym — bystrym a przenikliwym dowcipem, ogładzonym starannem wychowaniem i podróżami, los zaś udarował go du-

zym majątkiem i dźwięcznym nazwiskiem. Nie potrzeba było w Paprockim szukać jego pochodzenia, dlatego, że on sam Paprockim się nazywał. Był przytem kawalerem na ożenieniu, pomimo że liczył sobie trzydzieści lat z górą, co znaczyło, jak sam powiadał, i czterdzieści i pięćdziesiąt; lecz sąsiedzi, wiedzący jak kto siedzi, nie liczyli mu lat czterdziestu skończonych. Powierzchności nie miał odznaczającej się szczególną pięknnością lub brzydota: podobnym był do wielu ludzi: wzrostem, który był miernym, postawą, która była kształtną, — odróżniając się tem chyba tylko, że oblicze jego poznaczone było gęstemi naturalnej ospy śladami, które powlekały twarz jego pewnym rodzajem maski, wyrażającej zimną obojętność.

Nie potrzebuje dodawać, że jego dusze, jego imię i jego tytuł kawalera na ożenieniu nie uszły bacności sędziny, i że jego język wzbudzał w niej pewien rodzaj bojaźni i uszanowania ku niemu. Złapać go dla Karolki i nie być przezeń ogadana — było podwójnym sędziny zadaniem.

A trzeba wiedzieć, że pan Zenon, jak wszyscy tego rodzaju ludzie — chociaż powiadają o nich, że na nikim czystej nie zostawią nitki — miał kilka wybranych osobistości, o których albo milczał, albo dobrze się odzywał. Było ich mało, to prawda, lecz było kilka. Pomiedzy niemi, jedno z poczestniejszych miejsc zajmowała Karolka.

— Lubię ją — powiadał pan Zenon — za to, że nie w sobie sroczego nie ma..

Lubił też, częściej jak do innych domów, zajeżdzać do sęstwa Gajewskich. Sędzina to zwęchała; i mając na myśli rozwiązanie pierwszej połowy zadania swego, w tym kierunku manewrowała z panem Zenonem, któremu, powiedzmy nawiasowo, nie uszedł żaden z jej obrotów i posłużył mu nieraz, jako materjał surowy, ku zbudowaniu słuchaczy i ubawieniu siebie. Wiadomo, że jednym takich manewrów matek, powszechnie znany i przyjęty, jest zostawianie córek sam na sam z kawalerem. Sędzina nie omieszkała zaaplikować go podczas ostatniej wizyty pana Zenona. Wymówiwszy się zatrudnieniem gospodarskiem, mrugnawszy na sędziego, którego także jakiś interes wywołał, przeprosiwszy gościa i poleciwszy Karolce bawienie go, wytoczyła się z salonu, obiecując „za chwilkę“ powrócić. Chwilka ta wyciągnęła się na pół godziny.

Trzeba wiedzieć, że pan Zenon nie miał żadnych względem panny Karoliny zamiarów i w tych *sam-na-sam*, dostarczanych mu przez sędzinę — na które miał zwyczaj uśmiechać się, ale tak, że tego uśmiechu nikt nie dostrzegł, kiedy on przebiegał po dziobatej jego twarzy — zmieniał żartobliwy ton rozmowy, wprowadzając ją na poważny i treściwy tor. Mówił albo o literaturze i podróżach, albo o sztukach pięknych, albo wyzywał pannę Karolinę na filozoficzną dyskusję, biorąc przystępny dla kobiety przedmiot, np. znaczenie kobiety w społeczeństwie, lub inny temu podobny i stwarzał chwilę, która pewno jemu przyjemność a pannie Karolinie korzyść przynosiła. O, bo — wyznać należy — że pomiędzy temi moralnemi rozrywkami, do jakich gawędka należy, nie może być przyjemniejszego, jak filozoficzna z kobietą dyskusja, szczególnie, jeżeli los ustrzegł ją od poźknięcia jakowejś filozoficznej książki. Błądzenia i dywagacje kobiece odbywają się w taki wdzięczny sposób, iż nie można nie lubować się niemi i nie słuchać ich tak, jak (będąc w usposobieniu po temu) śpiewania ptaszkowego lub strumyczego szemrania.

Gdy tedy sędzina wyszła, pan Zenon zabierał się do gawędki, lecz panna Kazolina przerwała mu wątek, który począł już snuć.

— Panie Zenonie — rzekła — mam do pana prośbę.

— Słucham pani i jestem na jej rozkazy.

— Ale żądam od pana dyskrecji, gdyż wtajemniczę pana w domowe nasze sprawy — powiedziała panienka z przymilem, które miało oznaczać: z tego co powiem, nie rób publicznego użytku.

Skrzywił się na to pan Zenon. Lubił on być postrzegaczem, ale nie konfidentem. Rola konfidenta, a szczególnie kobiecego, jest nieznośną. Lecz skrzywienia tego, jak poprzednio uśmiechu, nie było widać na jego twarzy.

— Słucham pani... — rzekł głosem, w którym delikatne ucho dosłyszałoby taki sens ukryty: ha, to niechże już wypiję ten kielich goryczy!...

Wiedzieć o jakiejś tajemnicy domowej i nie móżd rozpoviedzieć jej całemu światu, zdawało się panu Zenonowi na ciężkim do dźwigania ciężarem.

Odgadła znać tę myśl utajoną panna Karolina, bo w taki odezwała się sposób :

— Idzie tu, panie Zenonie, o dobry uczynek, w którego spełnieniu możesz pan dopomódz.

I po tym wstępie rozpoczęła : o zamiarze chłopów pobudowania cerkwi, o braku drzewa, o deputacji porannej i o odmowie matczynej; tłumacząc tę ostatnią troskliwością gospodarską, a zakończyła temi słowy :

— O panu, mama bardzo dobrą ma opinię. Jeżeli pan staniesz po naszej stronie, to mam nadzieję, że ją uprosimy. Zrobmy plan i zaraz dzisiaj weźmy się do wykonania, bo mi żał tych ludzi, którzy z rozpaczą odeszli... Cóż, będziesz pan moim i papy sprzymierzeńcem ? — zapytała z uśmiechem, który bardzo dobrze odbił od jej miłej i okraszanej wyrazem dobroci twarzyczki.

— Ach, pani ! — odrzekł pan Zenon — nie wątp pani ani na chwilę!... Pochlebia mi niezmiernie dobra o mnie sędziny opinja; lecz wątpię abyśmy co wstępną zyskali prośbą... Wszak pani prosiła!...

— Prosiłam...

— Źle pani zrobiła... trzeba było nie prosić... Chcąc wymódz co na takich, jak sędzina, charakterach, prosić nie należy..

— Więc pan zna charakter mamy?...

— Domyślam się go... — odparł pan Zenon, uśmiechając się nieznacznie.

— Jakież są na taki charakter sposoby ?

— Podstęp.

— A !

— To podbój, zawojowanie... wstępna walka...

Panna Karolina spuściła głowę i zesmutniała : poznała bowiem, że domowa strzecha nie jest nieprzejrzaniem dla oczu ludzkich zakryciem, i że wady jej matki nie są tajemnicą rodzinną; a będąc znanymi takiemu jak pan Zenon człowiekowi, rozchodzą się szeroko, ustrojone w błyskotki dowcipu i szykany...

— Ledwobym nie zgadł, o czym pani myśli — powiedział pan Zenon — i mógłbym się założyć, że zajmuje panią w tej chwili osoba moja...

— Jaki pan niebezpieczny!...

— Zgadłem, czy nie?...

— Może...

— Powiem pani jeszcze więcej: oto stoję w myśli pani w postaci djabła kulawego.

— I to być może — odparła panna Karolina, z przymuszonym nieco uśmiechem — ale to nie posłużę do zrobienia planu, o który pana prosiłam...

— Przeciwnie... posłużę... Mój plan jest już zrobiony... Oparłem go całkowicie na znajomości serca sędziny, chciałem zaś dać pani poznać, że posiadam tę znajomość, dlatego abyś pani nie pytała mnie o szczegóły planu.

— W takim razie na cóż pan zaglądał do myśli moich?

— Na to, aby pozyskać zaufanie pani.

— Więc pan nie żądasz mojej pomocy?

— Hm!... nie jest mi potrzebna.

— I pewnym pan jesteś powodzenia?

— Bardzo...

Wszedł sędzia i pan Zenon przerwał rozmowę, zwróciwszy ją na inny przedmiot. Weszła po chwili i sędzina.

Tym innym przedmiotem rozmowy było wściekle rzuć się na jakąś prezesowę w sąsiedztwie, po której wystąpiła na scenę podsędkowa, a po tej jakaś sędzina. Pan Zenon robił przegląd złośliwy wszystkich po kolei sąsiadek, biorąc je to z wyższych, to z niższych sfer, mieszając razem, oglądając każdą z osobna, ogadując ich mężów, dzieci, przodków i potomków i nakierowując rozmowę w ten sposób, że sędzina mimowolnie porównywała je z sobą, myśląc w duchu: „ach! czy też i ja kiedy nie naraziłam się, broń Boże, na śmieszność podobną!“ A, że jedną z właściwości charakteru ludzkiego jest dobre o sobie samym mniemanie, przeto i sędzina nie poczuwała się do śmieszności, lecz poczuwała się do potrzeby unikania takowej.

Nastroiwszy w tym kierunku dostatecznie sędzinę, począł pan Zenon nieznacznie i zdaleka zachodzić do lasu. Mówił o projektach rozmaitych, niedojrzałych, przejrzałych lub chybionych.

— Ach! — odezwał się podczas objadu — nieby mnie tak nie uradowało, jak, gdybym mógł upokorzyć marszałkową!...

— Cóż, marszałkowa! — zagabnęła sędzina, obcierając serwetą usta.

Wiedzieć należy, że marszałkowa, dla wielu a wielu powodów, była dla sędziny, — jak powiadają — kością w gardle.

— Bawi się architekturą... — ciągnął pan Zenon — Pobudowała, jak państwo wiecie, oranżerję i altanę, którą nazywa pagodą, a teraz bierze się do architektury kościelnej.

— Buduje kościół?

— Coś nakształt tego.

— W ogrodzie?... Cha, cha, cha!...

Zawtórował sędzia głośnym śmiechem; uśmiechnęła się panna Karolina; ale najgłośniej ze wszystkich roześmiał się pan Zenon.

— Jaka sędzina dobrodziejka kostyczna!... Nie przebaczyłaby pani tego marszałkowa, gdyby o tem wiedziała — powiedział, przybierając minę żartobliwej przymówki.

— Pan jej o tem powiesz... — rzekła sędzina.

— Nie.

— Jakże więc ją upokorzysz?

— A!... jest to życzenie, do którego wdychać mi tylko wolno...

I zrobił pan Zenon minę drwiąco-pobożnego zwątpienia, wspartego głębokiem westchnieniem.

— Ależ, nie rozpaczaj pan, panie Zenonie — podchwyciła sędzina — może znajdzie się jaki środek urzeczywistnienia pańskiego życzenia...

— Środek!... środek!... — rzekł pan Zenon powtarzając westchnienie. — Jedyńm środkiem byłoby, gdyby gdzie w okolicy budował kto pałac, dom, kościół, cerkiew....

— O! — przerwała sędzina — taki środek mógłby się znaleźć w Zahornikach...

— Co pani mówi! — zawołał pan Zenon, udając uniesienie, i spojrział przelotnie na pannę Karolinę, przypatrującą się i przysłuchującą smutnie komedji, w której jej matka grała rolę wystrychniętej na dudka.

— Jeżeli tylko o to panu chodzi...

— Bardzo chodzi, pani sędzino dobrodziejko!... Nie może sobie pani wyobrazić, jak mi o to chodzi!... A cóż to za rodzaj budynku będzie się stawiał?... pałac?...

— Pan nie może obejść się bez uszczypnięcia...

— Nie!... przepraszam!... ależ-bo ja jeszcze o niczem nie wiem, a pałam niecierpliwością....

— Cerkiew...

— Nie może być!... — wykrzyknął pan Zenon — a to dobrze!... a to doskonale!... wybornie!... wysmienicie!... — i zacierał ręce. — Pozwólże mi pani być budowniczym;... albo przynajmniej, być doradcą budowniczego... Postawimy *chef-d'oeuvre*... Będę dojeżdżał co tydzień, dwa razy na tydzień, i będę doglądał.. Upokorzemy marszałkową... Pożółknie z z zdrości... Cóż pani na to?... pozwoli mi pani dojeżdżać i wspierać budowlę dobrą radą?...

— Najchętniej!... z największą przyjemnością...

— O!... dziękuję pani!...

I pocałował pan Zenon sędzinę w rękę.

— Przeczuwałem, że dziś spotka mnie w Zahornikach przyjemność wielka... We Środę będę państwu służył, dla dowiedzenia się o bliższych szczegółach...

Tak tedy los cerkwi został zdecydowanym.

Przed odjazdem znalazła się chwilka czasu, w której pan Zenon był znów sam na sam z panną Karoliną.

— Jakże się pani podobał mój plan?... — zapytał.

— Jak dzieło doskonale wykończonej sztuki.

— Pani doświadczyłaś wielkiej przykrości?...

— Wielkiej, panie Zenonie!... przykrości upokorzenia, którym, gdybym się podzieliła z marszałkową, to obie miałybyśmy dosyć... Ale, panie Zenonie... przynajmniej... litości!... — i przyłożyła paluszek do ust swoich, na znak milczenia.

— Niech pani będzie spokojną... zrobię z tego tylko dobry i taki, jakiego pani sobie życzysz, użytek... Mnie nie zawsze złośliwość bawi... do pewnego tylko stopnia...

Po odjeździe pana Zenona, Josyp i Andrij, znów byli we dworze, przywołani rozkazem sędziny, i dostali pozwolenie rąbania drzewa na cerkiew, pod warunkiem nie niszczenia lasu. Czterej inni ich towarzysze nie przyszli, dlatego, że otrzymawszy zrana odpowiedź odmowną, udali się do karczmy i tam w trunku utopili frasunek, szukając pociechy w tym powszechnym chłopskim pocieszycielu w utrapieniu — pocieszycielu, do którego, wynajdując mu rozliczne utrapienia, pchają lud gwałtem takie sędziny i tacy sędziowie i inni im podobni, i narzekają i uskarżają się potem — na pijaństwo chłopskie.

Ależ — co to za radość zawitała pod strzechy włościańskie, gdy gruchnęła po wsi wieść, że będzie drzewo na cerkiew!... radość tem większa, że nastąpiła po smutku, który ogarnął był mieszkańców Zahornik, gdy dowiedzieli się o porannej odmowie.

Z jaką to ochotą pierwsi cieśle — ze siekierami za pasem, wozami, z których pozdejmowano drabiny, pozostawiając gołe osie — ruszyli do lasu. Nie potrzeba było ich wybierać, prosić i gonić; — sami się prosili. — Aż Josyp, wespół ze starszyzną, powstrzymywać i wyznaczać kolej musieli.

Zwożenie drzewa rozpoczęło się w jesieni, i odbywając się powoli, dla tego, że przy tem była młocka i inne robocizny, trwało przez całą zimę. Na wiosnę przystąpiono do ciesielki.

Trudno zgadnąć, jakby ta cerkiew w całości była stanęła, gdyby sam Andrij robotę prowadził, bez porady pana Zenona, który dotrzymał słowa, dojeżdżał nie dwa razy na tydzień, ani nawet co tydzień, ale przyjechawszy od czasu do czasu, podpowiadał Andrijowi to to, to owo. A to ineresowanie się pana Zenona, pobudziło do interesowania się cerkwią całą rodzinę państwa Gajewskich. Zaglądał do niej sędzia i sędzina, i panna Karolina i pan Wicenty. Szczególnie ten ostatni, — jakoś tak, około żniw, kiedy już pierwsze słupy były wzniesionemi i belki pozaciąganiem, z pilnością wielką odwiedzał budowlę, wlaził nawet po drabinie na wierzch zrębu, przypatrywał się budowaniu i oglądał po okolicy. Dziwiła wszystkich taka pilność niezwykła pana Wicentego, chłopci mówili pomiędzy sobą:

— Pan Wisus kieruje się na człowieka... Wdał się w ojca.. Będzie takim jakim był stary pan za młodu, póki go to lichu nie opętało....

Nie wypowiedali oni całej myśli; ale to już taki u nich zwyczaj. Nieraz, aby ich zrozumieć, trzeba posiadać dar odgadywania, i ten w ich mniemaniu jest człowiekiem rozumnym który mało mówi, ale wiele umie:

*— Za horoju dudka hraje,
Kozak mowczyt, a vse znaje.*

Andrij i Sydor — jak samo przez się rozumie się — znajdowali się przy robocie nieodstępnie. Ich polem i dobytkiem zajmowała się gromada, ich pańszczyznę gromada rozebrała po-

między siebie. Oni pierwsi przychodzili i ostatni odchodzili, Sydor zaś opuszczał cerkiew zawsze później jak ojciec.

Przyczyną takiego wyczekiwania do samego ostatka i pozostawiania do późna, nie koniecznie była pilność, chociaż szło to na karb pilności. Cerkiew nowa budowała się zaraz za starą, z tyłu na tym placu, który jedną stroną przytykał do ogrodu Jakóba, odgrodzonego tym samym płotem, przez który widzieliśmy przeskakującego Sydora, w wigilję wyjścia z ojcem na architektoniczną wędrownkę. Krótko a bez ogródki powiedziałszy — żeby nie nudzić czytelnika: ten płot, niemal co wieczór, był niemym świadkiem westchnień i tysiącrotnie powtarzanego wyznania, szczerego, serdecznego, dozgonnego kochania, jakie sobie robili: Sydor i Handzia.

A nie był to płot zupełnie taki, jakim był dawniej: nie można już było przełazić przezeń. Kiedyś, na trzy czy cztery miesiące przed powrotem Andrija, chodząc po ogrodzie, tak sobie Jakób medytował:

Tam, mospaneńku, będą stawiali cerkiew, a tu mój sad... Tam zejda się cieśle; ale to jeszcze nic... Będą im baby i dzieci przynosiły objady i połuđenki, i nad wieczorem będą schodziły się po wiory i trzaski... Jeżeli mój płot pozostanie takim, jakim jest, to nie tylko że mi poobjadają wiśnie, czereśnie, jabłka, gruszki, śliwki, ale pooblamują gałęzie, popsują drzewa... Od tej halastry nie ustrzeżesz się, mospaneńku;... to straszniejsze jak szarańcza... Ho!... trzeba to zawczasu zaradzić temu...

I wkrótce potem przywiózł chróstu i kołów, poprawił, wzmocnił i podwyższył płot, i najeżył go na wierzchu gęsto ubitą i wysoko ułożoną kołącą tarniną.

Tak więc płot ten był świadkiem i rozjemcą romansu naszych kochanków. Można było przy nim rozmawiać, ile się chciało, wdychać... ach!... milionami westchnień przeganiać było można przez szpary, lecz na rozmowie i wdychaniu kończyło się wszystko. A że (jak o tem wiem trochę z własnego doświadczenia) w miłości narozmawiać się dość, ani wywdychać się nie sposób, więc Sydorowi i Handzi starczyło na każdy wieczór, w którym jeno ważna jakowaś przyczyna nie przeszkodziła jednemu lub drugiemu postać przez godzinkę pod płotem. Powtórzyć choć jedną z ich rozmów — a!... nie podjąłbym się za

żadne grzechy.... Wierz mi jednakże, czytelniku, na słowo, bez świadectwa ich rozmowy, że kochali się tak, jak tylko można wyobrazić sobie najmocniej: jak tacy, którzy żadnego w życiu nie czytali romansu, jak tacy, dla których miłość była nowalją, jak turkawki, gołębie, synogarlicy, jak motyle, które niesłusznie mają opinię lekkomyślności, gdyż motyle zwykle raz się w życiu kochają, wprawdzie krótko, ale z miłości umierają.

Kochali się tedy, i ich miłość co dzień wzrastała, w stosunku geometrycznej progressji: co dzień stawała się dwa razy większą i silniejszą, i pod jej wpływem Handzia coraz piękniała. Nabrała jakiejś powagi, zadumanie osiadło na jej czole. Nie była to już owa pusta dziewczyna, która, jeżeli marzyła, to przelotnie, albo tak, że nikt tego nie widział; która uśmiechała się do każdego, i ulegając tej wrodzonej kobietom zalotności, śpiewała od niechcenia:

— *Czerez peń kołodka :*
W mene buzia sołodka.
Jak się chłopcy dowiedzą,
To mnie buzię objedzą.

Już ona nie szafowała uśmiechami. Stała się w tym względzie skąpą dla wszystkich, wyjąwszy dla Sydora, który był dla niej owym widywanym w świecie rojeń królewiczem, ale podniesionym do takiej potęgi doskonałości ludzkiej, iż nie zamieniłaby go na żadnego królewicza rzeczywistego.

Na Sydorze zaś miłość odmienny nieco wywarła skutek. Zhardział on, ale przytem zrobił się wesołym i nadzwyczajnie w robocie pilnym. Żaden cieśla nie pracował jak on. A powodem tej pracowitości było to, że Jakób często gęsto zaglądał do robotników, przesiadywał przy nich po parę godzin i przypatrywał się, jak który robi. Było to więc zasługiwanie się — *captatio benevolentiae* ojca kochanki, przed którym ani Sydor, ani Handzia, nie śmieli wyznać kochania, raz dlatego, że miłość w ogólności kocha się w tajemnicach, powtóre dlatego, że bali się, aby na samym początku nie narazić jej na prześladowanie, nie wiedząc jakby Jakób ją przyjął.

Na zasługiwaniu się Sydora cerkiew — rozumie się — nic a nic nie traciła. Pracowitość jego służyła jako przykład.

Budynek rósł jak na drożdżach. Codziennie znać było postęp — co dzień coś przybywało. Zahorniczanie krzatali się jak mrówki — znosili, zwozili materiały, obrabiali je, stawiali, wznosili, i w półtora niespełna roku po rozpoczęciu, dom Boży stał już prawie skończony, nowiutki, gładki, tylko jeszcze niepomalowany wewnątrz i niepobity blachą na trzech wieżach.

Josyp, patrząc na cerkiew, nie mógł utaić w sobie radości, jakiej doświadczał, a która przemawiała nie słowami, ale całą jego postacią.

— No, teraz-by tylko pomalować i pobić... — powiedział do Andrija.

— O pobicie turbować się niema co — odpowiedział tenże — pobić potrafię i krzyże zaciągnę;... ale pomalować!...

— A tenże dziad!...

— A lichy jego wie, co się z nim stało!... Ot, może i nie przyjdzie...

— A jak przyjdzie, to co!... — podchwycił ktoś trzeci, stojący za nimi, którego nie widzieli zajęci przypatrywaniem się budowli Josyp i Andrij.

— Na!... — zawołał Andrij obejrawszy się. — O wilku mowa, a wilk w chlewie... Ot i malarz!... A jak tyś się tu wziął, dziadu?...

— Jak się wziął?... o!... deszczu nie było, żebym z nim spadł, jak żaba... Przyszedłem własnymi nogami... Cóż!... wszystko już dla mnie gotowe?...

— Wszystko! — odpowiedzieli jednym głosem Andrij i Josyp; i wprowadzili dziada do wnętrza.

Dziad wszedł, obejrzał, rozmiarkował i od razu wziął się do roboty.

— Ta chodź, — dziadu, ze mną, odpocznij sobie po podróży! — mówił do niego Josyp.

Dziad kiwnął ręką, i położył w kącie torbę:

— Po jakiej podróży!... Niby to ja kiedy nie w podróży!... Odpocznę, jak przyjdzie na mnie godzina.

I mówiąc to, wyjmował z torby jakieś proszki, grudki niby gliny, suche zioła, i zażądał oleju i pomocnika, aby, jak powiedział prędzej skończyć.

Na pomocnika stawił się Sydor dobrowolnie.

Gdyby rzecz ściśle zbadać, to ta dobrowolność była jak

owa ochota, o której chłopci powiadają, że jest gorszą od niewoli; lecz ponieważ bohater nasz był jeńcem kupidyń, przeto niewola niezbyt mu ciążyła.

Zabrał się więc dziad do malowania.

W pierwszych kilku dniach rozcierał lub tłukł w moździerzu rozmaite ingredjencje, ścierał na proszek lub wygotowywał zioła, mięszał jedno z drugim, dzielił, przegotowywał z olejem, zaprawiał jakiemis spirytusami, które kazał sobie z miasteczka sprowadzać, znosił czerepki i rozkładał w nie przegotowane i przyprawione farby, wiązał penzle, do których przyniósł z sobą borsuczej sierści — słowem — przysposobił się i jał się malować.

Szło mu to — jak powiadają — niby z płatka. Wnętrze cerkwi pokrywało się kolorami i postaciami świętych Pańskich, lub aniołami unoszącemi się w obłokach. Dziad, przechodząc z rusztowania na rusztowanie, podnosząc się pod same stropy lub spuszczać się do samej ziemi, malował i malował, od rana do wieczora, a wieczorem siadał przed cerkwią, szeptał coś pod nosem — może modlitwy — i posiedziawszy tak ze dwie godziny, kładł się spać na gołej podłodze, podłożywszy sobie torbę pod głowę. Nie wdawał się on w rozmowy, a na zapytania odpowiadał zwykle monosylabami, albo wcale nie odpowiadał. Był to człowiek dziwny. Nie dbał o nic, nie pytał się o nic, na nic nie odpowiadał, a zdawało się, że wiedział o wszystkim, jak ten co słyszy, kiedy trawa rośnie. A spieszył się z robotą, jakby kto stał nad nim i napędzał. To też skończył prędko. Zanim Andrij uporał się z wieżami, malowanie było już gotowe.

Podezas malowania i pobijania cerkwi blachą nie zaszło nic takiego, coby godnem było kronikarsko-powieściowego wspomnienia. Wszystko szło swoim trybem, przy robocie, we wsi, we dworze dziedzica, w dworku Jakóba, przy płocie, wszędzie; — chyba to jedno tylko dałoby się do nadzwyczajnych zaliczyć wypadków, że pan, Wincenty dziwnie rozmiłował się w przechadzkach mimo cerkwi, powtarzanych zwykle dwa lub trzy razy w ciągu dnia i dwa lub trzy razy wieczorem, wyjąwszy, jeżeli niepogoda zmuszała go siedzieć w domu. Ale i to nie mniej było dziwnem, że siedział w domu, on, bez którego żadeu jarmark w okolicy, żadne gromadne polowanie obejść się nie mogło.

— Co się tobie stało, Wicusiu — pytała go panna Karolinn — żeś się tak w domu zasiedział?

— Ot!.. powiem ci szczerze Karolko, znudziło mnie już to włóczenie się po jarmarkach i polowaniach.

— A!.. — mówiła panna Karolina, uśmiechając się dobrotliwie — toś się przecie przekonał, mój Wicusiu, że i towarzystwo domowników nie jest do pogardzenia.

— Przekona...łem się — odpowiadał pan Wincenty, otwierając gębę i ziewając potężnie na literze *a* — A nie masz tam jakiej książki do czytania?..

— Mam, ale nie dam tobie...

— Dlaczego?..

— Bo zaśniesz czytając... Lepiej będę ci czytała głośno...

— Toć ja zaśnę i przy czytaniu twojem...

— Przynajmniej, przebudziwszy się, nie powydzierasz kartek z książki.

— No, to czytaj..

I zasiadało rodzeństwo do lektury, albo raczej: zasiadała panna Karolina, a pan Wincenty zalegał i dotrzymywał słowa — zasypiał, rozkołysany brzmieniem wyrazów. Dziwiło te lektorke.

— Dawniej uważniej słuchałeś.. więcej cię interesowało czytanie.

Pan Wincenty nic na to nie odpowiadał.

— Co to za uczciwy staruszek, ten Jakób! — rzekł raz ni z tego, ni z owego.

— Bardzo uczciwy — odparła panna Karolina.

— I pracowity.

— Pracowity.

— I ładnie mieszka.

— O, bardzo ładnie.

— A wiesz, Karolko, co mi na myśl przyszło?

— Co?

— Oto, że nie spadłaby nam korona z głowy, gdybyśmy kiedy zaszli do niego... Uradowałby się stary.

— Jeżeli chcesz, to nic niema łatwiejszego... Moglibyśmy poczekać na pana Zenona, który zamówił się na wizytę u Jakóba... Poszlibyśmy razem.

— Eh!.. daj mi pokój z tym panem Zenonem!.. — rzekł pan Wincenty niecierpliwie.

— Nic nam nie przeszkadza iść samym — odrzekła panna Karolina, rumieniając się lekko.

— Mówił mi arendarz, że to stary dziwak i kapryśnik..

— Dla czegoż u arendarza zasięgałeś o Jakóbie informacji?.. — zapytała panna Karolina niechęcący.

— Zgadało się.

Rozmowa powyższa pomiędzy bratem i siostrą toczyła się pewnego wieczora, w tej samej porze, kiedy malarz mówił do Sydora.

— Sława Bogu!.. skończyliśmy... Idź zdrów; a w nagrodę za pilność twoją, dam ci radę: jeżeli znajdziesz skarb, a dowiedzą się o nim inni ludzie, to pamiętaj sobie, nie dadzą ci używać go spokojnie... Uciekajże z nim i nie oglądaj się, bo inaczej będzie źle.

Sydor nie zrozumiał tego. Myślał, że dziad bredzi.. Chciał się go rozpytać na drugi dzień, bo wieczorem czasu nie miał, ale na drugi dzień, przed świtem, już dziada nie było.

VIII.

Nic przeto dziwnego — jak o tem czytelnicy z pierwszego rozdziału niniejszej powieści wiedzą — że chłopci zahorniccy chwalili się cerkwią i byli tego przekonania, że nie masz nad nią w świecie piękniejszej. Przypatrywali się jej i dziwowali. Gdyby wiedzieli oni o owych siedmiu cudach starożytnego świata, to nie ma najmniejszej wątpliwości, iż policzyliby ją, jako ósmy, dodatkowy cud: chociaż zachodzi pytanie, czy nie zrobiliby pomiędzy cudami jakiego wakansu i nie wsunęli na to miejsce swojej cerkwi. W początkach szczególnie, kiedy jeszcze była ona „nowem sitkiem“, duma ich i chwalba nie miała granic, i tak rozwieliżmożniły się na ich obliczach, że gdybyś tylko wiedział o szczegółach ważnego tego w Zahornikach faktu, a nie widział żadnego w życiu Zahorniczana, to mógłbyś rozpoznać każdego po minie, w największym tłumie, na jarmarkach lub

prażnikach. A zagadawszy z którym z nich o czemkolwiek, to można było założyć się, że nakręci rozmowę na cerkiew, i nada jej taki obrót:

— Gdyby nie ja, to do niczego by nie przyszło.

To nieszczęśliwe *ja*, skutkiem jakiejś ogólnej ludzkościowej choroby, zawsze wyłazi na wierzch. Dlaczego?... jest to kwestja psychologiczna, której nie wypada rozwiązywać w powieści, ale nad którą warto zastanowić się *extra* powieści. To jednakże *ja*, wystąpiwszy po zbudowaniu cerkwi, po poświęceniu jej, po przeniesieniu do niej obrazów i porządków cerkiewnych ze starej, po rozebraniu tej ostatniej i po oczyszczeniu, wyporządkowaniu i ogrodzeniu cmentarza cerkiewnego, sprawiło silne do wspólnego dzieła przywiązanie w każdym mieszkańcu Zahornik i przyczyniło się do powszechnej radości, z jaką obchodzili oni pierwsze święta w nowej cerkwi. Świętami temi były: Boże Narodzenie i Nowy Rok, ten sam Nowy Rok, w wigilję którego rozpoczęła się powieść nasza, i rozpoczynawszy się, pobiegła w tył, zbierając zdarzenia, które przelamały się wigilją Nowego Roku. Powróćmy więc do początku.

Wesoło kończył się w Zahornikach ostatni dzień starego 18... roku. Mróz, jak wiecie, był potężny, trzaskący. Niebo świeciło się jasno gwiazdami i księżycem, a ziemia iskrzyła się kryształkami śniegu, które migotały promykami wszędzie, gdzie jeno dłuższy cień budynku jakiego lub drzewa, nie przeszkadzał światłom niebieskim opromieniać śniegowych kryształów. Wszystko marzło, ścinało się. Zaledwie człowiek pokazał nos na dwór — już na nosie siedział gil, uszy amarantowiwały, a do wąsów przyrastały sople, które rosły, przedłużały się, a pokrywając się śnieżystym meszkiem, przyprawiały wszystkim, starym i młodym mężczyznom długie, białe wąsy. Mróz ten jednakże i zimno nie przeszkadzały Zahorniczanom weselić się. Jakże bo nie weselić się, kiedy Nowy Rok w tym swoim przymiotniku nowy, tyle tajemniczego mieści uroku!... W każdej rodzinie zajaśniały lica radością, gdy zaszło słońce starego roku. Dopełnił się i zamknął jeden dział czasu; rozpoczął się świeży — wszelka świeżość tak jest ludziom miłą!...

Na ulicach zahornickich panowały cichość i spokój. Rzekłbyś że wszystko spi, chociaż do północy było jeszcze ze trzy godziny, gdyby światelka, bijące niewyraźnie przez zamurwane

mrozem szyby, nie świadczyły, że ludzie czuwają jeszcze po chałupach, a czuwają dlatego, że wigilja Nowego Roku jest wieczorem złodziei, próbujących szczęścia na cały rok. W Zahornikach nie było złodziei, lecz byli po za Zahornikami. Nieraz przepadała chudoba. Nie można więc było ręczyć, że ktoś obcy nie przyjdzie i nie zapróbuje noworocznego szczęścia; nie można było zaręczyć, że ktoś ze swoich, na zbytki, na żart, nie wywlecze sprzętu jakiego z izby lub spichlerza. Ostrożność nie zawadzi. „Strzeżonego — jak mówią — Pan Bóg strzeże.“

Czuwano więc po chałupach, i od czasu do czasu otwierały się drzwi tu i owdzie, wychodził gospodarz, zajrzał na oborę, do chlewów i powracał. Od czasu także do czasu, przezorniejsi gospodarze, wywoławszy się z chat, we dwóch lub we trzech przeciągali przez ulice wiejskie, rozpatrywali się w cieniach, które w nocy nie wiedzieć z kąd biorą się, i wracali.

Właśnie w tej chwili, którą miałem w myśli, kiedy po raz pierwszy maczałem pióro w atrament, dla napisania pierwszego wyrazu powieści, dwóch ludzi szło ulicą, pochowawszy ręce w rękawy i ponasuwawszy czapki na oczy. Szli oni powoli, podnosząc niekiedy głowy i rzucając oczami na prawo, lub na lewo. Nie mówili nic do siebie. Buty im skrzypiały. Szli jeden obok drugiego, a minawszy dworek proboszcza i zawróciwszy się na prawo, gdy już mijali cerkiew, jeden z nich zatrzymał się raptem, jakby coś niespodzianego zobaczył, a postawszy przez chwilę, rzekł do drugiego zniżonym głosem:

— Czy widzisz?

— Co? — zapytał tamten.

— Patrz na cerkiew.

— No i cóż!... nie widzę nic.

— Na drzwi.

— Na drzwi? — rzekł drugi zdziwiony.

— Odemknięte.

Chłopi podstąpili kroków parę ku drzwiom i poczęli wpatrywać się, nie śmiejąc zbliżyć się.

— A prawda, odemknięte!... — rzekł drugi. — Cóż to się znaczy?

— Albo ja wiem!...

— Chybaż tam kto szczęścia próbuje...

— Ale gdzież-tam!... w cerkwi?...

— U złodziei niema nic świętego.

I wymówiwszy to, odstąpili o kroków kilka, — jeden i drugi przeżegnał się wielkim krzyżem, — puścili się spiesznie w głąb wsi, — uszedłszy nieco, zatrzymali się, i ten co pierwszy spostrzegł ten wypadek, zapytał:

— Cóż zrobimy?

— Trzeba zebrać ludzi i pójść.

— Ale trzeba zrobić to po cichu. bez hałasu; może psia-wiarę złapiemy na gorącym uczynku.

I ruszyli dalej, a dobiegłszy do pierwszej chaty, wywołali gospodarza i z nim udali się do następnej, i tak, zachodząc od chaty do chaty, rośli w liczbę, ale tracili czas, bo wszędzie, zanim opowiedzieli o co rzecz chodzi, zanim gospodarz zebrał się, upływało po kilka minut, jeżeli nie więcej. Znalazłszy się w ośmiu, jeden z nich powiedział:

— To już nas dosyć... chodźmy!...

— Chodźmy... — odezwali się inni.

I ruszyli prosto do cerkwi. Zbliżając się, zwalniali kroku i stąpali tak, aby zgłuszyć skrzypienie butów na śniegu. Gdy przyszli na taką odległość, że można już było rozpoznać drzwi, zatrzymali się i wpatrzyli.

— Odemknięte... — rzekł jeden pocichu.

— Zdaje się, że odemknięte... — rzekł drugi.

— Chodźmy razem.

— Ale cóż my bez światła wewnątrz poczniemy?... — zauważył któryś.

— Prawda i to — odparł inny — ale wiecie co: niech jeden idzie po światło, do dobrodzieja... to najbliżej i przytem u niego jest latarnia... To go można będzie uwiadomić o tem co zaszło... A my podzielmy się: połowa stanie przy głównych drzwiach, a połowa zajdzie po za cerkiew i zatrzyma się przy tylnych... Będziemy pilnować wychodów, póki ze światłem nie przyjdzie...

Natychmiast jeden odłączył się, inni zaś weszli na dziedzi-niec cierkiewny. Czterech pozostało przy głównych drzwiach, które rzeczywiście były otwarte, trzech udało się po za cerkiew. Za ledwie ci ostatni znikli za budynkiem, dał się słyszeć krzyk:

— Łapaj!... trzymaj!...

Na krzyk ten wszyscy z przed głównych drzwi rzucili się po za cerkiew i spotkali się z człowiekiem, który powaliwszy ostatniego z trzech, obces wpadł na czterech. Skoczyli ci czterej i jeden z nich ujął go w pół ciała. Lecz człowiek pochwycił go za kark, ścisnął, otrząsł się i ten jeden leżał już na ziemi, a zanim wstał, z trzech pozostałych, jeden, pchnięty silnie w pierś kułakiem, potoczył się na bok, drugi, uderzony pięścią o pierś, wywrócił się na wznak, trzeci nie uspiął dotknąć się go. Zrywali się powaleni jak mogli najspieszniej, lecz spieszniej działał się uciekającemu. Nie uspiął jeszcze pościg porwać się na nogi, kiedy on był już na ulicy i znikł w cieniu nocnym.

Powstawali wreszcie wszyscy, a ostatni wstający rzekł:

— Sydor.

I jeden po drugim powtórzyli:

— Sydor.

Zebrali się wszyscy w kupę, a jeden zapytał:

— Widzieliście?..

— Ktoby to powiedział? — zapytał drugi.

— Pierwej spodziewałbym się śmierci.. — rzekł trzeci.

Ponasuwali czapki na czoła, pozakładali ręce w rękawy, ścisnęli się w kółko i milczeli.

— Gdyby mi to kto powiedział, tobym przysiągł przed obrazem, że nieprawda... — odezwał się nareszcie jeden po chwili milczenia.

Inni ścisnęli ramionami i stali, nie mówiąc. Każdy z nich myślał i sam sobie nie wierzył, ale własne oczy zdawały się każdemu najlepszem świadectwem, a żaden ani przypuścił, aby własne oczy omylić mogły.

Niezadługo przyszedł wysłany po światło z latarenką, a z nim i ksiądz.

Chłopi opowiedzieli księdzu zdarzenie całe.

— Czy to być może?... — zapytał tenże — czy nie wprowadza was w błąd pozór jaki?..

— Widzieliśmy na własne oczy — odparł jeden.

— Możemy przysiąc... — rzeki drugi.

— Tak, przysięgniemy... — powtórzyli wszyscy.

— Nikt bo nie mógłby tak wydrzeć się nam z rąk... było nas siedmiu na jednego... Któżby tak powywracał nas, jak snopy, jeżeli nie on jeden!..

— Boże !... Boże !... — zawołał ksiądz — a toć to chyba świata skończenie !...

Jakieś mrowie strachu przeszło po obecnych. Spojrzeli na drzwi cerkiewne. Były otwarte. Wnętrze świątyni przedstawiało się jak jakowaś czarna, niezgłębiona bezdnia, cicha, tajemnicza i święta. Pozdejmowali czapki i każdy okrył pierś wielkim krzyżem, pochylając się ku drzwiom pokłonem skruchy. Zdawało się im, że i na nich ciąży zbrodnia świętokradztwa, a to dla tego, że nigdy do duszy żadnego z nich nie zapadła najmniejsza wątpliwość o uczciwości Sydora.

— Trzeba zajrzeć do środka... — odezwał się jeden z chłopów.

— Bez starosty nie wolno... — odparł ksiądz — niech kto skoczy po starostę... Tu trzeba obejrzyć i poświadczyć, a tego nie można zrobić bez urzędnika cerkiewnego.

Wysunął się jeden i poszedł, a inni tymczasem rozmawiali o nadzwyczajności wypadku.

Wkrótce potem przyszedł Josyp. Stary przybiegł drżący i zmieszany. Usta jego trzęsły się jakiemś konwulsyjnym drganiem, głos drżał :

— Co to się stało, dla Boga !... — zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. On szedł prosto ku drzwiom. Pogarnęli się za nim wszyscy. Przy drzwiach zatrzymali się, opatrzeli. Pakowało się, że zamek był złamany. Weszli do środka i u samego wejścia spotkali leżącą na ziemi rozbitą karbonkę. Zresztą wszystko inne w cerkwi zdawało się być nie-
tkniętem. W zakrystji pokazał się brak kadzielnicy i kilku drobniejszych sprzętów. Świętokradztwo było wyraźnem.

Gdy opatrzenie skończyło się, wyszli wszyscy z cerkwi i stanęli przed nią w kółko :

— Co on robił za cerkwią ?... — zapytał ksiądz.

— A cóż, dobrodzieju — odparł jeden z tych trzech, którzy wartować mieli przy tylnych drzwiach — spotkaliśmy go, zanim doszliśmy do drzwi, chcieliśmy go zatrzymać, nie wiedząc jeszcze dobrze kto to taki, ale on natychmiast rzucił się na nas, jakby wściekły i pobiegł.

— Możecie dobrze nie rozpoznać po nocy ?...

— Możecie nie rozpoznać ? — dodał Josyp.

— Bo to widzicie — ciągnął ksiądz — strasznym grzechem

obarczycie duszę, jeżeli taką zbrodnię zwalicie na człowieka niewinnego.

— Widzieliśmy, tak jak oto was widzimy teraz — odpowiedział jeden — jesteście trzeźwi i przy zdrowych zmysłach, a księżyc świeci tak jasno, że niepodobna nam było nie rozpoznać twarzy.

— Mówił-że on co?

— Nie, ani słowa.

— Cóż on robił za cerkwią?... czemu, popełniwszy kradzież, nie poszedł wprost na ulicę?... Chodźmy za cerkiew, przypatrzymy się świeżym śladom, może znajdziemy jakie znaki, które wprowadzą nas na nowe jakie odkrycie.

Udali się tedy za cerkiew. Na gładkiej powierzchni śniegu który na parę pędzi grubości pokrywał dziedziniec cerkiewny, postrzegli natychmiast ślad świeży i wyraźny, który zaprowadził ich do płotu Jakóbowego. Tam znaleźli ubitą ścieżeczkę, która szła wzdłuż płotu. Ścieżeczka była tak ubita, jakby ktoś długo i często chodził po niej. Kończyła się ona przy zagrodzie kościelnej, a za ogrodzeniem już jej nie było, ani na ogrodzeniu nie znać było żeby ktoś przełaził lub opierał się. Chrus zagrody okrywał nietknięty szron. Na dwu końcach ścieżki dopatrzyli, jak ten, co po niej chodził, zawracał się ciągle, bo liczne ślady stopy ludzkiej, ozutej w duże buty, szły w przeciwnych sobie kierunkach. Poszukiwania na dziedzińcu nie przyprowadziły do żadnego odkrycia, a wyrodziły tylko liczne domysły, których nikt niczem usprawiedliwić nie mógł. Pytanie: co on robił za cerkwią — pozostało nierozwiązane. Domysły rozjątrzyły oburzenie w poszukujących, naprowadziły bowiem na przypuszczenia, dopuszczające możliwość popełnienia świętokradztwa przez Sydora.

— On od pewnego czasu był niby nie swój — zauważył jeden — nie tak patrzył na ludzi, nie tak gadał, jak dawniej.

— To prawda.. dorzucił inny.

— Snadź opętała go siła nieczysta — rzekł trzeci — a to trafia się ludziom, co zbyt wiele myślą o sobie.

— To prawda... — potwierdziło kilku.

— Ktoby się był tego spodziewał.. — zawołał Josyp, przykładając dłoń do czoła — Ja tego chłopca jak własne kochałem dziecko... Ale może to jeszcze nieprawda.. może to być

jaki obcy, podobny do niego... To noc., hej!... a nieczysta siła umie na ludzi obłąd naprowadzić... Czyż nie tak, dobrodzieju?...

— Zdarza się to — odparł ksiądz — nie trzeba rzeczy brać lekko; trzeba się dobrze przekonać.

— Chodźmyż do chaty Andrija — rzekł Josyp — tam się zdaleka rozpytamy Sydora.

— O!... jego już pewno w Zahornikach nie ma! — przerwał mu któryś z chłopów. — On chodził po świecie... wie jak się obrócić;... to jużby go żadna nie doścignęła pogoń...

— Może nie ma, a może i jest — odparł Josyp — jeżeli nie ma, to będziemy mieli dowód, obwiniający go, a jeżeli jest to może pokaże się, że on nie winien.

— Chybabyśmy zaparli się tego, cośmy widzieli... — odezwał się tenże sam.

— Nie o to bo chodzi — powiedział ksiądz — trzeba się przekonać, czyście dobrze widzieli...

— Otoż, wiecie co — rzekł Josyp — chodźmy do Andrija wszyscy... Wy zatrzymajcie się przed chatą, a ja z dobrodziejem wejdziemy do środka, i jeżeli nie zastaniemy Sydora, to rozpytamy się o niego: kiedy wyszedł?... co mówił?... a jeżeli zastaniemy, to zajdziemy go tak pytaniem, że będzie musiał się przyznać... Cóż wy na to, dobrodzieju?...

— A cóż!... zgoda — odrzekł ksiądz.

— A wy, panowie gromada?

— A i my nie mamy nic przeciwko temu...

Poszli tedy, zostawiwszy wartowników przy cerkwi. Stary Josyp szedł, jak zwykle, przodem i szedł prędko, jakby mu młode wróciły lata.

— Otoż macie i nowy rok w nowej cerkwi!... — powiedział głośno sam do siebie — to pokaranie Boże, to dopuszczenie jakieś...

Gdy przyszli pod chatę Andrija, zrobili jak umówili się. Jedni pozostali na dworze, Josyp z księdzem weszli. U Andrija zabierano się już do spania. Andrij siedział na ławie, oparty o stół i bębnił po nim palcami. Maryna i Niema krzątały się po izbie, porządkując ostatki starorocznych nieporządków, a Sydor zasunął się w kąt na przypiecku, tak, że nie widać go było w cieniu.

— Cóż u was słyhać?... — zapytał Josyp, po zwykłym powitaniu — jakoś nie wszyscy jesteście w domu?

— Ba wszyscy — odparł Andrij — jeszcze gdyby kogo na Nowy Rok brakowało, toby go brakowało przez rok cały...

— Taż to ono tak; ale nie widzę Sydora... — i rozglądając się stary po izbie.

— A gdzieżby on się podział! — odparł Andrij; lecz zanim odpowiedział, Josyp go spostrzegł:

— A, tyś w domu! — zawołał z źle udaną radością — no! nie mogłem dopatrzeć od razu... zwyczajnie stary... nie służącocy.

Gdy Josyp to mówił, Sydor zsunął się z przypiecka, podszedł ku księdzu i pocałował go w rękę. Twarz jego była zmieniona, blada, niby po chorobie. Gdy puszczał rękę księdza, ten go zagabnął z nienacka:

— Coś ty robił pod cerkwią?

Sydor zmieszał się zbyt widocznie, aby tego dostrzedz nie było można, i odstąpił, nic nie odpowiedziawszy. Josyp, przypatrujący się mu pilnie, podszedł raptem ku niemu i ukazując mu palcem na piersi, zawołał pytającym tonem:

— To pod cerkwią, ty... byłeś?

— Ja... — odrzekł Sydor nieśmiało.

— Więcej nie trzeba... — rzekł Josyp, a podchodząc do drzwi i otwierając je, krzyknął:

— Hej!... ludzie!... chodźcie!...

Poczem obrócił się, stanął na środku izby; broda jego drżała, usta ścięły się milczeniem, brwi nasunęły się na oczy, z których strzelała groźba gniewu; wyprostował się, ujął prawą ręką laskę, którą postawił przed sobą i wyglądał tak jak Jowisz, kiedy go malują z piorunem w rękę.

Chłopi tymczasem jeden za drugim weszli do izby i każdy z nich pozdrowił Andrija, który równie jak Maryna i Niema, stał zdziwiony, nie wiedząc co to wszystko znaczy. Gdy weszli wszyscy, Josyp wyciągnął rękę z gestem rozkazującym, pokazując na Sydora, i sucho a krótko wyrzekł:

— Weźcie go i zwiążcie!...

Jeden z chłopów podjął kozuch, odwiązał pas z siebie i przystąpił do Sydora.

Sydor nie bronił się.

— Co to się stało?... — zapytała Maryna.

— Za co to?... — zawtórzyl jej Andrij.

Josyp nie odpowiedział póty, póki Sydor nie został związanym. Co gdy nastąpiło, zwrócił się do Andrija i Maryny i w te słowa uroczystym przemówił do nich głosem :

— Biedni wy ludzie! pokarał was pan Bóg synem... lepiejby wam było, gdyby wasze jedyne dziecko nie rodziło się, albo umarło, zaraz po przyjściu na świat;.. oplakaliścieby je, pochowali i byłoby *hodi* (dosyć)... A teraz, kiedyście je wyhodowali, kiedy wyrosło i spodziewaliście się pociechy na starość, nie napłaczecie tyle łez oboje, abyście wstyd wasz obmyć, ani wykopiecie takiej głębokiej jamy, abyście żal wasz pochować mogli... Biedni wy! Ten psiawiara — zawołał ukazując drżącą ręką na Sydora i ciskając nań oczami błyskawicy gniewu — okradł... naszą... cerkiew!..

Andrij zbladł jak ściana, wszystka krew ustąpiła mu z policzków i z ust i zaczął drżeć, jakby konwulsje go napadły; Maryna pochyliła się na łóżko i krzyknęła przeraźliwie; a Sydor ściągnął łokciami, że aż pasy zatrzęszczały i rzekł zdziwiony.

— Ja?!... cerkiew?!..

— Już teraz nie przedemną tłumaczyć się masz — odpowiedział Josyp spokojnie. — Weźcie go ludzie i odprowadźcie.

Chłopi poczeli popychać Sydora ku drzwiom. Sydor opierał się, chciał coś mówić, ale obejrzał się, rzucił wzrokiem na ojca i oniemiał. Andrij stał na miejscu błądy, jak trup; chciał postąpić, przemówić, ale nogi jakby przyrosły mu do ziemi, a język nie postuchwał woli. Chłopi wypchnęli Sydora za drzwi i za progiem o uszy jego obity się krzyki: jeden taki, jaki wydaje kobieta, kiedy zmarłe ciało ukochanej istoty wnoszą w trumnie, dla oddania go ziemi na wieczny spoczynek — drugi podobny do ryczenia, ponury, głuchy, wyrażający gwałtowne wydzieranie się z piersi ogromnej, bezmiernej boleści: — pierwszy był jękiem matki, drugi płaczem ojca. Sydor zatrzymał się i szarpnął silnie, chcąc wrócić do chaty, lecz go zatrzymano.

— O Boże! — zawołał — co to się dzieje! za co mnie wleciecie?

— Okradłeś cerkiew — powiedział któryś z chłopów — idź, idź! nie opieraj się!

— Pozwólcie mi wrócić! na jedną minutkę... Josypie!.. tatkę rodzony!.. pozwól mi jedno powiedzieć im słówko!.. jedno

słówko!.. ludzie!.. zabijecie mi ojca i matkę!.. Pozwólcie mi spojrzeć na nich!.. ludzie!.. aj!..

Targał się, wrywał i opierał, ale nie mogąc użyć rąk, musiał uleźć przemocy. Ludzie ogłuchli na jego wołania i próśby. Sydor przysiadł, zwałił się na ziemię — oni go powlekli. A Josyp z księdzem pozostali w chacie. Josyp chciał uspokajać, pocieszać biednych rodziców; lecz on i sam potrzebował pociechy. Zabolalo go serce, i usiadł i przypatrywał się tylko, nie mogąc słowa przemówić. Ksiądz chciał mówić, lecz i jemu słów zabrakło — i on mógł tylko płakać razem. Jęk nappełnił Andrijową chałupę. Jak bo tu było pocieszać?.. Trzeba było wyperswadować rodzicom, że ich dziecko jedyne nie jest godnem ich miłości: — trzeba było zabić w nich rodzicielskie uczucie — a tego w jednej chwili dokazać nie można. Zrozumiał to ksiądz i rzekł do Josypa:

— My tu nie poradzimy nic... Nasza obecność przyczyni im tylko boleści... Ich uleczy może czas i Bóg.

— Ich żal zabije... — odrzekł Josyp smutnie. — Oni kochali tego syna... Przyprawdźcie im, dobrodziej, Boga na pamięć.

— Ludzie dobrzy — przemówił ksiądz — nie zapominajcie, że złe jak dobre Pan Bóg zsyla... Ofiarujcie Bogu waszą boleść i uspokójcie się.

Ani Andrij, ani Marynancie nie odpowiedzieli. Maryny jęk zamienił się na suche łkanie, a Andrij gniótł pierś rękami, która, zdawało się mu, pęknie. Postąpił on kilka kroków po izbie i oparł się o krawędź łóżka, i w tej pozycji pozostał, wodząc powoli głową od jednego ku drugiemu ramieniowi, jakby nie mógł już utrzymać jej prosto. Niema w kąciku cicho i rzewnie płakała.

— Chodźmy ztąd — rzekł w końcu Josyp, ciężko westchnąwszy — strasznież ich Pan Bóg dotknął.

Wyszli, pozamykawszy starannie drzwi za sobą. Po ich odejściu, Maryna powstała, popatrzyła się po izbie, jakby czego szukała oczyma, krzyknęła, załamała ręce, i chwytając męża za switę na piersiach, zawołała:

— Andriju mój, Andriju! gdzież nasz Sydor?

Andrij patrzył się obłąkanym wzrokiem i nie nie odpowiadał. Nie był on już blady, ale twarz jego oblekła się wyra-

zem, którego nie można było nazwać rozpaczą, boleścią, żalem ani smutkiem, ale wszystkim razem. W końcu chwiejąca się jego głowa spadła mu na piersi, z których wydobyło się westchnienie podobne do stęknienia. Kaganek zgasł, izbę zaala ciemność i w tej ciemności rolegały się przez noc całą urywane łkania Maryny i stękliwe westchnienia Andrija.

Poranek, który po długiej zimowej zaświatał nocy, jasny poranek, łączący złoty blask słońca z białym blaskiem ziemi, a tak cichy, że wszystkie dymy z kominów, niby kolumny obłokowe, szły prosto, wysoko do góry, rozchylając się w górze na boki nakształt puchowych kit lub bukietów palmowych, poranek noworoczny — wesele, pociecha wszystkich, którzy go oglądają — nie rozweselił, nie pocieszył biednych rodziców. Zastał on Andrija na łóżku, leżącego na wznak. Suche jego oczy wlepione były w sufit i patrzyły tak nieruchomie, jak porcelanowe — usta jego były w pół otwarte, spiekły się i popekały przez jedną noc. A przez tę jedną noc Maryna, zdawało się zestarzała się o lat kilkanaście — tak pomarszczyła się jej skóra na policzkach, na czole, koło ocz i koło ust. Wstała ona przed świtem, zagłuszyła w sobie łkania, myśląc, że Andrij usnął, a nie chcąc go rozbudzać głosem boleści — nie rozpałała ognia, nie świeciła kaganka, oczekując dnia. Dzień przyszedł. Maryna zbliżyła się do Andrija, popatrzyła na niego, wzięła go za rękę :

— Andriju!.. — rzekła.

Andrij ruszył się lekko, zmrużył oczami, ścisnął usta, jakby coś połykał, potem otworzył oczy i usta i nie nie odpowiedział.

Niema rozpałała ogień; Maryna, postawszy przez chwilę przed leżącym w jednej i tej samej pozycji Andrijem, ozuła się, odziała i wyszła. Przed samym prawie progiem swojej chałupy spotkała się z Semenem.

— Wynieś mi, Maryno, czapkę i rękawicy twego syna... — powiedział do niej Semen, powitawszy ją w imię Boga.

— Powiedzcież mi, Semen, hołubczyku, co to stało się! — zawołała biedna, tłumiąc w piersi jęk — mnie się jeszcze zdaje, że to był straszny sen..

Semen wahał się.

— Wynieś czapkę i rękawicy.

— Rozpowiedźcież mi... niech ja wiem.

— Muje żal ciebie... — rzekł.

— Och! nie żałujcie! ja taka wiuna, jak Sydor... ja jego matka... Czyż myślicie że ludzie, przeklinając jego, nie będą i mnie przeklinali? Rozpowiedźcie mi wszystko.

Semen opowiedział wypadek cały. Maryna wysłuchała uważnie i z pozorem zupełnej spokojności, jakby rzecz nie o jej ukochane dziecko chodziła.

— Na cóż wam jego czapka i rękawicy?.. — zapytała, gdy Semen skończył.

— Bo go odwiozą do sądu... — odpowiedział tenże.

— Do sądu!.. — krzyknęła biedna kobieta i: — o Boże! Boże! zawołała, podnosząc załamane ręce do góry — jak moja biedna główka przeniesie to wszystko! Andrij tam leży bez czucia... o Boże, mój Boże! — a uspokajając się po chwili, z wyraźnem zadaniem sobie gwałtu w tłumieniu przepelniającej ją boleści, dodała:

— Nie wchodźcież do chaty!. nie mówcie o tem Andrijowi!.. wyiuosę wam wszystko, czego chcecie.

Odeszła, i po krótkiej chwili wyszła z węzełkiem pod pachą, zawierającym okrom czapki i rękawic, świtę i bieliznę.

— Chodźmy... — rzekła do Semena.

— A pocóż ty? zostań, kobieto...

— Jak mnie nie popatrzeć na niego?

Nie mógł Semen jej odmówić. Poszli na ekonomję, gdzie odbyła się pierwsza indagacja, oparta na czynie świętokradztwa i zeznaniu świadków, które, chociaż nie były popartemi przyznaniem się podejrzanego, lecz tak jasno świadczyły przeciwko Sydorowi, że koniecznością było niezwłoczne oddanie go w ręce sprawiedliwości. Natychmiast więc po przeindagowaniu, wyznaczonymi zostali wartownicy i fura, napisany był raport i wszystko stało w pogotowiu, oczekując na powrót Semena. Sydor miał na nogach ciężkie dębowe dyby, a ręce jego były po wczorajszemu związane w tył silnym powrozem. Stał on w ganku wśród wartowników, z gołą głową, z rozczochranemi włosami, na twarzy malował się smutek, graniczący o rozpacz.

Jak-bo nie smucić się i nie rozpaczać mu było? Przed dziesięcią godzinami czuł się najszczęśliwszym, w tej zaś chwili najnieszczęśliwszym z ludzi.

Czytelnik domyśli się zapewne, że nie rozłamywanie drzewi nie rozbijanie karbonki i zabieranie kadzielnicy, zaprowadziły go na dziedziniec cerkiewny.

Po skończeniu cerkwi nie przestawał on tam chodzić, rzadko wprawdzie i tylko przy okazji, nie upłynęło jednak nigdy dzieściu dni z rzędu, aby na pół godzinki bodaj nie zajrzał. Okazjami były zmyślane nieraz gwałtowne potrzeby pogadania z kochanką. Kochanie ich było czyste, święte, niezamącone żadną złą myślą, nie lękając się zatem niemego świadka, który nieraz nakrywał ich długim cieniem, i lubujące się w tem odosobnieniu, w którym ich nikt zejść, nikt podsłuchać, nikt im przeszkodzić nie mógł.

Nie było jeszcze takiej na świecie pomiędzy młodem i miłości, któraby się obeszła bez zazdrości. Nie obszedł się bez niej i Sydor. Nie dlatego, żeby podejrywać miał Handzię o zmiennosc, ale dlatego, że widząc kilku kręcących się przy niej konkurentów, należących do świata, który był wysokim w jego mniemaniu, obawiał się aby ten urok wielkiego świata nie zawrócił głowy kochance jego; dla ochrony więc jej od tego zawrotu, chciał jak najczęściej i jak najdobitniej mówić jej o swoim kochaniu. Handzia zaś, niby zgadując tę jego obawę, za każdym widzeniem się zdawała przed nim sprawę z wypadków zaszłych z konkurentami i z usposobienia swego dla nich. Był to rodzaj zwierzenia się, którego kobieta nie dopuszcza się, jeżeli przez pół tylko kocha. Zwierzy się z tego przed rówiennicą, przyjaciółką, dla pochwalenia się, lecz nie przed kochankiem, dla którego bardzo, bardzo nawet kochająca, będzie zawsze miała jakąś tajemnicę w zanadrzu, jakiegoś rywala na pokaz, trzymanego na wodzy, zdaleka, w pewnej perspektywie, wpół zamaskowanej jakimś rodzajem fatalizmu, zbiegiem dziwnych okoliczności, okrutnym losem, etc. etc. Handzia potrzeby tego wszystkiego nie rozumiała, ani odgadywała: ona serce całe otwierała przed kochankiem.

Ale oboje oni, tak Handzia jak Sydor, rozumieli i widzieli trudności i przeszkody, otaczające ich kochanie. Sydor był poddanym, pańszczyźnianym! Handzia na to nie zważała; zważał jednak na to Jakób, który powydawawszy starsze córki z zapewnieniem im pewnej mniejszej lub większej niepodległości osobistej i bytowej, nie chciał najmłodszej i najukochańszej „za-

przedać — jak wyrażał się — w poddaństwo, zaprzepaścić,“ i tak stanowczo w tym względzie wypowiadał swoje postanowienie, że dziewczę nie wiedziało co ze swoją robić miłością. Przez dwa niespełna lata naradzała się ona w tym przedmiocie z Sydorom i ani ona, ani on, nie uradzili nic. Dotychczas, póki jeszcze Handzi ośmnaście nie spełniło się lat, obchodzili oni tę trudność tajemnicą, zachowywaną starannie w obec całego świata; lecz tak długo potrwać już nie mogło.

— No, Handziu, serce, mówił do niej Sydor w wigilią Nowego Roku — otóż niedaleko już...

— Już niedaleko, mój ty sokole...

— Wieszże ty co?...

— Nic nie wiem; wiem tylko to, że ciebie kocham i kochać będę do śmierci...

— Ale... ci panicze!...

— A, ci panicze!... bodaj im!... oni mi już tak zalecaniem się swoim nadojedli, iżbym się chciała gdzieś daleko od nich schować.

— A panicz Wisuś, czy chodzi?

— Jakoś przestał teraz. Ale opowiem ci jedną rzecz... Przychodziła stara Horpyna i mówiła mi, że panicz Wisuś chce mnie swatać; pytała mnie, co o tem myślę; mówiła, że będę panią, że będę chodziła w jedwabnych sukniach, w cienkich pończochach i w żółtych ze sprzązkami trzewikach i zaklinała mnie na wszystko, abym o tem nikomu nie wspominała.

Sydor przycisnął się do płotu, wcisnął ucho pomiędzy sploty chrustu, z którego przed przyjściem jeszcze Handzi otrząsał i oskrobał szron, słuchał i przy wspomnieniu o żółtych trzewikach, poźótkło mu w oczach.

— Cóż ty jej na to?... — zapytał.

— Ja jej odpowiedziałam, że powiem matce.

— Cóż ona¹ tobie na to?...

— Ona powiedziała, że będę głupią, bo sobie sama szczęście zagrodzę...

— Cóż ty jej na to?...

— A, nic... powiedziała matce, a matka powiedziała tatkowi..

— Cóż tatko na to?..

— Tatko powiedzieli, żebym nie słuchała Horpyny, bo ona już nie jedną dziewczynę zwiedła... rozgniewali się strasznie i zaprzysięgli, że jak stara nogą na próg naszego dworku stąpi, to oni jej nogi połamią.

Sydor westchnął i odetchnął, lżej mu się na sercu zrobiło.

— Za półtora miesiąca naszlą do ciebie swatów ze wszystkich świata stron... Cóż ja nieszczęśliwy pocznę?... Jeżeli przyszłą swatów od siebie, to ich Jakób nie przyjmą... Och! biednaż moja dola!... — jęknął Sydor.

— Cyt... cyt... — odezwała się z drugiej strony płotu Handzia, tuląc ręce w rękawy i przestępując z nogi na nogę w głębokim śniegu — ja już wszystko obmyślałam...

— Jakże ty obmyślałaś, gołąbko moja?

— Oto widzisz tak: tatko mówili i mówią zawsze, że nie wydadzą mnie za tego, kogo moje serce nie wybierze... Jak więc przyjdą swaty, to ja każdemu z nich odetnę, że nie chcę i tak będę mówiła póty, póki aż wszystkich nie odprawię i aż już ludzie nie będą mnie chcieli...

— Cyt! ktoś idzie... — przerwał Sydor, dało się bowiem słyszeć skrzypienie butów na śniegu.

Obrócił się i ujrzał ludzi wychodzących z drugiej strony cerkwi.

— Jacyś ludzie... — szepnął — bądź zdrowa!...

I pierzchli oboje w dwóch przeciwnych kierunkach.

Wówczas to Sydor zatknął się na chłopów, rozchodzących się dla ujęcia złodzieja. Przychodząc na dziedziniec cerkiewny, ani mu przez myśl przeszło spojrzeć na drzwi, które zapewne stały już w owej chwili otworem. Niedaremnie miłość nazywają ślepą.

Wiemy już, jakich następstw przyczyną stała się ślepotą owa.

O szczegółach kradzieży dowiedział się Sydor, będąc już osadzonym w wiejskim więzieniu i zabitym w dyby, od wartowników, którzy przez noc całą przy nim czuwali. Gdyby go zaraz z wieczora pod indagację wzięto, byłby od razu wyznał, co go mianowicie zaprowadziło na dziedziniec cerkiewny. Lecz przez

noc całą rozmyślał i do takiego w końcu przyszedł rozumowania:

— Jeżeliby prawdziwy złodziej ujętym był, to przyznanie się moje uniewinniłoby mnie; ale jeżeli ujętym nie zostanie, to z winy nie oczyszcze siebie a tylko pociągnę z sobą tę moją, tę biedną dziewczynę, o której gotowi jeszcze powiedzieć ludzie, że jest mojej kradzieży współniczką... O Bożeż mój, Boże! o dołoż moja, doło! jakżeś ty przeciwko mnie obróciła się!... — zawołał w głos.

— Nie narzekaj, psawiario, na dolę!... jakieś sobie posłał, tak się wypisz!... — odezwał się jeden z wartowników.

Sydor przewrócił się na słoście, na której leżał, i ciężko westchnął. Zamknął oczy, nie na to aby spać, lecz aby blask kaganka i widok przedmiotów nie rozrywaly jego myśli, w której, niby dziewczę paciorki, na jedną nitkę nizał i przennywał rozmaite przedmioty i przesuwal je ustawicznie. Ojciec, matka, Handzia, wszyscy jej konkurenci, wkluczajac w ich liczbe i Wicusia, Jakób, Josyp, wszyscy mieszkańcy Zahornik, rojone szezescie w przyszłości, otwarta przepaść nieszczęścia, przeszłość taka czysta, jak najczystsza woda źródłana, ruina dobrej sławy, nakoniec to przekonanie o własnej niewinności i niemożność przekonania o niej ludzi — wszystko to wyrodziło w nim jakowąś dziką rozpacz, która rozlechlala jego nerwy, pobudzajac go do spazmatycznego śmiechu. — Pasował się jednakże sam z sobą i zamiast śmiechu wypędzał z piersi jedno po drugim westchnienie.

— Postawiać mnie przed sądem — myślał — w sądzie zasiadają ludzie; ażeby mnie uniewinnić, potrzeba chyba, żeby sam Bóg mnie sądził, bo on jeden tylko uwierzy mi, znając niewinność moją...

Poranek zastał go w tym stanie pasowania się z sobą. Poprowadzono go na ekonomię, wysłuchano zeznań świadków, spisano raport: — w głowie mu szumiało, w oczach migotały jakieś światelka, promyki, pomieşzało mu się w myśli. Kiedy ekonom zadawał pytania, on odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć, a kiedy, po wysłuchaniu świadków, kazał go wyprowadzić na ganek, on zapytał jednego z wartowników:

— Czy będą szukali złodzieja, co okradł cerkiew?...

T. T. Jeż. T. I.

11

— A na co szukać, kiedyś to ty, psi synu, okradł!... — odparł wartownik z przekonaniem głębokiem.

Sydor gorzko się uśmiechnął i zanucił półgłosem znaną na Rusi piosenkę:

— *Handziu, Handziu, trysta mamu,
Czerez tebe wpaw ja w jamu...*

— Cóż, czyż nie tak? — rzekł smutnie sam do siebie i pokiwał głową, którą spuścił i ze spuszczoną doczekał się przyjścia matki.

Widok matki przywołał przelotny uśmiech na jego usta, nie uśmiech radości, ale ten, który zwykł opromieniać niewinność. Maryna dostrzegła go oczami matki, przeczuła matczynem sercem. Rzuciła się do niego, uczepiła się rękami za jego świętę, ukryła głowę na jego piersi i zaszła się od płaczu.

— Jakieś nieszczęście poprowadziło tam ciebie?... — wygłosiła po chwili łkania.

Sydorowi lzy obfite puściły się z oczu, pochylił się ku matce, jakby jej miał odkryć jakąś tajemnicę i powiedział przerywanym głosem:

— Mamko moja! gołąbko moja! ja nie winien! ja cudzego płateczka nigdy w życiu nie ruszył!

Tymczasem z przyniesionego przez Marynę węzełka wydobyto czapkę i włożywszy ją na głowę Sydora, poprowadzono go ku saniom. Maryna nie odstępowała syna. Szła obok niego, płacząc, zawodząc głośno i trzymając się jego świty. Gdy go wsadzano na sanie, nie chciała go się puścić.

— Dajże pokój, kobieto!... — perswadował jej Semen i inni — tak nie można; trzeba już jechać...

— On nie pojedzie bezemnie!... — wołała kobieta — weźcie i mnie z nim razem!... zwiążcie mnie!... zakujcie w żelaza!... i ja winna!... ja winniejsza od niego!... ja jego matka!... ja go posyłała na kradzież!... ja go namawiała!...

Widzieli ludzie, że żal z niej przemawia i nie zaznaczył słów tych na jej potępienie. Rozpacz ta rozrzewniała ich. Wyszedł sam ekonom, a że był człowiekiem ludzkim, jął się uspokajać ją:

— Kobieto, Bóg z tobą! — Sąd nie zabija ludzi; będzie

się ciągnął długo, będzie dochodził... może się pokaże, że ktoś namówił Sydora;... może go uniewinnią nawet...

Ona perswazji nie słuchała.

— Weźcie i mnie!... — wołała.

— Ależ masz męża — ciągnął ekonom — opamiętaj się... wróć do domu, do męża...

— Mój człowiek umiera!.. Ja w domu zastanę trupa!.. Mnie straszno w domu!.. weźcie mnie!.. okujcie!.. Czemuż od kary odpychacie mnie, którą będziecie kłąć, ile razy wspomnicie Sydora?...

— Mamo moja — przemówił Sydor, któremu rozpacz matki przyprowadziła opamiętanie — zostań... Pan Bóg miłosierny da, że się prawdziwy złodziej znajdzie... wówczas ludzie i mnie i ciebie będą przepraszali;... zostań... nie opuszczaj nas Bóg dotychczas, nie opuści i teraz...

Ona nie słuchała. Darła się gwałtem do sani, czepiała się drabiny — musiano ją oderwać i przytrzymać. A gdy sanie ruszyły, jęknęła przeraźliwie i upadła bez zmysłów na śniegu.

Sanie pojechały z Sydorem do powiatowego miasta, a Marynę odcierano śniegiem i dla ocucenia wniesiono do dworku ekonomy.

Wielkiem bo jest przywiązanie matki do dziecka, a miłość jej bez granic. Człowiek mający matkę i szanujący jej przywiązanie i miłość, nie może zostać nikczemnikiem i zbrodniarzem, będzie bowiem obawiał się zbrukać te czyste i święte uczucia, które nie przestaną mu towarzyszyć, nawet pod pręgierzem, pod którym go wszyscy ludzie zhańbią i oplwają. Szacunek dla matki jest hamulcem złego i osiłą cnót wszelkich. Dla tego w Dziesięciorgu Przykazań, tej podstawie głównej i treści wszelkich prawodawstw ludzkich, najpierwszym obowiązkiem społecznym jest: „Czcij ojca twego i matkę swoją.“ I dla tego to Maryna, odgadując sercem matczynem to znaczenie szacunku, jaki miał dla niej Sydor, tak upornie i zapamiętale brała na się współwinę zbrodni przypisywanej jemu: przeczuwała bowiem, że podzielenie się z synem zbrodnią, znaczyło podzielenie się z nim tylko cierpieniem. Nie umiała ona zdać sobie z tego sprawy: czuła tylko, że syn, który ją kochał, nie mógł popełnić świętokradztwa.

IX.

Po pierwszych chwilach uniesień gniewu i wynurzeń oburzenia na Sydora, za popełnioną w cerkwi kradzież, ogarnął całą Zahornicką gromadę taki smutek, jakby ją jakie publiczne nieszczęście — mór np., lub głód — dotknęło. Kiedy wytoczył się urzędowie proces Sydora, kiedy do powiatu zawezwano ludzi, dla świadczenia tak o wypadku, jako też o całym życiu winowajcy; kiedy ludzie ci porównali życie jego ze zbrodnią: — to mimowolnie wszystkim nasunęło się do sumienia przekonanie, że nie podobieństwem jest, aby kradzież popełnioną była przez Sydora. Lecz, co pomagało przekonanie, jeżeli dowody i pozory potępiały go!... Sydor nie umiał się wytłumaczyć z obecności pod cerkwią i został uznany winnym świętokradztwa. Tylko wzgląd na jego młodość i uczciwe przeszłe prowadzenie się powstrzymał sędziów od zastosowania doń w wydanym na niego wyroku całej surowości prawa. Skazano go do rót aresztanckich, do miasta położonego aż na granicach Syberji.

Co on przecierpiał przez cały czas trwania procesu, — jakie walki miały jego duszą — tego nie potrafię opisać. Na pozór zdawał się on być spokojnym. Gdy pytano się go:

— Ty rozbiłeś drzwi cerkiewne?... — odpowiadał:

— Nie!... nie ja!...

Gdy zaś przekonywano go, że nikt inny tego uczynić nie mógł, uśmiechał się gorzko i kiwał głową, na znak wątpliwości. A gdy zapytywano go: co robił za cerkwią, podczas gdy ludzie weszli na dziedziniec? — nic nie odpowiadał, milcząc upornie, lub zagadując zapytanie taką odpowiedzią, której sędziowie nie mogli dać uznania.

Przez czas pobytu w więzieniu, zmienił się do niepoznania: zbladł, oczy mu niby przygasły, policzki wpadły, i zdawało się, że to cień dawnego Sydora. Po skończeniu procesu i odczytaniu wyroku, oddany został pod straż weteranom, którzy go, skutego za rękę na pręcie żelaznym z kilku innymi złoczyńcami, poprowadzili od etapy do etapy, aż na miejsce jego kary. A gdy wychodził z powiatowego miasta, westchnieniem tylko mógł przesłać pożegnanie wiosce rodzinnej, rodzicom i kochance. Nie było przy nim nikogo ze swoich. Za miastem, na trakcie

którym szedł transport skazanych, był wzgórek, z którego widać było drogę do Zahornik i z którego dłuższym promieniem oko sięgało w dal, ukrywającą w sobie całe jego rojone i rzeczywiste szczęście. Na tym wzgórkę odwrócił głowę, popatrzył na drogę, na siniejącą dal i — poszedł....

Przez cały ciąg procesu, trwającego przeszło trzy miesiące, Maryna ani razu nie odwiedziła syna w więzieniu. Nie stało się to z powodu wyrzeczenia się macierzyńskiej ku niemu miłości, ale dlatego, że siły jej fizyczne uległy pod ciężarem moralnego wzruszenia, które boleść duszy zakomunikowała ciału. Zaległa ona obok Andrija i powstała po trzech tygodniach, stan jednak męża nie pozwolił jej na dłuższy czas oddalać się z domu. Andrij był jak kosą ściętą. Zwalił się z nóg jeszcze tego wieczora, w którym Sydora zabrano i ani go już doleźć się było można. Choroba bo jego była tego rodzaju, że nie skarżył się na nic, nic go nie bolało, — mimo to nie mógł podnieść się z pościeli; a jeżeli podniósł się i chciał przejść przez izbę, to kolana pod nim uginały się, nogi płatały, chwiały się i padały. Nie można go też było o nic się dopytać: na zapytania nie odpowiadał, jakby ich nie rozumiał lub nie słyszał, i jedyny głos, jaki dwa lub trzy razy na dobę wydawał, było głębokie westchnienie, po którym następował przeciągły jęk, zakończony drzeniem dolnej szczęki, któremu towarzyszyło konwulsyjne tłuczenie się zębów o zęby. Schodzili się znachory i znachorki i rozmaite raili lekarstwa. Wszyscy oni ogólnie uznali, że Andrija boleć musi pod sercem, i poili go wywarami z rozlicznych ziół, odszeptywali chorobę rozmaitemi sposobami, odkadzali ją — nic nie pomagało. Opuścili go w końcu wszyscy lekarze i lekarki, pozostawiając chorego naturze i staraniom Maryny, która ani na chwilę nie odstępowała go, zalewała lekarstwami, karmiła, poila, usługiwała — chodziła jak koło dziecka. Zdawało się, że tej kobiecie wzrastały cierpliwość i siły, w miarę przedłużania się choroby męża, gdyż nie tylko doglądała chorego, ale odprzedzała jeszcze motki i zwijała kłębki, rozdawane z dworu chłopkom na zimowe wieczory, aby nie próżnowały. Pomagała jej wprawdzie Niema, lecz Maryna nie pozwalała jej wyręczać siebie, zdawało się, że była zazdrośną o pielęgnowanie chorego.

Po kilku tygodniach, pewnego poranku, oczy Andrija jakoś niby weselej i żywiej spojrzwały.

— Maryno!.. — zawołał cichym i słabym głosem.

Maryna przybiegła do łóżka i pochyliła się nad mężem, uradowana pierwszym wyrazem, którego od tak dawna nie słyszała.

— Chciałem mówić do ciebie, ale nie mogłem — ciągnął chory powoli — och!.. jakże mi było słabo!.. teraz mi lżej.. Bałem się, że już nie odzyskam mowy.. Ale, kiedy Bóg miłosierny nie pokarał mnie niemotą, to trzeba żebym Mu podziękował.. Pójdź po księdza..

Maryna wykonała wolę męża. Ksiądz wypowiadał Andrija, i widząc go mocno osłabionym, na własne jego żądanie, opatrzył go wiatykiem.

Po spowiedzi jeszcze lżej zrobiło się Andrijowi. Wstał i przeszedł się po izbie, a blada jego twarz zafarbowała się lekkim rumieńcem, który wydał się jak cień, odbity od długo niegolonego zarostu. Nie mógł jednakże długo chodzić; usiadł; — nie mógł i siedzieć — położył się.

— Lepiej tobie?... — pytała Maryna.

— Lepiej. ! spokojniej... — odpowiedział.

Upłynęło jeszcze tygodni parę, a polepszenie zdrowia Andrija nie robiło postępów. Przeciwnie. Był on spokojnym, lecz nie mógł długo mówić, nie mógł dźwignąć się o własnych siłach. Maryna, której raz z przemówieniem męża wzmogła się nadzieja uratowania go, zwołała znachorów i znachorki. Znów rozpoczęły się gotowania ziół, odszeptywania i odkadzania. Znów, mogąc już tym razem rozpytać się chorego, wszyscy oni zgodzili się na jedno: że go boli pod sercem; ale każdy lekarz i każda lekarka inne dawali lekarstwo, chwając swoje, a ganiąc cudze, zupełnie tak, jak doktorowie medycyny, z tą tylko różnicą, że ci ostatni, przepisując odmienne lekarstwa, nie godzą się zwykle na jednakowość choroby.

— Maryno — rzekł razu pewnego Andrij — napróżno ty, serce moje, sprowadzasz dziadów i baby... Mnie te ich lekarstwa nic nie pomogą...

— Wyzdrowiejesz, mój sokole — odparła Maryna.

— A, jak Bóg pozwoli... Siądź przy mnie... Chce mi się z tobą pomówić o tem, co mi się od kilku już dni po głowie kręci.

— Mów... mów... — odparła Maryna, siadając na skraju

łóżka i z pewną trwogą słuchając, bała się bowiem, aby Andrij nie wspomniał Sydora, którego imię, przez czas choroby ani razu głośno nie było wymówionem w obec niego.

— Pamiętasz ty — ciągnął Andrij, rozweseliwszy jakimes wyrazem dziwnego wesela oblicze — pamiętasz moje parobcze a swoje dziewicze czasy?...

Maryna pokiwała głową; łzy pocisnęły się jej do oczu, gdyż jej nie dziewictwo, a macierzyństwo na myśl przyszło. Stłumiła jednakże łzy i słuchała.

— Nazywali mnie ludzie bisnowatym i palcami wytykali, i uciekali odemnie wszyscy... Ja nie wiem dotychczas, dla czego i ty nie uciekła?...

— Nie wspominaj tego... — rzekła Maryna, biorąc w obie dłonie rękę Andrija i przyciskając ją do piersi.

— Czemu!... odparł Andrij — ja już straciłem pamięć wszystkiego... Coś sobie przypominam, przypominam, ale przypomniać nie mogę... Wiem tylko, że ciężko chory, że może już nie wstanę, zdaje mi się, że zachorowałem dla tego, dla czego mnie ludzie bisnowatym przezywali.

— Oj, ludzie!... — westchnęła Maryna.

— Otóż to widzisz!... Oni nie wiedzieli, że ja nosiłem coś w głowie i w sercu, i chciałem koniecznie dowiedzieć się, co takiego... bo sam nie wiedziałem... Nie ich to była wina, a przecież gniewałem się na nich... Za co?... albo ja wiem... Jakim to się stało sposobem — dodał, przykładając rękę do czoła, jakby przypominając coś sobie — żeś ty mnie pogodziła z ludźmi?... Ty... tak... nie kto inny, tylko ty... przestali odemnie uciekać... nie wytykali mnie palcami... — mówił powoli, coraz powolniej, jakby wpadając w zamyślenie.

— A!... — zawołał raptem głośniejsz i mocniej — gdzie Sydor?...

Maryna zerwała się, ukryła się za łóżko, przypadła twarzą do jakichś worków postawionych w kącie, obwinęła sobie jakąś świętą, która znalazła się na podorędziu, głowę, zatkała nią usta: i tylko po głównych rzutach jej ciała poznać można było, że zachodzi się od płaczu.

Andrij milczał, jakby oczekiwał na odpowiedź. Potem zawołał Sydora i Marynę, ale słabym bardzo głosem, i umilkł.

Maryna, wyplakawszy, podeszła do męża, pochyliła się nad

nim! — on leżał spokojnie, wlepiwszy wzrok w sufit. Maryna wzięła go za rękę: — ręka jego opadła bezwładnie; — zawołała go po imieniu: — nie odpowiedział; — targnęła go, jakby obudzić usiłowała: — nie rozbudził się; — zasnął snem wiecznym.

Maryna wlepiła w niego wzrok i stanęła nieruchomie, onie miała z boleści. Tyle już łez wyplakała i tyle jęków wyjęczała, że na ten raz nie znalazła w sobie ani łez za powieką, ani głosu w piersi. Stała, stała, patrzyła się i nagle — plasnęła rękami rozśmiała się jakimś dzikim, strasznym śmiechem. Potem wyszła z chałupy i usiadła na progu.

Przysła znachorka.

— Jakże się ma Andrij?... — zapytała jej.

— Lepiej... — odpowiedziała spokojnie.

Znachorka weszła do izby, i rozpoznawszy stan Andrija, odstąpiła z przerażeniem od łóżka i rzekła:

— Ależ on... umarł!...

— Nagotujcie, babunio, ziół; ja go napoję... — odrzekła Maryna — poszepczcie jemu...

— On umarł... — powtórzyła znachorka.

— Cha cha cha!... — zaśmiała się Maryna — jemu lepiej; tylko co rozmawiał ze mną i przypominał mi swoje parobcze a moje dziewicze czasy... Dziwne czasy!... Za niego żadna nie poszłaby dziewczka... On też żadnej nie swatał... Cha cha cha!... Ja jemu ani ziół na rozkochanie nie zadawała, anim mu szepotała... Ale teraz inne czasy, babunio... Nagotujcie ziół dla Andrija!...

Znachorka zdziwionemi oczami wypatrzyła się na Marynę

— Bóg z tobą!... opomnij się... — rzekła. — Dla niego już nie ziół, ale domowiny potrzeba...

I rozniosła baba natychmiast po całej wsi wieść o śmierci Andrija. Zeszli się ludzie, jedni dla oddania ostatnich zmarłemu posług, drudzy dla zaspokojenia ciekawości widokiem trupa. Baby obmyły i ubrały ciało i złożyły je na środku izby, na deskach położonych końcami na stołkach, i przedstawiających katafalk, zapaliwszy mu w głowie świeczkę woskową. Diak czytał nad zmarłym ewangelję. Mężczyźni zbili z desek trumnę, wykopali grób na cmentarzu, i na trzeci dzień po śmierci przyszli po niego z księdzem i chorągwiami.

Pogrzebowe te przygotowania, ani sam pogrzeb, nie wywierały na Marynę wrażenia żadnego. Była obojętną, spokojną. Gdy Niema, instynktem odgadując ogrom nieszczęścia, rozplątała się rzewnym płaczem, ona patrzyła, jakby nie widziała, to znów mówiła coś takiego, co to było niby do rzeczy, niby od rzeczy. Odprowadziła zwłoki mężowskie na cmentarz i powróciła do chałupy, nie okazując ani rozpacz, ani nawet żalu. Tylko — nie wzięła się już do niczego: — Niema wszystko za nią robiła.

Nie mogła ona pozostawać długo w chałupie, bo chata Andrija i grunt oddanemi zostały innemu gospodarzowi. Maryna z Niemą, która jej nie odstępowała, pozostały bez dachu. Przyjął ją Josyp w komorne, a ludzie powiadali o niej, że „odurita“. Śnać przypomnieli oni sobie dawne czasy, gdyż tak samo mówili o niej, kiedy dowiedzieli się, że idzie za Andrija, nie mogąc zrozumieć, dla czego nie wybrała sobie innego parobka.

Równocześnie z temi smutnemi w chałupie Andrija wypadkami, inne wypadki przygotowywały się i rozwijały pod dachem Jakóba. Można je nazwać „podszyte smutkiem“, gdyż przy całym pozorze wesołości, a niekiedy zabawności, jaki miały dla ludzi, patrzących na nie z boku, opierały się o osobę, grającą główną w nich rolę, która ciężkim smutkiem na wskrós przejętą była. Handzi pojmanie i posadzenie Sydora zadało cios straszny. Dowiedziała się ona o tem nazajutrz dopiero, przeraziła się, ale myślała zrazu, że to musi być nieporozumienie jakieś, które się rozjaśni, gdy Sydor wyzna prawdziwą przyczynę, dla której był za cerkwią, i przygotowała się na potwierdzenie jego wyznania: nie przypuszczała bowiem rzeczywistości świętokradztwa. Lecz dowiedziawszy się o całej rozciągłości popełnionej zbrodni, biedna dziewczyna tak się zlekła jej ogromu, że w jej głowie splątały się nierozplątaną tkaniną tysiące myśli i przypuszczeń. Wszyscy, którzy ją otaczali, swoi i przyjezdni, powstali z oburzeniem na Sydora, i powstali w taki gwałtowny sposób, że wzięcie jego strony stało się dla niej niepodobnem, gdyż jedynym dowodem, jaki na usprawiedliwienie jego przytoczyć mogła, było: że przychodził dla niej. A to nie był dowód uniewinniający. Coż z tego, że przychodził dla niej: czyż nie mógł za jednym zachodem przyjść i dla okradzenia cerkwi?... a co gorzej: czy nie wywołałoby to podejrzenia, że ona była współniczką jego?... Kochanka nie matka... Maryna gwałtem wpraszała się na współniczkę;

Handzia przestraszyła się zbrodni. Przekonaną była ona o niewinności Sydora; nie mogła przypuścić, aby puścił się on na złe; lecz samo to zło tak wielkiem było, że jej się wydało w końcu, iż gdyby je istotnie popełnił Sydor, to to nie byłoby dziwnem. Nie przypuszczając przeto, przypuszczała, a to dla tego, że do najwyższej potęgi podnosiła wszystkie zalety kochanka; w końcu zaś bała się już i myśleć o tem, bo ile razy rozliczne przeczucia dziwne, przypuszczenia nacisnęły się do jej myśli, tyle razy robiło się z nią tak, jakby, stojąc nad bezdenną przepaścią, dostawała zawrotu głowy.

Ale żal nie opuszczał jej. Ta poduszka, w której ona owe cudne i dziwne widywała niegdyś rzeczy, dziś wsiękała jej łzy, w których co wieczór tonęła, i pochłaniała łkania, które tała przed światem. Załkała niekiedy przez sen, aż budziła ojca lub matkę, i rozbudzona przez nich, tłumaczyła się, że jej się coś musiało przyśnić, ale co — nie pamięta.

— Przeżegnaj się, mospaneńku, i obróć się twarzą do ściany — radził jej zwykle na razie Jakób.

Ona żegnała się i cicho a gorąco modliła się za Sydora, i płakała.

Tak upływały jej dnie i nocy — aż upłynęło ich tyle, że dopełniła się liczba lat, przeznaczona jej na dziewiczy stan.

— No, Handziu... — przemówił do niej pewnego dnia ojciec — ośmnastka już stuknęła tobie... Wybieraj się, mospaneńku, i wybieraj sobie... A może już wybrałaś którego z tych kawalerów, co to w niedziele i w dni powszednie najeżdżają i nachodzą nas?... co?... he?...

Handzia nie odpowiedziała; nie uśmiechnęła się, jak to każda na jej miejscu uczyniłaby dziewczyna, ale spuściła oczy i miała w palcach spodniczkę.

— Czemuż nie odpowiadasz?... co?...

— Jeszcze nie... — szepnęła dziewczyna.

— Co?... he?... nie słyszę... gadaj głośno... — rzekł stary.

— Jeszcze nie, tatku... — powtórzyła Handzia głośniej.

— Doprawdy?... — zapytał Jakób, jakby był zdziwionym.

— Dalibóg-że, tak nie... — odparła Handzia, zaczerwieniwszy się, jakby co złego zbroiła.

— Tam do djabła!... — zawołał ojciec. — Toć tobie jakoś tępo, mospaneńku, idzie... To starsze twoje siostry, każda w pięć-

nastym roku wyszczebiotała, kogo chce na męża, a tobie ośmnaście już skończyło się, i jeszcze nie wiesz... Słuchajże, Handziu, powiem ci, mospaneńku, na rozum... Ja już stary, nad grobem, dziś jutro nogi zadrę: chciałbym, żebyś ty miała opiekuna, bo dziewczynie niebezpiecznie pozostawać bez ojca na świecie... Widzę ja, choć już słaby mam wzrok, że koło ciebie zachodzą tacy, którzy mają ochotę sponiewierać młodość twoją... Rozumiesz, mospaneńku?... o!., — i podniósł palec do góry, a Handzia jeszcze mocniej zaczerwieniła się.

— Otóż trzeba — ciągnął Jakób — żebyś się spieszyła... Jak wyjdiesz za mąż, za uczciwego człowieka, to te wszystkie lisie figle ustaną od razu, jak nożem uciął.. Pogadaj z panią matką i powiedzcie mi, których swatów mam przyjąć, a których odprawić z kwitkiem... Bo ja ciebie, moje dziecko, nie chcę, mospaneńku, zmuszać. Wybierz sobie tego, do którego serce ciebie ciągnie... Choćby którego z tych wiercipiętów, co to perfumami tak smrodzą, że aż w nosie kręci — dodał w końcu, dla tego snadź, żeby odstręczyć córkę od perfumowanych paniczów.

Odpowiedzią na to był rzewny płacz Handzi, którego, pomimo usiłowania, powstrzymać nie mogła, a który poszedł na rachunek żalu za będącem w perspektywie rozstaniem się z rodzicami i z dziewiczym stanem.

Matka także próbowała wydobyć od Handzi tajemnicę miłością, której istnienia domyślało się serce matczyne, i w tym celu przywoływała na pomoc starsze córki, z których dwie czy trzy odwiedziły pod on czas rodziców; ale i matczyne i siostrzyne próby nie powiodły się. Handzia odpowiadała, że nikogo nie kocha, nikogo nie wybrała.

A tymczasem, pomiędzy konkurentami odbywały się popisy i walki, takie zupełnie jak w owych bajkach, w których się opowiada, jak królewicze, księżęta i rycerze współubiegają się o rękę królowy. Jeden sadił się nad drugiego strojem, komplementami i prezentami; jeden usiłował odsadzić drugiego wszelkimi godziwymi i niegodziwymi sposobami, i rozlicznymi podstępami. Poformowały się ligi jednych przeciwko drugim, które rozwiązały się w ten sposób, że zligowani potłukli się pomiędzy sobą. Jednemu z ekonomów wydało się, że najniebezpieczniejszym dla niego rywalem jest jeden z pisarzów; więc zasiadł najniego i poznał go harapnikiem. Stolarz zawziął się pewne

niedzieli; przyszedł rano, przyprowadził jednego ze swoich czeladników, przyniósł garnuszek z politurą, klejstrem i kwacz, i przy pomocy czeladnika, uprzedziwszy i spotkawszy na rozmaitych drogach przed wsią wszystkich przybywających dnia tego współrywalów, każdego z nich upomadał klejstrem i uperfumował politurą, i miał tę satysfakcję, że był pod wieczór sam jeden gościem u Jakóba; ale za to odsiedział potem w kozie, oskarżony o napaść na publicznej drodze. Rymarz z Berdyczowa przyjechał i przez cały tydzień siedział w Zahornikach, i przez ten cały tydzień nosił młotek w kieszeni, pokazując go każdemu z konkurentów i strasząc, że łeb nim rozwali pierwszemu, kto ośmieli się przysiąść do Handzi. Słowem — na wołowej skórze nie spisałyby wszystkich wypadków i awantur, jakie spotkały konkurentów w pierwszych chwilach, gdy bohaterce naszej skończyło się osmańskie lat.

Ale powoli, powoli, poczęli konkurenci, jeden po drugim, odpadać. Jakiemu takiemu znudziło się, drugi uważał za wygodniejsze nie nadstawiać łba na guzy, inny otracił się i zadłużył, a wszyscy, zrobiwszy na razie nadzwyczajny konkurencyjny wysiłek, przekonali się, że nie nie wskórają, i dali pokój, wyperswadowawszy sobie zamiary własne w taki mniej więcej sposób: „niech ją tam djabli wezmą!... taka harda!... czy to na świecie ona jedna!...“ Handzia bowiem na wszystkie zaloty odpowiadała: „nie chcę i nie chcę“. Odstrychnęli się więc wszyscy, wyjąwszy dwóch, którzy pozostali: jeden z dawniejszych, a drugi wcale nowy i niespodziewany. Pierwszym był szlachcic zagonowy, który nie robił hałasu, nie wlaził w drogę nikomu, stał na boku, niejako na zawołanie, czy też w rezerwie. On już taką samą rolę odegrał przy dwóch starszych Handzi siostrach. Pracowity, cichy, skromny a nieśmiały, nie wrywał się naprzód, czekał i zawsze — przeczekał. Ktoś inny zabierał mu z przed nosa dziewczynę, a kiedy pierwsza wzięta została, powiedział sobie:

— Nic to nie szkodzi... jeszcze dwie zostało.

Kiedy wzięto drugą, powiedział:

— Co teraz to już zje djabła, kto mnie ubiegnie przy trzeciej...

I czekał, aż wszyscy ustąpili z placu boju, i on, jak mu się zdawało, pozostał bez rywalów. Miał za sobą Jakóba, który bardzo go sobie na zięcia życzył, i z tej racji bynajmniej nie

gniewał się na córkę za harbuzy, jakimi obdarzyła surdutowych; sprzyjała mu także i Jakóbowa.

Drugim konkurentem, owym niespodziewanym, był — ktoby to pomyślał! — nie kto inny, jeno pan Wincenty. Wykierował się na konkurenta niechęący: sam nie wiedząc jak to się stało, że mając z razu wcale innego rodzaju zamiary, w końcu powiedział sobie: „ożenię się, a swego dopnę!... niech świat myśli sobie, co chce; niech ludzie mówią, co im się podoba: chcę mieć żonę nie dla świata i nie dla ludzi, ale dla siebie... i będę ją miał.“ Nie zaręczę, że czysta miłość wyrobiła w nim postanowienie takie. Przeciwnie: w pierwotnych jego zamiarach nieczystości było dużo i dużo starań, zabiegów, podsuwań rozlicznych propozycyj przez trzecie osoby, były i obietnice tajemnego poślubienia, mającego być nagrodą za dany przez Handzię z góry zadek miłości; z tem wszystkiem jednak zrobiło się wedle przysłowia: „trafiła kosa na kamień.“ Wszystkie starania, zabiegi, propozycje i obietnice rozbiły się o uporną uczciwość Jakóbostwa i Handzi. Jakób gniewał się, zżymał, łajał żonę i córkę, nie mogąc gniewu swego spędzić na sprawcy tych niepokojów, którym był syn dziedzica, przyszły pan Zahornik.

Nie będę podnosił szczegółów tych zaczepek z jednej, a odporu z drugiej strony. Wyjątkowe położenie w Zahornikach Jakóba nadawało oporowi siłę. Gdyby nie to, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Handzia uledzby musiała temu losowi, jakiemu ulegają poddanki, mające szczęście ściągnąć na siebie uwagę młodych dziedziców. Pospieszam dodać, że pan Wincenty, nie mieszający się do zarządu majątku, nie wiedział, że położenie Jakóba, będąc prywatnem sędziego dziełem, mogło być dowolnie, stosownie do humoru pańskiego, zmienionem na takie same, jakim było położenie każdego z członków zahornickiej gromady. On o tem nie wiedział, i ta drobna okoliczność ratowała Handzię od hańby.

Przyjście do postanowienia ożenienia się było poprostu wynikiem zaślepienia się w namiętności, jakiemu na tym szerokim Bożym świecie zdarza się ulegnąć nie samemu tylko Wicusiowi. Piękność kobieca nie jednego mezaliansu powodem stała się. Jest bo w piękności tej coś tak uroczonego, tak ponętnego, że, kiedy przypominam sobie Handzię, która była skończoną pod tym względem doskonałością, godną figurować w galerji najwy-

tworniej przez naturę ubranych niewiast, to Wicusowi nie dziwię się bynajmniej.

Pan Wincenty zachodził do Jakóba niekiedy, pod pozorem gawędki ze starym żołnierzem o dawnych czasach, ale nie mógł być często, bo godność jego srodze cierpiała na spotykaniu się ustawicznym z rywalami, i to jeszcze — z jakimi!... Operował więc z razu, jakem powiedział, przez osoby trzecie, póki szczególnie chodziło mu tylko o zadatek; lecz, przekonawszy się, że to do niczego nie doprowadzi, począł docierać osobiście i w czasie, w którym wycieńczeni konkurenci opuścili szranki zapasów, zachodził co trzeci, niekiedy co drugi dzień do dworku Zahornickich. Jakóbowi krew stygła w żyłach, ile razy ujrzał panicza na progu; a jednakże za każdym razem musiał wstać przed nim, pokłonić się mu, prosić go siedzieć i okazywać mu wszystkie oznaki głębokiego uszanowania, dziękując przytem za zaszczyt nawiedzenia. Starzec zasłużony, uczciwy, pracowity, chylić się musiał przed młodym próżniakiem, wiedząc bardzo dobrze, że ten siwe jego włosy ceni nie więcej, jak okiść burzanu, który nogą zdeptać można.

Nie przyszedłby jednakże nasz Wicus do postanowienia ożenienia, gdyby własna jego osoba nie przyszła do niepodległości. Stało się to z następujących powodów i następującym sposobem:

Sędzia ze zbytku dobroci zdzieciniał; sędzina ze zbytku złości zgłupiała. Sparowanie dziecinności z głupotą musiało wydać jaki dziwoląg, i rzeczywiście wydało. Sędzina — owa, lubiąca rozkazywać i samowładca kobieta — oddała się pod zarząd młodszego syna, zrobiwszy go właścicielem Zahornik, z obowiązkiem dożywotniego utrzymania dla siebie i męża i spłacenia sched Maciowi i Karolce. Ugoda taka stanęła w skutek familijnej narady, na której pan Maciej bardzo natargywie upominał się o przypadający nań spadek, a sędzina bardzo jasno dowiodła niezdolności sędziego władania majątkiem, pomimo że, jak wiadomo, biedny sędzia nie władał nim wcale. Zaproszeni sąsiedzi-przyjaciele, kompromisarskim sposobem oszacowali wieś, — powyznaczali schedy, — nazaczyli wysokość spłaty corocznej i ilość lat dla wypłacenia całkowicie kapitału z procentami z rocznej intraty, — opisali obowiązki pana Wincentego względem rodziców, — zaprowadzili w rodzinie zgodę,

która w czasie rachunków i układów poczęła była rwać się pomiędzy braćmi, i 13-go Marca, prawnie i uroczyście, pan Wincenty objął zarząd majątku.

Układ ten wręcz oczekivanemu przeciwny sprowadził skutek. Stosunki rodzinne zamieniły się na stosunki ludzi związanych ze sobą wspólną majątkową i od pierwszej niemal chwili, objawiły się jako przykrość osobom, grającym podrzędne w tej wspólnie role. Sędzina, na miejsce niesprężystego męża, chciała tylko postawić sprężystego gospodarza, jakim spodziewała się znaleźć syna, i rządzić nim jak rządziła mężem. Usamowolony jednak pan Wincenty, znalazłszy się na stanowisku nieodwołalnego gerenta wspólki, oświadczył od razu, że on zobowiązań dotrzyma, ale chce rządzić sam. Sędzina przeraziła się tem oświadczeniem, poznała z kim ma do czynienia, złącała sędziego przy okazji, chociaż ten Bogu tylko duszę był winien, i przyczytała się następnie, układając zamiar manewrowania zdaleka, w celu powrócenia nieznacznie do utraconych praw.

Układ ten wypadł w tym właśnie czasie, kiedy namiętność pana Wincentego doszła kulminacyjnego swego punktu i zatrzymała się na takowym.

Wicuś, po załatwieniu początkowych interesów, po pożegnaniu brata i bratowej, którzy, powiedziawszy nawiasem, przyjeżdżali kareta z herbami i sześciu końmi z forysiem (co niesłychanie rozczulało sędzinę), w kilka dni po trzynastym udał się do Jakóba na gawędkę o dawnych czasach, nie wiedząc sam jeszcze dobrze, w jakiej formie i jakim sposobem przystąpić do oświadczenia się o rękę Handzi. Formę i sposób nastęrczył mu Jakób sam.

Gdy Wicuś wszedł, stary powstał z uszanowaniem i pochylił ku ziemi siwą głowę. Handzi nie było w izbie; Jakóbowa wyszła natychmiast, pozostawiając męża sam na sam z młodym dziedzicem.

— No, jakże się miewasz, Jakóbie... — zaczął młody dziedzic usiadając na tapczanie — dawnom ciebie nie widział...

— Mam się... ot, jako tako... krzepię się jak mogę.

— Cóż słyhać u ciebie?... siadajże... no... czemuż nie siadasz?

Jakób nie usiadł; postąpił parę kroków ku panu Win-

centemu, suwając nogami, zwyczajnie jak człowiek stary, i odchrząknął, jak ten, co zabiera się mówić.

— Mam wam, paniczu, coś powiedzieć... chcę waszej łaski o coś prosić...

— Cóż takiego?... — zapytał pan Wincenty, kiwając lekko nogą.

— Oto, paniczu — rzekł Jakób, kłaniając się i wyciągając prawą rękę do kolan pana Wincentego — chcę prosić was, żebyście zapomnieli o domu moim.

— A toż dla czego?... — zawołał panicz, przestawszy nogą kiwać i zaperzywszy się lekko na twarzy.

Jakób wyprostował się i tak odpowiedział:

— Ot dla tego, że ja stary, że moje włosy czyste — tu podniósł dwoma palcami włosy swoje na głowie — i że na mnie nie ma skazy innej, tylko ot te — i pokazał szramy i blizny; — pragnąłbym przeto mospaneńku, z niezbrukanemi włosami i niezesromocoony położyć się w grobie...

Tu unilkł Jakób i czekał, jakby na odpowiedź; lecz pan Wincenty także milczał — odchrząknął jeno, głowę spuścił, ale nic nie powiedział.

— I dlatego, proszę was paniczu — ciągnął Jakób — abyście mieli litość nad moją starością... Wasze chodzenie może złą sławą okryć dom mój... Pobłogosławił mnie Pan Bóg dziećmi nie na to, aby je ludzie palcami wytykali...

— No, i o cóż chodzi!.. — przerwał pan Wincenty do brotliwie — siadaj-no przy mnie, to i ja może coś ci powiem...

— Cóż... — zaczął Jakób.

— Ależ-bo siadaj...

A podniosłszy się i posadziwszy przy sobie Jakóba, młody dziedzic w taki przemówił sposób:

— A jeżeli ja w złych zamiarach nie chodzę do ciebie?..

— A! nie chodzę!.. — przerwał Jakób, niecierpliwiąc się — nie w złych zamiarach!... Ludzie, mospaneńku, mają oczy, widzą, że ja mam dziewczkę i żeś panicz młody... Ztąd plotki...

— A jeżelibym położył plotkom tamę... żeniąc się z dziewczką twoją!...

— Paniczu, zlitujcie się!.. — odrzekł Jakób, układając twarz i ręce błagalnie, niby do modlitwy. — Nie znęcajcie się nademną podwójnie: nie dorzucajcie żartu do hańby... Nasyła-

liście już z tem do mego dziecka Horpynę i arendarżowę; rozumiałem co to znaczy, i te łajdaczki musiały wam powiedzieć, jaką im dałem odprawę...

— To było co innego... — wtrącił pan Wincenty.

— Jakto co innego!.. — podchwycił Jakób oburzając się stopniowo — tamto byli wasi posły, a taraz stajecie sami... Zastępowaliście się posłami; a teraz przychodzicie bez zastępców, bo zastępcy, mospaneńku, byli kijem wygnani!... Cóż to za „co innego?“ I tam wy i tu wy... Posyłany i ten co posyła, czy to nie wszystko jedno?... Ten co się wyręcza taką Horpyną i szynkarką, czy nie jest tem samem, co Horpyna i szynkarka?... Djabeł się przerzuca w anioła, chowa rogi i idzie kusić ludzi... Takim, mospaneńku, przerzuconym djabełem byliście, paniczu, kiedyście posłów ślali... Chcieliście podejść dziewczynę żółtymi trzewiczkami, białymi pończoszkami i zausznikami; chcieliście ją złapać na wędkę państwa; a teraz przychodzicie tem samem ćwierkać w uszy ojcu... Ćwierkało mi w uszy nie to, co wasze słowa... widziałem ja wiele i doświadczyłem wiele; umiem, chwała Bogu, rozpoznać prawdziwe i farbowane lisy... Mojej córce państwo, mospaneńku, niepotrzebne... O!..

Stary się zmęczył. Twarz jego pobladła i na niej mocniej jak zwykle uwyraźniły się zezerniałe blizny. Usta jego i ręce drżały.

Pan Wincenty z wzorową cierpliwością wysłuchał całej tej moralnej nauki, którą nie waham się polecić szczególnej uwadze wszystkich Wicusiów, robiących sobie igraszkę z honoru, moralności i uczciwości uboższych od siebie ludzi, dlatego tylko, że młoda krew gra im w żyłach i czują złoto w kieszeni. Nie śmiał Jakóbowi patrzeć prosto w oczy. Był tak, jak winowajca w obec sędziego, który przed wydaniem wyroku potępienia, czyta mu własny jego rachunek sumienia. A kto wie, może też głos sumienia odezwał się w duszy młodego dziedzica, bo tak przemówił, gdy Jakób skończył i sapał:

— Wysłuchajże teraz ty mnie, Jakóbie, i nie przerywaj... Obwiniam się przed tobą... Prawda, miałem złe zamiary, ale cnota twojej dziewczyny naprawiła je... Ja ją pokochałem... chcę się z nią żenić.

— Nie prawda!.. — przerwał Jakób.

T. T. Jeż. T. I.

12

— Czegoż chcesz na dowód?... Chcesz, żebym przysiągł przed tobą?... Przysięgnę.

— Nie potrzeba!.. — rzekł stary.

— Ja bez niej żyć nie mogę...

— A z nią?... — zapytał Jakób tonem szyderstwa.

— Z nią?... chcę się ożenić... podzielę z nią życie...

— Chcecie powiedzieć, paniczu, że chcecie ją uszczęśliwić... bo już wierzyć zaczynam, że naprawdę myślicie o żeniacze z moją dziewczką; a nie myślicie o tem, że zrobicie ją nieszczęśliwą, że po pierwszych miodowych miesiącach, bryzniecie jej w oczy, żeście nią zawiązali świat przed sobą... Ona tam u was ani chodzić, ani patrzeć, ani gadać nie będzie umiała...

— Tego wszystkiego nauczy się prędko... To głupstwo.. Alboż... co panie nasze umieją?... W pół-roku dogoni je, jak zechce...

— Może to i prawda... — odparł Jakób z miną taką, jakby namyślał się nad czemeś. — A waszaż matka? a ojciec? a brat, co jeździ kareta malowaną na drzwiczkach? co oni na to powiedzą?... Odepchną synową i was z nią razem...

— Eh!... pogniewają się, pogniewają i gniewać się w końcu przestaną...

— Może i to prawda...

— Tylko dajcie mi córkę... Jakóbie!... tatku!.. ja wszystko przerobię... ja bez niej żyć nie mogę — mówił pan Wincenty proszącym głosem, chwytając Jakóba za rękę i podnosząc ją do ust.

W pół drogi jednak wstrzymał się i nie złożył pocałunku na rękę starca — czemby, mówiąc między nami, bynajmniej nie opaskudził sobie ust.

Nie uszło to uwagi Jakóba.

— A jak dziewczka, mospaneńku, nie zechce... — zarzucił.

— Ale!... — zawołał młody dziedzic.

— Muszę się pierwęj dziewczki spytać... Bez tego nie można... Nie zmuszałem starszych, to i młodszej zmuszać nie mogę... Może ona, mospaneńku, spodoba was sobie, a może i nie... Mnie staremu trudno wiedzieć o jej dumkach dziewiczych... Z dziewczętami, mospaneńku, to tak: podoba się jej czasem to, co nikomu się nie podoba... To kapryśne... O! ja wiem... miałem tego Bogu chwała, ośm...

— Ona was posłucha...

— Może..., nie wiem... będę ją namawiał; a wy tymczasem namyślcie się dobrze, paniczu...

— O, ja się namyślił! — zawołał pan Wincenty — już od dwóch lat...

— Tylko — przerwał mu Jakób, kiwając palcem przed swoim nosem — nie trzeba tak myśleć, jak przez te dwa lata...

— O!... nie!... — bąknął panicz.

— Ja ją odprowadzę pod sam wianek, i tam ją wam oddam...

— A... tak... Tylko, mój Jakóbciu, nie zapominajcie o tem, że ja zrobiłem takie silne postanowienie, że nic na świecie go nie przelamię... — mówił Wicus i trząst i ścisnął Jakóba rękę.

— Dobrze, mospaneńku, dobrze... Niech już i tak będzie... Ale potrzeba, paniczu, żebyście mi dali czas... Bo to i dziewczkę należy wypytać i mnie samemu przyzwyczaić się do takiego wielkiego honoru... Hm!... Muie się to, mospaneńku, w głowie pomieścić nie może.. Ale, niech już tak będzie... Otóż, nie zaglądale, paniczu, pod moją strzechę przez jakiś czas... Wasze zalecanki do dziewczki nic nie pomogą;... przestraszyliście ją Horpwną i szynkarką... ja za was zalecać się będę — dodał półzartem uśmiechając się — wy zaś nie przychodźcie, choćby ze dwa miesiące...

— To długo... nie wytrzymam...

— Choćby z miesiąc...

— No, no!... jakoś to będzie; ależ tylko trzymajcie moją stronę... Zobaczycie, wszystko pójdzie dobrze... A teraz bądźcie zdrowi i dajcie rękę!..

I podniósł pan Wincenty rękę do góry z jarmarcznym giestem.

— I zapijmy mohorycz... — dorzucił Jakób, przyjmując na swoją zapracowaną dłoń, dłoń panicza, i dodał tonem ironji: — jak po stargowanej kobyle...

Lecz ironji tej nie dosłyszał, czy nie zrozumiał pan Wincenty, wyszedł bowiem pełen nadziei i zdziwienia, a jedno i drugie wyrodziło się niezwykłym trybem, jakoś na odwrót. Nadzieja przerobiła się z pewności: był bowiem tego przekonania, że jak jeno wspomni Jakóbowi o postanowieniu zaślubienia jego córki, to ten rozłąwi się z nadmiaru szczęścia i nie znajdzie słów na dziękowanie. Na zdziwienie zaś zamieniło się przeświadczenie

o wrodzonej w ludziach żądzy wyniesienia się. Zwykłym trybem, pierwiej idzie nadzieja, potem pewność, pierwiej zdziwienie, potem — przeświadczenie.

Ale zdziwiłby się jeszcze bardziej pan Wincenty, gdyby zajrzał był w myśli Jakóba, w których ten pograżył się po jego odejściu. Myślał stary długo, pocierał dłonią czoło i znów myślał i takim dumanie swoje wyraził monologiem:

— Wydać?... nie wydać?... I tak źle, i tak nie dobrze... Hm!... to sęk, a w tym sęku dziura!... Nie pierwsza to Handzia byłaby panią z chłopki i zapewne nie ostatnią... Taż pra-pra-pra-babki wszystkich pań i panów musiały być chłopkami... Zkądżeby się inaczej oni nabrali!... A o naukę?... Hm... Ona młoda... Przecież żadna z pań od razu uczoną się nie rodzi, ani wychodzi na świat ubrana jak pani.. Popracowałyby, przysiedziałyby fałdów, toby je wszystkie, mospaneńku, dognała, a może i przegnała...

I uśmiechnął się stary sam do siebie, tak mu rojenie, któremu już oddawna nie oddawał się, w jasnych barwach pokazało przyszłość córki; lecz nagle zmarszczył brwi, nasuwając je nad oczy.

— Ale dla niej trzebaby nie pana Wisusia... Co to, mospaneńku, czy ja go nie znam!... Czy to ja ślepy: patrzałem się i nie widziałem?... Jemu się jej zachciało, jak dziecku zabawki... Pomnie ją, pomnie i zbrzydzi... Tfu!... Byłby ani pomyślał o żeniaczce, gdyby...

Weszła Jakóbową. Jakób zamilkł i zamyślił się, ruszając niekiedy ustami. Wkrótce po Jakóbowej przyszła i Handzia. Stary popatrzał na nią z podełba, zmierzył ją oczami od stóp do głowy, i podumawszy jeszcze przez chwilę, odezwał się:

— Teraz już, baby, żartować nie można... Pan Wisuś odezwał się o Handzię... Chcesz ty jego, czy nie chcesz?...

Handzia zarumieniła się. Spojrzała na ojca, na matkę, zląkniona, zdziwiona, niby szukając ich opieki. Ojciec surowo, matka z uśmiechem patrzyli na nią, i ta ostatnia, jakby odpowiadając na jakoweś zapytanie, zadane jej wzrokiem córki, rzekła:

— Odpowiedz ty sama, powiedz sama, moje serce...

— Nie chcę — odrzekła Handzia prędko stanowczo i głośno, i przytuliła się do matki.

— Bo i ja nie chcę... — podchwycił Jakób. — Ale na to, co ci teraz powiem, nie możesz odpowiedzieć „nie chcę“... Przygotowuj sobie wyprawę, bo jak Pan Bóg da doczekać Wielkiejnocy, staniesz pod wianek z Radlińskim... Nie ma co zwlekać... On jeden się został, to nie można przebierać... Ja zaraz dziś pójdę do starego i umówię się o dzień zaręczyn...

— Och, tatku! poczekajcie jeszcze!... — przerwała dziewczyna, wyciągając rękę ku ojcu.

— Nie można czekać... Wyprosiłem miesiąc czasu na odpowiedź panu Wisusiu i przez ten miesiąc trzeba się zwinąć... Wyjdiesz za mąż i klamka zapadnie... Radliński uczciwy, pracowity, nie będzie ci dawał marcepanów, ale będziesz z nim spokojną, i ja i matka będziemy spokojnymi o ciebie... Chyba że, mospaneńku, chce się tobie romansów, chcesz być panią, wolisz Wisusia?...

— Och! nie!... odpowiedziała Handzia, zalewając się łzami.

— No, to nie rozplýwaj się płaczem, djabli wiedzą czego!... Radliński ciebie nie zje... On już sześć lat czeka na jedną z was.

Wymówiwszy to zabrał się stary i poszedł do cierpliwego szlachcica zagonewego, który był owym Radlińskim, i który, ze wszystkich dawniejszych konkurentów Handzi, pozostał sam jeden.

X.

Gdyby sędzina nie była taką grubą, toż toby podskoczyła usłyszawszy z ust syna wyraźnie wypowiedziane następujące wyrazy:

— Żenię się z Handzią Zahornicką...

Z początku wierzyć nie chciała, mając je za jakiś rodzaj niewczesnego żartu, na który pozwolił sobie Wicus, czując się niepodległym i chcąc i matce, dotykaniami drażliwych stron jej serca, dać uczuć tę niepodległość swoją — jak to mają zwyczaj czynić ludzie ordynaryjni a zazdrośni o wyższość własną. Taką była sędzina i swoją własną miarą mierząc syna, myślała, że

tych kilka wyrazów rzucił on na to tylko, aby jej dokuczyć. Lecz, po kilku jeszcze innych, wymówionych przez siebie i przez Wicusia wyrazach, przekonała się, że się znajdowała w błędzie.

Sędzina była matką tak samo, jak np. Maryna, ale nie taką samą. Pomiędzy matkami są różnice i gatunki. Jedna kocha dzieci dla dzieci; druga — w dzieciach siebie. Miłość pierwszej jest poświęceniem, drugiej — faworem. W pierwszej sercu jest miejsce dla wszystkich dzieci, chociażby ich miała najwięcej, i dla każdego z osobna; nie wyróżnia ona starszych od młodszych, ładnych od brzydkich, dobrych od złych; jest matką dla każdego: dobrem się pocieszy i podziękuje za nie Bogu, a za złe gotowa pójść na stos ofiarny i spalić się, byle u niego poprawę lub dla niego przebaczenie wybłagać. Nie wyprze się ona dziecka; raczej zaprze się siebie samej dla niego. Znam takie matki w sferze, do której należała sędzina; pomiędzy Polkami znajduje się takich dużo; ale taką nasza sędzina nie była.

Pobladła i oniemiała, gdy przekonała się, że pan Wincenty nie żartuje, i zabrakło jej sił, do podniesienia się z fotelu, na którym siedziała. Sędzia, który w tej chwili znajdował się posadzonym na innym fotelu, *vis-à-vis* ukochanej połowicy, rzuciwszy na nią okiem, sięgnął natychmiast po tabakierkę, a zażywszy tabaki, wydobyl dużą chustkę do nosa, rozłożył ją na obydwóch dłoniach, zawinął w nią nos i — zatrąbił, i trąbił na nosie póty, póki Idalusia nie ochłonęła z przerażenia.

— Tyle już razy mówiłam i prosiłam — zawołała wzruszonym głosem — żebyś nie ucierał w ten sposób nosa!... Trzeba mieć nerwy jak powrozy, ażeby mózż spokojnie trąbienie takie wysłuchać!...

— Ale, nie, moje życie... — odezwał się sędzia, chowając chustkę a umieszczając pomiędzy palcami tabakierę.

— Nie!... ty zawsze: nie!... ty cały jesteś: nie!... z ciebie nic innego być nie może, tylko: nie!... nie i nie!... do czego to nie?... na co to: nie?... Oto widzisz, do czego to twoje wieczne „nie“ przyprowadziło!... Widzisz?... ciesz się!... jak nie będę śmiała ludziom w oczy spojrzeć!... jak będę musiała wstydić się dzieci własnych!.. jak będę się chowała przed własnym synem i synową!... — przerwała sędzina, wypowiadając wykrzykniki powyższe jeden po drugim lamentującym tonem.

— Przed którym synem i synową?... — zapytał pan Win-

centy, który tymczasem chodził po pokoju, pomuskując i przygryzając wąsy.

— A przed Maciem i Maciową... cóż ona na to powie?!

— Co!... ta małpa!... — rzekł pan Wincenty — schowa się w myszą dziurę, jak postawię obok niej Handzię...

— Och!... — stęknęła sędzina, posapując — małpa!... cóż z tego, że ona małpa, kiedy hrabianka z domu!... wielki ród... koligacje... koneksje... konsyderacja... czem ci to wszystko to dziewczysko zastąpi?...

— Co mi tam, to wszystko!... — przerwał pan Wincenty, machnąwszy ręką — kocham ją i kwita!...

Panna Karolina będąca niemyim świadkiem tej rozmowy, spojrziała na brata wzrokiem, w którym, gdyby oczy Wicusia nie były w tej chwili zwrócone w inną stronę, znalazłby bojaźliwe uznanie — pochwalające uczucie, ale nie wiedzące, co rzecz o zamiarze żenienia się.

— Ale ludzie... świat... mój Boże!... — ciągnęła sędzina — cóż oni na to powiedzą, jak staniesz przed nimi... z chłopką!...

— Z chłopką!... z jaką chłopką!... — zawołał Wicusz niecierpliwie — mama bo wszystkich chciałaby zdegradować na chłopów... Ona taka szlachcianka jak ja szlachcic, tylko uboższa...

Sędzina, pomimo całego zaślepienia przerażenia swego, spostrzegła się, że ród Zabornickich jest tajemnicą dla pana Wincentego, a odkrycie przed nim tajemnicy tej, niby deska zbawienia, przesunęło się w jej myśli. „Jak się dowie, że chłopka, to odpadnie mu ochota żeniaczki.“ Przez usta sędziny przewinął się uśmiech nadziei, a do ocz jej zawitał prawie spokój. Spojrzała tryumfująco na syna i rzekła:

— Cóż się tobie stało, Wicusiu!... Jeszczeż... gdybyż-to tak... tobym się nie opierała... Czy ty myślisz, że ja taka ambitna!... Chciałabym waszego szczęścia, i nic więcej... Gdyby to była szlachcianka, a tyś się w niej zakochał... no!... możebym odradzała... i zapewne żebym odradzała... dlatego już samego, że tam, słyszę, dzień w dzień i po nocach tłuką się zgraże rozmaitych szubrawców; a on stary nie dowidza, a matka głupia, a dziewczyna młoda, to tam nie może być bez czegoś... Ale, jak powiadam, gdyby była szlachcianką, to jeszcze pół biedy... Ale ona chłopka... twoja poddanka.

— Co też mama mówi!... — wtrącił pan Wincenty.

— Chłopka!... twoja poddanka!... — zawołała, podnosząc głos sędzina i trzęsąc wyciągniętą ku synowi dłonią — twoja własna, najwłaśniejsza poddanka!... Spytaj się ojca... Jasiu! — rzekła zwracając mowę do męża — powiedz mu, kim jest Zahornicki... Byłby on oddawna odrabiał pańszczyznę, gdyby nie „nie“ twego ojca! A, to nieszczęśliwe: nie!... zawsze: nie!... wszędzie: nie!... A widzisz!... masz teraz!... czemuż nie mówisz?... czyż ja całe życie mam gadać za ciebie?... A mówiłam... a prosiłam... Otóż to skutki!...

Sędzia zażył tabaki, wytrząsł palce, sięgnął po chustkę do kieszeni, lecz przypomniawszy sobie energiczną protestację żony przeciwko ucieraniu nosa, wydobyl z kieszeni próżną rękę, i doczekawszy się przestanku w gadaniu żoninem, rzekł:

— Tak!... istotnie!... Zahornicki jest poddanym zahornickim; ale on był towarzyszem Kościuszki.

— Takie szlachectwo lepsze od hrabstwa... — wtrąciła panna Karolina, zupełnie niechęć.

— Co się asanna mieszasz!... — krzyknęła sędzina — namów... namów Wincentego, niech się z chłopką ożeni, to potem i sama będziesz musiała iść za chłopca... Ach, jakże mnie Pan Bóg skarał dziećmi!... Gdyby nie Macio, byłabym najnieszczęśliwszą z matek!... Masz teraz wszystko! mówiła do pana Wincentego — wiesz już o wszystkim!... żeń się!... hańb się!... ponieważ się w błocie, w którym babrali się pisarczyki, stolarczyki, szewczyki!... hańb i ponieważ ojca, matkę, siostrę, starszego brata!...

Na ten temat sędzina prawila długo: odpoczywała, zmęczywszy się, i znów prawila.

Pan Wincenty stał przed oknem, wsunął jedną rękę do kieszeni, a drugą pakował sobie wasy do gęby, przygryzając je zębami, i milczał. Nagle rozgładził wasy, strzepnął palcami i wyszedł. I udał się wprost do Jakóba.

Panna Karolina, która przez cały ciąg perorowania matki spoglądała niespokojnie na brata, wyszła także wkrótce po nim.

Działo się to na czwarty dzień po ostatniej pana Wincentego u Jakóba bytności.

Jakób przez ten czas nie spróżnował. Był u Radlińskich, umówił się ze starym i z młodym (ten ostatni mało nie oszalał z radości), i przygotował zaręczyny, na które, chcąc im nadać

charakter jak najuroczystszy i zobowiązujący obie strony jak najnieodwołalniej, zamówił księdza i zaprosił świadków, nie powiadając im naprzód o co chodzi, gdyż chciał w chwili przystąpienia do ceremonji, na księdzu i świadkach wymóżyć zachowanie tajemnicy, aż do ślubu. „Czeszy *d'odka z ridka** *) myślał sobie stary. Chciał zaręczyć córkę, zobowiązać się względem zięcia i jeżeliby zaszło co ze strony młodego dziedzica, powiedzieć mu :

— Stało się, przepadło; co zrobione, tego odrobić nie można; Handzia jest już tak jak żoną, ba prawie żoną Radlińskiego... ksiądz im pobłogosławił... Błogosławieństwa zdjąć nie można... to, mospanięku, nie plaster...

Dane słowo, a do tego okryte kapłańskim błogosławieństwem, wydawało się staremu tak świętem, że ani przypuszczał, aby nawet dziedzic śmiał się na nie targnąć. Dla tego zwykle używane w takich razach przez nasz lud dawanie ręczników zamienił na nieużywane uroczyste zaręczyny. A nie chcąc, jak powiadają, wywoływać wilka z lasu, wymyślił ten sekret. Puścił się więc stary, może po raz pierwszy w życiu swoim, na wykręty, które, ponieważ z nie jednego pieca chleb jał, ufał, że mu się powiodą. Chciał on także i dziewczynę uchronić od rojenia o państwie. „Jak będzie wiedziała — myślał sobie — że niczyją już być nie może, tylko Radlińskiego, to o nikim inym ani pomyśli. Bo to dziewczę młode, a w młodej głowie zielono. Zachcieć się jej może jutro tego, czego nie chce dzisiaj. Trzeba to uprzędzić jak najrychlej.“

Sprosił tedy, na czwarty dzień po rozmowie z dziedzicem, samych takich, na których liczył jak na Zawiszów. Przyszli Radlińscy, przyszedł ksiądz, przyszli Josyp i Semen. Przyszli, i zobaczywszy Radlińskich i Zahornickich wystrojonych odświętnie, domyślali się przez pół o co rzecz chodzi, ale nie wiedzieli z pewnością.

— Stawiliśmy się u ciebie, Jakóbie — rzekł Josyp — widzimy napitek ił przekąskę na stole; dziewczka twoja wystrojona, niby na wesele; i ten *pareń* **) — tu ukazał na młodego Radlińskiego — ubrał się niczego... Coś wy zamyślacie; ale to wielki post... hej!... Toć pewno nie wesele sprawiąć będziecie...

*) „Czesz djabła z rzadka“ przysłowie, którego sens moralny: nie narażaj się możniejszym.

**) Parobek.

— Nie wesele, mospaneńku, nie — odparł Jakób — z weselem poczekamy; ale chcemy dziewczkę zaręczyć...

— Toż na to, jak porządek każe, trzeba swatów, przerwał Josyp.

Jakób nie dał mu kończyć i rozpoczął wyluszczać powody, które zmusiły go do zmienienia porządku, gdy raptem drzwi ryknęły i wszedł do izby pan Wincenty. Wszyscy powstali. Pan Wincenty zatrzymał się po środku, i obejrzał się, i kolejno zatrzymywał wzrok, to na Handzi, która za matkę się schowała, to na młodym Radlińskim, który otworzył usta i zapomniał się, to na Jakóbie, który przygryzał wargi, to na księdzu, który przy stole stał w komży, to na każdym z obecnych, a przystępując do Semena, zapytał go z nienacka:

— Co to jest?... co tu robicie?... czegoście się zeszli?

Semen, poskrobawszy się w łeb, odpowiedział:

— Ta że nie, paniczu... ot, Jakób zaręcza dziewczkę swoją za młodego Radlińskiego i zawołał nas na świadków...

Pan Wincenty spojrział na narzeczonego i zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy. Młody Radliński bardziej tylko głowę otworzył, a stary, który stał obok syna, przestępywał z nogi na nogę. Młody pan zbladł, zwrócił się powoli, podszedł do Jakóba i rzekł do niego:

— To ty tak, stary, dotrzymujesz obietnicy?...

— Cóż, wielmożni paniczu — odparł Jakób spokojnie — kiedy dziewczka was nie chciała.

— Nie chciała!... — nie dając mu mówić, zawołał panicz gniewnie — a tenże miesiąc, który mi wyznaczyłeś, czy on się we trzy dni skończył?... Czy wiesz ty, stary, o tem, żeś ty mój poddany?... Wiesz?...

— Wiem!... — odparł Jakób i wyprostował się, a z pod nasuniętych siwych brwi oko jego — dziwna rzecz! — wyrazem pogardy błysnęło.

— Wiesz!... — ciągnął pan Wincenty piorunującym głosem — to wiedz że i o tem, że, jeżeli mi nie dasz córki dziś... natychmiast, to jutro na pańszczyznę pójdziesz...

— Dobrze, to pójdę, jeżeli pan każe... dziś nawet... — odrzekł Jakób spokojnie.

W chwili tej pan Wincenty uczył się ujętym za rękę, i ujrzał obok siebie — pannę Karolinę, która weszła po cichu, i stanęła obok brata.

— A, mój Wicusiu — mówiła — nie spodziewałam się tego po tobie... a! tak się nie godzi...

Panu Wincentemu zmienił się wyraz twarzy: z gniewnego stał się rzewnym.

— Kiedyż ja ją Kocham!... — zawołał, jakby tłumacząc się przed siostrą — Kocham nad życie!... a ten stary oszukał mnie!...

— Ale ty tego nie zrobisz, coś powiedział...

— Zrobię!... — krzyknął i gniew zagrzmiał mu w głosie — nie pozwolę żartować z siebie!...

— Panno lubko — wymówił ktoś za panną Karoliną, zachodząc się od płaczu — panno!

Panna Karolina odwróciła się. Za nią stała Handzia.

— To już... kiedy tak... niech mnie panicz... biorą;... mnie wszystko już... jedno.

— Czyż ty ją tylko Kochasz, Wicusiu? — zapytała panna Karolina — czy nie obawiasz się zrobić nieszczęśliwą biedną dziewczynę?

— Gdybym jej nie kochał, tobym się w ten sposób nie kompromitował — odpowiedział pan Wincenty, zmieniając znów wyraz twarzy i ton głosu. — Czemu mnie nie chcesz Handziu?..

— Ale bo ja chcę już chcę... — odparła dziewczyna oblewając się łzami i tuląc się do panny Karoliny.

Jakóbową ze swej strony odezwała się głośnym płaczem i schroniła się pod opiekę panny.

Jakóbowi także stanęły w oczach łzy, które zaraziły i księdza, i Josypa, i Semena, i pannę Karolinę. Popłakali się wszyscy, nawet Radlińscy. Nastąpiła jak mówią Francuzi *une scène larmoyante*, która rozwiązała się... zaręczynami Handzi z panem Wincentym, odbytemi w obec świadków, pobłogosławionemi przez księdza. Dość zabawnemi przy tem wszystkim były miny Radlińskich, których role zmieniły się tak niespodzianie. Wyznać jednakże należy, że przyjęli oni tę zmianę z rezygnacją; młody tylko, pozostający na dal, i kto wie na jak długo, kawalerem na ożenieniu, wpadał chwilami w zadumanie, myśląc o tem, że Jakób nie ma już dziewiętej córki.

Po zaręczynach, godzinę przeszło całe towarzystwo bawiło u Jakóba. Po deszczu następuje pogoda; można więc było spodziewać się, iż po płaczu zajaśnieje radość. Zajaśniała to niby

ona, ale jakoś jesiennie, wymuszenie. Obecni układali twarze do uśmiechu i zamiast uśmiechać się, krzywili ustami. Josyp ruszył konceptem, Jakób próbował żartów, nawet stary Radliński chciał coś dowcipnego powiedzieć, ale nie udawało się im. Obecność dziedzica, który także ze swojej strony robił nieszczęśliwe próby weselości, była niby pętem na języki. Narzeczona, natychmiast po odbyciu ceremonji, wysunęła się do alkierza i tam z matką i panną Karoliną bawiła się płaczem i cichą gawędką. Tak się ta biesiada wlekła, wlekła nudnie, powoli, chociaż Jakób, dla skrócenia czasu, puszczał raz po raz w kurs kieliszek — nieskutkujący z powodu, że pan Wincenty nie dotykał się go — aż nastąpiła chwila rozejścia się.

Pan Wincenty i panna Karolina najpierw opuścili zgromadzenie. Pan Wincenty był zamyślony, posępny;] szedł obok siostry noga za nogą i milczał.

— Wicusiu — rzekła panna Karolina.

— He!... odezwał się pan Wincenty, jakby ze snu obudzony.

— Boję się o ciebie.

— Dla czego?

— Zdeptałeś nogami zwyczaj... przesąd, jeżeli chcesz: czy będziesz mógł wytrwać do końca?

— Czemu nie?... cóż mi przeszkodzi?...

— A ludzie!... a opinja świata!... rzuciłeś im rękawicę, którą oni podejmą i powstaną wszyscy na ciebie...

— A! co mi tam!... do nikogo nie pojedę... nikt nie przyjedzie do mnie... odgrodzę się od świata i ludzi... i co mi kto zrobi?...

— Czy wytrzymasz!

— Przecież wytrzymałem tak długo, że zapomniałem już jak wyglądają polowania i jarmarki...

— A mama!... a Macio!...

Pan Wincenty nic na to nie odpowiedział.

— Wiesz co — ciągnęła panna Karolina — nie trzeba mamie nic o zaręczynach mówić.

— Cóż to pomoże?

— Ja znajdę sposób przygotować ją...

— Sposób! — przerwał pan Wincenty z zadziwieniem — na mamę?... a, to ciekawym tego sposobu!..

— Znajdę — odparła panna Karolina.

W tej chwili czoło jej rozglądziło się, niby jasnością uśmiechu, bo wymawiając wyraz „znajdę“ patrzyła pilnie na drogę, która poprzeciwległej pochyłości szła ku wsi, wijąc się czarną wstęgą pomiędzy zieleniejącymi łąkami. Po tej drodze posuwał się powóz i zjeżdżał ku grobli. Można już było rozpoznać powóz i zaprząg. Był to kocz otwarty, ze spuszczoną budą, ciągniony piątką koui. Toczył się szybko, dziarska piątka wyciągniętym szła klusem.

— Ktoś jedzie — rzuciła panna Karolina od niechcienia.

Pan Wincenty przyłożył dłoń do czoła, popatrzał przez chwilę i powiedział:

— Paprocki... potrzebny!... gdybyż przynajmniej oświadczył się tobie...

— O, mnie już dziś nikt się nie oświadczy!... — westchnąwszy, odrzekła panna Karolina.

Zrozumiał pan Wincenty znaczenie westchnienia i tego: „już dziś“ spojrział na siostrę i przygryzł wargi. W oczach jej świecił wyraz poświęcenia. Wiedziała ona dobrze, iż ożenienie brata było dla niej wyrekiem na staropanieństwo. Ale wolała poświęcić siebie, i już o tem tylko myślała, jak z tej Handzi zrobić kobietę, zdolną odpowiedzieć powołaniu żony i matki w tej sferze społecznej, do której to proste dziewczę wstąpić miało. Wzięcie tego na barki swoje nie zdawało się ciężkiem pannie Karolinie. Nic jednakże nie mówiła o tem bratu: bo prawdziwe poświęcenie ma to do siebie, że nie chwali się na-przód, że nawet nie posiada samowiedzy własnej zasługi. Zdaje się mu, że to co robi, jest powinnością; ulega parciu jakiejś siły, zawartej w sercu, pełni swoje i nie sięga po nagrodę.

Kocz tymczasem zbliżał się. Wtoczył się na groblę, na której palenia z bata rozlegały się, niby pistoletowe wystrzały. Dzielne gniadosze, dobrane pod wzrost i masę, podzwaniając brzękadełkami od lipskich chomątów, zdawało się, że ani czuły ciężaru kocza, tak szły raźnie i swobodnie. Lejcowe sparły się nieco na grobli, zastrzygły uszami, chrapnęły na stare pnie wierzbowe i poczęły cofać się; lecz napomniane furmańskiem „wio! — ha-ho!“ wyrównały się i naciągnęły, jak struny, pociągowe pasy. Za groblą zerwały się konie do wału pod górę ale szarpnięte lejcam, poszły przysadzistym klusem. Przed

bramą dwa razy jeszcze palnął furman z bata, i z całą precyzją furmańskiej sztuki, zatoczył półkole na dziedzińcu i zatrzymał się przed samym gankiem.

Pan Zenon zastał wszystko w porządku, gotowe na przyjęcie gościa. Z sędzią spotkał się w ganku, z sędziną — w bawialnym pokoju, tamże z panną Karoliną, która na kilka minut przed jego przyjazdem powróciła z zaręczyn u Jakóba.

— Sędzina dobrodziejka wygląda, jakby była zaalterowaną.. — rzekł p. Zenon, skończywszy zupełnie całą ceremonję powitania.

— Jestem cierpiącą, panie Zenonie... nerwy...

— Proszę!... sędzina cierpi na nerwy?

— O, cierpię... i bardzo...

— Dawniej sędzina nie cierpiała, o ile przypominam sobie.

— O, zawsze panie Zenonie... o! i dawniej... jestem nerwową... mam słabe, delikatne nerwy... Mąż mój zażywa tabakę. — tu chciała sędzina opowiedzieć trąbienie sędziego i zwalić chorobę na mężowskie ucieranie nosa, ale zacięła się i zająknęła.

— Więc od tabaki? — zagabnął pan Zenon.

— A tak... od odoru... odór mnie drażni... nadzwyczajnie czuła jestem na najdelikatniejszy odór;... odorów znieść nie mogę... Natychmiast doświadczam alteracji, migreny od odoru... Niech tylko jaki odór zkąd zaleci, natychmiast go poczuję... O! odór...

Wtem wszedł pan Wincenty, rozmowa przybrała inny obrót. Pan Wincenty zaproponował fajki. Przyniesiono fajki. Odor tytoniu rozszedł się, napełniając salon i nie wpływając bynajmniej na nerwy szanownej sędziny.

Nie zajmując się szczegółami przyjmowania gościa, jednakożem we wszystkich domach szlacheckich, zatrzymamy się na szczególe, który był właściwym sędzinie w przyjmowaniu pana Zenona, a należał jak wiemy na pozostawieniu go na chwilkę z panną Karoliną. Dziewięćdziesiąty dziewiąty może już raz miał pan Zenon dostarczonem sobie przez sędzinę sam na sam z panną Karoliną i zawsze na próżno. Nie zrażała się jednakże sędzina, dostarczyła sam na sam i setny raz, wymanewrowała tak, że wyprawiwszy z salonu sędziego i pana Wincentego, wyszła w końcu i sama, tłumacząc się potrzebą powąchania jakiejś soli, mającej być niezawodnem na nerwy lekarstwem.

Panna Karolina nie tracąc chwili czasu, natychmiast opowiedziała panu Zenonowi o zaręczynach brata i wezwała pomocy jego.

— A, wie pani, że to *casus fatalis*... przepraszam za łacinę!... — rzekł pan Zenon, wysłuchawszy z uwagą całego zdarzenia, zakrawającego na romans. — A toż narobią wrzasku w okolicy!... cóż pani na to?

Panna Karolina wzruszyła ramionami i stłumiła westchnienie, które się jej z piersi wydzierало, a którego nie zdołała ukryć przed wzrokiem pana Zenona.

— Czy jest na to rada?... nie mówię o odwróceniu Wicusia bo może to dobry wpływ na niego wywrze... nie mówię o papie, bo papa się zgodzi... Ale mama, Macio... mój Boże? — mówiła ze wzruszeniem — Pan tak znasz ludzi, panie Zenonie! czy jest jaki środek wyperswadować im?

— Pozwól mi pani pomyśleć!...

I spuścił pan Zenon głowę i zamyslił się. Zapanowało milczenie, które trwało z kwadrans. Poczem p. Zenon podniósł głowę i rzekł:

— Niech mnie to pani zostawi!...

I zwrócił rozmowę na przedmioty nie mające z tą sprawą związku, i skierował ją potem ku uczuciom, ku potrzebom serca. Mówił o swoim własnym sercu — plątał, kluczył, zachodził i w końcu, przyciskając do ust swoich rękę panny Karoliny i przyklękawszy przed nią na jednym kolanie, formalnie się jej oświadczył.

Panna Karolina zapłonila się, jak powinna była zrobić, i nic nie odpowiadając, nie wrywała ręki swojej z dłoni pana Zenona.

— Mogęż spodziewać się, że maie pani uszczęśliwi? — nacierał pan Zenon.

— Jak mama pozwoli!... — szepnęła panienka.

I w kilka chwil potem, cała ta nowa sprawa wytoczyła się przed mamę, papę, przed pana Wincentego i domowników, i wzięła jak najpomyślniejszy obrót. Rozczulił się nią sędzia i pan Wincenty, rozpromieniła się rozczeniem sędzina i zapomniała o nerwach i odorach. I w kilka chwil jeszcze później pomiędzy rodziną państwa Gajewskich a panem Paprockim pa-

nowała już poufałość rodzinna, mówiono o projektach, planach, o weselu:

— A !... — przerwał pan Zenon — kładę jako warunek z mojej strony, że obydwaj wesela odbędą się razem.

— Jakie... obydwaj?... — zapytała sędzina, zająkując się.

— Moje i Wincentego...

Karolka spojrzała na pana Zenona z wyrazem takiej czułości i miłości, że za ten sam wyraz warto było ją pokochać. Sędzina drgnęła:

— Wincentego !... z kim ?

— Z panną Zahornicką...

I nie dając sędzinie odpowiedzieć, wstał i uściskawszy rękę Wicusia, począł mu wieszować.

— Wiesz, Wincenty — mówił — zazdroścę ci!... Wzniosłeś się po nad przesady... Miałeś odwagę sam jeden stanąć do walki z tem całym gawronstwem, które zakrzyczałoby cię dla tego tylko, żeś uzacnił to uczucie, któreby każdy inny na twojem miejscu sponiewierał... Masz we mnie sprzymierzeńca... i brata — i trząś silnie jego rękę — Postawimy we dwóch czoło światu i zobaczysz, że zwycięstwo po naszej stronie.

Sędzina zapomniała języka w gębie; przymilkła, i kiedy o weselu zagadano znowu, mówiła już o dwóch weselach.

Rzeczywiście, w kilka miesięcy potem, odbyły się w Zahornikach dwa wesela. Handzia wyszła za pana Wincentego a panna Karolina za pana Zenona. Gości na tych weselach prawie nie było. Państwo Maciejostwo, chociaż zaproszeni, nie przyjechali. Siedm starszych córek Jakóba, i ich mężowie, miały wielką ochotę przybyć, ale ich nie proszono, bo nawet Jakób rozesłał rodzaj wici po zięciach, powołując ich do siedzenia w domu. Trzeba było oszczędzać sędzinę, której zawsze, pomimo pana Zenona, Handzia gością w gardle stała. Wzięto dwa śluby, spisano dwie ślubne metryki, spożyto objad — i na tem się skończyło.

Mógłbym i ja skończyć na tych ślubach powieść, gdyby nie jedno jeszcze zdarzenie, które, zapatrując się na nie ze stanowiska filozoficznego, dowodzi wątpliwości ludzkich związków, nawet małżeńskich, a zapatrując się na nie ze stanowiska powieściopisarskiego, mogło by posłużyć jako temat tomowego opowiadania, gdybym jeno mógł wejść na te tajemnicze ścieżki, które je sprowadziły i którymi ono znikło.

Państwo Wincentostwo rozpoczęli pożycie małżeńskie dość dobrze. Handzia popłakiwała z początku, lecz znalazłszy w pani Zenonowej prawdziwego anioła stróża i opiekuna, który z najdelikatniejszą troskliwością kierował jej krokami, utuliła się i przyzwyczajała powoli do podwójnie nowego stanu swego: do powołania pani i żony. Szło jej tem łatwiej, że sędzina ustąpiła z placu, przeniósłszy się *sack und pack* do Maciejostwa, i zostawiwszy u Wincentostwa sędziego, który pod koniec swego utraconego życia zdał się przecie do nauczenia synowej czytać, pisać i rachować, i do rozszerzenia sfery jej wiadomości tak, że pod tym względem stanęła wkrótce na równi z mężem. Pan Wincenty wpadłszy po ożenieniu mimowiednie pod zręczny wpływ pana Zenona, wykierował się na wcale dobrego męża i pana, usatkwował się, zasmakował w gospodarce, zbliżył się i niejako spokrewnił za pośrednictwem żony z gromadą, stał się sprawiedliwym, względnym, wyrozumiałym. Jakób i Jakóbowa pozostali w dworku; Josyp, Semen i inni pozostali czem byli; Maryna i Niema dostały zaopatrzenie wszystkich potrzeb swoich z dworu, które było im bardzo potrzebnem, gdyż Maryna wpadła w jakieś ciche a ciągle roztargnienie, niemogące się nazwać pomięszaniem zmysłów, ale przeszkadzające jej wziąć się do jakiegokolwiek roboty. Nie potrzebują dodawać zkad i z jakich pobudek przyszło jej to zaopatrzenie. Wszystko szło dobrze, jak w niepopsutym zegarku; była jednakże chwila jedna, w której o mało że wszystko nie pękło i nie rozbiło się, tak zupełnie, jak gdyby np. główna sprężyna zegarka wyskoczyła nagle.

Handzia ciągle, od pierwszej chwili wejścia w związki małżeńskie, znajdowała się pod wpływem jakowejś nieopisanej tęsknicy. W pańskim stroju i otoczeniu, wydelikaciwszy sobie pończochami nogi, a rękawiczkami ręce, wypiękniawszy nawet, wyglądała niby ofiara. Zmuszała się ona do uśmiechów, szczególnie przy mężu, przymilała się do staruszka sędziego, do któ-

rego szczerze poczuła przywiązanie; z nieudaną radością witała i pieściła panią Zenonową, ile razy ta przyjechała, a przyjeżdżała bardzo często, bo mieszkała bliżutko; a jednakże, zostawszy samą, wpadała w smętne zamyślenie, pochylała główkę, w pierśiach czuła jakieś ściśnienie, z za powiek występowały łzy, i, jakby lubując się w tym smutku, szukała samotności. We dworze, na pokojach znajdowała ją rzadko: wszędzie ludzie patrzyli na nią. Ale za dworem — jak wiemy — ciągnął się duży ogród, który, po za obrębem małego, przed parapetowemi drzwiami jakby na pokaz znajdującego się, nieco wykwintniejszego urządzenia, był po prostu lasem owocowych drzew, zarosniętym grubemi a wysokimi czereśzniami, rozłożystemi jabłoniami i gruszami, stożkowo wystrzelonemi śliwami i bukociastemi wiśniami. Konary ich zachodziły z jednych na drugie, gałęzie się splatały, liście mięszały. Formowały one rodzaj nieregularnego sklepienia, podziurawionego gdzie niedzie dużemi otworami, pokłótego wszędzie drobnemi pomiędzy liśćmi dziurkami, przez które siało się światło i ruchomym, drżącym blaskiem zalewało trawę i krzaki, rosnące obficie pomiędzy pniami drzew. Trawa pomieszana była z ziołami, kwiatami, i w głębi jej znaleźć można było wiosną małe, wypukłe, niby guziki, przrastające do ziemi opięki i różowe grona poziomek. Krajami sadu, wzdłuż płotów, bujno rosły burzany przedceptywane przypadkowym sposobem ścieżkami, widnemi tylko po rozchyleniu łodyg i zacierającemi ślady swoje, za pierwszym wiatrem, który wyprostował łodygi. Sypanych ulic, strzyżonych szpalerów, altan — ani znaku nie było w tym ogrodzie. W nim lubiła Handzia szukać schronienia, ile razy sama z sobą być chciała. Niekiedy w dzień usiadała pod jakimś krzakiem, w trawie, i przesiadywała godziny całe; zawsze wieczorem jej postać, niby widmo jakie, błędziła między drzewami.

W kilka miesięcy po ślubie, kiedy pożycie jej domowe weszło na tor regularny, kiedy już prawie oswoiła się ze swoim stanem i położeniem, wyszła Handzia wieczorem do ogrodu i zagłębiła się w gęstwinę drzew. Była to już jesień — nie ta późna, która obnaża drzewa, ale ta, co farbuje liście, posypując zielone tło ich pstroczoną żółtych, pomarańczowych i ciemnopurpurowych kolorów. Burzany jeszcze stały, niezwarzone mrozem, chwiejąc splewiałemi kitami nasion, pochylającemi się na zbielejących ło-

dygach, nad ciemnozielonem podszyciem dolnych gałązek i pokrzyw i pełzających przy ziemi łopuchów i chwastów. Wiatr szumiał po drzewach — tęskno, ponuro — zwyczajnie wiatr jesienny. Na niebie nie było księżycy, nie było i gwiazd, bo je chmura przysłoniła. Handzia zagłębiwszy się w ogród, utonęła w ciemnościach, zwiększonych gęstwiną drzew i przykryciem liściowego sklepienia, i szła powoli, zatrzymując się co chwila. Szum jesiennego wiatru nawiewał jej nieopisany smutek do duszy.

— Jak ten wiatr, tak moja dola — mówiła do siebie — panuje, ale płacze... Gdzież on teraz?... co się z nim biednym dzieje?... ja w pańskich wygodach... a on!...

I oparła się rękoma o drzewo i zapłakała.

— Gdybym przynajmniej dowiedziała się, że on nie cierpi... Boże mój, Boże!... byłoby mi lżej na sercu... Już on moim być nie może... ale...

Nagle oderwała się od drzewa, Izy jej zatrzymały się, wyprostowała się i wyteżyła słuch. Z głębi sadu, niby wiatr przywiał jej wołanie lubego a znanego głosu. O uszy jej obił się wyraz: „Handziu!“ wymówiony gdzieś, w ogrodzie pomiędzy krzakami. Wydało się jej, jakoby głos ten odezwał się w stronie, z której ogród z polem graniczył. Nie zastanawiając się więc ani na chwilę, jakby jakaś czarodziejska, potężna pociągnęła ją siłą, pobiegła w tę stronę, sunąc i szeleszcząc suknią po krzakach. I zatrzymała się, wsłuchując.

Znów, tylko nieco dalej, odezwało się wołanie:

— Handziu!...

Handzia znów pobiegła.

Powiadają, że wołania podobne, na moczarach i bagniskach, nęcą ludzi i wciągają ich na topiele. Powiadają, że nie ma sposobu oprzeć się im. Nie jeden młody i stary człowiek, nie jedna kobieta i dziewczyna, zginęli tak bez wieści, znęcani czarodziejskim głosem, wymawiającym imię ich i zawlekającym ich coraz dalej i dalej, póty, póki aż nie zabraknie im ziemi pod nogami. Zdawało się, że jeden z takich głosów uwlekał Handzię, wywołując ją z ogrodu, gdyż zatrzymawszy się powtórnie, znowu pobiegła, ulegając sile ciągnienia, zawartego w powtórzonym po raz trzeci wołaniu:

— Handziu!...

Tym razem zatrzymała się w pół-biegu, spotkawszy się z jakimś człowiekiem, który stanął przed nią, jakby raptem z ziemi wyrósł, i ujął ją za rękę. Strwożona krzyknęła, spojrziała i drżąc całym ciałem przytulila główkę do piersi tego człowieka. Człowiek ogarnął ręką jej kibić i nachylił usta do jej ucha.

— Handziu!... Handziu!... — rzekł tonem wymówki.

— Mój luby!... mój miły!... — szeptała Handzia.

Otoczyła ramieniem szyję czarodzieja, który ją, żonę i panię, niby zaklęciem zmienił w kochankę, i gorącym, namiętym pocałunkiem, spoiła usta jego ze swojemi.

— Chodź ze mną... ze mną!... — cichym głosem mówił Sydor: był to on bowiem, czego zapewne domyślił się czytelnik.

Handzia nie nie odpowiadała. Ona w pocałunek pół sił swoich włożyła, — w pocałunku tym pół przytomności straciła. Gorącemi usty szukała ust kochanka, pięła się do nich — i oto była cała jej mowa. Zapomniała o świecie, o sobie, o wszystkim. W pocałunku tym zlało się i stopiło całe jej istnienie, był to pierwszy dla niej pocałunek miłości.

— Chodź... pójdziemy na kraj świata... zaniosę ciebie, jak dziecinę.

I wymówiwszy to, schylił się Sydor, podniósł Handzię, wziął ją jak dziecko na rękę, i poszedł. Oczy jego, niby wilcze, w ciemnościach błyszczały. Darł się przez krzaki i między drzewa, chroniąc w pół wygiętą i wyciągniętą lewą ręką główkę Handzi od gałęzi i prętów, i pochylając się niekiedy z drogim swoim ciężarem w ciasniejszych przejściach. Wydostał się narreszcie z pomiędzy drzew w burzany, i zatrzymanym został przez jakiegoś człowieka, który, zdaje się, oczekiwał tam na niego.

— A to co?.. — zapytał ów człowiek, zastępując Sydrowi drogę.

— To Handzia!... chodźmy dziadu!... chodźmy prędko!... nie zatrzymuj mnie!...

— Rzuć to!... — powiedział dziad rozkazującym tonem, ujmując silnie Sydora za rękę.

— Chodźmy!... — mówił Sydor.

— Rzuć to!.. — powtórzył dziad.

Sydor chciał iść naprzód, ku parkanowi, lecz dziad porwał go obiema rękami i zatrzymał.

— Dziadu!... zlituj się... puść... chodźmy!...

— Rzuć to!... — była, coraz groźniej wymawiana, odpowiedź dziada.

— A samiż, dziaduniu, mówiliście mi, jakieście ukończyli malowanie cerkwi, żebym uciekał ze skarbem, jeżeli go znajde... — proszącym głosem mówił Sydor.

— Jeżeli znajdziesz, ale nie jeżeli ukradniesz... Zabrali ci twój skarb; nie masz prawa odkradać go... Rzuć to!...

-- Dziadu!... zlituj się...

— Cóżes mi przyrzekł i poprzysiągł, składając palce na krzyż?... że się pomodlisz tylko na grobie ojca i popatrzysz z daleka na matkę i Handzię!... Pamiętaj, krzyż ten pobije cię!... nie byłeś świętokradcą, a zostaniesz nim!...

Sydor na te słowa, spuścił powoli Handzię z rąk na ziemię.

— Pomodliłeś się na grobie ojca... popatrzyłeś się na matkę i na Handzię... Więcej nie wolno ci w rodzinnej wsi... Chodź!...

I ująwszy Sydora za rękaw od świty, powłókł go dziad za sobą.

Handzia, chwiejącym krokiem, zawlokła się do dworu bez przytomności. Gorączka ją paliła. Położyła się do łóżka. Otoczyli ją doktorami, lekarstwami, staraniami. Pani Zenonowa przez kilka tygodni nie odstępowała jej. I uratowali ją od śmierci, chociaż była jej blizką. Wspomnienie o tem zdarzeniu w ogrodzie pozostało jej w pamięci, jak sen. Chodziła potem po ogrodzie, i dniem i wieczorami, bardzo często i długo, ale nie już jej podobnego nie spotkało.

Widziałem panią Wincentową w piętnaście lat później. Była jeszcze niebezpiecznie piękną, pomimo że miała pięcioro dzieci. Opowiadano o niej, że była dobrą żoną, wzorową matką, przykładną gospodynią, i — bardzo szczęśliwą w małżeńskim poźyciu: gdyż pan Wincenty nie przestawał ją kochać i nawet okazywał skłonności do ojcowskiej *uczciwości*, ale Handzia, albo

raczej pani Anna Gajewska, jak niebo do ziemi, podobną była do sędziny.

Co się zaś stało z Sydorem?... Zkąd on i jakim sposobem — wraz z dziadem-malarzem — wziął się w Zahornikach? — dokąd się ztamtąd udał? — co z sobą zrobił? — dalibóg-że nie wiem...

K O N I E C.

SZANDOR KOWACZ.

I.

Wiele słyszałem muzyk narodowych, rozmaite widywałem tańce, ale — wyznać muszę — bardziej porywającej muzyki nie słyszałem, tańca szaleńszego nie widziałem, nad węgierskiego *czardasza*. W nim nuta i tancerz zlewają się w jedno. Patrząc na tancerza, zdaje się, że pływa on na tonach, które — rozhu-kane, rozwścieklone — miotają nim, jak wicher na morzu miota ledziuchną łódką. Wyptywa z początku poważnie, zwolna sunie ku tancerce i odchodzi od niej; lecz powoli, stopniowo rozognia się, tony owiewają go, porywają, oblicze i oczy rozplamieniają się jakimś rodzajem zachwyty i już w tańczeniu jego, nie w takt stawiane regularne widzisz kroki, lecz szalone jakieś rzuty, przypadające do taktu dla tego tylko, że nuta muzyki targa Węgrem, miota nim, posuwa i cofa, lub zatrzymując na miejscu, zmusza go przebierać nogami i podskakiwać z jakimś dziwnym rodzajem konwulsyjnego w całym ciele drgania. Węgier rozrywa wówczas odzienie na piersi, przesuwając kapelusz lub czapkę na bakier, dłoń prawej ręki od czasu do czasu za ucho przykładając, z piersi jego mimowolnie i chrapliwie wydzierają się okrzyki: „haj-hu!“ — i hula. Muzyka owłada nim całkowicie. Lejące się tony, leją się niby na koło młyńskie i obracają nim, pędzą go, co raz gwałtowniej i gwałtowniej.

Muzyką Węgrów rozprowadzić, zdaje się, możnaby po krańcach świata, a rozprowadziwszy, możnaby zwołać ich do środka, postawiwszy na środku bandę Cyganów i kazawszy grać im *Rakocego* lub *Czardasza*. *Rakocy* (stary i odwieczny marsz narodowy) i *Czardasz* (taniec narodowy) wywierają na nich

wpływ ogromny. Niech tylko Węgry zdaleka zaleci nuta Rakociego, natychmiast — jakby go co podniosło — stanie, wyprostuje się po żołniersku, nachmurzy brwi, pokręci wąs — i poczyna isć, maszerować. Niech tylko banda włóczących się muzykantów, którymi zawsze są Cygani, zaszedłszy do wsi lub miasteczka, zatrzyma się na ulicy i zagra Czardasza, natychmiast otoczą ją starzy i mali.

Nie przeto dziwnego, że tyle ludzi zchodzi się do starego Sawy Simicza. Z podwórza jego rozlega się granie i jak daleko echem sięga, z tak daleka gości ściąga. Kto zasłyszy to i idzie, i zebrało się ludzi dużo — zeszedli się wszyscy sąsiedzi i wielu niesąsiadów, a sąsiedzi nie przysłali reprezentantów w jednej lub w dwóch osobach z każdego domu, ale stawili się całymi familjami — mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci. Terazby złodziejowi zrobić połów obfity!... Nie potrzebowałby czekać nocy — niktby go nie spostrzegł: mógłby wozem zajechać na przedmieście i zabierać z domów, coby mu się spodobało. Wszędzie pustki, jakby po morowej zarazie. Jeszcze dobrze, jeżeli kto, wychodząc, zamknął drzwi i wrota za sobą. Niektórzy pozostawiali domy otworem — tak im spieszo było do Sawy Simicza i tak zapominali o wszystkim, gdy oczarowała ich rozlegająca się w powietrzu melodia Czardasza, która ich ciągnęła niby śpiew Syreny. Dobrze, że złodziej nie nadarzył się — ale gdyby nadarzył się, cała wina spadłaby na Cyganów, jak nieraz, może najniewinniej, spada na nich. Powstałyby krzyki:

— Grali!... na to umyślnie, aby zabałamucić ludzi!... jedni grali, a drudzy kradli! *a terem-tiszen!*...

I klęliby Węgry na czem świat stoi, obliczając matki cygańskie, ojców i bogów cygańskich, ich dusze przodków i potomków, chociaż nie zawsze słusznie, gdyż częstokroć Cygani najmniejszego udziału w kradzieży nie mają. Ot, jak ci naprzykład, którzy u Sawy Simicza na podwórzu grają. Ktoby ich śmiało o co złego podejrywać!... Robią swoje i tak zdają się być zajęci i przejęci granie, tak mu się całą duszą oddają, że niepodobna, aby co innego mogło ich kiedy w życiu zajmować. Jest ich czterech: jeden ze skrzypką stoi na przodzie, a trzech inni — z klarynetem, trąbką i bębenkiem — za nim. Skrzypka wieździe rej, a grający na niej muzykant pod każdym względem

zasługuje na to, aby prowadził rej. Żeby przekonać się o tem, dość obejrzeć go od stóp do głowy. Od razu poznać w nim Cygana, bo śniady i czarnowłosy i ma w twarzy ten wyraz, na poły złośliwy i łagodny, na poły zuchwały i pokorny, który cechuje Cyganów; lecz z po za tego wyrazu przebija się jakieś zaufanie w siebie, jakieś przejęcie się poczuciem własnej godności!... Nie małaż bo to godność — być przewodnikiem orkiestry — mistrzować sercom ludu, przewodnicząc im w radości i prowadząc je do niej!... Smyczkiem swoim wodzi on po strunach, a serca ludzkie drżą, jakby mu się podstawiały pod smyczek. Snadź rozumie to Cygan, bo jakoś hardo i butnie wygląda. Opart od niechcenia skrzypce o piersi, przekreślił je bokiem i od niechcenia przebiera palcami po strunach i lata po nich smyczkiem i zdaje się, że to nie on gra, ale instrument sam przez się wydaje z siebie tony, śpiewa niby ptak, który zamiast na gałęzi, usiadł na piersi Cygana. Czarne, gęste włosy, połyskujące jak pióra krucze, lecz wcale niestarannie utrzymane, rozpadają się beztładnie po głowie i czole. Czolo podniesione, oczy błędzą gdzieś po horyzoncie niebieskim, noga prawa wyciągniona na przód, znaczy takt podnoszeniem i opuszczaniem stopy, bez odejmowania pięty od ziemi. W ubiorze widać fantastyczną wymyślność w połączeniu z nieporządkiem i nieczystością. Na obcisłych spodniach huzarskich, bardzo suto na wszystkich szwach wyszytych i jeszcze nowych, odbija się kilka dużych plam. Bóty także huzarskie i także nowe, ozdobione u wierzchu cholew obszyciem i kutasem, raz tylko widać i to u szewca spotkały się z szuwaksem. Grzbiet okryty starym granatowym spencerem, z pod którego wygląda straszliwie brudna koszula, nie związana pod szyją i podarta na piersiach i wystawiona na widok publiczny — gdyż Cygan lewą klapę od spencera zarzucił aż na ramię, zsunąwszy nieco rękaw, dla tego zapewne, aby mu odzież nie zawadzała w granu. Za nim stali szeregiem trzech, jego towarzysze, o których, jako o podrzędniejszych figurach, pisać nie będę, a przed nim roztaczały się szranki taneczne, otoczone gęstem kołem widzów.

Nie wiem doprawdy o kim pierwiej pisać — o widzach czy o tanecznikach; bo i jedni i drudzy na jednakową zasługują uwagę; lecz, ponieważ ważniejszą jest rola taneczników, przeto odłożę ich na koniec.

Widzowie nie samym tylko wzrokiem brali udział w zabawie. Nuta czardasza wpływała i na nich i sprawiała na muszkułach ich ciał galwaniczne wstrząśnienia. Starzy ludzie pokiwywali głowami, ruszali twarzami i brwiami, i od czasu do czasu jakby z przestachu rzucali ramionami. Baby uśmiechały się ciągle trwającym uśmiechem i prostowały się, jakby je co podnosiło. Dzieci pootwierały gęby, powkladały w nie palce i machinalnie przestępowały z nogi na nogę. A cały ten tłum ściśnionych starców, bab i dzieci parł się ku środkowi, tylne szeregi wspinały się na grzbiety przednich, jakby im wszystkim koniecznie o to chodziło, aby widzieć tańczących, aby nie tylko poić muzyką słuch, lecz jeszcze widokiem czardasza karmić wzrok — jakby nigdy czardasza nie widzieli, nie słyszeli.

Słyszeli go oni nie raz i nie sto razy, a jednakże tym razem warto było nań popatrzeć, bo wystąpiła w nim para, która nigdy jeszcze tańcząca razem, nie była widziana. Było par dużo-dziesięć a może i więcej — i żadnej nie brakło na ochocie. Dziewczęta, ujawszy palcami fartuszki i pospuszczawszy oczy, niby pływały przed chłopcami, którzy srożyli się i junačili, pobrzękując ostrogami, chociaż to nie byli żołnierze ni kawalerzyści, ale byli.. Węgrami, a Węgier, bez ostróg, jest jakby niepełnym człowiekiem. *Madiar-ember**) musi mieć koniecznie ostrogi, szczególnie występując w czardaszu. Jest to narodowe uprzedzenie, posunięte do takiego stopnia, iż Węgrzy mniemają, jakoby ich kraina miała osobnego swego boga i jakoby bóg węgierski nosił ostrogi i ubierał się po huzarsku. Jest w tem jakiś zabytek pogańskich wyobrażeń, które chrześcijanizm tylko zmodyfikował, lecz ich bynajmniej nie zatarł. Madiar ma siebie za najszlachetniejszą w całej ludzkości istotę, a wszystko swoje uważa za najlepsze i chociażbyś mu perswadował i dowiódł jak najdokładniej, że chodzącemu piechotą człowiekowi niepotrzebne są ostrogi, a w tańcu zawadzają, Węgier wysłucha, przekona się, ale ostróg nie zrzuci. To też wszyscy prawie młodzi ludzie, tańczący na podwórzu Sawy Simicza, byli przy ostrogach i ubrani byli nie ze wszystkim po huzarsku, ale tak, że w stroju każdego z nich, jakaś część była huzarską; jeżeli nie buty, to spodnie, nie spodnie to spencer, nie spencer to bodaj

*) *Magyar-ember* — madiar-człowiek — tak Węgrzy nazywają siebie.

czapeczka, a jeżeli nie czapeczkę miał na głowie, to kapelusz z piórem i szeroką wstążką. Dziewczęta miały na sobie stroje różnobarwne, w których także coś huzarskiego przebijało, występując to w szamerowaniach na kaftanikach i stanikach, to w wyszywaniach na spodniczkach. Spojrzawszy na tę gromadę ludzi, starych i młodych, mężczyzn i kobiet od razu poznać można było, że należy ona do narodu żołnierskiego, mającego i w pokoju nawet gusta rycerskie, które nie mając do czego innego, zastosowuje do powszedniości codziennego żywota: do ubrania, do sposobów mówienia, obchodzenia się, słowem — do wszystkiego.

Wesoło szły tańce młodzieży i żywym zajęciem przejmowały widzów. Młodzież ta i widzowie ci, wszyscy bez wyjątku należeli do średniej klasy mieszkańców krainy węgierskiej. Nie byli oni ni szlachtą, ni wieśniakami, lecz mieszczanami, obywatelami jednego z królewskich miast, nazywającego się Szegiedyn.

Znanem jest w świecie nazwisko Szegiedyna. Nie jest ono z liczby owych tysięcy miast, rozrzuconych po powierzchni Europy, które niedość nazwać, trzeba jeszcze napisać, gdzie które z nich leży. Każdy wie, że Szegiedyn leży nad Cissą, w tem miejscu, w którym do rzeki tej wpada druga rzeka, Marosz; lecz każdy, wiedząc o tem z mapy, zna tylko malusieńkie kółeczko, reprezentujące Szegiedyn i dwie wężykowato nakreślone kreski, z których wzdłuż jednej, idącej od północy na południe, napisano: *Cissa* (*Tissa* albo *Theis*), wzdłuż drugiej, kręto przebiegającej ze wschodu na zachód — *Marosz* (*Maros*). I tyle. A kto jest ciekawszym, wyszuka statystykę i dowie się z niej o ilości mieszkańców Szegiedyna, o ich zamożności i zatrudnieniach; a zajrzawszy do historii, znajdzie w niej karty zapisane czynami obchodzącemi ludzkość, których teatrem był Szegiedyn; przeczyta o walkach z Turkami, o bohaterstwie Zriniego, i może niedokładność geograficzną uzupełnić sobie własną wyobraźnią: wężykowate kreski rozedmie w rzeki, kółeczko rozrzuci miastem, postawi zamek albo twierdzę, którą otoczy zębczastemi murami lub wałami z fosą i strzelnicami, i będzie mógł na takim tle, dzierzgać sobie jaki zechce obraz. I w obrazie tym, wyznać muszę, znajdzie się zawsze cokolwiek prawdy, bo rzeki do rzek, a miasta do miast tak są podobne w głównych rysach,

że aby je jedne od drugich rozróżnić, potrzeba różnice wyszukiwać w szczegółach. Tak naprz. Cissę możnaby przyrównać do naszej Wisły, bo nie tylko, że płynie wśród równin, ale taką samą w wyobraźni narodowej odegrywa rolę, nazywając się madiarską rzeką, pomimo, że ten tytuł należałby się i Dunajowi, dla tego samego, że nad nim leży stolica kraju. Lecz za to nad Cissą więcej skupiło się madiarszczyzny, gęstsza i czystsza masa w jej dolinie osiedli Jazygi i Kumani — to jądro narodowości madiarskiej, do niej lub do jej przytoków przylegają: Tokaj, Tissa-Füred, Solnok, Jagier (Erlau), nią oblane są równiny, na których leży Debreczin. Różnica pomiędzy Wisłą a Cissą zależy na tem, że ta ostatnia, na pewnym dość długim ciągu przebiegu swego, ma pokryte trzęsawiskami wybrzeża, a wody jej tak są mętne, a takie żółte, jakby na poły z gliną były pomieszane. Marosz zaś, w górnej swej części do Dniestru, w dolnej — od Arađu do Szegiedyna — do którejś z poleskich naszych rzek, możnaby przyrównać. W tej ostatniej części towarzyszą jej błota i moczary, porośłe w niektórych miejscach trzcina i osoką, w innych wierzbina i łożą. Wśród wierzb i łożyny, ozieniona i ocieniona, wpada ona do Cissy i wspólnie z nią aż do Dunaju toczy wody swoje.

Prawy brzeg Maroszy wygląda u ujścia niby ogromny ogród, niby las ostrym kątem pomiędzy dwie wciskający się rzeki. Lecz zawiódłby się srodze, ktoby po tym ogrodzie czy lesie zechciał pochodzić. Są tam przejścia ale tajemnicze; chodzą tam ludzie, ale tylko tacy, którzy przykładem starszych lub wielkim trudem, okupionym własnem doświadczeniem, nauczyli się stawiać kroki swoje tak, aby wymijając trzęsawiczne otchłanie, stawiać je na kępkach lub na splatających się korzeniach wodnych, drzew i roślin. Jest tam przejście i wyraźniejsze, ciągnące się nakształt grobli, krajem nad brzegami obu rzek, które odkrywa się tylko latem, gdy wody zniżą się. i służy do holowania idących pod wodę statków. Przejścia zaś wewnętrzne, tajemnicze, służą dla myśliwych i rybaków, ścigających tam wodne ptactwo i ryby, będące jednymi mieszkańcami tych widel, które prawe wybrzeże Maroszy formuje z lewem Cissy.

Przeciwnie tym widłom wybrzeże Cissy, wygląda także jak ogród, z tą jednakże różnicą, że pośród drzew przezierają

białe ściany domków i czerwone ich dachy, wyskakujące jedne po nad drzewa, drugie osłonięte konarami tak, że ledwo, ledwo dojrzeć je można. Rozrzucone są one bezładnie na dość znacznej przestrzeni prawego brzegu Cissy i formują duży, zielony, nieregularny kwadrat albo raczej szmat, którego jedną stroną jest Cissa, drugą miasto, a dwoma innymi pola. Jest to północne przedmieście Szegiedyna, stanowiące pewną symetrię z wierzbowym lasem lewego brzegu rzeki, która zdaje się, jakoby jeden bór rozdzieliła korytem swoim na dwie połowy, dla tego, aby podpłynąć pod stopy Szegiedynu.

Szegiedyn w owym czasie, z którego jest wyjęte to opowiadanie, tak jak dziś rozsiadał się na obu wybrzeżach Cissy, lecz główną masą swoją leży na prawem, a na lewe przeczucił się kilkudziesięciu zaledwie domami, jakby na to tylko, aby nie pozostawić opróżnionym podniesionego nieco gruntu, który wydał się i cyplem wsunął pomiędzy Maroszę i Cissę, stanowiąc kontrast z symetrycznym do niego przeciwnym wybrzeżem Maroszy: — tu miasto, tam zielone i głuche trzęsawiska. Szegiedyn dziś nie wyróżnia się niczem szczególnem. Jest to miasto na wzór i podobieństwo wszystkich miast europejskich: ma brukowane ulice, rynki, domy piętrowe i niepiętrowe, sklepy, szyldy, kościoły. Na niektórych mapach znaczą go gwiazdką, jak twierdzą, lecz twierdzą, nie można nazwać starego, zaniedbanego zamczyska, leżącego w środku miasta, wśród domów i zabudowań, dominującego wprawdzie, ale bynajmniej do żadnego wojennego, wyjąwszy na magazyny, składy lub więzienie, nie mogącego służyć użytku. W dawnych czasach było ono twierdzą i stawiało groźny opór Turkom, dziś jest tylko malowniczym pomnikiem przeszłości, wznoszącym się po nad nowoczesnym miastem i przesłiznie prezentującym się, gdy się nań patrzy z lewego wybrzeża Cissy. Uwydatniają się wówczas czerwone jego mury, zęby i strzelnice, a uwydatniają się tym kolorem poczerńiałej czerwoności, zbitej czasem i niepogodami, która nasuwa na myśl wieki. Widzicie je podniesionem na wzgórzu i otoczonem do koła, niby potomstwem, domami miasta, które mu służą, niby pstry piedestał, oddzielający je od Cissy i od zielonego przedmieścia.

Na tem to przedmieściu stał w czasie naszego opowiadania domek Sawy Simicza, na podwórzu którego grzmiała muzyka,

szły tańce, które zgromadziły przedmieszczanów, jakby na obchód uroczystego jakiego familijnego święta. Był to rzeczywiście obchód, ale nie było żadnego święta, ani publicznego, ani familijnego, ani nawet nie była to niedziela. Skądże przyszło staremu Simiczowi, który znanym był powszechnie, jako bardzo oszczędny i skrzętny człowiek, nie wyrzucający grosza na zabawy, sprosić gości, przywołać muzykę i sprawić zabawę? — Dziwiliby się temu ludzie, gdyby nie wiedzieli, że powodem tej hojności było przybycie Szandora Kowacza.

Od dawna, bo prawie od początku roku Simicz zapowiadał:

— No, w tym roku przyjdzie nareszcie Szandor!... Trzeba go będzie przyjąć, jak należy, aby od razu podobało mu się rodzinne gniazdo.

I powtarzał to codziennie każdemu kogo spotkał, i każdy wiedział, że Simicz o nikim nie myśli, tylko o Szandorze, i dla tego, kto się tylko z nim spotkał, uprzedzał go zapytaniem:

— Kiedyż Szandor przyjdzie?

— Dziś, może jutro — odpowiadał Simicz — powinienby przyjść niezadługo, bo mi się śniło, że jakichś obcych ludzi do domu mego wprowadzał.. Ale jakichże obcych mógłbym wprowadzać?... Chyba tylko Szandora, który nie jest ani synem, ani żadnym moim krewniakiem... To Szandor przyjdzie, nie kto inny tylko Szandor, i to nie zadługo.

To jednakże Simiczowe „niezadługo“ ciągnęło się przez trzy ćwierci roku bez mała. Przeszła zima — Szandora nie było; minęła wiosna — o Szandorze nikt wieści do Szegiedynu nie przyniósł; przeminęło i lato, bez wieści o nim, aż nakoniec w jesieni zjawił się niespodzianie, jakby z nieba spadł.

Simicz uradował się, ale nie zdziwił.

— Wyglądam ciebie od rana — rzekł po przywitaniach — byłem pewny, że dziś przyjdiesz... No siadajże i odpoczywaj.

Szandor rozglądał się po izbie i rozdawał powitania domownikom Simicza, którzy stali przed nim w postaci dwóch kobiet — niemłodej i młodziutkiej; a twarze tych kobiet jaśniały uśmiechami radości. Coś one mówiły do Szandora, lecz Simicz przerwał:

— Będziecie mieli czas nagadać się, ile się wam podoba!... teraz dajcie mu odpocząć.

Posadził Szandora przy stole, sam usiadł naprzeciwko, a pomiędzy sobą a nim postawił kufel z jagierskim winem.

— Już ludzie zaczęli śmiać się ze mnie — powiadał — zapytywali mnie, kiedy przyjdiesz, a ja ciągle odpowiadałem: dziś... Omyliłem się ze trzysta razy, ale przecie raz zgadłem...

I śmiał się stary, nietyle z trzechsetkrotnych omyłek swoich, ile z radości, jaką mu sprawiał widok Szandora, któremu ciągle coś prawił, którego ciągle o coś zapytywał, a nigdy nie dawał mu odpowiadać.

Wieść o przybyciu Szandora gruchnęła natomiast po przedmieściu i za stołem, przy którym Simicz z Szandorem siedzieli, poczęły jedna po drugiej zasiadać rozmaite postacie, które wszystkie spieszyły z powitaniem przybysza i z powinszowaniem staremu, że nakoniec doczekał się długo wyglądanego gościa. Na stole pojawiały się kufle i puhary. Rozmowa przemieniła się w gwar. Każdy mówił, mówił głośno, jedni drugim przeszkadzali ale nikt nie gniewał się. Aż ktoś krzyknął raptem.

— Banda!... 1)

I wszyscy umilkli na chwilę.

— Banda!... — powtórzyli chórem.

— *B. ... a terem ticzen, a zania!...* — wołali Węgrzy, klnąc na oznakę radości — nie mogła zjawić się w lepszą porę!... Ci Cygani muszą mieć djabła w sobie, bo nigdy po nich posyłać nie trzeba!...

Simicz wstał i wyszedł na podwórze. Cygani uszykowali się i poczęli grać — i zaimprovizowała się zabawa. Ludzie zeszli się na podwórze, a w izbie na stole, stały dla nich kufle z winem. Kto chciał, zaglądał do izby; kto nie chciał — poprzestawał na tańcach i muzyce. Nie było proszenia ni przymusów. Pili, bawili się, idąc za głosem własnego upodobania i pociągu do zabawy, której pogoda sprzyjała, pogoda jesienna, ale jasna, sucha i ciepła.

Dowiedzionem to już jest i doświadczonem powszechnie, że najlepiej zwykle udaje się zabawa nieproszona, kiedy to serca ludzkie rozweselą się, niewiedzieć zdaje się od czego, kiedy je ogarnie szal jakiś, opanuje jakiś rodzaj zapomnienia się, skutkiem którego człowiek chciałby się śmiać i śmiać, skakać,

1) Banda-orkiestra.

biegać, wywracać koziółki, jak dziecko, jakby raptem znikły dla niego te lata, które nakazują mu być poważnym. Zapomnienie się takie nigdy nie przytrafia się na etykietalnych, konwencjonalnych zgromadzeniach, zwanych balami, na których każdy ma w sercu rodzaj termometru, mierzącego stopień podniesienia się temperatury krwi. Zbyt podniesiona temperatura nazywa się nieprzyzwoitością, od której każdy zasłania się odmierzoną uśmiechem, odmierzoną ruchem, odmierzoną wylaniem się radości.

U Sawy Simicza nikt nie zastanawiał się nad znaczeniem tego wyrazu: „przyzwoitość“. Komu wezbrało serce, to krzyknął, albo tupnął jak mu się zdawało najlepiej, i nie troszczył się, czy to się komu podoba lub nie. Okrzyki: „haj-hu!“ i oderwane jakoweś wyrazy, głoszące radość, rozlegały się co chwila. Jedni drugim dodawali ochoty.

Jakem powiedział wyżej, pomiędzy tańczącymi była jedna para, którą szczególnie zajmowała wszystkich. Parą tą był Szandor i młode siedemnastoletnie dziewczę, ale tak cudnie śliczne, że rzeczywiście warto było zajmować się niem. Dobraliz bo się oni!. Gdyż i Szandorowi natura nie poskąpiła urody. On silny, mocno i szykownie zbudowany, młody, bo nie więcej jak dwadzieścia dwa lat wieku liczący, ona smukła, wiotka, prawdziwy rozkwitający z pączka kwiatek, który niezupełnie się jeszcze rozwinął, ale pokazał już światu to, co ma najpiękniejszego. Szandor wyglądał na prawdziwego Madiara: był bowiem brunetem, rysy twarzy miał wydatne, ostre, chociaż młodość zaokrągląła wydatności, wypełniając je czerstwem, zdrowym ciałem, nieco śniadawem i w samą miarę ukolorowanem lekkimi rumieńcami. Nos, oczy, czoło, usta były kształtne i regularne. Na zwierzchniej wardze zamszył mu się gęsty wąs czarny, zapowiadający zawieszistość i odbijający doskonale od zuchowatości, która była ogólnym wyrazem, rozlanym na całej postawie i na twarzy Szandora i strzelającym mu z oczu. Patrzał on — wyrażając się technicznym terminem — na oczajduszę.

Dziewczyna zaś wcale inaczej wyglądała: bo naprzód — kto zna Węgrów, nie wziął by jej za Węgierkę, a powtóre — była taką lekką, taką jakąś, że tak powiem, przezroczystą, jakby nie do ziemskich istot należała. Może można taką odmalować, ale opisać takiej nie można, bo nie podobna tak dobrać

wyrazów, aby niemi dać dokładne wyobrażenie o złotawym kolorze jej włosów, o przejrzystości jej błękitnych oczu, o zagięciu jej brwi, o gładkości i pogodzie jej czoła, o kształcie ustek i noska, o całym nakoniec wyrazie oblicza, które jakoś i dumnie, i lekliwie, i łagodnie, i czule na świat boży patrzyło, a tak ku sobie pociągało, że kazało się kochać i szanować. A z twarzą harmoniowała cała postać, owiana dziwnym urokiem piękności i tej prawdziwie niewieściej miękości, która zmusza nas porównań dla kobiet szukać aż w niebie, u aniołów.

I to śliczne dziewczę tańczyło naprzeciw Szandora, a widzowie, przypatrując się im, nie mogli powstrzymać się, żeby nie powtarzać:

— Ależ para!

— To para!..

— Co para, to para!

I dodawali klątwę, po węgiersku, bo bez klątwy nie zdawałoby się im, aby pochwała była dostateczną.

Szandor, czy ze znużenia podróznego, czyli też z zapatrzenia się na swoją tancerkę, nie hulał bardzo zapamiętale. Robił on to samo co i inni, podskakiwał gdy tego było potrzeba, przebierał nogami, ale nie z takim, jak na rodowitego Węgra przystało przyciskiem. Tancerki twarz zapłonila się rumieńcem, który ukarminował jej lica całe tak, że zdawało się iż krew tryśnie porami skóry. Szandor tańcząc, przypatrywał się jej z wyrazem czułości; ona na Szandora spoglądała wzrokiem takim, jakby za każdym spojrzeniem chciała mu powiedzieć!

— Kocham ciebie.

Taniec to zbliżał ich, to oddalał.

— Szandor, *galambum* (gołąbku)! — szepnęła dziewczyna, gdy znalazła się obok tancerza swego — puś mnie! ja z tobą tańczyć nie mogę.

Szandor się zatrzymał, wziął dziewczynę za rękę i odchodząc z nią ku tłumowi widzów, aby nie przeszkadzać tańczącym, nachylił się do jej ucha i cichym mówił głosem:

— Czemuż *lelkem* (duszko) nie możesz tańczyć ze mną?.. Czyż mnie już nie kochasz?..

— Ja!.. ciebie!.. — rzekła dziewczyna i spojrzała nań z wyrazem lekliwej wymówki.

— Możesz pokochała kogo innego?

T. T. Jeż T. I.

14

— Kogoż innego mogłabym pokochać, żeby nie pogniewali się na mnie ojciec i matka?.. Nikogo, Szandor, nikogo nie kocham, tylko ciebie, ciebie jednego...

I mówili to sobie przy jasnym świetle dziennym, przeciskając się wśród tłumu ludzi. Lecz nie wstydzili się snadź światła dziennego, a tłum ludzi nie słyszał ich rozmowy, bo wyrazy jej głużyła muzyka, pokrywało zapamiętałe tupanie taneczników; a gdyby kto i słyszał, to nie dziwiłby się wcale wynurzeniom tym, bo ujrzawszy ich odchodzących, tak sobie widzowie myśleli:

— Idą... nic dziwnego!.. Szandor zmęczony, dziś przyszedł z dalekiej podróży, potrzebuje wypocząć... Ona odchodzi z nim razem;.. i w tem nie ma nic dziwnego!.. Wszak oni narzeczeni..

Przecisnęli się przez wianek widzów i udali się ku drzwiom domu. Szandor mówił:

— Czemużes nie chciała tańczyć ze mną... wyraźnie: ze mną!

— Nie wiem czemu — odparło dziewczę. — Słabo mi się robiło... nie czułam ziemi pod sobą... jakies gorąco przechodziło po ciele.

— A jeżeli tańczysz z kim innym?

— A, to mi ani słabo ani gorąco... Ja wolę siedzieć obok ciebie, jak tańczyć z tobą... Ach, bo też ta muzyka!.. Gdyby to można tańczyć bez muzyki!..

Na muzykę dziewczę zważyło odpowiedzialność za własne serce. Szandor to zrozumiał i zmienił rozmowę.

— Spieszyłem do was — rzekł — tęskno mi było, *lelkem* za tobą...

— Ach! a jak ja tęskniłam za tobą!.. Codziennie z matką mówiłyśmy o tobie... Ale już się skończyła tęsknica... już nie odejdziesz nigdzie? nie opuścisz nas? zostaniesz z nami na zawsze?.. nie prawdaż?..

— Nigdzie!.. nie!.. zostanę!.. — potrójnie odpowiedział Szandor na potrójne zapytanie.

— Szandor *lelkem!* — jak ja się cieszę tobą!.. jak skarbem jakim najdroższym — rzekło dziewczę zatrzymując się i spoglądając na Szandora tak, że jej oczami całe jej serce przemówiło.

Za takie spojrzenie i za takie wynurzenie, pada się w odwet na kolana, i byłby to Szandor niezawodnie uczynił, gdyby choć jeden romans w swoim życiu przeczytał. Jakże bo na podobną zaczepkę odpowiedzieć!.. Byłem i ja niegdyś (o! dawno już temu) w tenże sam sposób zaczepionym, i odpowiedziałem:

— Alboż ty myślisz, że i ja nie cieszę się tobą.

Była to, przyznam się, nie nader mądra odpowiedź; lecz cóż robić, jeżeli na gorącym razie nie można zdobyć się na inną!.. Tak samo znalazł się Szandor i odpowiedział, jakby moją odpowiedź podsłuchał i wyuczył się jej dosłownie na pamięć:

— Alboż ty myślisz, że i ja nie cieszę się tobą!..

I rzeczywiście młoda ta, prześliczna para cieszyła się w całym, w najrozleglejszym wyrazów tych znaczeniu. Dziewczyny rączka spoczywała w dłoni Szandora, jej rączka malutka, zgrabna, delikatna i biała, taka, jakiejby się żadna księżniczka nie powstydziała, w jego dłoni czarnej, grubej, zapracowanej, pokrytej szorstką i twardą jak łub skórą, którejby się — nie mówię księżniczka, nie mówię nawet książe, ale prosty elegant — z tych elegantów podlejszego gatunku — nie śmiał ani dotknąć. Kontrast rąk był rażący; lecz ani dziewczyna ani Szandor na ten kontrast, najmniejszej nie zwracali uwagi. Z ich rozmowy, którą przytoczyłem, ze spojrzeń, jakie dziewczę w oczy Szandora posyłało, zmiarkować możecie, mili czytelnicy, jak się oni kochali! Chodziło mi o to, aby tę ich miłość od razu pokazać, i dla tego zaznaczyłem wyraz „w oczy“, żeby wykazać, iż gdyby ona obrzucała go wzrokiem od stóp do głowy, to byłby to niedobry znak, z którego czytelnicy mogliby na samym wstępie powieści powziąć wątpliwość o potędze kochania: dziewczyny. Nie patrzała się ona ani na jego odzież, ani na jego ręce, ani na jego nogi, tylko wlewała się sercem do „zwierciadła duszy“ kochanka. A gdyby patrzała na to wszystko i porównywała ze swojemi, to cóżby z tego wypadło? oto odzież Szandora była podróżna, przypruszona, i podszarzana, a jej nowa i świeża, — ręce jego były grube i czarne, a jej białe i delikatne, — nogi jego ozute były w wielkiej z jałowiczej skóry buty, sięgające cholewami aż do kolana, a na jej nóżkach białeły czyste i świeże pończoszki, chowające się na stopach w zgrabne, malutkie trzewiczki. Porównanie więc wypaśby musiało na czyjaś niekorzyść. Ona jednakże ani pomyślała o tem, chociaż wiem, że bohaterce naszej

weźmie to za złe niejedna z tych dam wielkiego świata, co to ma zwyczaj mieć ciągle w podejrzeniu świeżość rękawiczek swego kawalera. Upzedzić tedy muszę — co się już zresztą z samego toku niniejszego opowiadania pokazało — że bohaterka nasza nie była damą z wielkiego świata, i dla tego może i nie oglądała swego kochanka od stóp do głowy i kochała go, jak się sama wyraziła: „jak skarb najdroższy“.

Zatrzymali się oni u otwartych drzwi domu Sawy Simicza i jakby na powitanie ich, huknął przez nie okrzyk:

— *Elien* ¹⁾ Szandor i Marijka!...

Oznaczało to, że wewnątrz domu jest zajętem i że tam nie próżnują. Nie weszli więc przez drzwi, lecz powoli, rozmawiając, oddalili się w głąb podwórza i usiedli na ławeczce pod rozłożystą jabłonią, o którą stały oparte będące na dokończeniu koła wozowe, osie, drabiny i rozmaite deski i drzewa. O czem oni rozmawiali? — Może wywoływali dawne wspomnienia, lub tworzyli obrazy przyszłości?... Mogli bawić się jednym lub drugim, — ale mniejsza o to: mało nas to już obchodzi. Wiemy, że się kochają, to dość dla nas; nie będziemy więcej ich rozmów miłosnych powtarzać. Niech gruchają sobie jak gołębie lub turkawki. Czuję się tylko w obowiązku udzielić do publicznej wiadomości postrzeżenie, które zrobiłem pod względem cech zewnętrznych kochania w ogólności. Oto, włócząc się po świecie, zauważyłem, że cechy owe są kosmopolityczne, to jest: wspólne wszystkim narodom, i jednkie u wszystkich. Kochanie nie da się podzielić i poklasyfikować na: węgierskie, polskie, niemieckie, tureckie i t. d. Bywa ono większe lub mniejsze, prawdziwe lub fałszywe, ale jednakowym sposobem objawia się u Węgra, Polaka, Niemca, Turka itd. W niektórych narodach, jak n. p. u Francuzów, mają zwyczaj robić sobie z niego zabawkę. To co innego. To tylko zwyczaj zabawki tego rodzaju bardziej jest tam rozpowszechnionym; ale gdy wśród zabawki zdarzy się, iż się para jaka w sobie na prawdę rozkocha, to przez te wszystkie przechodzić musi koleje, przez jakie każdy inny narowiec przechodzi. Przez te tedy koleje przechodzili właśnie kochankowie nasi i puszczałi się na nie z ufnością, bo opatrzeni zobopólną wzajemnością, której nie mieli potrzeby przeprowadzać przez rozliczne przeszkody, bo

¹⁾ *Elien* — wiwat, niech żyje, słowiańskie: *żiwio*.

była ona publicznie i powszechnie uznaną i pochwaloną. Ażeby zaś udowodnić uznanie to i pochwalenie, wejdźmy do domu Sawy Simicza i przysłuchajmy się rozmowie zastolnych biesiadników.

Biesiadnicy owi byli to ludzie poważni, pomiędzy którymi bodaj czy nie najpoważniejszym był Sawa Simicz. W oczach ich i na licach widać było lekkie podochocenie. Rozmawiali oni głośno, klęli dobitnie, bili nawet o stół pięściami — wszystkiego zatem, co oni mówili, ani podobna, ani potrzeba powtarzać, treść bowiem ich rozmów składała się z najrozmaitszych rozmaitości. Ograniczmy się przeto na powtórzeniu rozmowy Sawy Simicza z wąsatym sąsiadem.

— No! i cóż, *baraton* (bracie) — mówił wąsacz — kiedyż wesele?...

— Za rok! — odparł lakonicznie Sawa Simicz.

— Za rok! — powtórzył sąsiad — hm! i zaklął, gładząc wąsy: czemuż nie prędzej?

— A czemuż ma być prędzej!... — odparł Sawa, kończąc odpowiedź swoją kłátwami.

Ostrzedz muszę czytelnika raz na zawsze, że kłátwy w rozmowach Węgrów grają taką samą rolę, jaką u nas tak zwane przysłowia: „mości dobrodzieju, mocium panie, mospanie“ i t. p., z tym jedynie dodatkiem, że są powszechniejsze i stanowią konieczne okraszenie wszystkiego, co Węgier mówi. W przytaczaniu tedy ich rozmów, nie będę tego okraszenia używał, tak przez oszczędność miejsca na papierze, jakoteż dla samej przyzwoitości. Niech jednakże czytelnik domysła się kłátw w każdej rozmowie.

— Toż oni mają się kochać, tak na sucho! — ciągnął Węgier.

— A niech kochają się — odpowiedział Sawa — co to szkodzi!... Niech się dobrze poznają... Cóż to, *baraton*, ty myślisz sobie!... Czy ja mam zrobić tak: Szandor co tylko przyszedł z wędrówki, a ja mu zaraz mam pchać w ręce córkę!... Niech poczeka... niech się ponaoblizuje, zanim dostanie!... Co się z łatwością dostanie, tego się potem nie szanuje... A Marijka *siß lania!* (piękna dziewczyna)!... — i mówiąc to, klasnął stary w palce i dodał, klnąc: warto za nią pochodzić i poczekać na nią... Ho, ho! namyslał się ja dobrze nad tem.

— To prawda, *baraton!*... to prawda!... — mówił Węgier

— warto!... warto!... Niech czeka!... Niech tymczasem stanie do roboty...

— Ba!... — przerwał mu stary, wyciągając rękę — co to, to nie!... Niech przez cały rok nic a nic nie robi!...

— A!... — zawołał wążacz, otwierając gębę i oczy.

— Niech nic nie robi!... — krzyknął Sawa.

— Niech nic nie robi! — huknął wążacz i uderzył pięścią o stół.

— *Elien!*... — zawołał ktoś z drugiego końca stołu.

— *Elien!*... — podchwycili biesiadnicy chórem...

— Toś ty dobrze, Sawo *baraton* wymyślił — ciągnął Węgier, pociągnawszy haust wina i rozglądając wąsy. — Niech przez cały rok Szandor nic nie robi... Ale — dodał po chwili milczenia — dla czegoż ma nie robić?

— A dla czegoż ma robić?... — zapytał Sawa.

Węgura zaambarasowało to zapytanie. Zamiast odpowiedzi więc, napił się wina i gładził wąsy.

— Bo to tak — mówił Sawa — co młody, to młody!... Młodemu trzeba użyć świata...

— Prawda!... — przerwał głośno wążacz — prawda, *baraton!*... *Elien!*... — ale tym razem nikt nie powtórzył okrzyku, a Sawa tak prawil:

— I ja, jakem był młody, to, pamiętam, w Huzarach..

— Czy chcesz go, *baraton*, do huzarów oddać?

— Do huzarów?!... — rzekł stary tonem, w którym przebijał się wstręt — do jakich huzarów?... co to teraz za huzary!... Daremnie tylko chleb u Pana Boga jedzą... Dawniej cisar trzymał huzarów na to, żeby wojowali; a teraz... co z nich za pociecha!...

Zaklął stary największą kłatwą i machnął ręką z pogardą — i napił się wina.

Węgier namarszczył się, pociągał powoli całą garścią obydwie wąsy i udawał, że się smuci i myśli.

— Haj-ha!... (w rodzaju westchnienia) odezwał się w końcu, kiwając głową poważnie.

A na podwórzu muzyka brzmiała. Tańce szły swoim porządkiem z wzrastającym zapalem. Szandor i Marijka szeptali o czemś z sobą pod jabłonią. I wszystkiemu temu — tak muzyce, jak tańcom, jak cichej kochanków rozmowie, jakoteż i ga-

wędzie starych za stołem — zachodzące słońce położyło koniec. Rozeszli się ludzie na spoczynek i spoczywali smacznie — bo jedni ztańczyli się, drudzy podchmielili sobie.

Cygan-skrzypek, odchodząc, zbliżył się pod jabłonię i przez chwilę w milczeniu, z uśmiechem na ustach, przypatrywał się młodej parze.

— Czego tak patrzysz?... — zapytał go Szandor.

— Tak sobie!... — odparł Cygan — przyjdę grać na we-sele wasze...

— A wiesz, kiedy?... może gdzie daleko odejdiesz i znaleźć ciebie nie będzie można?...

— O! ja się znajdę... i tam, gdzie mnie trzeba, i tam, gdzie mnie nie trzeba — rzekł Cygan, i postawszy jeszcze przez chwilę, odszedł.

II.

Potrzeba nam bliższą zabrać znajomość i z osobami, wchodzącymi do naszej opowieści i z ich wzajemnymi stosunkami, i wejść w bliższe szczegóły miejscowości, w której odbyć się mają głównejsze rzeczy dramatu. Zacznijmy od miejscowości.

Jest nią dom Sawy Simicza. Leży on, jak wiemy, na przedmieściu Szegiedyna, ciągnącem się ku północy po nad Cissą, i symetryzującym z zaroślami i trzęsawiskami przeciwległego wybrzeża rzeki. Szczegół ten powtarzam dla wrażenia go w pamięć czytelnika i przypomnę go jeszcze raz przy końcu powieści. Dom jednakże Sawy Simicza nie leżał nad samym brzegiem, ani też blisko od brzegu, przeciwnie — był on najbardziej oddalonym od Cissy pomiędzy wszystkimi domami przedmieścia: wysuwał się bowiem na pole, jako ostatni w szeregu przylegających do pola domów. Mieścił się on w głębi podwórza, otoczonego częstokołem i opatrzonego bramą i fórtką, i opierał się o obszerny ogród, otoczony także częstokołem, a zarosły, jak lasem, fruktowymi drzewami. Do ogrodu tego nie trzymał Sawa ogrodnika, i utrzymaniem onego sam się snadź bardzo pilnie nie trudził, gdyż nie było w nim wzorowego porządku. Ogrodzenie tylko utrzymanem było w całości, a zresztą drzewa rosły sobie bez żadnego pielęgn-

gnowania, wypuszczały paroście, splatały się jedne z drugimi konarami, niektóre usychały i próchniały, pokrywała je pajęczyna, gnieździły się na nich ptaszki, a pomiędzy drzewami wyrastały krzewy, puszczały się pręty z pośród trawy i chwastów, któremi pokrytą była ziemia. Niektóre z drzew, wzdłuż ogrodzenia rosnących, po za częstokół wysuwały konary i wabiły ku sobie dzieci przedmiejskie, gdy z pośród gęstwiny ich liści wyglądały rumiane jabłuszka lub gruszki, albo czerniały szeregi śliwek. Dzieci atakowały je wówczas kamykami i tykami, i to ich atakowanie gniewało w najwyższym stopniu starego Sawę. Nie pielęgnował on ogrodu, ale nie pozwalał obrywać fruktów i robił na dzieci zasadzki, które mu się zawsze nie wiodły, dlatego, że napastnicy mieli bezpieczne scaronienie w kukurydzy, którą tuż za płotem Sawy ogrodu ogromny step zasiewano. W jesieni dojrzewały frukta i w jesieni step, jak okiem sięgnąć, pokrywał się zielonym lasem kukurydzianych badyli, rosnących w Węgrzech tak wysoko, że nietylko dziecka, ale człowieka na koniu z pośród nich nie widać. Łany te jednakże nie dochodziły aż do Cissy: — pomiędzy niemi a wybrzeżem był jeszcze duży szmat pustego pola, nagiego stepu, służącego na wygon dla krów mieszkańców przedmieścia.

Pośród tych łanów kukurydzianych szła droga do Kec-kemetu, lecz nie widać jej było ani z mieszkania, ani z ogrodu Sawy. Patrząc w stronę tej drogi, to na prawo oko gubiło się w zielonym przestworze, którego granicą był widnokrąg, a na lewo widać było skrajni obręb miasta, naprost zaś rozlegało się obszerne pole — plac zamiejski, na którym odbywały się jarmarki. Plac ten wązkim klinem poczynał się od domu Sawy Simicza, rozszerzał się na wysokości miasta, i rozszerzywszy się raptownie w tem miejscu, w którym go przerzynała Kec-kiemecka droga, wyglądał za drogą jak step. Step ten jednakże nie był zupełnie pustym, na nim samotnie, w zupełnem odosobnieniu i w oddaleniu od miasta i przedmieść, stał dom wysokim otoczony murem, a obok domu wznosiło się murowane jakieś w kształcie bramy zabudowanie. Brama ta była — wrotami wieczności dla złoczyńców: szubienicą, a samotny, odosobniony dom, był mieszkaniem kata miejskiego. Szegiedyn bowiem wówczas posiadał *jus gladii*, na równi z kilku innymi uprzywilejowanymi miastami w Węgrzech, i miał wszelkie potrzebne

do tego urządzenia. Z domu Simicza widzieć się dawały: szczyt dachu kaciego mieszkania i murowany wierzch szubienicy, i skutkiem optycznego złudzenia, zbliżającego między sobą leżące w dali przedmioty, zdawało się, iż przylegają one do łanów kukurydzianych, chociaż takowe znajdowały się od nich w sporem oddaleniu. Widok ten jednakże, nie bardzo — przyznać musimy — przyjemny, odkrywał się tylko przy jasnej pogodzie, po deszczu, kiedy wilgoć przybiła do ziemi kurzawę, która wzbijając się z drogi piaszczystej, niby tuman ciągle nad placem wisiała.

Zresztą żadnymi widokami z domu Sawy Simicza nie można było karmić wzroku, żadnymi pejzażami palcem natury malowanymi, lub z pod rąk ludzkich wychodzącymi, gdyż nawet dojrzeć nie było można Szegiedyńskiego zamku, z po za domów i ogrodów, których nie mała liczba oddzielała go od miasta. Kukurydza, plac, drzewa sadów, pobliskie domy, ulica — oto były przedmioty, dające się widzieć z rozmaitych punktów obejścia: bądź z podwórza, bądź z ogrodu, bądź z okien. Na podwórzu rosła rozłożysta jabłoń, pod którą stało zwykle dużo drzew rozmaitych, rozmaicie poprzyrębywanych i poprzyciesywanych; stała tam i ławeczka do siedzenia i ławica taka, jakiej używają bednarze do strugania obręczy, i wywrócony pień do ciesania i rąbania. Naprzeciwko jabłoni ciągnęła się w jednej z domem linii i pod jednym z nim, tylko przedłużonym, dachem szopa, zabudowana ścianami ze wszystkich stron, wyjąwszy tę, która wychodziła na podwórze. Nie było w niej sufitu, a na belkach, wiążących dach, widziałeś duży skład desek, drzew, słupów i słupków prostych i rozmaicie zakrzywionych. Takiemiż deskami, drzewami, słupami i słupkami obstawione były wszystkie ściany szopy, pod którą pośrodku stał warsztat stolarski, a obok warsztatu, w nieporządku, stały bednarskie stołki, pienki i rozliczne inne narzędzia, służące to do przytrzymywania, to do opierania obrabianego drzewa. Wiory i trzaski okrywały podłogę, a warsztat założony był rozmaitego kształtu i wielkości toporami, świdrami, dłotami, strugami, piłami i heblami. Moznaby pomyśleć, że to warsztat stolarski, gdyby koła, osie, drabiny, lusznie, dyszle, orczyki i inne składowe części wozu i bryczki nie świadczyły, że szopa ta jest pracownią stelmacha, robiącego wozy węgierskie.

Do wyrazu „stelmach“ dodałem umyślnie określenie „robiącego wozy węgierskie“, pomimo że on w Węgrzech innych robić nie może, dla powiedzenia, iż wóz węgierski jest swego rodzaju doskonałością, a przynajmniej szczególnością. Nie widziałem nigdzie podobnych. Zbliża się on kształtem do tego, co u nas nazywają szarabanem, ma bowiem drabiny równe i dwa koszyki — z tyłu i z przodu. Koszyki te wygięte, przytwierdzone na zawiasach do spodu wasąga i przyczepione łańcuchami do zwierzchniej onego części, mogą się zamykać i odmykać. Odemknięte, powiększają długość wozu, czyniąc go dobrym do wożenia snopów, słomy, siana i do rozmaitych transportów; zamknięte — robią z niego bryczkę podrózną. Wozy te, zwane *koczi*, rozpowszechnione są w całych Węgrzech: jeżdżą nimi wielcy i mali, bogaci i ubodzy, zacząwszy od magnata do wieśniaka, z tą tylko różnicą, że magnat oprócz *koczi* posiada jeszcze i karety i powozy różne, a wieśniak poprzestaje na samym *koczi*, i z tym dodatkiem, że *koczi* magnata jest malowany i opleciony, a wieśniaka — ni malowany, ni opleciony. Oryginalnie jednakże, bryczka węgierska nie powinna być oplecioną. Zaletami jej są: lekkość, potoczystość i pakowność, i nawet pewny stopień zgrabności, chociaż bowiem nie posiada ona w formach swoich żadnych wygięć ni zagięć, ale za to, we wszystkich częściach jest regularną i domierną: nie długą ni krótką, nie wysoką ni niską, nie szeroką ni wąską; a przytem wszystko w niej jest ostrugane i wytoczone należycie — i półdrabki, i koła, i dyszel, i okute z całą elegancją sztuki kowalskiej, bez pomocy której *koczi* obejść się nie może.

Takich to *koczi* majstrem, słynnym na całą Szegiedyńską okolicę, znanym i wspomnianym po wszystkich wsiach i *pustach* *) pobliskich, był znany już i nam w części, Sawa Simicz. Ale zanim bliższą jeszcze z osobą jego zabierzemy znajomość, wypada pierwiej poznać wnętrze pomieszkania jego, potrzeba opisać dom węgierski dla tego, żeby potem nie przerywać sobie w toku opowiadania wypadków, i jeszcze dla tego, żeby zawczasu oznajomić czytelników z ramami (jeżeli godzi się tak powiedzieć) tych wypadków, pomimo to, że ramy dorabiać się winne po zupełnem skończeniu obrazu. Jest jednakże różnica

*) *Pusta* — folwark stepowy.

między opisywanymi a malowanymi obrazami, i w odniesieniu do pierwszych, ramy i tło tak się zlewają ze sobą, że nie łatwo je rozpoznać; i odkładając na koniec ramy, można się omylić — można odłożyć tło, które później dorobione, wszystkoby popsuło. Owoż, obawiając się, aby popsuciu takiemu nie uległa powieść niniejsza, opiszę dom Sawy Simicza.

Dom Sawy Simicza leżał w głębi podwórza, oparty o ogród i schowany w nim tak, że tylko jedna frontowa ściana wychodziła na podwórze; a na tej ścianie przedstawiały się cztery okna i jedne drzwi, a nad tą ścianą nasuwało się duże ostrzesze gontowego dachu. Drzwi i okna umieszczonymi były we właściwych sobie miejscach, z zachowaniem najdokładniejszej symetrii, to jest: drzwi znajdowały się po środku, okna zaś — po obydwóch stronach drzwi, po dwa z każdej strony. Futrowania stolarskiej roboty, fugi w spojeniach ram, staranne dość obrobienie, a nakoniec i sama wielkość drzwi i okien świadczyły, że ten, co je kazał robić, lub co sam robił, nie tylko dbał o to, aby miał otwór do wejścia do domu, i dziury do wpuszczenia doń światła dziennego, ale także i o to, aby to i dobrze i ładnie wyglądało. Więcej o tej zewnętrznej ścianie nie ma co powiedzieć: sama bowiem ściana była gładką od góry do dołu; wybieloną i chowała się pod ocieniające ją ostrzesze, pod którym zawieszane były, na przytwierdzonych do krokwi łańcuszkach, długie żerdki, a na tych żerdkach, w rozmaitych czasach, rozmaite pojawiały się przedmioty: to wietrzące się półcie spomarańczowiałej od *papryki* (pieprz turecki) słoniny, to ciemno-fioletowe a czasem aż czarne kiełbasy, to woreczki z serem ociekające serwatką, to girlandy nanizanego na sznury *dohanu* (tytoniu). Do wnętrza domu wkraczało się bez pośrednictwa żadnego ganku, ani wystawy; i wchodziło się od razu do obszernej sieni, idącej na przestrzał przez całą szerokość domu i opatrzonej czworgiem drzwi, także na przestrzał: z sieni bowiem, okrom podwórza, wychodziło się jeszcze i na ogród i do dwóch przeciwległych sobie izb mieszkalnych. Sień to była jak mówiłem, obszerna i bez sufitu; po nad nią wznosił się muryrowany, przykryty daszkiem komin, w którym wiecznie wisały rozmaite członki wieprzowe. Od jednego oka rzutu rozpoznać można było, że sień ta służy zarazem jako kuchnia: w niej bowiem widzieć się dawało przymurowanie z fajerkami, i stał

długi stół kuchenny, jedna zaś ze ścian zawieszoną była łąkami, łąkami, kociołkami, durszlakami, patelniami, garnkami, chochlami, i t. d., a także znajdowała się tam i duża szafa, której półki zapelnione były talerzami, salaterkami, wazami, półmiskami, szklankami, misami i rozlicznymi innymi tym podobnymi i tym niepodobnymi sprzętami i materjałami. A prócz tego wszystkiego, w tejże sieni były jeszcze i ławki i stołki i niziutkie stołeczki, i pomimo tego wszystkiego, było w niej przestronno dla tego, że każda rzecz ustawioną była na właściwym miejscu: przymurowanie z fajerkami przytulone było do środka ściany lewej od wejścia; za przymurowaniem, także pod ścianą stał stół, naprzeciwko stoła szafa, a dalej stołki i ławeczki, i ani znać było tych sprzętów. Znajdowały się w sieni jeszcze i piąte drzwi, obok stołu, lecz o nich pomówimy później; teraz trzeba, żebyśmy zajrzeli do izb mieszkalnych.

Wewnętrzne rozporządzenie domu bardzo było proste: na prawo z sieni wchodziło się do jednej izby, a na lewo do drugiej, i na tych dwóch izbach wszystko się kończyło, dodawszy do nich jeszcze i komorę, do której prowadziły owe piąte drzwi o których wspomniałem wyżej. Izba na prawo była większą i miała trzy okna, z których jedno wychodziło na ogród; izba zaś na lewo była mniejszą i oświetlała się dwoma odpodwórzowymi oknami; — pierwsza była paradną, druga powszednią, a obie opatrzone zarówno w bardzo starannie ułożoną z desek podłogę.

Paradność pierwszej izby zależała na wielkiej czystości, z jaką była utrzymana i na wykwintności sprzętów. W niej widziałeś politurowane łóżka, kanapę i krzesła. Łóżek było aż trzy, z których z jednym spotykałeś się przy samych drzwiach a dwa inne stały, jedno za drugim, wzdłuż od ogrodowej tylnej ściany. Były to łoża szerokie, ozdobione rzeźbą i wszystkie trzy zasłane aż pod sufit, piernatami i poduszkami, przykrytymi białymi, spadającymi do samej ziemi, o haftowanych szlakach, kapami. Na przedłużeniu znajdującego się przy drzwiach łóżka stała kanapa bardzo wygodna i o misternie zaginanych i rzeźbionych poręczach, zajmująca sobą całą prawie przestrzeń pomiędzy oknami. Od kanapy poczynał się szereg krzesel, który dochodził do kąta izby; od kąta ciągnął się wzdłuż drugiej ściany i przerwany pod oknem odogrodowem politurowanym,

zakrytym czerwoną, kwiecistą serwetą, stolikiem, dopiero do łóżka. Na środku izby stał duży jasionowy stół, już niepolitowany a tylko bejcowany, z pod którego wyglądały naprzód dwa szeregi podsunionych podęń drewnianych stołków, a potem mocno okuty zielony kufer. Z pod łóżek także można było rozliczne kuferki i walizki wyciągać. Ozdoba ścian składała się ze sporego zwierciadła, zawieszzonego nad kanapą, z umieszczonego w kącie obrazu Matki Boskiej z lampką srebrną, zawieszoną na łańcuszku — co oznaczało, że właściciel domu był wschodniego wyznania — i z kilku kolorowanych obrazów, z których jeden największy wyobrażał jakiegoś arcyksięcia w jeneralskim mundurze, i uderzał długim podpisem, wyliczającym wszystkie arcyksiążęce tytuły, — wszystkie zaś inne przedstawiały bitwy huzarskie — jak huzary niemiłosiernie tratowali kopytami i siekli szablami Francuzów — i pod każdym z nich był podwójny — niemiecki i węgierski podpis, przypominający rozliczne bitwy i potyczki z epoki wojen napoleońskich.

Najszczególniejszym (nb. dla cudzoziemca, nie dla Węgra) w tej izbie, bo oryginalnie węgierskim, był piec, umieszczony przy drzwiach, po drugiej stronie pojedynczo stojącego łóżka. Nie dotykał on żadnej ściany, był koniczny, jak głowa cukru, ze ściętym i obwiedzionym gzemsikiem wierzchołkiem. Obwód podstawy jego stał na niskim przypiecku, który otaczał go do koła i formował tym sposobem dwa zapiecki, stykające się z sobą w zasłonionym przez piec kącie izby. Przypiecki te i zapiecki wielkie zimową porą oddają usługi, piec opala się z sieni za pomocą szyi podłużnej.

Izba druga, różniąca się, jakem mówił, od pierwszej wielkością, nie różniła się od niej sprzętami i rozstawieniem takowych. Brakło w niej tylko kanapy, na miejscu której stał stół usunięty ze środka. Środek więc był próżnym, a po pod ścianami tak samo stały łóżka i stołki, tak samo na ścianach wisiały obrazy i zwierciadło; nawet obrazy byłyby takie same, gdyby nie bitwy, nie te co w pierwszej izbie, bo co się tyczy arcyksięcia, to on i w drugiej także poczetne zajmował miejsce. Zwierciadło wisiało naprzeciw drzwi, nad stolikiem. Ale wszystkie te sprzęty w podlegszym były gatunku. Z łóżek jedno tylko wznosiło się pod sufit; dwa zaś inne, zasłane czysto ale nisko, pozwalały położyć się na sobie w każdej dnia porze

i usiąść, a nadto, ani na łózkach, ani na stołach, ani na stołkach nie było politory, a stolki były drewniane, niektóre z poręczami, inne bez poręczy i te ostatnie opatrzone podłóżną dziurką na środku, przeznaczoną na wkładanie ręki przy przenoszeniu stołka z miejsca na miejsce. Piec tej drugiej izby niczem nie różnił się od pierwszej.

Powodem mniejszości izby drugiej było to, iż część onej od strony ogrodu, odcięta była na komorę, do której nie prowadzę czytelnika, bo i cóżby tam zobaczył? — Małe, wychodzące na ogród i mocnymi żelaznymi sztabami zakratowane okienko i beczki, sepety, worki, woreczki, butle, faski z mąkami, krupami, sadłami, olejami — słowem wszystko to, czem i u nas, czem i wszędzie zapełniają się spiżarnie. Nie prowadzę go również do piekarni na dziedzińcu, w której była jedna izba i szpichlerz, ani do piwnicy, będącej także na dziedzińcu, nieopodal od jabłoni, w której dwoma szeregami beczki z winem stały; ale radziłbym mu zajrzeć na poddasze domu, na którym, poprzyczepiane do łąt, wisały półcie słoniny. A był tego zapas taki duży, że zdawało się, iż liczna rodzina, w lat sto nie mogłaby go skonsumentować. Zapas ten odznaczał zamożność gospodarza. Sąsiedzi o których powiadają, że „wiedzą jak kto siedzi“, wiedzieli o nim i wiedzieli także, że część tego przeznaczoną była na wiano dla córki; więc mówiąc o przyszłości Szandora i Marijki, nie omieszkiwali nigdy dodawać:

— Szczęśliwy Szandor!... weźmie nietylko Marijkę, ale z nią razem i... pięćdziesiąt półci słoniny!...

W tym to domu gospodarzem i panem był Sawa Simicz, a panowanie jego rozciągało się nad całą rodziną, składającą się, okrom niego, z czterech jeszcze osób: z żony, której na imię było Anna, z córki Marijki, i z dwóch dobrze starszych od Marijki synów.

Nie wszyscy członkowie tej rodziny byli ciągłymi mieszkańcami tego domu. Jeden z nich, najstarszy syn, zwany Janko, zazierał tylko kiedy niekiedy, jako gość, — przyjeżdżał zwykle raz na rok odwiedzać rodziców i krótko zabawiwszy, powracał do Karansebeszu, gdzie był pisarzem w kancelarji audytorjatu wołacho-banackiego pułku granicznarów. Drugi syn Łuka znajdował się w domu i zajmował przy ojcu stanowisko pomocnika w rzemiośle stelmacha, a właściwiej był on zastępcą,

bo stary Sawa nie bardzo już pilnie i od niechcienia tylko brał się do roboty, tak że Łuka sam prawie prowadził całą część roboczą gospodarstwa i dyrygował czeladnikami, których zawsze dwóch albo trzech było. Sawa rozporządzał robotą, czasami i sam wziął się do siekiery, świdra lub struga, ale to wówczas tylko, kiedy zdawało mu się, że, jak powiadał, „paskudzą“. Wówczas, krzyżąc i łając, zrzucał szpencer, zakasywał rękawy od koszuli i raptem umilkłszy, z ogromnym zapałem wiercił strugał i rąbał. Powtarzało się to co drugi, niekiedy co trzeci dzień i trwało jednym ciągiem dwie, trzy, a czasem aż cztery godziny, w ciągu których stary ułagadzał się, dobrzał, pod koniec żartował i rozstawał się zawsze w najlepszej harmonii i z synem i z czeladnikami. Syn i czeladnicy znali go pod tym względem doskonale; nie straszili się więc napadów gniewu jego, ale też ani słówka mu gdy się gniewał nie odpowiadali. najmniejsza bowiem odpowiedź jątrzyła go i ściągala na odpowiadającego plagi. Sawa porywał za pierwszy lepszy kij, co mu się pod rękę nawinał, i grzmocił. I dawniejsi, oznajomieni z jego humorem czeladnicy sprawiali sobie zwykle tę uciechę, iż grzmoceniem tem uczęstawiali każdego świeżego przybysza.

— Jak tylko Sawa napadnie na ciebie, to mu się postaw tylko ostro... zmięknie jak wosk... — powiadali nowicjuszowi.

Nowicjusz stawiał się ostro i dostawał za swoje.

— A có... — pytali go potem — nawoskował ci plecy?...

Przez tę próbę każdy przejść musiał nowy czeladnik. Teatrem jej, jako też jedynym miejscem, w którym Sawa gniewał, się był warsztat pod szopą. Po za obrębem warsztatu stary nie umiał się gniewać, dla tego zapewne, że nie miał za co, ani na kogo. Żona jego była gospodarną, zapobiegliwą a przy tem dobrą i potulną kobietą. Przy pomocy służącej którą zawsze trzymała, trudniła się oną całem domowem gospodarstwem i trudniła się w taki sposób, że służąca dopomagała jej tylko, wyręczając ją w cięższych, lub bardziej obrudżających robotach, jak naprz. w miszeniu ciasta, w pomywaniu kuchennych naczyń, w zamiataniu izb, i t. p. Sawiczowa jednakże przygotowywała, ustawiała, doglądała i sama ostatecznie do wszystkiego rękę przyłożyła. Sawa więc widział zawsze wszystko w porządku, na niczem mu, nigdy nie zabrakło, nic się nawet nigdy nie spóźniło i tak się do tego ładu i regularności przyzwyczał, tak przejął się tem przeświad-

zeniem, że w sferze domowego gospodarstwa jego wmięszanie się jest niepotrzebnem, że nie tylko nie mięszął się, ale nawet obawiał się mięszuć, aby tego ładu i regularności nie popsuć, i nigdy nie sprzeczał się, nie targował, kiedy żona żądała u niego pieniędzy na wydatki. Jedyną w takim razie oznaką jego niechęci, było: ciężkie westchnienie, po którym następowało stękanie. Anna mówiła wówczas:

— No... no... i cóż!... przecież potrzeba kupić to, lub zapłacić za owo...

— Ach!... wzdychał Sawa Simicz — kiedyż bo to tak trudno teraz grosz dostać...

— A... to nie trzeba... — odpowiedziała na to Anna.

— Jakto, nie trzeba!... — wołał stary i dodawał, idąc do kufra, w którym trzymał pieniądze: — jak trzeba, to trzeba... cóż robić!...

Czasami zaś, gdy się sam na sam z żoną znajdował, zaczepiał ją w ten sposób:

— Możeby dla tej biednej Marijki choć trzewiki, albo jaki kawałeczek wstążeczki kupić...

I gdy żona powiadała, że rzeczywiście Marijka potrzebuje wstążki lub trzewików, to Sawa dawał jej naprz. na trzewiki i dodawał na pończochy i spodniczkę albo kaftanik, i oprócz tego dodawał jeszcze i dla żony na suknię lub czepiec.

Pieniądzy swoich Sawa nigdy nie liczył, chociaż do przeliczenia ich przez całe zbierał się życie, ale nie mógł się zebrać. Trzymał on je pod sypialnem swoim łóżkiem w kufrze, od którego klucz nosił w kieszeni. Złożonemi, albo raczej zsypanemi one były w dwóch workach, z których jeden zawierał miedź, a drugi srebro — talary i cwancygiery; miał on i złoto, ale takowe składał do szkatułki, schowanej także w tym kufrze: do tej szkatułki dukaty wchodziły, ale już z niej nie wychodziły nigdy na światło dzienne, i Sawa jakby ich nie miał. W banknoty nie wierzył, a jeżeli dostał kiedy pięć lub dziesięć reńskich papierami, starał się zmieniać je lub wydać jak najprędzej, i resztę, jaka mu pozostawała, dosypywał do worków — srebro do srebra, miedź do miedzi. Dobywając na wydatki srebro z worka, podnosił go zwykle do góry, ważył w rękę, przypatrywał mu się przez chwilę i z zamkniętymi ustami, przez nos, odrywał się:

— U!... — co miało oznaczać: jeszcze tego jest dosyć!...

I rzeczywiście — było dosyć. Sawa miał pieniądze, które co dnia przybywały, przychód bowiem zawsze przewyższał codzienne wydatki, a to dla tego, że wielu drobiazgow, jako to: drobiu, jaj, mleka, sera i t. p., nie potrzeba było kupować, bo Anna nie tylko że hodowała drób i miała od krów mleko na domowe potrzeby, ale jeszcze miała i na sprzedaż, i za sprzedane na targu artykuły zaopatrywała spiżarnię domową w takie drobiazgi, których w mieście koniecznie kupić potrzeba.

W kufrze Sawy, okrom wymienionych wyżej worków i okrom szkatułki, znajdował się jeszcze jeden spory worek z pieniędzmi, starannie obwiązany i nawet opieczętowany, którego Sawa nie tylko nie ruszał, ale nawet nie dotykał się, gdyż jak powiadał:

— Do cudzego grosza to i dotykać się nie można...

O tych pieniądzach pomówimy później, a teraz, z porządku, zabierzmy bliższą znajomość z Maryjką.

Nie mam już potrzeby powtarzać tego, com o jej powierzchowności napisał. Ale wytłumaczyć muszę, dla czego nie figurowała ona nigdzie w tym przeglądzie zatrudnień rodziny Simicza. Oto najprzód dla tego, że była taka ładna, trzeba więc było mieć kamienne chyba serce, aby takiemu ślicznemu stworzeniu kazać zmywać talerze lub siekać kotlety. Powtórnie niema w Węgrzech zwyczaju zaprzęgać dziewczęta do roboty, szczególnie, jeżeli zamożność rodziny jest taką, iż bez tego obejść się może, co właśnie — jak widzieliśmy — miało miejsce u Sawy Simicza. Maryjka z samego napatrzenia się, była w stanie wyręczyć i zastąpić matkę i nieraz chciała to uczynić, ale Anna odpędzała ją mówiąc:

— Idź do swojej roboty!... pilnuj co do ciebie należy!... jak wyjdiesz za mąż, to będziesz ile zechcesz porać się koło kuchni, aż sprzykrzy się tobie...

Jakaż to była Maryjczyzna robota i czego to ona pilnować miała? — Haftowała, szyła, czasem cerowała i — bawiła się — i tak jej czas zbiegał od ranka do wieczora dnia każdego, ustrojony przytem w kwiateczki rojeń młodości dziewczęcej. Miejscem jej uprzywilejowaniem, gniazdkiem w którym najdłużej przesiadywała, była kanapa. Na niej ona nawet, przy jednym z jej rogów, wysiedziała sobie, zdaje się, kotlinkę, którą dojrzeć

można było, jak wkleśła nieznacznie na połyskującej powierzchni włosienego materaca. Tam ona najczęściej przesiadywała z igłą, lub z naciągniętym na szerokim, łubianym obręczu perkalem; i to szyła, to haftowała, a szyjąc lub haftując, to śpiewała, to rośla.

— Hej, hej jak ją daleko słyhać!... — powiadał Sawa, gdy srebrzysty a nieuczony jej głos rozlegał się po domu i zalatywał go, bądź aż pod szopą, bądź w drugiej izbie.

— Zwyczajnie dziewczyna!... — odpowiadała mu żona — musi się wyśpiewać... Potem nie będzie czasu.

— A niech śpiewa!... — odpierał Sawa — alboż ja mówię, żeby nie śpiewała...

I uśmiechał się stary, śpiewanie Maryjki nawiewało mu jakąś taką rzewność do serca, że radby ją był dzień i noc słuchać, i jeżeli to wypadało po objedzie, to kładł się w drugiej izbie na łóżku, na wznak, podkładał dłonie pod głowę, słuchał, słuchał, uśmiechał się, znów słuchał — i usypiał

Maryjka szyła rozmaite rzeczy, a haftowała kapy na łóżka i poszewki na poduszki. Matka nie powiadała jej tego, ale to była jej własna wyprawa, którą sama sobie, powoli i nie wiedząc o tem, przygotowywała. Gdy zaś igła się jej znudziła, to miała inne jeszcze zajęcie. Przed tem jedynem w domu oknem, które wychodziło na ogród, rozlegało się kilka grządek kwiatów i rosło kilka krzaków róż. Jeden z krzaków wyrastał pod samym oknem, a był największy, i kiedy okrywał się kwieciami, róże zaglądały do izby. Maryjka szczególnie się o to starała, aby jak najwięcej kwiatów ku oknu nachylić, i tak wyginała i układała pręciki i gałązki, że zasłoniły okno prawie do połowy. Gdy róże kwitły, największą jej uciechą było, wyglądać do nich przez okno i uśmiechać się do pączków i mówić do nich lub pukać w szyby, jakby one rozumieć ją mogły. Toż znała się ona z każdym pączkiem i pilnowała, aby kto ich nie obrywał na tym jej faworytalnym krzaku, chociaż i inne krzaki, niemniej jak grządki, doświadczały jej pieczołowitości. Z grządkami, wyjąwszy zimę, przez cały rok miała do czynienia: to siała, to peła, to podlewała, to zbierała nasiona, lub przesadzała flance, a sama kopała i uprawiała ziemię, i tej ciężkiej roboty już jej matka nie bronila. A do tych wszystkich pół-zajęć i pół-zabawek, dodawszy odwiedziny rówieśnic i u rówieśnic, szepty i sekreta

nieprzebrane, których dziewczęta mają tak dużo i tak ważnych, to nietylko Maryjka nie próżnowała, ale jej nieraz brakło czasu. Nieraz, z rana jeszcze, spieszyć się musiała z ubraniem, bo coś tam na nią czekało, bo gdzieś tam jej pilno było.

Wspomniawszy o ubraniu, dodać muszę, że pod tym względem nie brakowało jej na niczem. Rodzice kochali ją i pieścili i dogadzali jej we wszystkim. Zdawałoby się, że takie pieśczoły i dogadzania powinny ją były zepsuć; ale — nie. Obdarzoną ona była taką dobrą jakąś naturą, że im z nią łagodniej i lepiej się obchodzono, tem stawała się ona pilniejszą i to obchodzenie się odplacała miłością. Nigdy nie zaparła się niczego, nigdy nie zadąsała się, z nikim w domu się nie posprzeczała. Patrząc na nią z boku, wydawała się być najdokładniejszym obrazem prawdziwego dziecięcego szczęścia, któremu chwile upływają bez najmniejszej chmurki trosk lub smutków. I szczęście to przyjmowała Maryjka myślą pogodną i czystym, niepokalanem sercem, nieprzekraczającym ani na odrobinę po za granicę życzeń rodzicielskich. Chociaż była w szkole, w której po niemiecku się uczyła, chociaż znała się ze wszystkimi miejskimi dziewczętami, od których o dziwnych dowiadywała się dziwach, chociaż widywała panie i panów, i od tych ostatnich nieraz bardzo pochlebny komplement usłyszała, zawsze ojciec był dla niej istotą najszanowniejszą, matka zawsze była dla niej wzorem, na który się zapatrywała, i do którego ściśle zastosować się po wyjściu za Szandora zamyślała.

Kochali Maryjkę ojciec i matka, ale niemniej kochał ją i brat (o Szandorze nie mówię, bo to rzecz wiadoma, że kochanek kocha najlepiej). Łuka nigdzie nie pojechał, żeby powróciwszy nie przywiózł jej gościńca. A jeździł on często, bo Sawie dawano roboty dużo, więc miał on i dużo w okolicy interesów, któremi zawiadywał wyłącznie Łuka, tak że na jego głowie spoczywała cała pomyślność Simiczowej rodziny. Ale jak Maryjka była dobrą córką, tak też on dobrym był synem, i będąc sam majstrem skończonym, robił wszystko w imieniu ojca, najcierpliwiej znosił gniewne jego uniesienia się, i najskrupulatniej prowadził interesy, które coraz wzmagały się i coraz bardziej kwitły za jego staraniem. Już jak Łuka oddał komu *koczi*, to z pewnością nie było onemu nic do zarzucenia; a chociaż to Łuka sam i umawiał się i zrobił i oddał, każdy jednakże powiadał:

— To *koczi* od Sawy Simicza...

I każdy Sawę chwalił, Sawie dziękował, Sawie ostatecznie dostawały się pieniądze, a stary tyle tylko czasem zrobił, że wykąpał Łukę pod szopą.

I w całej też rodzinie jednemu tylko Łuce, i to najczęściej niesprawiedliwie, zdarzało się być połajany przez ojca, bo co się Janka tyczy, to ten, raz, że rzadko kiedy bywał w domu, a powtóre, gdy przyjechał, doznawał szacunku, jaki człowiekowi pióra się należy. Chociaż bowiem i Sawa i Anna i Łuka i Maryjka umieli czytać i pisać, nie byli jednakże bardzo piśmienni; dla Janka zaś pióro stało się rzemiosłem. Sawa wprawdzie miał w pewnem, acz lekkim podejrzeniu wszystkich piśmiennych w ogólności; miał ich za próżniaków.

— Co to mi za praca — mówił — piórkiem smarować!... Ciekawym, jakby ten, co piórkiem się bawi, poradził sobie z siekierą!...

Podejrzenie to jednakże upadło wobec syna rodzonego, który od dzieciństwa, od czasu jak go oddali do szkółki w Sze-giedynie, do pióra okazał pociąg wielki, do siekiery zaś — pomimo że Sawa obydwoch synów wykierować chciał na stelmachów, a w najgorszym razie z jednego z nich zrobić stelmachą, z drugiego kowala — najmniejszego. Sawa przeto w ten sposób ten wstręt Janka do siekiery i kowadła sobie wytłumaczył.

— Widać, że Pan Bóg jednego do tego, a drugiego do owego przeznaczą.

Wejście Janka do audytorjatu pułkowego, dało starem u wysokie o jego rozumie wyobrażenie, zaś Jankowi nadało ten charakter pedantyzmu, którym tchnęło zawsze, tak dobrze dziś, jak wówczas, wszystko, co w Austrii, w sferze urzędowej ma z piórem do czynienia. Wygląda to jak powaga, jak jakieś zamknięcie się w sobie, będące najzwyczajniej osłoną zupełnych pustek w głowie i sercu. Z Jankiem jednakże inaczej rzecz się miała. On nie poprzestawał na samem kopiowaniu raportów, sprawozdań, wyciągów i rejestrów w kancelarji. Po skończeniu szkółki, wszedł do kancelarji audytorjatu dlatego tylko, że to była jedyna w tym rodzaju karjera, która się przed nim przypadkiem otworzyła. Nie miał wyboru i nie umiałby wybrać; więc zasiadł za stołem i kopiował, a w chwilach swobodnych uczył się, czytał, wszystkiego i wszystko, co mu jeno pod rękę nawijało się. Tym

sposobem, umiejąc już po niemiecku, po węgiersku i po serbsku, nauczył się jeszcze i po wołosku, i przeczytał wszystkie *gesetzbuchy*, jakie znalazł w kancelaryjnym archiwum, a oprócz nich i rozmaite rozmaitej treści książki, jakie z miasta do rąk jego zabłądziły. Tym sposobem zgromadziła się w głowie Janka pewna doza wiadomości, które on sam uporządkował, jak mu się zdawało najlepiej; ale gdy to uczynił, kancelarja wydała mu się tak ciasną a tak poziomą, że poczuł się w niej upokorzonym wobec tego, co nazywa się godnością ludzką. Książki pokazały mu świat inny, szerszy, w którym człowiek-jednostka znaczyć coś może sam przez siebie, jako czynnik, nie tylko jako maszyna, stawiająca na papierze litery po literach i cyfry pod cyframi. I nastroiwszy tak duszę, nie mógł Janko dać sobie w kancelarji rady, a przytem nie mógł ani powiedzieć o tem nikomu, ani poradzić się nikogo, bo nawet sam nie wiedział, coby miał mówić lub o co się radzić. Dusza jego napętliona była czemś nieokreślonym, co aż przelewało się z niej, i Janko te przelewy zbierał starannie, znaczył wyrazami, które szykowały się jak pieśni — do harmonji i rymu — i bardzo drobnym charakterem, na małych okrawkach papieru, spisywał je sobie, a po spisaniu nie chował ani też pokazywał komu, ale skubał na drobne kawałeczki i wyrzucał za okno kancelaryjne. Powiedzieć potrzeba, że spisywania te tajemnych myśli Janka odbywały się w języku serbskim, pomimo, że urzędowym dla niego językiem był niemiecki. I tak, jak te dwa języki — urzędowy i nieurzędowy — tak też wyrobiły się w nim dwie natury: jedna powierzchowna, sztywna, druga wewnętrzna, tajemna. Sądząc o nim po pierwszej, zdawało się, że jest on człowiekiem z formy tylko, a w rzeczywistości nie jest i nie może być czem innym, jeno kopistą papierów audytorjackich; ale zajrzawszy do drugiej, widziało się, że Janko coś kocha, czegoś nienawidzi, do czegoś się rwie, „dusza jego — jak powiada poeta — skacze jak ptak do słońca“; lecz nie można było odgadnąć, gdzie jest to słońce Jankowe.

Takiem swoim usposobieniem wywierał Janko wpływ ogromny i stanowczy na rodzinę swoją. Wpływ ten jednakże w zwykłym trybie rzeczy, nie okazywał się na niczem. Janko nie zmieniał ani przerabiał w domu, wszystko szło swoim porządkiem bez niego i przy nim; tylko domownicy mieli wiarę

w jego rozum i to przekonanie, że co Janko powie, to musi być ważną prawdą. Z tego przekonania wypływało inne, to mianowicie, że gdyby czego zażądał, to trzeba by uczynić zadość żądaniu jego. Janko nie nadużywał jednakże powagi swojej, i jakby nie domyślał się jej nawet: nie żądał niczego takiego, coby w czemkolwiek naruszać mogło spokój lub przyzwyczajenia rodziny.

Podczas ostatnich odwiedzin jego, Sawa zamówił sobie, że chce, aby był na weselu Maryjki. Janko okazał gotowość przyjechać pod warunkiem, jeżeli otrzymać potrafi urlop od przetożonych swoich. Ostatnie jego odwiedziny miały miejsce na parę tygodni przed przybyciem Szandora, a nie było nadziei prędejjak za rok urlop otrzymać. Odłożenie przeto przez Sawę wesela, oprócz innych powodów, miało jeszcze i ten, aby na godach, których sama myśl radość mu sprawiała, radością tą podzielić się ze wszystkimi dziećmi swojemi, Janka nie wyjmując.

III.

Przeгляд rodziny Simicza w chwili, w której rozpoczyna się powieść nasza, nie jest dostatecznym do wykazania zamierzonego przyjęcia na jej łono Szandora — przyjęcia, którego wszyscy pożąдали, którem się wszyscy zawczasu cieszyli, i któremu, jak widzieliśmy, żadna nie zagrażała przeszkoda. Dla zrozumienia tego, musimy cofnąć się o kilka dziesiątków lat w tył, aż do czasu młodości Sawy.

Młodość swoją spędził Sawa przy huzarach, w czasach, kiedy Austria pasowała się z geniuszem Napoleona Igo. Odbył on wiele wojen, pozostając ciągle w jednym i tymże samym pułku, w jednym szwadronie i w jednym plutonie, zrobiwszy jeden tylko awans pod koniec kariery swojej wojskowej — z szeregowca na gefrejtera. Dlatego to on miał taką słabość do malowanych bitew huzarskich, i niemi wyłącznie ozdabiał ściany swego mieszkania. Każdy podpis wywoływał w nim jakieś wspomnienia — — podpis, bo nie obrazek, na obrazki bowiem zawsze stary gniewał się. Figurki huzarów, ze wzniesionemi do góry

szablami, jak tylko je zajrzał, bądź w sklepie jakim, bądź u podróżującego kupca obrazków, rozradowywały go niezmiernie i natychmiast je kupował, lecz rozpatrzywszy się w nich dobrze, powiadał zwykle:

— To nie prawda!... to nie tak było... to malował ktoś taki, co tam nie był...

A gdy mu robiono uwagę, że malarz przedstawił może takie starcie, w którym nie było Sawy.

— To być nie może!... — wołał — ja byłem wszędzie! — i kłął.

— Ależ, Sawo-*baraton!*... przypomnijże sobie, ile to tam było pułków, a ile szwadronów!... ty w jednym tylko mogłeś się znajdować szwadronie, i ani wiesz, ani widziałeś co inne robiły...

Uwaga podobna zastanawiała zwykle Sawę — zamyślał się i odpowiadał, cedząc powoli wyrazy.

— A... prawda... było tego dużo... pamiętam... a tak... byli tam Kaiser-huzary... hm!... i... i... Blankenstein-huzary... i... Stipsicz huzary... te same, które dawniej nazywały się Messaroszhuzary... O! pamiętam dobrze... tak... tak...

I przypatrywał się stary obrazkowi i niechże znalazł na nim wymalowanych nie tych, których wyliczył — a pamiętał i umiał rozpoznać ich po mundurach — wówczas gniewał się na serjo, narzekał, że wyrzucił pieniądze jak w błoto i zabierał się do podarcia obrazka na drobne kawałki, od uczynienia czego wstrzymywała go zwykle interwencja żony lub córki.

— A!.. — wołał — żebym też to ja gdzie spotkał tego, co maluje!.. toż bym ja mu odmalował!.. A jeszcze i podpisuje!.. to już by wołał nie podpisywać!.. niechby się ludzie domyślali sami!..

Wielkim był nasz Sawa obrońcą prawdy historycznej w sztuce, chociaż ani wiedział, czego broni. Nieprawda pod tym względem wydawała się mu pewnym rodzajem grzechu, ubliżeniem osobistej jego godności, dla tego, że czasy okoliczności, do których się ona odnosiła były dla niego drogie. On wiecił się w nie pamięcią, przenosił się w nie całą myślą, ile razy potrafił o nie wspomnieniem, i kochał je całym sercem.

Dziwnem było to kochanie Sawy. Co on właściwie kochał?.. Gdybyśmy zapytanie to rzucili w Austrii, w sferze oficjalnej

to na nie odrzuconoby nam odpowiedź, opartą na wyrazach : sztandar, ojczyzna, honor narodowy, uczucie obowiązku, i t. d., dowiedzionoby nam, jasno jak na dłoni, że Sawa Simicz był wiernym Austrii poddanym. Jako żywo!.. sztandar, honor, i t. d., ani go obchodziły.. On kochał huzarów.. Huzary były jego ojczyzną...

Dla objaśnienia tego, muszę na chwilę zawiesić ton powieściopisarski, a wejrzeć w państwowy mechanizm Austrii. A muszę to uczynić, gdyż bez objaśnienia, albo raczej bez wytłumaczenia się, nie jednemu z czytelników mogłoby wydać się, żem wymyślił ojczyznę huzarską.

Proszę rozłożyć przed sobą mapę ówczesnej tak dobrze jak teraźniejszej Austrii i przypatrując się jej, obliczać na palcach wszystkie weszłe w skład państwa tego narodowości. Obliczający wyekspensuje wszystkie palce na obydwóch rękach i dla skończenia rachunku będzie musiał powtórna kolej rozpocząć, a jeżeli jest bardzo skrupulatnym i zechce za jednostki brać podrzędniejsze odcienia, to jeszcze i po raz trzeci potrzeba palce fatygować. Znajdują się tam i całe narody i skrawki ościennych narodów i zabłądy dalszych. Wszystko to, rozpatrywane, że tak wyrażę się, na gruncie, nie przystaje jedno do drugiego, nie trzyma się, a nawet nie może trzymać się kupy, dlatego, że pomiędzy niemi nie ma tego powinowactwa części, koniecznego dla utworzenia całości.

Nie jednakowość języka, nie jednakowość religji ani jednakowość zwyczajów stanowią warunki jedności narodowej, lecz jedność pewnego spólnego wszystkim interesu, wyrażającego się dążeniem do spólnego celu, widnego wszystkim, zarówno żywotnego dla wszystkich i sprawiającego, że każda jednostka, urzędowa, czy nie urzędowa, wielka czy mała, bliska czy oddalona, jest niejako satelitą spólnego słońca, do którego cięży i około którego krąży. A słońce to nie jest bynajmniej tem, co Ludwik XIV powiedział : „*la France, c'est moi*“. Gdyby trzęsienie ziemi zawałiło w jednej chwili Paryż i pochłonięło raptem całą centralizację władzy, to przecież Alzaccyzyki i Gaskończyki i Bretończyki, różni pomiędzy sobą językiem i zwyczajami i religją, zbiegliby się i postawiliby sobie nowy Paryż. To samo, w takim samym przypadku, stałoby się z Londynem

i Anglią. Szwajcarja nie posiada Paryża ni Londynu, mówi trzema językami, wyznaje kilka religij, a pomimo to ma wspólne słońce. Tem słońcem jest ojczyzna łącząca w jedno Alzacczyka, Gaskona, Bretona, Anglika, Szkota i Walijszyka, St. Galleńskiego Niemca, Luzernskiego Włocha i Genewskiego Francuza, i wzbraniająca im odrywać się od całości, mieć coś odrębnego na celu, dążyć w inną stronę, nie w tę, w którą całość dąży. Tego w Austrii nie ma. Tam wzięwszy składowe jej części, każdą z osobna, każda dąży do wyodrębnienia się. Spółności pomiędzy niemi takiej, któraby nie obeszła się bez Wiednia, śladu wyszukać nie można. Przeciwnie każdy w swoją odwraca się stronę, Słowianin w swoją, Węgier w swoją i t. d., i gdyby dobrej a nieprzymuszonej ich woli pozostawić porozumienie się pomiędzy sobą, nie wyptłynąłby skutek taki, jak z porozumienia Bretończyka z Alzacczykiem, lub Walijszyka i Szkota z Anglikiem. Fakt jednakże istnieje wyraźny, dotykający: składowe części trzymają się w kupie, i zlewają się w ogromną całość.

Nie będę wdawał się w historyczny wywód utworzenia się austriackiego państwa. Różne powody wyraziły się jednym skutkiem: Austrija stanęła i stoi — i stoi, pomimo różnorodności i różnodążności składowych swoich części, i pomimo wyraźnej niezyczliwości, jaką w nich wzbudza ku sobie. Ową całość i jedność naturalną, opatrnościową gdzie indziej, potrafiła ona zastąpić sztucznym mechanizmem, podobnym do siatki, którąbyś nakrył razem np. żórawia, przepiórki, wrony i kuropatwy, połapane poprzednio: — chciałyby one rozlecieć się, ale im spólna siatka nie pozwala. Spólna ta siatka nie jest celem dla tych co pod nią się znajdują, ale dla tych tylko co ją rozciągają i trzymają, bo ci tylko mają spólny cel i spólną dążność pomiędzy sobą. To tak dalece jest prawdziwem, że stąd utworzyła się odrębna (jeżeli tak godzi się powiedzieć) narodowość urzędowa, odmienna od każdej z osobna krajowej i w odniesieniu do wszystkich razem grająca taką rolę, jaką gra cement w mozaice, z kamyków układanej. Cement nie jest takim samym jak kamyki materiałem, ale bez niego kamyki nie składałyby mozaiki; cement jest preparatem sztucznym, który musi być dobrym, jeżeli chcemy, aby odpowiadał swemu celowi. Owóż ów cement austriacki jest doskonały w swoim rodzaju.

Urzędowość owa zaprowadzona i rozwijana od bardzo dawna, mająca ten siatkowo-cementowy charakter, wydzieliła się zupełnie z narodów. Jej sfera jest ogarniającą, ale odrębną. Przyjęła ona i wyróżniające ją cechy, jak np. język niemiecki, który w dziewięciu dziesiątych częściach ogólnej ludności państwa, nie jest językiem krajowym. Dla wcielenia się w tę sferę, potrzeba przejść przez pewny nowicjat, przez pewną przygotowaną zawczasu szkołę, w którejby Niemiec, Włoch, Wołoch, Czech i t. d., przerobić się mógł na urzędnika. A raz w nią wcieliwszy się przestaje on być Niemcem, Włochem, Czechem, wchodzi w świat zupełnie odmienny, staje się członkiem ciała bardzo porządnie i dokładnie uorganizowanego, zostaje sprężynką mechanizmu i jak sprężynka funkcjonuje. Nie będę wyliczał składowych części tego mechanizmu, nie będę rozpatrywał sprężynki po sprężynce — zaprowadziłoby to mnie za daleko; powiem więc tylko, odnosząc się do wyżej przytoczonych przyrównań, że jak w każdej siatce, tak i tu są nici, oczka i węzélki, jak w każdym cemencie, tak i tu jest glina, piasek, gips i t. p., — jak — nareszcie — w każdym mechanizmie, tak i w austryjackim są głównejsze i podrzędnejsze części, większe i mniejsze koła, sprężyny, bloki, zęby, dźwignie, i t. d. To samo widzieć się daje gdzieindziej, z tą wszakże ważną różnicą, że gdzieindziej trzyma się ono gruntu narodowego, a tu — trzyma grunt narodowy.

Takie wyodrębnienie się urzędu w narodzie nazywa się powszechnie biurokracją, którą — w ogólnem o niej pojęciu — odnoszą zwykle do administracji, sądownictwa, policji, i t. d. Tutaj jednak dla zrobienia sobie dokładnego o charakterze mechanizmu rządowego wyobrażenia, rozszerzyć potrzeba jej sferę, wkluczając w nią i szablokrację.

Jest pomiędzy niemi bardzo blizkie, siostrzane i to nie cioteczne, ale rodzone powinowactwo. Jedna i druga przerabia człowieka na sztywnego, wyprostowanego i pełnego arogancji drągala, tak w moralnym, jak w fizycznym sensie, co wpajane systematycznie, za pomocą wydoskonalonych foremek, gdy raz przyłgnie do człowieka, to już go nie opuszcza do śmierci i da się rozpoznać od razu. Całą postać ludzką owiewa z góry do dołu jakiś dziwnie nienaturalny ton.

W wojsku, w sferze oficerskiej, foremką na drągalsstwo

jest to, co nazywa się: „*esprit de corps*“. W każdej armji znajduje się ów *esprit*, ale w żadnej nie jest do takiego rozwinięciem stopnia, jak w austryjackiej. Honorowość, będąca naturalnym a koniecznym onego wynikiem, staje się tam honoromanią, pewnym rodzajem wściekłości honorowej. Jak opowiadają, że pewien warjat nosił się ostrożnie ze szklannym brzuchem, tak austryjcki oficer nosi się z swoim honorem: — ostrożnie z nim, bo wyzwie na pojedynek, a wyzwie o byle co, chociaż nie byle kogo, i każdą bronią będzie się bił; żyjąc bowiem nieustannie w ekspektatywie doświadczenia obrazy na honorze, ciągłym a głównym zajęciem jego jest strzelanie z pistoletu do celu, i ćwiczenie ręki w pchnięciach, cięciach i fintach. Skutkiem tej honoromanji, siebie i ciało, do którego należy, uważa on jako pewien rodzaj „ludu wybranego“, i poczuwa się do obowiązku wszędzie i zawsze odpowiadać za siebie i za ciało; a że to ciało jest złożonem, że nazywając się armją w ogólności, dzieli się na części — na dywizje, brygady i pułki, przeto i solidarność odnoszona przezeń na zewnątrz do całej armji, wewnątrz tej armji odnosi się naprzód do dywizji, potem do brygady, a nastatek do pułku, w którym służy. Ta ostatnia jest najsilniejszą. Jak w obec każdego człowieka broni oficer austryjcki swego osobistego honoru, tak w obec każdego, do innego należącego pułku, broni on honoru swego pułku. Wejście np. obcego doń żywiołu, uważa jako dotkliwą obrazę: — każdy, nawet najlepszy oficer, przenoszący się z innego pułku, musi zawsze odbyć kilka a czasem kilkanaście pojedynków i zdobyć sobie przez nie prawo obywatelstwa.

To skupienie się wojskowych w ciało odrębne, w rodzaj zakonu krzyżackiego, lub kawalerów mieczowych, wyrobiło pomiędzy nimi i pewne odrębne zwyczaje, podobne do tych, jakie wyrobiły się w cechach rzemieślniczych. I oni mają *bruderschafty*, których cechą zewnętrzną jest, tak zwane technicznie: *per du*. *Per du* oznacza prawo mówienia: „ty“. Podporucznicy obydwóch klas, porucznicy i kapitanowie — jakby należeli do jednego cechu — są *per du*: wiąże ich wzajemny *bruderschaft*. To samo, tylko nieco zmodyfikowane, obowiązuje następną kategorię sztabowych oficerów, t t. d. Są to koła i kółka mechaniczne, zastępujące naturalne powinowactwo ludzi, mających wspólną

ojczyznę. W nich wyrabia się też i odpowiedni im patriotyzm, podgatunkowujący się i rozpadający na bronie i pułki.

To wszystko, co powiedziałem o oficerze, odnosi się i do szeregowców, z tą jedynie różnicą, że dla tych ostatnich nie wychodzi ze sfery broni i munduru. Huzar np. jest huzarem i niczem więcej — kirysierem i dragonem pogardza, a piechóra ma za nic. A przytem on ani przypuszcza, aby ludzkość bez huzarów egzystować mogła.

Nie dziw przeto, że huzary były ojczyzną Sawy.

Przed zwerbowaniem się do wojska miał on inną ojczyznę. Z brzmienia imienia i nazwiska jego, „*Sawa Simicz*“ — albo raczej — „*Simi'tiu*“ *), i z brzmienia imion synów jego „*Janko* i „*Luka*“ z łatwością domyśli się czytelnik, że nie byli oni Madiarami. Sawa był Serbem z Banatu. Pochodził on od tych Serbów, którzy wyemigrowali z Serbji tureckiej, chroniąc się do Węgier przed prześladowaniem Ottomanów. Nazywają ich w Węgrzech *Racami* (Rac). Wynieśli oni z sobą niechęć do Madiarów, niechęć tradycyjną, sięgającą jeszcze tych czasów, kiedy szczerp madiarski podbijał słowiańskie plemiona. Wyrzdana wówczas nienawiść, bardzo naturalna i właściwa w brojących się, złagodziła się nieco, ale przechowała się, jako niechęć, przez wieki, spadając dziedzicznie z pokolenia na pokolenie i wybuchając od czasu do czasu przy zdarzonych okolicznościach, albo też zacierając się niekiedy tak, że zdawać by się mogło, iż ślad onej zaginał. Niechęć ta jest jedną z cech narodowych Słowian węgierskich, szczególnie — podunajskich.

Zatarła się ona jednakże w Sawie zupełnie, gdy pobył przez lat parę w huzarach, w tem czystonarodowem węgierskiem wojsku, i gdy nadto przeszedł austryjacką szkołę. Serbskość pozostała mu tylko w rysach oblicza, w pewnej powadze i powolności charakteru, ale z duszy i serca znikła zupełnie. W huzarach jest zazwyczaj najwięcej madiarów i oni rej wodzą, oni ton nadają. Przyłgnął Sawa do madiarów, zbratał się z nimi i zapomniał, że kiedyś tam jakieś uczucie szeptało mu: „ty nie jesteś Madiarem“. On bo nawet nie miał potrzeby przyznawać

*) *t*, które naznaczyłem kreską, trzeba tak wymówić, ażeby brzmiało jak *t* i *cz*.

się do madiarstwa — nikt po nim tego nie wymagał — on był huzarem.

Później będę miał sposobność więcej nieco o huzarach mówić, teraz zaś poprzestanę na tem tylko, że powiem, że jak narody mają swoje tradycje i zwyczaje, tak podobnie tradycje i zwyczaje wyrobily się i pomiędzy huzarami. Wiedzą oni, co się w ich pulkach przed wiekami działo, nawet w owym czasie, kiedy Pan Bóg tylko co świat stworzył: — o! bo w ich przekonaniu, już wtenczas były huzary, kiedy Adama i Ewę z rajy wyganiano. Ten Archanioł, co to z mieczem ognistym postawionym był u wrót rajy, służył w huzarach i został poprostu wykomenderowanym, jako szyldwach. A ze zwyczajów, wspomnę o jednym, który potrzebnym jest jako przyczyna, wyjaśniająca skutki, mające wystąpić w rozwoju opowiadania naszego. Huzary, podczas wojny, mają zwyczaj stowarzyszać się po kilku w kółka wzajemnej pomocy. Stowarzyszeni poprzysięgają sobie, że wszyscy stać będą za jednego, a jeden za wszystkich, że nie odstąpią, ani dadzą się rozerwać w boju, że będą dzielić się zdobyczą, i t. d. Łatwo zrozumieć, jaka to przyjaźń zawiązuje się pomiędzy członkami takich stowarzyszeń... Formują się grona prawdziwie pokrewnych sobie ludzi, bo takich, których krew nieraz mięsza się na polu bitew, takich, z których każdy prawie, jeden drugiego uratował od śmierci. Kochają się w tych gronach jak bracia i tak, że jeden za drugiego gotówby w piekło skoczyć, i nie radzi przyjmują nowych, ale po każdej bitwie obliczają się, i niedoliczywszy się którego, coraz potężniej ścisniają węzły braterstwa. Jeżeli ich było np. sześciu (zwykła liczba), to straciwszy jednego, przy wieczornym biwaku, tyle tylko powiedzą:

— No, już nas tylko pięciu!...

Potem schodzi na czterech, potem — na trzech, potem — na dwóch, w końcu — jeżeli zejdzie tylko na jednego, to już ten nie wytrzyma łąz towarzyszy: nastawia się w bitwach, szukając śmierci i rzadko kiedy nie znajdzie jej. A jeżeli dwóch pozostanie i ci dwaj wyjdą cali z wojen, to przypatrując się im z boku, niktby nie powiedział, że oni nie są braćmi rodzonymi.

W tym ostatnim przypadku znajdował się Sawa. Było ich sześciu stowarzyszonych na śmierć i na życie — czterech madiarów, jeden Słowak i jeden Rac-Sawa. Czterech im odpadło,—

pozostał przy życiu Sawa i jeden z madiarów. I we dwóch trzymali się do końca, i razem awansowano ich na gefrejtów, i razem — po wysłużeniu kapitulacji — wystąpili oni z wojska, razem przybyli do Szegiedyna, jednocześnie prawie pozenili się, i ani na chwilę nie przestali kochać się i pomagać sobie wzajemnie. A pomoc ta wzajemna i jednemu i drugiemu bardzo była na rękę, bo Madiar był kowalem, więc jego rzemiosło przystawało do rzemiosła Sawy.

Madiar kowal, zwany *Kowacz* od rzemiosła (*kowal* po węgiersku *kovács*), był człowiekiem trochę popędliwym — jak każdy Madiar, trochę zarozumiałym — jak każdy Madiar woskował sobie wąsy i ostro stawiał się każdemu, ale pomimo całej zamasztyści miny, twarz jego była blada, jakby zmęczona, oczy nienaturalnym świeciły blaskiem, a z piersi często gęsto wydobywał się suchy kaszel. Pierś jego bowiem przebita była lancą.

— Gdyby nie Sawa — rozповідаł ów Kowacz — to byłbym się nie wykreślił... Już nas wówczas tylko dwóch zostało się... Najechałże na mnie ten ulan — tu Kowacz kłął, a Sawa, jeżeli był obecnym rozpowiadaniu, pomagał mu — najechał na mnie i prosto lancą w piersi! — tu znów kłął. — Ja nie miałem czasu odbić lancy pałaszem, i tylko przy samych piersiach, schwyciłem ręką za grot; a gdy mnie pchnął pierwszy raz uchwytiłem grot jeszcze i drugą ręką, i szabla obwisła mi na temlaku, i tak stanęliśmy jeden naprzeciw drugiego: ulan szarpie i chce mnie przebić, a ja trzymam i nie puszczam... Ale nie utrzymałbym był już długo, bo już zacząłem słabnąć, gdyby nie Sawa, który podsunął się, chlasnął ulana przez pysk, i zamiast tego, że ja miałem się wywrócić, to wywrócił się ulan... Czy nie tak Sawo-*baraton*?

— A, tak!.. — odpowiadał Sawa, chrząkał, kręcił wąs, kłął i rozповідаł jakieś zdarzenie, które jemu samemu, albo Kowaczowi, albo któremu ze czterech odpadłych przytrafiło się.

A gdy skończył Sawa, rozpoczął Kowacz.

Po Kowaczu znów Sawa zabierał głos.

I tak szło *alternative* czasem bardzo długo, a kończyło się zwykle zwrotem ku polityce.

— Ej!... — powiadał Kowacz, biorąc się w boki i kiwając zlekka głową — żeby nie huzary, to coby było?... he!... powiedz-no Sawo...

— Żeby nie huzary!.. — powtarzał Sawa — no!... tożby to było!..

— Toż te Austryjaki — (wyrażenie Austryjaki oznaczało wyższe sfery rządowe, jako też i generalitety) mówił Kowacz — potraciły głowy ze wszystkim; — tylko huzary nie potraciły...

— O! co prawda, to prawda... tylko jedne huzary — powtarzał Sawa.

Kowacz potwierdzał poważnie.

Jeżeli zaś ktoś, słuchając z boku, wtrącił niedyskretnie:

— Ależ przecie i huzary uciekały..

W takim razie Kowacz chmurzył się, stawiał się groźnie z miną prawie wyzywającą, i wołał dobitnie:

— To jest nieprawda!.. Huzary nigdzie nie uciekały!..

Sawa także chmurzył się i także wołał:

— To jest nieprawda!.. Huzary nigdzie nie uciekały!..

Potem któryś z nich dowodził, że uciekali dragoni, kiryjery, ułani, uciekali *bagańczarze* (piechota); ale huzary — nigdy i nigdzie. .

— Gdybyśmy chcieli — mówił np. Sawa — tobyśmy samego Napoleona dostali w ręce nasze... Napoleona wszyscy się bali, tylko — dodawał, podnosząc rękę i kiwając palcem... nie huzary!... O!... co nie, to nie!..

— Nie baliśmy się go ani tyle!.. — potwierdzał Kowacz, pokazując miarę bojaźni na paznociu.

A jeżeli zapytał kto:

— Czemużeście go nie wzięli?

— Ba!... — odpowiadał który z nich — alboż co nam Napoleon był winien?!..

Zawsze jednakże, według mniemania ich, za owych czasów wszystko było lepiej; dziś zaś wszystko kłoniło się ku upadkowi, a miarą tego upadku były zawsze huzary; chociaż nie mieli najmniejszej racji, gdyż, jak wiadomo, kawalerja austryjacka, pod względem urządzenia i wyrobienia, była i jest zawsze wzorową. Ale taki to jest w ogólności defekt starości: — zdaje się jej, że to tylko jest dobrem, co jej młodość otaczało, lub w czem ona w młodych latach udział brała. Szczególnie gniewał przyjaciół naszych długo trwający pokój; chociaż i w tem nie mieli racji: — bo pokój sprowadzał na nich dostatek, w pokoju rozwinęły się i zakwitły ich rzemiosła.

Kowacz miał swoją kuźnię i swój dom w mieście. Do kuźni i domu przyszedł on przez ożenienie. Przybywszy do Szegiedyna nie posiadał nic, tylko z przedwojskowych jeszcze czasów zapamiętane trochę rzemiosło — umiał obchodzić się z młotkiem, wiedział jak grzać żelazo — i z tem stanął do roboty u kowala, douczył się czego mu niedostawało, pilnością i uczciwością pozyskał zaufanie majstra, który mu najprzód powierzył kuźnię, potem dał mu jedynaczkę córkę za żonę, naostatek umarł i zostawił dom i zapas pieniędzy i warsztat w dobrym stanie. Kowacz po śmierci teścia ujrzał się jednym z zamożniejszych obywateli.

Lecz zamożność nie uszczęśliwiła go. Nic mu niby nie brakło, a zawsze czegoś niedostawało. Po ożenieniu przez kilka lat nie mógł doczekać się potomka. Sawa miał już dwóch synów, a Kowaczowi Pan Bóg ani syna, ani córki nie dawał.

— Sawo-*baraton!*... — mówił Kowacz — chyba ja jednego z synów twoich wezmę za swego.

— E!... — odpowiedział Sawa — toż nie bez tego, żebyś ty nie doczekał się syna.

— Ot, wiesz co, *baraton*, nie proszę Pana Boga o syna... Niechby mi dał dziewczynę, tobym ją wydał za Janka, albo za Łukę; toby zawsze jeden z twoich chłopców został moim.

— *Igen* (tak jest), *baraton... igen* — odpowiadał Sawa poważnie i kręcił wąs, a w duchu myślał sobie: „podobno daremnie prosisz ty Pana Boga!...“

Nie mówił tego jednak przyjacielowi.

Razu pewnego Sawa jeszcze spał, a spał tym snem przedświtowym, spokojnym, głębokim, z którego obudzenie się jest takim trudnem, gdy usłyszał gwałtowne stukanie do drzwi swego domu. Zdawało się mu z razu, że to sen, ale powtórzone stukanie rozbudziło go i zmusiło zawołać:

— Kto tam?...

— Ja!... — była odpowiedź — odmykaj!...

Sawa poznał Kowacza po głosie, wstał i odemknął.

— Ależ ty spisz długo!... — rzekł Kowacz.

Sawa chciał mu wytłumaczyć, że nikt o tej porze nie wstaje, że jeszcze ciemno; lecz Kowacz nie dał mu ust nawet utworzyć.

— Ty spisz, *baraton*, i nie wiesz o niczem...

— O czym?... — zapytał Sawa zdumiony.

— O czym?... — odparł Kowacz, hamując wybuch radości — o czym?... — powtórzył — oto doczekałem się nakoniec... będę miał!... będę!...

— Co będziesz miał?... — pytał Sawa z wzrastającym zdziwieniem, widząc, że przyjacielowi jakaś wielka radość odbiera mowę.

— Alboż ja wiem co!... — odrzekł Kowacz i zakaszłał się — może syna!... może córkę!...

— Nie może być!... — zawołał Sawa mimowolnie.

— Jako: nie może być!... — krzyknął Kowacz — musi być!... już niema żadnej wątpliwości...

— To dobrze!... to dobrze!... — powtarzał Sawa, przejmując się radością przyjaciela.

I nastąpiła chwila milczenia, w której Kowacz uspokoił się, a uspokoiwszy się rzekł, wyciągając rękę:

— Daj Sawo rękę!... moja córka jest narzeczoną twego syna.

— A jeżeli ci Pan Bóg da syna?..

— To co innego!... — odparł Kowacz — to syn mój będzie takim bratem twoich, jakim ty jesteś dla mnie.

— *Igen!... igen... baraton!...* — zawołał Sawa w uniesieniu i uściskał przyjaciela.

Urodzin potomka wyglądał Kowacz z gorączkowym oczekiwaniem, nudząc się bez niego i gniewając, że tak długo na świat nie przychodzi. A gdy przyszedł nareszcie dzień urodzin, Kowacza przejęło jakieś drzenie radości i niepokoju, i zaopatrzył swoją żonę zawczasu nie tylko we wszelką potrzebną pomoc, ale prosił Simiczową, aby jej na krok nie odstępowała, — zawołał Simicza, i z nim razem czekał w drugiej izbie.

Urodził się Kowaczowi syn.

— *Elien!...* — krzyknął Kowacz, otrzymawszy tę wiadomość.

— *Elien!...* — powtórzył Sawa.

Lecz po tym okrzyku nastąpiła natychmiast cisza smutku. Babka wyszła na palcach z izby położnicy i zbliżywszy się do uszczęśliwionego ojca, szepnęła półgłosem:

— Kowaczu,... żona twoja słaba, bardzo słaba...

Kowacz rzucił się do łóża żony i ujrzał ją bladą, bezsilną.

Usiłowała ona dźwignąć rękę — lecz ręka jej opadała bezwładnie; usiłowała otworzyć oczy i oglądać dziecię, które przed nią Simiczowa trzymała — lecz powieki jej zwierały się.

Kowacz oniemiał z bólu, jaki mu na ten widok piersi ścisnął. Simiczowa podeszła do niego, i pokazawszy mu syna, do którego on uśmiechnął się machinalnie, powiedziała po cichu:

— Doktora...

Na ten wyraz Kowacz wypadł z izby. Spotkawszy się na progu z Sawą, chciał tenże sam wyraz powtórzyć po cichu. Lecz wezbrana boleść wybuchnęła głośnym, rozpaczliwym okrzykiem:

— Doktora!... wszystko oddam doktorowi, który mi uratuje żonę!... Sawo, biegnij i ty, wołaj wszystkich doktorów, jacy jeno są w Szegiedynie!...

I rozbiegli się — Sawa i Kowacz — po lekarzy. Lekarze się zeszli ale na próżno. Kowaczowa nie doczekała nawet przyścia pierwszego z nich.

Rozpacz Kowacza była nie do opisania. Straciwszy żonę, dopiero poznał, jak ją kochał. Stary huzar płakał, jak kobieta, i nie mógł żalu pohamować. Jest to zwyczajnem pomiędzy nami ludźmi: po stracie dopiero dowiadujemy się o wartości tego, cośmy posiadali.

Pozostali mu jednakże: syn i przyjaciele. Simiczowa zastąpiła chłopcu matkę, a zastępowała ją tak sumiennie, że Szandor (domyślił się już bowiem zapewne czytelnik, że dziecię, o którym mowa, jest bohaterem naszej powieści) nie miał nigdy najmniejszego powodu żalić się, iż Opatrzność zabrała mu rodzoną matkę. Zabrała go Anna do siebie, doglądała, pielęgnowała i wychowała, jak własne dziecko. Szandor rósł zdrowo i czerstwo.

Smutna ta okoliczność jeszcze bardziej zbliżyła Kowacza do Sawy, jeżeli mogło ich coś bardziej zbliżyć nad przyjaźń, która ich od dawna łączyła. Kowacz wcielił się niejako w rodzinę Simicza, stał się wraz z synem jej członkiem *de facto*, chociaż żaden nie przywiązywał go do niej węzeł pokrewieństwa. Śmierć jednakże żony zostawiła głębokie na jego duszy ślady. Kowaczowi obrzydł dom, w którym samotnie mieszkał, obrzydła mu i kuźnia jego i robota. W robocie począł się zaniedbywać; w domu nigdy prawie nie siedział. Zwykle przepędzał czas

u Simiczostwa, lub w szynku. U Simiczostwa piastował syna, a w szynku topił smutek w *palence* *), i w końcu, po kilku leciech, przyszło do tego, że Kowacz — rozpił się.

Widział to Sawa, bolał nad tem mocno, i żadnych nie zanedbywał starań, aby wprowadzić przyjaciela na drogę opamiętania. Mówił mu raz:

— *Baraton!* ty pijesz zanadto... to źle...

— O!... i ja wiem, że to źle... ale wiesz ty, cobym ja zrobił, gdybym nie pił?..

— Co?..

— Powiesiłbym się, albo utopił w Cissie...

Sawa na to kiwał głową.

— To byłoby gorzej?.. — pytał Kowacz.

Sawa klął i odpowiadał:

— A byłoby gorzej!..

— Otóż widzisz, bracie Sawo — ciągnął dalej Kowacz — nie mogę wytrzymać.. tak mi czegoś braknie na świecie!.. tak mnie coś piecze w piersiach!.. ot tu.. tu — i pokazywał na piersi — gdzie mnie ten ułan przebił.. Gdyby był *huncwoł* pchnął silniej, to byłby mi dobrodziejstwo zrobić!.. Och, Sawo!..

Sawa smutnie kiwał głową i zamilkł; ale po chwili milczenia odezwał się w ten sposób:

— Ależ ty masz syna!

— Cóż z tego, że mam syna!.. przerwał mu Kowacz.

— Rozniesiesz po szynkach jego majątek... resztę rozszarpia ludzie...

Kowacz uderzył się pięścią w czoło, jakby mu jakaś myśl przyszła do głowy.

— Nie godzi się zapominać o dziecku rodzonym — ciągnął Sawa, myśląc, że trafił do przekonania przyjaciela.

— A nie godzi się, bracie, nie godzi — podchwycił Kowacz i odszedł spiesźnie, dodając na odchodnym: — czekaj na mnie... ja natychmiast powrócę... mam do ciebie ważny, bardzo ważny interes...

Jakoż rzeczywiście wkrótce Kowacz powrócił.

— Słuchaj, Sawo — rzekł wchodząc — tyś mi bratem... Nie prawdaż?... i bratem wiernym, prawdziwym...

*) *Palenka* — gorzałka.

Sawie zmiękło koło serca, bo głos, którym Kowacz mówił, był tak rzewny, jakim on nigdy nie odzywał się.

— Bądźże ojcem memu dziecku — mówił dalej Kowacz — bo ja nie mogę być mu ojcem.... Wyszedłem już, widzisz, na łajdaka...

I mówiąc to, postawił przed Sawą spory worek, starannie zawiązany.

— Weź to i schowaj.. to mego syna majątek.. Jak dorośnie, oddasz mu go... Do tego worka składał jego dziad i ja dokładałem; ale już nie dołożyć nie potrafię.. Weź to i schowaj! — dodał widząc, że Sawa wzbrania się i chce mu coś odpowiedzieć.

— Toż taka rzecz robi się przy ludziach!... — rzekł Sawa.

— Co mi ludzie!... przerwał z niecierpliwością Kowacz. — Dla mnie więcej warta ta przysięga, którą.. pamiętasz?... ileż to temu lat?... daliśmy sobie wzajemnie...

Sawa zabrał worek i schował go do kufra pod łóżkiem. Był to ten sam worek, o którym wiemy, że nawet nie dotykał się do niego.

Po wręczeniu pieniędzy Sawie, zdawało się, że Kowacz rzekł się zupełnie wszelkich praw ojcostwa do syna, bo przez długi czas ani zajrzał do Simiczowstwa. Wałęsał się po mieście, pił na zabój, czasami zaglądał do domu i kuźni, ale po to tylko, aby wynosić sprzęty domowe i narzędzia kowalskie i mieścić je na palenkę. Ludzie w mieście mówili:

— Kowacza djabli wezmą... Kowacz już ostatkami goni... Młotki i kowadła pozostawiał i poprzepijał... Biedne jego dziecko!... zostanie na łasce boskiej.

Tymczasem, w pięć czy sześć lat po śmierci Kowaczowej, urodziła się Sawie córka. Dowiedziawszy się o tem, Kowacz natychmiast przyszedł do przyjaciela, i pierwszym jego powiedzeniem było:

— To mego syna żona się urodziła... czy nie tak, Sawo-baraton?...

— *Igen, igen, baraton!* — odparł Sawa, rozradowany i przyjściem na świat córki i przybyciem przyjaciela, z którym spotykając się niekiedy na mieście, nawet rozmówić się nie mógł, bo nie mógł nigdy spotkać go trzeźwym. Tym razem wszakże Kowacz był zupełnie trzeźwy, i dodać należy, że ile razy za-

zierał do Simicza, zawsze pierwej wytrzeźwił się. Odwiedziny jego bywały zwykle krótkie.

Niedługo potem pociągnął Kowacz. *Palenka* przyspieszyła jego koniec, do którego i bez niej usposabiały go: rana w piersiach i zgryzota po stracie żony. Zmarł on w niespełna rok później, a gdy po jego śmierci urząd miejski wejrzał w jego interesy, pokazało się, że nietylko sprzęty i narzędzia niewiedzieć gdzie podziały się, ale wypadło jeszcze sprzedać i dom z publicznego targu, na zaspokojenie długów, których suma ogólna przenosiła o wiele wartość domu.

— Biedny chłopiec! — mówili ludzie w mieście o Szandorze — otóż go ojciec zostawił!... nietylko, że osierocił, ale jeszcze i obrał...

Sawa nie odzywał się. Gdyby słówko pisnął, że ma u siebie pieniądze Kowacza, natychmiast napadliby na niego dłużnicy, a wiedział on doskonale, jakiego to rodzaju długi pijak po sobie zostawia.

— Niech tam narzekają na nieboszczyka — myślał sobie — ci, co mu podwójną kredką znaczyli, wtenczas, kiedy się mu dwoiło w oczach... Nie pozwolę ja sieroty pokrzywdzić!...

A przytem jeszcze jedna rzecz przyszła mu na myśl:

— Miał Kowacz rację, że nie chciał przy świadkach dawać mi pieniądze... Dłużnicy wiedzieliby o nich: a tak... nikt nie wie: tylko Pan Bóg i ja!

— Ale — przyszło mu znów na myśl — gdybym ja, broń Boże, umarł, to moje dzieci pieniądze Szandora zabrałyby jak swoje...

Myśl ta zafrasowała starego. Ale jak zaczął rozmyślać, stanęło na tem, że udzielił tajemnicy żonie, i oprócz tego, na arkuszu papieru, jak umiał najwyraźniej, wycyfrował następujące wyrazy:

„Pieniądze w worku, zawiązane i opieczętowane, są własnością Szandora Kowacza, i jemu, do rąk jego własnych, powinny być oddane. A jeżeliby które z moich dzieci dotknęło się tych pieniędzy, to bodajby mu ręce poschły na tym świecie, a na tamtym bodajby po same uszy w piekło wlało. Dla lepszego znaku, na worku Szandora napisano: „pieniądze Szandora Kowacza.“

Skrypt ten — bez daty, bez tytułu, bez wymienienia sumy

bez podpisu — odczytał Sawa Annie, która go znalazła doskonałym, — złożył we czworo i włożył do szkatułki, przykrywając nim dukaty.

— Gdy po mojej śmierci — powiedział do żony — otworzycie szkatułkę, to ten papier najpierwej wlezie wam w ręce. Takim było całe ubezpieczenie majątku Szandora.

IV.

Szandor tedy, po śmierci ojca, pozostawszy zupełnym sierotą, wcielił się do rodziny Simicza, na jej łonie rósł i wychowywał się. Był on młodszym od Janka i Łuki, i kiedy ci do szkoły chodzili, Szandor bawił się wówczas prochem na ulicy; ale za to był starszym od Maryjki, i kiedy ta czołgać się poczęła, Simiczowa stawiała przy niej na warcie Szandora, nakazując mu wyraźnie:

— Pilnuj ją.. żeby sobie czego złego nie zrobiła... bo pamiętaj, że to twoja żona!...

Chłopak pilnował — pilnował szczerze, szczególnie po dostaniu od Sawy w skórę, za to, że odbiegł raz dziecka, zajrząwszy coś ciekawego na ulicy, i Maryjka załazła w pokrzywy, któremi się srodze poparzyła.

Kiedy przyszedł na Szandora czas pójść do szkoły, Janko już był w Karansebeszu, a Łuka w rzemiośle, — Maryjka zaś podrosła. Więc, powracając ze szkoły, ta ostatnia tylko była jego towarzystwem; on z nią się bawił, zaprzęgał ją, kielznając sznurkami, i poganiał po ogrodzie, i rósł z nią razem, a ciągle słyszał:

— To twoja żona...

Maryjce także nabiło się w głowinę, że Szandor jest jej mężem, i lilipticie to zrazu małżeństwo wyrastało jedno obok drugiego: mąż z chłopięcia stał się chłopcem, żona z dzieciny dziewczyną. A kiedy Szandor dorósł lat piętnastu, przyszła pora pomyśleć o zawodzie życia dla niego. Potrzeba ta pomyślenia srodze zakłopotala Sawę; myślał przez cały tydzień i w końcu rzekł do żony:

— Anno... trzeba to pomyśleć... hm!...

— O czym? — zapytała Simiczowa.

— A przecież Szandor weźmie naszą Maryjkę...

— I!... kiedy to nastąpi! — odparła Anna — będzie jeszcze dość czasu myśleć o tem... Maryjka ma dopiero dziewięć a Szandor piętnaście lat... Nawet i zaręczać ich nie można... Tylko żydzi...

— A!... — przerwał Sawa z niecierpliwością — nie o to bo chodzi!... Tyś mnie nie zrozumiała... Powiedziałem, że Szandor weźmie Maryjkę dla tego, żeby powiedzieć, że ja mu nie dam dziewczyny, jeżeli on się żadnego rzemiosła nie nauczy!...

I zaklął stary i dodał:

— O! nie dam!...

— To trzeba, żeby się nauczył — wtrąciła Anna.

— A trzeba... to prawda... ale jakiego?... hm!...

— Kowalstwa... — rzekła Anna.

Sawa uderzył się dłonią o czoło i zawołał, klaskając w palce:

— Prawda!... a mnie to do głowy nie przyszło!... Jego ojciec był kowalem... dla czegożby on nie miał być?... Oddam go do kowala...

I zaraz tego samego wieczora odbył stary konferencję z kowalem, jednym z najlepszych w Szegiedynie, i nazajutrz posłał do niego Szandora, który jak tylko pokazał się w kuźni, natychmiast postawionym został przy miechu. Z jednej szkoły dostał się nasz bohater do drugiej. W pierwszej nie miał już co robić, nauczywszy się bowiem czytania, pisania, rachunków, katechizmu i historii świętej, już nie miał czego uczyć się i uczęszczał do szkoły bardziej dla pomagania profesorowi, który zrobił z niego niby audytora, a w rzeczywistości, swego, w pewnych razach, zastępcę. W tej zaś ostatniej jakoś mu nie dobrze wydało się. Jeszcze zrazu bawiło go dęcie miechem — zwyczajnie jako nowość, każda bowiem nowość posiada własność podobania się młodemu chłopcu. Każdy z nas doświadczył tego na sobie. Pamiętam, że i ja niegdyś w ręce kowala całowałem, zaklinając go na wszystkie świętości, aby mi pozwolił przez chwileczkę podać miechem. Ale gdy przyszło się Szandorowi dać tydzień, dać miesiąc — dać pół-roku — dać nakoniec przez rok cały, to i obrzydło mu nareszcie. Nie było jednakże rady. Szedł

do miecha jak na ścięcie, musiał jednak iść. Kowal był surowy, nie pozwalał żadnych uwag robić sobie; czeladnik, który mu pomagał, był jeszcze surowszym, i krótko a ostro trzymał terminujących chłopców.

Nigdzie w rzemieślniczej klasie tyle pedanterji znaleźć nie można, jak pod austryjackiem panowaniem. Niczem jest zapamiętały pedagog w porównaniu z tamecznym czeladnikiem. Przed zostaniem czeladnikiem trzeba odterminować, to jest: trzeba przejść przez wszystkie cierpienia i poniżenia, jakie tylko wymyślna fantazja ludzka wynaleźć może. Terminowanie jest niby nauką; lecz nauka gra w niem rolę podrzędną, główną zaś wysługiwanie się. Terminujący chłopak uczy się dorywczym sposobem, przez napatrywanie się z boku, a nie przez to, że mu ktoś pokazuje. Pryncypalne jego zajęcia zależą: naprzód na posługiwaniu pani majstrowej, potem — na posługiwaniu panu majstrowi, potem — na posługiwaniu czeladnikom, a na ostatku — na obsługiwaniu w warstacie; w zbywającym dopiero od tych rozlicznych posługowań czasie, daje się mu coś do odczyśczenia lub do potrzymania, przy czem może przypatrywać się robocie. W posługach wymaga się od niego szybkości i akuratności. Niech np. nie stanie na zawołanie z ogniem do fajki czeladnikowi, to go ten nieomieszka skarcić nogą w bok, lub kijem po grzbiecie. I czeladnik uważa sobie za obowiązek traktować w ten sposób chłopca-terminatora dla tego, że i on sam przechodził przez te koleje, więc chłopcu oddaje tylko za swoje. Dostawszy się pod taki rygor, jedynem życzeniem chłopaka staje się, co rychlej wydobyć się z pod niego, a wydobyć się inaczej nie może, jeno wyzwoliwszy się na czeladnika. Więc, chociaż go nie ucą, — on sam się uczy, chociaż mu nie pokazują — on usiłuje podchwycić, zbadać tajemnice rzemiosła. Złe traktowanie staje się dla niego pobudką do nauki; poddaje się mu, poddaje się niemniej całemu formalizmowi, zaprowadzonemu we wzajemnych stosunkach pomiędzy terminującymi a wyzwolonymi, nakazującymi n. p. zdejmować czapkę przed czeladnikiem, wstawać przed nim, pozdrawiać go pewnym ściśle określonym sposobem, i t. d. — myśląc sobie w duchu:

— Odpląć ja to wszystko na innych chłopcach;... niechno tylko wyzwolę się!...

Pedanterja ta w świecie rzemieślniczym, ma ścisły, moralny

związek z instytucjami krajowemi. Cechy rzemieślnicze są kopią — a bodaj, czy nie modelem — cechów sądowniczych, administracyjnych, policyjnych, wojskowych, pedagogicznych, i t. d., i jednakowy wydają owoc, to jest: wyodrębniają wpisanych do nich ludzi, wyradzając patryjotyzm szewski, stolarski, kowalski i t. d.

Szandor przeto dostawszy się do kowala, uczył się rzemiosła i wciągał się do cechu. Pospieszam jednakże dodać, że rzemiosło kowalskie, bardziej jest — jeżeli tak godzi się powiedzieć — świeckiem, jak inne: jest bowiem łatwiejszem, a z tej przyczyny nie ciąży na niem tak wielka ilość formulek. Czeladnicy nawet kowalscy względniejszymi są od innych. Pomimo to jednakże, Szandor przestał przez rok cały przy miechu, i po roku dopiero przypuszczonym został do trzymania obcęgi żelaza na kowadle, a po drugim roku — do kucia. Stojąc przy miechu, zbadał on tajemnice nagrzewania żelaza i przypatrzył się z boku sposobowi kucia, tak, że gdy sam wziął młotek do ręki, kucie poszło mu od razu dobrze. Praktykował jeszcze przez dwa lata i nabył tyle wprawy, że mógł już sam sobie we wszystkim poradzić: mógł podkuć konia, okuć bryczkę i zrobić z żelaza wszystko, czego wymaga kowalska sztuka, a przyszedłszy do tej doskonałości, wyzwolił się i został — czeladnikiem. Miał wówczas lat dziewiętnaście.

Przez cały czas terminowania u kowala, Szandor oderwanym był od familijnego pożycia u Simiczów. Dniował i nocował u majstra swego i u niego się żywił, takim bowiem jest zwyczaj w rzemieślniczej nauce, a do Sawy zazierał tylko w niedziele lub święta. Przychodził on do domu jego i do rodziny, jak do swoich, i miło mu było odwiedzać ich; lecz z latami rozwijał się w nim rozum; rozum napędzał mu do głowy rozliczne myśli, pomiędzy którymi zawitała jedna, która go zaniepokoiła. Ujrzał się on sierotą, udobrodziejstwowanym przez Sawę. Sawa go wychował, Sawa oddawał go do szkoły, Sawa oddał go do rzemiosła i dał mu chleb w ręce... Wyrodziło się w bohaterze naszym za-
pytanie:

— Czem ja za to wszystko Sawie odwdzięczę?

Maryjka podrastała jak na drożdżach, a piękniała i piękniała, z każdym dniem piękniała, tak, jak brylant w ręku szli-

fierza, który za każdym pociągnięciem ręki staje się jaśniejszym.

I ta Maryjka zostać miała żoną jego!...

Póki sam był dzieckiem, uważał ożenienie swoje jako rzecz naturalną, ale nie wiele go ono obchodziło; lecz mając lat dziewiętnaście, wydało się mu ono dowodem szczególnej łaski opiekuna, niby nowem jakimś dobrodziejstwem.

— Jak ja Sawie odśłużę?... — pytał się sam siebie.

Pytanie to napełniało serce Szandora uczuciem wdzięczności, i postanowieniem dowiedzenia wdzięczności czynem. Z tego powodu wyzwolenie na czeladnika wielce go uradowało: widział się bowiem już nietylko na swoim chlebie, ale przytem w możności robienia Sawie przysług, któremi w części przynajmniej spodziewał się spłacić dług, jaki względem niego zaciągnął.

Na wdzięczności tej, niby na opoce granitowej, oparła się jego miłość dla Maryjki. Byto w tej miłości coś więcej braterskiego, jak kochankowego; coś takiego, co się paliło wciąż jednakowym i czystym płomieniem, niemigającym chwilami wielkim blaskiem, niepalącym piekielnym ogniem, ale też nienarazonym na przepalenie się i spopielenie. Brat Szandor był Szandorem kochankiem, i jeżeli niekiedy temu ostatniemu, czternastoletnia piękność Maryjki zwracała głowę i wyzywała w nim krewkość, to tamten pierwszy natychmiast go łagodził i kazał mu myśleć o jej szczęściu.

— O, będę dla niej mężem takim, jakim jest Sawa dla Anny! — wołał Szandor w głębi duszy swojej.

Maryjka była względem niego taką jak zawsze. Wiedziała ona od dzieciństwa, że będzie żoną Szandora, a w czternastym roku swego życia wiedziała już, co to jest — być żoną. Dziewczęta bowiem są takie domyślne!.. Ale to w niczem nie zmieniło i nie naruszało stosunku jej zwykłego do przyszłego jej męża. Była ona dla niego tymczasem siostrą, siostrzyczką czułą, kochającą, lecz i jej uczucie siostrzane, mimowolnie jakoś, naciągnęło się niby struna, dla wydania czystego i dźwięczniejszego głosu; a że naciągało się stopniowo, od kolebki, więc wzmacniało się latami, ale nie groziło pęknięciem. Ktoś zarzucić gotów prozaiczność takiej wykołysanej i wypiastowanej miłości, poczętej w pieluszkach i rozwijającej się, jak pasternak na grządce, przy pomocy podlewania i podgartywania. Cóż na to poradzić —

kiedy tak było!... Trudnoż mi wymyślać jakieś przeszkody, które nie istniały: kazać n. p. kochankom spotkać się niespodzianie w jakiejś dzikiej a romantycznej okolicy i postawić pomiędzy nimi przepaść do przeskoczenia — kiedy oni wychowali się i wyrosli razem i pokochali się jak brat z siostrą, i nim pokochali się, byli przez rodziców jedno dla drugiego przeznaczonymi. Przyznam się otwarcie, że byłbym rad, gdyby tego przynajmniej ostatniego (t. j. rodzicielskiego przyzwolenia) nie było: powieść skorplikowałaby się od razu i od razu popłynęłaby, jak katarakta, rozbijając tamy i zawady, lub rozbijając się o takowe. W braku zaś tego musi ona płynąć spokojnie, jak strumień w dolinie jak życie rzemieślnika, i rozpowiadawszy o uczuciu córki stelmacha ku czeladnikowi kowalskiemu, rozpowiadać dalej koleje tego czeladnika.

Wyzwolenie Szandora odbyło się ze wszystkimi formalnościami w kowalskiej gospodzie. Wszedł on do niej chłopakiem, a wyszedł z niej człowiekiem, mającym swoją rubrykę na rejestrach ludności węgierskiego królestwa, swoje miejsce w kowalskim fachu i swoją książeczkę (*reisebuch*) w kieszeni. Młot stał się godłem jego człowieczeństwa — pewnym rodzajem herbu, na który zasłużył, i który godnie mógł nosić dla tego, że jak wiemy, dobrym był kowalem. Świat się przed nim otworzył, a na tym świecie migąło mu w oczach do czerwona rozpalone żelazo i szypiał mu w uszach miech, a w iskrach sypiących się z kowalskich węgli, niby salamandra, podlatywała cudna postać dziewczica.

Pierwszy rok po wyzwoleniu przebył Szandor u kowala, u którego odterminował. Tak chce zwyczaj, tak nakazywała przyzwoitość: — trzeba majstrowi odwdziaczyć za naukę. Odwdzięczenie to jednakże nie robi się gratis, ani też tylko za kawałek chleba, jak przez czas terminowania: majster płaci i dogadza, jak każdemu innemu czeladnikowi. Zmienia się przytem stosunek do majstra, z którym staje się na równi — i do terminujących chłopców, których ma się prawo kuksać i ciągać za uszy. Należy przytem żadnej mściwości w sercu za dawniejsze obchodzenie się, ani do majstra, ani do czeladników, nie zachować. Jest to tak zupełnie, jak gdyby człowiek na nowy jakiś narodził się świat. Szandorowi, który — powiedzmy nawiasowo — lubiał i umiał po swojemu zapatrywać się na rzeczy (jak to

zresztą pokazało się z jego poczucia do obowiązku wdzięczności ku Sawie), wydało się to niesprawiedliwem. W parę dni więc po wyzwoleniu, zapytał czeladnika, z którym razem pracował w kuźni:

— Powiedz mi, dla czego dziś obchodzisz się ze mną inaczej, jak wczora?

— Dlatego, że dziś jesteś czeladnikiem, a wczoraj byłeś chłopcem — odparł mu towarzysz tonem niemałego zdziwienia.

— Cóż się we mnie tak raptownie zmienić mogło?... ja takim jestem dziś, jakim byłem wczora... Wypiłem tylko z wami *brüderschaft* i dostałem książeczkę; ale to mnie ani pogorszyło ani polepszyło...

— Jakto!... to ty tego nie rozumiesz!... — zawołał zdumiony czeladnik. — Toż kiedy tak, nie warto było ciebie jeszcze wyzwalać na czeladnika... ty gotów bratać się z chłopakami!... Gdybym był o tem wiedział, byłbym to powiedział na gospodzie.

Szandor milczał nieco zawstydzony, czeladnik prawił dalej:

— Czyż nie wiesz, jak się dzieje na świecie?... Ot weź na przykład *gemeinera* i kaprała. Póki *gemeiner* jest *gemeinerem*, to mu kaprał, kiedy zechce, może *fünf und zwanzig* laską wyliczyć — (wówczas kaprale austrijscy nosili jeszcze laski, jako godło stopnia); — a gdy tylko *gemeiner* zostanie kapralem, to już nie tylko dawniejszy kaprał nie ma prawa bić go laską, ale natychmiast jest z nim *per du*. Rozumiesz ty to... Otóż, tak samo i w rzemiośle...

Szandor kiwnął głową na znak, że zrozumiał, chociaż tłumaczenie czeladnika nie wydało się mu bardzo jasnym. Pomimo to jednakże, przyjął nowe swoje położenie społeczne wesołym sercem i chociaż robił to samo co w ostatnim roku terminowania, ale robota szła mu raźniej, czas zbiegał mu szybciej, kuł i grzał żelazo, przyśpiwując i pomyśliwając o przyszłości, która mu się coraz piękniejszą wydawała, zapewne dlatego, że ta która mu w owej przyszłości towarzyszyć miała, rozwijała się, jak róża na majowym słońcu. Rok zbiegł Szandorowi jak dzień jeden, i nastąpiła chwila rozpoczęcia ostatecznej a koniecznej próby rzemieślniczej, bez której nie mógł zostać majstrem, a zatem nie mógł ani kuźni na siebie otworzyć, ani urzeczywistnić gorącego chcenia serca swego. Próbą tą była — wędrówka.

— No, Szandor — rzekł do niego Sawa w wilję odejścia jego — idziesz na wędrówkę.. Niechże cię Pan Bóg prowadzi! A pamiętaj, żebyś za dwa lata był z powrotem.. Czekamy na ciebie.. z weselem... — I dodał stary żartem:

— Jeżeli się spóźnisz, to może Maryjkę kto uchwyci i ty zostaniesz na lodzie...

Szandorowi aż gorąco się zrobiło na wspomnienie wesela i Maryjki, nie dlatego, że obawiał się, aby ją kto uchwycił, ale dlatego, że takie wielkie szczęście z taką łatwością mu przychodziło. Uczucie wdzięczności zakolatało mu w sercu i następującymi wyraziło się słowami:

— Ani wam odwdziżyć, Sawo, ani odsłużyć nie potrafię za to, czem wy jesteście dla mnie, i za to wszystko, coście dla mnie zrobili i co robicie... Nie dość, żeście mnie wychowali i wyuczyli, ale jeszcze dajecie mi dziecko wasze, które moglibyście wydać za najbogatszego w Szegiedynie człowieka, i chcecie żeby córka wasza dorabiała się wraz ze mną pracą, zamiast, że mogłaby żyć jak grafka... Wyście, Sawo, mój dobroczyńca... wielki dobroczyńca!..

Zakręciły się Szandorowi łzy w oczach.

Sawie także wilgotno zrobiło się pod powiekami.

— No!.. no!.. — rzekł — nie będzie ona z tobą taka uboga, jak się tobie zdaje... Jak ci coś powiem, gdy powrócisz, to... przekonasz się...

— Może chcecie jej dać posag!.. — przerwał Szandor — O!.. co tego, to nie przyjmę!.. Gdy mi Bóg dopomoże, przyniosę z sobą z wędrówki! tyle, że wystarczy na otwarcie warstata, a potem własnymi mojemu rękami utrzymam ją i siebie...

Sawa o mało że nie wygadał się, że ma w kufrze worek z pieniędzmi Szandora, i usta już otwierał, żeby mu o tem powiedzieć, ale wstrzymał się, uśmiechnął, a podniosłszy rękę, począł kręcić palcem w powietrzu i mówił:

— Fiu!.. fiu!.. fiu!.. co to młodemu po głowie się roi!.. Nibyz to kto bierze żonę bez posagu... Widać, że tobie dopiero dwadzieścia tylko lat, i dla tego nie wiesz jeszcze, że żona bez pieniędzy, jest jak ryba bez pieprzu, można się nią najeść, ale... co po jedzeniu takim!.. Raz, dwa razy... wyda się smaczny, a potem obrzydnie.. zresztą tobie się zdaje, że zarobić to tak łatwo!.. Będziesz pracował jak czarny wół i nie zarobisz nic:

bo grosz idzie do grosza, ale nie lgnie do gołych rąk (zauważyć warto, że nasz Sawa nie uczył się politycznej ekonomji)... I nawet nakazuję ci po ojcowsku — dodał stary na serjo — ażebyś nie dusił zarobionych pieniędzy, ażebyś nie żałował sobie na gębę: bo kto pracuje, szczególnie w podróży, temu do pracy potrzebne są siły... Zjedz i wypij dobrze za swój grosz, i nie oglądaj zgoła się na to, co będzie!... Pamiętaj, że ja dla ciebie ojciec, a moja Anna matka, i że my myślimy o tobie, jak o naszym własnym dziecku...

Za całą odpowiedź na tę, z początku żartem, a w końcu serjo wypowiedzianą naukę, Szandor ucałował ręce swego opiekuna, który uściśnął go serdecznie, dodając:

— Bo ty wiesz o tem, że ja i twój ojciec, byliśmy z sobą jak bracia rodzeni, więc powinieneś mnie jak ojca uważać i nawet nie dziękować za to, co się tobie odemnie dostanie... Niech się tobie zdaje, że to ci ojciec twój daje...

Tym wykrętem myślał stary utagodzić skrupuły Szandora; lecz nie dopiął celu, bo Szandor nie zmienił postanowienia nieprzyjmowania posagu.

W chwili rozstania się bohatera naszego z rodziną Simicza pokazało się, że Maryjka do Szandora i Szandor do Maryjki mieli się niezupełnie jak brat i siostra: we wzajemnem ich uczuciu było coś takiego, co rozstaniu się tych dwojga młodych ludzi, nadało charakter gwałtownego rozdzierania jakiejś całości na dwie połowy — rozdzierania, które zcalić się musi dlatego, że serca tych dwóch połów zlane są w jedno uczucie.

— Wracajże jak najpędzej... *lelkem!... galambum!...* — mówiła dziewczyna.

Była to już trzeba nie zapominać piętnastoletnia dziewczyna.

— A nie zapominaj o mnie... — prosił Szandor.

— Czyż jabym mogła zapomnieć o tobie!... — odpowiedziało dziewczę tonem wymówki.

— Bo to widzisz — rzekł Szandor jękając się z wyrazem niespokojności w oczach — bo to widzisz... Tyś taka piękna!... Ciebie dużo ludzi otoczy... Na ciebie się patrzy... za tobą chodzi... dużo ludzi... ładniejszych... lepszych... bogatszych... odemnie... I jeżeli oni... jeżeli ty!... — jękał się Szandor, nieumiejąc oddać wyrazami myśli swojej:

Dziewczyna przechyliła główkę, i uśmiechniętym, śmiałym, ale pełnym wymówek wzrokiem patrzyła w oczy kochanka; gdy zaś się ten w mówieniu zaciął, powiedziała tylko:

— Szandor!... Szandor!...

I nie więcej mówić nie potrzebowała na uspokojenie odchodzącego kochanka.

Szandor odszedł pobłogosławiony przez jednych, pożegnany serdecznie przez drugich. Wszyscy zamówili sobie u niego prędko, jak najprędszy powrót, który Sawa wyznaczył wyraźnie za dwa lata.

Omylił się jednakże stary Sawa w rachubie lat. Liczył on rok od Nowego do Nowego Roku, i do ogólnego rachunku czasu nieobecności Szandora, wliczył trzy ćwierci roku z góry. Szandor wyszedł na początku jesieni, więc na początku powtórnej po jego odejściu jesieni powinien był powrócić. Sawa zaś myślał sobie:

— On nie wytrzyma... pospieszy na drugi Nowy Rok.

I dlatego od Nowego Roku codziennie wyglądał Szandora. I wszyscy domownicy jego wyglądali go, a Maryjce nieraz przychodziło na myśl:

— Co to znaczy, że on nie wraca!... Czy przypadkiem?... czy czasem?...

I nie mogło w jej myśli sformułować się żadne wyraźne przypuszczenie, chociaż wdychała niekiedy i mówiła sama do siebie:

— Na świecie... po tych wielkich miastach, o których tyle dziwnych rzeczy rozpowiadają... muszą być i bogatsze... i lepsze... i... i... I spoglądała w zwierciadło, w którym widziała siebie i swój półuśmiech, który jakoś niby od niechcenia, wałęsał się po jej obliczu, zawisając to na ustach, to na oczach, to rozbiegając się po twarzy i czole.

Niespokojność Szandora nie była bez powodu, już dla tego samego, że miłość, jak wiadomo, jest podejrzliwą, a wiedział na jakie próby po jego odejściu narażoną będzie miłość Maryjki. Obecność jego w Szegiedynie była cerberową wartą, czuwającą nad zaklętym skarbem. Odejście — zdejmowało ze skarbu zakłęcie: można już było kusić się i ubiegać o takowy.

Maryjka była piękną, i wszyscy jednogłośnie uznawali, że

piękniejszej od niej w całym komitacie *) nie było, i całego komitatu młodzież ubiegała się o to, żeby choć popatrzeć się na nią. Z tego powodu Sawa miał dużo roboty i dużo gości. Grafy, barony obstalowywali u niego koczki i przychodzili dowiadywać się o takowe, przyszedłszy zaś mówili o koczach a spoglądali na Maryjkę, i widać było po niejednym, że sto koczów oddałby chętnie za nią. Ci jednakże byli najmniej niebezpieczni, bo oni mieli tylko pieniądze, które ani Simicza, ani Annę, ani Maryjkę nie mogły do tego złakomić stopnia, żeby stary o przyrzeczeniu uroczystem, a dziewczyna o uczuciu zapomnieli. Lecz pomiędzy młodzieżą Szegiedyńską, pomiędzy znajomymi, rówieśnikami, a nawet przyjaciółmi Szandora znajdowali się tacy, którzy za Maryjkę nie koczki, nie pieniądze, ale życieby oddali; nie jednemu z nich nie brakowało ani urody, ani bogactwa, nadających im w połączeniu ze światowem ułożeniem te własności „co to — jak ukraiński poeta powiada — pannom umieją wskoczyć w rumieńcach.“ Maryjka od pierwszej chwili rozkwitu w dziewicę otoczona była niebezpieczną czeredą czcicieli, którą obecność Szandora trzymała w przyzwoitem oddaleniu, bo w minie bohatera naszego było coś takiego, co powiadało, że łeb współzawodnika gotów wziąć za kowadło i młotem weń trzepnąć. Więc nawet panice z komitatowych juryzdykcyj szanowali tę gotowość, i tylko z daleka pozwalali sobie ronić westchnienia, i przesyłać je pod adresem pięknej stelmachówny. Zakłęta dziewczyna, niby królowna w czarodziejskim zamku, była dla nich nieprzystępna. Starali się oni zwabić uwagę jej ku sobie ciesząc się nadzieją; że za uwagę przyjdzie i serce. Z tego ten wyniknął skutek, że od czasu, jak Maryjka, jako panna na wydaniu, zajaśniała na szegiedyńskim horyzoncie, do Szegiedyna, pomiędzy młodzież wszelkich klas i stanów zawitała niezwyčajna elegancja, która powiększyła znacznie konsumację perfum, olejków, pomady do włosów, fiksatorów do wąsów i piór do kapeluszków. Ale wszystko to było napróżno. Niepomadowany i niefiksaturowany kowal zakrywał ich sobą, i znieużyteczniał wszystkie ekspensa elegancji. Szandor to wszystko widział. Serce jego drżało, nie obawą o serce kochanki, ale gniewem na te manewry podchodzących z daleka a ostrożnie ry-

*) *Komitat* — obwód, gubernja.

walów, których miał po prostu za złodziejów, skradających się do jego własności. Miał on przeto powody być niespokojnym, może dla tego samego tylko, że przyzwyczał się do roli strażnika.

— A nuż — myślał sobie — a nuż rozbałamucą dziewczynę!... Jak jej zaczną kłaść w uszy, że piękna, że gdyby sam palatyn węgierskiego królestwa ją zobaczył, to zarazby zechciał posadzić ją obok siebie na tronie ze słoniowej kości, to jej moja kuźnia nie wyda się bardzo powabną.

I aż zębami zgrzytał biedny Szandor, i klął po węgiersku, i radby był nie iść na wędrowkę; ale potrzeba mu było iść — a potrzeba dla człowieka ostrym jest bodźcem i potężną dźwignią, która go nieraz wbrew woli postępować zmusza, a niekiedy dziwy z niego tworzy... Poszedł Szandor: z tornistrem na plecach, z kijem w rękę, z zarobionym przez rok groszem w kieszeni, i z zalem w sercu — ruszył w świat dobijać się poważniejszego pomiędzy ludźmi stanowiska.

A jak tylko on odszedł, natychmiast po Szegiedynie gruchnęła wieść.

— Nie ma Szandora Kowacza i nie będzie go przez dwa lata!...

Dwa lata!.. to kawał czasu, znaczący wiele w życiu młodego człowieka. Mając dwa lata przed sobą, a za sobą dwa a najwięcej trzy dziesiątki lat, o! to śmiało wszystko przedsiębrać można, licząc na pewno, na powodzenie.

Tak myśleli w Szegiedynie wszyscy ci młodzi ludzie, którym się roilo o podbiciu serca Maryjki, i przypuścili do niej ze wszystkich stron szturm. Każdy z nich ułożył sobie plan postępowania, albo raczej przystępowania, i każdy rozpoczął działanie wedle planu. Planów tych, każdego z osobna, rozbierać nie będziemy: raz dla tego, że było ich dużo, a powtóre dla tego, że wszystkie, z małemi odmianami, podobnemi były do siebie, zależąc głównie na ujęciu wzroku, słuchu i powonienia dziewczyny. Młodzież się stroiła, sadziła się na grzeczne słówka i komplementy, i oblewała się olejkami i perfumami, a każdy się nastawiał z podwójnym zamiarem: zatarcia swoją osobą wspomnień o Szandorze i zakasowania współzalczyków. A gdy Węgier się nastawia, to go widzieć warto!... panoszy się, nadyma, pozuje, obtyka się piórkami, owiazuje wstążkami, obwie-

sza łańcuchami i łańcuszkami, na palce zaś tyle wkłada pierścionków, ile się zmieści i na ile mu stać. Dla kobiet zwykle nie jest on zbyt delikatnym, ani nadskakującym; ale Maryjka stanowiła w kobiecym świecie wyjątek, i do niej Madiary i nie Madiary wyjątkowym przystępowali sposobem: zmieniali obyczaj, gwałcili, rzec można, naturę. Lecz, ponieważ współzalomników było dużo, więc obudziło się pomiędzy nimi spółzawodnictwo, które każdemu z osobna mieszało szyki; każdy bowiem chcąc ubiedz innych, spieszył się, i spiesząc, sam sobie psuł plan: wynurzał miłość swoją przed Maryjką, i — dostawał odkosza. Nie później jak w pół roku po odejściu Szandora, Maryjka takie już miewała rozmowy:

— Kocham ciebie śliczna Maryjko!..

— To kochaj — odpowiadała fluternie uśmiechnięta dziewczyna.

— Gotów jestem oddać za ciebie życie!..

— I cóżby z tego wynikło, gdybyś życie oddał?..

— Możebyś uwierzyła w kochanie moje!.. możebyś mnie pokochała!..

— Byłoby już za późno... Moja miłość na nicby się już tobie nie przydała...

— Ty żartujesz!.. nie wierzysz mnie!.. nieczuła!.. zimna!.. okrutna!..

— Ale wierzę!.. wierzę!.. — mówiła śmiejąc się złośliwa dziewczyna.

— Czy chcesz jakich dowodów?... powiedz!.. rozkaż!.. — wołał zdesperowany zalotnik — będę twoim sługą!.. niewolnikiem.

— O!.. a toż mi na co!..

— Pozwólże mi przynajmniej kochać ciebie!.. pozwól spodziewać się, że moja wierna, bezgraniczna miłość, będzie kiedyś wynagrodzoną...

Wówczas dziewczyna przybierała minę bardzo serjo i odpowiadała:

— Ja kocham Szandora i żadnego pozwolenia ani obietnicy nikomu dawać nie mogę.

I odpowiadała tak każdemu, i nie jeden rozstając się z nią pomyślał sobie:

— Ta dziewczyna oszalała!.. Co ona w tym Szan-

dorze widzi?... E!... niech ją djabli porwą!... szkoda moich zachodów!...

I jeden po drugim odstawał. Coraz szczupłała liczba wielbicieli Maryjki. I pod koniec dwóch lat, pozostało dwóch czy trzech, pomiędzy którymi jeden tylko zasługuje na bliższe poznanie się z nim.

Tym jednym był niejaki Leopold Memlauer, którego całe nazwisko brzmiało jak następuje: Leopold Memlauer Edler von Kronenschwert. Z nazwiska domyśleć się można, że był on szlachcicem i Niemcem, i ten domysł był wszyskiem, co o kwalifikacjach jego społecznych powiedzieć było można. Mieszkał w Szegiedynie od dawna, grając rolę człowieka, żyjącego z procentów od jakiegoś kapitału, o którym nikt nic nie wiedział, a który jednakże musiał być donośny, bo wystarczał mu na bardzo wygodne życie. Memlauer mieszkał porządnie, trzymał służących i konie, znał się ze wszystkimi w mieście i w komitacie, i rad wdawał się ze wszystkimi, tak z rzemieślnikami i mieszczanami, jako też z magnatami, do których wstęp otwierał mu jego tytuł „Edler von“. W jego wdawaniu się z mieszczanami było coś protekcyjnego, ale zarazem troskliwego, lubił bowiem wchodzić w ich kłopoty miejscowe, w rozliczne zajścia nawet narodowościowe: z Racami był Racem, z Madiarami Madiarem, z Wołochami Wołochem, a tak umiał być, czem chciał, że nie wiedząc o niemieckim jego pochodzeniu, trudno było rozpoznać, czy on jest Racem, czy Madiarem, czy Wołochem; mówił bowiem przytem płynnie i dobrze wszystkimi miejscowymi językami. Zdawało się, że to jego interesowanie się miejscowymi sprawami pochodziło stąd, iż procentowicz nie wiedział, co z czasem swoim robić; a jednakże miał on zatrudnienie, o którym wiedział pocztarz, ale wiedział tylko ogólnie, że pan Memlauer regularnie prowadzi jakąś korespondencję z Pesztem i Wiedniem, i że wysyłane przez niego listy są zawsze grubsze przy końcu a mniejsze w ciągu miesiąca. Adresy na kopertach bywały rozmaite i rzadko bardzo były na nich ulice i numera domów wymienione: kończyły się zwykle prostem „in Wien.“ Raz przypadkiem — a może i nie przypadkiem — utworzył się jeden z jego listów na poczcie w Szegiedynie. Poczmiistrz chciał go przeczytać, lecz nie mógł; był bowiem pisany kluczem i jedno tylko było w nim zrozumiałem — to nu-

mer, postawiony tak, jak na papierach, wychodzących z urzędowych dekasteryj. To dało poczmistrzowi do myślenia, ale nie naprowadziło go na żaden domysł. Stosunki jednakże Memlauer musiał mieć jakieś znaczenie: on to bowiem np. był owym przypadkiem, który zaprowadził Janka do Karansebeszu, doradziwszy mu drogę, jaką on obrał i opatrzywszy go listem rekomendacyjnym. On i innych kilku młodych ludzi pokierował i poumieszczał, a zawsze w jakimś biurze rządowym, i protegował ich z daleka. Wzbudzał więc z tego powodu ku sobie pewien rodzaj szacunku, pomieszanego z jakąś nie dającą się określić obawą, którą łagodziło pełne taktu i przyzwoitości obchodzenie się jego z ludźmi. Że posiadał u siebie książki i widywano go często czytającym, więc miano go powszechnie za jakiś gatunek zamożnego i posiadającego wpływy filantropa, który zamożność swoją na swój własny obraca użytek, wpływami zaś rad ludziom dopomaga. A że obrał Szegiedyn na mieszkanie, to temu nie dziwiono się wcale, bo okrom niego znajdowało tam jeszcze i kilku innych percentowiczów, trzymających się zazwyczaj takich, jak Szegiedyn, miast, gdzie i tanio i wygodnie i bez trosk można pędzić żywot. Ponieważ zaś ten gatunek ludzi jest powszechnie nieużyty, zasklepiający się w sobie, wyosobniający się, przeto Memlauer uważanym był jako wyjątek dobry, i jako taki miał pewną powagę w społeczeństwie miejskiem, — powagę, z którą nigdy w sprawach publicznych nie występował, której jednakże używał sposobem prywatnym, szeptał niby do ucha temu to owemu jakieś rady, jakieś przestrogi, jakieś uwagi, takie zawsze bezinteresowne, a tak trafiające do przekonania tych, którym je szeptał, że miano go za bardzo rozumnego i praktycznego człowieka, i nieraz udawano się do niego z żądaniem sądenia zająć lub godzenia pokłóconych stron. Lecz w takich razach Memlauer się uchylał, tłumacząc się, że on do niczego mięszać się nie chce.

Pod względem fizycznym był to człowiek średniego wieku, wydający się młodszym od lat swoich: miał bowiem czterdzieści kilka lat, liczono mu zaś trzydzieści kilka, a to dla tego, że wyglądał czerstwo i bardzo dobrze, wyglądanie swoje podnosząc eleganckiem prawie ubieraniem się, i starannem utrzymywaniem włosów, faworytów i wąsów. Powierzchność jego możnaby

tak opisać: wzrost średni, tusza umiarkowana, twarz okrągława, nos równy, usta zwyczajne, skłonne do dobrotliwego uśmiechu, oczy siwe, włosy, faworyty i wąsy koloru płowego, wpadające w czerwonawy, pleć delikatna, ręce utrzymane białe i zawsze bardzo czysto, a ozdobione dużym złotym sygnetem, który na palcu ukazicielu lewej ręki czerwienił się pysznym krwawnikiem. Na twarzy jego rozlany był wyraz dobroduszości, która jednakże, przypatrzwszy się jej bardzo uważnie, wydawała się maską, pokrywającą sobą jakby inną jakąś twarz, której pod nią domyślać się tylko było można, ale niepodobna było wyrzec, jaką była owa inna twarz — piękną czy brzydką, dobrotliwą czy złośliwą, czy też nijaką? Ubierał się on, jak mówiłem wytwornie, ale bez pretensji i przesady; posiadał zawsze świeży frak, świeże surduty, kamizelki i inne części odzienia, i cienką bieliznę, i zawsze wyświeżony występował na miasto, pogłaskując od czasu do czasu ostrożnie wąsik — który zakręcony w dwa regularne rożki, rysował mu się niby położony horyzontalnie pi-sarski nawias pod nosem — pociągając złoty łańcuszek od zegarka, który spływał mu z szyi i zakręcał się na kamizelce, ozdobionej kilku misternymi, a także złotymi brelokami; ale nie obwieszał się, sposobem węgierskim, łańcuchami i kutasami, ani upstrzywał wstążeczkami i piórkami. Był to, jednym słowem, człowiek pod każdym względem porządnym i wytrawnym — nic mu nie brakło, ale też niczego na nim nie było nadto, i przytem z każdym umiał żyć, wiedział jak do kogo zagadać; i kiedy nad wieczorem wchodził do kawiarni, to wszyscy go uprzejmie pozdrawiali i witali, a w każdym domu „herr von Memlauer“ był zawsze pożądanym gościem.

A tak jak cel życia jego był zagadkowym, tak też i o zamiarach jego na Maryjkę nie można było nic bardzo stanowczego powiedzieć. Że był jej wielbicielem — to najmniejszej nie podpadało wątpliwości; gdyż i często bywał u Sawy i obdarzał jego córkę rozmaitemi specjałami i drobnymi prezencikami — czego względem innych dziewcząt nie robił, i często dawał do zrozumienia, że Maryjka mogłaby zrobić piękną karierę, zabłyszczeć na wielkim świecie, zasiąść obok grafek i baronek — czem widocznie starał się zachwiać jej wierność dla Szandora. Nie wynurzał jednak otwarcie swojej miłości. W jego postępowaniu widnem było ostrożne jakieś zachodzenie zdaleka, jakaś

systematyczna obmyślność, idąca powoli a wytrwale, skradająca się raczej, ale przytem nie powiadająca gdzie idzie, ani czego chce, tak, żeby w razie niedojścia do celu, nie narazić się na to, aby powiedziano:

— Memlauerowi nie udało się!...

Po każdej dłuższej z nim rozmowie, Maryjka czuła się jakoś, jakby — niedobrze — nie na ciele, ale na duszy. Memlauer zwykle, z początku pół-żartem, potem pół-serjo, rozwijał przed wyobraźnią młodego dziewczęcia rozmaite obrazy życia, i rozwijał je po mistrzowsku, dramatyzując, wspierając przykładami i wzorami, do których Maryjka stosować mogła siebie, siebie sama, na żaden jednak sposób — siebie z Szandorem, dla tego, że Szandor wyglądałby w nich albo brzydko, albo głupio, albo śmiesznie. Biedną dziewczynę nieraz żał przejmował i gniewno się jej robiło, i bolało ją poniewieranie kochanka, a bolało ją tem bardziej, że ona samą poniewierała: Memlauer bowiem zawsze o Szandorze odzywał się dobrze, a tylko nastrajał wyobraźnię Maryjki tak, że ona sama, wykańczając sobie dziewiczym sposobem, rzucone w nią przez Memlauera szkice dramatycznych obrazów, nie mogła kochankowi dać równą swojej rolę. Memlauer rozповідаł jej o rozmaitych rzeczach w tym guście, w jakim Wallenrod musiał Aldonie „o Bogu wielkim, o jasnych aniołach“ rozpowiadać, i obok tego dawał jej pomarańcze, cukierki, koleczyki, łańcuszki i wsuwał jej niekiedy i książki, i tak oswoił ją z sobą, że stał się jej w końcu potrzebnym; jeżeli nie przyszedł przez parę dni, to go Maryjka wyglądała.

Kiedy zapaleni wielbiciele Maryjki podpadali, Memlauer pozostał dla tego snadź, że nie był zapalonym, a pozostał wierny przyjętemu zwyczajowi noszenia cukierków, pomarańcz, i t. d., dawania książek do czytania, rozpowiadania pięknych rzeczy, nie wymówiwszy nigdy wyrazu: „kocham“ i nie dawszy nikomu — ani dziewczynie, ani jej rodzicom — poznać po sobie, że miłość zaroniła się do jego serca. Co to była za miłość? w to wchodzić nie będziemy. Bywa niekiedy, że mężczyzna rozkocha się w pięknej kobiecie dla przyczepienia jej jako ozdobę do siebie; jak np. złota z brylantem spinka wpina się w półkoszulek; — albo też, dla pochwalenia się nią, jak dziel-nemi końmi i pięknym powozem.

— Co za konie!... co za powóz!... a co za żona!.. — powiadają ludzie.

Albo też bywa jeszcze i tak, że piękna żona staje się pewnym rodzajem wabika, ściągającym urzeczywistnienie tajemnych życzeń męża. A bywa nawet i tak, że w ładnej dziewczynie kocha się bynajmniej nie w celu zrobienia z niej żony, ale obok tego bynajmniej nie platoniczną miłością. A!... rozmaite są rodzaje, stopnie i odcienia miłości, jakiem zaś z nich kochał pan Leopold Memlauer — w to nie wchodzimy... Przypuśćmy, że pokochał on Maryjkę prawdziwie, że jego czterdziesto-kilkolletnie serce zagorzało płomieniem czystym — co nie jest niepodobieństwem — a zrobiwszy to przypuszczenie, przypomnijmy sobie pierwszy rozdział niniejszej powieści, z którego wyraźnie pokazuje się, że jakkolwiek czystą mogła być miłość Memlauera dla Maryjki, miłość tej ostatniej dla Szandora była jeszcze czystsza, bo zwycięsko wyszła z dwuletnich prób, na jakie była wystawiona.

V.

Na wędrowkę Szandora, ogólny tylko a pobieżny zrobimy pogląd. Obszedł on całe prawie państwo austryjackie; przeszedł Węgry, Galicję, Czechy, Austrię; zachodził do Styrii, gdzie sławne kosy robią; pracował w rozmaitych miejscach, z bogacając swój *reisebuch* pochwalnemi świadectwami różnych majstrów kowalskich; w Wiedniu wbił ółwiek w ten słup, w który każdy przechodzący przez Wiedeń kowal jest obowiązany wbić swój ółwiek; i wydoskonalił się w swoim fachu, i zebrał sobie kilkadziesiąt reńskich, za które mógł zakupić narzędzia i otworzyć kuźnię w Szegiedynie. Pod względem więc fachowym wędrowka powiodła mu się bardzo pomyślnie. Przyniósł on z niej z sobą zapas, z którym śmiało rozpoczynać mógł wędrowkę życia pełnego, bo dopełnionego tą drugą połową człowieka, którą słusznie w naszym języku „połowicą“ nazywają. Lecz przyniósł on z sobą i inny niefachowy zapas, którego może nie spodziewał się przynieść, a który jednakże, bardziej stanowczy od fachowego, wywarł wpływ na jego życie.

Powrót Szandora z wędrowki miał miejsce w 1847 roku. Muszę chronologję wprowadzać do powieści, bo bez niej trudno mi zdać sprawę z podróży wrażeń bohatera naszego. Wymienienie wyraźne roku, oswojonego z dziejami nowszych czasów czytelnika naprowadza samo przez się na wywołanie w myśli swojej wspomnienia o tych ruchach umysłowych, jakie objawiły się pomiędzy narodowościami, podległemi austryjackiemu berłu. Przemknie się w pamięci jego kilkadziesiąt nazwisk: historyków, badaczy starożytności, filologów, literatów, poetów, których postacie wystąpiły niespodzianie z łona okrytych pleśnią dziejowego zapomnienia plemion, ukołysanych do snu, który przed mniej jak pół-wiekem najprzenikliwszym etnografom wydawał się nieprzespanym. To rozbudzenie się do życia tych, którzy już pogrzebani byli w teorjach książkowych, wielu zdziwiło, niektórych rozgniewało. Pamiętam profesora pewnego, z katedry pewnego niemieckiego uniwersytetu obrzucającego szyderstwem, „te mrówki, stające dęba, i kiwające łapkami w powietrzu“. Przykrem bo to jest, gdy jakieś tam nieprzewidziane fakta i falciki wyrastają niewiedzieć skąd, i wywracają okryte sankcją poważnego uznania, i ulepione a zalepione ze wszystkich stron teorje, i gdy dla tych faktów i falcików, trzeba psuć stare foremki a komponować nowe. Wykomponować to łatwo. Umysł ludzki tak jest gibkim, że może dowolnie i teorję naginać do faktów, i fakta do teorji. Pamiętam innego jeszcze uczonego Niemca, który mi różnonarodowość Austrii następującym tłumaczył sposobem:

— Austrija — powiadał — jest różnolistną różą, w której na jednym i tym samym pączku wyrastają rozmaitego koloru listeczki.. Cóż z tego, że listki są odmienne!.. jednym jest pączek i wspólnym zapach.. Florikultura doszła już do tej doskonałości, że zbiera na jednym pączku bukiet różnokolorowych listków: polityka jest florikulturą w swoim rodzaju...

I na tem tle uczony mąż dowiódł mi jasno, jak na dłoni, że ruchy owe są nienaturalne. Nie będę wchodził w to, czy miał on rację. Dość, że ruchy miały miejsce, a najpierwszemi owocami ich były: historyczne, starożytnicze i filologiczne badania, literackie i poetyczne utwory, które dały znać światu, że istnieją Czechi, Morawcy, Szlązaki, Słowacy, Sławony, Illirycy, Dalmaty, Kroaty, Serby, Madiary, Rumani, i t. d., na

tej przestrzeni, na której przez ciąg kilku wieków, ozwał się jeden tylko głos narodowy zanotowany⁹ w historii: „*moriamus pro rege nostro!*...“ Owocem te składano obojętnie do ogólnych archiwów wiedzy ludzkiej i karbowano je na karbach intelektualnego rozwoju, nie zastanawiając się nad powodami ich. Wiedziano uczonych, których miano za pewien rodzaj archeologów-amatorów, oddających się studjom i robiących poszukiwania dla z bogacenia archeologicznych muzeów, w tym samym guście, w jakim podobnie studja i poszukiwania robią się na ruinach Palmyry lub Balbeku; miano ich za filologów, należących w pewnej mierze do tego gatunku ludzi, którzy ślęczą nad Samskrytem, lub nad odczytywaniem hieroglifów. I pozornie sądząc o rzeczy — tak było rzeczywiście... Niektórzy mieli — i dotychczas jeszcze mają — uczonych, literatów i poetów za przyczyny owych fermentacji w Austrii, za podżegaczy. Nie!... oni byli wynikami. Fermentacyi czuć się dały przed nimi, wzięły się nie wiedzieć skąd, jakby jaki wiaterek nawiał na Austrię nieprzyjazny zamęt pyłków, których natykawszy się, Serb począł czuć się i uznawać Serbem, Kroat — Kroatem, Madiar — Madiarem, i t. d.

Nasz Szandor, póki pozostawał w Szegiedynie, nie czuł i nie rozumiał tego, co się w Węgrzech działo, pomimo, że Szegiedyn był jednym z ognisk madiarszczyzny. Najtrudniej bo to jest rozpoznać się w swoim własnym gnieździe. Człowiek przywyka do pewnej jednakowości, która zdaje się mu niezmienną i powszedniejszą, gdy toż samo, na innem miejscu widziane lub słyszane, wydaje się nowem i zajmującym. Przytem, jak dom Simicza na ustroniu, tak też cała rodzina starego huzara, a z nią i Szandor, z daleka tylko i półuchem przypatrywali się i przysłuchywali temu, co się robiło i mówiło w mieście, a oddanie się pracy zajmowało całkowicie ich umysły. Sawa tylko politykował; ale on wszystkie bieżące kwestje, do jakiejby takowe kategorii nie należały, rozwiązywał po swojemu, to jest, po huzarsku. Gdy zjechała się np. szlachta na wybory *vice-gszpana* i podzieliwszy się na stronnictwa, napełniła Szegiedyn wrzawą, hałasem, bijatykami i pijatyką, zupełnie tak jak na naszych dawnych sejmikach, to on nie oświadczał się za żadnym stronnictwem, ale radby był stworzyć nowe, ze starych huzarów.

— Ej!... gdybyż to tu huzary!... to bym ja dopiero pokazał i *Peczowiczom* *) i nie *peczowiczom*!... — powiadał.

I na tem kończyło się całe politykowanie pod dachem domu stelmacha, a w tem politykowaniu żaden z domowników nie mógł brać udziału, bo Sawa tak się czuł mocnym na swoim terenie, że nie pozwalał sobie najmniejszych robić uwag. „Nie ma huzarów!... wszystko się chyli ku upadkowi!...“ takim był ogólny temat rozpraw Simiczowych, które pomimo, iż przez jego najbliższych nawet uważanemi były jako gderania starego człowieka, nie mniej przeto jednakże rzucały złe światło na rzeczy i sprawy, dziejące się w Szegiedynie.

Lecz w jakże odmiennem świetle, te same rzeczy i sprawy przedstawiły się bohaterowi naszemu w Keczkimecie i Peszcie w Jaszbereniu i Miszkolcu, w Koszycach, Preszowie!... Serce jego odczuwać poczęło wpływ wyrazu: „Madiar“; pamięć jego łąowiła podania, opowieści i rozumowania, i systematyzowała je w pewną harmonijną całość w umyśle młodego człowieka; piosnki okrzyki, nuty, odzywały się w nim jak coś od dawna znanego a drogiego, a zachwycającego; pierś napelniała się jakimś porywającym chceniem, jakąś dumą, jakimś rwaniem się w wyższe sfery, w których pojedyncza jego osobistość topiła się w osobistości całego narodu, a pomimo to cały naród w jednej piersi mieściła. A gdy te wrażenia sprawdził — że tak się wyrażę — po zagranicami węgierskiej krainy, w Bernie i Pradze, gdy przeszedł z nimi przez Wiedeń i Grac, gdy wracając otarł je znów o swoich w Raabie, Komornie, Budzie i Keczkimecie, to powrócił do Szegiedynu Madiarem, poczuwającym się do jakichś nieokreślonych jeszcze obowiązków dla czczego na pozór wyrazu. Stało się z nim wedle przysłowia: „natura wilka ciągnie do lasu.“ Chociaż przeto ni przykłady, ni nauki domowe, ani rzemiosłowe wychowanie nie wpoiliy weń od dzieciństwa idei madiarskiej, idea ta jednak sama się w niego wcieliła, gdy przechodząc przez rozliczne miejsca, zrobił przegląd narodowości, które w ruchu pod rozmaitemi przedstawiały się mu po-

*) *Wice-geszpan*—administrator komitatowy, którego przed 1848 szlachta wybierała. *Peczowiczami* — zwano stronników rządowych, podtrzymujących kandydata od korony.

staciami, to jako wrzaskliwe gawędy, to jako ciche szeptania, to jako tryumfujące powodzenie, które przytem widział wszędzie, w gospodach i warstatach rzemieślniczych, po wsi i miastach, w kościołach i karczmach, publicznie i prywatnie. Tu słyszał Madiarów, tam Słowian, ówdzie Niemców: każdy stawał pod sztandarem w grupie osobnej. A wiedzieć należy, że w czasach owych w Węgrzech szczególnie, które odrębną posiadały konstytucję, agitacje na polu pisanych i ustnych dyskusyj odbywały się otwarcie. Rząd zcentralizowany w Wiedniu, miał w kraju wpływ, ale wpływ pośredni, bo wszystkie urzędy obsadzone były przez krajowców, którzy i sami brali udział w ruchach umysłowych. Stanął przeto nasz Szandor przy sztandarze madiarskim, i stanął z postanowieniem bronięcia go w potrzebie.

Ponieważ bohater nasz, mając w najpiękniejszych latach młodości swojej do czynienia z kowadłem i młotem, nie miał czasu wykształcić umysłu literaturą, chociażby pobieżną, i nadać mu przez to gibkość, usposabiającą do sztucznego kombinowania myśli i do tłumaczenia onych wyrazami, nie umiał przeto zdać sobie sprawy z uczuć i wrażeń swoich. Jest to wspólnem wszystkim niepiśmiennym ludziom. Nie posiadają oni wyrazów do ubrania w nie myśli swoich, i dla tego myśl pozostaje u nich w stanie uczucia. I Szandor czuł głęboko, kochał silnie — ale co czuł i co kochał, o tem on sam dobrze nie wiedział. Tylko, ile razy zadrżała w sercu struna miłości, to zawsze w dźwięku jej słyszał nazwisko kochanki, a kiedy go kochanie podnosiło i niejako uszlachetniało, to on podnosił wraz z sobą i uszlachetniał i Maryjkę. Nie roił on przecież, nie tworzył obrazów przyszłości — do tego nawet czasu mu brakło; ale jakoś wyraźniej czuł się człowiekiem, i rad był że tem człowieczeństwem podzieli się z kochanką. I dziwna rzecz! — wówczas, kiedy dziewczyna w obrazach nasuwanych przez Memlauer'a nie mogła dla niego miejsca znaleźć, on miał dla niej zawsze miejsce obok siebie, blizkie, serdeczne: on był Madiarem, ona była — żoną Madiara: bo Madiarką nie mógł jej nazywać...

— To od niej zależy — myślał sobie — byle mnie kochała, jak ja ją kocham...

I jak wiemy, nie zawiódł się. Przyszedłszy, zastał wszystko jak życzył i spodziewał się, a rozgościwszy się i odpocząwszy przez kilka dni, zabierał się do zaopatrzenia w narzędzia i do upatrzenia sobie kuźni, lub miejsca na kuźnię, ale mu Sawa powiedział stanowczo:

— Nie trzeba!... pomyślmy o tem, jak da Pan Bóg do-
czekać na wiosnę...

— To stanę u kowala, jako czeladnik — mówił Szandor.

— Nie trzeba — była znów Sawy odpowiedź.

— Czyż mam siedzieć z założonemi rękoma?...

— A dla czegoż masz siedzieć!... Chodź po Szegiedynie... Szegiedyn przecie miasto niemałe: jest gdzie pochodzić!... Baw się!... Używaj świata!... Przyniosłeś tam z sobą trochę grosza: strać wszystko!...

— Aj! — przerwał Szandor — mógłbym pomyśleć, że wy na prawdę to mówicie!..

— Alboż ty myślisz, że ja żartuję?... Nie!... nie!... Ja nie żartuję... Użyj świata teraz!... wyszum się!... Bo widzisz, ty masz wziąć za żonę córkę moją.. to, jeżeli nie wyszumiesz się teraz, może ci przyjść ochota szumieć wówczas, jak będziesz mężem Maryjki... A jabym tego nie chciał..

— Ależ mnie nigdy nie przyjdzie ochota podobna... — tłumaczył się Szandor.

— Musi przyjść!... — krzyknął Sawa. — Wiem ja, co to być młodym.., Oho!... szumiął i ja!... A zresztą.. zobaczymy... co to ty za ptaszek!... Przy robocie nie można dobrze rozpoznać człowieka, a szczególnie przy kowalskiej.. Stuka młotem i stuka, grzeje i znów stuka... Ale bez roboty, nie może być, żeby ciebie nie zaświerbiało!... Posłuchaj no mnie starego!.. już ja wiem, co mówię.

Nie było sposobu nie posłuchać. Szandor musiał próżnować.

Próżniactwo jednakże nie zrobiło próżni w życiu naszego bohatera; zapełniły je bowiem rozmaite przedmioty, takie, po których sam nie spodziewał się, aby zapełnić mogły czas nie nierobiącego człowieka. Część dnia schodziła mu na gawędzie z Sawą, który ciekawie rozpytywał się go o wypadki podróży, gdy jednak Szandor począł coś opowiadać, stary przerywał mu i opowiadał swoje huzarskie przygody. Część dnia schodziła na rozmowach z Maryjka, na tych, wiecie, nieprzegadanych rozmo-

wach, w których się nie nie gada, ale wiele się mówi; a jeżeli przy nich trafiła się Anna, to Szandor rozповідаł o wędrownicy, o krajach i ludziach, które widział, i kończył tem, że nie masz pod słońcem kraju, jak *Magyar-orzag*, ani człowieka — jak *Magyar-ember* *) i że temu ostatniemu tylko jeden chyba *Lengyel* (Lendiel: Polak) się zrówna, a zresztą — nikt. Anna słuchała to i potwierdzała; Anna — zapomniałem o tem na swoim powiedzieć miejscu — była Madiarką. Maryjka wypytywała się o miasta, o wielki świat, biorąc pytania z treści memlauerowskich obrazów; Szandor atoli nie umiał na to odpowiadać, często nie rozumiał nawet zapytania. Dziewczyna spuszczała główkę i milczała i smutniała. Bywał przy tych rozmowach obecnym i Memlauer. Stawiał się on zawsze z pomarańczami lub cukierkami i przybierał rolę słuchacza, wtrącającego nieznacznie swoje słówko, którem potrącał biednego Szandora. Szandor jednakże nie gościł przy Memlauerze, dla tego, że podnosił się jako Madiar, kiedy w toku rozmowy przyszło się mu niekiedy wynurzać swoje narodowe uczucie. Wówczas, niby w natchnieniu, takim strzelił płomieniem myśli, że w świetle płomienia tego on stawał się wielkim, pięknym i potężnym, a Memlauer małał do rozmiarów mopsa, poszczekującego cichym i cienkim głosem; Maryjce serce skakało wówczas z radości, topniało z rozkoszy, — zapominała o wielkim świecie, o świetnej karierze, o cudnych obrazach — jej świat, karjera i obrazy zesrodkowały się w błyszczącym oku kochanka. Memlauer potakiwał Szandorowi, starając się jednakże czasem obrócić w śmiech jego uczucie.

— Wiesz, Szandor, co doktor Hrebenda powiada!.. — zapytał razu pewnego.

— Nie wiem — odparł Szandor.

— Doktor Hrebenda utrzymuje, że trzy są rzeczy najlepsze na świecie, a to: madiarski *bor* (wino), madiarski *dohan* (tytoń) i madiarska *salona* (słonina), i trzech jest ludzi najrozumniejszych na świecie; a to: jeden Hrebenda, drugi Hrebenda i trzeci Hrebenda... Czy nie jesteś ty jednym z Hrebendów?..

Szandor ścisnął ramionami i nie nie odpowiadał na podo

*) *Magyar-orzag* (czytaj Madiar orsag) — Madiarska kraina; *Magyar-ember* — madiarski człowiek: tak Węgrzy kraj swój i siebie nazywają.

bnego rodzaju wycieczki, i nie gniewał się na nie: bo gniewać się — nie miał za co, a odpowiedzieć — nie miał co. Pomiedzy nim jednakże a Memlauerem toczyła się walka, której Szandor ani domyślał się nawet i w której z tego powodu, Memlauer miał całą przewagę obmyślności. O małą, na pozór, temu ostatniemu chodziło rzecz: o wydarcie nieokrzesanemu kowalowi biednego serca — serca dziewczęczonego... Zobaczemy, czy mu się to uda...

Resztę dnia, zbywającą od pogadanek z Sawą i rozmów z Maryjką, przepędzał Szandor na mieście, przesiadując to po kuźniach, to na gospodach kowalskich, to po karczmach, lub włócząc się po ulicach i zachodząc do znajomych, i nie opuszczając nigdy, rozumie się — czardasza, ile razy takowy mu się nadarzył. Czas mu nadspodziewanie szybko i dobrze upływał.

Tak ubiegła jesień, ubiegła zima i przyszła wiosna, a z wiosną — do cichego i spokojnego Szegiedyna zawitało takie życie, jakiego starzy ludzie nie przewidywali, a młodzi nie spodziewali się.

Szandor w wędrówce swojej usposobił się niejako do powitania tej wiosny i tego życia, a jednakże, gdy przyszły, nie wiedział z razu, co to się stało, i nie prędko, we trzy dopiero miesiące po pierwszych wypadkach rozpoznał, że chodzi o to, aby Madiary byli górą; pomyślał więc sobie:

— A!... jeżeli o to chodzi, to...

I zaciął się w myśli, bo zaskoczyła mu niejako Maryjka, za Maryjką zaś nasuwali się: Sawa, Anna, Łuka, i w zawieszeniu zatrzymali postanowienie, o którym nie wiedział jeszcze Szandor, jakim ono ma być.

A tymczasem koło niego burza ludzka huczała i szumiała z łomotem i trzaskiem niby pożar, który, wszczęty w jednym punkcie, rozszerza się i ogarnia coraz dalej i dalej. Ogarnął on, jak wiemy i Węgry, i zapalił w nich wszystko, czego tylko płomień cześcić się mógł.

W początkowych swoich objawach rewolucja węgierska wystąpiła legalnie. Węgrzy żądali pewnych zmian i poprawek w konstytucji, którą posiadali, i spór toczył się na drodze kompromisu opmiedzy nimi a Austrią; kompromisu, który nie wróżył wojny w rezultacie. Zdawało się, że cała rzecz załatwi się

pomiędzy sejmem i królem: sejmem węgierskim i królem węgierskim — i sporne punkta przechodziły jeden po drugim, uzyskując sankcję królewską. Lecz sejm reprezentował Węgry całe takie, jakimi je widzimy na mapie — opierające się niby stopą jedną o Adrjatyk, orysowując kształty zewnętrzne swojej geograficznej postaci Sawa, Dunajem i Karpatami — i reprezentował przytem przewagę jednego madiarskiego żywiołu. Ustępstwa przeto czynione sejmowi, miały pozór uprzywilejowania Madiarów. Węgry nie samych tylko Madiarów są ojczyzną.

— Kiedy Madiary upominają się o siebie, to i my upominajmy się o siebie!... — gruchnęło hasłem pomiędzy Słowianami południowymi.

A echo odwodziło im wiernie to hasło, i konając do dało:

— Upominajcie się!... to i Madiary nic nie dostaną, i wy nic nie dostaniecie!...

Ale podunajscy Słowianie nie słyszeli tego, bo burza grzmiała i huczała, przenosząc się kolejno w rozmaite miejsca i roznosząc po świecie okrzyki, pomiędzy którymi zabrzmiał okrzyk podunajski:

— Precz z Madiarami!...

I powstał Słowianie przeciwko sejmowi węgierskiemu i przeciwko królowi węgierskiemu.

Tak się objawiały początkowe fakta węgierskiego poruszenia powieściowym opowiedziane sposobem: — nie dziw, że Szandor dopatrzył w nich, iż chodzi o to, aby Madiary byli górą... Wojska poszły poskramiać poddanych węgierskich, w imię króla węgierskiego.

Była to więc wojna domowa, która żywo zainteresowała wszystkich mieszkańców Węgier, i tem żywiej, im którzy z nich bliżej teatru jej znajdowali się. Szegiedyn był jednym z miast, do którego najbezpieczniejsze dochodziły wieści, a wszędzie, po wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach o niczem nie mówiono, niczem innem się nie zajmowano, tylko bieżącymi wypadkami. Ludność węgierska w okolicy tej, pogrupowała się kupkami pod dwoma sztandarami: słowiańskim i węgierskim. W którym miejscu przemagali liczbą Słowianie, tam oni górą byli,

w którym Madiary — tam Madiary *) Biała-Cerkiew, Pańczoza, oświadczyły się za Słowianami: Szegiedyn — przeciwko nim.

Szegiedyn, niby w kwiaty, w narodowe węgierskie ustroił się kolory. Na każdym domie powiewał trójbarwny czerwono-biało-zielony sztandar, a w niektórych w każdym oknie wywieszoną była pomniejsza chorągiewka. Po ulicach rozlegały się śpiewy, grzniały muzyki, w których nutą przemagającą i górującą po nad wszystkie, była nuta Rakoczego, poważna i bojowa, a śpiewna i porywająca.

Na ustronnym domku Simicza, powiewał także sztandar węgierski, i Sawa, zdawało się, jakby odmłodniał. Podobały się mu to życie, i ten ruch, i te, chociaż z daleka dochodzące go odgłosy bojowe. Nie wiele go obchodziło, o co tam się biją — dość, że biją się. Po sto razy tylko na dzień powtarzał:

— Ej!... nie ma huzarów!...

A czyją on stronę trzymał? — z tego nie łatwoby mu przyszło wytłumaczyć się. Wywiesili wszyscy trójbarwne sztandary — to i on wywiesił, albo raczej nie on, ale Szandor. Marijka uszyła ogromną chorągiew, Szandor ostrugał drzewce, przyrządził i utwierdził ją na wrotach.

Niczyje jednakże mieszkanie nie było ozdobione z takim, pod względem chorągwi, patriotyczno-węgierskim zbytkiem, jak Memlauera. Mieszkanie to składało się z domu w mieście nad Cissą, obróconego frontem ku rzece, a tyłem na podwórko, przylegające do ulicy. Dom był niewielki, o pięciu pokojach, dobrze i z gęstem umeblowanych. Wznosił się on z przodu na podmurowaniu, na którym opierał się mały balkonik, otoczony drewnianą balustradą. Wchodziło się do tego domu przez podwórze, na którym znajdowała się stajnia i wozownia. Przed frontem przechodziła ulica, skutkiem czego widzianym on był z dwóch ulic i z obydwóch na domie i przed domem widziano chorągwie i chorągiewki, powiewające na wrotach, na stajni, na ganku, na dachu,

1) Nie pisząc historii, nie wyszczególniam, że spółcześni ze Słowianami południowymi poruszyli się w Wołosi Siedmiogrodzie, ani że cztery miliony Słowaków, od początku do końca trzymały z Madiarami.

w oknach i na balkonie. Była to w całym Szegiedynie najdosadniejsza wystawa patriotyzmu, okazywanego przez Memlauera z pewną oznaką rozmiłowania, bo widywano go często siedzącego na balkonie pod przysłoną sztandaru węgierskiego, z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Tym wirem życia porwany czas szybko ubiegał mieszkańcom Szegiedyna. Dnie, tygodnie, miesiące mknęły błyskawicznym sposobem. Wiosna przeminęła, lato dobiegało ku końcowi, a życie się wzmagało, jakby coraz nowe siły czerpało w jakimś niewyczerpanym źródle. Nikt nie pytał: kiedy temu będzie koniec?... Nikt nie pytał nawet: jaki będzie koniec?... Wszystkie powszednie biegnące sprawy i interesa zostały zawieszono, każdy bowiem wyglądał końca jakiegoś. Wszyscy żyli jutrem; ale nie tem jutrem pracy, co to skrętnie, zapobiegliwie, mrówczym sposobem używa „dziś“; lecz jutrem oczekiwania, nadziei, przywidzeń, przypuszczeń. Zawieszono zostało i wesele Szandora. Kto je zawiesił? — Nikt... Zawiesiło się samo... Ot, krótko powiedziawszy, nie było, ani kiedy, ani komu pomyśleć o weselu — tak Sawa i Anna, Szandor i Maryjka i nawet spokojny Łuka zajęli się czem innym..

Jakoś na początku jesieni, w czasie niezwykłym, wyprzedzając coroczny termin o cały miesiąc, zjawił się w Szegiedynie Janko.

— O!... — zawołał Sawa, ujrzawszy starszego syna i zaklął. — Przychodzisz zapewne na wesele; a ja o weselu przypominam sobie dopiero, jakim ciebie zobaczył!... Pospieszyleś się, Janku... Jeszcze nic nie przygotowano..

— Nie troszczcie się o przygotowania, ojczy — odparł Janko. — Przygotujemy wesele, jakiego od początku świata nie było... I będziemy tańczyć, ale nie wszyscy wesolo..

— *B.... terem tiszem!*... — zawołał Sawa, nie rozumiejąc przenośni, pod którą syn mówił, i chcąc odpowiedzieć jakimś takim ogólnikiem, któryby do wszystkiego się stosował.

Janko nic na ten wykrzyknik starego ojca nie odpowiedział. Odpoczął on przez parę godzin w domu, gawędził z domownikami o rzeczach obojętnych, i nad wieczorem wyszedł na miasto i zachodził do kilku domów. Zachodzenia te jego miały pozór prostych odwiedzin. Gdzie przyszedł, to posiedział, pogadał i odszedł. A że w każdym miejscu zabawił przynajmniej pół

godziny, przeto zeszedł mu na odwiedzinach czas do późnego wieczora, do nocy prawie, i było już zupełnie ciemno, kiedy udał się do Memlauer'a.

Memlauer był u siebie. W całym domu jego, w jednym tylko pokoju jedna paliła się świeca i nie rzucała blasku na zewnątrz dla tego, że wszystkie okienice zamykające się ze środka, były starannie pozamykane. Pokój, w którym paliła się świeca, był *quasi*-bawialnym: służył bowiem zwykle do przyjmowania gości, i stosownie do przeznaczenia tego był umeblowanym. Memlauer w szlafroku, w pantoflach i w tej charakterystycznej, aksamitnej, ozdobionej drobnym złotym szlaczkiem i kutasikiem niemieckiej czapeczce, której nazwać nie mogę, bo bardzo brzydko nazywa się, chodził po pokoju powoli z założonemi na tył rękami, i zdawało się, jakoby na kogoś oczekiwał, gdyż często na zasłyszany szmer zatrzymywał się i na drzwi wchodowe spoglądał. Nie było jednakże widać po nim niecierpliwości oczekiwania. Przechadzał się spokojnie, powolnie, zatrzymując się niekiedy przed stolikiem, dla objaśnienia świecy, która była łożową i nie zbyt jasnym gorzała płomieniem. Właśnie objaśniał Memlauer świecę, kiedy wszedł Janko.

— *Kako si* (jak się masz)... — rzekł Memlauer do wchodzącego, pozdrawiając go po serbsku.

— *Fala bogu* (chwała bogu)... — odrzekł Janko.

— Usiądźże! — powiedział Memlauer, ukazując mu na krzesło obok stołu, a sam wyszedł do sieni i słychać było, jak zamknął drzwi od nadworu i zasunął je zasuwką.

— No, i jakże!... — rzekł wracając i zamykając za sobą drzwi od pokoju — spóźniłeś się... Wyglądałem ciebie pozawieczora i wczora...

— Nie mogłem pospieszyć... — odpowiedział Janko. — W kilku miejscach musiałem dłużej się zatrzymać: bo nie wszędzie wszystkich można zastać...

— Ale cóż... idzie dobrze?... — przerwał mu Memlauer.

— Idzie... — odparł Janko.

— Pali się?...

— Pali...

— I mocno ogień rozdmuchiwać trzeba?...

— Nie bardzo...

— O!... — zawołał Memlauer, zatrzymując się przed Jankiem i wznosząc ręce i oczy do góry — oby Bóg błogosławił wam!...

Postać Memlauera wyrażała modlitewne natchnienie. Janko spojrział mu w oczy i we wzroku Janka mignęła błyskawica zapału.

— Oby Serbja... cała była wolną!... — ciągnął Memlauer.

— Ale Bóg — dodał po chwili mileżenia, rozpoczynając na nowo przerwane, powolne chodzenie — błogosławi tylko tym, którzy pracują; poświęcają się...

— Och!... — powiedział Janko, westchnąwszy — z naszej strony nie brak pracy, ani poświęceń, i zdaje mi się, że nie zabraknie ich do końca... ale ciężko na nas!... wszystko przeciwko nam.. i Madiary... i Austryja.

— Janku — przerwał Memlauer — nie dziwiłbym się, gdyby to mówił ktoś inny, nie ty... Któż ukazał ci tę drogę, którą idziesz?!.. Z tego możesz miarkować, że pewne powody wysoko polityczne, w które nie wolno wchodzić, nie pozwalają jeszcze otwarcie stanąć po waszej stronie.. Bo to, widzisz, wysoka polityka miewa takie powody, które zdają się ludziom nieprzyjazne, a które są pomimo to przyjazne... Nie trzeba wnie wchodzić... Z czasem przeważą się szala na waszą stronę... Oto trzeba lepiej pracować nad tem, aby na szalę waszą jak najwięcej kłaść ciężarów...

— Ja też w nic nie wchodzię — odrzekł Janko; — powiedziałem to tylko dla tego, że mi żal naszych, których tak dużo marnie ginie... Radbym doczekać się prędzej końca...

— To dopiero początek!... Do końca jeszcze daleko...

A zatrzymując się na środku pokoju, zapytał:

— Możesz, Janku, osłabić duchem?... Możesz zwątpić?...

— Nie!.. — zawołał Janko — Nie!... Kiedym wychodził z Karansebeszu postanowiłem sobie zginąć, jeżeli zginie nasza sprawa!... i dotrzymam!...

— Daj rękę Janku!... — uściśnął Memlauer prawicę Janka — takimi powinni być wszyscy Serbowie...

— Są oni takimi!... — wtrącił Janko.

— Garną się?... jakże z Banatem?...

— Madiary wycinają w pień i palą wsie i miasta nasze...

— A Serby?...

— A Serby wycinają w pień, i palą wsie i miasta madiarskie.. Tam straszno... okropnie... — mówił Janko, niby samo do siebie — krew i płomień!... trupy i zgłiszczę!... oto, co z Banatu zrobiło się...

Janko mówił to ze spuszczoną głową, niby nagiętą jakimś ciężarem i nie widział uśmiechu, który podczas jego mówienia igrał nieznacznie na ustach Memlaura.

— Cóż zamierzasz Janku poczynać w Szegiedynie?... — zapytał ten ostatni po długiej chwili milczenia.

— A... — odpowiedział zapytany — toć o tem pan masz mi powiedzieć...

— Tu wielkich rzeczy zrobić nie można...

— Nie można.. Serbów mało, Wołochów mało; a chociaż i są jacy, to tacy, jak mój ojciec: ani Serby, ani Madiary...

— A jednakże nie można obejść się bez ojca twego.

— Bez mego ojca?... — zapytał Janko zdziwiony.

— Tak — odparł Memlauer — bez twego ojca... bo stary Sawa ma powagę i zaufanie.

— Ale do czegoż to posłuży, jeżeli tu nic nie można zrobić!... — rzekł Janko, któremu uczucie synowskie nie pozwalało narażać ojca na niebezpieczeństwo.

— Posłużyć, posłużyć... — odrzekł Memlauer — chodź za mną...

To wymówiwszy wyprowadził Janka do ciemnego pokoju, którego drzwi zamknął za sobą i z tego pokoju wyszli obydwaj na balkon. Z balkonu odkrył się przed nimi jeden z tych przeszlicznych widoków, który księżyc w pełni na tle nocy malować umie. U stóp ich połyskiwała metalicznym odbłaskiem powierzchnia Cissy, która była w tej chwili spokojną i gładką, jakby siłą zaklęcia jakiegoś ścięła się w zwierciadlany kryształ, odbijając w sobie niebo całe. Księżyc, owalny i chwiejny, wyglądał z głębi toni, a te niebieskie zalotnice — gwiazdy, przeglądały się w wodzie ciekawie i mrugały same do siebie, jak dziewczęta mrugają przed lusterkami. I błyszczała Cissa długą wstęgą na prawo i na lewo. Na prawo ginęła po za domami miasta, po za drzemiacemi murami starego zamczyska; na lewo rozczepiała się w widła, ogarniające ramionami swojemi czarną masę wierzbowiny i łożyny. A na przeciwnym brzegu rzeki, na prost Memlaurowego mieszkania, migwały światła, wystawały dachy,

wznosząc się jedne wyżej, drugie niżej, i wyraźnie przy księżycowem świetle rozpoznać się dawało zarzeczne przedmieście Szegiedyna. Rozlegające się w powietrzu śpiewy i muzyki po obydwóch brzegach rzeki, dowodziły, że ludzie nie byli tak spokojnymi jak natura w tej chwili! Niespokojność jednakże ludzka bynajmniej nie przeszkadzała ukołysanej do snu naturze. Cissa płynęła, nie pluskając o strome wybrzeża, księżyc szedł sobie swoją drogą po niebie, gwiazdki mrugały, a widnokrąg tonął w nocnym tumanie.

Memlauer i Janko milczeli przez jakiś czas, rozpatrując się do koła, jakby w ukorzeniu przed tym majestatem spokoju. W końcu pierwszy odezwał się cichym głosem, chociaż nikogo nie było w pobliżu:

— Słyszysz te śpiewy i muzyki... te okrzyki radości?... to Madiary!...

— Madiary!... — jęknął Janko.

— Patrzże się, Janku, w tę stronę, ku Maroszy... gdzie kończą się domy przedmieścia... Patrz się i w gęstwinie domów zauważaj ten dom, na którego dachu największy zwisa sztandar...

Janko szukał wzrokiem przez chwilę.

— Znalazłeś?... — zapytał Memlauer.

— Znalazłem... — odparł Janko.

— Może ty wiesz co to za budynek?

— Nie wiem....

— Jest to magazyn zapasów wojskowych....

Tu zatrzymał się Memlauer i po chwili milczenia tak dalej ciągnął:

— Głupie Madiary!.. broń, ubiory i rynsztunki trzymają razem z prochem...

Znów się zatrzymał i znów dalej mówił:

— W lochach pod budynkiem jest prochownia... Jedna iskierka mogłaby cały zapas od razu zniszczyć i połowę przedmieścia w perzynę obrócić...

— Na przedmieściu, a szczególnie do koła prochowni, same Madiary mieszkają — dodał w końcu Memlauer, po nowym przestanku, który dłużej od dwóch pierwszych się ciągnął, i zapytał:

— Rozumiesz?...

— Rozumiem... — odparł Janko.

I postawszy jeszcze przez chwilę, powrócili do oświetlonego pokoju. Janko usiadł na dawnym miejscu, a Memlauer rozpoczął powolną przechadzkę swoją i ciągnąc dalej przerwana na balkonie rozmowę, tak mówił:

— Otóż, widzisz, tego jeden człowiek zrobić nie może... Bo iskrę rzucić łatwo i w ten moment wyskoczyć; ale na cóżby się zdało rzucać ją dziś np., chociażby i zdarzyła się po temu zrzęzcność!.. Co innego, gdyby wasze wojska zdobywały Szegiedyn, albo, jeśliby Madiary zgromadzili znaczne zapasy... Ale w takim momencie nie dość jednego człowieka... trzeba mieć w pogotowiu kilkunastu, albo kilkudziesięciu odważnych ludzi, którzyby rzucili się na warty, zdobyli na chwilę magazyn, wysadzili go w powietrze i rzucili tym sposobem pomiędzy Madiarów popłoch, lub wyrządzili im rzeczywistą szkodę... Jeden człowiek przypadkiem tylko może to uskutecznić, a przypadek nie jest na zawołanie...

Janko milczał przez cały czas tej lekcji zniszczenia, słuchając jej ze zwieszoną głową.

— W Szegiedynie — prawil Memlauer — niema ochoczych do podobnego przedsięwzięcia ludzi.. Można jednak w ludziach ochotę wyrobić... Jedno słowo takiego człowieka, jak Sawa Simicz, wiele znaczy u ludzi, a jedno słowo takiego Janka, wiele znaczy u Sawy Simicza...

— A pan, panie Memlauer, nie mógłbyś poprowadzić takiej rzeczy?...

Ja?... — rzekł Memlauer z uśmiechem — Madiary mają mnie za swego i potrzeba, żeby oni mnie zawsze za takiego mieli... i potrzeba, żeby ani cień podejrzenia na mnie nie padł... Mam ja swój wydział... nie siedzę z założonemi rękoma...

— Ależ Sawa nie potrafi; a ja pozostać nie mogę...

— To też potrzebną jest tylko aprobacja Sawy, pod osłoną tej aprobacji może robić ktokolwiek, w kim pokładasz ufność... naprzykład: Łuka...

— Tak... — odparł Janko powolnie — Łuka zrobi... trzeba mu tylko odpowiedzieć... Łuka mnie posłucha...

I jakby gniewiony jakimś przecuciem, dodał:

— Biedny Łuka!.. Ale tu niema brata!.. albo raczej: tu wahać się nie wolno...

Janko był pięknym, gdy to mówił. Śniadawa jego twarz opromieniła się odbiciem zapatu. Ani znać było po nim biuralisty z austriackiego audytorjatu. Memlauer wyprowadził go do sieni i szepnął mu na progu :

— Tylko, mój Janku... zapomnij nawet, żeś u Memlauera był...

VI.

Piękniejszym jeszcze jak u Memlauera, wydał się Janko nazajutrz, kiedy sprosiwszy do mieszkania ojcowskiego kilku Serbów, tych niemal wszystkich, których dnia poprzedniego odwiedził, zaprowadził ich do ogrodu i tam rozwijał przed nimi obrazy tej wojny exterminacyjnej, jaka podówczas toczyła się na południu. Był tam i Sawa i Łuka i Szandor. Ten ostatni usunął się, po za koło siedzących na murawie Serbów, i słuchał milcząc, i zwiesił smutnie głowę i jakaś boleść wewnętrzna malowała się na jego twarzy, a tem większa, że wierzył on temu co Janko mówił. Wieści tego rodzaju dochodziły i bez Janka do Szegiedyna, ale w Szegiedynie przerabiały się one na korzystniejsze dla Madiarów aniżeli dla Serbów — jak to się zwykle dzieje z wieściami: każdy tłumaczy je sobie ze swego punktu zapatrywania się na nie. A że w Szegiedynie górą byli Madiary, przeto, według ich mniemania, ich sprawa była lepszą.

Janko opowiadał z powagą naocznego świadka.

— Byłem tam — mówił — i mojemi własnymi widziałem oczami.

Opowiadał o mordach. Łzy mu w oczach stanęły i usta mu drżały, kiedy wspominał o starcach, kobietach i dzieciach konających pod mściwym Madiara bagnetem.

— Niema względu na nic!.. — wołał — ani na siwe włosy ani na niemowlęstwo... Jednych Madiar niszczy dlatego, żeby zatrzeć do szczytu wszelką przeszłość naszą, żeby nie było komu o niej wspominać; drugich dlatego, żeby odebrać nam nadzieję przyszłości. Piszą w książkach, że Turcy oszczędzali dzieci chrześcijańskie i robili z nich janczarów... Turcy litościwsi byli od Madiara... Madiar nie chce Serbów, ani na nasienie, zostawić!..

Sawa chrząknął i chciał coś powiedzieć; lecz Janko mówił dalej, a Sawa pokręcił tylko wąs.

Opowiadał o pożogach.

— Na banackich stepach rzadko gdzie pozostały wsie i miasta... Madiar je rozwała i pali... Idąc z Szegiedyna do Pańczowy, przechodzić potrzeba po zgliszczach, a powietrze napelnia smród pogorzeli... Banat zamienił Madiar na gruzy i rumowiska...

— Niech będzie Madiar przeklętym!.. — mruknął jeden ze słuchaczy.

Klątwę powtórzyli wszyscy obecni, wyjąwszy Szandora. Janko zamilkł i poprowadził wzrokiem po słuchaczach. Na twarzach ich malował się dziki, ponury zapał.

Sawa, korzystając z milczenia, zaklął po węgiersku i powiedział po serbsku.

— E!.. co wojna, to wojna... Gdzie wojują, tam zabijają i palą... Bez tego być nie może... Pamiętam z Francuzem kiedyśmy wojowali... o!.. to...

— Ależ, ojczel!.. — przerwał Janko — czyście zabijali dzieci, starców i kobiety?

— Nie!.. oh!.. nie.. — odparł Sawa...

— Madiar morduje dzieci, starców i kobiety!.. Cóżbyś na to powiedział, ojczel, gdyby ci kto pomordował żonę, córkę i synów, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi!..

— Poćwiertowałbym go własnymi rękami!.. — krzyknął Sawa — jeżeli Madiary mordują Serbom dzieci i żony, to czemuż Serby nie mordują Madiarom?..

— Nie oszczędzają Serby Madiarów.. — odparł Janko — płoną i madiarskie wsie i miasta; i madiarskie trupy walają się bez pogrzebu... Ale ich większa siła... Oni nas przemagają, a to dlatego, że nie każdy Serb robi co powinien teraz robić, że wielu siedzi z założonemi rękami przypatruje się spokojnie, jak Madiar znęca się nad rodzonymi braćmi...

Opowiadanie Janka miało ten skutek, iż oburzyło słuchaczy i rozbudziło w ich sercach uczucie zemsty — uczucie bardzo do rozbudzenia łatwe. Zemsta jest niby palny materiał, złożony w piersi człowieka. Rzuć nań iskrę, natychmiast buchnie płomieniem. Opowiadanie Janka było właśnie tą iskrą. Wywarło ono jeszcze i inny skutek — zrodziło pewien rodzaj wyrzutów sumienia. Jeden tedy ze słuchaczy odezwał się:

— O! kiedy tak, to niema po co siedzieć w Szegiedynie... Trzeba ruszać do Pańczowy!..

— Nie!. — odrzekł Janko — trzeba pozostać w Szegiedynie.. Gdyby tu naszych było więcej, to należałoby wystać część tam, gdzie się biją; ale że jest mało, to trzeba wszystki m pozostać na miejscu i tu służyć naszej sprawie...

— A jakże tu służyć?.. cóż tu robić? — zapytał się któryś.

— Co robić!.. — odpowiedział Janko — a oto, gdyby np. prochnię i magazyny wysadzić w powietrze...

Na te słowa Szandor wstał i wyszedł z ogrodu.

Nie będę opisywał dalszego ciągu tego posiedzenia. Dodam tylko, że rozpoczęło się ono jako prosta gawęda, a zakończyło jako spiskowa narada, której obecność starego Sawy nadała poważne znaczenie. Udział jednakże Sawy był bardzo bierny, nawet nieco oporny; ale skrupuły jego usunął Janko, przedstawivszy i wytłumaczywszy, że wojna nie na tem jedynie zależy, aby w otwartem polu stawić czoło nieprzyjacielowi, ale i na tem także, aby walczyć z nim podstępami, aby mu szkodzić wszędzie, gdzie można.

— Nie gadałbyś ty Janku — rzekł Sawa — gdybyś był w huzarach; ale może to i prawda...

I nie można z pewnością twierdzić, że stary został przekonanym. Jankowi wszakże nie chodziło nawet o to. On dopiął swego, pozyskawszy dla zamystów swoich kilku zdeterminowanych na wszystko ludzi, którzy uroczystą przysięgą zobowiązali się prowadzić w Szegiedynie tajemną z Madiarami walkę, i stać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego. On dopiął swego pomyślniej jak spodziewał się, bo znalazł entuzjazm poręczający za wykonanie. Dla większej połowy obecnych tam Serbów, odkrył się świat taki sam, jaki w wędrówce odkrył się dla Szandora. Jak ten ostatni Madiarem, tak oni poczuli się Serbami. Odezwała się w nich struna narodowa, tylko u jednego słabiej, u drugiego mocniej naciągnięta, a dająca się w nadzwyczajnej chwili lub potrzebie jednakowo naciągnąć u wszystkich. Odezwała się ona bardzo silnie u Łuki, i tem silniej, że na niego spadł zaszczyt przewodniczenia. Poczciwy Łuka ani domyślał się przedtem, że okrom obowiązków, które on tak dobrze i szczerze spełniał, są jeszcze inne, które należy jeszcze lepiej i szczerzej pełnić. Znalazłszy się jednakże w obec obowiązków tych, znalazł w sercu swoim potrzebną do nich gotowość i odwagę.

Janko i Łuka, chociaż rodzonymi byli braćmi, różnili się jednak pod wielu pomiędzy sobą względami, a naprzód pod względem powierzchowności. Pierwszy był brunet, suchy, kościasty, ostrych rysów twarzy, znamionujących energję i przedsiębiorczość i wielki zapas gorących namiętności; drugi był blondyn, pogodnego oblicza, wyglądający na flegmatyka, niepochoptego do silnych wrażeń. Lecz flegmatyczni ludzie mają to do siebie, iż raz przyswoiwszy sobie wrażenia chociażby najsilniejsze, biorą je na serjo, i pod ich wpływem wytrwają do końca, chociażby ten koniec był z góry przewidzianem niepowodzeniem. Takim właśnie był Łuka. Janko zapewne znał brata z tej strony, i ucieszył się jego gotowością.

— To tak, bracia — ciągnął przemowę, której początku nie powtarzam — ja nie mogę z wami pozostać, bo mam wiele, wiele rzeczy gdzieindziej do robienia, ale będę od czasu do czasu zaglądał do Szegiedyna... Postępujcie cicho a zgodnie, wytrwale a ostrożnie... Uważajcie co Madiary robią, ile wojska i jakiego przychodzi do Szegiedyna, i po co przychodzi i gdzie odchodzi, i gdy co ważniejszego postrzeżecie, dawajcie o tem znać natychmiast do najbliższej serbskiej komendy... I miejcie na oku prochnię... Ale... iluż was jest?...

I począł Janko liczyć:

— Jeden, dwóch, trzech... — naliczył: dwunastu.

— Dobrze, że nie trzynastu... — rzekł półzartem — jeden zostałby Judaszem.

— Byłoby trzynastu — zauważał Sawa — gdyby Szandor dosiedział był do końca... On uciekł, jakies zaczął chwalić Madiarów...

— Prawda!.. — zawołał Janko — to Madiar... Gotów zdradzić!..

— A!.. — przerwał Sawa.

— I nie słyzał nawet wszystkiego... — rzekł Łuka.

— Kiedyż on odszedł? — zapytał Janko — na początku, czy przy końcu?..

— Jakoś pośrodku — rzekł któryś z obecnych — ale on nie słyzał..

— Nie słyzał, to pewna — podchwycił Sawa — Ale choćby i słyzał, to nie wydałby nas — powiedział stary, kładąc przycisk dobitny na wyrazie „nas“.

Szandor jednakże, jak wiemy, usłyszał najważniejsze. Powiedzenie Janka: „prochownię i magazyny wysadzić w powietrze“, niby mina wysadziło go z miejsca, na którym siedział. Zerwał się i wybiegł z ogrodu i wypadł na ulicę. Kiedy przechodził mimo tego okna, przed którym rósł krzak różany, w jednę z jego szyb szybkim pukaniem zabębnił paluszek Maryjki. Szandor nie obejrzał się, nie zatrzymywał, nie słyszał pukania. Jemu w uszach bębniło to, co powiedział Janko: jemu serce pukało, jakby rozbić się chciało o deskę piersiową; a pierś jego wzduła się, jakby rozsadzić się miała zapaloną w niej miną. Zatrzymał się na ulicy przed wrotami Simicza, ale tylko na chwilę; — zwrócił się w prawo i wybiegł w pole i szedł szybko, biegł prawie, jakby przed czemś uciekał, i — jak w podobnych razach zwykle się dzieje — szedł bez celu, sunął krajem kukurydzianych pól, przeszedł w poprzek trakt Kieczkiemecki i — szedł. Gdyby kto zapytał go — czy on co widział, lub — czy czuł ziemię pod sobą; z pewnością, nie umiałby ani na jedno, ani na drugie odpowiedzieć zapytanie. Z nim na jawie działo się tak, jak we śnie, kiedy przysni się człowiekowi, że leci — leci i zatrzymać się nie może, aż się nagle obudzi. Szandor obudził się, zatrzymany jakimś słupem czy murem, który jakby z ziemi wyrósł i zastąpił mu drogę. Zatrzymał się Szandor, spojrzął i — zadrżał. Mrowie trwogi przebiegło mu po ciele. Przed nim stała szubienica.

Z pewną wymyślnością architektoniczną zbudowaną jest szubienica Szegiedyńska. Wznosi się ona na dwóch murowanych słupach, ozdobionych gżemsami u góry i podpierających sobą także murowaną i ozdobioną sztukaterją poprzecznicę. Mur jest zczerniały. Widać, że stoi on od dawna i nikt nie otrzepuje go z kurzu, którym go wieki przykryły, a który zanosi nań wiatr z Kieczkemeckiego traktu. Trzy grube żelazne haki, przybite z dołu do poprzecznicy, pokryła rdza brudno-czerwonym kolorem, niby barwą krwi zapiekłej.

Widok szubienicy orzeźwił Szandora, ale w dziwnie smutny orzeźwił sposób, w taki, jakby ktoś w znużeniu, zamiast źródlanej czystej wody, napił się trucizny. Mimowolnie wzrok jego zawiesił się na haku i robiło się mu straszno, coraz straszniej. — Jakieś ponure a nieznanne przecucie napęliło mu serce. Budziła w nim szubienica wstręt, — a nie mógł od niej wzroku

oderwać. Widywał on ją nieraz, ale zawsze z daleka; nigdy jeszcze w życiu nie stał tak blisko niej, i byłby może stał dłużej, gdyby chrząknięcie ludzkie nie zwróciło na siebie uwagi jego. Obejrzał się i ujrzał człowieka, który stał w furtce domu kata i przypatrywał się mu w milczeniu. Bohater nasz, jeżeli nie poznał, to od razu domyślił się, co to był za człowiek, i jakimś uczuciem wstydu, jakby ujętym został na gorącym a złym uczynku, zadrżało jego serce, — natychmiast zwrócił się i szybko puścił się ku miastu.

Wieczerało już, kiedy Szandor znalazł się na ulicach Szegiedyna, dążąc ku środkowi miasta, ku rynkowi, dokąd ciągnęły go tony muzyki, rozlewające się po powietrzu nutą Rakoczego. Rynek napełniony był ludem, otaczającym muzykantów. Ten sam cygan, którego widzieliśmy w dniu powrotu Szandora z wędrownki, przewodniczył orkiestrze. Szandor przecisnął się przez tłum i stanął naprzeciwko cygana, który ujrawszy go, kiwnął głową niby na przywitanie i szczerzej przyłożył się do smyczka. Wstuchując się w muzykę, Szandorowi robiło się rzewnie, łzawo i przytem tak, jakby rósł, jakby go coś podnosiło, jakby ten Rakoczy napawał go chlubą, dumą. Ktoś z tłumu krzyknął: „*elien a Madiar!*“ i Szandor porwał czapkę z głowy, podniósł ją do góry, potrząsł w powietrzu i powtórzył okrzyk, który podchwycony przez wszystkich znajdujących się na rynku, zabrzmiał grzmotnem:

— *Elien a Madiar!*

Ten okrzyk zwiął od razu cały smutek z serca Szandora. Cygan uśmiechnął się do niego, kiwając głową na potwierdzenie i grając dalej a coraz dosadniej, jakby dla wywołania nowych okrzyków, jakby na prym zapałowi, który ogarnął słuchaczy. Szandor odśmiecchnął się do cygana takim uśmiechem jak ten, co po płaczu następuje, od którego piersi podnoszą się, ale nie łkaniem już, lecz radością.

Dziwnem jest serce ludzkie!.. Trudno je zrozumieć... Niechby kto wytłumażył: czego się Szandor przed chwilą zasmucił smutkiem rozpaczy?... dla czego obecnie rozradował się uniesieniem radości?... Możliwoby wprawdzie, odpowiadając tak, aby zbyć byle czem zapytanie, odpowiedzieć, że zasmucił go Janko, a rozradował Rakoczy. Janko jednakże i Rakoczy

byli tylko dwoma upostaciowaniami (że tak powiem) dwóch przeciwnych sobie powodów, które walczyły w sercu naszego bohatera, i walczyły dla tego właśnie, iż zbiegły się w sercu takim, jak Szandora. Kto inny obojętnieby wysłuchał opowiadań Janka i tonów Rakoczego, albo jednakowo bawiłby się jednymi i drugimi, albo zająłby się pierwszymi, a zobojętniał dla drugich. Ale ten „kto inny“, nie kochałby madiarskiej krainy, jak ją Szandor ukochał; a takie kochanie nie rozumuje, jeżeli zaś je koniecznie wyciągniesz na rozumowanie, to na wszystko, cobyś mu powiedział, odpowie ci tak: „Chociażby ojczyzna moja była najgorszą, najpodlejszą, najnikczemniejszą, ale jest moją i jest dla mnie najlepszą, najszlachetniejszą, najzacniejszą dla tego samego, że nie mam i mieć nie mogę innej.“ Jest w tem trochę racji. Człowiek do wszystkiego „swego“ ma jakoweś wrodzone przywiązanie, które gdy mu odejmiesz, traci naprzód szacunek dla samego siebie, następnie — dla wszystkich i wszystkiego, i szacunek ten siebie i innych zastępuje egoizmem — tem uczuciem, które brudzi charakter, poniża naturę człowieka.

Szandor pozostał długo na rynku, i ochłonawszy z pierwszego zapału, począł przysłuchiwać się, co mówiono w tłumie i zastanawiać się nad powodami zbiegowiska. Węgrzy jak zwykle klęli, i wśród prawdziwego potoku klątw, któremi tego wieczora szczególnie Niemców obarczali, można było podchwycić następujące urywane zdania:

— To dobrze!... — wołał jeden — wiemy już przynajmniej wyraźnie, z kim do czynienia mamy!...

— Można było od początku domyślać się — odezwał się drugi — że to niemiecka sztuka!...

— Za ciężko będzie na nas!... — zauważał któryś, stojący nieopodal od Szandora.

— Ho!... ho!... — odparł ktoś głośno — jak się zatrząsie madiarska kraina, to wyda tyle Madiarów, ile jest gwiazd na niebie!... Bóg madiarski sam jeden da radę niemieckiemu i rackemu i olańskiemu.

Ktoś krzyknął:

— Niech żyją Honwedy!... *)

*) *Honwedy*, dosłownie: obrońcy kraju — milicja.

Tłum powtórzył okrzyk.

— Niech tylko wszystkie Honwedy będą takimi jak Wereszipkoszy *) — odezwał się inny — to damy radę całemu światu!...

Szandor rozumiał, iż zająć musiała jakaś zmiana polityczno-wojenna, ale nie mógł dowiedzieć się o szczegółach, chociaż zapytywał o takowe. Odpowiedziami na zapytanie jego były klątwy i wykrzykniki. Madiarowi trudno zdobyć się od razu na kategoryczną odpowiedź. Gdy do czegoś zapali się lub na coś rozgniewa, będzie krzyczał, sierdził się, nie mówiąc czego i na co: zdaje się mu bowiem, że co jego obchodzi, każdego obchodzić powinno; o czem on wie, każdy o tem wiedzieć musi. I z pewnością o niczem, tego przynajmniej wieczora, nie byłby się Szandor od Madiarów dowiedział, gdyby, gdy już się na rynku przierzadziło a muzyka umilkła, nie spotkał Memlauer.

— Dobry wieczór!... — zaczął go Memlauer — no, cóż ty, Szandor na to?...

— O niczem jeszcze nie wiem... — odparł Szandor.

— Nie może być!... — zawołał Memlauer zdziwiony — myślałem, żeś już w huzarach!...

— Powiedzże mi, panie Memlauer, co to się stało?... — rzekł Szandor z oznaką niecierpliwości.

— Nie stało się nic nadzwyczajnego, ani nic takiego, czego przewidzieć nie można było — mówił Memlauer powoli. — Oto, wasza sprawa pogorszyła się, bo cisar odstąpił was, a wziął stronę Raców i Olahów.

— Cóż teraz robić?... — wyrwało się Szandorowi mimowolnie.

— Co robić? — podchwycił Memlauer. — Ty Madiar... i nie wiesz co teraz robić!... — i dodał tonem ironji: siedzieć u Sawy Simicza i czekać na wesele, a po weselu otworzyć kuźnię i kuć żelazo na pęta, w które was ubiorą..

Gdyby nie było ciemno, widziałby Memlauer, jak zamaran-towała twarz Szandora od krwi, która mu uderzyła do głowy. Nie pytał się on już o nic więcej, nie potrzebował już radzić

**) *Wereszipkoszami* nazywano 9-ty bataljon od czerwonych czapek; nazywano ich także z niemiecka *Rothkaptery* — czerwoncepniki.

się co ma robić. Wrażenia, jakich w dniu tym w przeciągu kilku godzin doznał, były tak silne i niepokojące, iż poczuł, że pod ich wpływem pozostać długo nie może.

Kilka dni następnych upłynęło bez godnych szczególnej wzmianki wypadków. Janko bawił w Szegiedynie, krzątając się po mieście i naradzając się często to z Łuką, to z innymi Serbami, którym wiadomość o zmianie polityczno-wojennej dodała otuchy i energii. Zasługuje na wspomnienie tylko to, iż Janko, po tajemnej nazajutrz rozmowie z Memlauerem, począł bardzo, bardzo krzywo patrzeć na Szandora i zapytał się Łuki kilkakrotnie :

— Nie pamiętasz ty, czy Szandor słyszał, cośmy mówili o prochowni?...

— Nie... nie pamiętam — odpowiadał Łuka — ale chociażby i słyszał...

— A!... przerywał Janko niecierpliwie — żadnemu Madiarowi dowierzać nie można!... Czy nie możnaby jakim sposobem wyciągnąć od niego czy słyszał, i wytłumaczyć mu, że było to powiedziane w uniesieniu.

— Spytaj się go...

— Nie!... — przerwał Janko — to byłoby jeszcze gorzej... Możeby przez Maryjkę można co zrobić... Ale, dziewczętom powierzyć takie sprawy!...

— A do tego takim, jak Maryjka — dodał Łuka — któraby za Szandora życie oddała...

— Ha!.. niema rady!... — rzekł Janko. — Nie przyszło mi na myśl, że on tam siedział!... — No!... ale... stało się. Trzeba się tylko pilnować i śledzić z daleka za krokami Szandora...

Nie było jednakże potrzeby ni możności śledzić, bo Szandor wkrótce potem opuścił Szegiedyn.

Owych kilka godzin, w których tyle uczuć wstrząsnęło jego sercem, zmieniły go do niepoznania. Stał się nasz Szandor milczącym i ponurym, i twarzy jego, jak przedtem, nie rozpogadzały uśmiechy i szczebiotanie Maryjki. Wydało się mu nawet, iż przestał Maryjkę kochać.

A jednak tych kilka dni, przez które pozostał jeszcze w Szegiedynie, pozostawał dla niej, chociaż nie przy niej, bo większą część dnia i wieczory całe przepędzał w mieście. Co

dnia szedł do domu z zamiarem pożegnania się z Simiczem, z Anną, z Maryjką, i co dnia, popatrzawszy na tę ostatnią, odkładał pożeganie do jutra.

— Jeszcze jeden, ostatni dzień... — mówił sam do siebie.

— Co się tobie stało, Szandor?... — zapytała go raz dziewczyna.

— Co?... Nic!... — odparł Szandor.

— Ty nie byłeś takim dawniej... Ciebie coś smuci, niepokoi... Powiedz, co ciebie, *lelkiem*, smuci!...

I głaskała go drobną rączką pod brodę, przymilając się i przysuwając do niego.

Szandor westchnął, ale nic nie powiedział.

— Może ty gniewasz się na mnie — rzekło dziewczę piieszczonym głosem, w którym drżała obawa i miłość — możem ja ciebie mimowolnie obraziła?...

— Nie!... nie!... tyś mnie nie obraziła niczem — zawołał Szandor, przyciskając Maryjkę do piersi. — Ja ciebie bardzo kocham, i dla tego mi smutno... Bo!... o!...

Urwał, gdyż go w gardle coś zdusiło, coś takiego, co gwałtem chciało wydobyć się z piersi.

— A ja, czyż nie kocham ciebie?... — zapytała Maryjka.

Więcej mówić nie mogła, bo niewiedzieć od czego łyzy luźny jej z oczu i cichy płacz stłumił mowę.

Szandor nie miał odwagi powiedzieć jej: bądź zdrowa. I jemu zrobiło się tak, że byłby zapłakał, gdyby nie wstydził się; nie tylko bowiem u nas, ale i u Węgrów, łyzy w oku mężkiem uważane są, jako oznaka słabości, do której wstyd mężczyźnie przyznawać się. A że nie czuł się bohater nasz na siłach powstrzymać łyzy cisnące się za powieki, więc zerwał się i uciekł na miasto.

Wspomniałem o tem, że Szandor większą część dnia przepędzał na mieście. Dodać do tego należy, iż cały czas spędzał on w jednym i tem samym miejscu, na rynku, przed otwartym, a napełnionym zwykle ludźmi szynkiem, przed którym od rana do wieczora, z rzadkimi i krótkimi przestankami, odbywał się werbunek do wojska, prowadzony przez kilku huzarów. Warto przypatrzeć się tej operacji, jako takiej, która po zaprowadzeniu rekrutacyjnego systemu, stała się wspomnieniem przeszłości.

Werbunek w Węgrzech odbywał się dawnym sposobem, i zależał całkowicie na zwabieniu, albo raczej na złapaniu do szeregów młodych fryców w ilości jak największej. Po wprowadzeniu konskrypcji nie był on bardzo potrzebnym; przechował się jednakże i praktykował, jako zwyczaj, którego rząd austriacki nie usuwał, dla tego może, iż z jednej strony nie chciał zrażać starych żołnierzy, najuporczywiej, jak wiadomo, trzymających się starych zwyczajów, z drugiej — nie chciał pozbywać się jednego więcej środka pomnożenia liczebnie szeregów wojskowych, których potrzeba coraz mocniej czuć się dawała. Więc werbunkosze zakładali po miastach główne swoje kwatery i werbowali z całym zapalem dawniejszych czasów, spotęgowanym biegącą potrzebą; a jak powiadają o konającej lampie, że przed zgaśnięciem największy rozacza blask, tak i oni, niby przeczuwając, iż po raz ostatni werbuja, wystąpili z największą pompą.

Pompe stanowiły szczególnie sztandary. Jeden, największy, z ogromnym herbem węgierskim, powiewał na wysokiej malowanej żerdzi, ozdobiony wieńcami, wstążkami, kutasami i fręzlami. Złote i srebrne rzucanki, któremi był gdzieniegdzie wytkany i które pasemkami przewijały się pomiędzy kitami kutasów i szeregami fręzli, sprawiały, iż jaśniał i migał się w powietrzu, jak gdyby usiany był gwiazdami i utkany słonecznymi promieniami. Sztandar ten reprezentował ów sztandar węgierski, pod który garnęli się podówczas Madiarzy i Słowacy: był on symbolem tej sprawy, o którą toczyła się walka, musiał przeto wyglądać i świetnie i pięknie. Pysnie rozwijał się on na całą długość i szerokość za każdym podmucha wiatru i mienił się kolorami i blaskiem, osłaniając sobą pomniejsze sztandary, w liczbie przynajmniej dwudziestu wywieszone w rozmaitych miejscach, a z których cztery, pod pewnem nachyleniem, przychepione były do żerdzi głównego. Punktem, w którym wbitą była żerdź owego głównego sztandaru, był pewien rodzaj piedestału, zrobionego z desek i umieszczonego na rynku, w odległości kilkunastu kroków od drzwi szynkowych.

Pomiędzy tym sztandarem a szynkowemi drzwiami znajdowało się to, co nazwiemy biurem werbunkowem, na które składały się: stolik zwyczajny z szufladą, stołek drewniany do siedzenia i beczka z winem postawiona na koziołkach. Przedmioty

te stały rzędem, jeden obok drugiego; — beczka na jednym skrzydle, stolik na drugim, a stołek po środku, oddalony o parę kroków od pierwszej, tak, że pomiędzy nim a beczką można było przejść. Przejście to było wrotami do kariery wojskowej. Kto włożył na łeb czapkę huzarską, napił się wina i przeszedł pomiędzy beczką a stołkiem, stawał się już przez to samo huzarem.

Komenda werbunkowa składała się z jednego starego wachmistrza i ze sześciu młodych żołnierzy. Przełożonym nad nimi był oficer, ale ten nie pokazywał się na rynku, całą więc wystawą dowodził wachmistrz, stary, doświadczony, umiejący i przemówić i nastawić się i zaimponować w potrzebie. W powierzchowności i postawie wachmistrza najbardziej uderzającymi były wąsy. Wąsy?... nie można nazwać tego wąsami, gdyż były to dwa białe wiechcie, poźółkłe przy ustach i spadające na piersi. Dla pokręcenia ich, wachmistrz rozdzielał je naprzód kułakami, a potem brał obiema garściami ze spodu, zawijał na palce i gładził, popuszczając powoli. Nad temi wąsami wznosił się nos, który, jak wąsy do zwykłych ludzkich wąsów, tak on niepodobnym był do zwykłego ludzkiego nosa. Gdyby kontur jego, bądź w profilu, bądź *en face*, odrysować oddzielnie na papierze, lub nawet, gdyby podobieństwo jego ulepić z gliny, niktby nie powiedział, że to nos, — a jeszcze trudniejszym byłoby odgadnięcie, gdyby odmalować go takim, jakim on jaśniał, kolorem. Trudno opisać go, bo nie ma do czego ten nos przyrównać, chyba do krótkiej pękatej butelki, przez pół wzdłuż przeciętej i przyłożonej do środka oblicza wachmistrzowego, w taki sposób, ażeby szyjka wpadła pomiędzy oczy, a brzuszek wznosił się po nad wąsy, zaokrągliwszy się w tem miejscu, w którym powinno być nozdrza. Jest to jednakże przyrównanie bardzo niedokładne, gdyż nosowi wachmistrza brakowało zupełnie gładkości i regularności butelki, — to co reprezentowało w nim szyjkę, było nieco zgarbione, a to, co reprezentowało brzuszek, było popryszczone w pewien rodzaj brodawek, z których jedna największa, ozdobiona kilku zagiętymi włosami, siedziała na końcu, a inne pomniejsze przylegały do niej z rozmaitych stron. Kolor tego nosa wpadał w brudno-amarantowy. Zresztą zaś fizjonomja wachmistrza była ludzką; ale za to strój jego odznaczał się niepospolitością. Jenerałowie nawet, na paradę, nie ubierają się tak, jak on był

ubranym; w takie cienkie sukno, w tak wytwornie uszyty i obciążony szamerunkami, guzami i galonami mundur, w takie botforty ze złotymi kutasami i srebrnymi ostrogami, ani w takie szako z kitą i wiankiem z liści dębowych, co wszystko dopełniał pałasz na złocistym pendencie i taszka na złocistych pasach. Młodzi żołnierze byli także wytwornie, ale nie z takim jak wachmistrz ubrany przepychem. Ich fizjonomie odznaczały się także wąsami, mniejszemi jednakże od wachmistrzowskich, mocno nawoskowanemi, wyczernionemi i ostro zakończonemi. Ostrogi ich, długie na ćwierć łokcia i dzwoniące wielkimi podwójnemi kółkami, zasługują na szczególną wzmiankę. Pomiedzy nimi trzech pełnili funkcję muzykantów, z których jeden grał na trąbce, drugi na piszczałce a trzeci na bębnie. Oprócz tej muzyki jednakże, odzywającej się kiedy niekiedy tylko, byli i cygani, którzy grali wciąż, stojąc obok beczki z winem.

Werbunek rozpoczął się około dziesiątej przed południem ceremonialnem wyjściem wachmistrza z szynku i zajęciem siedzenia na stołku. Wychodził on powoli i poważnie, poprzedzając komendę swoją. Cała muzyka grzmiała: — cygani grali „Rakoczego“, a żołnierze wtórowali im bębniem, piszczałką i trąbką. Tłum ludzi był już zgromadzony, ściągnięty ciekawością oglądania ceremoniału. Trzej niemuzycalni żołnierze nieśli za wachmistrzem worki z pieniędzmi, zwitek papieru i przybory piśmienne. Wachmistrz zasiadał przy stoliku; jeden żołnierz kładł przed nim papiery, drugi wrzucał pod stół worki, a trzeci rozwiązywał jeden z worków, wysypywał na stół kupę cwancygierów i układał je w kolumny po dwanaście. Muzyka tymczasem grzmiała; wachmistrz siedział, podparłszy się w boki lub gładząc wąsy. Po skończeniu wystawienia na widok publiczny pieniędzy, których nie było zbyt wiele, gdyż worki pod stołem zawierały miedziaki, rozpoczęło się werbowanie. Żołnierze, podzwaniając ostrogami, mięszali się z tłumem, zachwalali wojaczkę, życie bez trosk, sławę żołnierską, przyspiewując, przytupując. Niekiedy zaimprovizował się czardasz, w którym werbunkosze rej prowadzili, pokazując, jak to się tańczy czardasza i przekonywując publiczność, że trzeba być koniecznie huzarem, aby tak tańczyć. A chodziło im szczególnie, rozumie się, o młodych ludzi. To też każdy młody zwracał natychmiast ich uwagę na siebie, z każdym jeden z werbunkoszy zawiązywał znajomość i przyjaźń, i

rozmawiając, rozprowadając, zawlekał go powoli coraz bliżej ku beczce i wachmistrzowi.

— Ot, *baraton* — mówił np. — napijemy się wina.

— Dziękuję... — odpowiadał młody.

— Ale, co to... dziękuję!... Cóż ty za Madiar, jeżeli boisz się szklanki wina!... Chodź, napijemy się!... przystaniesz do huzarów, czy nie, to mi wszystko jedno; ale to nie przeszkadza, abyśmy zawiązali z sobą przyjaźń i obleli ją *borem* (winem)!... *Bor* jest na to, aby go pić... huzarom nigdy na nim nie zbywa... Jeżeli chcesz przekonać się o tem, to przystań do huzarów, a nie chcesz, to napij się wina.

Wino werbunkowe dziwny jakiś wywierało wpływ. Ten, co szklankę lub dwie wypił, weselał sercem i umysłem, i już samemu chciało mu się na próbę włożyć szako na łeb. Werbunkosz mieniał się z nim na czapki: — brał jego kapelusz, a jemu wkładał swoje szako i przechylał je na bakier.

— Hej!... jakże ty wyglądasz!... — wołał zamachując się — Tyś się urodził na huzara!... Gdybyś się tak pokazał w Peszcie, toby za tobą grafki i baronki szalaly!.. A niech no ciebie wachmistrz zobaczy!... Panie wachmistrz! patrz no, jak on wygląda!...

Wachmistrz wstawał, brał się w boki, odstępował parę kroków, pochylając głowę to na prawo, to na lewo, niby dla lepszego przypatrzenia się, i z daleka parę razy dobitnie mówił:

— W żadnym pułku nie znajdzie się taki drugi huzar!.. Ciebie od razu kapralem zrobią, a z kaprała w miesiąc... hm!.. czy wiesz ty, czem zostaniesz?... może myślisz, że wachmajstrem?... Nie!... — tu wachmistrz marszczył się, podnosił rękę i wykrzykiwał:

— Ciebie zrobią... rotmajstrem!...

Podniesienie ręki było znakiem dla muzykantów wojskowych. Dobosz, trębacz i surmacz zachodzili za młodego werbowanego i uderzali na raz w bęben, w trąbkę i piszczałkę. Wachmistrz zasiadał na stołku i zapisywał imię, nazwisko, lata i profesję nowo-zwerbowanego, podyktowane przez werbunkosza, który brał go pod ramię, przeprowadzał pomiędzy beczką i stołkiem i zniknął z nim w szynku. Po chwili z szynku wychodził napowrót werbunkosz, ale sam i w swoim własnym szaku. Przyszły rotmistrz pozostawał w tylnej izbie, której potężnie okratowane

okna i dobrze okute, a opatrzone mocnym zamkiem i dużemi zasuwami drzwi, odbierały wszelką możność zrzeczenia się świętej przyszłości; komu zaś zbytecznie zachciewało się rzec takowej, odbierano mu tę ochotę, przez proste włożenie kajdanów na nogi, a w razie potrzeby — na ręce i na szyję. Goła przyczą, na której siedząc lub leżąc, można było oddawać się rozmyślaniu, dawała przedsmak rozkoszy żołnierskich.

Tym jednakże razem, w Szegiedynie, surowość względem werbowanych była złagodzoną znacznie, z powodu ochoty, z jaką młodzież madiarska garnęła się pod sztandary. Węgry zaciągali się do huzarów tem chętniej, iż przez to uwalniali się od służby w piechocie, do której mogli być wzięci, gdyby oczekiwali na konskrypcyjną kolej. W tylnej więc izbie szynkowej kilku tylko zwerbowanych siedziało, większa część onych, po przejściu pomiędzy stołkiem a beczką, puszczoną była swobodnie, żegnała się z krewnymi i znajomymi i robiła przygotowania do wymarszu, którego dzień był stanowczo oznaczonym.

Wigilją dnia wymarszu miała miejsce przytoczona powyżej krótka rozmowa pomiędzy Szandorem a Marijką. Szandora werbunkosze mieli na oku, i co dnia, po kilka razy, zaczepiali go, ale on ich unikał i z daleka tylko przypatrywał się procedurze werbunkowej, po kilka razy puszczał się już ku wachmistrzowi dla zapisania się, lecz zawsze jeszcze wstrzymując się. W ostatnim dniu z rana bohater nasz był już przy stoliku i już otwierał usta, ale cofnął się i poszedł do Maryjki, chcąc na nią tylko spojrzeć. Po rozmowie z nią, powrócił na rynek, stanął opodal od sztandaru i stał z godzinę w milczeniu. Werbunek szedł ostro, gdyż w dniu tym więcej jak w poprzednich zaciągało się młodzieży, tak, że co pół godziny prawie słyszeć się dawał tryumfalny głos trąbki, bębna i piszczałki. Aż nakoniec, około wieczora, ruszył Szandor raptem naprzód, przecisnął się przez tłum, stanął przed stolikiem i rzekł do wachmistrza:

— Panie wachmistrzu, zapiszcie i mnie!..

Wachmistrz zmierzył go od stóp do głowy, odchrząknął, rozgładził wąsy i zabierał się do wstawiania, w celu przywołania znakami werbunkoszy i muzykantów, dla dopełnienia werbunkowych formalności.

— Nie wstawajcie, panie wachmistrzu!.. zawołał Szandor,

wyciągając rękę — zapiszcie mnie tylko... Ja przystaję z dobrej woli i nie potrzebuję, aby mnie pod ramię ciągniono...

Wachmistrz chciał się upierać, bo mu się zdawało, że formalność werbunkowa była pewnym rodzajem chrztu, bez którego nie można było zostać prawdziwym huzarem; lecz Szandor uprzedził go:

— Jeżeli tylko wstaniecie i podniesiecie rękę, ja natychmiast odejdę precz i zapiszę się w *waroszhazie* *) do honwedów.

— Napijże się choć wina... hm! — rzekł wachmistrz, biorąc pióro do ręki i oglądając jeszcze raz od stóp do głowy Szandora.

— Nie będę pił, nie będę wdziewał szaka na głowę, nie będę zachodził za beczkę — odparł Szandor niecierpliwie — zapiszcie mnie, a jutro o piątej stawię się do wymarszu.

— Ale kiedyż bez tego nie można!...

— Bądźcie zdrowi, panie wachmistrzu!... — rzekł Szandor, obracając się.

— No!... No!... — zawołał wachmistrz. — Hm!... Jak się nazywasz?...

— Szandor Kowacz.

Wachmistrz zapisał.

— Ile masz lat?...

— Dwadzieścia trzy.

— Jakiej profesji?

Szandor wstrzymał się przez chwilę, jakby namyślając się, i odparł:

— Żadnej.

— Żadnej... — powtórzył wachmistrz, zapisując, i dodał:

— To najlepsza w huzarach profesja.. Pamiętajże: jutro o piątej!... plac zboru... w szynku!...

Szandor obrócił się, odszedł i zatrzymawszy się opodal, odetchnął głęboko, jakby zrzucił ciężar, który mu piersi uciskał; pozostał jednak na rynku do samego wieczora, bo za widna nie śmiał a może nie chciał iść do Simicza, albo może chciał skrócić pożegnanie, które — przeczuwał — ze bolesnem będzie.

Przecucie jego sprawdziło się. Wymówione przez niego wyrazy: „zaciągnąłem się do huzarów“ wprawiły rodzinę Simi-

*) *Waroszhaz* — dom miejski, magistrat.

cza zrazu w osłupienie, które u kobiet zamieniło się w rozpacz, u mężczyzn na gniew. Anna i Maryjka rozplakały się, Sawa i Łuka (Janka przy tem nie było) powstali na Szandora z wymówkami, Łuka mówił:

— To szaleństwo!... Ty zgubisz się nie wiedzieć za co i na co!... Ty chyba nie wiesz, że Madiary buntują się przeciwko cisara!...

Szandor nic nie odpowiadał.

— Tyś błazen i dureń!.. — zawołał Sawa. — Co to teraz huzary!... wstyd teraz nazywać się huzarem!... Tfu!... Widziałem ja tych werbunkoszy na rynku... Tylko nosaty wachmistrz podobny do człowieka, a te frycy chcieliby coś udawać, ale nie umieją... Czemuś się mnie nie spytał, nie poradził?... Tobie się podobały wielkie ostrogi i szako z kitą... Nie dadzą ci, ani takich ostróg, ani takiego szaka!... O! nie dadzą!... Tyś wielki błazen!...

Szandor milczał. Kobiety płakały. Wszedł Janko.

— Janku!... — rzekł Sawa — Szandor zapisał się do huzarów.

Janko zmierzył go wzrokiem surowo i powiedział:

— Madiar!... czuje krew słowiańską, jak sęp albo kruk, o których powiadają, że zdaleka ścierw wietrzą... Niech idzie!... Ale niedługie już madiarskie panowanie!... Za późno wybrał się Szandor!...

— Nie!... niech nie idzie!... — rzekł Sawa dobitnie. — Jakiś się zapisał, tak się wypiszesz!... Pójdiesz w kukurydzę i djabeł ciebie nie znajdzie... Ja nie pozwolę, abyś ty zrobił głupstwo...

Wszyscy umilkli, kobiety nawet powstrzymały płacz i wszyscy zwrócili na Szandora pytające wzroki. Lecz i Szandor milczał — spuścił głowę i nie mówił.

— Cóż?... gadaj!... rzekł Sawa.

Szandor miał w rękę kapelusz; po chwili podniósł głowę i powiedział:

— Ja muszę pójść, Sawo Simiezu!... Pójdę!...

— Pójdiesz?... — zawołał Sawa. — Czekajże, niech z tobą zrobię obrachunek!...

To mówiąc, porwał się stary z miejsca, — schylił się przy łóżku, sięgnął pod nie ręką i wysunął kuferek, a otworzywszy,

wydobył worek z pieniędzmi Szandora i rzekł, podając mu takowy:

— Masz!... bierz! to praca twego dziada i ojca, powierzona mi wraz z tobą pod opiekę. Kiedy ty wyłamujesz się z pod mojej opieki, to zabieraj co twoje i bądź dla mnie obcym!... Miałem ci twój majątek i zarazem moją córkę oddać... Byłem twoim opiekunem i miałem być twoim ojcem i kochałem cię naprzód jak rodzone moje dziecko...

Tu Sawie głos zmiażdżył, jakby mu coś przeszkadzało mówić; kończył, zająkując się:

— Ale... walisz ty sam... opiekę, ja łamię zobowiązanie się... względem... ciebie... Będę szukał... innego... dla Maryjki męża... Bierz... to twoje... i nic więcej dla ciebie w moim domu nie ma.

I wkładał mu stary w ręce worek, lecz Szandor nie brał go, usuwając się przed Sawą.

— Bierz! — mówił stary — to twoje... i idź bez mego i mojej Anny błogosławieństwa...

Zdawało się Sawie, iż Szandor podstawił dłoń pod worek; puścił go więc, i pieniądze z głuchym brzękiem upadły na podłogę. Szandor nie schylił się po nie.

— O, jakże to ciężko nie mieć ani ojca, ani matki!... — rzekł smutnie.

Na te słowa Anna z głośnym łkaniem rzuciła się ku niemu, a staremu Simiczowi łzy strumieniem popłynęły z oczu. Szandor pochylił głowę i Anna, przycisnąwszy ją naprzód do piersi, osłoniła ją krzyżem błogosławieństwa. Maryjka zachodziła się od płaczu.

No!... idziesz?... — zapytał jeszcze raz Sawa, głosem zmienionym.

— Idę!... idę!... — odparł Szandor.

— Niechże cię Pan Bóg prowadzi!...

Chciał jeszcze Sawa coś mówić, ale nie mógł. Podniósł jeno rękę i krzyż nad głową młodego Węgra w powietrzu nakreślił.

Szandor z trudnością wydrzeć się zdołał z uścisków rodziny Simicza, w których sam tylko Janko udziału nie brał, unikając dotknięcia się Madiara, i wybiegł na ulicę, obłany

łzami, okryty błogosławieństwem i niby czarem ostatniego uścisku owiany, który przylgnął do niego i zdawało się mu, jakby na wieki jego serce otulił.

VII.

Powiedzieć musimy, iż niesłusznem było starego Simicza do nowych huzarów uprzedzenie. Huzar węgierski przez wieki pozostał w gruncie jednym i tem samym. Zmieniły się okoliczności, zmieniły się stroje i rynsztunki wojskowe, zmieniła się taktyka lekkiej jazdy, ale huzar, jako postać typowa, chociaż zastosował się z konieczności rzeczy do nowych okoliczności, strojów, rynsztunków i taktyki, nie zmienił się jednakże w swojej, że tak powiem, istocie. Jak był przed wieki, tak ciągle pozostał modelem w narodzie. W każdym bowiem narodzie jest jakowaś uprzywilejowana modelowa postać, nadająca ton całości narodowej. Czem niegdyś we Francji np. był markiz, czem w Anglii jest obecnie Dzentelman, czem onego czasu był w Polsce szlachcic (ale ów szlachcic, który na zagrodzie równał się wojewodzie), tem na Węgrach pozostał huzar: typem społeczeństwa, wyrazem jego usposobień, charakterów, gustów.

Pomiędzy takim typem społecznym a samem społeczeństwem nie można pozrywać wszystkich, wiążących ich ze sobą wzajemnie nici sympatycznych. Pęknie kilka podrzędniejszych—utrzymają się jednakże najważniejsze, które utrzymują poczucie jakiegoś rodzaju obowiązków, pozwalających a nawet nakazujących typowi liczyć na społeczeństwo, a społeczeństwu na typ. Chociaż przeto wcielenie huzarów węgierskich do armji austryjackiej stworzyło dla nich ojczyznę armejską i ojczyznę huzarską, typowość wszelako charakteru ich, po za temi dwiema ojczyznami, zachowała dla nich jeszcze i trzecią, która w normalnym, pokojowym stanie państwowym, stała gdzieś w cieniu niewyraźnie, ale stała — ale huzar czuł w głębi serca, że jest on huzarem węgierskim. Pochodziło to stąd, że przeważnym żywiołem w huzarach byli Madiary i Słowacy. Przyczyniały się do tego także i tradycje, przymieszane do nazwiska. Przeważność ży-

wiołu i tradycje oddziaływały w sposób nieprzyjazny przeciw wpływowi austryjacko-wojskowej cechowości, i w zwyczajnym stanie rzeczy, huzar był wprawdzie żołnierzem austryjackim, ale przytem huzarem... węgierskim; to jest, że Austrja szablą jego posługiwać się mogła przeciwko całemu światu, tylko nie przeciw Węgrom. Drobną ilość obcych żywiołów, jakimi byli Niemcy w korpusie oficerskim i tacy zaronieni Simicze w szeregach, nie rozumiała tej węgierskości huzarów i brała ją w znaczeniu odrębności ojczyznowej. Pozornie miała ona rację. W pokoju i we wszystkich wojnach, jakie Austrja, od czasu przyłączenia korony węgierskiej, prowadziła, huzary oddawały jej znakomite usługi, na równi z innemi broniami, i nie zapowiadało, aby usług tych nadal i zawsze oddawać nie mieli. W nadzwyczajnym jednakże stanie rzeczy, pokazało się inaczej. Poruszenie węgierskie przesortowało ich na żywioły: żywioł postronny odpadł, a prawdziwy huzarski stanął pod jego sztandarami. Huzary zrzucili z siebie charakter austryjackiego wojska: to przedzierając się do Węgier ze wszystkich krańców cesarstwa, to oddając się pod dowództwo cywilnych częstokroć naczelników, którzy z książeczek nimi komenderowali, na czem srodze ich ambicja wojskowa cierpiała. Na nic jednakże nie zważali: — starzy, regularni żołnierze biegli pod sztandary węgierskie nie pytając się, co one z nich zrobią i czy potrafią ich użyć stosownie.

Przychodzi mi na myśl jeden wypadek, zaszły podczas wojny węgierskiej, który dobrze charakteryzuje węgierskość huzarów. Pewien huzar, stojąc na wedecie, ujętym został przez podjazd austryjacki i stawionym przed jenerałem. Jenerał był niegdyś pułkownikiem huzarskim i dowodził tym właśnie pułkiem, w którym jeniec służył, i nadto jeniec ów był faworytem jenerała, który poznał go od razu, gdy ten został przed nim stawionym. Jenerał S... znanym był ze względnego traktowania Węgrów w ogólności i jeńców wojennych w szczególności. Po między nim przeto a jeńcem odbyła się rozmowa, której sensem, w ustach jenerała, było cesarowskie: „*et tu Brute, contra me!*“ Huzar rozczulił się, rozrzewnił, objawił żal głęboki za postępowanie swoje, i jenerał, któremu wydało się, że ujął huzara, kazał mu pozostać przy sobie i odesłał do swoich furgonów, rozkazawszy — rozumie się — konia jego i uzbrojenie zabrać dla Cheveaulegerów.

Przy furgonach jeneralskich huzar stał się zupełnie wolnym. Mógłby nie uciec, lecz odejść, kiedyby mu się spodobało bo nikt za nim nie zaglądał; ale nie uciekał ani odchodził. Przez paro-tygodniowy przeciąg czasu jenerał spotykał go często, i za każdym spotkaniem, jeżeli nie zatrzymał się dla pomówienia z nim kilku słów, to przynajmniej pozdrowił go skinieniem głowy.

— Jakże się masz?... — zapytał go razu pewnego jenerał.

— Dobrze, Wasza Ekscellencjo — odparł Huzar — ale...

Wielce zafrasowana mina, z którą Huzar wymawiał „ale“, nie uszła uwagi jenerała.

— Cóż to za „ale“!... — odrzekł — na czemże ci brakuje?...

— Serce mi się kraje...

— Od czegoż to? zapytał jenerał.

— Od tego, Wasza Ekscellencjo — odparł Huzar z wyrazem boleści w głosie — że koń mój się poniewiera...

— Cóż mu się stało?...

— Nie umięją na nim jeździć... Biedny koń!... — tu Huzar utarł dłonią łzy. — Nie umięją jeździć!... Zbawią konia!... Jeżeli Wasza Ekscellencja nie każe mi go oddać, to on zginie marnie... Ja go sam ujeździłem dla siebie, i nikt inny nie potrafi na nim jeździć...

Jenerał, znający przywiązanie Węgrów do koni, i chcąc zapewne do reszty ująć sobie Huzara, kazał mu oddać konia. Huzar nie posiadał się z radości, a wdzięczność jego była, zdawało się, bez granic. Koń jego, skutkiem trudów wojennych, był rzeczywiście zchudzonym i zbiedzonym; więc zajął się on nim szczerze, i w krótkim czasie odczyścił go i odkarmił; w marszach konno towarzyszył furgonom korpusu, dowodzonego przez jenerała, u którego, takim samym sposobem jak konia, wyprosił i pałasz i pistolety, wytłumaczywszy mu, iż hańbą jest dla Huzara siedzieć bez broni na koniu. Lecz odkarmiwszy konia i dostawszy broń swoją, o nic już więcej nie prosił. W jednej z potyczek wyjechał ze sztabem jenerała, i zajrzawszy z daleka kolumny węgierskie, wysunął się naprzód, pokłonił się jenerałowi, spiął konia ostrogami i przeszedł do swoich.

W tej wojnie stało się z Huzarem wedle przysłowia: „natura wilka ciągnie do lasu.“ Jak wilka można przygłaskać i przy-

swoić i utrzymać go przy sobie póty tylko, póki mu las nie zaszumi, tak Huzary trzymały się pod sztandarami austryjackimi póty, póki im nie zaszumiła sprawa madiarska.

W owych czasach z zadziwiającą łatwością formowały się huzarskie pułki. Stare huzary służyły jako kadry, które zapełniały się nowymi zaciągami, rosnąc i wzmagając się nie dniami a godzinami. Rekruci przerabiali się na żołnierzy czarodziejskim jakby sposobem, jakby za dotknięciem owej różeczki, w którą podanie ubraja czarnoksiężników. Dla każdego Węgry, aby zostać huzarem, zamiast przechodzić szkołę rekruta, szkołę ekwytacji, szkołę plutonu i szkołę szwadronu, dostatecznym było — wsiąść na koń przy pałaszu. Na koniu i przy pałaszu instynktownie Węgier stawał się huzarem. Wynikało to naturalnym sposobem z tej sympatji, jaka naród łączyła z typową jego postacią, i która sprawiła, że Węgier, nie będąc w wojsku, mimowolnie przez samo zapatrywanie się na postać ową, i przez naśladowanie onej, odbywał edukację wojskową, na dopełnienie której wystarczały: kilka musztr i oswojenie ucha z brzmieniem wyrazów komendy.

A jak zadziwiająca była łatwość, z jaką huzary formowały się, tak niemniej godnym podziwiania był pewien rodzaj zaparcia się siebie, przez zrzeczenie się przez nich formalizmu, będącego — jak wiadomo — powszechną chorobą żołnierską. Huzarem nazywał się każdy kawalerzysta, bez względu na to: jak on długo służył, ani — jak był ubranym, ani — jak wyglądał, ani — jak dalece znał szczegóły regulaminu. Stare szwadrony nie wyróżniały się od młodych, regularne — od świeżosformowanych, pomimo że pierwsze miały cały pozór wojska, którem też były rzeczywiście, drugie zaś przedstawiały wielką różnorodność. Pomiedzy tymi ostatnimi widzieć się dawała zbieranina i mieszanina. W amundurowaniu ich znać było dorywczość, w uzbrojeniu i umasztrowaniu — niedokładność, chociaż usiłowano, w szwadronach przynajmniej, zachować jednakowość, i doprowadzono nawet do tego, że wiele nowo uorganizowanych szwadronów — jak np. tak zwane Lehel-huzary, Boczkaj-huzary i inne — niczem nie różniły się od starych: posiadały bowiem i ubranie i uzbrojenie przepisowe, siedziały na dzielnych koniach, w które obfituje kraina węgierska, i miały czas i sposobność wyrobić się. Nie dla wszystkich jednakże wystarczyło na mun-

dury i broń, na dobranie koni i na czas do wyrobienia się. To też widziałeś jednych w piechotnych szaraczkowych płaszczach i w kapeluszach, drugich — w huniach różnobarwnych i kaszketach, innych — w kożuchach bez rękawów, innych znów — w płóciennych spencerach, i przytem — jednych w opiętych, drugich w szerokich spodniach. Mundurem *Czikoszów*, zformowanych z pastuchów stadnin stepowych, była krótka koszula, sięgająca tylko do pasa, opatrzona długimi szerokimi rękawami i nie zawiązana pod szyją. Dolną część ciała okrywały im szerokie spodnie, mające pozór spodnicy kobiecej, gdy huzar nie siedział na koniu. Głowę przykrywał czarny z zawinionemi do góry kresami kapelusz węgierski, opasany szeroką z rozpuszczonemi końcami wstążką, za którą zatkniętą była zielona gałązka, kwiatek, lub pawie albo kogucie pióro. Koszula nie chowała się pod pas od spodni, a rękawy musiały być zatoczone powyżej łokci, i z tego powodu *Czikosz* w swoim mundurze — jeżeli nb. zimno nie zmusiło go do zarzucenia na siebie szerokiego a długiego kożucha — wyglądał wpół-nago, bo koszula przykrywała mu tylko kawałek grzbietu i ramiona, a reszta biustu, zczerniała na słońcu i wiatrach stepowych, nie była wcale przysłoniętą. *Czikosz* uzbrojonym był w pałasz, jak każdy huzar — bez pałasza bowiem huzar nie miałby się za człowieka; — lecz najważniejszą usługę w jego rękę, jako zaczepna i odporna broń, oddawał mu długi batóg, podobny do naszego harapnika, którym on władał tak, że w całym pędzie konia końcem onego uderzał gdzie chciał. Broń ta w starciach się z nieprzyjacielem, ogromnie okazała się dlatego ostatniego niebezpieczną: *Czikosze* bowiem wybijali nią oczy i umieli zręcznie obwijać batogami szyje przeciwników i ściągać ich z koni. Faktem jest, iż w paru potyczkach pobili oni batogami kirysierów austryjackich. — Huzary, zwani *Roza-Szandor*, ubrani byli w płócienne, pofarbowane na fioletowo spencery, w takież szerokie spodnie i w niskie, o wązkich denkach i o podniesionych daszkach czapeczki, a uzbrojenie ich stanowiły pałasze i pistolety. — W ogólności powiedzieć można, iż huzarów nie strój, ale pałasz i ostrogi cechowały i jednakowość rynsztunku na konia, przyjętego przez Węgrów powszechnie, który składał się: z munsztuka i z przykrytej baranym czaprakiem terlicy.

Pozornie więc huzary dzieliły się na rodzajów kilka, w istocie

atoli rzeczy na dwa: na starych, albo raczej regularnych, i na nowych, których praktyka bojowa przerobiła także na regularnych — gdyż różnica istotna, jaka w początku pomiędzy nimi zachodziła, zatarła się z czasem, i pod koniec wojny, szeregi starych pułków zapełniły się taką sama młodzieżą, jaka zapełniała szeregi nowych.

Dotknąłem epizodycznie huzarów węgierskich w ogólności, dla wykazania tła, na którym wystąpi nasz bohater. Pisząc powieść a nie historję, nie mam prawa rozwodzić się nad tym przedmiotem, ani też podnosić szczegółów równoległej onemu organizacji piechoty, artylerji i inżynierji, improwizowanych, że tak się wyrażę, z natchnienia narodowego i stawiających z wielkim skutkiem czoło zawczasu przygotowanym i skończone wyćwiczonym w wojennem rzemiośle austryjackim wojskom. Wszystko to stało się już własnością dziejów. Wojna węgierska ma swoje właściwe miejsce w historii. Do tej więc ostatniej odsyłam czytelnika, a sam zajmę się wypadkami, w których Szandor wystąpił jako uczestnik.

Szandor zaciągnął się do jednego ze starych pułków i od razu dostał się na teatr wojenny. Węgry podówczas w kilku na raz miejscach toczyli wojnę. W Siedmiogrodzie ucierali się z Włochami, Sasami i cesarskimi wojskami. W Banacie mieli do czynienia z podunajskimi Słowianami. Na zachodniej granicy Węgier stawili czoło wkraczającym, dla ostatecznego zadania im ciosu, korpusom austryjackim. Na tym ostatnim teatrze znalazł się Szandor wcielony do szwadronu, jako szeregowy.

Przypomina sobie zapewne czytelnik, że Szandor werbującemu wachmistrzowi nie przyznał się do kowalskiego rzemiosła. Pochodziło to ztąd, że wiedział on, iż gdyby się przyznał, zostałby przydzielonym do kuźni szwadronowej i byłby zmuszonym odbywać służbę po za szeregiem. Służba taka nie uśmiechała się do niego bynajmniej. On zaciągnął się do wojska z intencją nałożenia w potrzebie głowę, nie zaś ćwiczenia się w kuciu koni. Na kowalach zresztą nigdy szwadronom węgierskim zabraknąć nie mogło: kowalstwo bowiem jest jednym z rzemiosł, któremu na Węgrzech najwięcej odłaje się ludzi. Został więc żołnierzem szeregowym i dostał mundur, pałasz, pistolety, konia, a nadto miejsce i numer w szwadronie.

Pomiędzy Szandorem-kowalem a Szandorem-buzarem mała

w postawie zaszła odmiana. Madiary w ogólności mają to do siebie, że każdy z nich wydaje się huzarem, przebrany po cywilnemu. A że Szandor był Madiarem, przeto, gdy ubrał się w opięte spodnie wyszyte na szwach i w botforty z ostrogami, gdy wdział na siebie dołman i mentyk, suto szamerowane i natkane na piersiach szeregiem błyszczących guzików, gdy przypasał do boku pałasz, a na łeb włożył czerwone szako — zdawało się, że we właściwym swoim wystąpił stroju. Nie ujmować ani nic dodawać nie trzeba było, aby mina jego była zupełnie huzarską: była ona bowiem taką naprzód, kiedy on jeszcze ani mundura, ani pałasza nie nosił — a jest ona tą szczególną właściwością huzara węgierskiego, którą wszystkie na kuli ziemskiej huzary naśladują, ale bezskutecznie. Dodać także należy, że Szandor był jednym z najładniejszych w szwadronie żołnierzy; strój bowiem malowniczy huzarski przypadł doskonale do jego męskiej postawy, uwydatniając i podnosząc takowej przystojność; w postawie jego nie było ani śladu wymuszenia, ale jakoweś „od niechęcia“, cechujące zwykle pańskie maniery. Od niechęcia spływał mu dołman z lewego ramienia, od niechęcia włókł się za nim i pobrzękiwał pałasz, od niechęcia szako nasuwało się mu na czoło i fałdowało je w lekkie podłużne bruzdy, które rycerską marsowatość jego oczom i obliczu nadawały. Z po za tej marsowatości przeglądała tęsknica, wywołana zapewne wspomnieniami blizkiej, wczorajszej przeszłości, rozstaniem się z kochanką i opiekunami; a tęsknica ta tem była widniejszą, iż odbijała się na tle życia żołnierskiego, które, w czasach wojennych szczególnie, zupełnie zapełniając się ciągłym gwarem i ciągłym gwałtownym ruchem, nie pozostawia czasu na smucenie się.

— Dla czego ty wyglądasz Szandor tak, jakbyś się najkwaśniejszego napił octu?.. — zapytał go razu pewnego Lajos Kisz, który z nim razem zaciągnął się w Szegiedynie, i dostawszy się do jednego z nim plutonu, wszedł wraz z bohaterem naszym do jednej szóstki, stowarzyszonej w celu wzajemnej bojowej pomocy.

— Czyż ja mogę wyglądać, jak chcę?.. — odparł Szandor — Wyglądam tak, jak mnie Pan Bóg stworzył.

— O! nie!.. — rzekł Lajos. — Inaczej wyglądałeś ty w Szegiedynie!.. Wiem ja, tobie Maryjka ćwiekiem w serce się wbiła... Było to dobre, póki nie byłeś huzarem... Ale... co huza-

rowi po Maryjce!.. Dla nas dziewczęta wyrastają, jak grzyby po deszczu... Tysiące Maryjek ściga za tobą oczami!..

Szandor nic towarzysowi nie odpowiedział i miał pretekst do nieodpowiadania, gdyż Lajos zagabnął go w czasie, kiedy i on i Szandor i wszyscy ich towarzysze zajętymi byli chędożeniem koni, stojących szeregami w obszernej stodole, zamienionej na stajnię dla całego szwadronu. Zamiast odpowiedzieć Lajosowi, zagadał Szandor do konia, który wierzgnął w tej chwili dla tego, że bohater nasz przypadkiem — a może i umyślnie — z przyciskiem skrobnął go zgrzeblem po słabiznie.

— No!.. ho!.. stój!.. — zawołał na konia, i cmokając pocałował go głaskać i dalej czyścić.

Działo się to w parę dni po bitwie pod Szwehat, w której, jak wiadomo, pobite na głowę węgierskie wojska, rozpoczęły trudny odwrót ku Pesztowi i Budzie — trudny dla tego, że wykonywanym był przez młodego żołnierza, pod kierunkiem niedoświadczonych wodzów, w porze roku najnieprzyjaźniejszej dla operacyj wojskowych, bo w późnej jesieni. Był to najgorszej wróżby początek wojny z Austrią. Zwycięzka austrijska armja posuwała się naprzód ku stolicy węgierskiej. Węgierskie wojska cofały się pospiesznie w porządku, którego wzorowym nazwać nie można. Żołnierz nie rozbiegał się wprawdzie, trzymał się on kupy w batalionach i szwadronach; ale przewodcy batalionów i szwadronów, albo odbierając niewłaściwe rozkazy, albo do właściwych nie umiając się stosować, wymijali się, rozdzielali lub łączyli w marszu, w sposób taki, z którego ani oni, ani wyżsi wodzowie nie umieli sobie wyraźnej zdać sprawy. Można powiedzieć, że prowadził ich Bóg węgierski.

Szwadron, w którym Szandor znajdował się, był w bitwie pod Szwehat, ale nie wziął w niej czynnego udziału, to jest: nie odbył ani przyjął szarży i nie był nawet wystawionym na działanie artylerji nieprzyjacielskiej. Szandor widział bój z daleka: widział dymy i polyski wystrzałów, słyszał huk dział, poświsty kul i szybkie szczebiotanie granatów, lecz bardziej jako widz i słuchacz, nie zaś jako uczestnik. Po bitwie szwadron dzieląc los całego wojska, poszedł wstecz ku Pesztowi, a zostawszy odkomenderowanym do podjazdu czy rekonensansu, znalazł się na drugi dzień po bitwie odłączonym od armji i nieco oddalonym od głównego traktu, którym ta ostatnia

maszerowała. Rotmistrz forsownym marszem usiłował złączyć się z głównym oddziałem, dla dopięcia czego, potrzeba mu było bocznymi drogami dostać się na wysokość takowej; nie mógł bowiem wychodzić na trakt, z obawy, aby nie spotkać się z nieprzyjacielskimi kolumnami. Szedł więc dzień i noc, i nadedniem wydało się mu, że jest już po za obrębem niebezpieczeństwa, — że wyprzedził czoło kolumn austriackich. Zatrzymał się więc w pierwszej wiosce, jaką spotkał, dla wytchnienia koniom i ludziom znużonym tak, że dalsze maszerowanie, jeżeli nie niepodobnem, to bardzo trudnem już było i groziło zostawieniem na drodze połowy koni i ludzi.

Wioska, w której szwadron zatrzymał się, nie zasługiwała na tytuł wioski, ale raczej na nazwę folwarku gospodarskiego; składała się bowiem z kilku chałup i z zabudowań gospodarskich, położonych na dolinie, otoczonej górami. Był to rzeczywiście folwark, należący do jednego z magnatów węgierskich. Postawienie w tem miejscu folwarku tego usprawiedliwiały wąwozy, które w liczbie czterech czy pięciu wciskały się pomiędzy góry, formując żyzne doliny, uprawiane za pomocą najemników. Folwark ten leżał w bok od traktu, prowadzącego z Wiednia ku Pesztowi i łączył się z nim drogą, która czepiała się głównego traktu w dwóch punktach, wychodząc nań raz w kierunku Wiednia, drugi raz w kierunku Pesztu; do drogi zaś tej czepiały się poboczne pomniejsze drożyny, płaczące się siecią po wąwozach gór, lub przerzucające się przez grzbiety onych.

Pomiędzy zabudowaniami folwarcznymi najważniejszą rolę grała stodoła murowana i tak obszerna, że cały szwadron mógł w niej wygodnie pomieścić się, tem bardziej, że w tej chwili była prawie pustą. Skorzystał z tego rotmistrz i zatrzymawszy się w wiosce, zakomenderował szwadronowi „z koni!“, kazał otworzyć stodołę i ulokował w niej szwadron, dawszy pierwiej czas koniom wysapać się na dworze.

Kto nie odbywał wojny, ten wyobrażenia mieć nie może o wartości, jaką dla żołnierza ma taki spoczynek. Panowie w puchach sypiający, nie wiecie, że wygodniejszą jak wasze erdredony jest garść słomy w obozie, a pyszniejszym nad pałace wydaje się lada dziurawe poddasze, które człowieka od wiatru i słoty zasłoni... Huzary w stodole znaleźli dach cały i słomy

w bród. Na niczem więc nie brakowało. Opatrzywszy konie, każdy z nich jak drzewo na słomę się walił — i zachrapał.

Na folwarku było cicho i spokojnie. Przed wprowadzeniem szwadronu do stodoły, rotmistrz rozmówił się z parobkami folwarcznymi, którzy powychodzili z chałup, i dowiedział się od nich, że oni o niczem nie wiedzą.

— Czy zachodziły tu Węgry? — pytał.

— Nie... — odpowiedzieli parobcy.

— Czy widzieliście jakiego węgierskiego żołnierza?..

— Nie widzieliśmy ani jednego...

— Czy słyszeliście co o wojnie?..

— Słyszeliśmy, ale nie wiemy, gdzie się ona toczy...

— A Niemców widzieliście?..

— Nie widzieliśmy ani jednego.

Dla mieszkańców folwarku wojna, jakby nie istniała — jakby Opatrzność umieściła ich niby na oazis, szczęśliwym a ustronem, które górami zasłoniła od burz wszelkich. Ta nieświadomość mieszkańców, w połączeniu z przekonaniem, że szwadron znajduje się na wysokości węgierskich wojsk, a zatem, że nieprzyjaciel nie może go osiągnąć, wydały się rotmistrzowi dostateczną rękojmnią bezpieczeństwa spoczynku. Pozwolił więc sobie zaniechać zwykle środki ostrożności wojskowej, i pomimo przedkładań starego, znanego nam z werbunku Szegiedyńskiego wachmistrza, nie wystawił wedet, nie otoczył się strażą.

Nie dziw, że rotmistrz nie usłuchał przedkładań wachmistrza. Wachmistrz był stary, a rotmistrz młody żołnierz. Młodzi zwykle starym nie dowierzają, szczególnie, jeżeli chodzi o jakąś drobiazgowość służbową do wykonania. Stary podczas pokoju nawet, w przemarszu z miejsca na miejsce, uważałby za zbrodnię zaniechanie ostrożności przepisowych; młodemu zaś podczas wojny wydało się, że jednorazowe zaniechanie ujdzie. I często, nie tylko w wojennych przypadkach, to się zdarza: zdaje się człowiekowi, że nieszczęście możliwe nie przyjdzie właśnie dla tego, że jest możliwym, tak, jak na odwrót bardzo często nie przychodzi możliwe szczęście. Robi sobie zwykle takie człowiek zapytanie: „dla czegoż koniecznie tym razem miałoby mnie spotkać nieszczęście?“... I odpowiada sobie tak: „a! tym razem ujdzie... na drugi raz będę ostrożniejszym“...

Nie umiem z pewnością powiedzieć, czy rotmistrz dawał

sam sobie takie zapytanie i taką odpowiedź, czyli też nie. Prawdopodobniej nie dawał, bo był znużony i rozespany, i zaledwie wydał rozkazy i zsiadł z konia, natychmiast udał się do najbliższej kupy słomy, upadł na nią, poprawił się, wyciągnął się i usnął. Toż samo uczynili wszyscy oficerowie szwadronowi, i gdyby za ich przykładem poszedł był wachmistrz, nie wiadomo, coby się stało z opatrzeniem koni. Nie mogąc gniewać się na oficerów, spędził wachmistrz gniew na żołnierzach, i z drobiazgową skrupulatnością dopilnował ustawienia koni, rozsiodłania, wytarcia im nóg słomianemi wiechciami i dania im siana i obroku, a gdy to ostatnie zostało spełnionem, zakomenderował:

— A teraz... spać!...

I zaklął ciężką klątwą.

Była to komenda nieregulaminowa, a wiedzieć należy, iż wachmistrz nasz miał wielki wstręt do wszystkiego, czego nie było w regulaminie wojskowym, — dla niego bowiem regulamin był pod pewnym względem tem, czem dla Muzułmanina jest Koran, najwyższym wyrazem mądrości; i jak Muzułmanin pogardza wszelką mądrością niewkluczoną w suraty podyktowane prorokowi przez Allacha samego, tak wachmistrz pogardzał wszelkiem rozkazodawczem wyrażeniem, niewkluczonem w paragrafy regulaminu. Dla tego to wydawszy komendę do spania i zakląwszy, splunął, zlął jeszcze raz i rzekł do siebie pod nosem:

— Otóż do czego to prowadzi!... Człowiek sam siebie dalej nie pozna!... Jedno złe pociąga za sobą drugie... Inaczej być nie może!... Rotmistrz nie kazał rozstawić posterunków, ja głupstwo powiedziałem...

I przedrzeźniając sam siebie, powtórzył półgłosem:

— A teraz... spać!...

I klął na czem świat stoi.

— Ha! to nieszczęście!... Co to z tego będzie!...

I obwinawszy się płaszczem, położył się na słomie; tak jednak wielkiem było starego wachmistrza rozdrażnienie, że pomimo, iż był jak wszyscy inni znużonym, nie mógł zasnąć. Zamknął oczy, otulił płaszczem głowę, okrył nim twarz tak, że tylko nos ciemno-czerwony sterczał z pod białego kołnierza, ale nie mógł snu przywołać. Przewrócił się więc kilka razy z jednego boku na drugi, kilka razy skurczył się to wyciągnął,

i wstał, a przetarłszy oczy niby po śnie, i rozglądziwszy miotły wąsów, zawołał głośno, pewny, że go nikt nie usłyszy, bo wszyscy oficerowie, i podoficerowie i żołnierze spali jak zabici.

— Ani wedet, ani nawet sznurwachów!... Tfu!... Do diabła porządek taki!...

Powiedziawszy to wyprostował się, przestąpił z nogi na nogę, pociągnął mundur, poprawił pasek od pałasza, zapiął pałasz na kruczek, pociągnął kilka długich haustów z maniery, chrząknął, splunął, rozglądził znowu wąsy i począł przechadzać się pomiędzy szeregami koni, żujących spokojnie obrok w zawieszonych im na łbach torbach parcianych i poprychujących od czasu do czasu. Pełnił on tym sposobem służbę sznurwacha i czuwał za cały szwadron, a dla rozrywki w samotności, wydobyl oprawną misternie w pobielany mosiądz szemnicerkę, napełnił ją tytoniem z pęchyrzowego z kutasami kapczucha, wykrzesał ognia i kurzył powoli. Wypalił jedną fajkę, nałożył drugą, — wypalił drugą, nałożył trzecią, a ukończywszy trzecią — co nie odbyło się w przeciągu godziny, gdyż wysokiej szemnicerki nie można skończyć w kwadransie, ani we dwadzieścia minut — huknął na trębacza i dał mu rozkaz trąbić pobudkę. Odezwała się trąbka; — żołnierze jeden po drugim poczęli podnosić się ze słomy. Jaki taki klął trąbę w duchu, i oddałby pół życia za pół godziny snu jeszcze; ale nie było rady, bo co który otworzył oczy, to ujrzał groźną postać wachmistrza, który w milczeniu złożywszy na piersiach ręce po napoleońsku, stał obok trębacza, gotów skarcić surowo ociąganie się i opieszalność. Jedni tylko oficerowie, których granie trąbki rozbudziło także, pozostali na słomie, żołnierze zaś wstali wszyscy i wzięli się do chędożenia koni. Wówczas to nastąpiła powyżej przytoczona, krótka, pomiędzy Szandorem a Lajoszem rozmowa.

Podczas gdy huzary zajęci byli chędożeniem koni, wachmistrz odchylił szerokie wrota stodoły, które, zapomniałem o tem na swoim wspomnieć miejscu, były zamknięte, i wysunąwszy się na dwór, nałożył sobie czwartą fajkę i przechadzał się przed wrotami, chcąc zapewne orzeźwić się czystem a chłodnem powietrzem. Dzień był jasny, słońce zrobiło już bez mała ćwierć drogi na niebie i pełnym blaskiem oświetlało spadki gór i dolinę i działaniem słabego, zimowego ciepła zdejmowało ostatki szronu mroźnego, którym przez noc ubielila się ziemia i kamienie, chwasty

i krzewy. Wachmistrz chodził zamyślony — a o czym on myślał, tego nie podejmuję się opowiadać dla tej prostej przyczyny, że nie wiem. To jednakże pewna, że nie myślał o otaczającej go przyrodzie, bo bardzo od niechcienia i prawie z pogardą, rzucał niekiedy wzrokiem to na błękitne niebo, to na płowe szczyty gór, to na rozścielającą się przed wrotami stodoły dolinę, równą i gładką jak plac musztry, zamkniętą zaginającymi się górami i przerznątą drogą, która gubiła się za zagięciem gór na przestrzeni nieprzechodzącej doniosłości strzału działowego, Obok drogi bieгло zawalone drobnymi kamykami płytkie łożysko strumienia i sączyło zbierane wody górnych źródełek. Drogą tą obok tego strumienia miał szwadron maszerować i dla tego to może, po długim, obojętnem a pobieżnem spoglądaniu na rozmaite przedmioty, raptem zwrócił na nią wachmistrz pilną uwagę, zatrzymał się i wlepił wzrok w punkt, w którym w głębi doliny gubił się strumień za górami. I oczy wachmistrza rozszerzały się stopniowo, jakby ze zdziwienia lub przerażenia. Stał przez chwilę jeszcze, wpatrując się ciągle w ten sam punkt, lypnął parę razy oczami, zmarszczył brwi i tyłem cofnął się do stodoły, a wszedłszy i zamknąwszy wrota za sobą, stanął, spojrzął na trębacza, jakby chciał coś do niego przemówić, lecz zamiast przemawiać do trębacza krzyknął na żołnierzy:

— Siodłać konie... a żywo!... Ani słowa, niech jeden do drugiego nie mówi! i niech mi się żaden nie waży ani krokiem ze stodoły wyjść!...

Żołnierze rzucili się do koni, wachmistrz zaś przepisowym krokiem udał się do miejsca, w którym rotmistrz i oficerowie uspieni leżeli, a zatrzymawszy się przed nimi począł chrząkać. I chrząkał raz poraz a coraz to głośniej, aż jeden z podporuczników otworzył oczy. Korzystając z tego, wachmistrz szybko podniósł palce do daszka od szaka, salutując podporucznika, i jednym tchem wyraportował:

— Mam honor najpokorniej meldować, że idą austryjacy!...

Podporucznik, jak gdyby pod nim kto minę zapalił, zerwał się równemi nogami, a z nim razem i rotmistrz i oficerowie wszyscy.

— Co?... — zawołał rotmistrz.

— Mam honor najpokorniej meldować, że idą austryjacy!...

— powtórzył wachmistrz.

— Gdzie?... — zapytał rotmistrz z akcentem lekkiego przeżenienia.

— Tam!... — odparł wachmistrz, pokazując palcem ku drzwiom i spuszczać rękę.

Rotmistrz ruszył do drzwi, poprzedzając oficerów i postępującego za nimi wachmistrza i odchyliwszy drzwi o tyle, aby wyjrzeć przez nie, popatrzył po dolinie.

Cała dolina w poprzek zajęta była podchodzącym ku stodołę powoli łańcuchem tyralierów, a za tym łańcuchem widzieć się dawały wynurzające się z za załomu gór kolumny piechoty. To było na drodze, którą potrzeba było maszerować; z drugiej strony stodoły, na drodze, którą szwadron przemaszerował, to samo miało miejsce. Krótki rekonesans, zrobiony przez szczeliny przednich i tylnych wrót, przekonał, że i marsz naprzód i od wrót odciętemi zostały. Tyralierzy nieprzyjacielscy zbliżali się, a gdy zbliżyli się na pewną odległość, odezwały się sygnały na bębnach, tyralierzy zbiegli się, sformowali i do kolumn wrócili. Wszystkie te ich ruchy odbyły się na głosne komendy sygnałów. Widocznem było, że austriacy wiedzą, z jaką siłą mają do czynienia, i że dokonawszy zastąpienia wychodów z przodu i z tyłu, nie uważają już za potrzebne robić tajemnicę ze swojej obecności.

W fatalnem znalazł się szwadron położeniu. Trzy głębokie, ścięzione w dywizjonowych kolumnach bataliony piechoty, stojąc jeden za drugim, zastąpiły mu drogę, pozostawiając mu jedną alternatywę: albo poddać się, albo też przebić się przez potrójną zaporę. To jednakże ostatnie połączone z trudnością debuszowania kawalerji ze stodoły przez drzwi szerokie wprawdzie, ale niemogące więcej jak sześciu rzędem jeźdźców przepuścić, w obliczu nieprzyjaciela, wydawało się niepodobieństwem.

Austriacy pewni, że zwrócili już na siebie uwagę złapanych niby w samotrzasku huzarów, zatrzymali się w kolumnach ścięzionych, oczekując spokojnie na parlamentarza. Huzarzy posiadłali tymczasem i pomunsztuczylj konie. Rotmistrz zaś i oficerowie, z wyraźną niespokojnością chodzili od wrót do wrót, i wyglądając przez szczeliny, mierzyli wzrokiem cały ogrom nieszczęścia, jakie na nich zaniechanie ostrożności wojskowych spowodziło.

Rotmistrz był młodym człowiekiem, którego tytułem do komenderowania szwadronem nie była bynajmniej służba w szeregach wojskowych. W jednym z komitatowych miast, spółobywatele wybrali go na kapitana do milicji narodowej i z tym stopniem wstąpił on do kawalerji organizującej się armji i dostał szwadron. Wielki brak oficerów w początkach wojny usprawiedliwiał tego rodzaju rozdawnictwo dowództw. Nie było ludzi fachowych, więc najwłaściwszem zdawało się powierzać komendy tym, których wyznaczała opinja publiczna, wyrażona przez wybór: wybrany bowiem musiał posiadać, jeżeli nie dokładną znajomość rzemiosła wojennego, to przynajmniej przymioty osobiste i zalety, usposabiające go do zdobycia i nabrania znajomości tej, będącej w gruncie rzeczy nader prostą i łatwą. Nasz rotmistrz obdarzony od natury zdrowym rozsądkiem i odważnem sercem, w krótkim czasie oswoił się z mechanizmem dowództwa. Z początku, gdy mu przyszło komenderować przed frontem, zamierała mu komenda w gardle i jakoś nie rażno szło mu manewrowanie szwadronem; ale kilka tygodni ciągłego w marszach ćwiczenia, wielce interesownego, bo ukazującego codziennie perspektywę bitwy, nadały mu pewność siebie i usposobiły go tak, że był w stanie uczynić zadość wszelkim wymaganiom taktycznym, tak na polu bitwy, jak na placu popisów. Wojna jest najlepszą szkołą wojskową. I nasz młody rotmistrz był wcale dobrym rotmistrzem, a jeżeli niekiedy pomylił się, jak np. w urządzeniu spoczynku w stodole, to tego nie należy brać mu za złe, było to bowiem skutkiem zapomnienia się, pochodzącego ze znużenia fizycznego, połączonego z litością nad żołnierstwem, które upadało pod znużeniem. Prawda, że zapomnienie się to zagroziło zgubą całemu szwadronowi i całkowita moralna za nie odpowiedzialność ciążyła na rotmistrzu. Czuł on to i rozumiał, i niczem też innem nie był zajęтым, jak tylko uratowaniem szwadrou.

Zrobiwszy wszystkie postrzeżenia nad ruchami i stanowiskiem kolumn austryjackich, stanął rotmistrz przy drzwiach frontowych i zwołał podkomendnych swoich oficerów na radę wojenną. Podkomendni oficerowie nie wiele poradzić umieli, bo ani doświadczeniem, ani wiekiem nie przewyższali rotmistrza.

— Co tu począć?... — zapytał ten ostatni.

Oficerowie milczeli i ramionami ścisкали.

— Hej!.. wachmistrz!.. — zawołał rotmistrz.

Wachmistrz przymaszerował, odsalutował i stanął wyprostowany.

— Co teraz robić?..

— Co rotmistrz każesz!.. — odparł zapytany.

— Ale, chodzi mi o to, ażebyś poradził.. — rzekł rotmistrz niecierpliwie — Widzisz, w jaką wpadliśmy matnię... Potrzeba z niej szwadron wyprowadzić.

— Hm!.. hm!.. — odchrząknął głośno wachmistrz i salutując powtórnie, rzekł:

— Mam honor najpokorniej meldować panu rotmistrzowi, że jeżeliby nie potrzeba było wyprowadzać szwadronu, to należałoby wywiesić biały sztandar i wysłać przed stodołę pana porucznika z trębaczem; ale, jeżeli potrzeba wyprowadzić szwadron, to na to niema innego sposobu jak... *durch und durch!*..

Ostanie trzy wyrazy, wymówione po niemiecku, poparł gestem, który zależał na groźnem zmarszczeniu czoła i pchnięciu palcem w powietrzu w stronę austryjacką. Rotmistrzowi także brwi się sfałdowały i oko ogniem błysnęło.

— Tak!.. — rzekł ten ostatni, po chwilce milczenia — innego sposobu nie ma... Ale jakże to wykonać?..

— Mam honor najpokorniej meldować — odparł wachmistrz — że potrzeba, aby huzary wsiadły na koń w stodole, a potem... otworzyć wrota na rozcięż, wysunąć czwórkami, sformować się kłusem i...

— Panowie oficerowie!.. — przerwał rotmistrz rozkazującym tonem — na miejsca!..

A wychodząc przed front szwadronu, który sformowanym był już przez wachmistrza do wsiadania na koń, poprawił szako i przemówił do żołnierzy:

— Huzary!.. jesteście otoczeni!.. Aby dostać się do swoich, potrzeba nam przebić się przez kolumny piechoty.. Gorąca kąpiel nas czeka!.. Może połowa, może więcej jak połowa z nas, z niej nie wyjdzie! Który z was boi się śmierci, niech zostanie w stodole, a ci co nie boją się, pójdą za mną!..

— Ktoby tam bał się!.. — odezwał się któryś z szeregowych. — Przecież Pan Bóg nie na to stworzył huzara, aby jak pies od much, chował się od kul!.. Pójdziemy wszyscy!..

Wachmistrz groźnie spojrział na mówiącego i zanotował

go sobie w pamięci, w zamiarze ukarania za sprzeciwiające się regułom odzywianie we froncie. Rotmistrz jednak inaczej ten występek przyjął, bo z rozjaśnionem radością obliczem zakomenderował: na koń! — a wsiadłszy na koń sam, krótko i dobitnie wydał rozkaz dobiecia pałaszy, które z metalicznym szelestem wysunęły się z pochow i zajaśniały w szeregach uszykowanych w stodole huzarów. Gdy przygotowawcze te czynności zostały ukończone, drzwi stodoły otworzyły się raptem i wraz z otwarciem się drzwi padła komenda rotmistrza:

— Czwórkami od prawego!.. marsz!..

I sam rotmistrz wysunął na czele pierwszej czwórki, a za nimi, czwórka po czwórce wybiegała kłusem ze stodoły i szybko szykowała się w szereg.

Zachwycenia godnymi byli i ten rotmistrz i te huzary. Rotmistrz wyskoczył nieco naprzód i zwróciwszy konia na miejscu, stanął frontem do szykującego się szwadronu a tyłem do nieprzyjaciela, i spokojnie oczekiwał na ostatnią czwórkę; huzary zaś szykowały się, jak na placu parady, jakby przed niemi nie było śmierci, zawartej w kilku tysiącach karabinów i osadzonej na ostrzach kilku tysięcy bagnetów. Nie dalej bowiem jak o półtora kroku przed niemi, stał w kolumnie pierwszy batalion austriacki. Austriacy jednakże nie przeszkadzali im szykować się. Wystąpienie huzarów było niespodzianką dla dowódców austriackich, których pedanterja wojskowa nie przepuszczała nigdy takiego ze strony Węgrów zuchwalstwa. Austriacy w kilka batalionów osaczywszy jeden szwadron jazdy, i zastąpiwszy mu wychody, mieli go za wzięty w niewolę i oczekiwali na bezwarunkowe poddanie się. Zdumieli się więc, gdy niespodzianie ujrzeli jeńców owych, wynurzających się z ukrycia w bojowym porządku. Nie mogli zmiarkować od razu co to znaczy. I zanim zdumienie ich przeminęło, huzary uszykowały się półszwadronami, a gdy ostatnia czwórka dopadła szeregu, rotmistrz zakomenderował: do ataku broń!.. naprzód!.. marsz... marsz!.. — Szwadron kopnął się cwałem z miejsca i jakby pchnięty jakąś nieprzemogoną siłą, z szybkością błyskawicy, z piorunnym impetem rzucił się na najbliższą austriacką kolumnę.

Ślicznymi byli huzary w tym krótkim przebiegu. Ich dołmany wzniosły się w powietrze, ich szable błyszczały u góry,

ich postacie pochylały się nad grzywami końskimi — zdawało się jakby uskrzylili się, i spadłszy z pod obłoków, szybują po nad samą ziemią. Rotmistrz leciał przodem i piersiami swego konia pierwszy przebił gąszcz szyku austryjackiego, a brnąc przez środek, rąbał pałaszem na prawo i na lewo po głowach uchylających się przed nim i nastawiających mu bagnety piechurów. Za nim wpadł szwadron cały, gęstą, ciężką masą i wywrócił i roztratował kopytami austryjcki batalion, w chwili, kiedy w szeregach tego ostatniego zabrzmiała komenda: fejer!..

Temu samemu losowi uległ, blisko za pierwszym stojący, drugi i trzeci batalion. Szwadron, nabytym z miejsca pędem, przeleciał przez nie na wskrós — *durch und durch*, jak wachmistrz się wyraził. Trzeci batalion zdołał wprawdzie dać ognia, ale nieskutecznie, bo strzelił pospiesznie i zgórował dlatego, że strzelał w kierunku swoich własnych batalionów. Kule, niby rój os, przeniosły się po nad głowami huzarów, zawadziwszy o kilkanaście szaków i o parę głów. Jednym z uszkodzonych szaków, było szako Szandora, jedną z głów, którą kula przeszła, była głowa tego huzara, co odpowiedział na przemowę rotmistrza w stodole. Śmierć tego ostatniego zasmuciła rotmistrza a rozgniewała wachmistrza: pierwszy bowiem chciał go nagrodzić, a drugi ukarać — za odzywianie się we froncie.

Wyjąwszy dwóch poległych, bohaterski ten szwadron wyszedł cało i złączył się szczęśliwie z cofającą się armją; wypadek ten posłużył jako nauka rotmistrzowi. Żaden dowódca nie był potem ostrożniejszym nad niego.

VIII.

W domku Sawy Simicza pełno po Szandorze pozostało pamiątek. Nie były to pamiątki w znaczeniu materjalnem, jedyną bowiem materją, jaka po bohaterze naszym pozostała, był worek z pieniędzmi. Ale worek ten zajmował tylko Sawę.

— Co ja z tem zrobię!... — rzekł Sawa po odejściu Szandora, zchylając się i podnosząc worek z podłogi.

Nikt nic mu na to z razu nie odpowiedział. Anna szlochała, Maryjka szlochała, Łuka chociaż nie szlochał, ale tak coś na poprzek w gardle mu stanęło i w piersiach ścisnęło, że nie mógł słowa przemówić; tylko jeden Janko siedział na łóżku

i spoglądał swobodnie na żal rodziny swojej, nie dzielając jej smutku.

— Co ja z tem zrobię!.. — powtórzył Sawa po chwili, trzymając worek na dłoni i spoglądając nań z ukosa.

— To się zda... — odparł Janko od niechcenia.

— Zda się!.. Zapewne!.. — rzekł Sawa — jeżeli Szandor wróci.. Ależ, jeżeli nie wróci!.. to, co!.. A z wojny, jedni wracają, drudzy nie... Nas było sześciu.. wróciło tylko dwóch... W innych towarzystwach było po ośmiu, po dziewięciu i nie wrócił ani jeden... W całym szwadronie, w którym służyłem, pozostało po wojnie tylko czterech starych huzarów: ja, nieboszyk Kowacz, Janko i Istwan.. Szandor może nie wrócić!..

Na te słowa Maryjka głośnym zaszała się płaczem i wybiegła z izby, a Janko odpowiedział:

— Wróci czy nie wróci... to wszystko jedno... te pieniądze zdadzą się, jako zdobycz na wrogu...

— Na jakim wrogu?.. — zagadnął stary i spojrzął z góry na syna.

— A na Szandorze!..

Wzrok Sawy wyraził zdziwienie i powątpiewanie.

— Alboż Szandor nie Madiar?.. — ciągnął Janko — alboż Madiary nie wrogi Serbom? alboż my nie Serby?.. Szandor zaciągnął się do huzarów, a huzary to serce Madiarszczyzny... on jutro będzie mordował naszych braci... użyjmyż jego majątku na to, aby braciom naszym dopomódz w bronieniu się od niego... Nie masz, ojczu, nad czem myśleć.. Oddaj te pieniądze na sprawę serbską!..

Sawa pomyślał, zdawało się, jakby na w pół został przekonany argumentami Janka, bo nic na nie nie odrzekł; ale pieniądze schował do kuferka, zamknął i włożył klucz do kieszeni. Materjalna więc ta pamiątka zaległa w kuferku pod łóżkiem i została prawie zapomniana, bo tylko Sawa jeden o niej pamiętał. Janko, który byłby może upomniał się o nią u ojca na sprawę serbską, wkrótce po wymarszu zwerbowanych, opuścił Szegiedyn, a pozostali członkowie rodziny Simicza uważali ją, jako świętą i nietykalną Szandora własność. Argumenta Janka, w uszach Anny i Łuki, przebrzmiały jak puste dźwięki, Maryjka nie słyszała ich nawet. Po Szandorze przeto pozostały pamiątki moralne — serdeczne wspomnienia, które z dniem ka-

żdym nabierały coraz większej wartości. Gdy nie stało go w gronie rodziny Simicza, wydał się on droższym i Sawie i Annie i Łuce, szczególnie zaś Maryjce. Sawa nudził sobą, jakby mu czegoś wiecznie brakowało. Anna popłakiwała niekiedy ukradkiem. Maryjka przez dnię całe przesiadywała na kanapie w paradnej izbie, z robotą w ręku, ale bywały dnię, w których ani jednego ściegu nie zrobiła, ani nawet igły dotknęła. Siedziała i dumiała; myśli jej jednakże nie snuły się z żadnego wyraźnego wątku, a błądziły niby w ogromnej pustej przestrzeni, niby pomiędzy ziemią a niebem, idąc i idąc w dal bez końca i nie mając gdzie spocząć. Uptywały jej dnię na niczem, a smutnie, a tak jakoś dziwnie nastrojone do jednakowości z jesienią, która sposepiła naturę na dworze, że zdawało się, jakby jesień i do jej zawitała serca. Memlauer zaglądał do Simicza, ale bardzo rzadko, i zaszedłszy, jakby przez szacunek dla smutku jego rodziny, bawił krótko i mówił mało.

Po jednym Łuce nie znać było smutku dlatego, że Łuka zatrudnionym był pełnieniem poleceń, jakie mu Janko zostawił. Zatrudnienia te ograniczały się naglądaniem za magazynem i prochownią. Łuka, jak wiemy, był miejscowym naczelnikiem spisku, lecz jak często ze spiskami się zdarza, miał do rozkazywania samemu sobie. Podkomendni jego, którzy z razu gorąco wzięli się do rzeczy, ochłodli powoli. Kilku z nich, wysłanych w początkach do obozów serbskich z wiadomościami o ruchach wojsk węgierskich, poszło i nie wróciło. Ci byli najzarliwsi, i dlatego też, gdy raz dostali się na teatr wojenny, nie chcieli przemieniać go na nudne wyczekiwanie w Szegiedynie; woleli oni bić się wstępnym bojem, jak nurtować lisiemi drogami. I przyszło do tego, że już Łuka nie miał kogo wysyłać; ci bowiem ze spiskowych, którzy pozostali w Szegiedynie, mieli ważne powody nieoddalania się: — jeden miał żonę, która go nie puszczała, drugi miał żonę, której opuścić nie chciał, trzeci miał dzieci, inny kochankę, inny ważne interesa. A przytem, jakoś tak zbiegły się okoliczności, że w przeciągu trzech czy czterech tygodni nie zaszło nic takiego, o czem koniecznie uwiadomiłby walczących należało. Łuka oczekiwał na ważne wypadki, postanowiwszy sobie, gdy takowe zajdą, sam udać się do obozu, a tymczasem co dnia, po kilka razy, przeprowadzał się na drugi brzeg Cissy i oddawał się szczegółowemu studiowaniu

zewnątrznego położenia i wewnętrznego urządzenia prochowni. Obejrzał on ją ze wszystkich stron, wyegzaminował mury i okna, i kilkakrotnie, dzięki nie nazbyt czujnej ani pilnej baczości rewolucyjnych szyldwachów, stojących na warcie, udało mu się zajrzeć do środka.

Razu pewnego, późnym wieczorem, wracał Łuka z wyprawy do prochowni. Wieczór był ciemny i dżdżysty. Ulice Szegiedyna były puste i ciche. Mieszkańcy siedzieli po domach, i zaledwie od czasu do czasu spotkać można było jakiegoś pijaka, dążącego z szynku do szynku, i chlapiącego się odważnie po błocie. Pijakom, jak powiadają: „morze po kolana“ — w dzień im ciemno, w nocy jasno, na dżdżu sucho, na pogodzie bywa mokro. Łuka spotkał ich kilku i nie zważał na nich, — mijał nie zatrzymując się i spiesząc do domu. Dochodząc do domu, kiedy na zawrocie ulicy mógł już rozpoznać wrota swoje, ujrzał przed nimi jakąś postać ludzką, stojącą nieruchomie. Ciemność wieczorna nie dozwoliła mu widzieć dobrze z odległości kilku kroków; za każdym jednakże krokiem, kształty postaci odrysowały się coraz wyraźniej, i gdy Łuka stanął przed nią, ujrzał się przed człowiekiem okrytym hunią, której kaptur zarzucony na głowę, zakrywał mu połowę twarzy i pozwalał widzieć tylko nos i wąsy. Człowiek ten nie wyglądał na pijaka, przez samo staranne okrycie się, i nie wydał się Łuce znajomym. Chciał Łuka prze mówić do niego, lecz on pierwszy go zaczął:

— Czy ty jesteś Łuka Simicz, syn Sawy Simicza?

— Ja... — odparł Łuka.

— Łuko Simiczu, mam do ciebie poselstwo od Janka.

— Jakie?.. — zapytał Łuka zainteresowany ostatnim wyrazem.

— Takie... — odrzekł nieznajomy i podał Łuce złożony w kształcie sporego listu papier — Masz!... przeczytaj to, ale tak, żeby Sawa nie widział... Przeczytaj to sobie jutro, po dniu... Bądź zdrow, a spraw się dobrze...

Wymówiwszy to, nieznajomy odwrócił się i odszedł. Łuka chciał się z nim rozmówić, chciał go rozpytać, ale szybkie odalenie się nieznajomego zniweczyło jego chęci. Odchodził on, jakby uciekał i znikł jak mara nocna. Nie pozostało Łuce nic innego, jak schować list w zanadrze i wejść do domu, gdzie zastał wszystkich swoich zgromadzonych przy wieczerzy.

— Czekaliśmy na ciebie z wieczerzą i nie mogliśmy się doczekać.. — rzekła Anna, ujrawszy Łukę na progu.

— Zabawiłem się... — odparł Łuka od niechcenia.

— Byliśmy o ciebie niespokojni... — ciągnęła Anna — bo to takie teraz czasy!.. mój Boże!.. takie czasy!.. Janko na jednej stronie, Szandor na drugiej..

Uwaga ta Anny była snadź skutkiem, albo raczej dalszym ciągiem rozmowy, jaka w nieobecności Łuki toczyła się pomiędzy jego rodziną.

— Brat na brata!.. — mówiła Anna — och!.. to straszno!.. to chyba skończenie świata!.. Jeżeli oni zejdą się jeden naprzeciw drugiego: Janko i Szandor?... Przecież oni bracia;.. razem się wychowali, razem rośli, a chociaż nie jedna matka ich rodziła, to jedna ich pielęgnowała..

Z tych słów Anny miarkując, nastrój ogólny usposobienia rodziny Simicza musiał być smutnym. I był takim rzeczywiście, a tego wieczora smutniejszym, jak kiedykolwiek.

— Zkądże przysły ci, matko, te uwagi?... — zapytał Łuka siadając za stołem.

— Ojciec usnąwszy po południu, miał jakiś sen, którego nie pamięta.. — odpowiedziała Anna — ale który mu jakieś złe dał przecucie.

— Coś mi się, Bóg wie co, śniło... — podchwycił Sawa — ale dobrzebyś Łuko zrobił, gdybyś nie oddalał się często z domu... Bo choć ja w sny nie wierzę, ale, jak powiadają: strzeżonego Pan Bóg strzeże... Siedź ty przez jakiś czas w domu!..

— Cóż złego mogłoby mnie spotkać!.. — rzekł Łuka w pół dla uspokojenia rodziców, w pół dlatego, żeby siedzenie w domu nie przeszkadzało mu do wykonania poleceń Janka.

— Może jakie nieszczęście spotka, albo już spotkało Szandora albo Janka... — odezwała się Maryjka.

Anna podniosła fartuch do oczu.

— Ani słowa, ani półsłówka... ani od Szandora, ani od Janka... — rzekł Sawa i spuścił starą głowę w zamyśleniu.

Nastąpiło milczenie. Sawa i Anna, Łuka i Maryjka wpadli w smutną zadumę, i żadne z nich nie zdobyło się na pocieszenie drugich.

Pocieszenie w smutku zwykle nie wczas przychodzi. Rola pocieszyciela jest trudną, dostaje się ona obojętniejszemu, nie-

zdołnemu czuć nieszczęście tych, których pociesza, i wygląda jak dmuchanie na ogień, czynione w celu ugaszenia płomienia, a wywierające przeciwny skutek. Niewielki ogień zadmuchać można; wielki dmuchaniem rozpala się. W niewielkim smutku można pocieszyć; wielki pocieszeniem rozjątrza się. Nie można dobrać wyrazów do ukolysania serca, ani nastroić głosu do zaśpiewania go, jak rozplakanej dzieciny. Najlepszym pocieszeniem jest podział smutku, rozebranie go na kilka serc. Rodzina Sawy Simicza smuciła się we czwórkę, i dlatego smutek jej był cichym i jakimś poważnym.

Łukę korciało powiedzieć, że ma list od Janka, ale wyrażne zalecenie oddawcy listu wstrzymywało go. Zaduma jednakże Łuki nie była ciszą zamkniętego w sercu smutku, lecz zamyśleniem nad rozwiązaniem zapytania: co też Janko pisze?... Najłatwiejszym, zdawałoby się, sposobem odpowiedzi na to zapytanie, było natychmiastowe odczytanie listu. Łuka jednakże był doskonałym stelmachem, ale nie szczególnym czytelnikiem. Z pismem drukowanym szło mu jeszcze jako tako: z pisanem — bardzo tępo. Do odczytania listu potrzebował on i czasu i światła dostatecznego. Nie mógł przeto wziąć się do czytania z wieczora, bo nie zdołałby uniknąć podpatrzenia bądź przez Sawę, bądź przez Annę lub Maryjkę; nie mógł bowiem czytać gdzieindziej, tylko w jednej lub w drugiej izbie, albo w sieniach, pod okiem rodziny. Musiał więc czekać do jutra. Ciekawość jednakże dręczyła go, ciekawość, o której nie bardzo słusznie powiadają, że jest tylko udziałem córek Ewy. Ewa udzieliła jej i synom swoim: i nam mężczyznom nie braknie na ciekawości. Łuka raz poraz sięgał ręką w zanadrze, list jakoś mu niby zawadzał, niby go gniótł rogami w pierś, — poprawiał więc go ciągle i byłby dał wiele za ustronny kącik i za jasną świecę.

Panujące w izbie milczenie przerywanem było tylko powtarzaniem od czasu do czasu pochrząkiwaniem Sawy i ciągłym mručeniem kota, które donośnie rolegało się w ciszy nocnej. Wiedzieć bowiem należy, że mruczenie kota dziwnie usposabia do dumania, szczególnie późnym wieczorem jesieni, kiedy się siedzi w zamkniętej izbie, przy jednej świecy, rzucającej słabe światło i na wpół zaledwie oświetlającej przedmioty. Wówczas mruczenie kocie nabiera jakiegoś półdźwięku, jakiejś niby

śpiewności, i stawszy się jakby echem echa, przynoszącem niektóre tylko tony jakowejś oddalonej muzyki, napęlnia sobą wszystkie kąty izby i magnetycznem głaskaniem wpada do ucha słuchaczy, a przez ucho komunikuje się wszystkim delikatniejszym fibrom ludzkiego organizmu, któremi, potrząsając ledziuchno, potrząsa całym organizmem. Komu wesoło, to miło mu słuchać tego mrużenia i pod takt onego układać falujące się dумы. Komu zaś nie wesoło, to smutek jego usnie przynajmniej na chwilę pod kołysanką kociego „luli“, i obudziwszy się, obudzi pokrzepiony snem.

Kot mruczał zwinawszy się w kłębuszek na poduszce; Sawa spuścił głowę na piersi i „zwiąsił ją — jak powiada autor Marji — czarnym myśłom“; Anna złożyła szczerlinie na piersiach ręce, jakby je niemi chciała ścisnąć i ochronić od pęknięcia i wzniesionym do góry wzrokiem błądziła po suficie. Maryjka wpatrzyła się w świecę, której knot spalony rozszczepił się i wychylił z płomienia czerwonymi grzybkowatymi główkami, Łuka zamyślił się i zaprzestał już nawet sięgać ręką w zanzardze. Nieobjaśniona świeca gorzała słabem światłem na stole, i oświetlała misy i talerze, łyżki, noże i widelce, i okruchy chleba, i resztki jadła wespół niedojezionej wieczerzy, i twarze siedzących do koła stołu Simiczów. Z nadworu dochodził pluskot słoty, głucho kapaniną kropel spadających z dachu i cichym szmerem mżącego deszczu, co nadawało ciszy wewnętrznej jakowąś dziwną uroczystość zasłuchania się w szeptanie natury.

— Ktoś idzie!... — odezwała się nagle Anna.

Wyrazy te od razu jakby zdmuchnęły zadumanie z twarzy siedzących za stołem. O słuch ich obito się stąpanie z podwórza i odgłosy rozmowy ludzkiej, dochodzące wraz z metalicznym po-brzękiwaniem, w którym łatwo było rozpoznać brzęk pałaszy.

— Żołnierze jacyś... — rzekł Sawa.

— Zapewne przechodzi przez Szegiedyn wojsko i przysyłają nam postojalców na kwatery... — zauważył Łuka.

— Patrzcie!... patrzcie!... krzyknęła Maryjka i ukazała palcem na okno.

Wzroki Sawy, Łuki i Anny zwróciły się w kierunku palca Maryjki. Na czarnem tle jednej z szyb okna malowała się twarz wąsata, zagląająca do wnętrza izby; lecz zaledwie oni spojrzeli na nią, twarz znikła i dało się słyszeć dobijanie się do drzwi.

— Otwórz tam im... — rzekł Sawa do Łuki.

Łuka wstał i otworzył. Do izby jeden za drugim weszło hajduków sześciu.

Żeby czytelników nie narazić na błąd, pod względem znaczenia hajduków, uprzedzić ich muszę, że nazwa ta nie oznacza zbójców, ale policjantów. Ubierali się oni z huzarska, nosili nieodzowne dla Węgrów w służbie publicznej ostrogi i pałasze, i pozostawali w rozporządzeniu władz komitатовych. Pojawienie się ich w domu Simicza o tak późniejszej porze i w takiej ilości, nie zapowiadało nic dobrego. Strwożyły się więc kobiety, Sawa wstał i zwrócił się do przybyłych.

— Dobry wieczór Sawo Simiczu!... — przemówił jeden z nich.

— Dobry wieczór... — odparł Sawa — Cóż was sprowadza?...

— Przychodzimy z rozkazem dostawienia natychmiast do *warosz-hazy* *) twego syna, Łuki Simicza... — odparł spokojnie tenże sam hajduk, a zwracając mowę do Łuki dodał:

— Łuko, jesteś aresztowany, jako zdrajca kraju i jako taki nie możesz iść swobodnie..

Przy tych słowach, ujęli hajdacy Łukę za ręce, złożyli je razem i związali powrozkami, którego długi koniec zostawiony był na to, aby służył do prowadzenia więźnia.

Łuka nie bronił się, obrona była niepodobną. Sawa, z wyrazem przerażenia na twarzy, przypatrywał się wiązaniu syna. Anna i Maryjka oniemiały z przestraszenia.

— Za cóż to?... — zapytał nareszcie Sawa.

— Nie wiem... — odparł zapytany. — Spełniamy rozkazy, jakie dostaliśmy z waroszhazy.

— Gdzież go prowadzicie?...

— Do komendy placu... — odrzekł hajduk, który wydawał się być przełożonym nad innymi, bo obracając się do swoich, zawołał tonem rozkazującym:

— *Induj!* **)

*) *Warosz-haza* — dom miejski, magistrat.

**) *Induj* — idź, marsz.

Kobiety krzyknęły jednym głosem i posunęły się ku drzwiom, przez które hajducy wyprowadzali Łukę.

W Sawie objawiła się niecierpliwość połączona z przestraczeniem; rozumiał on bowiem doniosłość winy, o jaką oskarżony był syn jego i następstwa onej; rozumiał również, że brak dowodów może być oczyszczeniem od winy, i przyczepił się w myśli do braku dowodów, jak do deski zbawienia. Zestawienia rozlicznych „za“ i „przeciw“ błyskawicą mknęły w myśli starego. Przypomniała mu się propozycja Janka, o której prawie zapomniał, bo nie widział, ani wiedział aby wskutek onej powstało jakoweś działanie; nie widział, ani wiedział o krzątaniach się Łuki; sądził więc, że jakaś pogłoska wprowadziła Łukę w podejrzenie, które prostem zaprzeczeniem można będzie usunąć. A jednakże wyrazy hajduka „zdrajca kraju“ przejęły go trwogą: znał bowiem groźną doniosłość onych w czasie wojennym; — trwoga zaś zniecierpliwiała go. Schwycił pospiesznie za czapkę, wmiesił ją na głowę i ruszył za synem. W progu, za ostatnim wychodzącym hajdukiem, dogonił Annę i Maryjkę, które machinalnie postępowały za konwojem.

— A wy dokąd?... — krzyknął gniewnie.

— Och!... — odrzekła Anna płacząc. — Pójdziemy za Łuką.

— A po co wy tam!... — krzyknął Sawa jeszcze gniewniej — Siedzieć w domu i ani ruszać się mi!...

I odepchnąwszy żonę i córkę, a zatrzasnąwszy drzwi przed nimi, pociągnął stary za hajdukami i Łuką.

Biedne kobiety cofnęły się w głąb izby. Anna załamała ręce.

— Nie omyliło Sawy przecucie... — zawołała. — O moje dziecko!... mój synu!... Ach!... wojna!...

Maryjka usunęła się na łóżko i rzewnie płakała.

Na dworze ciemność, zdawało się, zgęstniała. Chmury okryły niebo, deszczyk mżył i rozmoczył ziemię i zabłocił ulice Szegiedyna. Brnąc po błocie i oświetlając się latarką, hajducy, Sawa i Łuka dążyli do plackomendy.

Sawa przez całą drogę rozmawiał, zwracając mowę to do hajduków, to do Łuki. Do hajduków mówił:

— To jakieś nieporozumienie, jakieś mylne podejrzenie, albo może ktoś z nieprzyjaciół moich zrobił fałszywe oskarżenie

Łuka nie mięszał się do niczego... Jeżeli Łuka winien, to i ja winien, bo obydwu razem pracowaliśmy nad koczami.

Do Łuki mówił:

— Nie obawiaj się synu... Będą cię pytać... odpowiadaj na zapytania śmiało... Dowodów niema żadnych, a bez dowodów to i winnego karać nie można, a nie dopieroż niewinnego!... Nie obawiaj się!...

— Nie obawiaj się, ojczu — powtarzał Łuka.

Gdybyśmy jednakże wejrzeni w serce jego, to przekonaliśmy się, że odpowiedzi te jego nie były szczeremi. On się obawiał. Jego serce biło trwogą, a biło gwałtownie, bo na tem sercu leżał list od Janka, list tajemniczy, który mógł posłużyć zarazem: jako dowód zdrady kraju, jako oskarżenie innych i jako kompromitacja sprawy. Pierwszy z tych dowodów tyczył się samego tylko Łuki, ale drugi i trzeci rozciągał nieszczęście na kilka, a może i kilkaset głów, a może nawet zagrażał zgubnieszemi jeszcze następstwy. Powiedzieć należy, że pierwszy najmniej niepokoił Łukę, pomimo że był najpewniejszym; gdyż, chociażby list ów nie zawierał w sobie niczego takiego, z czegooby można było wyraźną wysnuć winę, to zawsze posądzonego o zdradę kraju obwiniać mógł o stosunki z nieprzyjacielem. Przejmowało go bojaźnią przypuszczenie dwóch innych dowodów. Probował Łuka ruchem ramion wysunąć list z zanadru, ale to było niepodobnem, a przytem przyszło mu na myśl, że na ulicy znalazłoby go i oddano urzędowi miejskiemu. Całą więc nadzieję położył w tem, że nie będą go może rewidować w plackomendzie; ale sam czuł, jak to „może“ słabą było nadzieją: z najwyższą więc trwogą przestępował próg plackomendy.

Widać, że sprawa Łuki była ważną, bo pomimo późniejszej pory dnia, w sądowej izbie zgromadzonym był w komplecie sąd wojenny i czekał na oskarżonego. Za stołem pokrytym czerwonym sukniem, siedziało kilku oficerów, z których jeden poważniejszy i starszy wyglądał na przewodniczącego, a drugi siedzący obok niego z plikami papierów przed sobą, na sekretarza. Izba oświetloną była dwoma kinkietami przybitymi do ściany i czterema świecami, postawionymi na stole. Przed plackomendą przechadzał się żołnierz na warcie, a z obszernych jej sieni wchodziło się na prawo na odwach, na lewo do izby sądowej. Do tej ostatniej od razu wprowadzono Łukę i posta-

wiono go przed stołem. Sawa stanął nieco z tyłu, oczekując na pierwsze sędziów zapytanie.

Oficerowie spojrzeli na Łukę uważnie, a przewodniczący wojennemu sądowi major, popatrzawszy nań przez chwilę w milczeniu, rzekł lakonicznie do hajduków:

— Zrewidować go!...

Łuka zbladł i zmięszął się. Bładość jego i zmięszanie nie uszły baczności sędzów. Hajducy rozpięli Łuce odzież i pierwszym szczegółem, jaki wpadł im w ręce, był ów list w zana-dru. Położyli oni list na stole i szukali dalej po kieszeniach, za odzieżą, a nawet w odzieży, ale nie znalazłszy, wręczyli list majorowi.

Major przeczytał go w milczeniu i oddał obok siedzącemu oficerowi. Oficer przeczytał go i zaklął po węgiersku i oddawszy swemu sąsiadowi, z pełnym oburzenia i gniewu wyrazem spojrzął na Łukę. Oficer następny także zaklął i także obrzucił Łukę wzrokiem gniewu. I tak list obszedł dokoła i zatrzymał się w rękach sekretarza, który odczytawszy go, zrobił na nim jakiś znak i położył go przed sobą.

— Możeby wypadało zrobić poszukiwanie w domu tego łotra — odezwał się jeden z oficerów.

— Niema potrzeby... — odparł major. — Z listu tego pokazuje się, że wystrzegali się oni Sawy; więc jeżeli są jeszcze jakie inne ślady, to tych nie w domu Simicza poszukiwać trzeba ale w innym, w którym oni musieli odbywać schadzki i narady...

Łuka odetchnął nieco wolniej, gdy ze słów majora poznał, że ojciec wyjętym jest z pod podejrzenia zupełnie, i że list Janka nie daje wyraźnych śladów. Rumieniec począł wracać powoli na jego policzki i usta, a odwaga do serca. To jednakże co uspokoiło Łukę, zatrwożyło Sawę. Wysunął się on naprzód, i kłaniając się sądowi, zawołał drżącym głosem.

— Łuka nie nie winien!... Ja wiem o każdym jego kroku!...

— Co ty za jeden?... — przerwał mu major.

— Ja jestem Sawa Simicz, ojciec Łuki... — odparł Sawa — Ja odpowiadam za syna.

— Odpowiedzialność twoja, dobry człowieku, nie jest tu potrzebną i nie nie pomoże... — odrzekł major dobrotliwie,

wzruszony ojcowskimi uczuciami, jakie i tonem mowy i oczami Sawy przemówił. — Idź do domu i przygotuj się na cios bolesny, który ciebie spotka, a którego oszczędzić tobie niema sposobu...

— Ależ ja ojciec!... — zawołał Sawa — ja mam prawo nie odstępować dziecku mego...

— Idź do domu... — powtórzył major.

— Nie pójdę!... — krzyknął Sawa — Nie odstąpię Łuki!..

— Wyprowadźcie go!... — powiedział major do hajduków, popierając rozkaz skinieniem głowy.

Hajducy porwali Sawę pod ramiona i wyprowadzili z plac-komendy. Chciał Sawa wrócić, lecz sztydłwach zastąpił mu drogę. Biedny ojciec nie wiedział co począć. Jakiś rodzaj dziwnego a niemitego lechtania przebiegał mu po nerwach. Stał na deszczu i wahał się: czy pójść do domu, czy — stać i czekać?... Wahał się długo; jakieś złowrogie przecucie nawskróś przenikało jego duszę; długo stał i czekał, i późno w noc powlókł się do domu.

Nad Łuką tymczasem rozpoczęła się indagacja, którą zaczął major od zwykłych zapytań protokularnych: jak się nazywasz?... gdzie się urodził?... ile masz lat?... i t. d., po czym przemówił do niego w następujący sposób:

— Podejrzany jesteś o zamach wysadzenia w powietrze tutejszej prochowni. Wiedzieliśmy o tem od dawna i mieliśmy ciebie na oku. Twoje wyprawy na drugi brzeg Cissy i oglądania prochowni utwierdzały podejrzenie, a list znaleziony przy tobie, jest stanowczym dowodem zamachu... Przeczytaj pan list ten głośno — rzekł major do sekretarza.

Sekretarz czytał:

— „Łuko!

„Wkrótce do Szegiedyna zwiózł broń i amunicję. Pilnujcie tego, i jak tylko broń ta i amunicję złożone zostaną w magazynie, natychmiast, nie czekając ani odkładając, wysadźcie je w powietrze: są to bowiem ostatki, które Madiary chcą z nami walczyć. — Madiarom źle idzie. Niemcy pędzą ich od Wiednia a my od Dunaju. Nasze słońce jasno wschodzi. Niezabawem zajrzemy do ostatnich gniazd madyarskich i nie daleką jest godzina, w której zawitamy do Szegiedynu. Uprzątnijcie nam drogę. Wysadzenie magazynu i prochów jest koniecznie potrze-

bnem — koniecznie!... koniecznie!... Nie zapominajcie coście przyrzekli, i pamiętajcie nic o tem Sawie nie mówić, bo Sawa przeszkodzi... Sprawcie się dobrze i niech wam Bóg pomaga!... *Zivio serbska kraina!*...“ Podpisano: „Janko Simicz.“

Łuce dziwnie jakoś rozjaśniła się twarz przy czytaniu tego listu. Otucha wstąpiła do jego serca.

— Cóż ty na to? — zapytał major.

Łuka milczał.

— To list twego brata?

— Mego brata... — odparł Łuka głosem pewnym.

— Miałeś zamiar wysadzić w powietrze prochownię?

— Miałem, i żałuję, że nie mogę przeprowadzić go do skutku... — była odpowiedź Łuki.

Oficerowie posunęli krzesłami, jakby chcieli zrywać się z miejsc; szmer zgrozy przebiegł pomiędzy nimi. Major skinieniem ręki uspokoił ich.

— Prawda twoich odpowiedzi zaręcza mi, że i na następne zapytania odpowiesz prawdę... Powiedz mi: kto był twoim spółnikiem?

Łuka milczał.

— Czy miałeś spółników twego zamiaru?... — zapytał major ponownie.

— Nie miałem żadnych... — odparł Łuka.

— Żadnych? ..

— Ani jednego!...

— Na początkowe zapytania odpowiedziałeś prawdę, a teraz kłamiesz... — rzekł major i rozpoczął szereg zapytań, które z rozmaitych wychodząc punktów, zmierzały ku jednemu — ku wydobyciu z ust Łuki kilku nazwisk spółników zamachu.

Używał major perswazji, podstępu i groźby; kazał sprowadzić kilku Serbów i Wołochów, na których padał cień podejrzania i którzy dla śledztwa aresztowanymi byli tegoż wieczora i trzymanymi pod wartą na odwachu, i badał ich każdego i z osobna i w przytomności Łuki, ale wszelkie badania i perswazje, podstępny i groźby do żadnego nowego nie doprowadziły odkrycia. Łuka brał całą winę na siebie; a śmiałość, z jaką przyznawał się do niej i zuchwałość, z jaką motywował, dostatecznie dowodziły, że zeznań nie wydobędą z niego żadne środki przymusowe.

— Wiesz, co ciebie czeka?... — zapytał go major.

— Wiem... — odparł Łuka śmiało i spokojnie.

W Węgrzech, pomiędzy rozlicznymi zabytkami średnich wieków, pozostały były niektóre zwyczaje, tyżące się badania kryminalnych przestępców. Nie używano wprawdzie tortur w znaczeniu literalnem, ale używano ich w stanie zmodyfikowanym. Zarzucono owo straszne narzędzie męczeństwa, któremi wykrećcano sustawy, naciągano członki, szarpano ciało; lecz zachowano drewnianą kobylicę, urządzoną do zamykania w niej szyi, rąk nóg, i służącą do przytrzymywania człowieka w pozycji, ułatwiającej smaganie jego ciała. Sprawiało to ból podwójny podle- głemu indagacji: jeden pochodził od smagania, drugi od oporu drzewa kurezącym się pod smaganiem członkom. Był to niejako zadatek kary, który pozostawał przy winowajcy, bez względu na to, czy mu wina została dowiedziona czy nie. Był to barba- rzyński sposób badania i nie umiem powiedzieć, czy zniesionym on został obecnie; ale w owych czasach, kiedy Łuka stał przed sądem wojennym, znajdował się on jeszcze na rozporządzenie ma- jora. Major jednakże, bądź przez ludzkość, bądź przez zrozu- mienie, że użycie onego byłoby tylko bezpotrzebnem znęcaniem się nad człowiekiem, nie użył go, pomimo, że niektórzy ofice- rowie, zniecierpliwieni stałością, którą oni uporem nazywali, wy- raźnie tego żądali.

Sledztwo ciągnęło się przez całą noc i tak żywo zainte- resowało i sędziów i posadzonych, że odeгнаło od nich wszelką chęć spania. Skończyło się ono nad rankiem, po ostatnich, bez- owocnych próbach dowiedzenia się od Łuki o spółnikach za- machu.

— Co za szkoda — rzekł major do sędziów — że ten człowiek jest nieprzyjacielem naszej sprawy!... — a zwracając mowę do Łuki, dodał:

— Gdyby była możność uratować ciebie i pozyskać dla sprawy węgierskiej, to użyłbym wszelkich sposobów z naraże- niem własnem... Ale ty wydałeś sam na siebie wyrok... Idź i przygotuj się... na śmierć.

Łuka podniósł głowę. Uśmiech przesunął się przez jego usta, duma strzeliła mu z oczu, a czoło jego było tak pogodnem, jakby wyraz „śmierć“ nie zawierał w sobie nic nieprzyjemnego.

— Co za szkoda — rzekł, parafrazując odezwanie się majora — że na cześć sprawy naszej nie mogłem spalić fajerwerku!...

— Odprowadzić go do więzienia!... — powiedział major do hajduków — i niech przy nim silną postawią wartę... Za dwadzieścia cztery godzin wykonanym na nim zostanie wyrok...

Łuka odprowadzonym został do więzienia, a sędziowie przystąpili do pisania wyroku.

Dziwnem jest serce ludzkie!... Nazywają je niektórzy otchłanią, której brzegi są widne, ale której dna dopatrzyć nie można. Przypominacie sobie, np. czytelnicy Łukę, któregoście poznali przy przeglądzie rodziny Simicza. Był to dobry stelmach, skromny i poczciwy człowiek, którego serce grzało się przy ognisku rodzinnego uczucia w domowym zaciszu i nie wyrwało się po za nie. Dom, rodzina wystarczały mu, zdawało się, za świat cały, zdawało się, że to był człowiek zwyczajny, niezdolny do posiadania nadzwyczajnego hartu duszy. Skromność jednakże i poczciwość nie zawsze bywają pokrywką słabości, a jeżeli skromność i poczciwość opierają się na odważnym sercu, to zawsze towarzyszą prawdziwemu heroizmowi. W szrankach domowego pożycia małe jest dla heroizmu pole, dla tego, że odwaga nie ma sposobności próbowania się; lecz na polu obszerniejszem występuje ona w całej świetności, przed którą nikną i błedną furfanterja i szarlatanizm, występujące bardzo często w ostonkach odwagi.

Łuce Janko ukazał pole obszerniejsze i on wszedł na nie; nie jako do odrębnego świata, ale jako do rozszerzonego obrębu domowej zagrody. Nie będziemy zadawali sobie zapytania: czy sprawa, której Łuka poświęcił się, była dobrą?... Takie zapytanie [nie przystoi w powieści. Zdawała się mu ona dobrą i on przystąpił do niej, przeniosłszy się na jej pole z całym zasobem domowej skromności i poczciwości, i znalazł sposobność okazania i wypróbowania odwagi, której w nim przed tem nie można było podejrzywać.

Znalazłszy się w więzieniu, w samotności doznał Łuka wzruszenia, z którego trudno zdać sprawę. Z razu w myślach jego było, jak na wzburzonym morzu. Szumiało i huczało. Rozfalowane myśli przelewały się i skakały, i w drobne krople roztrzaskiwały się o brzegi. A brzegami były — ściany więzienia.

Po za niemi istniał świat piękny, rodzinne miasto, rodzinny dom; ale ten świat, ta rodzina i ten dom nie były już dla Łuki.

Powoli, powoli uspokajała się burza myśli, i Łuka zaczął zastanawiać się nad sobą, gdy raptem wszedł do więzienia jeden z oficerów, dla odczytania wyroku. Wyrok był krótki, zwyczajnie jak wojenny. Za zamach wysadzenia prochowni w powietrze, stwierdzony dowodem na piśmie i własnem zeznaniem, Łuka skazanym został na śmierć, przez powieszenie, mające się wykonać we dwadzieścia cztery godzin od chwili podpisania wyroku; a że od owej chwili upłynęły dwie godziny, Łuce przeto pozostawało jeszcze dwadzieścia dwie godzin życia. Chwile jego były policzone... Oficer zapytał go, jakie jest jego ostatnie żądanie.

— Pożegnać rodziców i umrzeć po chrześcijańsku... — odpowiedział zapytany.

Odczytanie wyroku uspokoiło go zupełnie. Zaniepokoiła go tylko nieco myśl pożegnania z rodzicami; ale gdy z za drzwi więzienia usłyszał głośne łkanie matki i siostry, gdy drzwi otwarły się i przez nie wpadły te biedne kobiety i rzuciły się ku niemu i przyłgnęły do niego, jakby chciały wcielić się w jego istność, i oblały go łzami, okrywając nogi jego i ręce gorącymi pocałunkami, — to w duszy Łuki znalazło się tyle pogody, że udzielił jej matce i siostrze, i powoli oswoił je ze swoją śmiercią. Nie filozofował on: bo skądżeby niepiśmienny stelmach zdobyć się mógł na filozofję!... Był wesół, żartował, powiedział:

— Będę was wyglądał na tamtym świecie... Zejdziemy się tam wszyscy po kolei...

Sawa stał, oparłszy się na lasce i wlepił wzrok w syna. Zrenica starca była sucha i zaogniona czerwoną siatką żyłek, które usnuły białka oczu. Usta pobrały, policzki zapadły, i przez noc jedną, zdawało się, że siwizna włosów zmieniła się na białość — tak przez tę noc jedną zgryzoty postarzał stary...

— Powiedz mi Łuko — rzekł on po długim milczeniu — kto ciebie oskarżył?...

— Nie wiem, ojczy — odrzekł Łuka — Nie powieździan ,

mi, kto mnie oskarżył; powiedziano tylko: „wiedzieliśmy o tem od dawna“...

— Od dawna... od dawna... — powtórzył stary powoli i zamilkł, i po ruchu jego ust, po drganiu policzków i po zamyśleniu w jakie wpadł raptownie, można było miarkować, że przerabia on w myśli ten wyraz: „od dawna“, usiłując przyczepić do niego jakieś nazwisko. W starem sercu zagrało uczucie zemsty.

Bolesnem było ostatnie rozstanie się Łuki z ojcem, matką i siostrą: „Bądź zdrow“ wydarło się tym ostatnim z piersi z takim jękiem, z taką rozdzierającą rozpaczą, której ani słowem opowiedzieć, ani piórem opisać nie można. Jęk Sawy był suchy, jęk kobiet rozplynał się w łkaniach. Łuka powtarzał co chwila: „bądźcie zdrowi!“ i garnął po kolei każde z nich do siebie, i otulał ramiony, i cisnął na piersiach, a żal mu było puszczać ich od siebie. I Łuce łzy potoczyły się z oczu. Hajdacy i honwedzi, świadkowie tej rozdzierającej sceny, nie mogli powstrzymać się od bolesnego wzruszenia, które u niektórych z nich wyraziło się płaczem. Wszyscy bowiem prawie znali Sawę Simicza i rodzinę jego i szanowali ich, i wszyscy wiedzieli, że Łuka nie za zbrodnię z podłych pochodząca pobudek, skazanym jest na śmierć.

Pożegnanie trwało długo i nie skończyło się dobrowolnie. Sawa, Anna ani Maryjka nie mogli oderwać się od syna i brata. Trzeba ich było wyprowadzić z więzienia. Annę i Maryjkę wyniesiono omdlałe, Sawa wyszedł o własnej sile, jeżeli siłą nazwać można krok chwiejny i niepewny, jakim zawlókł się do domu.

Oddalenie się rodziców i siostry pozostawiły Łukę w głębokiem gorączkowem wzruszeniu. Nie mógł on powstrzymać łez, które mimowolnie płynęły mu po policzkach; myśli jego znowu spletały się bezładnie i oplątywały się około jednej wyraźniejszej, która była — żalem za rodzicami, za światem, za życiem, za młodością, za przyszłością. Nie dziwny się mu... O! bo ciężko młodemu schodzić ze świata, czując się w całej sile życia, pozostawiając za sobą zapas najpiękniejszych nadziei, a widząc przed sobą tylko... grób otwarty!...

Nie trwało jednakże długo rozżalenie Łuki. Położył się on na słomie więziennej, uspokoił się i usnął, i nie obudził się

aż rankiem dnia następnego, kiedy do więzienia wszedł ksiądz z wiatykiem. Z pokorą i skrucną przystąpił Łuka do Stołu Pańskiego i przygotował się na drogę wieczności.

W godzinę potem Łuka już nie żył...

Poranek, w którym wschodzące na niebieskim widnokregu słońce, widziało zachodzące słońce życia Łuki, cichym był i pogodnym. Nie będziemy opisywali egzekucji. Powiemy tylko, że do ostatniej chwili nie opuszczały Łuki pogoda umysłu i spokój ducha. Kiedy kat zakładał mu stryczek na szyję, po jego ustach przewinął się uśmiech, a głowa jego pochyliła się pożegnaniem tłumowi ludzi, który otaczał szubienicę. W tłumie tym znajdowali się wszyscy jego znajomi, przyjaciele, pokrewni, wyjąwszy ojca, matki i siostry — byli wszyscy prawie mieszkańcy Szegiedynu — mężczyźni i kobiety, starcy, młodzi i dzieci — z którymi niedawno jeszcze, przed półtora doby, dzielił się spółką życia... Jęknął tłum głucho i boleśnie, gdy ciało Łuki zawisło w powietrzu i zachwiało się samotnie, a członki drgnęły i ścigały się konwulsjami konania...

Widok taki zawsze smutne sprawia wrażenie...

A smutek wrażenia tego potęgował się tem, że wszyscy w Szegiedynie znali i kochali Łukę i wszyscy go żalowali. Żalowali go nawet sędziowie — i gdyby nie nieubłagalna surowość praw wojennych, gdyby nie oczywistość dowodów, które czarno na białem wykazywały winę Łuki, nie ma najmniejszej wątpliwości, iż sam wzgląd na jego życie, prowadzenie się i dobrą o nim opinję, byłby go uratował od śmierci.

Żal po Łuce wyraził się powszechnym smutkiem, jaki wszedł do każdego domu w Szegiedynie, gdy tłum powrócił do miasta. Nigdzie o niczem innem, tylko o Łuce nie rozmawiano — rozpamiętywano jego życie, jego cnoty i zalety, a gdy je porównano z występkiem, albo raczej z zamiarem występku, kara wszystkim, nawet najzaciętszym Madiarom, wydawała się za surową, a Ser-

bom i Wołochom — krzyżącą niesprawiedliwością, nadużyciem władzy.

— Takto Madiary postępują z nami!... — mówili ci ostatni. — Taki to los gotują nam!... Wybierają najlepszych z pomiędzy nas i wieszają!...

Gadani tego rodzaju rozeszły się prędko po wsiach okolicznych, a idąc coraz dalej, rosły w proporcji spadającej z góry lawiny, która u wierzchołka odrywa się okruszyną śniegu, a na podnóże góry dostaje się masą, zawałającą sobą całe doliny. W dziesiątej wsi powiedziano, że w Szegiedynie wszystkich Serbów wywieszali Madiary, i mieszkańcy onej krwawy odwet ponieśli do leżącej obok wsi madiarskiej, której mieszkańców w pień wyrzneli, a mieszkania ich spalili. W odwet Serbom, Madiary ze swojej strony rzneli i palili. Rozdrażnienie międzynarodowości rośnie, wzmagają się, rozlewając się jak lawa płomienna i zapalając serca współmieszkańców jednej ziemi rozpaczą nienawiści.

Wracając jednakże do dnia egzekucji Łuki, nadmienić należy, że pośród ogólnego smutku, jaki ogarnął mieszkańców Szegiedynu, znalazł się jeden wyjątek. Był ktoś, co się cieszył dnia tego. Z czego on się cieszył? — o tem z całą pewnością powiedzieć nie umiem. Może jaką wesołą dostał wiadomość.. Nie wdając się wszakże w powody radości, opowiem sposób, w jaki ona objawiła się.

Tym „ktoś“ był znajomy czytelnikom Leopold Memlauer Edler von Kronenschwert.

Stał on na balkonie domu swego i zdawał się pogrążonym w głębokie dumanie. Wschodzące słońce wytoczyło się nad horyzont i zakrólowało ciszy i spokojowi przyrody. Cissa płynęła połyskując się powierzchnią, na której plusnęła niekiedy rybka wyskakująca za muszką, i pluskiem przerywała uroczystość ciszy jesiennego poranku. Wśród tej ciszy odezwał się dzwon, którego głos towarzyszył pochodowi orszaku, odprowadzającego Łukę na śmierć.

Memlauer zadrżał na pierwsze odezwanie się dzwonu, wyprostował się i przybrał pozycję człowieka wsłuchującego się. Drżące i jęśliwe echo rozlegało się w powietrzu. Memlauer stał i słuchał. Przez cały czas powolnego dzwonięcia postać jego nie ruszyła się z miejsca — jakby zastygła posągową nierucho-

mością. Na twarzy jego panował wyraz zasluchania się; lecz po za tym wyrazem przesuwiał się niekiedy cień trwogi lub niepokoju. Dzwonienie ustalo. Memlauer stał jeszcze przez chwilę, aż raptem machnął ręką i zawołał:

— Stało się !..

I wszedłszy do izby, w której widzieliśmy go z Jankiem, począł szybko chodzić z końca w koniec. A im dłużej chodził, tem twarz jego przybierała wyraz radośniejszy. Uśmiech rozciągał mu usta, rozjaśniał oczy. Chodził, i snadź zmęczywszy się, rzucił się na kanapę, rozwalił się opuszczając całem ciałem, a podnosząc ręce i wzrok do góry, z radością i zachwyceniem w oczach, wydeklamował powoli następujące trzy wyrazy :

— *Wirklicher... geheimer... Rath !..*

Wszystkie zgłoski i litery tych trzech wyrazów ułożyły się w duszy Memlauera w melodję jakiejś orkiestry. Każda z nich grała i dźwięczała z osobna, a wszystkie razem składały cudną harmonję. „R“ zabrzmiały jak trąby i kotły, „I“ — jak cienkie szczebiotanie kwinty na skrzypkach; „Ath“ odzywało się przydechem puzanu; „L“ śpiewało fletowym głosem; „Hei“ wionęło wtórem wiolin... Memlauer słuchał w zachwyceniu — wsłuchiwał się w tony, przywiane mu z jakiegos innego świata — i lubował się w nich, uśmiechał. A nie były to tony, wydarte podzwonnemu, które żegnało konającego na stryczku Łukę, bo z tych nie można było wesolej ułożyć melodji. Były to jakieś inne tony, które tworzyła dusza Memlauera, sama dla siebie i sama przez siebie, niedosłyszane dla innych, tylko dla samego twórcy — Memlauera, tak jak duch Banka, który pokazał się podczas uczty, wśród tłumu ludzi, nie był widzianym przez nikogo, tylko przez Makbeta — z tą wszakże różnicą, że duch Banka przeraził Makbeta, a gra liter i zgłosek rozradowała Memlauera.

Gotów ktoś zadać mi podwójne zapytanie: 1-e dla czego Memlauer cieszył się?, i 2-e skąd ja wiem, że on cieszył się? — Na pierwsze zapytanie odpowiem tak: alboż ja wiem!.. Co się zaś tyczy drugiego, to odpowiedź będzie łatwiejszą i wyraźniejszą. Wiem o tem od samego Memlauera... Znałem się z nim — spotykałem go to tu, to ówdzie — nie zabierałem z nim wprawdzie przyjaźni, dla tego, że on zwykle spoglądał na mnie

z góry, a jednakże kilka razy wygadał się przedemną, to o tem, to o owem. Lubił on szczególnie rozprawić o swojej prawości, którą zwał technicznie „lojalnością“, i dowodził, że nagroda za nią, nie tylko na tamtym, ale nawet i na tym jeszcze świecie spotyka człowieka; a rozprawy te i dowodzenia, z takim taktem i przyzwoitością prowadził, że warto go było posłuchać. Nasłuchawszy się więc od niego o rozmaitych rozmaitościach, zestawilem daty wypadków i wrażeń, o jakich on opowiadał i jedna z nich, przywiązana do opisanego powyżej duchowo-muzykalnego wrażenia, zbiegła się z datą egzekucji Łuki. Zestawilem więc te dwa fakta, jedną noszące datę, pozostawiając czytelnikowi zupełną dowolność w robieniu wniosków i przypuszczeń, od których sam wstrzymuję się, dla tego, żeby — przypadkiem — nie obrazić na siebie Memlaura. Przyznać się bowiem muszę, że moje wnioski i przypuszczenia nie wypadłyby na jego korzyść i naraziłbym się tylko na to — że pan Memlauer z niczem już nie wygadałby się przedemną... A byłoby to straszem dla mnie — powieściopisarza... Gdybym był poetą — to co innego!... Mógłbym Memlauerów tworzyć... Będąc jednakże tylko powieściopisarzem — z kądźebym ich wziął, gdyby oni wystrzegali się mnie!... gdyby przedemną nie chcieli gadać, chodzić, działać, chwalić się, panoszyć, niekiedy, srożyć się, zawsze modlić — słowem żyć całą pełnią swego na poły prawdziwego, na poły sztucznie podrabianego życia!...

IX.

Przenieśmy się na teatr bojowy, na który musimy zajrzeć, jeżeli chcemy śledzić za krokami naszego bohatera.

Wyraz: „bohater“ przywodzi mi na myśl jedną uwagę, której pominąć nie mogę. Zdarzyło mi się czytać i słyszeć rozmaite gniewy i dasy na powieść. Gdyby jednakże powieści nie było — ileż to bohaterów poszłoby w niepamięć!... bohaterów, o których historia nie wspomni, epopeja nie zaśpiewa, z którymi zaledwo spotkać się można w błędnych jakichś piosnkach ludowych, i to — bezimiennie... Powieść ma prawo odgrzebywać ich, podnosić i popularyzować, nazywając ich po imieniu i na-

zwisku, opowiadając ich czyny, powtarzając ich słowa i myśli. Czyniąc to, oddaje ona wielką usługę nie tylko literaturze, ale społeczeństwu: bo zaprowadza pewną harmonję we wzajemnem pojmowaniu się działów, na które każde społeczeństwo rozpadać się musi — bo zapełnia lukę, której uczone traktaty i dysertacje zapełnić nie są w stanie — bo nakoniec tymże samym traktatom i dysertacjom dostarcza żywiołu i materiałów. Pewne przysłowie powiada: „ręka rękę myje“, co oznacza, że w życiu ludzkim jedna funkcja wspiera drugą, i jest przez tę ostatnią wzajemnie wspieraną. A że piśmiennictwo jest odblaskiem życia, przeto i w piśmiennictwie, jeden dział onego wspiera drugi. Powieść wspiera bodaj czy nie wszystkie, w rozlicznych ich poddziałach i pojedynczych kwestjach.. Weźmy np. kwestję bohaterów. Bohaterowie — wyobraziciele epok i narodów, występują w historii jak posągi, postawione na zdobnych w płaskorzeźby piedestałach. Posągiem jest postać męża dziejowego; piedestałem są jego czyny, wyrażone na płaskorzeźbnej ozdobie. Gdy staniesz w obec posągu i zastanowisz się nad nim, w intencji zdania sobie dokładnie sprawy z całości obejmującej posąg i podstawę onego, to zdasz sobie sprawę z posągowej postaci, z kształtów i rozmiarów piedestału, ale zaambarasuje cię płaskorzeźba. Ujrzysz na niej mnóstwo osobek, postawionych rozmaicie i wpółwychylonych z gładkiej powierzchni brązu lub marmuru. Historia powie ci fakt, około którego zgrupowały się i ponachylały te osobki, z którego wyrósł bohater dziejowy, wznoszący się po nad niemi; powie ci nawet, że nie byłoby tego bohatera u góry, gdyby nie było tych osobek u dołu, ale nie nazwie ci każdej w szczególności, nie powie, w jakiej mierze każda z nich ma prawo do bohaterstwa. O tem może jeno opowiedzieć powieść, nierobiąca sobie skrupułów w zajmowaniu się zarówno i posągowemi i płaskorzeźbnemi postaciami. Nic jej nie przeszkadza wpółwychyloną osobkę wychylić całkowicie, ociosać, oglądzić i dać ją do obejrzenia ze wszystkich stron i przyczyniać się przez to do wszechstronnego objaśniania momentów historycznych. Tym sposobem dopełnia ona dziejowe opuszczenia, i rozkłada — że tak się wyrażę — na pierwiastki bohaterstwo historycznych postaci, zabierając pierwiastki owe dla swoich bohaterów.

Zastosowując powyższe uwagi do naszej powieści i odnosząc je przytem do historii owej wojny węgierskiej, z łatwością po-

znacie, szanowni czytelnicy, że nasz Szandor jest jedną z postaci, wyjętych z płaskorzeźby dziejowego piedestału. Na tej płaskorzeźbie historia wyrzyła szwadrony, pułki, brygady, dywizje i całe korpusy huzarów. Zapatrując się na nich z historycznego stanowiska, widzicie: jak oni maszerują, jak idą na przód i cofają się, jak zwyciężają i są zwyciężani; ale pomimo, że to wszystko widzicie, nie wiedzieliście ani domyślali się, że jeden z nich nazywał się Szandor Kowacz, że był kowalem i synem kowala, że był rodowitym Madiarem i wychował się u rodowitego Serba, że kochał się w córce tego Serba, i że w czasie, w którym miał ją zaślubić, zaciągnął się do huzarów. Wszystko to jest niby niczem, drobnostką; a jednakże z takich drobnostek składa się pewna całość, która nazywa się życiem narodu. W odniesieniu więc do tego życia drobnostka owa nabiera takiej przynajmniej wagi, że nie można nazwać jej „niczem.“

Co za szkoda, że nie mogę bohatera naszego przeprowadzić przez całe tło wypadków wojennych, zaszłych w 1848 roku!.. Wypadł on z nich na trzechmiesięczny z górą przeciąg czasu, a wypadł dlatego, że padł pod samym Pesztem. Padł od kuli pistoletowej, ale nie zginął, a tylko ciężko został ranionym, i ta rana przeszkodziła mu uczestniczyć przez jakiś czas w wojnie.

Jak ów, o którym powiadają „że przez Dunaj przepłynął a na Dunajcu utopił się,“ tak i nasz Szandor, który obronną ręką wyszedł z owej pod stodołą szarzy na piechotę, postrzelonym został w drobnem spotkaniu podjazdowym. Na wojnie często się tak przytrafia: człowiek w wielkiej bitwie ocaleje, a zginie w jakiejś marnej potyczce, o której i wspomnieć nie warto.

Szandor w krótkim czasie wyrobił się na żołnierza. Dziwić się temu bynajmniej nie należy, dlatego, że czas ów był czasem wojny, a wiadomo, że wojna jest najlepszą szkołą żołnierską. W niej potrzeba przyprowadza rekruta do odgadywania tego, czego w pokoju trzeba go długo z wielką uczyć trudnością. Po Szandorze ani można już było poznać, że jest on młodym żołnierzem; wykonywał komendę i pełnił służbę jak stary, i w powierzchowności swojej przybrał całą postawę, ruchy i ułożenie kawalerzysty, jakby w huzarach nie od trzech miesięcy ale od lat dziesięciu służył. Wyuczył się nawet niektórych sztuk huzarskich,

wymagających szczególnej zręczności, takich, na których niewiele starych zdobyć się umiało. Naprzykład: umiał pałaszem zrzucić hełm lub kaszkiet, i ciąć w goły łeb przeciwnika. Do tego potrzeba: zasłonić siebie, rozciąć podpinkę na twarzy nieprzyjaciela, tyłcem pałasza uderzyć silnie w hełm z dołu do góry, i rąbnąć z góry. Wszystko to wykonać należy z nadzwyczajną szybkością, prawie w mgnieniu oka. Nazywało się to technicznie „osmarowaniem“, a skutki osmarowania owego bywały takie, że na polu bitwy spotykałeś niekiedy kirysierów, dragonów i szwoleżerów, z rozplatanemi na dwoje do samej szyi głowami.

Armja austryjaska miała cztery kawalerji rodzaje: kirysierów, dragonów, szwoleżerów i ułanów. Z nich dla ostatnich tylko byli huzarzy z respektem największym, chociaż umieli wsuwać się im w ataku zręcznie pod lance i odbiwszy je, brnąć ich na szable. Kirysierów i dragonów, pomimo ciężkiego ich uzbrojenia, mniej poważali jak ułanów. Ale szwoleżerów mieli za nic. Dziwna rzecz: szwoleżery ani pod względem uzbrojenia, ani pod względem wyćwiczenia huzarom nie ustępywali, a jednakże nigdzie im nie dotrzymali *). Isć na szwoleżerów było dla huzarów uciechą prawdziwą.

Gdy cofające się węgierskie wojska dotarły do Pesztu i zajęły stolicę, którą miały wkrótce opuścić, liczne podjazdy wysyłane były ku ścigającemu nieprzyjacielowi. W jednym z takich podjazdów, dowodzonym przez podoficera, znajdował się nasz Szandor. Wyszedł on z miasta i pociągnął traktem po nad Dunajem, i w niewielkiej odległości od rogatek pokazał się mu podjazd nieprzyjacielski.

— Nieprzyjaciel!.. — krzyknął huzar na szpicy.

Snieg pruszył, i zrazu nie można było dobrze z daleka rozpoznać, co to był za rodzaj nieprzyjaciela. Huzary posuwali się naprzód, powoli i ostrożnie. Nieprzyjaciel posuwał się także, i widać było po nim, że szuka spotkania, zapewne w celu dostania języka.

— A, to szwoleżery!.. — zawołał podoficer — szukają zaczepki!.. Zabawimy się, *pajtasz*!..

I uszykował oddział do boju.

*) Z tego powodu, natychmiast po ukończeniu wojny rząd austryjacki szwoleżerów skasował.

Spotkanie było krótkie. Huzary i szwoleżery rzucili się na siebie, a kiedy przyszło do zwarcia się, ostatni zrobili *rechts-um*, i ponieśli się wstecz. Rozpoczęła się gonitwa, która nie trwała długo dlatego, że huzary obawiali się, aby naprowadzonymi nie zostali na zasadzkę. W ciągu gonitwy Szandor dojeżdżał jednego ze szwoleżerów, a tak z blizka, że już, już sięgał go szablą, gdy ten, odwracając się raptem i wyciągając rękę, palnął mu pod samym nosem z pistoleta. Poczarniało Szandorowi w oczach i zadzwoniło w uszach. Przytomności wystarczyło mu na tyle tylko, że poczuł, jak się zachwiał w siodle, i jak usiłując się utrzymać, zerwał konia, który wspiał się pod nim. W tej chwili przytomność opuściła go zupełnie, i Szandor zwałił się na ziemię.

Dziwnem było przyjsście Szandora do przytomności. Zdawało mu się, że budzi się ze snu głębokiego, a obudziwszy się nie wierzył w rozbudzenie. Ciało jego tonęło w czemś miękkim, łagodnym, i dotykało się czegoś tak gładkiego, a tak w gładkości swojej delikatnego i uginającego się, że nie mógł rozpoznać ani domyśleć się, coby to być mogło. Wzrok jego uderzonym został kolorami, które spływały z góry na dół smugami, i czepiały się jakichś łuków złocistych, ustrojonych w grona i girlandy. Kolory były łagodne, przejrzyste, zasłaniały one od światła, ale zasłaniały nie zupełnie, a jednakże nie można było przez nie przejrzeć i widzieć, co się po za nimi dzieje. Jakaś woń subtelna, jakby porannym wiatrem zaniesiona z napełnionych kwiatami grządek, napełniła jego organa powonienia. Wodził Szandor oczami, wahał i nie wiedział co się z nim stało, i — chrząkał.

Na chrząknięcie bohatera naszego kolory zadrżały, rozchyliły się i wśród nich ukazała się ludzka głowa, albo raczej główka, ozdobiona taką twarzyczką, oczami i ustami, i tak ślicznie oprawiona w ramki kruczych włosów, że wydała się Szandorowi nie ludzką, ale najniezawodniej anielską; a zjawienie się to tak było niespodzianem, że nasz huzar przestraszył się, zamknął oczy i zapytał się myślą sam siebie:

— Co to jest?..

Lecz nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Otworzył oczy, spojrział w stronę, gdzie mu się ukazało zjawisko i widział tylko kolory.

I począł Szandor zbierać myśli w głowie.

— Wyjechałem z podjazdem, spotkaliśmy się z Austryjkami, biliśmy się, dojeżdżałem szwoleżera, który strzelił do mnie, i..

I nie śmiał pomyśleć:

— Zabił mnie...

— Ale, cóż to przecie jest!.. — myślał sobie — żyję...

Nie wierzył sobie, że żyje, i dla przekonania się, ściągnął rękę — ręka się ruszyła, ściągnął drugą — i druga ręka ruszyła się; drgnął nogą — nie zawiodła go i noga.

— No... zdaje się, że doprawdy żyję... niezawodnie żyję; ale gdzież jestem?.. co się ze mną dzieje?..

Chciał podnieść się, lecz zaledwie dźwignął ciało, ból dotkliwy przeszył mu piersi: — Szandor upadł na wznak i stęknął.

Stęknięcie sprawiło ten sam skutek, co poprzednie chrząknięcie. Kolory rozchyliły się, i wśród nich ukazała się mniemana anielska główka. Szandor tym razem nie zmrużył oczu, a główka otworzyła usteczka, i półcichym, głaszczącym głosem, czystym madiarskim językiem, wypowiedziała następujące wyrazy:

— Doktor nakazał, abyś nie ruszał się i nie mówił... Leż spokojnie. mój bracie...

A gdy te wyrazy z ust anioła płynęły, wśród kolorów wysunęła się cała jego postać, w której Szandor trzeźwiejszym już nieco umysłem, rozpoznał kobietę.

— Gdzie jestem?.. -- zawołał pomimo przestrogi, jaką odebrał i znowu stęknął, bo mu znów ból piersi przeszył.

— Jesteś u przyjaciół — odpowiedziała kobieta — którzy kochają walecznych braci, i będą cię doglądać i pielęgnować.

I powtórzywszy jeszcze raz przestrozę, odchyliła kotarę i nachyliła do ust Szandora kubek z jakimś napojem.

Szandor napił się i oblizął, bo nigdy w życiu nie podobnie smacznego nie pił. A może napój ów (o którym wiem, że był orszada) wydał mu się smacznym dlatego tylko, że go piękne rączki podały.

Rzeczywiście — rączki panny Elizy Kömeni były piękne, drobne, zgrabne, zwyczajnie jak rączki wielkiej pani, wychowanej w dostatkach i zbytkach. A i postać jej cała nie należała do szpetnych: była wysmukła, kształtna, proporcjonalnie zbudowana i wiotka. O twarzy jej nie można było powiedzieć, aby była

doskonale anielską, jaką wydała się Szandorowi; ale też nie można było zaprzeczyć, że miała coś anielskiego w wyrazie swoim. Panna Eliza nie była piękną, ale była ładną, i z oczu jej świeciło coś takiego, co ujmowało za serce; jej gładkie i dość wysokie czoło jaśniało niezamaconą pogodą, a na ustach wisiał półuśmiech, który opromieniał twarz wyrazem pociągającej dobroci. Włosy, jak wiemy, miała czarne i oczy czarne i cerę nieco śniadą, a lekko bladawą, z czem było jej tak ładnie, że mogła uchodzić za piękną. Dodajmy do tego strój, który kobiety wielkiego świata umieją tak dobrać i zastosować, że uwydatniają nim najdrobniejsze swoje wdzięki a zakrywają niedostatki, a nie będziemy się dziwili, że panna Kōmeni wydała się Szandorowi aniołem.

Domyślił się zapewne czytelnik, że owe nieodgadnione dziwa i cuda, których Szandor nie umiał sobie z razu wytłumaczyć, były nie czem innem, jeno bardzo wygodnem sypialnem łóżkiem; owe miękie i delikatne w dotknięciu przedmioty, były batystami i aksamitami, które pod postacią prześcieradeł, poszewek i przykryć okrywały poduszki, materace i kołdry, a owe spływające łagodne kolory były cienkimi jedwabnemi kotarami, zawieszonemi na misternych łukach, na przekładzinach w kształcie strzał złocistych, i na spięciach wyobrażających grona, kwiaty i listki. Wśród łuków, strzał i spięć wyglądał spory krąg owalny, otoczony plisowemi ramami, przetykanemi zrzadka świecącemi się rzutkami, które z puchowego zwoju plisu mrugały jak gwiazdki, a na kręgu gobelinowy obraz przedstawiał jedną ze scen mytologicznych, wyobrażających Herkulesa przedzącego u stóp Omfalii. Zbytek, przepych i najwyszukańsza w najdrobniejszych szczegółach wygoda, były ogólnemi i szczególnemi cechami tego łóżka. Mamże opisywać pokój, w którym takie łóżko stało?.. Harmoniował on z niem we wszystkich swoich częściach, tak w tych, które do architektonicznych, jako też w tych, które do meblowych ozdób należą. Opisywać go jednakże nie będę, bo — przyznam się — nie umiałbym nazwać wielu rzeczy, które tam stały, leżały i wisiały, bądź jako sprzęty, bądź jako ozdoby ścian. Powiem tylko, że pokój ten był obszerny, wysłany miękim kobiercem, nie przeciążony meblami i ozdobami, a tak jednakże urządzony i ustrojony, z takim gustem i wytwornością, że wszedłszy do niego, nie chciało się

wychodzić, nie chciało się odrywać oczu od rozlicznych drobnostek ustawionych tam, lub od niechcienia rzuconych. A po meblach i sprzętach, po ozdobach i drobnostkach, od razu poznać można było, że to był przybytek niewieści, gniazdo kobiety, która je sobie uwiła z całą delikatnością smaku, mającego na rozporządzenie swoje wielkie bogactwa.

Pokój ten był sypialnią panny Elizy, a łóżko — jej własnym łóżkiem. Ciekawa rzecz: jakim sposobem prosty huzar dostał się do łóżka panińskiego?...

Wiedzieć należy, że panna Eliza była najmłodszą córką barona Kömeni. Baron, który oprócz niej miał jeszcze drugą córkę zamężną i dwóch synów, wraz z synami i zięciem znajdował się w szeregach powstańców. Panna Eliza pozostała z matką w Peszcie. Baronowa, albo, nazywając ją ze słowacka baronka, przekładała pobyt w stolicy nad mieszkanie w dobrach dla tego, że w czasach wojennych czuła się bezpieczniejszą w wielkiem mieście, aniżeli w którym z zamków, jakich baronostwo posiadali kilka w rozmaitych częściach Węgier. Nadto Peszt był ich zwykłą rezydencją, i baronka uważała się bardziej u siebie, w pałacu, urządzonej na stałe pomieszkaniu. Nad urządzeniem pałacu tego, (który był własnością baronostwa), nie będziemy się rozwodzili, część bowiem onego — pokój sypialny panny Elizy — daje o całości dokładne wyobrażenie. Dość będzie, jeżeli powiemy, że było to pyszne pomieszkание magnata, zaopatrzone we wszystko, czem dogodzić można gustownemu zbytkowi. Baronostwo przemieszkiwali w niem ciągle, wyjąwszy letniej pory roku, w której wyjeżdżali bądź na wieś, bądź za granicę. Zima zawsze zastawała ich w Peszcie, i z tego powodu uchodzili oni za dziwaków pomiędzy magnatami, których zwyczajem było przepędzenie zim w Wiedniu, lub w jednej z większych stolic Europy. Baron Kömeni postępował w tym względzie wbrew zwyczajowi, a takie postępowanie, nawet w wysokich sferach społecznych nie uchodzi bezkarne, tembardziej, że u barona połączone ono było z innymi jeszcze wybrykami, które magnaterja węgierska chrzcila mianem „śmiesznej filozofji“, a które zależały na tem, że baron nie cisnął się do urzędów i dworu. Miano go powszechnie za malkontenta, chociaż nie umiano sobie jasno wytłumaczyć powodów, dla których mógłby on malkontentem zostać, i opinię tę opierano całkowicie na hu-

morze barona, zawsze cierpkim i ponurym. Pod względem humoru, baronowa dotrzymywała mężowi sprawy. I ona była cierpką, ponurą, i w dodatku wydawała się dumną, zamkniętą w sobie, nieudzielającą się i mało mówiącą. Bardziej dobranego małżeństwa znaleźć nie można było, bo i baron mało mówił: pomimo to, albo raczej — dla tego może właśnie w rodzinie Kömeni panowała zgoda i harmonja.

Kiedy z odmętu wypadków ówczesnych wypłynęła wojna Węgier z Austrią, bez narad familijnych, bez układów z nikim, mężka część rodziny poszła na wojnę *): naprzód wyruszył syn młodszy, potem starszy, a na ostatku sam baron, i ten ostatni wstąpił do szeregów wówczas, kiedy armja węgierska już się cofała i kiedy wszystkie prawdopodobieństwa i kombinacje ka-zały wnioskować, że zostanie pobitą. Decyzja zaciągnięcia się do szeregów w dość oryginalny odbyła się sposób. Działo się to przy śniadaniu, przy którym, jak zwykle, znajdowała się baronowa i panna Eliza. Baron miał zwyczaj czytać przy śniadaniu gazety. Odczytał gazetę, i nie mówiąc, podał ją żonie. Gdy baronowa czytała, baron rozwalił się w fotelu i gładził powoli siwe wąsy, błędząc wzrokiem po suficie, a gdy skończyła czytanie, powiedział półgłosem:

— Teraz i na mnie kolej..

— A tak — odrzekła baronowa.

W parę po śniadaniu tem godzin baron żołnierzem został.

Baronowa i panna Eliza pozostały same, otoczone starymi służącymi, którym siły nie pozwalały towarzyszyć panom, ale nie przeszkadzały służyć paniom, i pod pewnym względem opiekować się nimi. Służących było podostatkiem, bo familja Kömenich należała do tego rodzaju magnackich rodzin, w których służy starzeją się, i niby spadkiem od dziadów do wnuków przechodzą. Pomimo więc opuszczenia przez synów i męża, i pomimo zmian rozlicznych, jakie w owych czasach zaszły, baronowa nie była opuszczoną i żadnej nie doświadczyła przykrości: żyła zwykłym trybem, nie dając po sobie poznać, jakiego rodzaju udział brało jej uczucie w sprawie, o którą proces toczył się na polach bi-

*) Nie wszystkie rodziny magnatów tak postąpiły; niektóre podzieliły się sprawą, wysyłając swoich reprezentantów w części do obozu węgierskiego, w części do austriackiego.

tew, przy pomocy argumentów, roznoszących zniszczenie i śmierć. Zdawało się, że spokojnie i z obojętnością oczekiwała ona na rozwiązanie sprawy. Obojętność ta jednakże była tylko pozorną, osłaniającą sobą to uczucie, które osłaniały spartańskie kobiety wyrazami, wymawianymi przez nie przy wręczaniu tarczy mężom i synom. Baronowa kochała Węgry, i miłości swojej dowodziła zatrudnieniem, któremu oddała się od początku wojny, a którem było: dostarczanie bielizny dla wojska i zaopatrywanie szpitali. Dolne piętro jej pałacu zamieniło się na warsztat, w którym pracowały szwaczki pod dozorem kamerystek baronowej, a ona sama i panna Eliza robótki kobiece, hafty, krosienka, jakimi bawiły się dawniej, zamieniły skubaniem szarpij i przyrządzaniem bandażów.

Gdy rozeszła się wieść, że węgierskie wojska opuszczają a austrijackie zajmą stolicę, myśl baronowej zwróciła się natychmiast na rannych.

— Ranni dostaną się w ręce Austriaków... — rzekła baronowa.

— Biedni oni!... — odparła panna Eliza i westchnęła — po wyleczeniu czeka ich niewola... To smutny los!...

Panna Eliza otarła łzę, która mimowolnie spłynęła jej po policzkach, a baronowa pociągnęła za taśmę od dzwonka, i po chwili weszła kobieta średniego wieku, podeszła ku baronowej i zatrzymała się przed nią w pozycji, oczekującej na rozkazy.

— Zawołaj do mnie Istwana... — powiedziała baronowa do kobiety.

Kobieta wyszła, i wkrótce po jej odejściu stanął przed baronową siwy człowiek, który pełnił funkcje marszałka dworu

— Przywieź mi Istwan kilku rannych... — rzekła do niego rozkazu tonem.

Marszałek jakby rozkazu nie dosłyszał.

— Co jaśnie wielmożna baronka rozkaże?... — zapytał.

— Przywieź mi rannych... — powtórzyła pani.

— Rannych!?... — rzekł marszałek do siebie, cofając się ku drzwiom.

— Rannych żołnierzy węgierskich... — dodała baronowa w kształcie objaśnienia.

Stary Istwan poszedł wykonać rozkaz baronki, którego dobrze nie rozumiał, pomimo, że długoletnia służba przyzwy-

czaiła go do lakonizmu rozkazów państwa. Szedł on z miną kwaśną i mruczając pod nosem:

— Jakich rannych?... zkad ich wziąć?... chyba ze szpitalów....

Kazał założyć konie do karety i pojechał do szpitalów.

W szpitalach byli chorzy, ale rannych nie było dla tego, że w pobliżu Pesztu nie było bitwy, któraby takowych dostarczyła, a tych, których przywieziono poprzednio, wywieziono już dniem naprzód, z powodu powziętego z góry zamiaru opuszczenia stolicy. Objechał Istwan wszystkie szpitale, i — jak powiadają — ani na lekarstwo rannego nie znalazł, i powracał do pałacu, smutny i markotny, bo nieprzyzwyczajony do niemożności zastosowania się do woli baronki, gdy raptem, na skrócie ulicy, która miała go zaprowadzić do pałacu, ujrzał przez okno karety honwedów, niosących na płaszczach huzara. Uradował się stary. Zatrzymać karete i wyskoczyć z niej, było dziełem jednego mgnienia oka.

— Kogo to niesiecie, *pajtasze*?... — zawołał na żołnierzy.

— Rannego.. — była niosących odpowiedź.

— Zanieście go do pałacu barona Kömeni!...

Żołnierze zatrzymali się, spojrzeli po sobie, a jeden z nich zapytał:

— Dla czegoż do pałacu?... czemu nie do szpitala?...

— Dla tego, że ze szpitali wywieziono rannych od wczora, i jeżeli go tam dziś zanieście, to już go nie wywiozą, i wasz towarzysz dostanie się Niemcom... — w pałacu uchronią go od tego nieszczęścia.

— A!... — odezwali się żołnierze chórem — gdzież ten pałac?...

— Niedaleko... o kilka kroków... przy końcu tej ulicy... A czy nie macie więcej rannych?...

— Nie... — odparli żołnierze i skierowali się ku pałacowi.

Istwan wyprzedził ich, dla złożenia raportu pani, a gdy zdawał przed nią sprawę z przeglądu szpitali i ze spotkania, wsunął zręcznie uwagę, że wzięcie do pałacu rannego może być uważanem przez Austryjaków, jako przechowywanie nieprzyjaciela, i ściągnąć przesładowanie na mocno i bez tego podejrzaną baronowę. Baronowa odpowiedziała na to tylko tyle:

— Powiedz wszystkim w pałacu, aby nie rozpowiadali o rannym...

— Ale Niemcy — rzekł Istwan — i bez rozpowiadania zajrzą do nas i dadzą nam postój, dla zrobienia przykrości... i dowiedzą się, dopatrzają...

— To go schowamy przed nimi... — odezwała się panna Eliza. — Przecież do mego pokoju zaglądać nie będą...

W tej chwili żołnierze weszli na ganek pałacowy. Panna Eliza wybiegła naprzeciw nich; baronowa wyszła także na ich spotkanie, i Szandor (on to był bowiem) odniesionym został wprost do pokoju panny Elizy i złożonym na jej łóżku.

Nie wysłałem ja tego zdarzenia z pałca, szanowni czytelnicy, nie żadną bajkę rozpowiadam przed wami i nie pojedynczym a wyjątkowym traktuję was wypadkiem. Zdarzenia tego rodzaju były bardzo powszechne. Niejedna magnatka i nieraz, swojej erdredonowej pościeli ustępowała z radością zranionym lub zdrożonym żołnierzom, bez względu na to, że zalegali oni ją skąpaniami nie w wonnych kąpielach, lecz w kurzu i pocie ciałami, i pozostawiali po sobie żywe upominki, których mnożeniu się wojna bardzo sprzyja.

Nie mam potrzeby zaręczać, że Szandor doskonale na tem zdarzeniu wyszedł. Nie dłużej jak w kwadrans po złożeniu go na łóżku panny Elizy, zjawił się nadworny lekarz baronostwa, i opatrzył jego ranę. Szandor znajdował się w omdleniu i nie czuł wcale, co z nim robiono. Rana jego była głęboką i taką, że lekarz zwątpił zrazu o jego życiu; lecz bliższe opatrzenie dało mu nadzieję uratowania naszego bohatera. Kula ugrzęzła mu w piersi i sprawiła obfity wpływ krwi, który go osłabił. Kto inny na miejscu Szandora byłby może wyzionął ducha od takiego postrzału. Szandor pasował się ze śmiercią, która zajrzała mu w oczy pod postacią gorączki; lecz w końcu przemógł śmierć, a do przemożenia jej zarówno mu pomogły: i jego młodość i kuracja doskonałego lekarza, i starania, jakimi go otoczono.

Pod względem tych ostatnich — rzecz można — u rodzzonej matki nie doświadczyłby troskliwszych. Pod dozorem bezpośrednim panny Elizy nie zabrakło mu na niczem. Uprzedzano jego życzenia, zapobiegano wszystkim jego potrzebom i strzeżono go od Austryjaków, którzy zajęli militarnie pałac barona Kömeni, postawiwszy w nim na kwaterze jednego pułkownika, a w przy-

legających do onego pawilonach spory oddział piechoty, i w stajniach pałacowych umieściwszy konie od pociągów. Pałac przybrał pozór koszar wojskowych. Całe dolne piętro, w którym przedtem szwaczki pracowały, zajętem było przez pułkownika, który roztasował się w niem jak u siebie i na długo, bo sprowadził żonę i dzieci, i postawił się względem baronowej prawie tak, jakby on był właścicielem, a ona gościem. „Biada zwyciężonym!“ wystąpiła z całą potęgą. Położenie baronowej stało się więcej jak drażliwem.

Można sobie wyobrazić, jak w takim położeniu trudno było utaić obecność Szandora, którą mniej trzeba było zakrywać przed samym pułkownikiem, jak przed pułkownikową i jej córkami. Tym ostatnim pochlebiała znajomość z magnatką i jej córką, i bardzo starały się o spoufalenie się z niemi. Dodać należy: że pułkownikówien było dwie, że były pannami na wydaniu, że nie miały posagów, że zdawało się im, iż mają prawo do świetnej kariery, i że wszyscy goli podporucznicy i porucznicy z pułku, którym ich ojciec dowodził, starali się o ich rękę, a wszyscy bogaci świadczyli im jałowe grzeczności, na których one doskonale się znały. Z tego wszystkiego wyrodziła się komplikacja odwiedzin, wizyt, wieczorów, romansów, zwierzań się i intryg, do których taktyka pułkownikowej usiłowała wplątać baronową i baronównę, a dla których szranki dolnego piętra okazywały się za szczupłemi. Taktykę taktyką należało odpierać. Trzeba było bronić się i pilnować na każdym kroku, i nie dać po sobie poznać, że się broni i pilnuje. Było to zadanie trudne, szczególnie dla baronowej, której duma straszne męki cierpiała, i gdyby nie panna Eliza, wynajdująca rozmaite środki odwracania rozlicznych nagabywań, baronowa niezdolałaby może stawić czoło wszystkiemu. Prawda, że dwór cały, zacząwszy od Istwana, a skończywszy na ostatnim kuchciku, potężnie wspierał swoje panie, świadcząc jakim to skarbem nieocenionym jest miłość i przywiązanie słujących.

Pułkownikówny, będąc rodowitemi Niemkami, były eo ipso wielce sentymentalne i romansowe. Wiadomo, że sentymentalno-romansowość kocha się w samotności i wyszukuje dla niej odpowiedniej miejscowości. Gdyby nie zimowe mrozy i pluchoty, najodpowiedniejszym na samotne dumania miejscem byłby obszerny ogród pałacowy, ozdobiony misternymi szpalerami, cienistemi gai-

kami i altanami, i ustronnemi kioskami i pagodami, przy których były fontanny, szumiały kaskady. Zima jednakże zbezużyteczniała ogród. Trzeba było w pałacu szukać resursów do samotności. Dobrą wprawdzie na ten cel okazywała się oranżerja, zajmująca jedną dużą galerję pałacu, nie złą była galerja obrazów, albo biblioteka; ale cóż — kiedy romansowość ma swoje kaprysy, lubi oryginalność, goni za czemś nowem, odmiennem. Pułkownikówny, z tem swoim zamiłowaniem do samotności, błądziły po całym pałacu, zaglądały do wszystkich kątów i zatrzymywały się niekiedy w zdumieniu przed drzwiami, które przed niemi były zamknięte. Z razu nie zwracały na to uwagi, lecz kiedy cały pałac przestał już być dla nich nowością, kiedy odsiedziały na każdym fotelu i oddumały w każdym apartamencie, drzwi zamknięte poczęły drażnić ich sentymentalność, i nabierać uroku owocu zakazanego.

— Dlaczego drzwi te są zamknięte? — zapytywała sama siebie panna Gertruda.

— Dlaczego drzwi te są zamknięte? — zapytywała sama siebie panna Katarzyna.

— Gretchen — powiedziała raz do pierwszej pułkownikowa — jestem na śladach jakiejś tajemnicy w pałacu Kōmeni.

— Jakiej!... — zawołała młodsza jej córka, mianowana przez nią Ketchen.

— Są jedne drzwi zamknięte...

— Są!... — przerwały razem i Gretchen i Ketchen i szyje ich łabędzie wyciągnęły się ku matce.

— Widziałyście?...

— Widziałyśmy... — odparły jednym głosem.

— I wiecie?...

— Nie wiemy...

— To jakaś tajemnica.. — rzekła z tajemniczą miną i tajemniczym głosem pułkownikowa.

— Tajemnica... — powtórzyły panny tajemniczym głosem, który zabrzmiał niby echo głosu matki

— Cóżby to mogło być?... — zapytała pułkownikowa.

Panny nic na to nieodpowiedziały, bo nie miały co odpowiedzieć, ale zapytanie matki zapadło im w dusze ziarnem sentymentalnej ciekawości. Ciekawość ta skierowała się naturalnie na pannę Elizę; panna Eliza była panną na wydaniu, i w świecie

romansowych rojeń, jaki sobie Niemki ulepiły w Peszcie, z okoliczności, zdarzeń i osób, które im się pod ręce nawinęły, występowała, w mniemaniu ich, jako niebezpieczna rywalka, z którą walczenie było zaszczytem, a otrzymanie zwycięstwa chlubą. Nie stawiała ona wprawdzie do walki; nie stawiała pomiędzy panną Gretchen lub Ketchen, a edlerami, ritterami, baronami i grafami, których każdy wieczór sprowadzał obficie do pałacu Kömeni i którzy, pod pretekstem smalenia cholewek do córek swego dowódcy, naciągali kupidynowe łuki w kierunku serca węgierskiej magnatki, odstrzeliwującej im grzeczną ale zupełną obojętnością. Obojętność ta jednakże, wzięta za pozór, za ton wielkopański, nie przeszkadzała podejrzeniu. Gretchen i Ketchen nie mogły przypuścić, aby serce panny Elizy nie lgnęło do tych rycerzy, do których ich serduszka tak skakały, ale tak skakały, że rycerze musieli całą baczość wyteżać i wspierać ją całym zasobem szarmanterji, aby niedopuszczyć serduszkom tym wskoczenia tam, gdzie im się tak bardzo chciało. Od podejrzenia tego rodzaju nie bronilo bynajmniej panny Elizy podejrzenie o gorące sprzyjanie sprawie Węgrów, w szeregach których znajdowali się: jej ojciec i dwaj bracia i szwagier. Przeciwnie: pułkownikówny w romansowości swojej, uważały, że sentymentalniej jest mieć kochanka w obozie nieprzyjacielskim, i w rojeniach nieraz ściągaly myślą do nóg swoich nawet młodych baronów Kömeni, których nigdy w życiu nie widziały i którym ani śniło się o żadnej Gretchen ani Ketchen. I na podstawie tych rojeń, bardzo logicznie przypuszczały, że baronówna skłonna jest do romansu z którymś z bohaterów austryjackich, że nawet skłonność ta jest rzeczywistością, tem sentymentalniejszą, iż owianą urokiem tajemniczości. Skłonność ta jednakże w wysokim stopniu natężenia istniała tylko ze strony bohaterów austryjackich; co się zaś tyczy panny Elizy, to jej się o niej ani śniło.

Pomiędzy bohaterami, których było ze czterdziestu, odznaczali się: graf von Hinterloch, członek znakomitej niemieckiej rodziny, i ritter von Grüsskenwürsten, należący do wysokiej arystokracji czeskiej. Na pierwszego z nich zagieła parol panna Gertruda, na drugiego panna Katarzyna, a obydwaj oni koncentrowali ognie swoich zapałów na osobie panny Elizy.

Tomy możnaby spisać o tych rozlicznych komplikacjach romansowo-salónowych intryg, jakie przez całą zimę naplątały

się w pałacu Kömeni i w których, najniewinniej w świecie figurowała nominalnie baronówna, a do których, oprócz dwóch wyżej wymienionych bohaterów austrijackich, wchodziło jeszcze dzieściu innych, których możnaby nazwać unter-bohaterami. Rzeczy się powiązały, pokluczyły, ponajawiało się jakichś przyczyn, ponawyradzało się jakichś skutków, ponaroznosiło się rozmaitych węzełków po kątach pałacowych, po łóżach teatralnych, po salonach balowych, po rozlicznych publicznych i prywatnych miejscach; baronowa trzymała się ustronnie, baronówna ostrożnie, pułkownikowa niby dominowała i rej prowadziła, a pułkownikówny pływały w tej rycersko-sentymentalnej atmosferze, jak pączki na maśle, ronily westchnienia publicznie i samotnie, roiły, zahaczały uczuciami o nieznanym baronów Kömenich, i pracowały nad podbiciem znajomych, grafa von Hinterlocha i rittera von Grüşkenwürstena.

Tak stały rzeczy, gdy pułkownikowa objawiła córkom tajemniczość drzwi zamkniętych. Zapytanie jej: „coby to mogło być?“ stało się dla nich zagadką sfinksa i otworzyło bezgraniczną dla domysłów pole. Jedyne danem w tej zagadce były: drzwi zamknięte — i nic więcej... A za temi drzwiami coś się kryło, ale — co?... Jakieś tajemnice, których odkrycie podsycićby mogło może jakiś stary romans, lub stworzyć jakiś nowy.

Pewną jest i niezawodną rzeczą, że kto w jakiej sferze żyje, do takiej odnosi wszystko, z czem się mu gdziekolwiek i jakkolwiek spotkać zdarzy. Spekulant nakręca wszystko do spekulacji, lekarz do medycyny, artysta do artyzmu, filozof do filozofji, poeta do poezji, a sentymentalna kobieta, a mianowicie Niemka do romansu. Gdyby np. spekulant, lekarz, artysta, filozof, poeta i kobieta znaleźli się razem w cudnym jakim miejscu i ujrzeni roztoczony przed sobą najpiękniejszy obraz przyrody, to każdy z nich obraz ten zużytkowałby po swojemu w myśli swojej. Pierwszy pomyślałby o tartaku, który wybornie mógłby funkcjonować na żywej wodzie; drugi o szpitalu, któremu nie brakłoby czystego powietrza; trzeci o pejzażu, któryby zajaśniał na wystawie i spowodował przyczepienie do imienia jego wyrazów: „wielka nagroda, medal pierwszej klasy“; czwarty o harmonji którą potrafił Stwórca zaprowadzić w naturze, bez radzenia się w tej mierze filozofów; piąty o zrymowaniu wyrazów: skały, drzewa, listki; trawa, urwisko, przepaść, strumień, i t. d.; szło-

sta o kamieniu dość płaskim, aby na nim można było usiąść i wygodnie odegrać scenę oczekiwania. Z tego to powodu drzwi zamknięte od sypialnego pokoju baronówny Kömeni znalazły w umysłach sentymentalnych Niemek zastosowanie romansowe; a to zastosowanie ratowało sypialny pokój panny Elizy od policyjno-militarnej rewizji, któraby niezawodnie była nastąpiła, gdyby pułkownik uwiadomionym został o istnieniu jakowejś tajemnicy. Pułkownik, jako Niemiec i stopniem i wiekiem znacznie oddalony od tej epoki życia, w której każdy Niemiec jest burzem i ma dużo skłonności do brania na serjo balad Bürgera, był anti romansowych usposobień i nie zniósłby żadną miarą żadnej pod nosem i bokiem swoim tajemnicy, szczególnie w czasach wojennych i w mieście ogłoszonym formalnie, rozkazem głównie dowodzącego, w stanie oblężenia. Wiedziały o tem usposobieniu pułkownika panna Gertruda i Katarzyna, również jak i pułkownikowa, i nic mu niepowiedziały o odkryciu drzwi zamkniętych. „Bo — myślały sobie — jeżeli za temi drzwiami nie ma nic?...” To rewizja stałaby się tylko kompromitacją romansową, rozbiwszy rojenia, przypuszczenia i domysły o... rzeczywiście: nic...

Do kategorii jednakże formalistów takich jak pułkownik, takich jak on realistów służbowych, nie wchodził w mniemaniu pułkownikównien ani graf von Hinterloch, ani ritter von Grützenwürsten. Graf i ritter, równocześnie, w wielkiej tajemnicy, pod zaklęciem uroczystego a rycerskiego słowa honoru, otrzymali zwierzenia się: pierwszy od panny Gertrudy, drugi od panny Katarzyny; a celem zwierzenia się było uroczyste wezwanie tych rycerskich ludzi do współdziałania w rozwiązaniu zagadki, w odkryciu tajemnicy, ukrywającej się za drzwiami sypialnego pokoju panny Elizy Kömeni. Dla rycerzy było to gratką nie lada. W ich uszach wyrazi: „sypialny pokój panny Elizy Kömeni“ jakoś dziwnie uroczo zabrzmiały. Dali więc słowo honoru każdy z osobna, nie wiedząc jeden o drugim, i każdy z nich przyrzekł swojej damie serdeczne współdziałanie. Sformowały się tym sposobem dwie pary oddzielne: panna Gertruda z grafem von Hinterlochem, i panna Katarzyna z ritterem von Grützenwürstenem, dążące ku jednemu celowi — ku sypialnemu pokojowi. Pułkownikowa stanowiła pewien rodzaj wspólnej rezerwy, o której jednakże rycerze nic nie wiedzieli.

X.

Dla wyjaśnienia lepszego sprawy, która się wywiązała z powodu drzwi zamkniętych, powiedzieć muszę, że graf von Hiterloch i ritter von Grüşzkenwürsten, jeden i drugi, każdy ze swojej a osobnej strony, mieli zamiary na baronównę Kōmeni. Zamiary te powzięli oni nie z romansowych, ale z bardzo praktycznych powodów, pomiędzy którymi najważniejszym był ten, że baronówna tyle od posagu swego miała rocznego dochodu, ile każdy z nich liczył całego majątku. A nadto, dotychczasowe tryumfy armji austryjackiej rokujące niechybne zwycięstwo nad przeciwnymi wojskami, ukazywały im w perspektywie powiększenie posagu baronówny, przez możliwe śmierci męskich spadkobierców barona i prawie pewne przelanie majątku, w skutek odstąpienia tych ostatnich od prawa posiadania onego, na spadkobierców żeńskich. Wysoko przytem arystokratyczne brzmienie nazwiska „Kōmeni“, nie było także jednym z małych powodów, dla których i graf i ritter życzyliby sobie stanąć z baronówną na ślubnym kobiercu, a uważając się pod tym względem za równych z nią, czuli się upoważnionymi do starania się, jeżeli wprost nie o rękę, której natychmiast nie spodziewali się otrzymać, to o skarwienie sobie względów bogatej dziedziczki, a nawet, jeżeliby się dało, o pozyskanie tymczasem jej serca, z czem później, po uśmierzeniu polityczno-wojennych niepokojów, łatwiejby im było trafić i do ręki. Wydawało się grafowi wcale nie złą rzeczą herb Hinterlochów połączyć z herbem Kōmenich, wydawało się riterowi wcale nie złą rzeczą herb Grüşzkenwürstenów połączyć z herbem Kōmenich... i połączenie to wesprzeć kilkudziesięciomilionowym majątkiem. A że to „wydawało się“ gdyby stało się rzeczywistością dla drugiego, przeto grafowi nie mało o to chodziło, aby ritter nie pozyskał względów baronówny, a ritterowi nie mało o to chodziło, aby graf nie pozyskał względów baronówny. Był więc pomiędzy nimi, od pierwszego niemal wejścia do pałacu Kōmeni, głuchy antagonizm, pewien rodzaj tajemnej rywalizacji, zsloniętej pozorami etykiety. Graf i ritter byli lwami towarzystwa, które zapanowało na horyzoncie stołecznym po wymarszu Węgrów, i panowało przez

całą zimę. Oni dwaj nadawali ton, kierowali opinią towarzysstwa — że tak rzekę — królowali w czarnożółtych 1) salonach, ściągając na siebie oczy niewieściej, a służąc za wzór męskiej połowie sprzymierzeńców Austrii. Nic im nie brakło: ani urody, ani majątku, ani dystynkcji w ułożeniu, ani dystynkcji w karjerze. Co się tyczy urody nie byli oni podobni do siebie w naturze, ale byli podobni z rysopisu: obydwu bowiem byli młodzi, — średniosłusznego wzrostu, — na obydwóch mundury, spodnie i buty leżały jak ulane — co oznacza, że obydwu byli kształtnie zbudowani, — twarze ich były bardzo przystojne, oczy — u jednego błękitne i u drugiego błękitne, z tą różnicą, której wiele dam dopatrzyło, że u jednego błękitniejsze były jak u drugiego, i z tą szczególnością, która także damom w oczy wpadła, że chociaż obydwu byli bładny, ten jednakże z nich, który miał jaśniejsze włosy, miał ciemniejsze oczy, ten zaś, który miał ciemniejsze włosy, miał oczy jaśniejsze. O tym fenomenie panna Gertruda i Katarzyna bardzo często z rozmaitemi rozprawiąły osobami, i bardzo na serjo nad nim się zastanawiały.

— Dla czego ritter von Grüzkenwürsten nie posiada oczów grafa? — pytała panna Katarzyna siostry.

Panna Gertruda wdychała.

Panna Katarzyna podchwytywała westchnienie — pierś jej podnosiła się, podnosiła powoli i opadała raptem.

I obie siostry rozmawiały ze sobą przez czas jakiś — westchnieniami — tym wymownym serc czułych głosem... Po chwili panna Gertruda odpowiadała.

— Ach!... to nadzwyczajne!... jaśniejsze oczy a ciemniejsze włosy!... To nadzwyczajne!... Grafowi z tem tak do twarzy!...

— I ritterowi do twarzy!... — wtrącała panna Katarzyna.

— Ach!.. — wydierało się z piersi panny Gertrudy.

Z piersi panny Katarzyny także wydierało się:

— Ach!...

A oprócz, w nadzwyczajne oczy i włosy, hojna przyroda ustroiła rycerzy naszych w zwyczajne wąsy, które jednakże zwyczajnemi wydawały się innym, ale ani pułkownikównom ani sa-

1) Czarnożółtymi inaczej *Szwarcgelberami*, zwano Austryjaków i ich stronników.

mym rycerzom. Nadzwyczajność ich zależała naprzód na tem, że od kilku zaledwie miesięcy uzyskali pozwolenie noszenia wąsów, i nie mieli jeszcze dość czasu nacieszyć się niemi. Z powodu tego pozwolenia powzięli oni olbrzymie wyobrażenie o liberalizmie, i szalonymi demagogami mienili wszystkich, którzy nie podzielali z nimi tego wyobrażenia, i nie mogli zrozumieć, czego chcieć, i czego wymagać można od rządu, który pozwala nosić wąsy. Jakieś tam domagania się na sejmie, chociażby najskromniejsze, były dla nich wyuzdaniem komunizmu, który znany im był z nazwiska. A wszystko to *à propos* wąsów, któremi pysznili się, jako zdobyczą postępu i nie mogli dość napatrzeć na nie. To nie dosyć, że przypatrywali się im we wszystkich zwierciadłach, ale i bez pomocy zwierciadeł umieli spoglądać na nie, oddymając wargi i spuszczać po policzkach promienie wzroku. Graf doszedł do takiej doskonałości, że obiema oczami patrzeć mógł na obydwu swoje wąsy. Ritter tej doskonałości nie posiadał: on musiał kolejno przymrużać jedno oko, a drugiem oglądać jeden tylko wąs po jednej tylko stronie nosa, i przyszedł do tego przeświadczenia, że gdyby nie nos, mógłby jednem okiem oba wąsy widzieć. W tym względzie ritter niższym był od grafa, ale o tej jego niższości publiczność nie wiedziała, i zapatrywała się na niego takim samym jak na grafa okiem, i widziała u jednego i drugiego dość spore pod nosem wąsy, i nawet dopatrzeć mogła, że wąsy owe użytkowały znaczną ilość fiksatuaru, nadającego im estetyczne formy, przypominające nieco rozki do kawy.

Lecz nie wdając się w bliższy opis postaci rycerzy, zajmujemy się przedmiotem, który ich w wysokim stopniu zainteresował.

Pewnego wieczora był bal publiczny, na którym zgromadziło się wszystko, co w stolicy Węgier należało do wyższych rządowych i urzędowych sfer. Salony balowe świeciły wybo-rem towarzystwa. Nie umiem powiedzieć *in gratiam* czego danym był ten bal, ale wiem, że był jeden z najświetniejszych, jakie Peszt w tym roku oglądał. Białe, ciemnozielone i tabaczkowe mundury, wyświeżone i wygalonowane, uwijały się wśród niewielkiej liczby fraków i wielkiej różnokolorowych sukien damskich, sukien balowych lekkich, pysznych, a tak pysznych, że tylko jeden Kurjerek Warszawski byłby w stanie opisać je,

każdą z osobna i wszystkie razem: on jeden bowiem posiadała własność ogarnienia jednym oka rzutem całości balu i wglądania w szczegóły onego; on jeden ze znajomością rzeczy umie oceniać: falbany, bufy i fałdy spodnic, kształty staników, wycięcia gorsów, głębokie znaczenie girland, djamentów i pojedynczych kwiatów we włosach, wysoką wartość bukietów i wachlarzy, tajemnicę gaz, muślinów, aksamitów i atlasów. O! czemuż to Kurjerek nie był w Peszcie na owym balu!... Jaką bytność jego oddałaby olbrzymią i balowi i miłe usługę!... Bal zostałby wiekowiecznym w jego szpaltach, a ja ozdobiłbym powieść niniejszą wyciągiem z Kurjerka, — a przynajmniej wiedziałbym z pewnością, jak była ubrana panna Gertruda i panna Katarzyna. Bez Kurjerka zaś, nie posiadam żadnego autentycznego źródła, do którego mógłbym się odwołać i z którego mógłbym zaczerpnąć wiadomości o stroju pułkownikówien. Nawet nie wiem z pewnością, czy jednakowo były ubrane, zdaje się jednakże, że zachodziła jakaś mała w czemś różnica. Jakoweś związanie innem było u panny Katarzyny; ale zachodzi ważne, a bez odpowiedzi muszące pozostać pytanie: gdzie było owe związanie?... czy była to jaka kokarda u paska lub na ramieniu? — czy przewiązka na głowie? — czyli też co innego?... Nie będąc w stanie rozwiązać tego zapytania, przejdę do innych przedmiotów.

Bawiono się bardzo wesolo, jeżeli wyraz „wesołość“ da się zastosować do regularnego, wymierzonego i na „*ein, zwei, drei*“ wyrachowanego kręcenia się, chodzenia, suwania i podskakiwania obojej płci ludzi, po napelnionych rżęsis em światłem i ogłaszających się w regularnych przestankach akordami wojskowej orkiestry salonach. Zwijano się i rozwijano w tańcach. To występowały szeregi do kadryla; stawały z razu w czworobok, którego ściany, uplecione z dam i kawalerów, rozrywały się następnie, mięszwały, plątały, i w końcu — rozchodziły. To wyskakiwały na środek para za parą i nosiły się w polce, lub wirowały w walcu. To inny jakiś taniec salonowy wieszal na ramionach, lub czepiał do boków rycerzy austriackich delikatne kwiatki, lgnące do nich tym niemal sposobem, jak gołąbka lgnie do gołębia, albo kureczka do koguta.

Tańczono walca. Ach!.. walec!.. jakież fatalne wspomnienie wywołuje on w mojej pamięci!.. wspomnienie krwi, bólu i wstydu..

Staje mi przed oczami tancerka śliczna i młoda, która z całą ufnością oddała mi się w ręce, zawiesiła się na mojem ramieniu, pochyliła główkę ku moim piersiom, i... a ja — podeptałem jej nogi, rozbitem jej nos, wyróciłem ją na podłogę, i... wyproszony zostałem z balu. Taki sam wypadek byłby może spotkał pannę Gertrudę lub pannę Katarzynę, gdyby graf von Hinterloch, tańczący z pierwszą, albo ritter von Grüszenwürsten tańczący z drugą, nie byli skończonemi, pod względem walca, doskonałościami. Graf i ritter jeden za drugim, obiegli wirowym sposobem dokoła salonu, trzymając w objęciach swoich wpółwygięte pułkownikówny, których oddech mieszał się w przelocie z oddechem rycerzy, których wzroki tonęły w ich oczach, których loki unosiły się w powietrzu lub przy zakrętach trzepały kawalerów po policzkach, muskały ich po uszach i nosach, i pojedynczemi włoskami czepiały się ich wąsów. Obiegli do koła salonu raz, obiegli drugi raz, i w połowie trzeciego koła posadzili swoje damy — jeden w jednym kącie, drugi w drugim kącie. Damy usiadłszy, oddechały przedko (*vulgo* sapały), roztoczyły wachlarze, które w ich rączkach rozwinęły się niby pawie ogony, i lekko pochylane nawiewały na ich lica coś nakształt zefiru. Kawalerowie usiedli obok i nastąpiła chwila, w której dwie te pary osamotniały wśród balowego tłumu, w dwóch przeciwległych sobie kątach salonu.

Dawno to już zauważano i wielokrotnem stwierdzono doświadczeniem, że na jak najliczniejszym balu można być jak najsamotniejszym, a co bardziej można mieć jak najwygodniejsze „sam na sam“ z drugą osobą, wygodniejsze od rozlicznych *rendez-vous*, naznaczanych zwykle w altanach, grotach, kioskach, laskach, na dolinach, spacerach w odosobnionych miejscach lub sypialnych pokojach. W tego rodzaju miejscach, chociażby najodludniejszych, trzeba zawsze mieć się na baczności, bo zawsze grozi niebezpieczeństwo niespodzianego spłoszenia oddającej się „sam na sam“ parze, lub bycia podsłuchaną przez niewidzianego świadka. Na balu, ani spłoszonym, ani podsłuchanym być nie można. Kilka wyrazów, jak: „dziękuję, przepraszam, jestem zmęczoną“ i t. p. są bezpieczną przeciwko zakłócającym „sam na sam“ natrętem tarczą; a gwar rozmów, muzyka, szelest tańczących i chodzących, głusząc półgłosem wymawiane wyrazy,

bronią doskonale od podsłuchów. Na balu wygodnie i bezpiecznie wypowiedzieć można wszystko, co komu na sercu leży.

Owoż, gdy pary nasze usiadły i gdy powrócił im normalny oddech, wszczęły się pomiędzy nimi niby szeptania, niby rozmowy, które dziwnym zbiegiem okoliczności, jednej były treści, chociaż w wyrazach i układzie frazesów zachodziła maleńka różnica. W tem miejscu uprzedzić muszę jeden zarzut, jaki spotkać mnie może ze strony czytelników. Wyda się komu, że jest to nadzwyczajnem, aby dwie pary ludzi mówiły o jednym i tymże samym przedmiocie, i aby ich czynności nawet układały się w jednakowy sposób. Prawda — jest to rzadkiem, i jeżeli kto chce, nadzwyczajnem; ale — wyznać muszę — iż o rzeczach zwyczajnych nie miałbym nawet satysfakcji pisać; a przytem, nadzwyczajność zbiegu jednakowości w rozmowach i czynnościach ludzkich nie jest rzeczą nieprawdopodobną, i zdarza się bardzo często. Więc niema nic w tem dziwnego, że to, o czem panna Gertruda mówiła z grafem fon Hinterlochtem, było podobnem w treści do tego, o czem panna Katarzyna mówiła z ritterem fon Grüşzkenwürstenem. Nie będę przeto obydwóch powtarzać rozmów.

— Ach! jak gorąco!... — mówiła panna wachlując się zlekką.

— Ja gorąca ani znużenia nie czuję... — odparł kawaler, przymrużając wzrok i podnosząc rękę do wąsów, które jednym palcem delikatnie musnął.

— Pan nie czuje?... — zapytała panna.

— Nie, pani — odrzekł kawaler z przymileniem — uczucie rozkoszy, jakiej doświadczyłem walcząc z panią, zgłuszyło we mnie wszelkie inne uczucia...

Panna zapłaciła kawalerowi za komplement ten długiem uśmiechowo-miłosnem spojrzeniem, i po chwile milczenia odezwała się:

— Co za świetny bal!...

— Świetny — odpowiedział kawaler — a dlatego szczególnie, że uświetnionym jest obecnością pani.

— Pan graf (można także czytać ritter) niewyczerpanym jest w komplementach... — zauważyła panna.

— W komplementach!... — zawołał kawaler niezbyt głośno, ale wyraziście — ja jestem żołnierzem: mówię co myślę, a myślę co

czuję... i wierz mi pani, że nie byłbym w stanie powiedzieć komplementu niezastużonego.

— Więc nie powiedziałbyś pan tego, gdyby na balu była baronówna Kömeni?...

— Powiedziałbym... — odparł kawaler rezolutnie i musnął wąsy dwoma palcami i pociągnął rękawiczki na palcach.

Pannie coś naksztalt promiennej aureoli wystrzeliło z oczów i rozlało się po twarzy.

— Ale dlaczegoż baronówna nie zaszczyciła balu swoją osobą?... — zapytał kawaler od niechcienia — wszak baronowa była zaproszoną...

— Była — odpowiedziała panua — ale wymówiła się chorobą, żalobą, smutkiem i tysiącem innych powodów.

-- Panie namawialiście ją?...

— Namawialiśmy, prosiliśmy... nic nie skutkowało...

— To mogła baronówna przyjechać z panią pułkownikową...

— Nie chciała... — odrzekła panua lakonicznie.

— Hm!... — mruknął kawaler poprawiając znowu rękawiczki — ciekawa rzecz, z jakiego powodu?..

— Prawdziwego powodu nie powiedziała, ale pan graf domyślasz się go zapewne... — rzekła panua zniżonym głosem.

— A.. tak... tak... domyślałam się... i nie mogę dość nadziwić się, że damy tak wysoko przez urodzenie i majątek postawione, takimi bawić się mogą dzieciństwami!... To się przebacza w pewnej mierze niższym klasom; można jeszcze zrozumieć, że zdziwaczył baron, który był przez całe życie dziwakiem; ale... baronowa... baronówna... hm!... to nie do przebaczenia...

— Sentymentalizm!... — wtrąciła panua...

— Pani staje w obronie dziwactwa!... — rzekł kawaler.

— O! nie... bynajmniej — rzekła panua — ale są pewne uczucia, którym kobiety obronić się nie mogą...

— Do pewnego stopnia... — przerwał kawaler. — Jeżeli uczucie wchodzi w sfery trywialne, niskie, to wielkim jest nierozsądkiem ulegać mu, i takiego uczucia tolerować nie można... Uczucia poniżać, powiierać nie wolno...

— Tak... uczucia poniżać nie wolno... — powtórzyła panua i spojrzała na kawalera z wyrazem szlachetnego uczucia. — Nie wszyscy jednakże rozumieją to... Są w wyższych nawet sferach,

kobiety romansowe, zbytecznie sentymentalne, lubiące ekscentryczność, kochające się w nadzwyczajnościach i tajemnicach...

— A!... *à propos* tajemnic... — przerwał kawaler — Jakże stoi tajemnica panny Kōmeni?...

— Chcę właśnie mówić o niej panu... Baronówna jest ekscentryczką i zacięła się w swojej tajemnicy...

— I nie można jej odkryć, zbadać?...

— Już zczynają pokazywać się małe światełka z po za zastony, zakrywającej ją..

— Jakież przecie?..

— Romansowe...

— O!... pani zaostrza ciekawość moją... Cóż pani wie o romansie tym?..

— Pan taki ciekawy!...

— Cóż w tem dziwnego!... To zresztą nie jest ciekawość, ale interes... Jeżeli nam wolno interesować się romansami zmyślonemi, któremi traktują nas powieściopisarze, to tem wolniej rzeczywistemi...

— Ale pan mnie nie wyda?..

— Co za przypuszczenie!... — zawołał kawaler tonem oburzenia — dałem pani moje słowo-honoru...

— Przechodząc raz mimo drzwi zamkniętych, zatrzymałam się niechęć, i usłyszałam za drzwiami rozmowę prowadzoną przez dwie osoby i poznałam wyraźnie, że jedną z tych osób... był... mężczyzną..

— To jest coś nadzwyczajnego!... — zawołał kawaler.

— Spotkałam się potem z baronówną, jak wychodziła z tego tajemniczego schronienia. Zamknęła pośpiesznie drzwi za sobą, gdy mnie ujrzała i spostrzegłam pomieszanie w jej oczach... Spytałam się jej: „co pani jest, panno Elizo?...” jeszcze bardziej zmieszana się i odpowiedziała, że ją głowa boli...

— W tem jest coś nadzwyczajnego!... — powtórzył kawaler z przyciskiem.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Panna nie miała co opowiadać; kawaler nie miał o co pytać się; więc para nasza pogryzła się w dumanie, z którego wyprowadziło ją przedykanie trąbek, fletów, klarynetów i w ogólności dętych instrumentów, i odzywanie się rzniętych, strojonych przez muzykantów do nastąpić mającego tańca.

— Cóż pani?... — rzekł kawaler podnosząc głowę i pociągając rękawiczki.

Panna odchrząknęła delikatnie.

Przechodzący jakiś kawaler, we fraku i okularach, w białych jak śnieg rękawiczkach i w błyszczących jak lustro trzewikach, przechylił się z gracją i rzekł:

— Czy mogę mieć honor prosić panią do francuskiego kadryla?...

— Przepraszam — odrzekła panna — jestem zaangażowana. Kawaler we fraku uklonił się i odszedł.

— Nie lubię tańczyć z cywiliistami... — powiedziała panna, ułożywszy wzgardliwie usta.

— Więc to robi mi nadzieję, że będę miał honor tańczyć z panią... — rzekł oficer.

— Najchętniej... — odpowiedziała panna.

Odezwały się pierwsze akordy kadryla. Oficer podniósł się, podał pannie ramię i poprowadził ją ku środkowi salonu, a idąc, pochylał nieco ku niej głowę i mówił:

— Pani nie wszystko o tej tajemnicy opowiedziała...

— Dopowiem panu resztę później... — odpowiedziała z uśmiechem.

— Ale kiedy i gdzie?...

— Pojutrze, o piątej wieczorem.. w oranżerji pałacu Kömeni...

Takie same *rendez-vous* danem było przez drugą pannę drugiemu oficerowi... w galerji malowideł pałacu Kömeni.

Jeżeli się czytelnik nie domyśla, to muszę mu powiedzieć, że obydwa owe *rendez-vous* nie tyle tajemnicę panny Elizy, ile coś innego miały na celu. Tajemnica służyła dla nich za pretekst. Ani panna Gertruda, ani panna Katarzyna nie wiedziały nic więcej nad to, co grafowi i ritterowi powiedziały na balu. Na pozajutrz balu pierwsza przyjęła grafa w oranżerji, druga rittera w galerji. Zmrok wieczorny, samotność, fizjognomja miejsca, nadawały szczególny charakter tym przyjęciom. Panna Gertruda ulokowała się pod pomarańczowem drzewem po za cytrynami i kaktusami, i gdy jeszcze trwało oczekiwanie, patrząc przez okna na wieczorne niebo, nastroiła dumanie swoje na ton tej poezji:

„Czy znasz tę krainę, gdzie kwitną cytryny?“...

powtarzając często, niby przygawkę grającym w jej duszy dumaniom:

„*Dahin!... dahin!...*

Möcht' ich mit dir, o mein Geliebter, ziehn!“...

Egzotyczne drzewa i krzewy napełniały oranżerję wonią. Wyobraźnia panny Gertrudy bujała po pomarańczowych i cytrynowych gajach, goniąc za austryjackim oficerem, który wymykał się niby i przesuwał się w gęstwinie, jakby obawiał się, aby żółty owoc nie spadł na niego i nie splamił mu białego munduru. Pannie Gertrudzie przyszło na myśl, że w takim wypadku lepiejby było, gdyby mundur nie był białym ale żółtym; — przyszło jej także na myśl — jakby graf wyglądał w żółtym mundurze?... I gdy biła się z myślami, siedząc pod pomarańczą i patrząc przez okno na wieczorne niebo, niespodzianie stanął przed nią graf.

— Ach!... — wydarło się z piersi panny Gertrudy.

Graf pozdrowił ją elegancko i usiadł przy niej.

To samo, w tejsze prawie chwili, zmodyfikowane z powodu odmienności miejsca i zastosowane nie do pomarańczowych drzew, lecz do obrazów i malowideł, działało się w galerji pomiędzy panną Katarzyną i ritterem.

Rozmowy, jakie tu i tam się toczyły, były warjacja mi na temat tajemnicy, opowiedzianej na balu. Miejsce danych i faktów zastępowały domysły i przypuszczenia, które wywierały ten tylko skutek, że rozbudzały ciekawość. Komentarzami do domysłów i przypuszczeń służyły: filozofja uczuć i fizio logja serca, które ubierały tajemnicę w nadzwyczajnie tajemnicze szaty, ale tak tajemnicze, że rozmawiającym parom wydało się, iż one o wszystkim wiedzą, chociaż nie wiedziały o niczem. Nic więc nie było rzeczywistego, na czem mogłyby rozmowy owe oprzeć się... A!... przepraszam: — były i rzeczywistości, do których następujące zaliczyć należy dane: siedzenie kawalerów obok pańien, — stopniowe zbliżanie się ich ku sobie w miarę stopniowego zwiększania się ciemności wieczornych, w których jedną parę otaczały mocne zapachy oranżeryjne, drugą oblewały z ciemnych płócien migające martwe wzroki przodków Kömenich. Wśród zwiększających się ciemności, w zapale rozmowy, nieraz graf dotykał się panny Gertrudy, a ritter panny Katarzyny, i na-

wzajem: panna Gertruda dotykała się grafa, panna Katarzyna rittera. Suknie panien jakoś niechęć układały się tak, że gdyby było jaśniej, możnaby pomyśleć, że należą one do mundurów rycerzy, jako część do całości. Niekiedy także niechęć, a zawsze w zapale, nóżka w aksamitnym trzewiczku spoczywała na rycerskim lakierowanym bucie. W końcu zapał tak zaszedł daleko, tak uniósł rozmawiających, iż rycerze nie mogli się mu oprzeć; doprowadził on ich bowiem do takiej alternatywy: albo ukłęknąć na jedno kolano i wyznać pannom miłość, — albo zrejterować. A że pierwsze popsułoby im na wieki wieków wszelkie, aczkolwiek nie wyraźne, na baronównę Kōmeni widoki, przeto wstrzymali się od pierwszego. A że do drugiego, byle tylko nie obrażało honoru, niema żadnego wstrętu rycerstwo austriackie, przeto zdecydowali się na drugie: zrejterowali, zmyśliwszy, że ich wzywa służba, i złożywszy na rączkach pułkownikówien po pocałunku, za który zapłacono im westchnieniem i delikatnem uściśnieniem paluszkami.

Po takiej próbie nie mieli już ochoty rycerze nasi narażać się na tentacje zapału, i pytając się od czasu do czasu o postępy odkryć na drodze tajemnicy, nie domagali się już *rendsz-vous* ani w oranżerji, ani w galerji. Nie odbierając jednakże zadowolających na zapytania odpowiedzi, postanowili, ze swojej strony, osobiście badać tajemnicę nadzwyczajnie ciekawą i drażliwą, bo przedstawiającą się pod postacią mężczyzny, ukrywającego się w sypialnym pokoju panny Elizy.

Z postanowieniem badania zrobiło się tak: graf myślał, że nikt inny onego nie przedsięwziął, tylko on sam; ritter myślał także, że nikt inny takowego nie przedsięwziął, tylko on sam. Ani jeden ani drugi nie spodziewał się, ani przypuszczał, aby miał spółnika lub spółzawodnika w przedsięwzięciu.

Badania rozpoczęły się z pałacowego ogrodu, na który wychodziły okna pokoju baronówny. Lecz że pokój był na piętrze i okna wysoko wznosiły się po nad poziom ogrodowy, przeto zajrzeć przez nie do wnętrza nie było sposobu, a tylko można było wieczorami śledzić cienie, których sylwetki zarysowywały się na firankach, i to w takim tylko razie, jeżeli w pokoju było światło, które pokazywało się rzadko, późno, i na krótko. Nieraz długo trzeba było czekać i odejść z niczem; nieraz zajaśniało za firankami na chwilę, pojaśniało, zgasło i znów z niczem trzeba

było odchodzić. Niekiedy pojedynczym samotnym cieniem przesunęła się po frankach postać kobieca, która zaledwo wzrokiem dała się zachwycić. Lecz cierpliwość niemiecka odniosła w końcu tryumf. Po długim badaniu, udało się rycerzom naszym ujrzeć dwa cienie, z których jeden był wyraźnie kobiecym, drugi wyraźnie męskim i do tego olbrzymim. Widzieli je oni dwa razy. Za pierwszym razem cień kobiecy przesunął się i znikł, a na jego miejsce wysunął się powoli męski i stał nieruchomie póty, póki światło nie zgasło. Za drugim razem obydwaj cienie wystąpiły na frankach i dostrzedz się dał pomiędzy nimi pewien ruch, które je to nieco oddalał, to zbliżał, nachylał i prostował, to łączył je z sobą niby w uścisku, to podnosiły się ręce cieniów jakby do objęć. Rycerze nasi zataili dech w sobie i całą istotność swoją zaśrodkowali we wzroku i wyteżyli słuch, usiłując nadaremnie zasłyszeć cichą cieniów rozmowę, której domyślali się po ruchu ich głów. Nie, rozumie się, nie dosłyszeli, lecz utwierdzili się w przekonaniu, że tajemnica jest rzeczywiście romantyczną, i przekonali się — o czem przez pół wątpili — że opowiadania pułkownikowien nie były utworem ich własnej imaginacji. Na tem jednakże kończyły się owoce obserwacyj czynionych z ogrodu. Dla dowiedzenia się czegoś więcej, należało dalej i czyniej posuwać poszukiwania.

Powiadają, że we wszystkim najtrudniejszym jest początek, a byle zacząć, to już tam dalej pójdzie łatwo. Powiadają, że jak kto tylko stanie na krawędzi pochyłości prowadzącej do złego i zrobi po niej jeden tylko krok, to już potem własnym ciężarem stoczy się na sam dół przepaści; kto np. układnie na pierwszy raz rzemyk, ten nie zawaha się sięgnąć po konia. Powiadają także, że amatorskie kradzieże nie czynią hańby złodziejowi, jako to: myśliwego nie hańbi kradzież psa, literata nie hańbi kradzież książki i t. p. Powiadają jeszcze, że podstęp w sprawach miłosnych takie same ma znaczenie, jak podejście na wojnie, to jest: nie nazywa się zdradą, ale zręcznością, i zalicza się do rodzaju czynów na usprawiedliwienie zasługujących. Wszystkie te „powiadają“ zastosować należy do naszych rycerzy, dla usprawiedliwienia sposobu, w jaki oni poprowadzili swoje poszukiwania. Stanęli na krawędzi złego, bo przejęli się ciekawością zbadania cudzej tajemnicy; jak złodziej od rzemyczka, tak oni od wpatrywania się na franki rozpoczęli; tłumaczyli sobie zło ama-

torstwem, gdyż uznawali się amatorami panny Elizy, albo raczej jej posagu i pozycji społecznej, i uważali przytem jako konieczne i wcale godziwe zgłębienie tajemnic tej, która miała albo przynajmniej przez przypuszczenie zostać mogła małżonką jednego z nich, a nadto wyperswadowali sobie, że podstęp uchodzi w sprawach miłośnych.

Pewnego więc wieczora, o tak spóźnionej dobie, która wieczorem nazywa się przez grzeczność tylko dla wielkiego świata, mieniącego noc wieczorem, ale w której jest już ciemno zupełnie, nie wiadomo jakim sposobem ritter fon Grüşzkenwürsten znalazł się w pałacu, na tem piętrze, na którym mieszkała baronowa i na którym był apartament panny Elizy. Ritter sam jeden siedział w ciemnym pokoju, od którego drzwi stały otworem i wyprowadzały przez szereg innych pokojów również ciemnych do przedsieni, z której wchodziło się do sypialni baronówny. Zmiejsca, w którym ulokował się, można było dojrzeć do przedsieni, bo kilka tych drzwi, które szły jedne po drugich, były na przestzał. Po nocy nic wprawdzie nie widać; ale gdyby w przedsieni pokazało się światło, to z łatwością możnaaby je rozeznać. Siedział ritter długo, nudził się straszliwie, kilkakrotnie podnosił się, chcąc odejść, ale za każdym razem usiadał na powrót i wpatrywał się w otwarte drzwi, albo raczej w kierunku otwartych drzwi, bo zupełna ciemność nie widzieć nie dozwalała. Było przytem, jak nasz poeta powiada „cicho wszędzie, głucho wszędzie“, i wśród tej ciszy i ciemności oczekiwanie rittera miało w sobie coś zagadkowego. Tak czeka złodziej, zbój, czyhać na cudzy worek i życie, tak czeka czasem kochanek, tak czeka żołnierz na zasadzce, tak wreszcie czeka szpieg; a każdy z nich ma jakiś cel przed sobą — czeka na coś. Na co czekał ritter?...

Okolo jedynastej godziny zajaśniało światło w przedsieni. Czy ritter motylej był natury, że tak się zerwał do światła?... Zerwał się i lekko na palcach podbiegł do pierwszych drzwi, stanął i puścił wzrok ku światłu, w którym mignęła postać panny Elizy. Przez kilka chwil światło oblewało przedsiień, i półświatłem coraz słabszem przedzierało się przez drzwi do ciemnych pokojów. W ciszy nocnej rozległo się zgrzytnięcie klucza, sprężyna zamka zadzwoniła, drzwi stuknęły i światło znikło. Nastala znów ciemność głęboka.

Ritter powstał jeszcze przez chwilę, odetchnął kilka razy jakby chciał w płuca naciągnąć powietrza, i powoli, ostrożnie, na palcach, począł z pokoju do pokoju przechodzić, kierując się ku przedsieni. Idąc zatrzymywał się często i oddychał, męczyło go to powolne stąpanie; a przytem stawiając stopy na podłodze, zdawało mu się, że słyszy odgłos własnych kroków, że posadzka, pod jego nogami ugina się, łamie; a jakby na złość — bóty które nigdy nie skrzypiały, wydawały skrzypienie, sustawy w kolanach i w zgięciach stopy pękały, pulsa nawet tętniały głośno. Męczył się więc nasz rycerz i szedł, i w duchu myślał, że się poświęca, i że za takie poświęcenie nie może go ominąć nagroda, która mu się przedstawiała pod postacią baronówny Elizy Kömeni i jej milionów. Myślał także i o tym olbrzymie, którego cień widział na frankach; myślał o rozprawie, jaką stoczyć przyjdzie z nim. Powiedzieć potrzeba, że tajemniczy ten olbrzym stawał w wyobraźni obydwóch rycerzy naszych w kształtach smoka lub potwora mytologicznego, i wzbudzał w nich Herkulesowe i Tezeuszowe zapędy. Pałali żądzą zmierzenia się z nim.

Doszedł nareszcie ritter do przedsieni. We drzwiach zatrzymał się, odetchnął tłumiąc w sobie oddychanie i wzdłuż ściany puścił się ku drzwiom sypialnego pokoju panny Elizy. Wyciągniętą prawą ręką dotykał się ściany; szedł szybciej jak w pokojach, jakby chciał jedaym susem skrócić sobie przestrzeń; namacawszy odźwierek, zgiął się wpół, w ucho jego wpadł odgłos rozmowy — wyciągnął więc głowę nachylił ucho ku drzwiom — pochylił się całym ciałem naprzód... i...

I stuknął czołem o drugą głowę...

W pierwszym momencie rycerz nasz doświadczył takiego uczucia, jakby złapanym został na gorącym uczynku. Wyprostował się. Krew uderzyła mu do głowy.

Po chwili na piersi rittera oparła się jakaś ręka, i dotknawszy się piersi szybko kilka razy z dołu do góry, spadła rozwartemi a wpół-skurczonemi palcami na jego twarz. Rittera ogarnęła wściekłość. Wyciągnął on także rękę przed siebie i od razu namacał szereg guzików metalowych, potem stojący kołnierz, nakoniec twarz i wąsy, i poznał, że ta twarz i wąsy unoszą się nad ciałem ludzkim, ubranem w mundur austrijacki.

— Ritter fon Grüzkenwürsten... — szepnęły usta należące do twarzy obmacanej przez rittera.

— Graf fon Hinterloch... — szepnął ritter.

Nastąpiła chwila milczenia. Rittera wściekłość rosła, wzmacniała się, pchnął bowiem, że nie tylko złapanym jest na gorącym uczynku, ale złapanym przez rywala. Z uczuciami grafa to samo mniej więcej działo się. Lecz bądź, że ten ostatni był ziemniejszym, bądź że umiał lepiej panować nad sobą, graf milczał, ritter wybuchnął. Raptem wśród ciszy nocnej, głośno, wyraźnie i z pewnym rodzajem gwałtownej deklamacji, zabrzmiały następujące wyrazy:

— Grafie!... ty podsłuchujesz?... hańbisz mundur, który nosisz na sobie!...

I po krótkim przestanku, jeszcze gwałtowniej wymówiony, dał się słyszeć dodatek energiczny.

Dodatek ten był finałem. Graf nie odpowiedział. Podniósł on rękę, jakby chciał zamierzyć się i uderzyć, lecz powstrzymał się, przypomniawszy snadź sobie, że pomiędzy ludźmi wysokiego urodzenia nie uchodzi, aby jeden drugiego bił w twarz. Obrócił się więc i odszedł. To samo uczynił i ritter.

Potrzebą doprawdy takiego zdarzenia, ażeby dwaj ci spółzawodnicy nie spotkali się nigdy z sobą w ogrodzie, pomimo że zawsze ztamtąd jednocześnie robili postrzeżenia na frankach. Tłumaczy się to tem, że każdy z nich wystrzegał się świadków, i chociaż nieraz jeden drugiego zajrzał, ale zawsze z daleka; a że to działo się nie inaczej jak wieczorem, wśród drzew i z zamiarem unikania jakich bądź świadków, jakimi przypuszczalnie mogli być domownicy baronowej, lub żołnierze kwaterujący w pałacu, przeto rycerze nasi nie poznawali się w ogrodzie i nie o sobie nie wiedzieli.

Spotkanie się ich przy drzwiach panny Elizy było dla nich smutnym nader wypadkiem. Powrócili do siebie rozdrażnieni i rozjątrzeni. Graf zlażał odźwiernego hotelu, w którym kwaterował, a który nazywał się: pod *Złotą Gęsią*. Ritter także zlażał odźwiernego hotelu, w którym kwaterował, a który nazywał się: pod *Złotą gruszką*. Przyszedszy do siebie, rozebrali się oni i położyli, ale świec nie gasili i usnąć nie mogli. Palili cygara po cygarach — zrywali się i w pantoflach, zarzuciwszy szlafroki na grzbiet, chodzili po pokoju — znów się kładli — brali do

rąk dzieła wojskowe, które służyły im jako nie zawodne na bezsenność lekarstwo: — nie nie pomagało... — spać nie mogli... Nad rankiem graf zasiadł do pisania. Z gorączkowym jakowemś drżeniem chwycił ćwiartkę po ćwiartce listowego papieru, pisał i mazał, mazał i rozdzierał. W końcu ostatnią ćwiartkę złożył, zapieczętował, zaadresował i zawoławszy swego *privatdienera*, wręczył mu ją z takim rozkazem:

— Pójdź do hotelu pod *Złotą gruszką* i oddaj to do rąk własnych rittera fon Grüzkenwürsten!... Jeżeli spi niech go obudzają, bo to interes bardzo ważny i niecierpiący najmniejszej zwłoki!... I przynieś mi odpowiedź!... Rozumiesz?!...

— Rozumiem — odpowiedział służący i odszedł, i nie czekał na rozbudzenie się rittera, bo ritter nie spał.

W kwadrans więc później miał już graf odpowiedź.

List grafa był taki:

„*Herr Ritter,*

„Aczkolwiek świat jest szerokim, ale po zdarzeniu wczorajszym stał się on ciasnym dla nas dwóch. Raz jeden i raz ostatni jeszcze w życiu możemy sobie w oczy spojrzeć: na placu pojedynku. Uprzedzam listem niniejszym przyjście do pana sekundanta mego, (którego — nie wątpię — pan spodziewasz się), dla tego, aby uprzedzić pana, że za powód do pojedynku chcę wziąć tylko to, żeś mi pan powiedział grubiaństwo... To tylko i nic więcej. Reszta niech zstąpi z nami do grobu. Niech nikt nie wie, kiedy i gdzie wyrażenie to wymówionem zostało przez pana. Spodziewam się, że zrozumiesz pan powody mego żądania i zastosujesz się do nich.“

Podpis: „A. L. graf fon Hinterloch.“

Odpowiedź rittera była następująca:

„*Herr Graf,*

„Rozumiem powody pańskie, które są także mojemi, i zastosuję się do nich literalnie. Czekam na sekundanta pańskiego.“

Podpis: „L. A. ritter fon Grüzkenwürsten.“

W parę godzin po zamianie tej korespondencji, pomiędzy hotelem pod Złotą Gęsią, a hotelem pod Złotą Gruszką nastąpiło krążenie oficerów austryjackich, układających warunki pojedynku. Powód osądzonym został powszechnie i jednogłośnie, jako aż nadto dostateczny do najwyższego obostrzenia warunków. Według zdania najkompetentniejszych, za taką obelgę nie można było inaczej, tylko życiem zapłacić. Dziwiono się, skąd się wzięło ritterowi nazwać grafa tak nieprzyzwoicie; ale fakt obelgi, przyznany przez obie strony, istniał wyraźny; więc nie o dziwieniu się, ale o reparacji honoru trzeba było myśleć. Postanowiono przeto takie warunki: bronią, mają być pistolety ciągnięte; pierwsza meta odległą będzie na kroków piętnaście, druga na siedm; przy drugiej mecie przeciwnicy zatrzymają się i będą do siebie strzelać razem i na komendę; po każdym strzale odstąpią do pierwszej mety; liczba strzałów jest nieograniczoną, na wybór stanowisk będą się ciągnąć losy.

W oznaczonym więc czasie, około południa tego dnia, w którym się wyzwali, ritter i graf. spotkali się z sobą za miastem, pod laskiem. Spotkali się odważnie. Stanąwszy na drugiej mecie, wzniesli pistolety — zmierzyli jeden do drugiego, — na wyraz „*drai!*“, wymówiony przez jednego z sekundantów, dwa strzały padły — graf i ritter razem zwrócili się na miejscu i — obydwu padli... Sekundanci i doktor poskoczyli ku nim, ale nie było po co. Przeciwnicy strzelili sobie prosto do łbów i obydwu trafili... Za ciasnym wydał się im szeroki świat, wynieśli się na szerszy, na którym zapewne dowiedzieli się, że śmierć ich była nie reparacją honoru, ale karą za złe zrozumienie honoru, karą którą Opatrzność zsyła niekiedy na takich, jak graf i ritter rycerzów, różniąc ich pomiędzy sobą nie wiedzieć o co — jak Francuz powiada: „*à propos des bottes.*“

XI.

Wieść o pojedynku pomiędzy grafem a ritterem, a bardziej jeszcze wypadek pojedynku przeraziły tak pułkownikową, jak panny: Gertrudę i Katarzynę. Od razu, w jednym oka mgnienu,

splątała się i porwała całkowita tkanka najpiękniejszych nadziei jakie sobie te panie snuły. Pułkownikowa dostała spazmów; panna Gertruda zemdląła i panna Katarzyna zemdląła, a gdy przy pomocy pułkownika, panien służących, kamerdynera i prywatdienerów, powróciły do przytomności i zmysłów, to były takie smutne a takie blade, że same siebie nie poznały w zwierciadle, pomimo, że znajomość z samemi sobą była ich najlepszą znajomością, a to dla tej przyczyny, że bardzo często oglądały się w zwierciadłach. „Och“ i „ach“ stały się najmilszemi ich wyrazami, a myślenie o nieboszczykach najmilszem ich myśleniem. W jakiejże bo chwili, jak piorun, spadła na nie ta wiadomość!... Właśnie panny, po raz setny już może, opowiadały matce wszystkie drobne i drobniejsze szczegóły owych *rendez-vous* w oranżerji i galerji malowideł.

— Drżała mu ręka — mówiła jedna — jękał się, zbliżał. wyraźnie chciał... już, już... ale... nie wiem dlaczego...

To prawie samo mówiła druga.

— W tem nie ma nic dziwnego... — po raz setny tłumaczyła córkom matka. — Mężczyźni w razach takich są niesłychanie wobec kobiet nieśmiali... o!... bardzo nieśmiali... Ja wiem o tem... Ileż to razy!...

Pułkownikowa zająknęła się, a panna Gertruda podchwyciła:

— Dlaczegoż mają być nieśmiali?... czegożby mieli się bać?... Graf taki odważny!... ma nawet order za to, że rzucił się na harmaty...

— Ritter ma order za to, że obronił harmaty... — dodała ze swojej strony panna Katarzyna.

— Co innego harmaty, a co innego kobiety... — odparła pułkownikowa.

Kiedy dopowiadała ostatniego wyrazu, wpadła wieść o śmierciach grafa i rittera, i przerwała poufną matki z córkami rozmowę.

Po przejściu spazmów i mdłości nastąpiły płacze, potem ciche żale, a naostatek rozmyślanie.

Pierwszym owocem rozmyślania był zamiar przywdziania żałoby. Urzeczywistnienie jednakże tego zamiaru spotkało wielkie trudności, bo pokazało się: że żałoby grubej nie można było przywdziewać, pół żałoby nosić nie wypadało, éwierć żałoby nie,

było, a więc pozostało tylko wymyślić wspomnienie żałoby, któreby świadczyło o smutku serca. Nad tem ostatniem myślały panny długo i skłaniały się, raz do włożenia czarnych wstążeczek na szyję, drugi raz do wplecenia czarnych aksamitek w warokocze, to znów były za czarnemi paskami lub bransoletami, ale ostatecznie zdecydowały się na czarne podwiązki, które ślubowały sobie nosić przez cały rok, a na większe umartwienie postanowiły, jedna — przez cały miesiąc nie dotknąć się sztrudła z serem, druga — przez cały miesiąc nie jeść knedłów.

Drugim owocem rozmyślenia było zapytanie: jakim był lub być mógł prawdziwy pojedyńku powód?.. Z zapytaniem tem zrobiło się mniej więcej to samo, co z zamiarem: trudno je było rozwiązać. Oczywiście bowiem było, że obelga wypływała jako skutek z jakowejś przyczyny; ale ta przyczyna?.. Jużci nieboszczyk ritter nieboszczyka grafa nie nazwał „po grubiańsku“, ot tak sobie, za nic... Panna Gertruda wpadła w końcu na domysł, że musiała to być jakaś rywalizacja, i że przedmiotem rywalizacji mogła być ona sama; a zestawiając rozmaite spojrzenia i wyrzeczenia nieboszczyków, utwierdziła się w tym domysle i ostatecznie przekonała się, że ritter pozazdrościł grafowi jej serca. Panna Katarzyna do takich samych doszła konkluzyj, z tą jedynie różnicą, że odniosła je nie do siostrzynej, ale do swojej osoby.

Żałoby i rozmyślenia pułkownikówien wypadły bardzo po-myślnie dla bezpieczeństwa Szandora. Zapomniano o drzwiach zamkniętych i o tajemnicy, zaprzestano podglądać i podsłuchiwać, i bohater nasz spokojnie kończył swoją rekonwalescencję. Wprawdzie spokój jego raz tylko został zakłóconym, wówczas kiedy nieboszczykowie zrobili podedrzwiami hałas. Zmieszkało to Szandora, jeszcze bardziej pannę Elizę, która postrzegła, że jest od pewnego czasu pilnie śledzoną, ale postrzeżenia tego nie udzielała nikomu, a tem mniej Szandorowi i tylko podwoiła ostrożność: zamykając pilnie drzwi, chodząc bardzo rzadko do chorego i na odwizanie go wybierając takie chwile, w których pewną była, że ani idąc, ani wracając, nie spotka się z nikim z Austryjaków. Ta jej ostrożność była powodem, że pułkownikówny takie słabe czyniły postępy na drodze odkrycia tajemnicy.

O pobycie Szandora w pałacu wiedzieli, jak już mówiłem, wszyscy domownicy baronowej, ale nie wiedział żaden Austryjak.

Domownicy, gdy usłyszeli od Istwana taką przemowę: „baronka chce, abyście ani słowa nikomu nie mówili, że w pałacu ukrywa się ranny żołnierz,“ daliby się, każdy z osobna, w drobne posiekać kawałki, a nie zrobiliby tego, czego baronka nie chce. Z ludzi obcych, niemieszkających w pałacu, wiedział doktor, który z początku codziennie, a potem coraz rzadziej chorego odwiedzał, i który także zachowywał skrupulatnie najgłębszą tajemnicę.

Szandor przychodził szybko do zdrowia. Sztuka doskonałego lekarza w połączeniu z troskliwem pielęguowaniem, z wygodami i z młodością pacjenta, wyleczyły go z gorączki i goiły ranę, tak, że co dnia znać było, jak mu powracały siły i zdrowie. Na parę tygodni przed pojedynkiem, Szandor wstał z łóżka i przechadzał się po apartamentach panny Elizy, składających się z kilku pokoi, które wszystkie zostawione były na jego wyłączny użytek. W cienkiej bieliźnie, w aksamitnym szlafroku, w miękkich pantoflach, deptał nasz bohater po pysznych kobiercach i rozwałął się w fotelach i na kanapach. O takim przepychu i wygodach, ani mu się przysniło nigdy. A jeżeli nie ten przepych, to te wygody wybornie mu służyły: bo wydelikatniał jak panicz i wypiękniał, i gdyby go podejrzwały w takim stanie pułkownikówny, wzięłyby go za potomka jakiejś znakomitej arystokratycznej rodziny, za którego z Esterhazyh, Batyanich, Karolyh, albo Telekich, i nie wątpiłyby, ani na pół chwili, o tajemniczo-romansowych stosunkach pomiędzy nim a baronówną Kömeni.

Co się tyczy stosunków pomiędzy Szandorem a panną Elizą, to te były takimi, jak pomiędzy chorym a dozorczynią, z dodatkiem wielkiej wdzięczności z jednej, a prawdziwego poświęcenia z drugiej strony. Szandor i panna Eliza kochali się: miłością opartą na wdzięczności i poświęceniu, i okraszoną wspólnością uczucia, jakiem ich serca dla sprawy węgierskiej biły. Szandor w pannie Elizie widział anioła zbawcę, anioła opiekuna i anioła stróża, i miał dla niej cześć, jak dla anioła; panna Eliza widziała w Szandorze walecznego żołnierza, którego życie i zdrowie było dla niej drogim, bo on to życie i zdrowie poświęcił na usługi ojczyzny. Innych stosunków pomiędzy nimi nie było i być nie mogło; o innych stosunkach — Szandor ani marzył, pannie Elizie ani przez myśl nie przeszło. Bohaterowi naszemu, póki jeszcze był w gorączce i kiedy, usługując mu, sta-

wała przed nim lub pochylała się nad nim baronówna Kömeni zawsze zdawało się, że stoi przed nim i pochyla się nad nim Maryjka Simiczówna; a kiedy przyszedł do przytomności, to zawsze tylko Maryjka w oczach i w myśli mu stawała. On o niej mówił niekiedy z baronówną, nazywał ją swoją narzeczoną, i uważał siebie zobowiązanym względem niej ślubem tak silnym i tak świętym, jak małżeński; chcąc zaś pochwałą wywdziękzyć się baronównie za troskliwość, powiadał:

— Wy, panno, podobniście do mojej narzeczonej... Nie jesteście podobni z twarzy.... ale... nie wiem z czego;... aleście bardzo podobni.

— Jakże wygląda twoja narzeczona?... — pytała go panna Eliza.

— O! moja narzeczona bardzo ślicznie wygląda...

— Czarne ma włosy?

— Nie, nie czarne.

— A oczy, jakie?

— Błękitne ..

— A ile ma lat?...

— Siedemnaście.

— To chyba z lat tylko podobną jestem do niej — mówiła panna z uśmiechem.

— Nie tylko z lat... — odpowiadał Szandor — ale... nie wiem z czego... Dość, że kiedy patrzę się na pannę, albo kiedy panna przemówi, to mi się natychmiast przypomina Maryjka.

Szandorowi wydawało się, że większego komplementu nie mógł baronównie powiedzieć, jak porównać ją ze swoją kochanką. W zamian za te komplementa, panna Eliza udzielała mu wiadomości z teatru wojny.

Wiadomości te dwojakiego były rodzaju: niepomyślne i pomyślne. Pierwsze pochodziły od Austryjaków i z gazet wiedeńskich, któremi Peszt był napelniony. Drugie przynosił zwykle Istwan z miasta, czerpiąc je niewiedomo skąd, i udzielając takowych pod sekretem baronowej i pannie Elizie. Te ostatnie krążyły po Peszcie cicho, jak kontrabanda. Rozprawiano o nich półgłosem, oglądano się, gdy mówiono, że Węgry nie tak źle stoja, jak o tem Austryjacy mówią i piszą.

A jednakże pomimo tajemnych pocieszających wiadomości, Węgry przez całą zimę bardzo nie szczególnie stali. Odrzuceni

za Cissę i do północnych komitatów, rozdzieleni na drobne korpusy, nie mogli nic stanowczego przedsięwziąć. Słychać było, że oblegają Arad — ale nie było słychać, żeby go zdobyli; rozchodziły się wieści o potyczkach — ale potyczki pozostawały bez rezultatów. Austryjacy zajmowali stolicę, oblegali Komorn, wzmacniali swoje siły, obsadzali ważniejsze stanowiska, fortyfikowali się, koncentrowali wojska i głośno zapowiadali, że z pierwszymi dniami wiosny zgniotą buntowników na miazgę. Istwan przeczył temu przed baronową, a przeczenia swoje opierał na tem, że niepodobna, aby Austryjacy zgnetli Węgrów, dlatego, że tam jest stary baron z synami.

— Jeżeliby z naszymi było kręto — powiadał — to niech tylko starego barona zrobią naczelnym wodzem, a młodych panów generałami, to już oni zasypią Austryjakom pieprzu!.. Stary baron nie wiele gada, ale jak co zrobi, to pewno dobrze..

Baronowa wysłuchiwała w milczeniu opowiadań i rozpraw Istwana; nie okazywała po sobie żadnego wzruszenia, jakby wszystko było dla niej obojętnem; czytywała gazety jak zwykle, i tylko dłużej jak zwykle, zrana i wieczorem pozostawała na klęczniku, na którym klęcząc modliła się.

W pierwszych dniach marca zaczęto po mieście szeptać dwóznacznie o Kapolnie, chociaż w gazetach wyraźnie i obszernie opisywali Niemcy o świetnem zwycięstwie, jakie pod Kapolną odnieśli.

W parę dni później, z rana, baronowa i panna Eliza siedziały w ustronnym saloniku, w którym miały zwyczaj przeżywać, dla jak największego odosobnienia się od nieproszonych gości, zajmujących pałac. Raptem drzwi się otwarły i wpadł Istwan. Twarz starego zdradzała silne jakieś wzruszenie; oczy mu błyszczały. włosy, które zwykle starannie przyczesywał, były tym razem w nieładzie.

Baronowa spojrzała na niego pytającym i nieco zdziwionym wzrokiem, bo nigdy w życiu w takim stanie marszałka swego dworu nie widziała. Istwan stanął przed baronową, odetchnął kilka razy tak, jakby mu w płucach powietrza zabrakło, oczy jego śmiały się zachwytem radości, chciał mówić — ale nie mógł.

— Istwan!.. co ci jest?.. — rzekła panna Eliza, wstając i podchodząc ku niemu.

— Panno!.. — zawołał nareszcie stary sługa — kochana moja baronko!..

Złożył ręce jak do modlitwy i wznosił je do góry.

— Co ci jest!.. Istwan!.. — powtórzyła panna Eliza z przeżeniem, myśląc, że stary marszałek zwarzjował może.

— Nasi zwyciężyli!.. — krzyknął nagle — zwyciężyli!.. — rozbili w puch... rozpedzili na wszystkie wiatry... Niemców... pod Solnokiem!.. Pod Solnokiem!.. — powtórzył dobitnie — wzięli wszystkie niemieckie harmaty!.. wszystkich niemieckich generałów!.. wszystkich Niemców wybili... wytopili... wyłapali!..

Zapał starego coraz wzrastał.

— Baronko moja!.. panno kochana!.. — ciągnął dalej — nasi zwyciężyli!.. *Lengyel-Ułani* i *Magyar-Huzary* wykluli... rozsiekali... wyrabali niemieckich Kirysierów i Dragonów.

— Cicho!.. — rzekła baronowa powoli, wyciągając ku Istwanowi rękę.

Ale stary nie był w stanie panować nad sobą. Radość wezbrała w nim nad miarę. Zrozumiał on znaczenie wyrazu „cicho“ i gestu baronowej, i umilkł na chwilę. Baronowa była spokojną. Panna Eliza przyciskała piersi swoje rękoma, łyż rześiste toczyły się jej po policzkach, a usta wymawiały wyraz: „ojciec“ i imiona braci i szwagra, i jeszcze jakieś inne, którego dosłyszeć nie było można.

Istwan pasował się sam z sobą. Nie wiedział, jak wynurzyć radość swoją niemyim sposobem. Rozpromienionemi oczami spoglądał przez chwilę na panię swoją, i upadł przed nią na kolana, i porwawszy jej rękę przycisnął ją do ust, a obracając się do panny Elizy, wyciągnął do niej ramiona i przygarnął ją do siebie. Baronówna, uniesiona wzruszeniem, pochyliła się w objęcia sługi, objęła jego głowę i łyż jej spłynęły mu na twarz. Baronowa milczała a stary powtarzał: zwyciężyli!.. rozbili!.. zwyciężyli!.. Ten wyrazów tych, wymawianych zrazu cicho, wzrastał za każdym powtórzeniem, i — że tak rzekę — rozpałał stopniowo Istwana, i kiedy doszedł pewnego donośnego stopnia wysokości, Istwan zerwał się, oczy jego pałały groźbą, wznosił prawą rękę do góry.

— Ot teraz pójde — zawołał — i temu... tam na dole... łeb rozwalę!.. Porwę za nogi, i głowy o mur porozbijam tym flondron, które nam pałac zapaskudziły!..

Z twarzy i z oczów starca można było czytać, że w nim krew Hunna zagrała.

Baronowej usta lekko zadrżały, a przez oczy jej jakaś błyskawica przesunęła się i znikła. Wyciągnęła ona znowu rękę i rzekła spokojnie :

— Bądź cicho, Istwan... Może ta wiadomość jak wiele innych, nie sprawdzi się..

Istwana jakby zimną oblał wodą.

— Sprawdzi się — odparł cicho — wszyscy o tem mówią.

— Przynies mi gazety... — powiedziała baronowa.

Istwan wyszedł i wkrótce wrócił z gazetami. Baronowa przebiegła je oczyma, wstała, udała się do pokoju w którym był klęcznik, uklękła i modliła się. Panna Eliza odczytała gazety głośno. W nich była krótka wzmianka o Solnoku, zwiastująca czytelnikom, że w skutek planu, dla strategicznych powodów, korpus wojsk cesarskich, który stał w Solnoku, cofnął się do Cegledu, i że hordy buntowników, które temu ruchowi usiłowały przeszkodzić, zostały zwycięsko odparte. Był przytem dodatek, że skutkiem opuszczenia przez cesarskie wojska Solnoka, miasto to jak słychać, zajętem zostało przez Węgrów.

— Ale nie piszą tam — zapytał z drwiącą miną Istwan — że dla ulżenia sobie zapewne pochodu, oddali Niemcy buntownikom wszystkie bagaże i harmaty?..

— Może nie oddali, może mylne masz wiadomości... — zauważyła baronówna.

— Ale!.. mylne!.. — odparł Istwan. — Zobaczemy!..

Zabierał się do odejścia ; ale, jakby przypomniał coś sobie, wrócił się od proga i dodał :

— A gdyby o tem powiedzieć temu rannemu huzarowi, to onby wyzdrowiał od razu...

Każdy z następnych dni przynosił nowe szczegóły, sprawdzając wiadomość Istwana o bitwie i zwycięstwie pod Solnokiem. Rozumie się, że szczegóły owe powiększały rzeczywistość ogromnie i zwycięstwu nadawały olbrzymie rozmiary. Zabitych obliczano na dziesiątki tysięcy, jeńców wziętych przez Węgrów także na dziesiątki tysięcy, harmaty na setki. Cieszono się harmatami i zastanawiano się nad tem: co Węgry zrobią z taką ilością jeńców?.. Jedni byli tego zdania, żeby jeńców użyć do sypania okopów; drudzy twierdzili, że okopy Węgróm są nie-

potrzebne, więc lepiej zaprządz Niemców do pługów i orać nimi ziemię; innym się zdawało, że najlepiej byłoby wszystkich niewolników w pień wyciąć i dokoła madiarskiej krainy powbijać słupy, a na każdym słupie zatknąć głowę niemiecką na postrach dla Niemców. Rozprawy tego rodzaju toczyły się po większej części pomiędzy Madiarami, z oglądaniem się na wszystkie strony i z wystrzeganiem się zbytecznych świadków, jakimi byli Austryjacy. A chociaż tym ostatnim nie mówili Madiary, że chcą nimi sypać okopy, orać ziemię i ich łbami wytykać granicę, miny ich jednakże w marcu 1849 roku, strasznie marcowo wyglądały.

Echo rozlicznych tych wieści o pomyślności oręża węgierskiego, ustami panny Elizy przedzierało się do Szandora i wywierało na nim taki skutek, jakiego spodziewał się Istwan. Pod wpływem pomyślnych wieści, bohater nasz potężniał w drowiu i siłach. O Solnoku nie powiedziała mu panna Eliza wszystkiego od razu, bo obawiała się, aby mu nie zaszkodziła zbyteczną radością; ale on jakby przeczuł tę pomyślność — gdy usłyszał wymówiony wyraz „Solnok,“ uniósł się uradowaniem, jakby samo brzmienie liter składających się na ów wyraz, zawierało w sobie powód radości.

— Trzeba mnie już podziękować wam za starania i isć....
— powiedział.

— Dokąd?.. — zapytała panna.

— Do pułku...

— Bez pozwolenia doktora isć nie możesz... Trzeba żeby pierwszej zagoiła się rana, a potem trzeba poczekać, aż przyjdą nasi, Austryjacy mogliby cię złapać jeszcze...

— O! czekać nie będę!.. — odparł stanowczo Szandor. — Znam wszystkie przechody... złapać się nie dam...

Około dwudziestego marca, doktor opatrzwszy Szandora, wybadawszy i za pomocą instrumentów wyoskultowawszy jego piersi, powiedział mu:

— Jesteś zdrow zupełnie...

— Gdzież są nasi?.. — zapytał go na to Szandor.

— Nasi... — odparł doktor, uśmiechnął się i pomyślawszy przez chwilę dodał:

— Muszą być teraz w okolicy Tissa-Füred, albo Jagru...

Szandor natychmiast, za pierwszym widzeniem się upomniał

się u baronowej o swój mundur, bieliznę i buty, dlatego, że mu się nie zdawało, aby mógł puszczać się w podróż w aksamitnym szlafroku, batystowej bieliznie i miękkich pantoflach. Żądaniu jego jednakże nie można było uczynić zadość: mundur bowiem został przez ostrożność spalonym, bielizna i buty gdzieś się zapodziały. Baronowa więc, która nie miała najmniejszego powodu sprzeciwiać się woli swego eks-pacienta, ani możliwości umundurować go, zdała całą tę sprawę na Istwana, i ten wyszukał spencer, buty, bieliznę i kapelusz, i ustroił Szandora nie po huzarsku wprawdzie, ale po węgiersku. Tego samego jeszcze wieczora bohater nasz pożegnał baronową i pannę Elizę.

W pożegnaniu Szandora z jego dobrodziejkami było coś, co możnaby nazwać dziwnem. Baronowa żegnała go, jakby wyprawiała posłańca z listem. Kiedy on ją pocałował w rękę, ona mu powiedziała:

— Idź, a bij się dobrze!..

Szandor dziękował za pielęgnowanie, jakiego doświadczył w chorobie, nazwał baronową matką, która mu dała życie. Pani nic na to nie odpowiedziała. Dziękował on i pannie Elizie, i kiedy do niej przemawiał, słowa zamierały mu w gardle, pierś przepelniała się jakimś dziwnem wzruszeniem.

— O!.. gdy o wszystkim, czegom od pani doznał — mówić do baronówny — opowiem mojej narzeczonej, jak że ona wdzięczną będzie!..

— Bądź ostrożnym, żeby cię nie złapano, zanim dostaniesz się do pułku... — odpowiedziała mu baronówna na to, i głos jej drżał z lekka, jakby zdradzał słaby odcień troskliwości o bezpieczeństwo tego, któremu uratowała życie.

Szandor wyszedł. Istwan wyprowadził go tylnymi drzwiami na ogród; w ogrodzie spotkał ich przewodnik, który tam czekał z polecenia Istwana, i który przez mur ogrodowy, przez jakieś boczne uliczki, przedmieściami, przez winnicę, wyprowadził Szandora za Peszt.

Noc była ciemna. Szandor w milczeniu szedł za przewodnikiem i rozmyślał nad dziwnem zrządzeniem losu, który mu pozwolił pańskich użyć rozkoszy. Za miastem przewodnik zatrzymał się.

— Oto twoja droga... — rzekł do Szandora, i ukazując ręką na prawo, dodał:

— Tam idzie trakt wielki, który prowadzi do Gödöllő... Na tym trakcie możesz spotkać się z Niemcami; ale na tej drożynie nie spotkasz ich, a choćbyś i spotkał, to góry i lasy potrafią cię ukryć przed nimi... Wsie po drodze będziesz miał madiarskie... Idź z Bogiem... a bij Niemca!..

Szandor puścił się w ukazanym sobie przez przewodnika kierunku, i uszedłszy kilkaset kroków, zatrzymał się raptownie, jakby sobie coś przypomniał, — powrócił szybko na miejsce, na którym rozstał się z przewodnikiem, — zawołał na niego, — powstał przez chwilę, — znów krzyknął, — jeszcze poczekał, '— nikt mu nie odpowiadał; — przewodnik znikł w ciemnościach nocnych, jak kamień do wody wrzucony.

Żeby wytłumaczyć czytelnikowi powód tego raptownego powrotu Szandora, powiedzieć należy, że nie wiedział on, jak się nazywali jego dobroczyńcy. Przypomniał więc sobie, że go dzi się o tem wiedzieć i chciał zapytać przewodnika. Nie dowolałszy się go jednakże i nie wiedząc w jakim gonić za nim kierunku, machnął gniewnie ręką i poszedł w swoją drogę; a włożywszy rękę do kieszeni, jak zwykli czynić ludzie, którym się coś nieuda, namacał pieniądze.

— Tfu!... — splunął ze złością i rzekł: — trzebaż być gapiem, ażeby nie wiedzieć jak się nazywają ludzie, którzy mi tyle dobrego zrobili!... Jeżeli kiedy powrócę do Pesztu, to się o tem dowiem — dowiem koniecznie!... chybaby mnie druga kula lepiej trafiła jak pierwsza...

W podróży swojej nie miał nasz bohater żadnych wypadków. W pierwszej wsi, jaką nadedniem spotkał na drodze, a która była w tej samej co Gödöllő od Pesztu odległości, dostał towarzyszy i przewodników; była to bowiem wieś madiarska z której kilku młodych ludzi wybierało się do wojska. Z nimi więc ruszył dalej trzymając się zawsze dróg ubocznych, minął Hatwań, przeszedł przez Gyöngyös, i w Verpelecie, po raz pierwszy po chorobie, zatrzymanym został przez warty węgierskie. Zabiło mu serce mocno, kiedy usłyszał okrzyk :

— *Aj!... ki wot'!...* (stój!... kto idzie!...)

— *Swój!...* — odpowiedział — *Madiar!... huzar!...* wracający do pułku...

Odprowadzono go wraz z młodymi ochotnikami do najbliższej placówki, z placówki do strażnicy, a z tamtąd do głównej

kwatery, jako takiego, który według własnego zeznania przychodził z okolic zajętych przez nieprzyjaciela. W głównej kwaterze zadano mu kilka zapytań, dotyczących się stanowisk i sił nieprzyjacielskich. Szandor nie umiał na nie odpowiedzieć, ale za to towarzysze jego opowiedzieli z najdrobniejszymi szczegółami: ile wojsk i jakich znajduje się w Peszcie, w Budzie i w okolicach, jakie wojska stoją po kwaterach, a jakie w obozach, z kąd się ściągają, jakiej siły posterunki zajmują Gödöllő i Hatwań; — opowiedzieli, że pomiędzy Gödöllő a Isaszeg sypią Niemcy okopy, i t. d. i t. d.

Z głównej kwatery ochotników odesłano do Honwedów, a Szandora do pułku.

Pułk Szandora stał w jednej wsi, w pobliżu Verpeletu.

Wszedłszy do wsi Szandor spotkał kilku huzarów, poznał od razu mundury, ale nie poznał ludzi, i jednego z nich zapytał o swój szwadron.

— Hej, *pajtasz!*... — rzekł — a gdzie jest pierwszy szwadron?...

— Pierwszy szwadron?... — odparł huzar — a na co ci pierwszy szwadron?...

— Chcę się zameldować...

— Melduj się lepiej do innego szwadronu, bo w pierwszym pełno... Ochotników już nie przyjmują... Ja mogę ci o tem najlepiej powiedzieć, bo jestem z pierwszego szwadronu.

— Ochotników może nie przyjmują, ale mnie przyjmą... — odrzekł Szandor...

Huzar zaklął, wziął się w boki, zmierzył Szandora od stóp do głowy, i poprawiając szako na głowie powiedział:

— Ot... jaki mi pyszny!... To ty myślisz, że dla ciebie będą osobno kluski gotować?... Kiedy nie przyjmują innych, to i ciebie nie przyjmą..

— Żartujesz, *baraton!*... — rzekł Szandor. — Odprowadź-no mnie tylko do kwatery wachmistrza, to zobaczysz...

— Na złość tobie, odprowadzę cię!... — zawołał huzar, tknięty do żywego tonem, jakim Szandor wymówił ostatnie wyrazy — Zobaczysz!...

Huzar poszedł przodem, Szandor za nim. Nie szli długo, bo kwatera wachmistrza znajdowała się nie daleko. Huzar wchodząc, zaledwie stanął na progu chałupy, przemówił głośno:

— Panie wachmistrz!... przyprowadzam ochotnika, który nie chce wierzyć, że do naszego szwadronu już nie przyjmują.

Wachmistrz, który siedział przy stole i zajęty był układaniem jakiegoś bilansu szwadronowego, gniewny, że mu przeszkodzono, odwrócił się, zmarszczył, odchrząknął, pociągnął garścią wąsy i zawołał:

— Idź do diabła! i ty i twój ochotnik!...

— A widzisz!... — rzekł huzar do Szandora i chciał powiedzieć: nie wierzyłeś?...

Ale bohater nasz wysunął się z po za niego na środek izby, stanął przed wachmistrzem w wojennej postawie, odsalutował i meldował:

— Mam honor meldować panu wachmistrzowi, że byłem raniony pod Pesztem,... wyleczyłem się... byłem w głównej kwaterze, i z głównej kwatery odesłano mnie do mego pułku, do pierwszego szwadronu, w którym służę...

Wachmistrz popatrzył pilnie na Szandora.

— Jak się nazywasz?...

— Szandor Kowacz...

— Powiadasz żeś był raniony?...

— Byłem raniony.

— Pod Pesztem?

— Pod Pesztem.

— W jakim leczono cię szpitalu?

— Nie leczono mnie w szpitalu, ale w jakimś pałacu u jakiejś wielkiej pani.

— Hm!... — mruknął wachmistrz, i sięgnąwszy po rejestra zaczął je przewracać, i na każdej stronie po pierwszej rubryce, w której zapisane były imiona i nazwiska żołnierzy, ciągnął palcem z góry na dół, a zatrzymawszy palec nad jednym nazwiskiem, począł sunąć nim horyzontalnie od lewego na prawo i czytał pod nosem:

— Szandor Kowacz... urodził się: tam i tam... dnia: takiego i takiego... roku... i t. d.

Na prawym skraju strony w adnotacjach wyczytał:

— Zabity w podjazdowej potyczce.

A zwracając się do Szandora, rzekł:

— Ty jesteś zabity.

— Ja byłem raniony, panie wachmistrz... — odrzekł Szandor.

— Tu napisano, żeś zabity...

I wzięwszy rejestra do rąk, odczytał jeszcze raz głośno i wyraźnie:

— Zabity w podjazdowej potyczce...

— Ależ ja żyję, panie wachmistrz... — rzekł Szandor.

— To cóż z tego że żyjesz — odparł wachmistrz — kiedy napisano, żeś zabity.. Co napisano to napisano... Możesz sobie sto razy żyć, a tego, co napisano, nie wymażesz...

— Ale mnie pan wachmistrz poznaje...

— Hm!... poznają!... to i cóż z tego?... Mogę ja ciebie poznawać, ale nie mogę powiadać, żeś nie zabity... Zapewne, że poznają — dodał po chwili patrząc na Szandora i gładząc wąsy — wydelikatniałeś jak panicz...

Szandor nie rozumiał o co wachmistrzowi chodzi.

— Cóż mi pan wachmistrz rozkaże!... — rzekł po chwili milczenia:

— Nie mam ci do rozkazania nic... — odparł wachmistrz. — Rozkazuję tylko huzarom pierwszego szwadronu, a ty nie jesteś huzarem, boś zabity, i jako taki wykreślony z kontroli.. Więc powiem ci tylko, żebyś poszedł precz i nie przeszkadzał mi!...

I wymówiwszy to, wziął się do przerwanej roboty.

Szandor nie mógł pojąć tego formalizmu rejestrowego. Wydał się mu on dziwactwem. Zrobiło się mu przykrem takie zaliczenie do nieżywych, wówczas kiedy czuł w sobie pełnię życia, sił i ochoty.

— Pójdę do rotmistrza... — rzekł, obracając się ku drzwiom.

— Idź do krośset diabłów!... do miliona fur kartaczów i granatów!... — krzyknął wachmistrz, zrywając się. — Rotmistrz służby nie rozumie, ale ja rozumiem, i nie pozwolę paskudzić kontroli!... Rotmistrz rejestrów nie utrzymuje, ale ja utrzymuję!... ja!... rozumiesz?... Otóż ja nie jestem takim błaznem, abym pozwalał na zmartwychwstanie raz zabitych!...

Szandor wyszedł.

— Chodź.. poprowadzę cię do rotmistrza... — rzekł do niego huzar, który wysłuchał całej jego z wachmistrzem rozmowy, i także nie mógł pojąć, dlaczego ten ostatni nazywa zabitym człowieka, który żyje i którego poznał.

— Naszemu wachmistrzowi, jak co siądzie na nos, to siedzi mocniej, jak najlepszy huzar na koniu.. — mówił idąc

obok Szandora. — A że nasz wachmistrz ma wielki nos, to mu bardzo często coś na nim siada...

Huzar śmiał się, rad z dowcipu. Szandorowi było bardzo markotno.

Rotmistrz poznał naszego bohatera od razu, i ujrawszy go, ucieszył się bardzo, chociaż nie był to ten sam rotmistrz, z którym zabraliśmy znajomość w stodole. Tamten awansował na majora, a jego miejsce zajął jeden z poruczników, który znał dobrze Szandora dlatego, że dowodził dawniej plutonem, w którym on służył. Szandor wytoczył przed nim swoją sprawę.

— Idź do wachmistrza, niech zażąda dla ciebie konia z rezerwy, munduru i broni z magazynu, i niech ci wyznaczy miejsce w szeregu... — rzekł rotmistrz wysłuchawszy Szandora.

— Byłem u wachmistrza... — odparł Szandor nieśmiało.

— I cóż?...

— Wypędził mnie od siebie...

— Dlaczego?..

— Dlatego, że powiada, że jestem zabity...

— Cóż znów takiego!... — zawołał rotmistrz. — Zawołaj mi wachmistrza!...

Po przybyciu tego ostatniego, wytoczył się ciekawy proces. Wachmistrz przyszedł z papierami, i opierając się na dokumentach, dowodził, że Szandor nie żyje. Nie dość na tem: wezwał świadków — podoficera, który dowodził podjazdem i żołnierzy, którzy do podjazdu należeli. Wszyscy oni poznali Szandora, ale o tem ani chciał słuchać wachmistrz.

— Poznaliście go!... i ja go poznałem... i pan rotmistrz poznał!... ale tu nie o to chodzi!... Czy byliście wysłani z podjazdem za Peszt?

— Byliśmy... — odpowiedzieli huzary chórem.

— Czy był z wami Szandor Kowacz?

— Był...

— Czy powrócił z wami Szandor Kowacz?...

— Nie powrócił...

— Czy nie widzieliście jak on padł?...

— Widzieliśmy...

— Czy nie odraportowaliście mi, że Szandor Kowacz jest zabity?...

— Odraportowaliśmy...

— Otóż jest!... — zawołał wachmistrz, pokazując rotmistrzowi kontrolę. — Naprzeciwno Szandora Kowacza napisano: zabity w podjazdowej potyczce... To znaczy, że Szandor Kowacz wykreślonym jest z kontroli... nie tylko w szwadronie, ale w pułku,... nie tylko w pułku, ale w brygadzie,... nie tylko w brygadzie, ale w dywizji, w korpusie, wszędzie;... bo ja napisałem raport, który pan rotmistrz podpisał, i ten raport poszedł do pułku, do brygady, do dywizji, do korpusu... i wszędzie tam Szandor Kowacz jest zabitym... Jakżeby on mógł odżyć w szwadronie?...

— Przecież widzisz go przed sobą, i ja widzę i oni widzą!... — rzekł rotmistrz uśmiechając się i ukazując ręką na przywołanych na świadectwo żołnierzy. — Przecież to ten sam Szandor Kowacz!...

— Może on być i ten sam!..., — odparł obstający przy swoim stary wachmistrz — Ale... na cóż pisać, jeżeli nie mamy wierzyć temu co napisano!... Oto tu, wyraźnie stoi, że zabity, to musi być zabity!... Cóż z tego, że widzę go przed sobą?... Ja bardziej wierzę temu, co napisano, jak temu, co widzę!...

Rotmistrz chciał się gniewać, ale nie mógł, tak bawił go formalistyczny upór wachmistrza, i nie bez zadawania sobie pewnego gwałtu, zachowywał powagę i serjo naczelnika.

— Ależ przecie — rzekł do wachmistrza — i o tem co napisane i o tem co widzisz, przez patrzenie sądzisz... Mogłeś się w piśmie omylić...

— Tak... panie rotmistrzu!.. — przerwał wachmistrz — mam honor meldować panu, że pisanie jest czarnem na białem, a to co widzę... czem jest?.. Ja mogłem się omylić, chociaż z przeproszeniem mam honor meldować panu rotmistrzowi, że nie może mylić się wachmistrz, będący przez szesnaście lat wachmistrem: ale, chociażbym się i omylił, to nie omylił się pułk, nie omyliła się brygada, dywizja, nie omylił się korpus i na koniec nie omyliła się naczelna komenda, które wszystkie przyjęły raport, napisany przezemnie i podpisany przez pana rotmistrza, i wykreśliły Szandora Kowacza z kontrol i zaliczyły go do zabitych... Jakże on potem mógłby żyć?... To być nie może!... to niepodobna!... Jest czarne na białem, że on zabity, to musi być zabity!...

Żołnierze przywołani na świadectwo, ujęci dobitną wymową

wachmistrza, którego znajomość służby była autorytetem w całym pułku, zaczęli już przekonywać się, że Szandor, chociaż żyje, ale, podług formy, nie żyje. Sam Szandor nie wiedział, co myśleć nakoniec o swoim życiu. Takie niespodziane, a dowodne i dokumentalne zaprzeczenie jego egzystencji, zbiło go z toru i wprawiło w pewien rodzaj powątpiewania o sobie samym, tak, że już gotów był prawie zadać sobie owo filozoficzne pytanie: jestem, czy nie jestem?... Szczyściem rotmistrz rozstrzygnął tę sprawę rzadkim sposobem, bo z zupełnem obydwóch stron zadowolaniem.

— Więc on zabity?... — zapytał wachmistrza.

— Zabity!... panie rotmistrzu... — odparł wachmistrz stanowczo.

— Nie żyje?...

— A nie żyje...

— Niechże on sobie nie żyje, a ty tego Szandora Kowacza, którego widzisz przed sobą, zaciągnij do kontroli szwadronowej, jako nadliczbowego ochotnika.

Wachmistrz nic nie odpowiedział, odsalutował rotmistrza podniesieniem dwóch palców do czoła, zrobił na prawo w tył i wyszedł. Za nim udał się Szandor i szedł z pewną nieśmiałością, spodziewając się, że stary, rozgniewany procesem, na jaki z jego powodu został narażonym, da mu uczuć zły humor. Lecz omylił się. Wachmistrz, przyszedłszy do kwatery swojej nie tylko nie okazał złego humoru, ale przeciwnie, bardzo był z siebie kontent.

— Chcieli mnie zrobić oficerem... — powiedział sam do siebie i zaklął najdosadniejszą madiarską klątwą. — Dobrzem zrobił, zem nie przyjął... Cóżby się to działo bezemnie w szwadronie!... Haj-ha!...

A pomyślawszy przez chwilę i zasiadając przed stołem, dodał:

— Hm!... pokazuje się,... że żeby być dobrym wachmistrem, trzeba przynajmniej przez szesnaście lat być wachmistrem!... I ja dawniej nie miałem tego rozumu, co dzisiaj...

I rozłożywszy przed sobą papiery, z całą formalnością i powagą, protokularnym sposobem, wpisał Szandora do kontroli, jako nowozaciecznego; a dopełniwszy skrupulatnie całej formalności, napił się z nim wina i odesłał go do właściwego plutonu.

I tak bohater nasz, po drugi raz, w tym samym szwadronie i plutonie, rozpoczął karierę wojskową. Służba jego dawniejsza przepadła, bo poprzedni stan służby zamknięty został wyrazem: zabity. Ale nie chodziło mu o to, i bynajmniej go to nie troszczyło: on bowiem nie dla stanu służby, lecz dla innych służył pobudek.

Koledzy przyjęli go z najżywszą radością. Szóstka jego, z którą on stowarzyszył się na śmierć i na życie, nadszarpała się nieco, znalazł w niej jednakże jeszcze czterech. Lajosz żył. Z tych, którzy się jednocześnie z nim zwerbowali w Szegiedynie, brakło nie wielu. Podoficera dostał nowego, bo dawny zginął. Rotmistrz był nowy; dwóch oficerów nowych; a zresztą, wszystko jak było. Wachmistrz szczególnie nie zmienił się ani na jotę, nie mu nie przybyło ani ubyło: potężny nos pozostał takim potężnym i takim czerwonym, jak przedtem, miotły białych wąsów nie zmieniły koloru, kształtu ni wielkości.

W parę dni po reinstalacji swojej w szwadronie, zrobił się nasz Szandor na nowo od stóp do głowy huzarem. Żał mu było tylko konia dawnego, który wraz z jeźdźcem, któremu danym został po jego quasi-śmierci, zginął w jakiejś utarczce, lecz prędko pocieszył się, bo nie stracił na zamianie: ten bowiem, który mu się dostał, było karosz siedmiogrodzki, pewny w nogach, wytrzymały, szybki, zwrotny, dzielny, tylko — jak zwykle siedmiogrodzkie konie — trochę złośliwy. Ta jednakże wada nie liczyła się nawet za wadę. Szandor, przejechawszy się na nim kilka razy i zażywszy go na rozmaite sposoby, powziął do niego zupełne zaufanie: pokazało się bowiem, że rowy i płoty nie były przeszkodami dla karosza, a pnie stare, dziury, maniaki, których konie zwykły ploszyć się, nie na niego były strachami.

Wojska jakby umyślnie czekały na miejscu na uekwipowanie się naszego bohatera: bo zaledwie takowe zostało uzupełnionem, zdjęły się z leż i poszły w marsze. I nie długo marsze były prostemi przechodami z miejsca na miejsce. Nastąpiły bitwy pod Hatwań, Tapio-Biczkö, Isaszeg, pod Wacowem, Nagy-Szarlo i Komornem. Każda bitwa była zwycięstwem, w każdej pułk Szandora potykał się z nieprzyjacielem i wszędzie szczęście sprzyjało huzarom, wyjąwszy pod Komornem, gdzie ich opuściło na chwilę. Lecz i tam, gwałtem prawie, ściągnęli oni szczęście pod swoje sztandary.

Opisując losy pojedynczego człowieka, gubiącego się drobnocią indywidualności swojej w odmęcie owoczesnych wypadków, nie uważałem za potrzebne albo raczej godziwe podszywać wypadkami dziejowemi bohatera powieści, dla tego, że podnosząc takowe albo utopiłbym w nich bohatera mego, tak iżby go odszukać nie było można; albo pokrzywdziłbym wypadki, naginając je do niego. Prześlizgiwałem się przeto po historyczności uciekając się do niej wówczas tylko, gdy jako objaśnienie, konieczne była potrzebna, biorąc ją, jako tło ogólne, na którem kreśliłem dobiegającą już do kresu powieść. Spodziewam się jednakże, że mi czytelnicy przebaczą, gdy odstępując nieco od obranego prawidła, podniosę jeden z faktów historycznych — odmaluję obraz bitwy pod Komornem, w której bohater nasz wziął udział. Wyraziłem się o niej wątpliwym nieco sposobem, więc muszę wytłumaczyć ją. Nie będę wspominał o Szandorze ała niech czytelnicy wiedzą, że gdzie będzie mowa o huzarach, tam i jego osoba figuruje.

Po bitwie pod Nagy-Szarlo, cofająca się armja austryjaska przerzuciła się na prawy brzeg Dunaju i podążyła pod Komornę, gdzie połączyła się z korpusem, który oblegał tę twierdzę. Zwycięska armja węgierska nie mogła wślad za austryjacką przeprować się przez Dunaj i ścigać ją prawym brzegiem dla tego, że przeprowaćby się musiała przez szeroką rzekę na brzeg zajęty już przez nieprzyjaciela, i dla tego jeszcze, że po przeprowie oderwałyby się od swoich podstaw, które były na lewym brzegu, i dla tego także, że naraziłby się mogła na spotkanie z wzmocnionym świeżemi wojskami nieprzyjacielem. Z tych powodów Węgrzy z Nagy-Szarlo pomaszzerowali do Komorna, gdzie przeprowę ułatwiało im i zabezpieczało posiadanie leżącej na wyspie, u zbiegu Wagi do Dunaju fortecy, i mocnego szanca przedmostowego na prawym brzegu Dunaju. Austryjacy oblegali fortecę z południa, z prawego wybrzeża Dunaju, a właściwie mówiąc, oblegali sam tylko szaniec przedmostowy, pod który podsuwali się zygzakami przykopów. Przystęp do Komorna wolnym był od północy, skąd przychodzili Węgrzy.

Austryjacy posuwali szybko roboty oblężnicze. Chodziło im o zdobycie szanca przed przybyciem Węgrów do Komorna, nie tyle dla zdobycia fortecy, ile dla pozbawienia tych ostatnich możności przeprowy przez Dunaj. Pracowali więc dzień i noc, przymy-

kali się przekopami już pod same rowy, z ciężkich moździerzy ciskali bomby do środka, zbombardowali miasto, z wyłomowych baterij strzelali do wałów. Załoga broniła się, ale bliską była już chwila, w której uleść musiała sztuce i sile. Potrzebną była jak najspieszniejsza odsiecz. Węgrzy rozumieli tę potrzebę i wyprawili przodem dwunastotysięczny korpus najlepszej piechoty, dodawszy jej donośną ilość kawalerji i artylerji, z poleceniem zmuszenia nieprzyjaciela do zaniechania oblężenia. Wojska te, dniem i nocą, brnąc przez ogromne rozlewy, które Waga formuje, przybyły do Komorna, i wypocząwszy przez czas budowania mostu, przepawiły się na prawy brzeg, wypędziły Austryjaków z przekopów i rozwinęły się przed szanćami do bitwy, opierając się prawem skrzydłem o szaniec, a lewe wzmacniając całą swoją kawalerją. Siły były nierówne: Austryjacy mieli 40 tysięcy, Węgrzy 15; lecz ci ostatni bili się pod ochroną okopów szanća.

Bitwa trwała przez cały dzień. Działa grzmiały, ogień karabinowy grzechotał; Węgrzy posunęli się prawem skrzydłem naprzód i zdobyli obóz nieprzyjacielski. Austryjacy zwrócili usiłowania swoje na lewe skrzydło węgierskie, na którym stały huzary, i zebrawszy całą kawalerję swoją, rzucili ją na tych ostatnich. Kilkadziesiąt szwadronów kirysjerów, dragonów i ułanów, ciężką masą, długą ławą, sformowanych w regularne odstępy, poszło na huzarów. Huzarzy wyciągnęli front swój na równi z nieprzyjacielskim i przyjęli szarżę szarżą. Dwie masy kawalerji — austryjackiej i węgierskiej, z których pierwsza była dwa razy większą i cięższą od drugiej — rzuciły się na siebie. Tentent koni i chrzęst próżnych, bijących się o boki i zgrzytających o strzemiona pochw, utopiony w obłoku wzbitej kopytami kurzawy, osłaniającej sobą jeźdźców, wydawał się, jakby dwie gromowe chmury sunęły po ziemi ku sobie. Masy te zwarły się, zmieszały i po chwili coś z nich prysnęło, jakby ze wspólnego ich łona wysypał się rój w tę stronę, z której przyszli Węgrzy... To huzarzy, złamani, poszli w rozsypkę... Masa austryjacka posunęła za nimi...

O ile huzar impetycznym jest w szarży i zapamiętałym w pościgu, o tyle szalonym jest w ucieczce. Zdaje się, że traci zmysł widzenia i pędzi na oślep. Nic go nie zatrzyma: rowy, nie rowy, płoty nie płoty — sadzi przez nie, a jeżeli nie prze-

sadzi, to kark skręci. Czako zsuwa mu się na tył głowy; koc wysuwa się z pod siodła i wleczę się po ziemi; czaprak odrywa się gdzieś na bok; pochwa zrywa się z krótszego rzemienia i na dłuższym leci na powietrzu nad ogonem końskim. Huzar pędzi. Ostrogi utopił w brzuchu konia, nagli go jeszcze szablą, i nie przed sobą nie widzi. Jeżeli na drodze ucieczki spotka swoje kolumny, stojące lub spieszące dla zasłonięcia go, to wpadnie na nie, wywróci, rozbije, i — jeżeli te kolumny są piechotą — roztrątuje. Ten ostatni wypadek miał miejsce w bitwie pod Komornem. Huzary rozbili dwa bataliony honweków, które postawiły się w czworobokach, w celu zatrzymania pościgu nieprzyjacielskiego.

Natrafili jednakże huzary, w ucieczce pod Komornem, na przeszkodę, której przesadzić, ani rozbić, ani nawet obiedz nie mogli. Przeszkodą tą był Dunaj.

Napróżno, zanim dobiegli nad brzeg Dunaju, oficerowie usiłowali przywrócić porządek w uciekającej kupie; napróżno zabiegali na przełaj, nastawiali ostrze szabel i okrzykami „aj!“ (stój) starali się opamiętać szalonych. Czarniawa zbiegła się nad brzegiem Dunaju, nieforemną kupą, i tam zatrzymała się. Austrijacy szli długim, porządnym, regularnym frontem, a nieśli się wprost na huzarów. Położenie tych ostatnich było takie: albo poddać się, albo topić w Dunaju.

Ale nie tylko krytycznem było położenie huzarów. Ucieczka ich skompromitowała cały korpus walczący, którego lewy bok i tyły wydała Austrijakom, dając im możność odciąć Węgrów od przedmostowego szanca, od którego oddalili się oni, przez posunięcie się prawego skrzydła naprzód. Sama ta pomyslność miała obrócić się na ich zgubę.

Pozostawał jedyny ratunek: odrzucić kawalerję nieprzyjacielską. Nikt inny nie mógł tego zrobić, tylko huzarzy, nie było żadnego wojska do użycia w tym celu. A trzeba spieszyć się, przeciwnicy bowiem zabawiwszy się nieco przy przeprawie przez mostek, rzucony na smudze mokrzydeł, które wążką wstęgą wiły się przez pole bitwy, przez które huzarzy cudownym niemal przelecieli sposobem — byli niedaleko...

Instykt zachowawczy wydobył z huzarów to, czego już zdawało się. żadną siłą wydobyć z nich nie było można. W przyciśniętej koniecznością poddania się lub topienia czarniawie po-

wstały okrzyki: „formuj się!... nawracaj!...” Z nieforemnej kupy poczęły wyplątywać się kolumny i szeregi. Jeźdźcy nawracali i stawali jeden obok drugiego, nie zważając z jakich pułków i szwadronów żołnierze improwizują te desperackie kolumny. Wspomnieć muszę nawiasowo, że nosaty nasz wachmistrz osłupiał, gdy w swoim szwadronie ujrzał większą połowę nie swoich ludzi i koni. Na czele szwadronów stanęli oficerowie i nieoficerowie: bo jak kolumny, tak i wodzowie improwizowali się. Słuchano głosu tego, co dowodził; wykonano rozkaz tego co rozkazywał. Z gorączkowym pospiechem zszeregowali się huzary, i gdy w austryjackich szeregach zagrzmiała komenda: „ukruć cugle!... do ataku broń!... Marsz!... Marsz!...” i u nich ta sama rozległa się komenda i... kopnęli się cwałem...

Rezultatem nowego tego starcia się było wywrócenie Austryjaków. Jak przedtem huzary, tak teraz kirysjery, dragoni i ułani zostali złamani i poszli w rozsypkę; a jak przedtem w ucieczce oszaleli huzary, tak teraz z równą szaleństwem zapamiętałością ścigali. Znow tuman kurzawy sunął się po nad ziemią i rozwiął się dopiero po za frontem austryjackiej armji, odsłaniając zziąjanych niedobitków jej jazdy. Bitwa została wygrana przez Węgrów.

XII.

Łatwem jest śledzenie za losami naszego bohatera, dla tego, że były one podobnemi do losów tysięcy innych bohaterów którzy na równi z nim maszerowali, bili się, bili się i maszerowali, składając strudzone łby, albo na polu bitew — na wieczny odpoczynek, albo w obozach i po ciasnych kwaterach — dla chwilowego wytchnienia i nabrania sił do nowych trudów. Egzystencja żołnierza podczas wojny bardzo jest podobną do egzystencji majtka podczas burzy. Podobieństwo to stanowią: trud i kaźdochwilowe niebezpieczeństwo. Świeżemu człowiekowi taki stan wyda się nadzwyczajnym, dziwnym, niekiedy nieznośnym; z boku patrzącemu wyda się on dowodem wielkiego męstwa, nadzwy-

czajnej odwagi; majtek zaś i żołnierz oswaja się z nim, obojętnie na niebezpieczeństwo, wciąga się w trudy i nastawia głowę swoją zawierusze wiatrów i zawierusze kul, jak stary gracz rzuca na zielony stolik złotówkę na szansę wygranej lub przegranej. Wygra — dobrze, przegra — drugie dobrze: jeżeli ma czem grać, to gra dalej, a nie ma — idzie spać. Tak i żołnierz — niesie łeb swój i stawia go na zielonym stoliku bitwy, wygrał — dobrze... niesie go dalej, przegrał — drugie dobrze... idzie spać pod zieloną murawę, nie troszcząc się już o marsze, trudy, bitwy, nie zrywając się na pobudki, nie klnąc capstryków — spi smacznie, spokojnie, aż do owej chwili, w której na odgłos Archanioła pobudki, zerwie się i stanie na ostatecznym apelu... Męstwo, tylko przy początku kampanji, w żołnierzu pierwszy raz idącym w ogień, jest prawdziwym męstwem, dla tego, że wówczas człowiek nie tyle grożące mu niebezpieczeństwo, ile samego siebie musi zwyciężać. Walczy więc podwójnie: z nieprzyjacielem i sobą — gromi nieprzyjaciela i przewycięża w sobie ten wrodzony w każdym śmiertelniku wstręt do śmierci. Gdy to ostatnie przełamie, gdy się ostrzela, zaprawi, staje się obojętnym i idąc na śmierć, idzie nie z odwagą ale z obojętnością. Człowieka — przykro wyznać — można do bojowej odwagi zaprawić, takim niemal sposobem, jakby psa na wilki lub dziki. I pies obawia się śmierci, natura jego każe mu uciekać przed wilkiem i dzikiem; lecz gdy myśliwy ułoży go systematycznie, gdy stopniowo zaszczuje, rzuca się na oslep na wroga, walczy z nim zapamiętale, z rozprutemi kłęb dzika wnętrznościami wlece się za nim, drze się do niego, grożąc mu jeszcze konającą paszczką. Taka odwaga nie jest ani piękną, ani ludzką, i sama w sobie nie jest bynajmniej zasługą. Uszlachetniają ją pierwotne pobudki, do których należy ją odnosić, jeżeli chcemy dowiedzieć się, czy odwaga jest poświęceniem, czyli też jest tylko po prostu wynikiem zaprawienia, zaszczucia?... Zobojętnienie na śmierć i zaprawienie do boju, bez żadnych nawet wznioślejszych, moralnych pobudek, wywołują cuda odwagi, których się nieraz wstydzić, a nie zachwycać się niemi należy... Nie byłbym bynajmniej ambarasowanym, gdybym rozumowanie powyższe wesprzeć chciał przykładami; byłbym raczej ambarasowanym mnogością przykładów, jakich dostar-

czyłyby mi obficie dawniejsze i nowsze czasy, a nawet sławne wojska napoleońskie, stare i młode.

Odwaga jednakże w złym sensie nie da się żadną miarą zastosować do Szandora i jego towarzyszy dla tego, że chociaż przybrała ona w końcu wszystkie cechy zobojętnienia na śmierć i zaprawienia do boju ale pierwotnie popłynęła z czystych, dobrych i pięknych pobudek. Odkładając wszelako pobudki na stronę, a sądząc po samych cechach i biorąc bohatera naszego za przedmiot sądu, postrzeżemy, iż uległ on działaniu pewnych wpływów, które zrobiły z niego nie tylko huzara, ale — jakiego huzara!...

Najpotężniejszym ze wszystkich wpływów było obcowanie z panną Elizą Kömeni. Wywarło ono taki skutek, jak dawne pasowanie na rycerstwo, które zobowiązywało człowieka być bez bojaźni, i strzedz się zarzutów. Baronówna stała się dla bohatera naszego uosobieniem i usprawiedliwieniem tego uczucia, którem gorzało jego serce, a którem go węgierska kraina napoiła. Jej dobroć i troskliwość wydały mu się dobrocią i troskliwością węgierskiej krainy i zaciężyła na sumieniu jego, jak dług święty, mogący być spłaconym tylko krwią. A przytem, w rozmowach z baronówną, aczkolwiek krótkich i pobieżnych, rozjaśnił się jego umysł: Szandor nie tylko czuł, ale i zrozumiał sprawę, za którą walczył.

Mnie się zdaje, że kobiety, szczególnie te, którym los pozwolił urodzić się w wyższych sferach społecznych, nie wiedzą jak one są potężne. Półśłówka ich, spojrzenia, uśmiechy, więcej częstokroć są warte i większy wpływ wywrzeć są w stanie, jak najuczętsze rozprawy, najognistsze przemowy. Co za szkoda, że te białogłowy w największej części takie są próżne!... Goniąc same za cackami, zacacały świat i zrobiły to, że mężczyźni, dla dogodzenia pięknej połowie rodzaju ludzkiego, wolą być cacami, jak ludźmi. Nie utrzymuję ja, że źródło złego pochodzi od kobiet; — przeciwnie: my — mężczyźni — panowie świata — zrobiliśmy kobiety lalkami!... i całą ich winą jest to, że nie umieją poznać się na własnym stanie lalek. A!... gdyby poznały się o! cóż za wstyd byłby dla nas!...

Ale pomijając to wszystko, zobaczymy, jak wygląda nasz Szandor. Gdyby komu powiedzieć, że on był ciężko ranny, i że przed trzema miesiącami życie jego ważyło się na włosku, to

niktby temu nie uwierzył, chyba dla przekonania się, musiałby zajrzeć mu pod mundur i koszulę na piersiach. A gdyby komu powiedzieć, że on przed miesiącem wyglądał jak panicz, to takżeby nie uwierzył — tak zawiądl i zbrązowiał na wiatrach i słońcu, tak wymókl na deszczach pochodowych i rosach obozowych, tak wysechl przy ogniskach biwakowych. U ludzi w dostatkach i próżniactwie czas pędzących, mięsne słabną i ciało nabiera pulchności, pewnej galarecianej sprężystości i przezroczystości; ludziom w pracy i trudach mięsne tężeją, jak smolone powrozy, ciało schnie i ciemnieje, i cała postać tracąc zbyt wiele dodatków, staje się wyrazistą. Wyrazistość ta najlepiej daje się widzieć w twarzy. Brwi nasuwają się nieco na oczy, czoło fałduje się zmarszczkami, oczy nawet nabierają mocniejszego połysku. To stało się z Szandorem. Ten delikatny, wychuchany w pałacu paniczek, zdawało się, że nie od miesiąca drugim nawrotem, ale je nym ciągiem od lat kilkunastu był huzarem; a przeszedłszy nawskróś wonią dymów ogniowych i końskim zapachem, zdawało się, że nigdy w życiu nie zaglądał pod dach pałacowy, — że się urodził w żłobie końskim, wyrósł z łoszętami, wykolysał w barłogach... O! nie radzę iść na wojnę paniczom dbającym o delikatność. W miesiąc czasu nie poznałiby sami siebie... Lepiej więc, niech siedzą w domu i chuchają na paznogie...

— Po bitwie pod Komornem nastąpiło oblężenie Budy.

Wiadomo, że Buda i Peszt są dwoma miastami stanowiącymi jedno. Rozdziela je Dunaj. Na lewym wybrzeżu leży Peszt, na prawym Buda. W kilka dni po bitwie pod Isaszeg, Peszt zajęty został przez wojska węgierskie; Austriacy opuścili go zupełnie, pozostawiając w zamku Budy mocną załogę, która miała polecenie bronić się do upadłego. Węgry z pod Komorna przyszedli oblegać Budę.

W oblężeniach jazda podrzędna tylko gra rolę. To też dla tego, gdy piechota obsaczyła zamek, większa część huzarów odesłaną została do Pesztu dla rozlokowania koni po stajniach, w celu odkarmienia ich i wypoczęcia. Pułk Szandora poszedł także do Pesztu.

Wchodząc do stolicy, pierwszą myślą bohatera naszego było: odszukanie pałacu dobroczyńców swoich.

Odszukanie to jednakże okazało się niesłychanie trudnem. Szandor cały czas, który mu pozostawał od zajęć wojskowych, obracał na chodzenie po mieście i oglądanie pałaców i — na próżno. W pałacu Kömeni znał tylko wnętrze apartamentu baronówny i więcej nic. Powierzchności jego nigdy w życiu nie widział; więc nieraz może przeszedł mimo niego, nie poznawszy, że w nim jest ten pyszny pokój, w którym przepędził cały czas choroby. A przytem, może i na próżno szukał: jeżeli ten pałac leżał pod doniosłością strzałów zamkowych, to może już i nie egzystował. Austryjacy z zamku Budy bombardowali Peszt. Kule i granaty przenosiły się przez Dunaj i obracały w ruinę tę część stolicy, której dosięgnąć mogły. Część ta opustoszała. Mieszkańcy powynosili się z niej po za obręb doniosłości strzałów austriackich, jedni na odległe przedmieścia, inni zamieszkali pod namiotami, w obozach, za miastem, niektórzy powyjeżdżali. Do tych ostatnich może należała baronowa, i dla tego Szandor nie tylko pałacu odszukać, ale ani jej, ani jej córki, ani starego Istwana spotkać nigdzie nie mógł.

Raz tylko wydało się mu, że widział pannę Elizę. Było to pod koniec oblężenia. Peszteńskie wybrzeże Dunaju leżało w gruzach i gdzie niegdzie tylko, nad ulicą, idącą wzdłuż wybrzeża, sterczały kawałki murów lub ściany podziurawionych kulami domów. Za murami temi i ścianami zbierały się zwykle kupy ciekawego ludu, przypatrując się widowisku oblężenia. Z gór, otaczających Budę, baterje węgierskie strzelały do zamku; — zamek odstrzeliwał się, a poselając kule baterjom, posyłał je także niekiedy i do Pesztu, na zrujnowane wybrzeże, akby dla skarcenia ci ekawości gromadzących się tam tłumów.

Szandor nachodziwszy się razu pewnego za pałacem i nie znalazłszy go, zaszedł na wybrzeże, stanął na nadbrzeżnej ulicy i przypatrywał się zamkowi, który w tej chwili otoczył się wiankiem białawego dymu i grzmiał ze wszystkich dział, szląc strzały na wszystkie strony, nie zapominające i o Peszcie. Kule raz po raz gwizdząc, przenosiły się przez Dunaj i rekoszetowały po pustych ulicach lub tonęły w gruzach.

— Ustap się!... bo cię zabiją!... — wołano na Szandora z za węgła przyległego budynku, z za którego wyglądało ku Budzie kilkudziesięciu obojej płci ciekawców.

Szandor nie słuchał wołania, bo nie bał się zabicia, a gdyby się i bał, to wstydy mu było chować się przed kulami. Ulica nadbrzeżna była pustą; na całej jej długości nie było widać nikogo. Szandor rzucił okiem wzdłuż wybrzeża, i snadź ten obraz zniszczenia nawiał mu tęsknicę do serca, bo zadumał się i zawiesił wzrok nad zamkiem, który huczał strzałami, i nad którym dymy, wypychane gwałtownie z paszcz działowych, kłębiły się dołem, a górą zlewały się w pewny rodzaj powietrznego wału.

Wtem na ulicy nadbrzeżnej dał się słyszeć turkot. Szandor obrócił głowę i ujrzał powóz odkryty, zaprzężony parą koni, który zbliżał się wolnym kłusem. Zjawisko to zadziwiło Szandora, tem bardziej, że w powozie siedziała kobieta. Obok niej siedział mężczyzna. Mężczyzna trzymał lejce i bicz; kobieta zwróconą była twarzą w stronę zamku i zdawała się mu bardzo pilnie przypatrywać. Dzielne konie, strzygąc uszami i pochrapując, kłusowały truchtem, ale z ich stąpania widać było, że wołałyby pędzić cwałem. Woźnica hamował ich zapędy, chociaż niekiedy świstał nad nimi biczem, co zdarzało się wówczas szczególnie, kiedy rzucały się wstecz przed kulą, lub cofały przed gruzami. Szandor zapomniał o zamku, o tęsknocie, a z zachwyleniem wpatrzył się w tych zuchwalców, którzy na miejsce spaceru wybrali sobie ulicę, po której rekoszetowały kule i pękały granaty. W mężczyźnie poznał on majora od huzarów, tego samego, co był dawniej jego rotmistrzem, i z którym czytelnicy zabrali znajomość pod stodołą. Twarzy kobiety nie mógł dojrzeć, odwróconą bowiem była ku zamkowi i nadto zakrywał ją do połowy kapelusz. Z koloru włosów tylko, wymykających się z pod kapelusza, z kształtu biustu, wychylonego z powozu i z zarysów profilu, który mu mignął, gdy konie skoczyły i wspięły się przed pękającym granatem, zdawało mu się, że to była ta panienska, która mu uratowała życie. Chciał zabiedz i przekonać się, lecz powóz ruszył szybko, uniesiony przez spłoszone konie, i wkrótce znikł przed ścigającym go oczyma Szandorem. Za węglem domu, pomiędzy kupą ciekawych, zagrzemiał okrzyk: *elien!*

— Co to za pani?... — zapytał się Szandor ciekawych. — Jak się nazywa?...

Jedni odpowiedzieli, że jej nie znają; drudzy, że nie wiedzą, jak się nazywa; a inni, że możeby wiedzieli, gdyby dojrzeć mogli jej twarzy. Ale wszyscy jednogłośnie powiadali:

— Ale to jakaś prawdziwa Madiarka!... No!...

I nie mogli nadziwić się jej odwadze.

— Może to nie ona!... — powiedział Szandor sam do siebie.

Chodził on jeszcze po Peszcie, przypatrując się pałacom i wszystkim przejeżdżającym i przechodzącym paniom, ale już nie długo, bo w parę dni później dowiedział się z rozkazu dziennego, odczytanego na apelu, że awansowanym został na podoficera i wraz z kilku innymi przeznaczonym do Kieczkemetu, do organizujących się tam nowych pułków. Z całej kawalerji, będącej podówczas w Peszcie, zformowano oddział złożony z samych podoficerów, i wysłano go do Kieczkemetu, dla oddania młodemu wojsku obwąchanych z prochem i wypróbowanych w boju żołnierzy, którzy ujęliby je od razu w ramy bojowego doświadczenia.

Wysłanie to było dla Szandora i nagrodą i przykrością. Znaczenie nagrody zawierało się w awansie, w posunięciu na wyższy stopień hierarchji wojskowej. Z podoficera mógł zostać wachmistrzem, albo omijając wachmistrzostwo, od razu podporucznikiem. Przykrością było dla niego rozstanie się z towarzyszami.

— Ja nie chcę awansu, ale niech zostaną w szwadronie — prosił Szandor wachmistrza.

— Niepodobna!... — odparł wachmistrz. — Jabyś cię nie awansował ani wysyłał, bo to sprzeciwia się porządkowi.. Ale gdzie teraz o porządku kto myśli!... Rotmistrz sam cię przedstawił... musisz jechać!...

To tylko uważał bohater nasz jako szczęście, że mu nie kazano rozstać się z koniem, jak innym w innych szwadronach, którym konie lepsze nakazano pozamieniać na gorsze.

To także uważał Szandor jako pociechę, że z Kieczkemetu niedaleko do Szegiedyna. Uśmiechnęła się mu więc nadzieja zobaczenia rodzinnego grodu, a w tym grodzie domku starego stelmacha, a w tym domku... wszystkiego, co w nim zawiera się. Wyjechawszy za Peszt i minawszy Szarokszar, kiedy oddział jeźdźców utonął w stepach, owionęło bohatera naszego coś takiego, jak zapach oddechu kochanki, jak ciepło jej objęcia, jak światło jej spojrzenia. Szandor myślą oderwał się od towarzyszy i pogonił przodem, i nie zatrzymując się nigdzie po drodze, nie zaglądając nigdzie ani na pół chwili, od razu, jednym skokiem przesadził przestrzeń i wpadł do Sawy

Simicza. I nie mógł dość nacieszyć się gością swoją. Zajrzał do wszystkich kątów. Widział najprzód Maryjkę. Siedzi zadumana na kanapie i trzyma w rękę białe płótno. W drugim rękę igła. Niby szyje, ale nie szyje: igła wypada jej z palców, łyzy zabłyszczały za powiekami, zakrywa płótnem oczy.. Szandor westchnął, ale i uśmiechnął się, a uśmiechnął się może dla tego, że stanął mu w oczach stary Sawa, który, założywszy ręce w kieszenie, chodzi przez podwórze z szopy do izby, z izby do szopy, w jednym miejscu gderze, a w drugim opowiada o huzarskich swoich czasach. W izbach i sieniach kręci się Anna i stanawszy przed Maryjką, popatrzyła się na nią z wyrazem miłości macierzyńskiej i mówi: „nie smuć się moje dziecko... on przyjedzie... mam przecucie... musi być gdzieś niedaleko“... i rozmawiają z sobą o przecuciach, opowiadają sobie sny, a wszystkie te sny i przecucia odnoszą się do jakiegoś, a zawsze tego samego „on“... Szandor znowu uśmiechnął się, ale znowu może dlatego, że stanął mu w oczach Łuka, który struże pod szopą i żartuje z nowiejusza jakiegoś czeladnika, któremu ręce się trzęsą ze strachu przed Sawą... Koń pod Szandorem szedł stępem; step pachniał wiosną i ogłaszał się ćwierkaniem ptasząt, brzęczeniem much i koników polnych; nad jeźdźcami ważył się wysoko orzeł, a niżej skowronek, świegocąc im piosenkę pochodną; Szandor kołysał się w siodle jak senny, i to uśmiechał się sam do siebie, to ruszał niekiedy ustami, jakby prowadził cichą rozmowę z Maryjką i Anną, z Sawą i Łuką, których postacie wywołała mu myśl przed oczy...

Pójdźmy i my w kierunku myśli naszego bohatera i zajrzyjmy pod strzechę Sawy Simicza. Możemy to uczynić tem bezpieczniej, że Szandor aż do przybycia z armją do Szegiedynu przechodził zwykle koleje żołnierskiego życia: pełnił służbę, musztrował się, musztrował drugich, potem maszerował, obozował, bił się, i po zmianie szczęścia dla węgierskiego oręża, zaszedł z drugimi nad brzegi Cissy, kędy Marosz do niej wpadał.

Nie podejmuję się jednakże opisywać boleści i rozpaczyl w jakiej, od chwili egzekucji Łuki, pogrążoną była rodzina Simicza. Kto zna tego rodzaju boleść, dla tego opisu nie trzeba; kto jej nie zna, temu jej oddać wyrazami niepodobna. Bo wyrazy nie opiszą, jak serce pęka a nie rozpęknie się, jak pierś ściska się a nie zapadnie się, jak oczy schną i pałają a nie

uschną na wieki, nie zapalą się tak, żeby wyzarły mózg a z mózgiem życie. Nie — tego stanu konania ze smutku bez możności skonania, tej gorączki boleści, której łzami zwilżyć nie można — nie opisze żadne pióro, nie odmaluje żaden pędzel, nie odrzeźbi żadne dłóto. Taki stan był stanem Sawy, Anny i Maryjki. Boleść ich po śmierci Łuki przywiązała się do nich, jak nieodzowny warunek istnienia. Żadna pociecha nie przystawała do nich. Próbował pocieszać ich Memlauer, który, jak mówił, ukradkiem ich odwiedzał. Kobiety nie słuchały tego, co on mówił. Sawa zdawał się słuchać, ale Sawie jedna myśl zagnieździła się w głowie:

— Kto wydał Łukę?...

Memlauer opowiadał po cichu :

— Sawo Simiczu, przynoszę ci pocieszającą wiadomość ; ale nie mów nikomu, że ją masz odemnie... Śmierć Łuki jest zemszczoną... Serby w Baczce dowiedziawszy się o niej, wyrznęli tysiąc Madiarów...

— To mnie nie pociesza... — odparł Sawa. — Co Madiary winni?... Dziesięć tysięcy zarzniętych Madiarów nie zapłacą mi za Łukę... Mnie potrzeba jednego... i to nie Madiara, ale Serba... tego Serba, co Łukę wydał!.. Powiedz mi : kto Łukę wydał?... Ja go zarznę!... ja!...

Stary wstawał ; zbladła jego twarz drżała ; podnosił trzęsące się ręce do góry :

— Oh!... gdybym ja wiedział, kto Łukę wydał!...

I o niczem stary nie myślał, niczego nie chciał, tylko wiedzieć, kto zrobił donos na jego syna. Z tego powodu stał się podejrzliwym i nieprzystępnym, i niesprawiedliwym dla żony i córki, które niemniej rozbolełe jak on, musiały często znosić na sobie cały ciężar złego humoru. Jeden tylko Memlauer umiał jakoś poradzić z nim sobie. Sawa słuchał, jak Memlauer co rozповідаł, i nieraz dał się mu ułagodzić do tego stopnia, że obecność jego odwracała od biednych kobiet burze gniewu staro Simicza, zwracając je na inne przedmioty. I tak, kiedy opowiadał staremu o tryumfach Madiarów, stary gniewał się, dla tego, że cierpiała sprawa, której służył Janko ; a kiedy mu opowiadał o tryumfach Austryjaków, stary gniewał się dla tego, że cierpiała sprawa, której służył Szandor. Memlauer nie sprzeciwiał się mu nigdy. na jakąkolwiek stronę jego gniewy spadły ;

przeciwnie — podsyczał je... Znał on go dobrze i umiał grać na nim, jak artysta na instrumencie. Dla Anny i Maryjki było to ulżeniem, za które były one bardzo wdzięczne Memlauerowi.

Po długich kilku miesiącach przepędzonych w ciągłym smutku, bez żadnej wieści od Janka z jednej, od Szandora z drugiej strony, Memlauer taką raz Simiczowi zwiastował wiadomość :

— Będiesz Sawo wkrótce wiedział, kto wydał Łukę...

— Co mówisz !... — zawołał Sawa, i po raz pierwszy od kilku miesięcy uśmiechał się, ale tym uśmiechem, jaki nadzieja zemsty maluje na ustach i oczach człowieka.

— Będiesz wiedział... — mruknął Memlauer niby od niechcienia.

— Zkąd?... jak?... od kogo?... — krzyknął Sawa.

— Cicho... — mitygował go Memlauer — ściany mają uszy...

— Toż mów, ty... — (Sawa przestał Memlauera tytułować *Herr fon*) — ja będę milczał!...

— Z Węgrami już się wkrótce skończy...

— I cóż z tego?...

— Przyjdą Niemcy do Szegiedyna...

— E!... i od Niemców nie więcej się dowiem, jak od Madziarów... — i machnął stary ręką.

— Przyjdzie i Janko...

— A!... — i wpadł stary w zamyślenie.

Memlauer jakby wieszczym zgadł duchem. Następnie Węgrom zaczęło się wieść źle. Szczęście obróciło się przeciwko nim! Szegiedyn poczęły napełniać niepomyślne i coraz niepomyślniejsze wiadomości. Nawet i co do Janka zgadł Memlauer, pomyliwszy się w tem tylko, że Janko przyszedł do Szegiedyna przed Austryjakami. Pewnego wieczora zjawił się on niespodzianie przed zdziwionemi naprzód, i natychmiast potem przestraszonymi rodzicami.

— Janku — mówiła do niego Anna, trzymając go jeszcze w uścisku macierzyńskim — uciekaj moje dziecko jak najdalej, ukryj się, jak najlepiej, bo... ty nie wiesz, co się stało!...

— Wiem o wszystkim!... rzekł Janko sucho.

— Wiesz, kto wydał Łukę?... — zapytał Sawa.

— Będę wiedział... — odparł Janko tonem pewnym.

Janko przebrany był za wieśniaka węgierskiego. Na twarzy zdawało się, że bardziej sponurzał, zapewne z powodu szerokiej blizny, która przeorała mu czoło. Zresztą nic się nie odmienił, mniej może jeszcze mówił jak dawniej, bo niczego od niego dopytać się nie można było. Powiedział tylko:

— Przygotujcie dla mnie pod strychem legowisko, gdzie ja przez kilka dni przeleżę... Nocami nie będzie mnie w domu...

Wymówiwszy to usiadł, odpoczął przez chwilę, i jak poszedł, tak nie przyszedł aż rankiem i udał się prosto pod strych. Powtarzało się to każdego dnia. Zdawało się, że Janka niema pod dachem ojcowskim. Sawa, Anna i Maryjka przeczuwali, że przygotowuje się w tajemnicy jakiś wypadek, tem bardziej że słyszeli, iż cofająca się i kilkakrotnie pobita węgierska armja ciągnie do Szegiedynu z zamiarem stoczenia stanowczej bitwy, do której przysposobiono okopy i baterje. na łeb na szyję sypane przed miastem, i które widać było z domku Simicza. Rozrzuciły się one półkolem po polu, przeskakując przez trakt z Keczkietetu i wystając po nad bujną kukurydzę, której łan przypierał do Simiczowskiego ogrodu. Ale ani Sawa, ani kobiety nic z sobą, ani o spodziewanym wypadku tajemniczym, ani o przewidywanej bitwie nie mówili. Jakiś czy szacunek dla tajemnicy, czy strach, czy wstyd, zawiązywał im usta. Czekali, co to będzie?...

Raz wieczorem, wszystko troje siedzieli i milczeli. Na dworze było ciemno, ale cicho i pogodnie. Kot mruczał jak wówczas, kiedy hajducy przyszli po Łukę.

Wtem raptem błyskawica jakaś mignęła takim silnym blaskiem, że przy nim zgasła na chwilę jasność świecy, i stało się, jakby słońce wbiegło na niebo na jedno mgnienie żrenicy, i schowało się. Potem nastąpił huk, niby tysiąca na raz gromów połączony z gwałtownem ale krótkim wstrząśnieniem ziemi. Wszystko, co tylko znajdowało się szklanego w domu, zabrzęczało i zadzwoniło żałośnie. Przestraszony kot zeskoczył z pościeli i począł uciekać. Sawa, Anna i Maryjka zerwali się równemi nogami i jednocześnie zawołali:

— Jezus!... Maryja!...

Jak raptem błysnęło, huknęło i zatrzęsło się, tak raptem wszystko ustało. Pozostało tylko zdziwienie i przerażenie, które nie chciało ustąpić z lic Sawy, Anny i Maryjki.

Nie śmieli się zapytać siebie : co to jest ?...

Sawa pierwszy ochłonął i wyszedł na podwórze. Na dworze było cicho, ciemno i pogodnie. Miliony gwiazd wystąpiły na niebie i mrugały zalotnie ku ziemi. Wrócił więc Sawa i usiadł. Anna i Maryjka myślały, że coś powie, ale on nic nie powiedział; więc i one usiadły, przytuliwszy się jedna do drugiej, nie myśląc bynajmniej o spaniu i bojąc się nawet pomyśleć o wyjściu do ciemnych sieni. — Tak upływały im w milczeniu godziny nocne. — Około północy przeraził je odgłos czyjś chodu. Ktoś szybko zbliżał się i otworzył drzwi od sieni. Kobiety zadrżały, bo przypomniały sobie hajduków, przytuliły się mocniej do siebie; z przerażeniem spojrzały ku drzwiom i ujrzały na progu Janka.

Janko przedstawił się im w dziwnym nieładzie odzieży. Był cały zmoczony; włosy jego przykleiły się do głowy, suknie ociekały wodą, chlupało mu w butach, na głowie nie miał kapelusza.

— No!... chwała Bogu!... — rzekł wchodząc — powiodło się doskonale!...

Nikt mu nie odpowiedział. Matka, ojciec i siostra wielkimi oczami patrzali na niego. Janko ciągnął dalej:

— Prochownia i magazyn wyleciały w powietrze... Niech się teraz Madiary biją!... Nie pomogą im szance!... Jak wystrzelają to, co z sobą przywloką, to będą musieli z szanćów uciekać!...

Zamilkł jakby dla odpoczynku, i znów mówił:

— A wiecie kto wydał Łukę?...

Sawa zerwał się i stanąwszy przed synem, zapytał głośno i z uniesieniem:

— Kto?...

— Szandor!... — odpowiedział Janko.

Stary odstąpił o kilka kroków, jakby cofając się przed paldcem, a groźnie spojrzawszy na syna, przystąpił znów do niego i zawołał gwałtownie:

— Nieprawda!...

— Szandor wydał Łukę.. — powtórzył Janko wyraźnie.

— To nieprawda!... — krzyknął stary i porwał syna za piersi — ty kłamiesz!...

Kobiety zerwały się z krzykiem i uczepiły się Sawy,

— Przypomnij sobie, ojcze, wszystko, a nie powiesz, że to nieprawda... — odparł Janko spokojnie i powolnie.

Sawa chrapnął ciężkiem westchnieniem i wznosił oczy do góry, jakby dla przywołania wspomnień.

I zwałił się na siedzenie. Głuche stęknęcie wydarło mu się z piersi.

Anna nie ruszyła się z miejsca. Stała jak żona Lota, zamieniona w posąg. Maryjka pochyliła się na łóżko.

Wśród ciszy słychać było ciężkie oddychania, jak w szpitalu, gdzie leżą chorzy na gorączkę.

Po długiej chwili, milczenie przerwał Janko:

— Nie mam czasu... mnie spieszno... Mam wam jeszcze powiedzieć słów kilka...

A zwracając się do ojca, rzekł:

— Wydadaj ojcze Maryjkę za Memlauerera... On nam wielkie oddał usługi...

Maryjka krzyknęła, jakby zerwało się jej coś w sercu i stłumiła krzyk swój, tonąc głową w poduszkę.

Janko mówił dalej:

— Jemu się to należy... on będzie czekał, aż się wszystko uspokoi... Bądźcie zdrowi!... może się wkrótce znowu zobaczymy.

Janko wyszedł, zostawiając rodzicom i siostrze jeden więcej ból w sercu, który stał się spotęgowaniem ich smutku, dalszym jego ciągiem, mającym im wystarczyć na całe życie, a może przyczynić się do skrócenia onego. Pod wrażeniem nowego tego bólu nie przyszło im na myśl zapytać się: gdzie Janko idzie, kiedy powróci, ani dla czego był zmoczony?... Na to ostatnie zapytanie jesteśmy w stanie odpowiedzieć domysłem, iż zapewne, po wysadzeniu prochowni w powietrze, musiał przepływać przez Ciszę, a dla uniknięcia podejrzenia, albo raczej dla niedostania się w ręce Madiarów, nie brał łodzi, ale przeprowiał się w pław.

Po odejściu Janka, pod dachem Simicza zapanowało grobowe jakieś milczenie. Te trzy ludzkie postacie, które tam pozostały, wyglądały jak trzy chodzące trupy. — Sawie oczy wpadły i zaledwie blaskiem próchna połyskiwały z pod

nasuniętych brwi, policzki pobrały i schudły, ręce trzęsły się; Anna postarzała, twarz jej pofałdowała się w zmarszczki, z których przeglądała zgryzota. Maryjka... ha! co to młodość!... Maryjka i pobrała i schudła i zesmutniała, ale nie przestała być piękną; wydelikatniała niby i spoważniała, ale nie zwiędła; zdawało się, że otoczył ją jakiś obłok, który przysłonił jej wdzięki, ale nie zgasił ich, i z za którego ona jeszcze piękniejszą wydała się.

Sawa przemówił raz do Anny:

— Już nam nie długo żyć... Trzeba się wybierać do Łuki...

— Ty chcesz wziąć Maryjkę... — mówił do Memlaura, który go odwiedził. — Bierz ją!... Jej potrzeba opiekuna... Ona wkrótce pozostanie bez ojca i... bez matki — dodał — bo i Anna nie wytrzyma... a ja już w sobie czuję, że tylko mogę umrzeć...

Memlauer dziękował staremu, nazywał go ojcem i uspokajał go.

— Wiesz ty, kto wydał Łukę?... — zapytał go Sawa znienacka.

— Nie wiem... — odparł Memlauer pospiesznie.

— Szandor... — rzekł stary niby spokojnie — Szandor!... ta gadzina, którą wychowałem za pazuchą!...

— Ale to być nie może!... — zawołał Memlauer ze zdziwieniem.

— Tak!... tak!... — mówił Sawa — Szandor... nie kto inny... Powiedział mi o tem Janko...

— Ale!... — przerwał sobie stary — powiedzże mi, z kąd ty wiedziałeś, że dowiem się o tem od Janka?...

— Ja!... nie wiedziałem... — odrzekł Memlauer i oczy jego zamigotały, jak u człowieka pojmanego na gorącym uczynku.

Ale Sawa nie zważał na to.

— Czy widziałeś się z Jankiem?...

— Kiedy? — zapytał Memlauer.

— On tu był przed kilku dniami... Odszedł pozawczora...

To on mówił mi, żeby za ciebie wydać Maryjkę...

— Pocziwy Janko!... — zawołał Memlauer w rozczuleniu.

— A znaleźli Madiary tego, co wysadził im prochownię w powietrze?... — zapytał Sawa.

— Nie wiem — odparł Memlauer.

— Niech szukają!... nie znajdują!...

— Madiarskie wojska przychodzą tu wkrótce... — przerwał Memlauer.

— Przychodzą!... kiedy?...

— Zapewne jutro... już są nie daleko...

I rzeczywiście, nazajutrz nad wieczorem, gdyby kto stanął był na dachu domu Simicza i puścił wzrok w kierunku Kieczkiemeckiego traktu, ujrzałby wśród zielonych łąków kukurydzy, posuwający się powoli błyszczący długi smug, w pół-okryty tumanem kurzawy. To drogą kieczkiemecką szły bataliony piechoty, to błyszczały bagnety... Nie można było dojrzeć kolumn, bo zakrywała je kukurydza, która niby las w tym roku wybujała, i łodygi jej takiej doszły wysokości, tak rozrosły się w szerokie liście, że ukryć mogły nie tylko pieszego, ale i konnego. Po kurzawie więc tylko można było z daleka rozpoznać wojsko, które zbliżając się, wynurzało się na plac przed miastem i nie szło do Szegiedynu, ale rozchodziło się na prawo i lewo, stając za przedpiersiami okopów. Pusty plac zaludniał się. Od Kieczkiemetu ciągnęło wojsko; z Szegiedyna wysunęła ludność. Tłum ludu, skupiwszy się przy drodze, witał elienami wynurzające się z kukurydzy kolumny. Przed tłumem stała banda cyganów ze znajomym nam skrzypkom na czele, i grała Rakoczego na powitanie żołnierzom. Skrzypek grał z zapalem, — prawą nogę wyciągnął naprzód, oczy przymrószył, pierś obnażył, skrzypkę przytulił do brody i wodził po niej smyczkiem, a przebierał po strunach palcami... Przed nim defilowała piechota: kilkadziesiąt batalionów przeszło i rozeszło się po placu, zajmując wyznaczone sobie stanowiska; defilowała artylerja: baterja po baterji przejeżdżała i zwracała na prawo lub na lewo; defilowała jazda: szwadrony szły powoli, jeźdźcy mrugali do wyglądających z tłumu twarzyczek dziewczęcych, konie prychały i kiwały głowami. Cygan, zdawało się, nie zważał na wojsko, robił swoje, grał jednakowo dla piechoty, artylerji i kawalerji, — skrzypka jego okryła się kurzem, lica oblały się potem, czarne rozpatlane włosy spłowieły od pyłu! — on grał... Żołnierze z kolumn w tłumie widzów poznawali znajomych swoich i krewnych, i witali ich; —

skrzypka nikt nie powitał, nikt go nie poznał; ale on nie zważał na to — witał wszystkich, zarówno generałów i szeregowych.

Aż w ostatnim szwadronie, który zamykał pochód, huzar jeden uśmiechnął się, ujrzawszy cygana, spiął konia ostrogami poskoczył ku niemu.

— Jak się masz!... — zawołał i wyciągnął do skrzypka rękę.

Skrzypek przestał grać.

— Jak się masz!... — krzyknął w uniesieniu — Szandor!... *baraton!*...

— Szandor!... — rozległo się w tłumie i poczęto cisnąć się do huzara. Ten mu podawał rękę, ów witał go głosem. Szandor odpowiadał, nazywał każdego po imieniu, obracał się i rozglądał po tłumie. Snadź szukał kogoś — kogoś, kogo nie było. Cygan trzymał się za poślisko Szandorowego siodła i nie dał się odtrącić cisnącym się do powitania naszego bohatera.

— Grałeś mi na powitanie, kiedy wracał do Szegiedynu z wędrówki i grałeś mi teraz, kiedy... — powiedział do niego Szandor pochylając się na siodle.

Cygan chciał coś mówić, ale zakrzyczano go.

W tem zniecierpliwiony karosz Szandora, począł gryźć i wierzgać.

— Aj!... oj!... — rozległy się głosy.

Szandor szarpnął konia munsztukiem i spiął go ostrogami. Kary wspiął się i skoczył. Szegiędycianie odbiegli od niego. Jeden tylko cygan pozostał przy poślisku.

— Bądźcie zdrowi!... zobaczą się z wami wszystkimi!... — krzyknął do nich Szandor, a cyganowi wymienił nazwisko swego pułku i numer szwadronu, i powiedział mu:

— Przyjdź do mnie, *baraton!*...

Cygan puścił się pośliska, Szandor pojechał za szwadronem.

Zaledwie armja rozlokowała się po obozowemu, cygan dopytał się do szwadronu Szandora.

— Cóż słychać?... — zagadnął go ten ostatni.

— E!... — odparł cygan — słychać to, o czym wiesz zapewne: że będziecie się bili tu, gdzie stoicie...

— Nie o to się pytam, ale...

— Ale — przerwał cygan — a!... wiem już o co się py-

tasz... Smucą się tam i płaczą... Zresztą dowiesz się sam o wszystkim, bo zapewne nie omieszkasz zajrzeć do starego i pocieszyć go... On ciebie kocha jak syna... Tam ciebie piękne oczy wyglądają... — dodał z uśmiechem.

— Idę ja tam natychmiast... — odparł Szandor — już naprzód zdałem służbę i uwolniłem się na kilka godzin... Chodźmy!

I poszli.

Zanim armja zajęła obozowe stanowiska, zapadł wieczór. Zmrokiem więc Szandor i cygan zdążali ku domowi Sawy Si micza. A było im snadź spieszno, bo szli prędko. Szandor przyspieszał ciągle kroku.

— Nie daremnie to... — zauważył cygan — śpiewa się w pieśniach, że się na skrzydłach do kochanki leci.

Szandor nic nie odpowiedział. Pałasz podpięty na haczyku lekko pobrzękiwał, ostrogi dzwoniły krótkim dzwonieniem. Bohater nasz spieszył i wkrótce stanął przed furtką, pchnął ją silnie, wbiegł na dziedziniec i pędem wpadł do izby. Cygan wszedł za nim w kilka chwil później.

W izbie nie było jeszcze światła. Szandor zastał Sawę, Annę i Maryjkę. Na odgłos brzęku ostróg Sawa wstał i stanął na środku izby, Anna i Maryjka siedziały na łóżku.

Bohater nasz rzucił się ku Sawie, garnąc się w jego objęcia; lecz jakże zdumiał się, gdy zamiast miękiego, ojcowskiego uścisku, spotkał twarde koście kulaków. Myślał, że go stary o zmierzchu nie poznał.

— Sawo!... zawołał — ojczel!... to ja!...

Stary podniósł zaciśniętą pięść do góry i milczał przez chwilę; a uderzając Szandora w głowę i chwytając go gwałtownie za kołnierz, począł go pchać ku drzwiom bijąc kulakami, i krzycząc urywanym głosem:

— Precz!... lajdaku!... gadzino madiarska!.. precz!... zabójco mego syna!... precz!... wydałeś Łukę!... precz!... precz!...

Anna ukryła głowę w pościel i nie patrzyła na to widowisko pasowania się Sawy z nieopierającym się mu Szandorem. Ale Maryjce głos tego ostatniego zabrzmiał w uchu, niby akt uniewinnienia. Ona i przedtem nie mogła twierdząco odpowiedzieć sobie na zapytanie: czy podobna, aby Szandor wydał Łukę? — a usłyszawszy ton mowy kochanka, usłyszawszy wyraz

„ojcze!“, którym pozdrowił jej ojca, nie myśląc, porwana samą potęgą dźwięku jego mowy, zerwała się i stanęła w jego obro- nie. Objęła ojca w pół rękami i plątała się mu u nóg. Sawa uderzał ją nogami, deptał, darł się z pięściami ku Szandorowi i wołał odchodząc od przytomności.

— Precz!... wydałeś Łukę!... morderco mego syna! Precz!... Dajcie mi noża!... noża!... niech go przebiję!... dajcie mi koła!... niech mu łeb rozmiazdżę!..

Gdyby nóż lub kół nawinał się był staremu pod rękę, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Sawa byłby się zboczył krwią Szandora, który mn się bynajmniej nie bronił. Party przez starego, cofał się bezprzytomnie, i nie wiadomo na czym- by się to skończyło, gdyby nie cygan, który porwał w pół Szan- dora i wyciągnął go na podwórze, a ujawszy silnie pod ramię, wyprowadził na ulicę i poprowadził ku obozowi. Szandor szedł machinalnie. Za miastem dopiero zatrzymał się, usiadł na ziemi, ukrył twarz w dłonie i zaczął płakać. Cygan usiadł przed nim.

Cygan milczał, Szandor płakał i płakał długo jak dziecko, albo jak kobieta. Może komu się wyda, że łyzy huzarowi nie przystoją: ale wyda się to temu tylko, kto nigdy nie doświadczył prawdziwej zgryzoty. Są w życiu męskiem chwile, w któ- rych nie podobna łyż utrzymać za powieką: wycisną się i po- płyną, pomimo największej męskości i najzjadlejszego huzarstwa.

Wyplakał się Szandor i zaczął przychodzić do przytomno- ści. Wówczas cygan odezwał się:

— Toś ty nie wiedział, że Łuka nie żyje?..

— Nie wiedziałem.. — odparł Szandor — Nie wiem, jak to mogło się stać, że Sawa na mnie śmierć Łuki zwala..

— Uspokóże się i słuchaj.. — rzekł cygan, i opowiedział wszystko co o powodach egzekucji Łuki doszło do jego wiado- mości, dodając na końcu, jako domysł, że ktoś wmówić musiał w Sawę, że Szandor wydał Łukę.

— A dla czegożby to nie dało się przerobić!... — rzekł po chwili milczenia — Ty zapewne nie będziesz staremu pa- miętał, bo on był dla ciebie ojcem;... a on, jak się dowie praw- dy, to sam pierwszy ciebie przeprosi.. Ktoś się tobie przy- służył; ktoś z takich, którzy zazdrościli tobie Maryjczyńnego serca... Pomyślno, czy nie masz na kogo podejrzenia?..

— Nie, nie mam — odrzekł Szandor wzruszając ramionami.

— Uspokójże się i zdaj tę sprawę na mnie... Ja się czegoś może dowiem... Pomówię i z Sawą i z Maryjką, i będę co dnia zachodził do ciebie do obozu..

Szandor uściskał cygana. Jeszcze raz łączył mu się z oczu puściły, lecz otarł je rękawem od dołmana i poszedł do obozu.

Obóz leżał pod Szegiedynem przez dni kilka, na tem samem miejscu, na którym stanął pierwszego dnia. Spodziewano się, że nieprzyjaciel będzie atakował, więc porobiono wszelkie do bitwy przygotowania, i ciągle o niej rozprawiano tak w mieście, jak przy biwakach. Zdawało się wszystkim, że tu rozstrzygną się losy Węgier: że — albo wojsko zagrzebie się w gruzach Szegiedyna, albo zwycięży, i tak się oswojono z tą myślą, tak się ona wszystkim podobała, że i mieszkańcy i żołnierze z niechęcią patrzyli na mosty stawiane na Cissie dla przeprawy wojska.

Przez tych kilka dni cygan gorliwie zajmował się sprawą Szandora. Zbierał wiadomości, rozpytywał się, chodził; ale gorliwość jego nie wiele na co przydała się. Dowiedział się tylko, że Sawa ani chce słyszeć o Szandorze, a z romowy z Maryjką zmiarkował, że ta ostatnia skłonna jest do uwierzenia, że nie Szandor był powodem śmierci Łuki. Wszystko to on raportował wiernie Szandorowi i opowiadał mu przytem niektóre drobniejsze szczegóły o rodzinie i domu Simicza; jak np. jak wygląda Maryjka, że Sawa zaprzestał robić kocze, że obozujący żołnierze rozgrodzili i spalili płot od jego ogrodu, itp.

— Poproście Maryjki, żebym przynajmniej z nią mógł widzieć się na momencik;.. żebym mógł jej kilka słów powiedzieć, pożegnać się z nią po raz ostatni i może na wieki... — prosił Szandor cygana.

— Dobrze!... — dobrze!... — odpowiedział cygan.

Jakoż, jak począł chodzić a prosić, perswadować a namawiać, skończyło się na tem, że Maryjka obiecała wyjść wieczorem na chwilę do ogrodu, i — jak powiedziała — pożegnać się z Szandorem, bo nie spodziewała się, aby ojciec dał się kiedy o jego niewinności przekonać..

Wieczór naznaczony przez nią na pożegnanie, był wieczorem tego dnia, w którym o południu wojska węgierskie poczęły opuszczać obóz i przenosić się na lewy brzeg Cissy.

Trudnem stało się położenie naszego bohatera: — pomaszewać za Cisse, znaczyło rzec się widzenia z kochanką.

Już artylerja i pociągi ruszyły, kolumny piechoty wyciągały z obozu i tonęły w mieście, niektóre oddziały jazdy przeprowiły się na drugą stronę, obóz pustoszał powoli, pułk Szandora stał w pogotowiu do wsiadania na koń, gdy niewiedzieć z kądem, jakby z nieba spadł, zjawił się obok Szandora cygan.

— Idziecie? — rzekł.

— Idziemy... — odparł Szandor, nie patrząc na cygana.

— Więc nic z tego nie będzie?... — zapytał cygan.

— Dlaczego ma nie być!... — odrzekł Szandor — będę ją widział... muszę widzieć!... albo...

Cygan spojrział bystro Szandorowi w oczy. Białka oczu jego dziwnie jakoś zamigotały pod czarnymi brwiami. Pomyślał przez chwilę i powiedział sam do siebie.

— A!... rozumiem! Wiem już gdzie go spotkam dzisiaj w nocy...

Wkrótce po odejściu cygana zatrąbiono na koń. Huzary poskoczyli do koni i poczęli wsiadać. Włożyli nogi w strzemiona, wzniesli się, i na komendę wszyscy razem wsiadli. Jeden tylko huzar nie był na koniu. Huzarem tym był Szandor. Nie wsiadł, bo koń jego rozchimerował się i nie dawał przystąpić do siebie. Co się Szandor zbliżył do niego, to on cofał się, wspinał lub w bok rzucał. Huzary sformowali się już i ruszyli, a Szandor jeszcze konia nie ułagodził. Jeden z oficerów ujrzawszy to, przyskoczył do niego:

— Niech ci kto pomoże!... — zawołał.

— Nie trzeba, poruczniku!... koń jeszcze bardziej przestraszy się!... Wsiadę ja na niego i dogonię szwadron!... — odpowiedział Szandor.

Porucznik odjechał.

— Dogonię ja ich!... — mówił Szandor sam do siebie i udając usiłującego wsiąść, szarpał konia munsztukiem a koń wspinał się i cofał. Pułk znikł mu już z oczu. Koń zacofał się aż do kukurydzy. Tam Szandor ujął go za uzdę i poprowadził, kierując się gęstwina w stronę domku Simicza. Łodygi rozchyłały się przed bohaterem naszym i jego koniem i prostowały się, gdy oni przeszli. Szandor przeciskał się szybko, i gdy doszedł na wysokość domku Simicza, wybrał sobie taki punkt, z którego

nie będąc sam widzianym, mógł widzieć i domek starego i plac przed miastem, i ten plac, który, jak wiemy z pierwszego rozdziału niniejszej powieści, dzielił łany kukurydzy od wybrzeża Cissy, przylegając do obrębu Szegiedyna od północnej strony, *vis-à-vis* trzęsawisk lewego brzegu rzeki. Tam zatrzymał się i wyglądał. Plac, na którym przed chwilą rozciągał się obóz węgierski pustoszał, pustoszał, i w końcu pozostały na nim tylko kupy słomy i czarne plamy zagasłych ognisk. Plac północny zieleniał kobiercem murawy, za nim połyskiwała Cissa, za Cissą widać było wijącą się długim węzłem Marosz, i na lewym brzegu Maroszy postrzegł Szandor ciemniejące kolumny węgierskie, rozstawione w bojowym porządku.

— A!... — mruknął sam do siebie — będą się bić o przeprawę... a tedy najprostsza dla mnie droga.

I wyciągnął rękę w kierunku, w którym, gdyby przeprowadzić linię prostą, to ta przeszłaby przez plac północny, przez Cissę i poszłaby wzdłuż Maroszy.

Zrobiwszy to rozpoznanie miejscowości, spojrzął ku domkowi Simicza, popatrzył, westchnął, usiadł, założył cugle na rękę i zadumał się. Lecz wkrótce z dumania wyprowadził go łoskot bębnow i odgłos muzyki wojskowej. Zerwał się i popatrzył na plac, gdzie był obóz węgierski. Plac ten, opuszczony nie dawno, począł się znów wojskiem napełniać. Szandor poznał nieprzyjacielską armję. Więc już nie siadał, ale przypatrywał się pilnie, i widział, jak jedne kolumny szły do miasta, a inne szykowały się przed miastem, jak artylerja ciągnęła w rozmaite strony i adjutanci przebiegali w rozmaitych kierunkach. Przypatrywał się on temu spokojnie, lecz zadrżał, gdy ujrzał bataliony nieprzyjacielskie wynurzające się z miasta na plac północny. Tamtędy przechodziła jego droga i ta mu była odcięta. I zrobiło się mu zimno i straszno: wyraz „dezertter“ wcielił się w jakieś obrzydliwe widmo i stanął mu przed oczami. — Stał więc i patrzył i słuchał. — Po nad brzegiem Cissy, na północnym placu, wyciągnął się łańcuch wedet gęsto rozstawionych, za wedetami stanęły placówki i grangardy.

— Ha!... tom się złapał!... — rzekł sam do siebie.

Nie było jednakże rady; trzeba było czekać. W niespokojności czas prędko upływa, i Szandor ani spostrzegł, jak doczekał się zmroku, a równo z zachodem słońca zabrzmiął długiem

echem pierwszy strzał działowy. Koń zastrzygnął uszami na znajomy odgłos, a Szandora przygniotło uczucie wstydu.

— Dezerter!... — rzekł przez zęby.

Po pierwszym strzale wszczęła się mocna kanonada, wzmagająca się w miarę zwiększania się wieczornego zmroku. Każdy wystrzał błyskawicą rozlewał się po niebie. Szandor słyszał daleki świst kul i świergotanie granatów, i widział jak te ostatnie przelatywały półkolem w powietrzu niby komety, ciągnąc ogony światła za sobą. Słyszał daleki zgiewek ludu i ujrzał raptem łunę pożaru. Szegiedyn się palił. Bitwa wrzała.

Machinalnie prawie, przygnieciony żalem i wstydem, począł nasz bohater postępować ku Szegiedynowi. Co zrobił kilka kroków, to zatrzymał się i znów szedł. Tak idąc, dostał się na kraj łąnu kukurydzianego i znalazł się przed ogrodem Sawy Simicza. Wszedł do ogrodu, bo płotu nie było, i tam stanął, nie wiedząc, co z sobą począć.

Przenieśmy się na chwilkę o kilkanaście kroków od miejsca, na którym stoi nasz bohater, do Simiczowego domku. Jak tam ludno i wesoło!... Sawie wprawdzie ani Annie nie rozmarzczyły się czoła, Maryjka nie uśmiecha się; ale za to Memlauer śmieje się całym gardłem i wtóruje mu kilka osób, których nigdy nie widzieliśmy i o których nic w ciągu powieści nie wspomniałem dla tego, że ani pośrednio, ani bezpośrednio nie wpływały one na losy głównych postaci opowiadania naszego. Osoby te, byli to sami mężczyźni. Z nich jedni mówili nie bardzo czysto po serbsku, a drudzy bardzo zarywali z niemiecka. Siedzieli w paradnej izbie, rzęsiściej jak zwykle oświetlonej. Pomędzy nimi znajdował się i Janko. Puhary z winem stały na stole, przenosząc się do ust biesiadników, wypróżniając się i napełniając kolejno.

Nie będziemy powtarzali wszystkich rozmów, których główną treść stanowiły wzajemne winszowania i wzajemne pochwały. Wszyscy winszowali każdemu z osobna i chwalili każdego, i każdy winszował wszystkim i chwalił wszystkich. Często jedna połowa mówiła razem, a druga śmiała się. Czasem dowcip jakiś pobudzał do wesołości całe zgromadzenie.

— No, teraz wszystko już *aus* — odezwał się któryś — **Madiary łatwiej swoje ucho, jak Szegiedyn zobaczą...**

— Cha!... cha!... cha!... — odpowiedziano chórem.

— I spokojnie wesele odprawimy!... — powiedział drugi.

— Czyje?... — ktoś zapytał.

— A pana Memlauerera...

— To niechże dzisiaj będą zaręczyny!... — zawołał inny— takiego dnia jak dzisiejszy, nie doczekamy się już w życiu, i nie zdobędziemy się na takie dla państwa młodych wiwaty!... Słyszycie?...

Biesiadnicy uspokoili się na chwilę. Powietrze huczało wstrząsane salwami artylerji.

— Prawda!... prawda!... — zawołało kilku — trzeba kozystać z chwili...

— No!... — Janku!... — rzekł jeden z najpoważniejszych.— Cóż ty na to?

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Janko — i zdaje mi się, że i ojciec mój będzie rad, że zaręczyny siostry mojej zaszczycą się obecnością takich czestnych gości.

Sawa kiwnął głową i łypnął oczyma.

— Obiecałem córkę panu Memlauerowi i wszystko mi jedno, czy ją zaręczyć dziś czy jutro... — powiedział powoli.

Maryjka pół-żywa słuchała tej rozmowy.

— Maryjko... — rzekł Sawa do córki — chodź!...

— Ale gdzież pierścionki?... — zapytał stary.

— Pierścionki!... oto są!... — podchwycił Memlauer, wydobywając safianowe pudełeczko.

— No... to chodź Maryjko... — powtórzył Sawa niedbale.

Maryjka wstała, ujęła się ręką za poręcz stołka, popatrzyła na ojca i brata wzrokiem, w którym i prośba i żal i wstręt się odmalowały, i raptem, jakby przypomniała coś sobie, powiedziała:

— Zaraz ojcze!... natychmiast przyjdę!...

Wyszła z izby, i nie zatrzymując się w sieniach, poszła na ogród i udała się prosto ku miejscu, na którym stał Szandor.

Bohater nasz, ujrawszy wśród krzaków ogrodowych przesuwającą się postać kobiecą, przypomniał sobie Maryjkę i zapomniał zresztą o wszystkim. Postąpił kilka kroków naprzód, wołając półgłosem:

— Maryjko!...

Maryjka podbiegła i z płaczem rzuciła się mu w ramiona, otoczyła jedną ręką jego szyję i przycisnęła się piersią do niego.

Z początku za całą rozmowę, słyhać było tylko wyrazy:

— *Lelkem!... galambum!... galambum!... lelkem!...* — wymawiane przez Szandora i Maryjkę.

Potem Maryjka szeptała:

— To nie ty wydałeś Łukę?...

— Nie ja!... nie ja!... — odpowiadał Szandor.

— Ja wiem, że nie ty!.. o, wiem!... ty nie mógłbyś tego zrobić!... To ktoś skłamał przed Jankiem...

— Przed Jankiem?... — zapytał Szandor.

— Ach!... przed Jankiem... — odpowiedziało dziewczę — a Janko powiedział ojcu i zażądał, żeby mnie ojciec wydał za Memlauer...

— Za Memlauer!... — zawołał Szandor. — Ha!.. to już wiem!... to Memlauer mnie okłamał!...

Maryjka ze drżeniem przytuliła się do Szandora.

— Ach!... co ja pocznę nieszczęśliwa!... — szeptała i płakała.

— Cóż!... no!... cóż?... — mówił Szandor, tuląc ją do siebie.

— Memlauer jest tam!... tam!... — i wyciągnęła dziewczyna rękę, ukazując na dom ojcowski — z pierścionkami!... z gośćmi!.. jak powrócę, to będzie po mnie!... ach!... ja nieszczęśliwa!...

— Nie płacz!... — pocieszał ją Szandor, któremu włosy najeżyły się, a krew uderzyła do głowy — nie płacz!... chodź!...

I ciągnął ją bezprzytomny, podniósł, wziął na ręce jak dziecinę, i sam nie wiedząc co robi, począł wsiadać na konia.

— Szandor!... *galambum!...* — szeptało dziewczę.

— Nie płacz, *lelkem*, nie bój się!... — mówił Szandor.

I wsiadał na konia.

Karosz chrapnął i cofnął się z razu, lecz pogłaskany przez Szandora, stanął spokojnie.

— Szandor!... powtórzyło dziewczę.

— Nie bój się!... — odpowiadał Szandor i wznosił się w strzemienu i usiadł na siodle, poprawił się i ruszył..

Maryjka otoczyła ramieniem jego szyję; on trzymał ją lewą ręką przed sobą, a prawą wydobył pałasz. Wyjechawszy z ogrodu, skierował konia na plac ku brzegowi Cissy, spał go ostrogami i puścił się cwałem.

Nie opodal od brzegu dały się słyszeć okrzyki:

— *Halt!... wer-da!*

Szandor nie zatrzymał się; tylko z całej siły ścisnął karego ostrogami tak, że ten zagnalony do najwyższej potęgi pędu, sadząc posuwistemi susami, dotarł do samej krawędzi wybrzeża, i nie zatrzymując się, skoczył z urwistego brzegu do Cissy.

Rozstąpiła się woda z pluskiem ogromnym. Koń, Szandor i Maryjka poszli od razu na dno; lecz natychmiast spłynęli i nad powierzchnią wody wynurzył się łeb koński, a za nim pochylony naprzód Szandor z Maryjką na rękę. Maryjka konwulsyjnie ścisnęła kochanka za szyję, jej warkocze spływały do wody, a głowa tuliła się na piersi Szandora, który trzymał ją mocno i powtarzał co chwila:

— Nie bój się!..

A piękną była ich podróż: przyświecłała jej szeroka łuna pożaru i na pozdrowienie jej grzmiały działa i grzechotał karabinowy ogień. Zamek szegiedyński wyrastał olbrzymio z pośród wianka płomieni, na tle których przesuwały się oddziały wojskowe w fantastycznych odbijały się kształtach. Kirysjery w metalowych kirysach i hełmach, wydawali się z daleka jak rycerze ogniowi, i zamiast maleć, rośli w oddaleniu, a skutkiem optycznego złudzenia nie szli po ziemi, ale płynęli powietrzem. Bagnety piechoty dziwnym świeciły blaskiem, promieniąc się smużkami nad głowami ludzkich cieniów. Działa wydawały się jak jakieś żywe istoty, ruszające się i ziejące ogniem. Kule jeźdzały żałośnie, granaty świergotały niby ptaszki uciekające z pożaru, kartacze szumiały jak przenoszące się w ucieczce stada szpaków, karabinowe kulki brzęczały jak osy, a huk wystrzałów zlewał się w jedną jakąś dziką, przerażającą harmonję z łoskotem pożaru, z trzaskiem walących się domów i z jakimś ciągłym zgiełkiem i tarkotem, jękiem i piskiem. A jak z otwartego krateru wulkanu, tak z Szegiedyna buchały do góry kłęby dymu i kłęby iskier i wystrzelały płomienie, rzucające na powierzchnię Cissy złocisty odblask, i oświetlające całkowicie straszliwy obraz zniszczenia, jaki na ciemnym tle nocy, rozwinęły: bój i pożoga.

W półświecie tego oświetlenia płynęli Szandor i Maryjka. Za nimi był brzeg urwisty, obsadzony nieprzyjacielską wartą, przed nimi trzęsawiska, na prawo ujście Maroszy, obsadzone węgierskiem wojskiem. Kary prychał i płynął. Bieg nurtu unosił go na prawo w kierunku ujścia Maroszy. Szandor wolno

puścił mu cugle, wypuścił z ręki pałasz, który mu zawisł na temlaku, i obiema rękami ujął Maryjkę i trzymał ją tak, aby zasłonić ciałem swoim. Zastaniał on ją dlatego, że natychmiast po wskoczeniu do wody, warta nieprzyjacielska poczęła do niego strzelać. Z początku huknęła salwa kilkudziesięciu na raz wystrzałów, kulki zagwizdały mu koło uszów i obsypały do koła powierzchnię Cissy, tonąc w niej z głuchem a krótkim sykaniem. Potem scigały go pojedyncze strzały Szandor prostował Maryjkę, wygiął nad nią w kabłąk ramiona, głowę jej do piersi swoich przyciskał i ciągle jej kładł w ucho:

— Nie bój się!...

Maryjka nic nie odpowiadała. Nie straciła ona przytomności, ale ogłuszył ją ten pęd gwałtowny, to skoczenie z urwistego brzegu, to zanurzenie w wodzie, i nakoniec, ten huk bitwy. Tuliła się ona do kochanka, jej serce biło przy jego sercu, jej ramię otaczało jego szyję; — więc napelniał ją jakiś rodzaj niemej a nieograniczonej ufności, i nie bała się. Trzymała się go silnie, żeby się z nim nie rozłączyć — i oto było całe jej życie, cała jej obawa: — zresztą — niebezpieczeństwa, jakie jej i jemu groziło, może i nie rozumiała.

Z trzęsawisk, z za grubego pnia wierzby, wyglądał cygan. Z bezpiecznego tego ukrycia, od czasu, w którym pierwszy wystrzał zwiastował początek bitwy, przypatrywał się on obrazowi zniszczenia i często zwracał wzrok ku brzegowi, z którego skoczył Szandor. Długo siedział on spokojnie i w milczeniu. Czarne jego oko świeciło w cieniu niby wilcze, błakając się po rozlanej fali płomienia, lub ścigając rozwiewające się kłęby dymu i nikaące pod niebem iskry. Ten dziki obraz odbijał się śpiewem w duszy cygana, i on z pewnem drżeniem natchnienia czy zachwyty, patrzył na bój i pożogę i słuchał tajemnej harmonji, która pełnemi w jego duszy grała akordami, i pogrążył się całkiem w stan artystycznej kontemplacji. Ze stanu tego wyrwało go nagłe pluśnięcie. Cygan zerwał się, popatrzył na pozłożoną powierzchnię Cissy i ujrzał wynurzających się po nad nią Szandora, Maryjkę i łeb karego. Przy oświeceniu pożogi łatwo mu było rozpoznać ich. Serce jego zabiło mocnem tentnem, oczy zapłonęły silnym blaskiem, stanął na brzegu i wyciągnął ręce, akby Szandora, Maryjkę i karego chciał zwabić ku sobie.

Oni płynęli, a Austryjacy strzelali. Co chwila kula przed

lub za Szandorem, z prawej lub lewej strony plusnęła i syknęła na Cissie, i co chwila Szandor uspokajał kochankę wyrazami:

— Nie bój się!...

I wciąż osłaniał ją sobą.

Już kary przepłynął środek nurtu rzeki, już coraz bliżej i wyraźniej zarysowywał się brzeg przeciwny, gdy raptem Szandor przestał uspokajać Maryjkę. Przycisnął ją mocniej do siebie, ale nie wyrzekł ani słowa. Pochylił nad nią głowę i zacharczał.

— Szandor!.. — szepnęła dziewczyna, obejmując silnie ramionami chwiejącego się w siodle kochanka.

Szandor nic jej nie odpowiedział.

Cygan wołał:

— Tu!... tędy!... trzymaj się trochę na lewo, bo na prawo trafisz na Marosz, która cię wepchnie na powrót do Cissy i wyniesie znowu na środek!... na lewo!... na lewo!...

Ale Szandor nie odpowiadał cyganowi, a prąd unosił go na prawo. Cygan biegł brzegiem, krzycząc:

— Na lewo!... na Boga!... na lewo!...

Wtem koń prychnął silnie i swobodnie, oznajmując niejako tem prychnięciem, że dostał dna kopytami. Lecz snadź szarpnięty munsztukiem, spiął się, piersi i przednie nogi wysadził z wody, jakby chciał z niej wyskoczyć do góry, i w tej chwili, przez grzbiet jego, zwałił się na wznak Szandor, trzymając w objęciach Maryjkę. Cygan krzyknął przeraźliwie; woda plusnęła, zabelkotała, zaszumiła, i na jej powierzchni.. czerniał już tylko łeb karego...

W niemem przerażeniu pośliznął się jeszcze wzrok cygana po połyskującej powierzchni Cissy i pobiegł w kierunku jej nurtu. W tem miejscu, gdzie wpada do niej Marosz, łącząc z nią wirowym sposobem wody swoje, coś zaszarzało i — znikło.... znów zaszarzało, zakręciło się i znów znikło... i nie pokazało się więcej...

W parę lat po tym wypadku, po zakończeniu wojny i zupełnem uspokojeniu rozruchów, z miasteczka do miasteczka, ze wsi do wsi na Węgrzech, włóczył się cygan ze swoją skrzypką i grał. Lud gromadził się i słuchał. Nie grywał on ani czar-

dasza ani Rakoczego, ale coś takiego, co nie było ani tańcem ani marszem, i co pobudzało słuchaczy do jakiejś tęsknoty i rozmarzało ich, tem bardziej, że muzyk dodawał do grania swego strofy nieznaney przedtem pieśni, opowiadającej, jak huzar-Madjar zginął razem z Serbką kochanką w nurtach Cissy.

Czasem cygan, jeżeli słuchacze byli dobrani, opowiadał im to, o czem grał i śpiewał. A że i mnie zdarzyło się słyszeć to opowiadanie, przeto, na zakończenie, przyznaję się, że powieść o Szandorze i Marijce nie jest wymysłem mojej własnej głowy, jak to może nie jednemu z czytelników wydawaćby się mogło, ale podsłuchaniem i powtórzeniem opowiadania cygańskiego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-780 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-81 w. 42

F
1241

1